REBIS

Erich Maria Remarque

Czarny obelisk

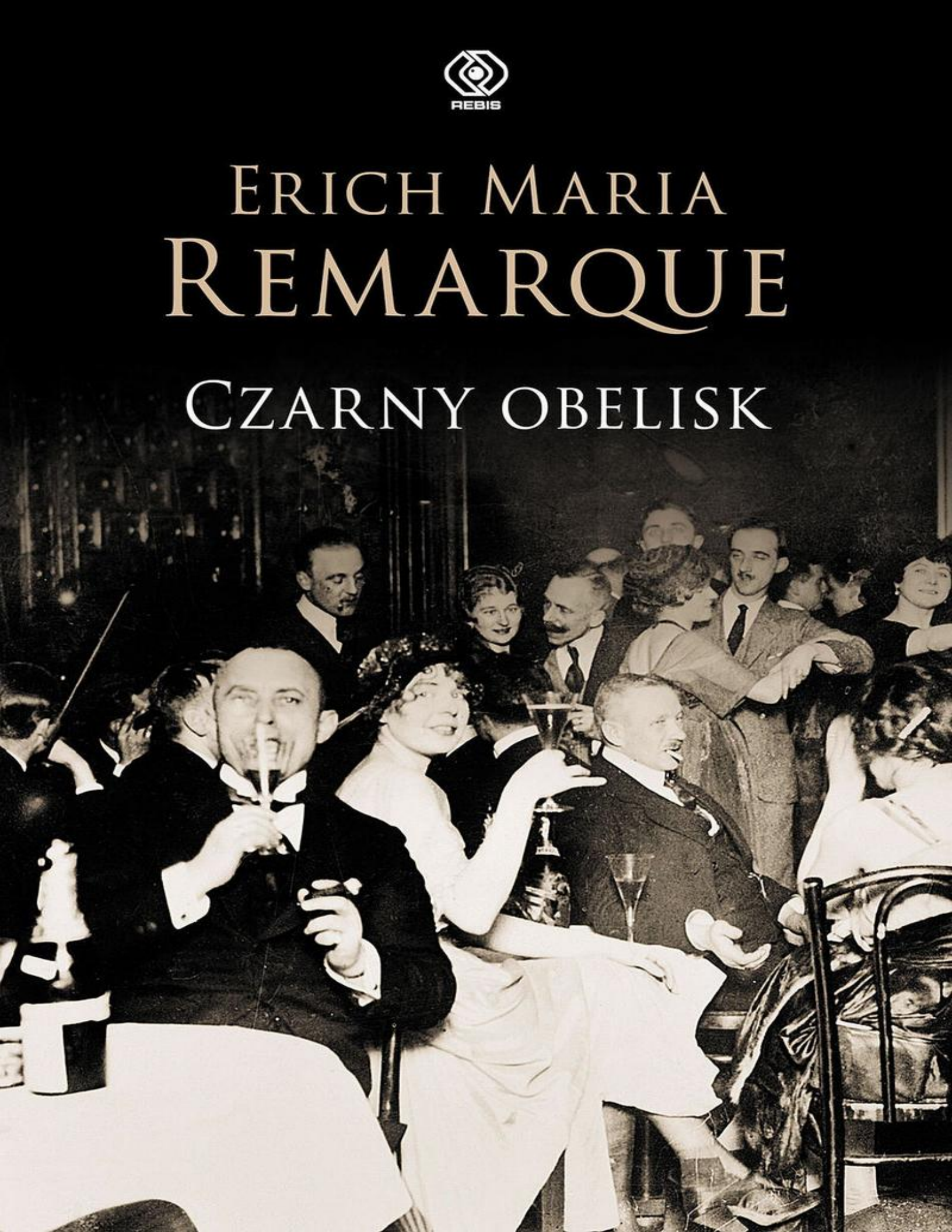

ERICH MARIA
REMARQUE

CZARNY OBELISK

Przełożył
Adam Kaska

DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań

Nie gniewajcie się, że raz jeszcze wracam do dawnych czasów. Świat leży znowu w bladej poświacie Apokalipsy, nie rozwiał się jeszcze odór krwi i pył ostatnich zniszczeń, a już laboratoria i fabryki pracują znowu pełną parą nad utrzymaniem pokoju przez wynalezienie nowych rodzajów broni, którymi można rozsadzić całą kulę ziemską.

Pokój światu! Nigdy więcej o tym nie mówiono, a mniej w tym celu nie czyniono niż w naszych czasach; nigdy nie było tylu fałszywych proroków, tylu kłamstw, tyle śmierci, zniszczenia i łez co w naszym stuleciu, w wieku dwudziestym, wieku postępu, techniki, cywilizacji, masowej kultury i masowego mordu.

Dlatego nie gniewajcie się, jeśli jeszcze raz wrócę do tych legendarnych lat, kiedy nadzieja unosiła się nad nami jak flaga, a my wierzyliśmy w rzeczy tak podejrzane, jak ludzkość, sprawiedliwość, tolerancja – a także w to, że jedna wojna światowa powinna być wystarczającą nauką dla jednego pokolenia…

I

Do biura firmy Henryk Kroll i Synowie – Pomniki i Nagrobki wpadają promienie słońca. Jest kwiecień 1923 roku, interesy idą świetnie. Wiosna nas nie zawiodła, sprzedajemy dużo i wskutek tego biedniejemy coraz bardziej, ale cóż możemy poradzić – śmierć jest nieubłagana i nie da się jej uniknąć, ludzki żal zaś domaga się stale monumentów w piaskowcu, marmurze lub, jeśli poczucie winy albo spadek są znaczne, nawet w kosztownym, czarnym szwedzkim granicie, polerowanym ze wszystkich stron. Jesień i wiosna są najlepszymi porami roku dla handlarzy utensyliami żałoby, wtedy bowiem umiera więcej ludzi niż w lecie i w zimie, jesienią – bo soki zanikają, na wiosnę – bo się budzą i zżerają osłabione ciała, jak zbyt gruby knot zżera zbyt cienką świecę. Tak przynajmniej twierdzi nasz najbardziej ruchliwy agent, grabarz Liebermann z cmentarza miejskiego, a on musi się na tym znać. Ma osiemdziesiąt lat, pochował ponad dziesięć tysięcy nieboszczyków, ze swojej prowizji od nagrobków kupił nad rzeką dom z ogrodem i hodowlą pstrągów, a z racji swego zawodu stał się zaprzysiężonym alkoholikiem. Nienawidzi tylko jednej rzeczy, krematorium miejskiego. Uważa je za brudną konkurencję. My również nie cierpimy tej instytucji. Na urnach nic nie można zarobić.

Spoglądam na zegarek. Dochodzi dwunasta, a ponieważ jest dziś sobota, kończę już pracę. Nakładam blaszaną pokrywę na maszynę do pisania, wynoszę za zasłonę powielacz Presto, sprzątam próbki kamienia i wyjmuję z utrwalacza fotografie pomników poległych i artystycznych ozdób na groby. Spełniam funkcje nie tylko szefa reklamy, rysownika i buchaltera firmy; od roku jestem

również jej jedynym pracownikiem biurowym, i to nawet niewykwalifikowanym.

Z rozkoszą wyciągam cygaro z szuflady. Jest to czarne brazylijskie. Agent Wirtemberskiej Fabryki Wyrobów Metalowych podarował mi je rano, aby mi potem wkręcić transport wieńców z brązu; cygaro jest więc dobre. Szukam zapałek, ale jak zwykle gdzieś się zawieruszyły. Na szczęście w piecu pali się mały ogieniek. Zwijam banknot dziesięciomarkowy, wkładam go w żar i zapalam w ten sposób cygaro. Ogień w piecu pod koniec kwietnia jest właściwie zbędny; to tylko pomysł mojego pracodawcy Georga Krolla. Uważa on, że ludzie w żałobie, którzy muszą wydawać pieniądze, czynią to chętniej w ciepłym pokoju niż w miejscu, gdzie jest im zimno. W żałobie marznie dusza, a jeśli do tego jeszcze marzną nogi, trudno wyciągnąć dobrą cenę. Ciepło rozmiękcza – również portfele z pieniędzmi. Z tego powodu nasze biuro jest przegrzane, a naszym przedstawicielom wbija się do głowy jako podstawową zasadę, żeby nigdy przy chłodnej albo deszczowej pogodzie nie próbowali zawierać porozumienia na cmentarzu – zawsze tylko w ciepłym pomieszczeniu, a jeśli to możliwe, po posiłku. Żałoba, zimno i głód są kiepskimi partnerami do interesów.

Wrzucam resztę dziesięciomarkówki do pieca i prostuję grzbiet. W tej samej chwili słyszę, jak w domu naprzeciwko otwiera się okno. Nie muszę patrzeć, żeby wiedzieć, co się dzieje. Ostrożnie nachylam się nad stołem, jakbym chciał jeszcze coś poprawić przy maszynie do pisania. Zezuję przy tym ukradkiem w małe lusterko, które ustawiłem tak, żeby obserwować okno. Jak zwykle jest tam Liza, żona Watzeka, rzeźnika z końskiej rzeźni. Stoi nago, ziewa i przeciąga się. Dopiero teraz wstała z łóżka. Ulica jest stara i wąska, Liza może nas widzieć, a my ją, i ona o tym wie; dlatego tam stoi. Nagle krzywi swoje duże usta, odsłania w uśmiechu wszystkie zęby i wskazuje na lusterko. Odkryła je swymi jastrzębimi oczami. Zły jestem, że zostałem przyłapany na gorącym uczynku, zachowuję się jednak, jakbym nic nie zauważył, i spowity chmurą dymu odchodzę w głąb pokoju. Po chwili wracam. Liza uśmiecha się szyderczo. Wyglądam z okna, ale nie

patrzę na nią, tylko udaję, że kiwam ręką komuś na ulicy. W dodatku posyłam w przestrzeń całusa. Liza daje się nabrać. Jest ciekawa i wychyla się, żeby zobaczyć, kto tam jest. Nie ma nikogo. Teraz ja uśmiecham się ironicznie. Ona stuka się gniewnie palcem w czoło i znika.

Właściwie nie wiem, dlaczego gram tę komedię. Liza jest, jak to się mówi, wspaniałą kobietą i znam mnóstwo ludzi, którzy chętnie zapłaciliby parę milionów, żeby co rano rozkoszować się jej widokiem. Ja również się nim rozkoszuję, ale mimo to denerwuje mnie on, ponieważ ta leniwa krowa, która do południa wyleguje się w łóżku, jest tak bezwstydnie pewna efektu. Nawet jej nie przyjdzie do głowy, że nie każdy pali się do tego, aby się z nią przespać. Przy tym jest jej to w gruncie rzeczy dość obojętne. Stoi przy oknie ze swoją czarną grzywą i zadartym nosem i trzęsie parą piersi z pierwszorzędnego kararyjskiego marmuru, jak ciocia grzechotką przed nosem niemowlęcia. Gdyby miała parę baloników, też by je chętnie wystawiała. To, że jest naga i że to są jej piersi, jest jej najzupełniej obojętne. Po prostu cieszy się, że żyje i że wszyscy mężczyźni muszą za nią wariować, a później zapomina o tym i żarłocznie rzuca się na śniadanie. Rzeźnik Watzek uśmierca tymczasem stare zmęczone szkapy dorożkarskie.

Liza zjawia się znowu. Przylepiła sobie teraz wąsy i wychodzi wprost z siebie, ciesząc się z tak genialnego pomysłu. Salutuje po wojskowemu, a ja już myślę, że drażni się tak bezwstydnie ze starym emerytowanym feldfeblem Knopfem, który mieszka obok. Później jednak przypominam sobie, że jedyne okno sypialni Knopfa wychodzi na podwórko. A Liza jest przebiegła i wie, że nie można jej obserwować z paru sąsiednich domów.

Nagle, jakby pękły gdzieś tamy dźwięku, zaczynają bić dzwony kościoła Najświętszej Marii Panny. Kościół stoi przy końcu uliczki i uderzenia grzmią, jakby wpadały do pokoju prosto z nieba. Jednocześnie widzę, jak przed drugim oknem biurowym, które wychodzi na podwórko, prześlizguje się niby upiorny melon łysa czaszka mego pracodawcy. Liza robi ordynarny gest i zamyka okno. Zakończyło się codzienne kuszenie świętego Antoniego.

Georg Kroll ma zaledwie czterdzieści lat, ale jego głowa błyszczy już jak kręgielnia w restauracji Bolla. Błyszczy, odkąd go znam, a będzie to już z pięć lat. Błyszczy tak, że w okopach, kiedy służyliśmy w tym samym pułku, wydano specjalny rozkaz, żeby Georg nawet przy największej ciszy na froncie nie zdejmował hełmu z głowy – tak bardzo jego łysina kusiła najspokojniejszych nieprzyjaciół do sprawdzenia za pomocą karabinu, czy jest to ogromna kula bilardowa czy coś innego.

Wyciągam się jak struna i melduję:

– Kwatera główna firmy Kroll i Synowie! Sztab przy obserwacji nieprzyjaciela. Podejrzane ruchy wojsk w rejonie jatki końskiej Watzeka.

– Aha! – mówi Georg. – Liza przy gimnastyce porannej. Spocznij, gefrajter Bodmer! Dlaczego nie nosisz przed południem końskich klapek na oczach i nie chronisz w ten sposób swojej cnoty? Nie znasz trzech najcenniejszych rzeczy w życiu?

– Jak mam je znać, panie prokuratorze generalny, kiedy wciąż jeszcze szukam samego życia?

– Cnota, prostota i młodość – dekretuje Georg. – Raz stracone, nigdy nie wrócą! A cóż jest bardziej beznadziejne niż doświadczenie, starość i wyłysiała inteligencja?

– Bieda, choroba i samotność – odpowiadam i staję w pozycji spocznij.

– To są tylko inne określenia na doświadczenie, starość i źle kierowaną inteligencję.

Georg wyjmuje mi cygaro z ust, ogląda je krótko i klasyfikuje jak kolekcjoner złowionego motyla:

– Łup z Fabryki Wyrobów Metalowych.

Wyciąga z kieszeni pięknie opaloną, złotobrązową cygarniczkę z morskiej piany, wkłada w nią cygaro i pali je dalej.

– Nie mam nic przeciwko konfiskacie cygara – mówię. – To jest zwykły gwałt, a ty, były podoficer, oczywiście nic innego w życiu nie widziałeś. Ale po co ta cygarniczka? Nie jestem syfilitykiem.

– A ja nie jestem homoseksualistą.

– Georg – mówię – podczas wojny jadłeś moją łyżką grochówkę, kiedy ją ukradłem z kuchni. A łyżkę trzymałem w brudnym bucie

i nigdy jej nie myłem.

Georg obserwuje popiół cygara. Popiół jest śnieżnobiały.

– Od końca wojny minęło już cztery i pół roku – oświadcza. – Wtedy dzięki bezgranicznemu cierpieniu staliśmy się ludźmi. Dziś bezwstydna pogoń za majątkiem uczyniła nas na nowo rabusiami. Aby to ukryć, potrzebujemy pokostu pewnych manier. Ergo! Nie masz przypadkiem drugiego brazylijskiego? Fabryka Wyrobów Metalowych nigdy nie próbuje przekupić urzędników jednym cygarem.

Wyjmuję drugie cygaro z szuflady i daję mu je.

– Inteligencja, doświadczenie i starość jednak na coś się przydają – powiadam.

Uśmiecha się i wręcza mi za to pudełko zapałek, w którym brakuje sześciu sztuk.

– No i co poza tym słychać?

– Nic. Nie było klientów. Ale muszę cię usilnie prosić o podwyżkę poborów.

– Znowu? Przecież dostałeś ją wczoraj!

– Nie wczoraj. Dziś rano o dziewiątej. Nędzne osiem tysięcy marek. Jednakowoż dziś o dziewiątej to jeszcze coś znaczyło. Od tego czasu ogłoszono nowy kurs dolara i zamiast krawata mogę sobie kupić najwyżej flaszkę taniego wina. A potrzebuję krawata.

– Jak teraz stoi dolar?

– Dziś w południe trzydzieści sześć tysięcy marek. Dziś rano był jeszcze na trzydzieści tysięcy.

Georg Kroll ogląda swoje cygaro.

– Trzydzieści sześć tysięcy! Istna komedia! Jak to się skończy?

– Powszechną plajtą, panie feldmarszałku – odpowiadam. – Do tego czasu musimy jednak żyć. Przyniosłeś pieniądze?

– Tylko małą walizkę banknotów na dziś i jutro. Tysiące, dziesięciotysiącówki, a nawet kilka paczek starych poczciwych setek. Prawie pięć funtów papierków. Inflacja postępuje tak szybko, że Bank Rzeszy nie może nadążyć z drukowaniem. Banknoty po sto tysięcy marek ukazały się dopiero dwa tygodnie temu, a już wkrótce trzeba będzie drukować miliony. Kiedy dojdziemy do miliardów?

– Jak tak dalej pójdzie, to za parę miesięcy.

– Mój Boże! – wzdycha Georg. – Gdzie są piękne, spokojne czasy z tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego? Wtedy dolar skoczył w ciągu dwunastu miesięcy z dwustu pięćdziesięciu marek na dziesięć tysięcy, nie mówiąc już o roku tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym – wtedy zwyżka wynosiła tylko głupie trzysta procent.

Spoglądam w okno wychodzące na ulicę. Liza stoi naprzeciwko, ma na sobie szlafrok z wzorem w papugi. Powiesiła lusterko na klamce od drzwi i szczotkuje swoją grzywę.

– Spójrz na to stworzenie – mówię gorzko. – Nie sieje, nie orze, a Ojciec Niebieski je żywi. Tego szlafroka wczoraj jeszcze nie miała. Kilka metrów jedwabiu! A ja nie mogę uzbierać sobie forsy na krawat.

Georg uśmiecha się.

– Ty jesteś właśnie skromną ofiarą czasu. Liza natomiast płynie z rozwiniętymi żaglami po falach niemieckiej inflacji. Jest Piękną Heleną paskarzy. Na nagrobkach nie wzbogacimy się, mój synu. Dlaczego nie przerzucisz się na śledzie albo na handel akcjami, jak twój przyjaciel Willy?

– Ponieważ jestem sentymentalnym filozofem i dochowuję wierności nagrobkom. Ale jak będzie z podwyżką? Nawet filozofom potrzeba trochę garderoby.

– Nie możesz kupić krawata jutro?

– Jutro jest niedziela. A potrzebuję go dziś.

Georg przynosi z podwórka walizkę z pieniędzmi. Sięga do wnętrza i rzuca mi dwie paczki.

– Starczy?

Widzę, że są to przeważnie setki.

– Dodaj mi jeszcze z pół kilo tej tapety – mówię. – Tutaj jest najwyżej pięć tysięcy. Katoliccy paskarze rzucają więcej na tacę w kościele i wstydzą się, że są tacy skąpi.

Georg drapie się po łysej czaszce – atawistyczny gest, w tym wypadku pozbawiony sensu. Potem wręcza mi trzecią paczkę.

– Bogu dzięki, że jutro niedziela – mówi. – Nie będzie nowych kursów dolara. Przez jeden dzień w tygodniu inflacja stoi w miej-

scu. Bóg pewnie o tym nie myślał, gdy stworzył niedzielę.

– A jak my właściwie wyglądamy? – pytam. – Splajtowaliśmy czy też powodzi się nam dobrze?

Georg zaciąga się głęboko przez swą cygarniczkę.

– Sądzę, że tego nie wie nikt w całych Niemczech. Nawet boski Stinnes. Ciułacze naturalnie splajtowali. Robotnicy i pracownicy żyjący z pensji – również. Także większość drobnych przedsiębiorców, chociaż jeszcze o tym nie wiedzą. Naprawdę świetnie powodzi się tylko ludziom, którzy mają akcje, dewizy, duże nieruchomości i zapasy towaru. A więc nie nam. Wystarczą ci te informacje?

– Zapasy towaru! – Spoglądam na ogród, w którym znajduje się nasz skład. – Rzeczywiście nie mamy ich zbyt wiele. Przeważnie piaskowiec i odlewy. Ale niewiele marmuru i granitu. A tę troszkę, co mamy, twój brat sprzedaje ze stratą. Najlepiej byłoby, gdybyśmy w ogóle nic nie sprzedawali, co?

Georg nie musi odpowiadać. Na dziedzińcu rozlega się dzwonek roweru. Na starych stopniach schodów słychać kroki. Ktoś kaszle władczo. To wieczne utrapienie naszego przedsiębiorstwa: Henryk Kroll junior, drugi współwłaściciel firmy.

Jest to mały, korpulentny mężczyzna ze słomianym wąsem i w zakurzonych sztuczkowych spodniach, spiętych u dołu spinaczami do roweru. Jego wzrok muska Georga i mnie z lekką dezaprobatą. Dla niego jesteśmy urzędnikami bumelującymi przez cały dzień, podczas gdy on jest człowiekiem czynu i pełni służbę terenową. Jest niezniszczalny. O świcie wyrusza na dworzec, a potem jedzie rowerem do najbardziej zapadłych wsi, skąd nasi agenci, grabarze albo nauczyciele, zameldowali nieboszczyka. Nie można mu odmówić pewnego sprytu. Jego tusza wzbudza zaufanie; dlatego podtrzymuje ją na właściwym poziomie za pomocą porannego i wieczornego kufla. Chłopi wolą przysadzistych grubasów niż chudzielców wyglądających na głodomorów. Do tego dochodzi jego garnitur. Nie nosi, jak konkurencja od Steinmayera, czarnego surduta ani też, jak komiwojażerowie Hollmanna i Klotza, niebieskich garniturów spacerowych – pierwszy jest zbyt ostentacyjny, drugie zbyt jaskrawo świadczą o obojętności. Hen-

ryk Kroll ma na sobie garnitur wizytowy, sztuczkowe spodnie, kurtkę marengo, a do tego staromodny sztywny kołnierzyk z zagiętymi rogami i stonowany krawat z przewagą czerni. Przed dwoma laty wahał się przez chwilę, gdy zamawiał ten garnitur; zastanawiał się, czy żakiet nie byłby stosowniejszy, zdecydował jednak na jego niekorzyść, ze względu na swój zbyt niski wzrost. Była to szczęśliwa rezygnacja; Napoleon też wyglądałby śmiesznie w jaskółczym ogonie. Tak więc w obecnym stroju Henryk Kroll wygląda jak zastępca szefa protokołu dyplomatycznego Pana Boga – i tak właśnie powinno być. Spinacze rowerowe dodają całości pewnego swojskiego, ale wyrafinowanego charakteru – odnosi się wrażenie, że od ludzi, którzy je noszą, można kupować taniej w epoce samochodu.

Henryk odkłada kapelusz i wyciera czoło chusteczką. Na dworze jest dość chłodno i wcale nie jest spocony; robi to tylko po to, żeby pokazać, jak ciężko pracuje w porównaniu z takimi pluskwami biurowymi jak my.

– Sprzedałem krzyż – mówi z udaną skromnością, pod którą milcząco ryczy potężny triumf.

– Który? Ten mały z marmuru? – pytam z odrobiną nadziei.

– Duży – odpowiada Henryk jeszcze skromniej i wytrzeszcza na mnie oczy.

– Co? Ten ze szwedzkiego granitu z podwójnym cokołem i łańcuchami z brązu?

– Ten! A może mamy jeszcze inny na składzie?

Henryk wyraźnie rozkoszuje się swoim kretyńskim pytaniem, uważając je za szczyt sarkastycznego humoru.

– Nie – mówię. – Nie mamy już innego. To okropne! Ten był ostatni. Skała Gibraltaru.

– Za ileś sprzedał? – pyta teraz Georg Kroll.

Henryk nadyma się.

– Za trzy czwarte miliona, bez napisu, bez transportu i bez ustawienia. To się policzy dodatkowo.

– Wielki Boże! – wykrzykujemy jednocześnie z Georgiem.

Henryk rzuca nam spojrzenie pełne arogancji; zdechłe dorsze mają niekiedy taki wyraz w oczach.

– Musiałem stoczyć ciężką walkę – tłumaczy i z niewiadomego powodu wkłada znowu na głowę kapelusz.

– Wolałbym, żeby ją pan przegrał – mówię.

– Co?

– Żeby pan przegrał! Walkę!

– Co? – powtarza Henryk rozdrażniony. Irytuję go nieco.

– On wolałby, żebyś tego krzyża nie sprzedał – mówi Georg Kroll.

– Co? Co to znowu znaczy? Do pioruna, człowiek tyra od rana do wieczora i robi świetne interesy, a w nagrodę za to przyjmują go w tej budzie zarzutami! Przejdźcie się sami po wsiach i spróbujcie…

– Henryku – przerywa mu Georg łagodnie – wiemy, że się zamęczasz. Jednak żyjemy w takich czasach, w których człowiek, sprzedając, biednieje. Od kilku lat mamy inflację. Od zakończenia wojny, Henryku. Ale w tym roku inflacja dostała galopujących suchot. Dlatego liczby nie mają znaczenia.

– Sam o tym wiem. Nie jestem idiotą.

Żaden z nas nie odpowiada. Tylko idioci wygłaszają tego rodzaju twierdzenia. A przeczenie idiotom jest bezcelowe. Wiem o tym z moich niedziel spędzanych w zakładzie dla wariatów. Henryk wyciąga notes.

– Ten krzyż kupiliśmy za pięćdziesiąt tysięcy. Wydaje mi się, że trzy czwarte miliona to całkiem ładny zysk!

Znowu pławi się w sarkazmie. Uważa, że musi się do mnie zwracać w ten sposób, ponieważ byłem nauczycielem. Byłem nim przez dziewięć miesięcy krótko po wojnie, w zapadłej wioszczynie, gdzie zimowa samotność doskwierała mi jak wyjący pies.

– Byłby jeszcze większy zysk, gdyby pan zamiast wspaniałego krzyża sprzedał ten przeklęty obelisk, który stoi pod oknem – mówię. – Pański świętej pamięci ojciec, zakładając firmę przed pięćdziesięciu laty, kupił go jeszcze taniej – za pięćdziesiąt marek czy coś takiego.

– Obelisk? A co ma obelisk wspólnego z tą transakcją? Obelisk jest artykułem niechodliwym. Każde dziecko o tym wie.

– Właśnie dlatego – mówię. – Jego nie byłoby szkoda. A krzyża szkoda. Będziemy go musieli odkupywać za ciężkie pieniądze.

Henryk Kroll parska. Ma polipy w swoim grubym nosie i nadyma się lekko.

– Chce mi pan wmówić, że sami musielibyśmy zapłacić za ten krzyż trzy czwarte miliona?

– O tym się wkrótce dowiemy – mówi Georg Kroll. – Jutro przyjeżdża Riesenfeld. Musimy zrobić nowy obstalunek w Odenwaldzkich Zakładach Obróbki Granitu. Nie mamy już dużo towaru.

– Mamy jeszcze obelisk – podsuwam złośliwie.

– Dlaczego sam go pan nie sprzeda? – odcina się Henryk. – Więc jutro przyjeżdża Riesenfeld? W takim razie zostanę tutaj i sam z nim pogadam. Wtedy zobaczymy, jakie są ceny!

Wymieniamy spojrzenie z Georgiem. Wiemy, że od Riesenfelda musimy trzymać Henryka z daleka, nawet gdyby trzeba go było spoić do nieprzytomności albo wlać mu rano rycyny do kufla z piwem. Ten uczciwy, staromodny kupiec zanudziłby Riesenfelda na śmierć wspomnieniami wojennymi i historiami z dawnych dobrych czasów, kiedy marka była fundamentem życia gospodarczego, a uczciwość fundamentem honoru, jak to trafnie wyraził nasz kochany feldmarszałek. Henryk znajduje wielką przyjemność w takich banałach – Riesenfeld nie. Riesenfeld uważa, że uczciwość jest czymś, czego się wymaga od innych, jeśli mają na tym stracić – i od siebie samego, jeśli się ma z tego korzyści.

– Ceny zmieniają się z dnia na dzień – mówi Georg. – Nie ma tu co omawiać.

– Tak? Uważasz może, że za tanio sprzedałem?

– To zależy. Przywiozłeś ze sobą pieniądze?

Henryk wytrzeszcza oczy na Georga.

– Ze sobą? Jak mogę brać pieniądze, kiedy nie dostarczyliśmy jeszcze towaru? To niemożliwe!

– To nie jest niemożliwe – odpowiadam. – Przeciwnie, teraz bardzo często załatwia się transakcje w ten sposób. Nazywa się to zapłatą z góry.

– Zapłata z góry! – Gruby nos Henryka drga pogardliwie. – Co pan o tym wie, panie nauczycielu? Jak można w naszej branży żądać zapłaty z góry? Od pogrążonej w żałobie rodziny, gdy wieńce na grobie jeszcze nie zwiędły, chce pan żądać pieniędzy za coś, co jeszcze nie zostało dostarczone?

– Naturalnie. Dlaczego by nie? Wtedy właśnie ludzie są słabi i łatwiej ustępują.

– Słabi? Też coś! Są twardsi niż stal! Po wszystkich wydatkach na lekarza, trumnę, księdza, grób i stypę – nie dostanie pan ani dziesięciu tysięcy z góry, młody człowieku! Ludzie muszą najpierw trochę ochłonąć. I zanim zapłacą, muszą najpierw zobaczyć to, co zamówili, na cmentarzu, a nie tylko w katalogu. Nawet jeśli jest narysowane przez pana chińskim tuszem i prawdziwym złotem, z paroma krewnymi w żałobie na dodatek.

Znowu jedna z osobistych wycieczek Henryka! Nie zwracam na nią uwagi. To prawda, że pomniki w naszym katalogu nie tylko rysowałem i powielałem na aparacie Presto, ale także, by wzmocnić ich efekt, malowałem farbami i dorabiałem im nastrój za pomocą płaczących wierzb, grządek bratków, cyprysów i podlewających kwiaty wdów w żałobie. Konkurencja konała z zazdrości, gdy wyszliśmy z tymi nowościami; nie miała nic poza zwykłymi fotografiami składu, i nawet Henryk uważał wtedy ten pomysł za świetny, szczególnie zastosowanie złota w płatkach. Aby bowiem wywołać całkowicie naturalne wrażenie, zaopatrywałem narysowane i pomalowane nagrobki napisami wykonanymi rozpuszczonym w pokoście złotem. Przeżywałem wtedy rozkoszne chwile. Uśmiercałem wszystkich, których nie mogłem ścierpieć, i malowałem im nagrobki – na przykład mojemu kapralowi z rekruckich czasów, który do dziś świetnie sobie żyje, wypisałem: „Tu spoczywa po długich i niezmiernie bolesnych cierpieniach, po stracie wszystkich swoich najbliższych, policjant Karol Flümer". Miało to swoje uzasadnienie – ten facet strasznie mnie opieprzał, a na froncie dwa razy wysłał na patrole, z których wróciłem tylko przypadkowo. Więc mogłem mu chyba życzyć różnych rzeczy!

– Panie Kroll – mówię. – Pan pozwoli, że jeszcze raz wytłumaczymy panu obecne czasy. Zasady, w których pana wychowano, są

szlachetne, ale teraz prowadzą do bankructwa. Pieniądze zarabiać może dziś każdy, ale nikt nie potrafi zachować ich wartości. Najważniejsze jest nie to, żeby sprzedawać, tylko żeby kupować i jak najszybciej ściągać należności. Żyjemy w czasach wartości realnych. Pieniądze są iluzją. Każdy o tym wie, ale wielu mimo wszystko w to nie wierzy. Póki tak jest, inflacja postępuje naprzód, aż osiągnie absolutne nic. Człowiek żyje w siedemdziesięciu pięciu procentach ze swojej fantazji, a tylko w dwudziestu pięciu procentach z faktów – to jest jego siłą i jego słabością, i dlatego w tym magicznym tańcu liczb są jeszcze tacy, co zyskują, i tacy, co tracą. Wiadomo, że nie możemy zyskać w sensie absolutnym. Ale nie chcielibyśmy zaliczać się do bankrutów. Te trzy czwarte miliona, za które pan dzisiaj sprzedał, jeśli zostaną wypłacone za dwa miesiące, nie będą więcej warte niż dziś pięćdziesiąt tysięcy. Dlatego…

Henryk robi się purpurowy. Przerywa mi.

– Nie jestem idiotą – wyjaśnia po raz drugi. – Nie musi mi pan wygłaszać takich kretyńskich wykładów. Wiem o praktycznym życiu więcej niż pan i wolę honorowe bankructwo niż chwytanie się wątpliwych paskarskich metod, żeby egzystować. Dopóki jestem kierownikiem handlowym firmy, będę prowadził interesy w dawnym, przyzwoitym sensie tego słowa i basta! To wstrętne tak psuć człowiekowi zadowolenie z udanej transakcji! Dlaczego nie pozostał pan belfrem?

Chwyta za kapelusz i zatrzaskuje za sobą drzwi. Widzimy, jak kroczy na swoich grubych, iksowatych nogach przez podwórko, niemal po wojskowemu, ze swoimi spinaczami rowerowymi u spodni. Odmaszerowuje na obiad do gospody Blumego.

– Chce odczuwać zadowolenie z transakcji, ten burżuazyjny sadysta – mówię gniewnie. – Jeszcze tego mu do szczęścia potrzeba! Jak można prowadzić nasz interes, jeśli nie z nabożnym cynizmem, gdy człowiek pragnie uchronić swoją duszę? A ten obłudnik chce odczuwać zadowolenie z szacherek na nieboszczykach i uważa to jeszcze za swoje prawo przyrodzone!

Georg się śmieje.

– Bierz pieniądze i chodźmy! Przecież chciałeś sobie kupić krawat? Szybciej! Dziś już nie będzie podwyżki!

Bierze walizkę z pieniędzmi i stawia ją niedbale w pokoju koło biura, gdzie sypia. Ja wkładam swoje paczki do torebki z napisem: „Cukiernia Kellera – najlepsze ciastka, dostawa do domu”.

– Czy Riesenfeld rzeczywiście przyjeżdża? – pytam.

– Tak, telegrafował.

– Czego chce? Pieniędzy? Czy coś nam sprzedać?

– To się okaże – mówi Georg i zamyka biuro.

II

Wychodzimy z domu. Jaskrawe słońce późnego kwietnia oblewa nas, jakby ktoś wychlusnął ogromną złotą misę światła i wiatru. Zatrzymujemy się. Ogród stoi w zielonych płomieniach, wiosna dźwięczy jak harfa w młodym listowiu topoli, pierwszy bez kwitnie.

– Inflacja! – mówię. – Tu też masz inflację, najdzikszą ze wszystkich. Wygląda, jakby natura sama wiedziała, że dziś liczy się tylko w dziesiątkach tysięcy i milionach. Spójrz, co tam wyrabiają tulipany! A tamta biel i czerwień, i wszędzie tyle żółtego! A jak to wszystko pachnie!

Georg kiwa głową, węszy i zaciąga się cygarem. Natura jest dlań podwójnie piękna, gdy patrząc na nią, może palić cygaro.

Czujemy słońce na naszych twarzach i spoglądamy na te wspaniałości. Ogród za domem jest jednocześnie wystawą naszych pomników. Stoją tam w szeregach – jak kompania wojska przed chudym porucznikiem – przed obeliskiem, który zajmuje stanowisko tuż przy drzwiach. Tę sztukę właśnie radziłem Henrykowi sprzedać. Jest to najstarszy pomnik firmy, jego godło i monstrum złego smaku. Za nim idą najpierw tanie, małe nagrobki z piaskowca i cementu, pomniki dla biednych, którzy żyli uczciwie i przyzwoicie, harowali i oczywiście do niczego w ten sposób nie doszli. Potem większe, już na cokołach, ale jeszcze tanie, dla tych, co pragnęli czegoś lepszego, przynajmniej po śmierci, skoro za życia nie udało im się tego osiągnąć. Jest na nie większy popyt niż na całkiem proste nagrobki i nie wiadomo, czy tę spóźnioną ambicję rodziny należy uważać za wzruszającą, czy za absurdalną.

Dalej mamy pomniki z piaskowca z wpuszczonymi w nie płytami marmuru, szarego sjenitu lub czarnego szwedzkiego granitu. Te są już za drogie dla człowieka, który żył z pracy swoich rąk. Odbiorcami ich są drobni kupcy, majstrowie fabryczni, rzemieślnicy, którzy mieli własne zakłady – i oczywiście wieczny pechowiec, drobny urzędnik, który zawsze musi udawać kogoś lepszego, ten dzielny proletariusz w sztywnym kołnierzyku, o którym nikt nie wie, jak mu się udaje jeszcze egzystować, kiedy jego podwyżki przychodzą zawsze o wiele za późno.

Wszystkie te pomniki należą jeszcze do tak zwanej drobnicy – dopiero za nimi idą bloki z marmuru i granitu. Najpierw polerowane jednostronnie, których front jest gładki, natomiast boki i tył szorstkie, kanciaste, a cokoły ze wszystkich stron nie obrobione. To już jest klasa dostatniego stanu średniego – przedsiębiorcy, właściciela lepszego sklepu, i, oczywiście, dzielnego pechowca, wyższego urzędnika, który, podobnie jak drobny urzędniczyna, żeby utrzymać fason, po śmierci musi wydać więcej, niż zarobił za życia.

Arystokracją nagrobków są jednak polerowane ze wszystkich stron marmury i czarny szwedzki granit. Tu nie ma już chropowatych boków i tyłów. Wszystko doprowadzone do najwyższej elegancji, obojętne, czy to widać, czy nie, nawet cokoły, a jest ich nie tylko jeden albo dwa bloki, ale bardzo często trzeci, poprzeczny, a na wierzchu – jeśli już chodzi o jakiś świetny okaz w prawdziwym sensie tego słowa – także wspaniały krzyż z tego samego materiału. Podobne luksusy są w dzisiejszych czasach dostępne tylko dla bogatych chłopów, właścicieli wielkich nieruchomości, paskarzy i zręcznych przemysłowców, którzy robią interesy na długoterminowych wekslach i w ten sposób żyją z Banku Rzeszy, płacącego za wszystko nowymi banknotami bez pokrycia.

Patrzymy jednocześnie na jedyny taki świetny okaz, który przed kwadransem był jeszcze własnością firmy. Stoi tam czarny, połyskliwy jak karoseria nowego samochodu, wiosna otacza go swym zapachem, bez skłaniania się ku niemu. Jest jak wielka dama, chłodna, nietknięta i jeszcze przez godzinę – dziewicza. Potem wyryte zostanie na jego wąskim brzuchu nazwisko rolnika

Henryka Fleddersena, łacińskim, pozłacanym pismem, osiemset marek za literę.

– Żegnaj, czarna Diano! – mówię. – Żegnaj! – Unoszę kapelusz. – Poeta nigdy nie zrozumie, że również doskonała piękność podlega prawom losu i musi nędznie umierać! Żegnaj! Będziesz odtąd bezwstydnie reklamowała duszę oszusta Fleddersena, który wydzierał biednym wdowom z miasta ostatnie dziesięciotysiącówki za masło fałszowane margaryną – nie mówiąc już o paskarskich cenach za sznycle cielęce, kotlety wieprzowe i wołowe pieczenie! Żegnaj!

– Twoje gadanie rozbudza we mnie apetyt – odzywa się Georg. – Dalej, do Walhalli! Czy też musisz przedtem kupić krawat?

– Nie, mam jeszcze czas do zamknięcia sklepów. W sobotę wieczorem nie zmienia się kurs dolara. Od godziny dwunastej w sobotę do poniedziałku rano nasza waluta jest ustabilizowana. Właściwie dlaczego? Coś tu jest diabelnie sknocone. Dlaczego marka nie spada w niedzielę? Czy to Bóg ją zatrzymuje?

– Dlatego że giełda jest nieczynna. Masz jeszcze jakieś pytania?

– Tak. Czy człowiek żyje od środka na zewnątrz, czy od zewnątrz do środka?

– Człowiek żyje. Kropka. Dzisiaj mają w Walhalli gulasz. Gulasz z kartoflami, ogórkami i sałatą. Widziałem menu, gdy wracałem z banku.

– Gulasz! – Zrywam prymulkę i wsadzam sobie do butonierki. – Człowiek żyje, masz rację! Kto pyta dalej, już jest zgubiony. Chodź, podenerwujemy Edwarda Knoblocha!

Wchodzimy do dużej sali hotelu Walhalla. Edward Knobloch, właściciel, tłusty olbrzym w brązowej peruce i rozwianym kitlu, na nasz widok wykrzywia twarz, jakby natrafił na śrut w sarnim combrze.

– Dzień dobry, panie Knobloch! – mówi Georg. – Dzisiejsza piękna pogoda ogromnie zaostrza apetyt!

Edward nerwowo porusza ramionami.

– Za dużo jeść jest niezdrowo! Szkodzi na wątrobę, na żółć, na wszystko.

– Ale nie u pana, panie Knobloch – odpowiada Georg serdecznie. – Pańska kuchnia jest zdrowa.

– Zdrowa, tak, ale za dużo zdrowego również może zaszkodzić. Według najnowszych badań naukowych zbyt wiele mięsa…

Przerywam Edwardowi, szturchając go lekko w jego miękki brzuch. Wzdryga się, jakby go ktoś złapał za narządy płciowe.

– Zachowaj spokój i poddaj się losowi – mówię. – Nie obeżremy cię do szczętu. Co porabia poezja?

– Poszła na żebry. Nie mam czasu! W tych czasach!

Bynajmniej nie żartuję. Edward jest nie tylko właścicielem hotelu, lecz także poetą. Ale tak łatwo mi się nie wykręci.

– Gdzie jest wolny stół? – pytam.

Knobloch ogląda się. Jego twarz rozjaśnia się nagle.

– Okropnie mi przykro, moi panowie, ale widzę, że akurat nie ma wolnego stolika.

– Nie szkodzi. Poczekamy.

Edward ogląda się jeszcze raz.

– Wygląda na to, że żaden się prędko nie zwolni – oznajmia rozpromieniony. – Wszyscy goście są dopiero przy zupie. Może panowie spróbują dziś w Gospodzie Staromiejskiej. Tam również można znośnie zjeść.

Znośnie! Dzień zdaje się ociekać sarkazmem. Najpierw Henryk, a teraz Edward. Będziemy jednak walczyć o gulasz, choćbyśmy mieli czekać całą godzinę – jest to najświetniejszy punkt jadłospisu Walhalli.

Ale Edward jest nie tylko poetą; jak się wydaje, potrafi także czytać w myślach.

– Nie ma po co czekać – twierdzi. – Nigdy nie mamy dość gulaszu i zawsze wyprzedajemy wszystko za wcześnie. A może tak niemiecki befsztyk? Moglibyście go zjeść przy barze.

– Raczej śmierć – mówię. – Dostaniemy gulasz, choćbyśmy mieli ciebie samego porąbać na kawałki.

– Rzeczywiście? – Edward jest jednym tłustym, wątpiącym triumfem.

– Tak – odpowiadam i daję mu drugiego szturchańca w brzuch. – Chodź, Georg, mamy stolik.

– Gdzie? – pyta Edward szybko.

– Tam, gdzie siedzi ten pan, który wygląda jak szafa na ubrania. O, ten rudy z elegancką damą. Ten, który wstał i kiwa na nas. Mój przyjaciel Willy, Edwardzie. Przyślij kelnera, niech przyjmie zamówienie!

Słyszymy, że Edward wydaje z siebie syczący dźwięk, jak pęknięta dętka samochodowa. Idziemy do Willy'ego.

Powód, dla którego Edward urządza to całe przedstawienie, jest całkiem prosty. Przedtem można było u niego jadać na abonament. Kupowało się bloczek z dziesięcioma kuponami i w ten sposób otrzymywało się nieco taniej poszczególne posiłki. Edward wprowadził ten system, żeby zwiększyć obroty. Jednak w ostatnich tygodniach lawina inflacyjna przekreśliła cały jego rachunek: gdy pierwszy obiad w zeszyciku odpowiadał cenie, jaką się za niego zapłaciło, to przy dziesiątym był już o wiele tańszy. Dlatego Edward zarzucił abonamenty; za dużo na nich tracił. Ale my byliśmy sprytni. W porę usłyszeliśmy o jego planie i dlatego przed sześcioma tygodniami cały zarobek za pomnik poległych zużyliśmy na hurtowy zakup abonamentów w Walhalli. Żeby to Edwardowi nie wpadło w oko, podstawiliśmy różnych ludzi – trumniarza Wilkego, grabarza Liebermanna, naszego rzeźbiarza Kurta Bacha, Willy'ego, kilku innych kolegów z frontu i przyjaciół firmy, a nawet Lizę. Wszyscy kupowali dla nas przy kasie bloczki z kuponami. Gdy Edward zniósł abonamenty, oczekiwał, że w ciągu dziesięciu dni wszystko zostanie załatwione, ponieważ każdy bloczek zawierał tylko dziesięć kuponów i Edward zakładał, że każdy rozsądny człowiek ma tylko jeden abonament. My jednak mieliśmy ponad trzydzieści bloczków na głowę. Gdy w dwa tygodnie po zniesieniu abonamentów jeszcze płaciliśmy kuponami, Edward zaczął się niepokoić; po czterech tygodniach ogarnęła go lekka panika. W tym czasie jedliśmy już za pół ceny; po sześciu tygodniach – za cenę dziesięciu papierosów. Zjawialiśmy się codziennie i płaciliśmy kuponami. Edward pytał, ile ich jeszcze

mamy. Odpowiadaliśmy wymijająco. Próbował unieważnić abonamenty. Następnym razem przyprowadziliśmy ze sobą adwokata, zaprosiwszy go na sznycel po wiedeńsku. Przy deserze adwokat zrobił Edwardowi wykład w zakresie prawa o kontraktach i zobowiązaniach i zapłacił jednym z naszych kuponów. Liryka Edwarda nabrała ponurych tonów. Próbował załatwić z nami sprawę polubownie. Nie zgodziliśmy się. Napisał wiersz dydaktyczny *Kradzione nie tuczy* i posłał go do dziennika. Redaktor pokazał nam ten wiersz. Zawierał ostre aluzje do grabarzy narodu, występowały w nim również nagrobki i określenie „lichwiarz Kroll". Zaprosiliśmy naszego adwokata na kotlet wieprzowy do Walhalli. Wyjaśnił Edwardowi pojęcie zniewagi publicznej i jej skutków i zapłacił znowu jednym z naszych kuponów. Edward, który był przedtem lirykiem opiewającym czyste piękno kwiatów, zaczął pisać wiersze zionące nienawiścią. Ale nic więcej nie mógł zrobić. Walka wre dalej. Edward codziennie ma nadzieję, że nasze rezerwy się wyczerpią. Nie wie, że mamy jeszcze kupony na przeszło siedem miesięcy.

Willy powstaje. Ma na sobie nowy ciemnozielony garnitur z pierwszorzędnego materiału i wygląda w nim jak żabka drzewna z czerwoną głową. W krawat ma wpiętą perłę, a na palcu wskazującym prawej ręki nosi ciężki sygnet. Przed pięcioma laty był pomocnikiem prowiantowego w naszej kompanii. Ma tyle samo lat co ja – dwadzieścia pięć.

– Pozwólcie, że was przedstawię – mówi. – Moi przyjaciele i koledzy z frontu, Georg Kroll i Ludwik Bodmer. – Panna Renée de la Tour z Moulin Rouge w Paryżu.

Renée de la Tour kiwa głową z rezerwą, ale bez niechęci. Wytrzeszczamy oczy na Willy'ego. Willy spogląda na nas z dumą.

– Siadajcie, panowie – mówi. – Zdaje się, że Edward nie chciał wam dać jeść. Gulasz jest dobry, mogłoby w nim być tylko trochę więcej cebuli. Chodźcie, chętnie się ściśniemy.

Grupujemy się wokół stołu. Willy wie o naszej wojnie z Edwardem i śledzi ją z zainteresowaniem urodzonego gracza.

– Kelner! – wołam.

Kelner, który taśta się na swoich platfusach o cztery kroki od nas, nagle traci słuch.

– Kelner! – wołam jeszcze raz.

– Jesteś barbarzyńcą – mówi Georg Kroll. – Obrażasz człowieka za jego zawód. A po co on robił rewolucję w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku? Panie ober!

Uśmiecham się. To prawda, że rewolucja niemiecka z roku 1918 była najmniej krwawą na świecie. Rewolucjoniści tak się przestraszyli samych siebie, że natychmiast przywołali na pomoc dygnitarzy i generałów starego rządu, dla obrony przed ich własnym napadem odwagi. Czym też tamci wielkodusznie się zajęli. Pewną liczbę rewolucjonistów zamordowano, książęta i oficerowie otrzymali wspaniałe emerytury, żeby mogli spokojnie przygotowywać pucze, urzędnicy dostali nowe tytuły, starsi nauczyciele zostali radcami studiów, inspektorzy radcami szkolnymi, kelnerzy otrzymali prawo do tytułu oberkelnerów, dawniejsi sekretarze partii zostali ekscelencjami, socjaldemokratyczny minister Reichswehry mógł pełen błogości rządzić prawdziwymi generałami w swoim ministerstwie, a niemiecka rewolucja utonęła w czerwonym pluszu, wygodach, przy stolikach restauracyjnych, w tęsknocie za mundurami i komendami.

– Panie ober! – powtarza Georg.

Kelner jest nadal głuchy. To stary dziecinny trik Edwarda; próbuje nas znużyć, instruując kelnerów, by nas nie obsługiwali.

– Ober! Ofermo jedna, czyś ty ogłuchł?! – ryczy nagle na całą salę jakiś grzmiący głos pierwszorzędnym pruskim tonem koszarowym. Sala reaguje z miejsca, jak stare konie bojowe na sygnał trąbki. Nasz kelner potyka się, jakby mu ktoś strzelił w plecy, i robi w tył zwrot. Dwaj jego koledzy wylatują skądś z boku, ktoś trzaska obcasami, jakiś po wojskowemu wyglądający mężczyzna przy pobliskim stoliku mówi cicho: – Brawo! – i nawet Edward nadbiega w rozwianym kitlu, aby odszukać ten głos z wyższych sfer. Wie, że ani Georg, ani ja nie potrafimy tak komenderować.

Oniemiali spoglądamy na Renée de la Tour. Siedzi spokojna i dziewczęca, jakby jej to wszystko nic nie obchodziło. A przecież tylko ona mogła tak krzyknąć – głos Willy'ego znamy.

Kelner stoi przy naszym stole.

– Czym państwu mogę służyć?

– Zupa z makaronem, gulasz i kasza gryczana dla dwóch osób – odpowiada Georg. – I to szybko, bo wam przedmuchamy uszy, fajtłapo!

Podchodzi Edward. Nie rozumie, co się stało. Jego spojrzenie wślizguje się pod stół.

Nikt się tam nie schował, a duch nie mógłby tak ryczeć. My również nie. O tym wie. Podejrzewa jakąś sztuczkę.

– Proszę bardzo – mówi wreszcie – nie robić takiego hałasu w moim lokalu.

Nikt nie odpowiada. Patrzymy na niego bez wyrazu. Renée de la Tour pudruje się. Edward odwraca się i odchodzi.

– Szef! Do mnie! – ryczy nagle grzmiący głos, ten sam co przedtem.

Edward odwraca się jednym podskokiem i wybałusza na nas oczy. Wszyscy mamy jeszcze bezmyślne uśmiechy na gębach. Oczy Edwarda zatrzymują się wreszcie na Renée de la Tour.

– Czy to pani przed chwilą…?

Renée zatrzaskuje puderniczkę.

– Słucham? – pyta srebrzystym, delikatnym sopranem. – O co panu chodzi?

Edward patrzy osłupiały. Nie wie już, co ma myśleć.

– Czy pan nie jest przypadkiem przepracowany, panie Knobloch? – pyta Georg. – Zdaje się, że ma pan halucynacje.

– Ale przecież ktoś przed chwilą…

– Zwariowałeś, Edwardzie – mówię. – Poza tym źle wyglądasz. Idź na urlop. Nie jesteśmy zainteresowani sprzedażą twoim krewnym taniego nagrobka z imitacji włoskiego marmuru, na więcej bowiem nie zasługujesz…

Edward mruga oczami jak stary puchacz.

– Pan jest bardzo dziwnym człowiekiem – odzywa się Renée de la Tour sopranem jak flet. – Za to, że pańscy kelnerzy są głusi, obwinia pan swoich gości.

Śmieje się – zachwycający, czarowny dźwięk srebrnych dzwonków, zupełnie jak leśny strumień z baśni.

Edward łapie się za głowę. Jego ostatnie podejrzenia znikają. To nie mogła być ta dziewczyna. Kto się tak śmieje, nie ma kapralskiego głosu.

– Możesz odejść, Knobloch – oświadcza Georg niedbale. – Czy też masz zamiar wziąć udział w naszej rozmowie?

– I nie jedz tyle mięsa – dodaję. – To prawdopodobnie od tego! Coś ty nam mówił przedtem? Według najnowszych badań naukowych…

Edward odwraca się szybko i zwiewa. Czekamy, aż wystarczająco się oddali. Potem potężny tułów Willy'ego zaczyna drżeć w bezgłośnym śmiechu. Renée de la Tour uśmiecha się słodko, oczy jej błyszczą.

– Willy – mówię. – Jestem powierzchownym człowiekiem i dlatego był to jeden z najpiękniejszych momentów mojego młodego życia – ale wytłumacz nam, co się stało!

Willy, drżący od tłumionego śmiechu, wskazuje na Renée.

– *Excusez, mademoiselle* – zwracam się do niej. – *Je me*…

Śmiech Willy'ego przybiera na sile na dźwięk mojej francuszczyzny.

– Powiedz mu, Lotto – sapie.

– Co? – pyta Renée z grzecznym uśmiechem, ale niespodziewanie złowrogim, cichym basem.

Patrzymy na nią ze zdumieniem.

– Ona jest artystką – dławi się nadal Willy. – Duetystką. Śpiewa duety. Ale sama. Jedną strofkę wysoko, jedną nisko. Jedną sopranem, drugą basem.

Ciemności się rozjaśniają.

– Ale basem…? – pytam.

– Talent! – tłumaczy Willy. – A poza tym oczywiście praca. Powinniście usłyszeć, jak odstawia kłótnię małżeńską. Lotta jest bajeczna!

Zgadzamy się. Zjawia się gulasz. Edward krąży z daleka, obserwując nasz stół. Popełnia ten błąd, że zawsze chce wykryć, dlaczego coś się dzieje. To psuje jego lirykę i czyni go nieufnym w życiu. W tej chwili rozmyśla nad tajemniczym basem. Nie wie, co go jeszcze czeka. Georg Kroll, kawaler ze starej szkoły, zaprosił

Renée i Willy'ego, by uczcić zwycięstwo. Za wspaniały gulasz wręczy później zgrzytającemu zębami Edwardowi cztery świstki, których łączna wartość ledwie starczyłaby dzisiaj na kupno paru kości z resztkami mięsa.

Jest wczesny wieczór. Siedzę w swoim pokoju za biurkiem przy oknie. Dom jest niski, stary, pełen zakamarków. Niegdyś, jak wszystkie domy tutaj, należał do kościoła, który stoi na placu przy wylocie ulicy. Mieszkali tu księża i pracownicy kancelarii kościelnej. Ale od sześćdziesięciu lat dom jest własnością firmy Kroll. Składa się właściwie z dwóch niskich domów rozdzielonych łukiem bramy i wejściem. W drugim mieszka emerytowany feldfebel Knopf z żoną i trzema córkami. Dalej rozciąga się piękny stary ogród z naszą wystawą nagrobków, a na lewo, z tyłu – coś w rodzaju jednopiętrowej drewnianej szopy. Na dole pracuje w niej nasz rzeźbiarz, Kurt Bach. Modeluje żałobne lwy i orły z rozłożonymi skrzydłami na pomniki poległych, które sprzedajemy, i rysuje napisy na kamieniach, ryte potem przez kamieniarzy. W wolnych chwilach gra na gitarze, wędruje po okolicy i śni o złotym medalu dla sławnego Kurta Bacha z późniejszego okresu, który nigdy nie nastąpi. Ma trzydzieści dwa lata.

Górne piętro szopy wynajęliśmy trumniarzowi Wilkemu. Wilke jest chudy i nikt nie wie, czy ma rodzinę, czy nie. Nasze stosunki z nim mają charakter przyjacielski, jak wszystkie stosunki polegające na obopólnych korzyściach. Kiedy złapiemy jakiegoś zupełnie świeżego nieboszczyka, który jeszcze nie ma trumny, polecamy Wilkego albo dajemy mu znać, żeby się sam zakrzątnął koło sprawy. On robi to samo wobec nas, jeśli usłyszy o zwłokach, których nam jeszcze nie porwały hieny konkurencji. Walka o nieboszczyków jest bowiem zacięta i idzie na noże. Komiwojażer Oskar Fuchs od Hollmanna i Klotza, naszych konkurentów, używa nawet cebul w tym celu. Zanim wejdzie do domu, gdzie leżą zwłoki, wyciąga z kieszeni parę przekrojonych cebul i wącha je tak długo, aż mu się oczy napełnią łzami – potem wchodzi do środka, udaje współczucie dla świętej pamięci zmarłego i próbuje ubić interes. Dlatego nazywają go Łzawym Oskarem. Dziwna

rzecz, ale gdyby krewni troszczyli się o niektórych zmarłych za życia chociaż w połowie tak, jak się o nich troszczą po śmierci, kiedy im się to już na nic nie zda, nieboszczycy z pewnością rezygnowaliby chętnie z najdroższych mauzoleów. Ale taki już jest człowiek: ceni naprawdę tylko to, czego nie ma.

Ulica stopniowo się wypełnia przezroczystym dymem zmierzchu. U Lizy pali się już światło, ale tym razem zasłony są opuszczone – znak, że rzeźnik jest w mieszkaniu. Z ich domem styka się ogród handlarza win Holzmanna. Bez zwisa nad murami, a spod sklepień wydobywa się kwaśny zapach beczek. Z bramy naszego domu wychodzi feldfebel w stanie spoczynku Knopf. Jest to chudy mężczyzna w czapce z daszkiem, z laską w ręku, który mimo swego zawodu i mimo tego, że poza regulaminem musztry nie przeczytał w życiu ani jednej książki, wygląda jak Nietzsche. Knopf idzie ulicą i znika za rogiem. Koło północy wróci, tym razem z prawej strony – skończywszy wędrówkę po knajpach, którą, jak przystoi staremu wojskowemu, przeprowadza metodycznie. Knopf pije tylko wódkę, mianowicie żytniówkę, i nic innego. Za to jest jej największym żyjącym znawcą. W mieście działają dwie czy trzy firmy, które wypalają żytniówkę. Dla nas wszystkie te wódki mają jednakowy smak. Ale nie dla Knopfa: on rozróżnia je po zapachu. Czterdzieści lat niezmordowanej pracy tak wysubtelniło jego język, że nawet przy tym samym gatunku żytniówki potrafi określić, która z której knajpy pochodzi. Twierdzi, że piwnice są różne, i potrafi je rozpoznać. Naturalnie nie dotyczy to żytniówki w butelkach, tylko z beczki. W ten sposób wygrał już niejeden zakład.

Wstaję i rozglądam się po pokoju. Sufit jest niski i pochyły, a samo pomieszczenie niezbyt duże, ale mam tu wszystko, czego potrzebuję – łóżko, półkę z książkami, stół, parę krzeseł i stary fortepian. Przed pięcioma laty, jako żołnierz na froncie, nigdy nie myślałem, że kiedykolwiek w życiu będzie mi jeszcze tak dobrze. Byliśmy wtedy we Flandrii, rozpoczął się wielki atak na Kemmelberg i straciliśmy trzy czwarte naszej kompanii. Georg Kroll już drugiego dnia trafił do lazaretu z postrzałem w brzuch, ale ja przetrwałem prawie trzy tygodnie, zanim przestrzelili mi kolano.

Potem nastąpiła klęska, zostałem ostatecznie nauczycielem, chciała tego moja chora matka i obiecałem jej to przed śmiercią. Dużo się nachorowała i myślała, że jeśli wybiorę zawód z posadą zapewnioną na całe życie, to już mi się nic stać nie może. Umarła w ostatnich miesiącach wojny, ale ja mimo wszystko złożyłem egzamin i zostałem wysłany do paru wiosek na pustkowiu, aż wreszcie znudziło mi się wbijać dzieciakom do głów rzeczy, w które sam już od dawna nie wierzyłem, i pędzić życie wśród wspomnień, których chciałem się pozbyć.

Próbuję czytać; ale to nie jest pogoda do czytania. Wiosna wzbudza niepokój, a w zmierzchu łatwo się zatracić. Wszystko się zaraz staje bezgraniczne, pozbawia tchu i niepokoi. Zapalam światło i natychmiast czuję się pewniej. Na stole leży żółta teczka z wierszami, które wystukałem w trzech egzemplarzach na maszynie Erika. Od czasu do czasu kilka przebitek posyłam do gazet. Albo wracają do mnie, albo gazety nie odpowiadają wcale; potem wystukuję nowe odbitki i próbuję dalej. Tylko trzy razy udało mi się coś opublikować w miejscowym dzienniku, co prawda z pomocą Georga, który zna redaktora. Niemniej jednak i to wystarczyło, bym został członkiem Klubu Poetyckiego w Werdenbrück, który zbiera się raz na tydzień w świetlicy staroniemieckiej u Edwarda Knoblocha. Z powodu kuponów obiadowych Edward niedawno próbował wykluczyć mnie jako człowieka o wątpliwej moralności, ale klub wbrew zdaniu Edwarda stwierdził, że postępuję jak najbardziej honorowo, mianowicie tak samo, jak od lat postępuje cały przemysł i świat handlowy naszej ukochanej ojczyzny – a poza tym sztuka nie ma nic wspólnego z moralnością.

Odkładam na bok wiersze. Nagle robią na mnie wrażenie płaskich i dziecinnych, jak typowe próby, na które odważa się raz prawie każdy młody człowiek. Zacząłem pisać na froncie, ale wtedy miało to jakiś sens – odrywało mnie na chwilę od tego, co widziałem, rozniecało małą iskierkę oporu i wiary, że istnieje jeszcze coś poza zniszczeniem i śmiercią. Ale to już dawno minęło; dziś wiem, że jeszcze wiele rzeczy istnieje obok zniszczenia

i śmierci, wiem również, że nawet może istnieć jednocześnie z nimi. Nie potrzebuję już do tego własnych wierszy; na moich półkach stoją książki, w których wypowiedziano to wszystko o wiele lepiej. Ale co by się z człowiekiem stało, gdyby stanowiło to już wystarczający powód do rezygnacji? Dokąd byśmy zaszli? Więc piszę dalej, ale często moje utwory wydają mi się szare i papierowe wobec wieczornego nieba, które teraz staje się bezkresne i różowe nad dachami, podczas gdy fioletowy deszcz popiołów zmierzchu wypełnia już ulice.

Schodzę na dół i obok ciemnego biura przemykam się do ogrodu. Drzwi mieszkania rodziny Knopfów stoją otworem. Jak w ognistym piekle trzy córki Knopfa siedzą przy maszynach do szycia i pracują. Maszyny warczą. Rzucam okiem na okno koło biura. Jest ciemne. A więc Georg już się gdzieś ulotnił. I Henryk także odpłynął do cichego portu swojej knajpy. Obchodzę ogród. Ktoś podlewał kwiaty, ziemia jest wilgotna i pachnie mocno. Warsztat trumniarski Wilkego jest pusty, a także u Kurta Bacha panuje cisza. Okna są otwarte, w połowie wykończony żałobny lew przykucnął na podłodze, jakby miał ból zębów, obok niego stoją spokojnie dwie puste butelki od piwa.

Jakiś ptak zaczyna nagle śpiewać. To drozd. Siedzi na czubku kamiennego krzyża, który Henryk Kroll przehandlował, i ma głos o wiele za mocny jak na taką małą, czarną piłkę z żółtym dziobkiem. Głos raduje się, narzeka i porusza mi serce. Myślę przez chwilę, że ta pieśń, która dla mnie oznacza życie, przyszłość, marzenia i wszystko, co niepewne, obce i nowe – dla robaków, które teraz wygrzebują się z wilgotnej ogrodowej ziemi koło pomnika, jest bez wątpienia tylko okropnym sygnałem śmierci przez poćwiartowanie straszliwymi ciosami dzioba. Mimo to nic nie poradzę, pieśń porywa mnie w dal, wyzwala wszystko, staję nagle bezradny i zagubiony i dziwię się, że nie rozpadam się na kawałki albo nie wzlatuję jak balon w wieczorne niebo. Wreszcie biorę się w garść. Od ogrodu i nocnej woni uciekam do fortepianu. Tłukę w klawisze, gładzę je i próbuję być czymś w rodzaju drozda, wybębnić i wytrząsać to, co czuję – ale w końcu wychodzi mi z tego tylko kupa arpeggiów, strzępy z paru ohydnych szlagierów

i pieśni ludowych i coś z *Kawalera srebrnej róży*, i z *Tristana*, mieszanina i bałagan, aż wreszcie ktoś wrzeszczy z ulicy: – Człowieku, najpierw naucz się grać!

Przerywam i podkradam się do okna. W ciemności znika jakaś ciemna postać. Jest już za daleko, żeby jej rzucić coś na głowę, zresztą po co? Ma rację. Nie potrafię grać ani na fortepianie, ani w życiu. Nigdy, nigdy nie umiałem, zawsze się śpieszyłem, zawsze byłem zbyt niecierpliwy, zawsze coś stawało mi na przeszkodzie i niweczyło moje zamiary – ale kto właściwie potrafi dobrze grać, a jeśli potrafi, cóż mu to pomoże? Czy wielka ciemność staje się przez to mniej ciemna, czy pytania bez odpowiedzi są wówczas mniej beznadziejne, czy rozpacz nad wieczną niedoskonałością pali się wtedy mniej boleśnie? Czy dzięki temu można kiedykolwiek wytłumaczyć życie, okiełznać je i jechać na nim jak na spokojnym koniu, czy też jest ono zawsze jak potężny żagiel wśród burzy, który nas niesie, i gdy go chcemy schwycić, zmiata nas do wody? Niekiedy zjawia się przede mną przepaść, która zdaje się sięgać do jądra ziemi. Co ją wypełnia? Tęsknota? Rozpacz? Szczęście? Ale jakie? Zmęczenie? Rezygnacja? Śmierć? Po co żyję? Tak, po co żyję?

III

Niedzielny ranek. Dzwony dźwięczą ze wszystkich wież, a błędne ogniki wieczoru już się rozproszyły. Dolar stoi nadal na trzydziestu sześciu tysiącach, czas wstrzymuje oddech, ciepło nie stopiło jeszcze kryształu niebios i wszystko wydaje się jasne i nieskończone. Jest to jedyna godzina ranka, kiedy się wierzy, że nawet morderca otrzyma przebaczenie i że dobro i zło są słowami bez znaczenia.

Ubieram się powoli. Rześkie, słoneczne powietrze wpada przez otwarte okno. Jaskółki połyskują stalowo, przelatując pod łukiem bramy. Mój pokój, podobnie jak biuro na dole, ma dwa okna – jedno na podwórko, drugie na ulicę. Przez chwilę wychylam się z okna na podwórko i patrzę na ogród. W ciszy rozbrzmiewa nagle zduszony krzyk, po czym następuje rzężenie i jęki. To Henryk Kroll, który śpi w drugim skrzydle. Znowu dusi go zmora senna. W 1918 roku był przysypany, a teraz po pięciu latach śni mu się to jeszcze od czasu do czasu.

Gotuję kawę na maszynce spirytusowej i wlewam do niej łyk wiśniaku. Nauczyłem się tego we Francji, a wódkę wciąż jeszcze mam mimo inflacji. Pensja nie wystarcza mi nigdy na nowe ubranie – po prostu nie mogę uzbierać tyle pieniędzy, zbyt szybko stają się bezwartościowe – ale dość jej na drobnostki, a między innymi, oczywiście, od czasu do czasu na butelkę wódki na pocieszenie.

Jem chleb z margaryną i marmoladą ze śliwek. Marmolada jest niezła, pochodzi z zapasów matki Krollów. Margaryna już trochę zjełczała, ale to nie szkodzi; podczas wojny jadło się gorzej. Potem przeglądam swoją garderobę. Mam dwa przerobione

z mundurów ubrania cywilne. Jedno jest ufarbowane na granatowo, drugie na czarno – wiele więcej nie można było zrobić z szarozielonym materiałem. Poza tym mam jeszcze garnitur z czasów, zanim zostałem żołnierzem. Wyrosłem z niego, ale jest to prawdziwy garnitur cywilny, nie żaden przerabiany ani nicowany, i dlatego dziś się w niego ubieram. Pasuje do krawata, który kupiłem wczoraj po południu i który dzisiaj chcę włożyć, żeby Izabella go zobaczyła.

Spokojnie wędruję przez ulice. Werdenbrück jest starym miastem, mającym sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, są tu drewniane domy, barokowe gmachy i obrzydliwe nowe dzielnice. Mijam je i idę do drugiej części miejscowości aleją wysadzaną kasztanami, a potem na mały pagórek, na którym w wielkim parku znajduje się szpital dla obłąkanych. Stoi tam spokojny i uroczysty. Ptaki ćwierkają w koronach drzew. Idę, żeby grać na organach podczas nabożeństwa w małym kościółku szpitalnym. Grać nauczyłem się w ramach moich przygotowań do zawodu nauczycielskiego, a tę posadę złapałem przed rokiem, aby sobie dorobić. Mam więcej takich dodatkowych zajęć. Raz na tydzień udzielam lekcji gry na fortepianie dzieciom szewca Karola Brilla, za co on zeluje mi buty i płaci trochę gotówką – poza tym dwa razy na tydzień daję korepetycje cymbałowatemu synowi księgarza Bauera, również za niewielką opłatą i za prawo kupowania, jeśli mam na to ochotę, wszystkich nowych książek po obniżonych cenach. Te obniżone ceny wykorzystuje oczywiście cały Klub Poetycki, nawet Edward Knobloch, który w takich wypadkach staje się nagle moim przyjacielem.

Msza zaczyna się o dziewiątej. Siedzę przy organach i widzę, jak zjawiają się ostatni pacjenci. Wchodzą cicho i zajmują miejsca w ławkach. Paru pielęgniarzy i kilka sióstr siedzi między nimi i po bokach. Wszystko odbywa się bardzo spokojnie, o wiele ciszej niż w chłopskich kościołach, gdzie grywałem za moich nauczycielskich czasów. Słychać tylko szuranie butów na kamiennej posadzce, buty szurają, nie stukają. Są to kroki ludzi, których myśli krążą gdzieś daleko.

Przed ołtarzem zapalono świece. Przez kolorowe szyby okien wpada stłumione światło słoneczne i miesza się z blaskiem świec w łagodną poświatę z lekkim nalotem czerwieni i błękitu. Pośród tego stoi kapłan w brokatowym ornacie, a na stopniach ołtarza klęczą ministranci w czerwonych pelerynkach i białych komżach.

Wyciągam rejestr fletów i vox humana i zaczynam. Natychmiast odwracają się głowy wariatów z pierwszych rzędów, wszystkie naraz, jakby ktoś pociągnął za sznurek. Ich blade twarze z ciemnymi oczodołami wpatrują się bez wyrazu w organy. Unoszą się jak płaskie, jasne plamy w mrocznym, złotym świetle, a niekiedy w zimie, w ciemności, wyglądają jak wielkie hostie, które czekają, by wstąpił w nie Duch Święty. Nie mogą przyzwyczaić się do organów; nie mają przeszłości i pamięci, i każdej niedzieli dźwięk fletów, skrzypiec i wiolonczeli zaskakuje od nowa ich zdumione mózgi. Potem kapłan zaczyna śpiewać przy ołtarzu, a oni oglądają się na niego.

Nie wszyscy obłąkani zwracają uwagę na mszę. W tylnych rzędach jest wielu takich, którzy wcale się nie poruszają. Siedzą tam, jak spowici w straszliwą żałobę, a wokół nich nie ma nic poza próżnią – ale to prawdopodobnie tak się tylko wydaje. Możliwe, że są w całkiem innych światach, gdzie nie dociera słowo ukrzyżowanego Zbawiciela, niefrasobliwie i bezmyślnie zasłuchani w muzyce, w porównaniu z którą organy brzmią blado i ordynarnie. I równie możliwe, że nie myślą w ogóle – obojętni jak morze, życie i śmierć. Tylko my uduchowiamy naturę. Jaka ona być może, gdy pozostaje sobą – możliwe, że wiedzą to owe głowy na dole, ale nie potrafią zdradzić tajemnicy. To, co widzą, odebrało im mowę. Czasami zdaje się, jakby byli ostatnimi potomkami budowniczych wieży Babel, ich języki zostały pomieszane i nie mogą już powiedzieć nikomu, co widzieli z najwyższego tarasu.

Zerkam na pierwszy rząd. Po prawej stronie, wśród migocącej czerwieni i błękitu, widzę ciemną głowę Izabelli. Klęczy w ławce bardzo prosta i smukła. Jej wąska głowa jest pochylona na bok jak u gotyckiej statuetki. Wpycham wiolonczele i rejestr vox humana, a wyciągam vox celeste. Jest to najłagodniejszy i najbardziej zachwycający rejestr organów. Zbliżamy się do świętego Przeisto-

czenia. Chleb i wino staną się ciałem i krwią Chrystusa. Jest to cud – taki sam jak ten, że z prochu i gliny powstał człowiek. Riesenfeld twierdzi, że trzeci cud polega na tym, iż człowiek nie bardzo wie, co robić z tym cudem, potrafi tylko na coraz większą skalę wyzyskiwać i mordować swych bliźnich i wypełniać krótki okres między urodzeniem a zgonem jak największą dozą egoizmu, mimo że tylko jedno jest absolutnie pewne od początku: że musi umrzeć. To mówi Riesenfeld z Odenwaldzkich Zakładów Obróbki Granitu, jeden z najbardziej zaciekłych kombinatorów i rabusiów przemysłu śmierci. *Agnus Dei qui tollis peccata mundi*. Po mszy siostry prowadzące zakład dają mi śniadanie, składające się z jajek, wędliny, bulionu, chleba i miodu. To należy do warunków naszej umowy. W ten sposób śmiało mogę się obejść bez obiadu, w niedzielę bowiem kupony Edwarda są nieważne. Poza tym dostaję tysiąc marek, sumę, za którą mogę przejechać tramwajem tam i z powrotem, jeśli mam na to ochotę. Nigdy nie domagałem się podwyżki. Nie wiem dlaczego. U szewca Karola Brilla i na korepetycjach u księgarza Bauera walczę o podwyżkę jak dziki osioł.

Po śniadaniu idę do parku zakładowego. Jest to piękny, rozległy teren z drzewami, kwiatami i ławkami, otoczony wysokim murem, i można by sobie wyobrażać, że jest się w sanatorium, gdyby nie zakratowane okna budynku.

Kocham park, ponieważ jest cichy i nie muszę tu z nikim rozmawiać o wojnie, polityce i inflacji. Mogę spokojnie siedzieć i oddawać się tak staromodnym czynnościom, jak słuchanie szumu wiatru, świergotu ptaków i obserwowanie światła, przesączającego się przez jasną zieleń koron drzew.

Wokoło spacerują chorzy, którym wolno wychodzić. Większość z nich milczy, inni mówią do siebie, kilku dyskutuje żywo z odwiedzającymi i pielęgniarzami, często spotyka się przycupnięte w milczeniu samotne postacie, nieruchome, ze zwieszonymi głowami, jak skamieniałe w słońcu – i trwające tak, póki nie odprowadzą ich z powrotem do pokoi.

Upłynęło trochę czasu, zanim przyzwyczaiłem się do tego widoku, a i teraz jeszcze zdarza mi się, że wpatruję się w obłąka-

nych jak na początku – z mieszaniną ciekawości, grozy i jeszcze czegoś bez nazwy, co przypomina mi chwilę, gdy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem zmarłego. Miałem wtedy dwanaście lat, zmarły nazywał się Georg Hellmann, tydzień wcześniej jeszcze się z nim bawiłem, a teraz leżał pośród kwiatów i wieńców, coś niewypowiedzianie obcego z żółtego wosku, coś, co w jakiś przerażający sposób nie miało z nami nic wspólnego, odeszło na jakieś nie pojęte Zawsze, a jednak pozostawało jeszcze przy nas w nieokreślonej, milczącej, dziwnie chłodnej grozie. Później widziałem na wojnie niezliczone trupy i odczuwałem tylko to, co przeżywałbym w rzeźni – ale tego pierwszego nie zapomniałem nigdy, jak nigdy nie zapomina się wrażeń doznanych po raz pierwszy. On był śmiercią. I ta sama śmierć spogląda na mnie niekiedy z wygasłych oczu obłąkanych, żyjąca śmierć, prawie bardziej niepojęta i zagadkowa niż tamta, cicha.

Tylko z Izabellą jest inaczej.

Widzę ją, jak zbliża się od strony pawilonu kobiecego. Żółta sukienka rozdyma się niby jedwabny dzwon wokół jej nóg. W ręku trzyma płaski słomiany kapelusz z szerokim rondem.

Wstaję i idę naprzeciw. Ma małą twarzyczkę i właściwie widać w niej tylko oczy i usta. Oczy są szarozielone i bardzo przezroczyste, a usta czerwone, jakby je mocno uszminkowała albo jakby była chora na płuca. Ale jej oczy potrafią robić się nagle płaskie, szare jak żwir i małe, a usta wąskie i zaciśnięte jak u starej panny, która nigdy nie miała męża. Kiedy jest taka, wtedy ma na imię Jennie, staje się nieufną, nieprzyjemną osobą, która wszystko ma za złe – kiedy jest inna, zwie się Izabellą. Są to iluzje, albowiem w rzeczywistości nazywa się Geneviève Terhoven i cierpi na chorobę, która nosi brzydkie i nieco upiorne miano schizofrenii – rozdwojenia jaźni, rozszczepienia osobowości. Dlatego też uważa się za Izabellę lub Jennie – kogoś innego, niż jest w rzeczywistości. Jest jedną z najmłodszych chorych w zakładzie. Jej matka mieszka podobno w Alzacji i ma dość duży majątek, ale mało się troszczy o córkę. W każdym razie nie widziałem jej, odkąd znam Geneviève, a będzie to już ze sześć tygodni.

Dzisiaj jest Izabellą, spostrzegam to natychmiast. Żyje w świecie snów, który nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, jest lekki i pozbawiony prawa ciężkości, i nie dziwiłbym się, gdyby żółte motyle, igrające dokoła, siadały jej na ramionach.

– Więc przyszedłeś znowu! – mówi rozpromieniona. – Gdzie byłeś przez cały ten czas?

Kiedy jest Izabellą, mówi do mnie „ty". Nie stanowi to żadnego szczególnego wyróżnienia, bo zwraca się per „ty" do całego świata.

– Gdzie byłeś? – pyta jeszcze raz.

Wskazuję w kierunku bramy.

– Gdzieś tam… za bramą…

Spogląda na mnie badawczo.

– Za bramą? Po co? Szukasz tam czegoś?

– Chyba tak… Żebym tylko sam wiedział, czego!

Śmieje się.

– Daj spokój, Rolf. Nigdy się nic nie znajduje.

Wzdrygam się na dźwięk imienia Rolf. Niestety, nazywa mnie tak dość często, gdyż, podobnie jak siebie, uważa mnie za kogoś innego, niż jestem w istocie, i to nie zawsze za tego samego. Waha się między Rolfem i Rudolfem, a raz nawet pojawił się niejaki Raul. Rolf jest nudnym facetem, którego nie cierpię. Raul wygląda na jakiegoś uwodziciela. Najbardziej jednak lubię, kiedy mnie nazywa Rudolfem, gdyż wtedy jest rozmarzona i zakochana. Moje właściwe imię i nazwisko, Ludwik Bodmer, ignoruje. Często je powtarzałem, ale po prostu nie przyjmuje go do wiadomości.

W pierwszych tygodniach było to dla mnie wszystko dość kłopotliwe, ale teraz już się przyzwyczaiłem. Wtedy miałem jeszcze słabe pojęcie o chorobach umysłowych i wyobrażałem sobie pod tym określeniem ciągłe ataki szału, próby morderstwa i bełkoczących idiotów. Tym bardziej zaskakująco odcinała się od tego Geneviève. Początkowo nie mogłem uwierzyć, że w ogóle jest chora, tak sztuczna wydawała mi się zmiana imion i osobowości, a i teraz niekiedy nie mogę się pozbyć tego wrażenia. Potem jednak zrozumiałem, że dokoła tej wątłej dziewczyny czai się bezgłośnie chaos. Jeszcze nie wybuchł, ale był blisko, i to dawało Izabelli zdumiewającą siłę przyciągania, zwłaszcza że miała dopiero dwa-

dzieścia lat, a choroba nadawała jej często rysy tragicznej piękności.

– Chodź, Rolf – mówi i bierze mnie za rękę.

Próbuję jeszcze raz uciec od znienawidzonego imienia.

– Nie jestem Rolf – tłumaczę. – Nazywam się Rudolf.

– Nie jesteś Rudolf.

– Owszem, jestem Rudolf. Rudolf, jednorożec.

Tak mnie raz nazwała. Ale nie mam szczęścia. Uśmiecha się jak do natrętnego dziecka.

– Nie jesteś Rudolf i nie jesteś Rolf. Ale nie jesteś również tym, za kogo się uważasz. A teraz chodź, Rolf.

Patrzę na nią. Przez chwilę mam znowu wrażenie, jakby nie była chora, tylko udawała.

– Nie bądź nudny – mówi. – Dlaczego chcesz być stale ten sam?

– Tak, dlaczego? – odpowiadam zaskoczony. – Masz rację! Dlaczego się tego chce? Co człowiek chce w sobie tak bardzo zachować? I dlaczego uważa się za takiego ważnego?

Kiwa głową.

– Ty i doktor! A przecież w końcu wiatr wieje nad wszystkim. Dlaczego nie chcecie tego przyznać?

– Doktor też? – pytam.

– Tak, ten, który każe się tak nazywać. On tyle ode mnie chce! A przy tym nic nie wie. Nawet jak w nocy wygląda trawa, kiedy się na nią nie patrzy.

– Jak może wyglądać? Prawdopodobnie jest szara albo czarna. A srebrna, kiedy świeci księżyc.

Izabella śmieje się.

– Tak sobie właśnie myślałam! Ty też nie wiesz. Zupełnie jak doktor.

– No więc jak wygląda?

Izabella staje. Nadlatuje powiew wiatru, niosąc ze sobą pszczoły i zapach kwiecia. Żółta spódnica rozdyma się jak żagiel.

– W ogóle jej nie ma – mówi Izabella.

Idziemy dalej. Stara kobieta w szpitalnym ubraniu mija nas w alei. Ma twarz czerwoną i błyszczącą od łez. Obok kobiety idzie dwoje bezradnych krewnych.

– No, a co jest wtedy, kiedy nie ma trawy? – pytam.

– Nic. Tylko kiedy się spojrzy, wtedy jest. Czasami, kiedy się człowiek bardzo szybko odwróci, może to jeszcze złapać.

– Co? Że jej nie ma?

– Nie… ale jak pędzi z powrotem na swoje miejsce… trawa i wszystko, co jest za nami. Jak służący, którzy poszli tańczyć. Musisz się tylko bardzo szybko odwrócić, wtedy je jeszcze złapiesz… inaczej są już na miejscu i udają, jakby nie uciekały.

– Kto, Izabello? – pytam ostrożnie.

– Rzeczy. Wszystko, co jest za tobą. Czeka tylko, żebyś się odwrócił, by mogło zniknąć!

Zastanawiam się przez chwilę i myślę, że w takim razie stale mielibyśmy za sobą przepaść.

– Czy mnie również nie ma, gdy się odwrócisz? – pytam.

– Ciebie również nie ma. Nic nie ma.

– Ach, tak – mówię trochę gorzko. – Ale dla siebie jestem zawsze na miejscu. Nawet gdy się bardzo szybko odwrócę.

– Odwracasz się w niewłaściwą stronę.

– Czy strony są też ważne?

– Dla ciebie tak, Rolf.

Wzdrygam się, znowu słysząc znienawidzone imię.

– A dla ciebie? Jak jest z tobą?

Spogląda na mnie i uśmiecha się z roztargnieniem, jakby mnie nie znała.

– Ze mną? Mnie przecież w ogóle nie ma!

– Tak? Dla mnie jesteś na pewno.

Zmienia wyraz twarzy. Znowu mnie poznaje.

– Czy to prawda? Dlaczego nie mówisz mi tego częściej?

– Mówię ci to zawsze.

– Nie dosyć. – Przytula się do mnie. Czuję jej oddech, jej piersi pod cienkim jedwabiem. – Nigdy nie jest dosyć – mówi z westchnieniem. – Dlaczego nikt tego nie wie? Ach, wy, posągi!

Posągi, myślę. Cóż mi innego pozostało? Patrzę na nią, jest piękna i podniecająca, czuję jej bliskość i za każdym razem gdy jestem przy niej, zdaje mi się, że przez moje żyły jak przez kable telefoniczne dźwięczy tysiące głosów, ale nagle się to urywa, jakby

wszystkie były źle połączone, nie mogę sobie znaleźć miejsca i nie pozostaje we mnie nic poza chaosem. Nie można pożądać wariatki. A jeśli nawet tak, to ja tego nie mogę. Zupełnie jakby się chciało pożądać automatycznej lalki. Albo kogoś, kto jest zahipnotyzowany. To zresztą nie zmienia faktu, że natychmiast czuję jej bliskość.

Otwierają się zielone cienie alei, przed nami leżą w pełnym słońcu grządki tulipanów i narcyzów.

– Musisz włożyć kapelusz, Izabello – mówię. – Doktor tak chce.

Izabella rzuca kapelusz w kwiaty.

– Doktor! Czego on chce! Chce się ze mną ożenić, ale jego serce jest zagłodzone. On jest taką sową, która się poci.

Nie wierzę, żeby sowy mogły się pocić. Ale mimo to obraz ten jest przekonujący. Izabella jak tancerka pląsa wśród tulipanów i przysiada.

– Słyszysz je?

– Naturalnie – mówię z ulgą. – Każdy je może słyszeć. To dzwonki. Fis-dur.

– Co to jest Fis-dur?

– Tonacja. Najsłodsza ze wszystkich.

Zarzuca szeroką spódnicę na kwiaty.

– Czy one dzwonią teraz we mnie?

Potakuję i spoglądam na jej szczupły kark. Wszystko dzwoni w tobie, myślę. Ona zrywa tulipan i ogląda otwarty kwiat i mięsistą łodygę, z której cieknie sok.

– To wcale nie jest słodkie.

– Dobrze – w takim razie są to dzwonki w C-dur.

– Zawsze musi być dur?

– Może być również moll.

– A nie mogą być razem?

– W muzyce nie – odpowiadam zapędzony w ślepy zaułek. – Istnieją pewne zasady. Może być tylko jedno albo drugie. Albo jedno po drugim.

– Jedno po drugim! – Izabella spogląda na mnie z lekką pogardą. – Zawsze się wykręcasz, Rolf. Dlaczego?

– Sam nie wiem. Chciałbym, żeby było inaczej.

Wyprostowuje się nagle i odrzuca daleko tulipan, który zerwała. Jednym skokiem ucieka z grządki i gwałtownie otrząsa sukienkę. Potem podciąga ją i przygląda się swoim nogom. Jej twarz wykrzywia się ze wstrętem.

– Co się stało? – pytam przerażony.

Pokazuje na grządkę.

– Węże…

Patrzę na kwiaty.

– Tam nie ma węży, Izabello.

– Są! Tam! – Wskazuje tulipany. – Nie widzisz, czego chcą? Czułam to.

– One nic nie chcą. To są kwiaty – mówię bez zrozumienia.

– One mnie dotknęły! – Drży nadal ze wstrętu i wciąż wpatruje się w tulipany.

Biorę ją za ramiona i odwracam tak, żeby nie widziała grządki.

– Teraz się odwróciłaś – mówię. – Teraz już ich nie ma.

Oddycha gwałtownie.

– Nie pozwól na to! Rozdepcz je, Rudolfie.

– Już ich nie ma. Odwróciłaś się i zniknęły. Jak trawa nocą i wszystkie inne rzeczy.

Przytula się do mnie. Nagle przestałem być dla niej Rolfem. Opiera twarz na moim ramieniu. Nie musi mi nic więcej tłumaczyć. Stałem się Rudolfem i nie mam co do tego wątpliwości.

– Jesteś pewny? – pyta i czuję, jak jej serce bije pod moją ręką.

– Zupełnie pewny. Uciekły jak służący w niedzielę.

– Nie pozwól na to, Rudolfie…

– Nie pozwolę – mówię i nie wiem właściwie, co ma na myśli. Ale to nie jest potrzebne. Ona już się uspokaja.

Wracamy powoli. Izabella nagle poczuła się zmęczona. Nadchodzi siostra w butach na niskich obcasach.

– Czas już jeść, mademoiselle.

– Jeść – powtarza Izabella. – Dlaczego musi się zawsze jeść, Rudolfie?

– Żeby nie umrzeć.

– Znowu kłamiesz – mówi ze znużeniem, jak do upartego dziecka.

– Tym razem nie. Tym razem to prawda.

– Tak? Czy kamienie również jedzą?

– A czy kamienie żyją?

– Ależ oczywiście. Najmocniej ze wszystkiego. Tak mocno, że są wieczne. Nie wiesz, co to jest kryształ?

– Tylko z lekcji fizyki. Ale to z pewnością nieprawda.

– Czysta ekstaza – szepcze Izabella. – Nie jak tamto… – Wskazuje głową za siebie w stronę grządek.

Pielęgniarka bierze ją za rękę.

– Gdzie jest pani kapelusz, mademoiselle? – pyta po paru krokach i ogląda się. – Proszę poczekać, zaraz go przyniosę.

Odchodzi, by wyłowić kapelusz spośród kwiatów. Izabella z rozjaśnioną twarzą wraca szybko do mnie.

– Nie opuszczaj mnie, Rudolfie! – szepcze.

– Ja cię nie opuszczam.

– I nie odchodź! Ja teraz muszę iść. Zabierają mnie! Ale ty nie odchodź.

– Nie odejdę, Izabello.

Pielęgniarka uratowała kapelusz i nadchodzi teraz jak los na swoich szerokich zelówkach. Izabella stoi i patrzy na mnie. Zupełnie jakby to miało być pożegnanie na zawsze. Z nią zawsze tak jest, jakby się żegnała na zawsze. Kto wie, czy kiedy znowu wróci, pozna mnie w ogóle?

– Proszę włożyć kapelusz, mademoiselle – mówi pielęgniarka.

Izabella bierze kapelusz i trzyma go w opuszczonej bezwładnie ręce. Odwraca się i idzie do pawilonu. Nie ogląda się za siebie.

Zaczęło się to w ten sposób, że na początku marca Geneviève niespodziewanie podeszła do mnie w parku i zaczęła ze mną rozmawiać, jakbyśmy się już znali od dawna. Nie było w tym nic dziwnego – w zakładzie psychiatrycznym nikt nie musi się nikomu przedstawiać. Tu nie istnieją żadne formalności. Ludzie rozmawiają ze sobą, kiedy chcą, bez żadnych długich wstępów. Mówi się natychmiast, co komu przyjdzie do głowy, i nic nie przeszkadza, że druga osoba tego nie rozumie – to sprawa podrzędna. Człowiek nie chce przekonywać ani tłumaczyć: po prostu jest i mówi, i czę-

sto dwie osoby mówią o zupełnie różnych rzeczach, a rozumieją się doskonale, bo jedna wcale nie słucha drugiej. Papież Grzegorz VII na przykład, mały człowieczek o pałąkowatych nogach, nie dyskutuje. Nie musi nikogo przekonywać, że jest papieżem. Po prostu nim jest i kropka. Ma duże trudności z Henrykiem Lwem, Canossa jest niedaleko i o tym niekiedy wspomina. Nie przeszkadza mu, że rozmawia z mężczyzną, który uważa, że jest cały ze szkła, i prosi, by go nie potrącono, ponieważ już jest nadpęknięty – obaj mówią, Grzegorz o królu, który musi pokutować we włosiennicy, a szklany człowiek o tym, że nie znosi słońca, ponieważ jego blask się w nim odbija. Potem Grzegorz udziela papieskiego błogosławieństwa, szklany człowiek zdejmuje na chwilę chustkę, ochraniającą od słońca jego przezroczystą głowę, i obaj rozstają się z uprzejmością minionych stuleci. Nie zdziwiłem się więc, gdy Geneviève do mnie podeszła i zaczęła ze mną mówić; zdumiała mnie tylko jej piękność, gdyż tego właśnie dnia była Izabellą.

Długo ze mną rozmawiała. Była ubrana w lekkie jasne futro, warte przynajmniej dziesięć do dwudziestu pomników z najlepszego szwedzkiego granitu, a do tego w wieczorową suknię i złote sandałki. Mijała godzina jedenasta rano i w świecie za murami taki strój byłby niemożliwy. Tu jednak działał podniecająco; zupełnie jakby się spotkało kogoś, kto zeskoczył na spadochronie z innej planety.

Był dzień ze słońcem, przelotnymi ulewami, wiatrem i nagłymi okresami ciszy. Mieszało się to z sobą, przez godzinę był marzec, później kwiecień, a potem bezpośrednio następował kawałek maja i czerwca. Pośród tego wszystkiego zjawiła się Izabella, nie wiadomo skąd, rzeczywiście nie wiadomo skąd – stamtąd, gdzie znikają granice, gdzie światło rozsądku unosi się niewyraźnie jak zwiewna zorza polarna na niebiosach, które nie znają dnia ani nocy, tylko kilka odblasków promieni i echa ech, i płowe światło innego świata i pozbawionej czasu przestrzeni.

Zmieszała mnie od początku, a i tak miała nade mną ogromną przewagę. Straciłem co prawda wiele mieszczańskich przesądów podczas wojny, ale stałem się przez to tylko cyniczny i trochę zrozpaczony, lecz nie pewniejszy siebie i swobodny. Więc siedziałem

i wpatrywałem się w nią, jak gdyby wbrew prawom ciążenia unosiła się w powietrzu, podczas gdy ja wlokłem się za nią z trudem. W dodatku jakaś cudowna mądrość przeświecała często przez jej słowa; to, co mówiła, było jakby przenośnią i zaskakująco odsłaniało widok w dal, który przyprawiał mnie o bicie serca. Gdy się go jednak chciało zatrzymać, znów powiewały nad nim welony i mgły, a ona była już zupełnie gdzie indziej.

Pocałowała mnie pierwszego dnia i uczyniła to w sposób tak naturalny, że zdawało się to nie mieć żadnego znaczenia; ale nie zmieniło to faktu, że odczułem ten pocałunek. Poczułem go, podniecił mnie, lecz potem uderzył jak fala o barierę rafy – wiedziałem, że w ogóle nie myślała o mnie, myślała o kimś innym, o postaci z jej fantazji, jakimś Rolfie czy Rudolfie, a być może nie myślała nawet i o nich, i były to imiona wyrzucone przez ciemne podziemne rzeki, bez korzeni i bez związku.

Odtąd prawie każdej niedzieli przychodziła do ogrodu, a gdy padało, zjawiała się w kaplicy. Miałem od przełożonej pozwolenie na ćwiczenie się w grze na organach, kiedy miałem ochotę. Robiłem to, kiedy była brzydka pogoda. Nie ćwiczyłem właściwie, na to gram zbyt słabo – robiłem to samo, co na fortepianie: grałem dla siebie jakieś letnie fantazje, co się dało, trochę nastroju i marzeń, i tęsknoty za nieokreślonym, za przyszłością i spełnieniem, i sobą samym; nie trzeba grać szczególnie dobrze, by to potrafić. Izabella niekiedy przychodziła ze mną i słuchała. Siedziała na dole w półmroku, deszcz klaskał o kolorowe szyby, a tony organów unosiły się w dal nad jej głową – nie wiedziałem, co ona myśli, i to było cudowne i nieco sentymentalne, ale za tym stawało nagle pytanie „dlaczego?", krzyk, strach i nagłe milczenie. Czułem to wszystko i czułem również coś niecoś z nie dającej się określić samotności stworzenia, kiedy siedzieliśmy w pustym kościele wśród zmierzchu i głosu organów, tylko my dwoje, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi, połączonymi przez półmrok, akordy i deszcz, a mimo to na zawsze rozdzielonymi, bez żadnego pomostu, bez zrozumienia, bez słów, tylko z tym dziwnym żarem płonących w nas małych ogni strażniczych na krańcach życia, które widzieliśmy i rozumieliśmy źle – ona na swój, a ja na swój sposób – jak głuchoniemi ślepcy,

nie będąc jednak głusi, niemi i ślepi, i dlatego o wiele biedniejsi i pozbawieni oparcia. Co ją skłoniło, że przyszła do mnie? Nie wiedziałem i nigdy nie będę wiedział – było to pogrzebane pod gruzem i kamienną lawiną. Nie rozumiałem również, dlaczego ten szczególny stosunek napełnia mnie takim niepokojem, gdyż wiedziałem przecież, jaki jest jej stan i że ona o mnie nie myśli. A mimo wszystko ogarniała mnie tęsknota za czymś, czego nie znałem, i niekiedy czyniła mnie szczęśliwym i nieszczęśliwym bez podstaw i bez sensu.

Niska siostra podchodzi do mnie.

– Przełożona chciałaby z panem mówić.

Wstaję i idę za nią. Czuję się nieco zakłopotany. Może któraś z sióstr nas szpiegowała i przełożona chce mi powiedzieć, że nie powinienem rozmawiać z chorymi, albo chce mi nawet wymówić pracę, chociaż naczelny lekarz powiedział, że towarzystwo jest dla Izabelli wskazane.

Przełożona czeka na mnie w swoim gabinecie. Czuć tu woskiem do podłóg, cnotą i mydłem. Ani jeden powiew wiosny nie wdarł się do środka. Przełożona, chuda, energiczna kobieta, przyjmuje mnie uprzejmie; uważa mnie za chrześcijanina bez zarzutu, który kocha Boga i wierzy w Kościół.

– Niedługo będzie maj – mówi i patrzy mi prosto w oczy.

– Tak – odpowiadam i oglądam liliowobiałe firanki i gołą, błyszczącą podłogę.

– Myśleliśmy o tym, czyby się nie dało odprawiać majowych nabożeństw.

Milczę z ulgą.

– W kościołach w mieście każdego wieczoru o ósmej jest nabożeństwo majowe – wyjaśnia przełożona.

Potakuję. Znam majowe nabożeństwa. Kadzidło unosi się w zmierzchu, monstrancja połyskuje, a po nabożeństwie młodzi ludzie uganiają się jeszcze przez pewien czas wśród starych drzew, gdzie brzęczą chrabąszcze. Wprawdzie nigdy nie chodzę na majowe nabożeństwa, ale znam to jeszcze z czasów, zanim zostałem żołnierzem. Wtedy zaczęły się moje pierwsze przeżycia z dziewczętami. Wszystko to było bardzo denerwujące, tajemnicze

i niewinne. Ale nie mam zamiaru przychodzić tu co wieczór o ósmej i grać na organach.

– Chcielibyśmy przynajmniej w niedzielę wieczorem odprawić tu nabożeństwo majowe – mówi przełożona. – To znaczy uroczyste, z organami i Te Deum. Ciche nabożeństwo dla sióstr tak czy owak odbywa się co wieczór.

Zastanawiam się. W niedzielę wieczorem w mieście jest nudno, a nabożeństwo trwa niespełna godzinę.

– Niewiele możemy płacić – wyjaśnia przełożona. – Tyle co za mszę. Teraz to już chyba nie jest dużo, prawda?

– Nie – odpowiadam. – Teraz to nie jest dużo. Mamy inflację.

– Wiem. – Stoi niezdecydowana. – Decyzje instancji kościelnych nie są, niestety, do tego przystosowane. Kościół myśli kategoriami stuleci. Musimy się z tym pogodzić. Ostatecznie robi się to dla Boga, a nie dla pieniędzy. Nieprawdaż?

– Można to robić i dla Boga, i dla pieniędzy – odpowiadam. – Wtedy jest to stan idealny.

Przełożona wzdycha.

– Wiążą nas postanowienia władz kościelnych. Są one podejmowane raz na rok, nie częściej.

– Także w sprawach pensji księży proboszczów, kanoników i jego ekscelencji biskupa?

– Tego nie wiem – mówi i czerwieni się nieco. – Ale myślę, że tak.

Tymczasem już się zdecydowałem.

– Dziś wieczorem nie mogę – wyjaśniam. – Mamy bardzo ważną konferencję handlową.

– Dziś jest jeszcze kwiecień. Ale następnej niedzieli… albo, jeśli pan nie może w niedzielę, może któregoś dnia w tygodniu. Byłoby pięknie mieć od czasu do czasu prawdziwe majowe nabożeństwo. Z pewnością Matka Boska to panu wynagrodzi.

– Nie wątpię. Jest tylko trudność z kolacją. Ósma godzina to niewygodna pora. Później jest za późno, a przedtem za wcześnie.

– Och, jeśli o to chodzi… może pan naturalnie jeść tutaj, jeśli pan chce. Jego wielebność zawsze tu je. Może w ten sposób dałoby się to załatwić.

To jest właśnie rozwiązanie, jakiego chciałem. Jedzenie tutaj jest prawie tak dobre jak u Edwarda, a gdy będę jadł razem z księdzem, z pewnością dostanę jeszcze butelkę wina. Ponieważ Edward unieważnił abonamenty na niedzielę, jest to nawet świetne wyjście.

– Dobrze – oświadczam. – Spróbuję. A o pieniądzach już nie mówmy.

Przełożona oddycha z ulgą.

– Bóg panu wynagrodzi.

Wracam. Alejki w ogrodzie są puste. Czekam jeszcze przez chwilę na żółty żagiel z chińskiego jedwabiu. Potem dzwony w mieście oznajmiają południe, a ja wiem, że dla Izabelli następuje teraz pora spania, potem wizyta lekarza, i przed godziną czwartą nic nie da się zrobić. Przez wielką bramę wychodzę na pagórek. Patrzę w dół. Przede mną leży miasto ze spatynowanymi na zielono wieżami i dymiącymi kominami. Po obu stronach kasztanowej alei rozciągają się pola, na których w dni powszednie pracują niegroźni dla otoczenia wariaci. Zakład jest częściowo publiczny, częściowo prywatny. Pacjenci prywatni nie muszą oczywiście pracować. Za polami zaczyna się las pełen strumieni, stawów i polan. Jako chłopiec łapałem tam ryby, salamandry i motyle. Dopiero dziesięć lat minęło, ale zdaje się, że było to w innym życiu, w zagubionym czasie, kiedy byt przebiegał spokojnie, rozwijał się organicznie i kiedy wszystko miało jakiś związek, poczynając od dzieciństwa. Wojna to zmieniła. Od 1914 żyjemy strzępami z jednego, a potem drugiego i trzeciego życia; nie trzymają się one kupy i nie możemy ich połączyć. Dlatego nie jest tak trudno zrozumieć Izabellę z jej różnymi egzystencjami. Tylko że jej jest z tym prawie lepiej niż nam – gdy żyje jednym życiem, zapomina o wszystkich innych. A u nas wszystko się miesza – dzieciństwo zniszczone przez wojnę, czas głodu i oszustwa, czas rowów strzeleckich i żądzy życia – z każdego okresu coś zostało i budzi niepokój. Nie można tego po prostu odsunąć na bok. Zawsze wynurza się nagle i stoi nieprzejednane przed nami: niebo dzieciństwa

i umiejętność zabijania, stracona młodość i cynizm zbyt wczesnej wiedzy.

IV

Siedzimy w biurze i czekamy na Riesenfelda. Na kolację zjedliśmy grochówkę tak gęstą, że stawała w niej chochla, do tego mięso, na którym była gotowana – nóżki wieprzowe, świńskie uszy i każdy po bardzo tłustym kawałku boczku. Potrzebujemy tłuszczu, żeby impregnować nasze żołądki na działanie alkoholu – w żadnym wypadku nie możemy się dziś upić wcześniej niż Riesenfeld. Dlatego stara pani Kroll ugotowała zupę osobiście i wmusiła w nas jeszcze na deser porcję tłustego holenderskiego sera. Tu wchodzi w grę przyszłość firmy. Musimy wyrwać Riesenfeldowi transport granitu, choćbyśmy mieli iść przed nim na klęczkach do samego domu. Marmur, wapień i piaskowiec jeszcze mamy – ale odczuwamy dotkliwy brak granitu, tego kawioru żałoby.

Henryka Krolla uprzątnęliśmy z drogi. Trumniarz Wilke zrobił nam tę przysługę. Daliśmy mu dwie butelki żytniówki, a on zaprosił Henryka przed kolacją na skata z wódką. Henryk dał się skusić, nie potrafi się bowiem oprzeć, jeśli dostaje coś za darmo, i pije, ile się da; poza tym jak każdy nacjonalista uważa, że ma bardzo mocną głowę. W rzeczywistości nie może wiele wypić i zalewa się w trupa zupełnie niespodziewanie. Parę minut przedtem jest jeszcze gotów wypędzić batami partię socjaldemokratyczną z Reichstagu, a zaraz potem chrapie z otwartymi ustami i nie można go obudzić nawet komendą: „Skokami naprzód, marsz, marsz!”, szczególnie wtedy gdy, jak to i tym razem zaaranżowaliśmy, pił wódkę a pusty żołądek. Teraz śpi unieszkodliwiony w warsztacie Wilkego, na miękkich trocinach, w trumnie z dębowego drzewa. Na wszelki wypadek nie przenieśliśmy go do łóżka,

żeby się nie obudził. Natomiast Wilke siedzi piętro niżej, w pracowni naszego rzeźbiarza Kurta Bacha, i gra z nim w domino – grę, którą obaj lubią, ponieważ zostawia tyle wolnego czasu do myślenia. Do tego wypiją litr i ćwiartkę wódki, która pozostała po porażce Henryka i której Wilke zażądał jako honorarium.

Za transport granitu, jaki chcemy wyrwać Riesenfeldowi, nie możemy oczywiście zapłacić z góry. Nigdy nie mamy tyle pieniędzy, a byłoby również wariactwem trzymać je w banku – rozpłynęłyby się jak śnieg w czerwcu. Dlatego chcemy dać Riesenfeldowi weksel płatny za trzy miesiące. To znaczy, że chcemy kupić prawie za darmo.

Naturalnie Riesenfeld nie może sam jeden na tym tracić. Ten rekin w morzu ludzkich łez chce zarabiać jak każdy uczciwy kupiec. Dlatego też musi zanieść weksel do banku w tym samym dniu, kiedy go od nas otrzyma, i zdyskontować go. Bank stwierdza wtedy, że zarówno Riesenfeld jak i my dajemy gwarancję pokrycia kwoty, na jaką weksel opiewa, potrąca parę procent za dyskonto i wypłaca pieniądze. My zaś natychmiast oddajemy Riesenfeldowi potrącone dyskonto. W ten sposób otrzymuje on wszystkie swoje pieniądze za transport, tak jakbyśmy to my je wypłacili. Ale bank również nic nie traci. Natychmiast przekazuje weksel do Banku Rzeszy, który mu wypłaca tę sumę, podobnie jak nasz bank wypłacił Riesenfeldowi. Dopiero w Banku Rzeszy weksel czeka aż do nadejścia terminu płatności. Można sobie wyobrazić, co wtedy będzie jeszcze wart.

Znamy to wszystko dopiero od roku 1922. Aż do tego czasu pracowaliśmy jak Henryk Kroll i o mało przy tym nie zbankrutowaliśmy. Wyprzedawszy prawie cały skład i ku naszemu zdumieniu nie mając za to nic poza bezwartościowym kontem bankowym i paroma walizkami banknotów, które nie nadawały się nawet do wytapetowania naszej budy, próbowaliśmy najpierw sprzedawać i kupować znowu możliwie jak najszybciej – ale inflacja wyprzedzała nas bez trudu. Zbyt długo trwało, zanim otrzymaliśmy zapłatę za pomniki, a w tym czasie pieniądze dewaluowały się tak szybko, że najkorzystniejsze transakcje przynosiły w rezultacie

straty. Dopiero odkąd zaczęliśmy płacić wekslami, wychodzimy jakoś na swoje. I tak nie robimy kokosów, ale przynajmniej możemy żyć. Ponieważ każde przedsiębiorstwo w Niemczech finansuje się w ten sposób, Bank Rzeszy musi naturalnie drukować coraz więcej banknotów bez pokrycia, a kurs spada przez to coraz prędzej. Ale rząd pozornie ma również rację; w ten sposób pozbywa się wszystkich swoich długów wewnętrznych. Bankrutują przy tym ludzie, którzy nie mogą kupować na weksle, ci, którzy mają trochę mienia i muszą je sprzedawać, drobni kupcy, robotnicy, emeryci, którzy widzą, jak topnieją ich oszczędności w kasach pożyczkowych i wkłady bankowe, oraz urzędnicy i pracownicy umysłowi, którzy żyją z pensji nie starczającej nawet na parę nowych butów. Zarabiają natomiast paskarze i królowie kredytów wekslowych, cudzoziemcy, którzy za parę dolarów, koron czy złotych mogą kupić, co chcą, a także wielcy przedsiębiorcy, fabrykanci i spekulanci giełdowi, zwiększający swoje akcje i swój majątek w nieskończoność. Dla nich wszystko jest prawie za darmo. Odbywa się generalna wyprzedaż ciułacza, uczciwego zarobku i przyzwoitości. Sępy zlatują się ze wszystkich stron, a kto tylko może pozwolić sobie na długi, temu świetnie się powodzi. Znikają same przez się.

Właśnie Riesenfeld pouczył nas o tym w ostatniej chwili i uczynił nas małymi pasożytami na wielkiej plajcie. Przyjął od nas pierwszy weksel trzymiesięczny, mimo że bynajmniej nie dawaliśmy gwarancji na sumę, na jaką opiewał. Ale Odenwaldzkie Zakłady dawały ową gwarancję i to wystarczało. Byliśmy mu oczywiście wdzięczni, próbowaliśmy go przyjmować jak indyjskiego radżę, gdy przybył do Werdenbrück – to znaczy o tyle, o ile indyjski radża może być przyjmowany w Werdenbrück. Kurt Bach, nasz rzeźbiarz, zrobił kolorowy portret Riesenfelda w stylowych złotych ramach, który wręczyliśmy mu uroczyście. Niestety, portret go nie ucieszył. Wygląda na nim jak kandydat na proboszcza, a właśnie tego nie chce. Chce wyglądać jak tajemniczy uwodziciel i uważa, że robi takie wrażenie – godny uwagi przykład oszukiwania samego siebie, jeśli w rzeczywistości ma się wystający brzuch

i krótkie, krzywe nogi. Ale kto nie żyje oszukiwaniem samego siebie? Czy ja z moimi skromnymi, przeciętnymi zdolnościami nie marzę, szczególnie wieczorami, że stanę się lepszym człowiekiem, że mój talent pozwoli mi znaleźć wydawcę? Kto pierwszy rzuci kamieniem w pałąkowate nogi Riesenfelda, zwłaszcza jeśli w tych czasach są one odziane w prawdziwy angielski kamgarn?

– Co z nim zrobimy, Georg? – pytam. – Nie mamy ani jednej atrakcji. Zwykłe chlanie go nie zadowala. Ma na to za dużo fantazji i zbyt niespokojny charakter. Chce coś widzieć i słyszeć, i jeśli to możliwe, wziąć do ręki. Nasz wybór dam jest jednak beznadziejny. Te parę ładnych, które znamy, nie ma wcale ochoty słuchać przez cały wieczór Riesenfelda w jego roli Don Juana roku 1923. Gotowość pomocy i zrozumienie znajduje się niestety tylko u brzydkich, starszawych babsztylów.

Georg uśmiecha się.

– Nie wiem nawet, czy starczy nam gotówki na dzisiejszy wieczór. Gdy wczoraj wieczorem podejmowałem forsę, pomyliłem się w kursie dolara. Myślałem, że obowiązuje jeszcze kurs ranny. Jak ogłoszono kurs popołudniowy, było już za późno. W soboty zamykają bank o dwunastej.

– Za to dziś się nic nie zmieniło.

– W Czerwonym Młynie już się zmieniło, mój synu. Tam w niedzielę wyprzedza się kurs dolara o całe dwa dni. Bóg wie ile dziś wieczór będzie kosztowała u nich butelka wina.

– Tego i Bóg nie wie – mówię. – Nawet właściciel jeszcze nie wie. On ustala ceny, gdy zapala się światło. Dlaczego Riesenfeld nie lubi sztuki, malarstwa, muzyki czy literatury? To wypadłoby o wiele taniej. Wstęp do muzeum nadal kosztuje dwieście pięćdziesiąt marek. Moglibyśmy mu za to pokazywać godzinami obrazy i gipsowe głowy. Albo weźmy muzykę. Dziś jest popularny koncert na organach w kościele Świętej Katarzyny…

Georg zachłystuje się ze śmiechu.

– No, pięknie – stwierdzam. – To absurdalne wyobrażać sobie przy tym Riesenfelda, ale dlaczego nie lubi przynajmniej operetek i lekkiej muzyki? Moglibyśmy go zabrać do teatru – w każdym razie wypadłoby to taniej niż ten cholerny klub nocny!

– Właśnie idzie – mówi Georg. – Spytaj go.

Otwieramy drzwi. Riesenfeld wpływa po schodach wraz ze wczesnym wieczorem. Czar wiosennego zmierzchu nie miał na niego żadnego wpływu, to widzimy natychmiast. Witamy go z fałszywą poufałością. Riesenfeld dostrzega to, spogląda na nas z ukosa i siada z rozmachem na fotelu.

– Niech pan sobie oszczędzi tego podskakiwania – mruczy w moim kierunku.

– I tak miałem to zamiar zrobić – odpowiadam. – Tylko że mi to trudno przychodzi. To, co pan nazywa podskakiwaniem, gdzie indziej nazywają dobrymi manierami.

Riesenfeld uśmiecha się krótko i gniewnie.

– Dobrymi manierami daleko się dzisiaj nie zajedzie…

– Nie? A więc czym? – pytam, by go zachęcić do mówienia.

– Żelaznymi łokciami i gumowym sumieniem.

– Ależ panie Riesenfeld – mówi Georg pojednawczo. – Pan ma najlepsze maniery w świecie! Nie najlepsze może w mieszczańskim sensie… ale z pewnością bardzo eleganckie…

– Tak? Czy pan się aby nie myli? – Riesenfeldowi mimo jego rezerwy wyraźnie to pochlebiło.

– On ma maniery rabusia – wtrącam, dokładnie tak jak się tego Georg spodziewał. Odgrywamy tę komedię bez uprzednich prób, jakbyśmy ją znali na pamięć. – Albo raczej maniery pirata. Niestety, dzięki temu odnosi sukcesy.

Przy rabusiu Riesenfeld drgnął nieco, strzał był zbyt celny. Pirat ułagodził go znowu. Dokładnie tak jak było zamierzone, Georg wyciąga butelkę wódki z półki, na której stoją porcelanowe anioły, i napełnia kieliszki.

– Na jaką intencję będziemy pili? – pyta.

Zwykle pije się za zdrowie i dobre interesy. U nas jest to jednak trudne. Riesenfeld jest zbyt wrażliwy. Twierdzi, że coś takiego w firmie handlującej nagrobkami jest nie tylko paradoksem, ale także życzeniem, żeby jak najwięcej ludzi umarło. Równie dobrze można byłoby pić za cholerę i wojnę. Od tego czasu jemu zostawiamy dobór toastów.

Riesenfeld spogląda na nas zezem, trzymając kieliszek w ręku, ale nie odzywa się. Po chwili rzuca nagle w półmrok:

– Czym właściwie jest czas?

Zdumiony Georg odstawia kieliszek.

– Czas to pieprz życia – odpowiadam niewzruszony. Mnie ten stary łobuz nie złapie tak łatwo na swoje sztuczki. Nie darmo należę do Klubu Poetyckiego w Werdenbrück. Jesteśmy przyzwyczajeni do wielkich problemów.

Riesenfeld nie zwraca na mnie uwagi.

– Jak pan uważa, panie Kroll? – pyta.

– Jestem prostym człowiekiem – mówi Georg. – No to cyk!

– Czas – nastaje Riesenfeld. – Czas, ten pochód bez końca… nie nasz parszywy czas! Czas, ta powolna śmierć.

Tym razem i ja odstawiam kieliszek.

– Zdaje mi się, że powinniśmy chyba zapalić światło – mówię. – Co pan jadł na kolację, panie Riesenfeld?

– Siedź pan cicho, kiedy mówią dorośli – odpowiada Riesenfeld, a ja się orientuję, że nie uważałem przez chwilę. On nie chciał nas zaskoczyć – on mówi na serio. Bóg wie co mu się zdarzyło po południu. Chciałbym mu odpowiedzieć, że czas jest ważnym czynnikiem w wekslu, który ma podpisać, ale wolę wypić moją wódkę.

– Mam teraz sześćdziesiąt pięć lat – mówi Riesenfeld. – Ale przypominam sobie jeszcze czasy, gdy miałem dwadzieścia, jakby to było dopiero parę lat temu. Co było między tym? Co się stało? Człowiek budzi się nagle i jest już stary. A jak to jest u pana, panie Kroll?

– Podobnie – odpowiada Georg uprzejmie. – Mam czterdzieści lat, a czuję się, jakbym miał sześćdziesiąt. To zrobiła wojna.

Kłamie, żeby się przypodobać Riesenfeldowi.

– Ze mną jest inaczej – wyjaśniam, żeby również wsadzić swoje trzy grosze. – Także przez wojnę. Miałem siedemnaście lat, kiedy poszedłem na front – teraz mam dwadzieścia pięć, ale czuję się, jakbym miał siedemnaście. Siedemnaście i siedemdziesiąt. Młodość skradziono mi w wojsku.

– U pana to nie wojna – odpowiada Riesenfeld, który najwidoczniej dziś uwziął się na mnie, ponieważ czas, ta powolna

śmierć, nie dotknął mnie jeszcze tak jak jego. – Pan po prostu jest niedorozwinięty umysłowo. Przeciwnie, wojna wpłynęła nawet dodatnio na pański rozwój. Bez niej stałby pan jeszcze dziś na poziomie dwunastolatka.

– Dziękuję – odpowiadam. – Co za komplement! W dwunastym roku życia każdy człowiek jest geniuszem. Traci swoją oryginalność dopiero z początkiem dojrzałości płciowej, o której pan, panie granitowy Casanovo, ma takie przesadne mniemanie. Bardzo prymitywna namiastka utraconej wolności ducha!

Georg dolewa wódki. Widzimy, że czeka nas ciężki wieczór. Musimy wyciągnąć Riesenfelda z przepaści chandry, a żaden z nas nie ma ochoty puszczać się dziś wieczorem na filozoficzne banały. Najchętniej wypilibyśmy w milczeniu butelkę mozelskiego wina pod kasztanem, zamiast w Czerwonym Młynie ubolewać z Riesenfeldem nad jego straconym wiekiem męskim.

– Jeśli się pan interesuje problemem czasu – mówię z lekką nadzieją – mogę pana wprowadzić do towarzystwa, w którym spotka pan samych specjalistów w tej dziedzinie – do Klubu Poetyckiego naszego kochanego rodzinnego miasta. Pisarz Hans Hungermann rozwałkował ten problem w sześćdziesięciu wierszach w pewnym jeszcze nie wydrukowanym dziele. Możemy tam zaraz iść. Każdego niedzielnego wieczoru odbywa się posiedzenie, po nim zaś część rozrywkowa.

– Czy są tam również damy?

– Oczywiście, że nie. Kobiety piszące poezję są tym samym co rachujące konie. Wyjąwszy oczywiście uczennice Safony.

– Na czym więc polega część rozrywkowa? – pyta logicznie Riesenfeld.

– Na wymyślaniu na innych pisarzy. Szczególnie na tych, którzy mają powodzenie.

Riesenfeld chrząka pogardliwie. Chcę już zrezygnować, gdy nagle naprzeciwko, w domu Watzeka, rozbłyskuje okno jak oświetlony obraz w ciemnym muzeum. Widzimy Lizę za firankami. Właśnie się ubiera i ma na sobie tylko biustonosz i bardzo krótkie, białe, jedwabne majtki.

Riesenfeld gwiżdże przez nos jak świstak. Jego kosmiczna melancholia znikła za jednym zamachem. Podnoszę się, żeby zapalić światło.

– Nie zapalaj pan! – parska. – Nie ma pan w ogóle poczucia poezji?

Podkrada się do okna. Liza zaczyna wciągać przez głowę wąską sukienkę. Wije się jak wąż. Riesenfeld sapie głośno.

– Co za szampańska kobieta! Do pioruna, jaki kuperek! Marzenie! Kto to jest?

– Zuzanna w kąpieli – wyjaśniam. W ten sposób chcę mu delikatnie zwrócić uwagę, że w tej chwili odgrywamy rolę starych cymbałów, którzy ją podglądają.

– Bzdury! – Wojażer z kompleksem Einsteina nie spuszcza oka ze złotego okna. – Chodzi mi o to, jak się nazywa.

– Nie mam pojęcia. Widzimy ją pierwszy raz. Dziś w południe jeszcze tam nie mieszkała.

– Rzeczywiście? – Liza wciągnęła już sukienkę i wygładza ją rękami. Za plecami Riesenfelda Georg nalewa wódkę sobie i mnie. Wychylamy kieliszki. – Rasowa kobieta! – mówi Riesenfeld, który nadal stoi przylepiony do okna. – Prawdziwa dama, to widać z miejsca. Prawdopodobnie Francuzka.

Liza jest, o ile wiemy, Czeszką.

– Mogłaby to być mademoiselle de la Tour – rzucam, by jeszcze bardziej podniecić Riesenfelda. – Wczoraj gdzieś słyszałem to nazwisko.

– Widzi pan! – Riesenfeld odwraca się na chwilę do nas. – Mówiłem, że Francuzka! Od razu to widać – to *je ne sais pas quoi*! Nie uważa pan, panie Kroll?

– W tych sprawach pan jest znawcą, panie Riesenfeld.

Światło w pokoju Lizy gaśnie. Riesenfeld wlewa kieliszek w zduszone gardło i znowu przyciska twarz do okna. Po chwili Liza ukazuje się w drzwiach domu i wychodzi na ulicę. Riesenfeld patrzy na nią.

– Czarujący chód! Ona nie drepcze. Ma długi krok. Gibka jak pantera! Kobiety, które drepczą, przynoszą zawsze rozczarowanie. Ale ta – za nią gwarantuję!

Przy gibkiej panterze wypiłem szybko jeszcze jeden kieliszek. Georg, szczerząc zęby w uśmiechu, zatonął w swoim fotelu. Udało nam się! Teraz Riesenfeld odwraca głowę. Jego twarz połyskuje jak blady księżyc.

– Światła, moi panowie! Na co jeszcze czekamy? Dalej w życie!

Wychodzimy za nim w cichą noc. Wpatruję się w jego żabi grzbiet. Gdybym ja również mógł tak łatwo wynurzać się z moich czarnych nastrojów jak ten magik, myślę z zazdrością.

W Czerwonym Młynie nie ma gdzie szpilki wetknąć. Dostajemy ostatni wolny stolik, bardzo blisko orkiestry. Muzyka i tak jest głośna, ale przy naszym stoliku brzmi wprost ogłuszająco. Początkowo wywrzaskujemy sobie do uszu nasze spostrzeżenia, potem zadowalamy się gestami, jak trio głuchoniemych. Parkiet jest tak zapchany, że ludzie ledwo mogą się poruszać. Ale Riesenfeldowi to nie przeszkadza. Przy barze wyśledził jakąś kobietę w białych jedwabiach i rzuca się na nią. Dumnie popycha ją swoim spiczastym brzuchem na parkiet. Jest wyższa o głowę i ze znudzeniem patrzy ponad nim na salę udekorowaną balonikami. Riesenfeld kipi w dole jak Wezuwiusz. Znalazł się w szponach swego demona.

– Może byśmy dolali mu wódki do wina, żeby prędzej był gotów? – mówię do Georga. – Chłopak doi jak smok! To już piąta butelka! Jeśli tak dalej pójdzie, za dwie godziny ogłosimy bankructwo. O ile potrafię ocenić, już przechlaliśmy parę nagrobków. Mam nadzieję, że nie przyprowadzi i tej białej upiorzycy do stolika, żebyśmy ją również musieli poić.

Georg potrząsa głową.

– To barmanka. Musi wrócić do roboty.

Riesenfeld wynurza się znowu. Jest czerwony i spocony.

– Cóż to wszystko znaczy wobec czaru fantazji! – ryczy do nas przez wrzawę. – Namacalna rzeczywistość, dobrze! Ale gdzie jest poezja? Dziś wieczorem to okno na tle ciemnego nieba – to był temat do marzeń! Taka kobieta – rozumiecie, o co mi chodzi?

– Jasne – odwrzaskuje Georg w odpowiedzi. – To, czego nie można dostać, wydaje się zawsze lepsze niż to, co się ma. Na tym

polega romantyka i idiotyzm ludzkiego życia. Zdrówko, Riesenfeld!

– Nie myślałem tego tak wulgarnie! – wrzeszczy Riesenfeld poprzez melodię fokstrota *Gdyby Piotr o tym wiedział*. – Chciałem to ująć subtelniej.

– Ja również! – ryczy Georg w odpowiedzi.

– Ale ja jeszcze subtelniej!

– Dobra, tak subtelnie, jak pan chce!

Muzyka grzmi w potężnym crescendo. Parkiet jest jedną pstrą puszką sardynek. Nagle drętwieję. Wciśnięta w łapy jakiejś ubranej w garnitur małpy przesuwa się w tanecznym kłębowisku moja przyjaciółka Erna. Nie widzi mnie, ale ja z daleka poznaję jej rude włosy. Bezwstydnie wisi u ramienia typowego paskarskiego synka. Siedzę bez ruchu, ale mam takie uczucie, jakbym połknął odbezpieczony ręczny granat. Ona tam tańczy, ta gadzina, której poświęciłem dziesięć wierszy mojego nieopublikowanego zbioru *Pył i gwiazdy*, a mnie okłamywała od tygodnia, że z powodu lekkiego wstrząsu mózgu nie wolno jej wychodzić. Upadła po ciemku. Upadła, tak, ale w ramiona tego młodzieńca, noszącego dwurzędowy smoking i sygnet na łapie, którą trzyma na biodrze Erny. A ja, cymbał, jeszcze dziś po południu posłałem jej różowe tulipany z naszego ogrodu, z trzyzwrotkowym wierszem *Majowe nabożeństwo Pana*. Może przeczytała go temu paskarzowi! Widzę dokładnie, jak się oboje skręcają ze śmiechu.

– Co panu jest? – ryczy Riesenfeld. – Niedobrze panu?

– Gorąco! – wyję w odpowiedzi i czuję, jak mi pot spływa po plecach. Jestem wściekły. Jeśli Erna się obejrzy, zobaczy, jaki jestem spocony i czerwony, a teraz chciałbym za wszelką cenę wyglądać wyniośle i chłodno i być opanowany jak prawdziwy światowiec. Szybko przejeżdżam chusteczką po twarzy. Riesenfeld uśmiecha się ze współczuciem. Georg to widzi.

– Pan sam również nieźle się poci, Riesenfeld – mówi.

– Ja to co innego! To jest pot z radości życia! – wrzeszczy Riesenfeld.

– To jest pot minionego czasu – skrzeczę zjadliwie i czuję, jak mi się zbiera w ustach słona ślina.

Erna jest tuż koło nas. Rozmarzonym wzrokiem wpatruje się w orkiestrę. Nadaję swojej twarzy wyraz lekkiego zdumienia, uśmiech wyższości, podczas gdy pot rozmiękcza mi teraz kołnierzyk.

– Co panu jest? – krzyczy Riesenfeld. – Wygląda pan jak kangur w transie!

Ignoruję go. Erna odwróciła się. Spoglądam chłodno na tańczących i obserwuję ich, aż wreszcie udaję, że przypadkowo poznałem Ernę. Niedbale podnoszę dwa palce na powitanie.

– On zwariował! – wyje Riesenfeld przez synkopy fokstrota *Ojciec Niebieski*.

Nie odpowiadam. Rzeczywiście brak mi słów. Erna w ogóle mnie nie zauważyła.

Muzyka wreszcie przestaje grać. Parkiet opróżnia się z wolna. Erna znika w jednej z nisz.

– Ile było teraz? Siedemnaście czy siedemdziesiąt? – wrzeszczy Riesenfeld.

Ponieważ muzyka w tym momencie zamilkła, jego pytanie rozbrzmiewa na całą salę. Kilkudziesięciu ludzi spogląda ku nam i nawet sam Riesenfeld się przestraszył. Mam ochotę szybko wleźć pod stół, ale potem przychodzi mi do głowy, że ludzie tu zebrani mogą uważać to pytanie po prostu za ofertę handlową, i odpowiadam chłodno i głośno:

– Siedemdziesiąt jeden dolarów za sztukę i ani centa mniej.

Moja odpowiedź natychmiast budzi zainteresowanie.

– O co chodzi? – pyta od sąsiedniego stolika jakiś mężczyzna o dziecinnej twarzy. – Zawsze interesuję się dobrymi obiektami. Cash oczywiście. Aufstein jestem.

– Feliks Koks – odpowiadam, zadowolony, że udało mi się dojść do siebie. – Chodziło o dwadzieścia flakonów perfum. Niestety, tamten pan już kupił.

– Szszsz… – syczy jakaś tleniona blondynka.

Zaczyna się program. Konferansjer gada głupstwa i jest wściekły, że jego dowcipy nie chwytają. Odsuwam się z krzesłem i znikam za Aufsteinem. Dla konferansjerów, którzy zaczepiają

publiczność, jestem ulubionym celem, a dziś z powodu Erny skończyłoby się to blamażem.

Wszystko idzie dobrze. Konferansjer znika niezadowolony i któż zjawia się w białej sukni ślubnej z welonem? Renée de la Tour. Z ulgą wyprostowuję się znowu.

Renée zaczyna swój duet. Jako panna młoda, nieśmiała i zawstydzona, treluje wysokim sopranem – potem nagle odzywa się basem i natychmiast wybucha sensacja.

– Co pan myśli o tej pani? – pytam Riesenfelda.

– Niezła…

– Chciałby pan ją poznać? To mademoiselle de la Tour.

Riesenfeld jest zdumiony.

– La Tour? Nie chce pan chyba twierdzić, że ten absurdalny wybryk natury jest czarodziejką z tamtego okna naprzeciwko?

Właśnie chcę tak twierdzić i zobaczyć, jak on zareaguje, gdy nagle widzę coś jakby anielską aureolę wokół jego słoniowej trąby. Bez słów wskazuje kciukiem na wejście.

– Tam… tam… to ona! Cudo! Czegoś takiego się nie zapomina!

Ma rację. Weszła Liza. Jest w towarzystwie dwóch starych pierników i zachowuje się jak dama z najlepszego towarzystwa, przynajmniej według pojęć Riesenfelda. Zdaje się, że prawie nie oddycha i słucha swych kawalerów z godnością.

– Czy nie miałem racji? – pyta Riesenfeld. – Czy kobiet nie można poznać po chodzie?

– Kobiety i policjantów – mówi Georg i uśmiecha się. Ale i on spogląda na Lizę z przyjemnością.

Zaczyna się drugi numer programu. Na parkiecie staje akrobatka. Jest młoda, ma zuchwałą twarz, zadarty nosek i piękne nogi. Tańczy akrobatyczny taniec z saltami, stawaniem na rękach i skokami. Dalej obserwujemy Lizę. Wygląda tak, jakby najchętniej zaraz opuściła lokal. To oczywiście szachrajstwo. Istnieje tylko jeden nocny klub w mieście; wszystkie inne to kawiarnie, restauracje czy knajpy. Dlatego też w Czerwonym Młynie spotyka się każdego, kto ma dość forsy, żeby tu przyjść.

– Szampana! – trąbi Riesenfeld dyktatorskim głosem.

Jestem przerażony, a także Georg się zmartwił.

– Panie Riesenfeld – mówię. – Szampan jest tu bardzo kiepski.

W tej samej chwili patrzy na mnie jakaś twarz z podłogi. Spoglądam na nią zdumiony i widzę, że jest to tancerka, która przegięła się tak bardzo do tyłu, że jej głowa znalazła się teraz między nogami. Przez sekundę wygląda jak jakiś szczególnie pokręcony karzełek.

– Szampana ja zamawiam! – wyjaśnia Riesenfeld i kiwa na kelnera.

– Brawo! – mówi twarz z dołu.

Georg mruga do mnie. On gra rolę dżentelmena, podczas gdy ja jestem od niewygodnych spraw. Tak to już między sobą ustaliliśmy.

– Jeśli pan chce szampana, Riesenfeld, dostanie pan szampana – mówi wobec tego Georg. – Ale naturalnie jest pan naszym gościem.

– Wykluczone! Teraz na mnie kolej! Ani słowa więcej! – Riesenfeld staje się Don Juanem wysokiej klasy. Patrzy z zadowoleniem na złoty korek w lodzie. Różne damy wykazują natychmiast wielkie zainteresowanie. Ja również jestem zadowolony. Szampan nauczy Ernę, że za wcześnie wyrzuciła mnie za burtę. Z satysfakcją przepijam do Riesenfelda, który odpowiada uroczyście.

Wynurza się Willy. Należało się tego spodziewać; jest tu stałym gościem. Aufstein ulatnia się ze swoim towarzyszem, a Willy zostaje naszym sąsiadem. Po chwili podnosi się i wita Renée de la Tour. Jest z nią ładna dziewczyna w czarnej wieczorowej sukni. Po chwili poznaję akrobatkę. Willy przedstawia nas. Ona nazywa się Gerda Schneider i rzuca lekceważące spojrzenie na szampana i na nas trzech. Uważamy, czy Riesenfeld nie okaże zainteresowania, wtedy bowiem pozbylibyśmy się go na cały wieczór. Ale Riesenfeld jest całkiem zaprzedany Lizie.

– Myśli pan, że mogę ją poprosić do tańca? – pyta Georga.

– Nie radziłbym panu – odpowiada Georg dyplomatycznie. – Ale może później jakoś się z nią zapoznamy.

Spogląda na mnie z wyrzutem. Gdybym nie powiedział w biurze, że nie wiemy, kim jest Liza, wszystko byłoby w porządku. Ale kto mógłby przypuszczać, że Riesenfeld puści się na romantyczną

przygodę? Teraz jest już za późno, żeby go oświecić. Romantycy nie mają poczucia humoru.

– Pan nie tańczy? – pyta mnie akrobatka.

– Źle. Nie mam poczucia rytmu.

– Ja również. To może spróbujemy razem.

Wciskamy się w zbity tłum na parkiecie i dajemy się powoli popychać naprzód.

– Trzech mężczyzn bez kobiet w nocnym kabarecie – mówi Gerda. – Dlaczego?

– A dlaczego nie? Mój przyjaciel Georg twierdzi, że kto bierze ze sobą kobiety do kabaretu, zachęca je, by mu przyprawiły rogi.

– Któż to jest pański przyjaciel Georg? Ten z grubym nosem?

– Ten z łysą głową. On jest zwolennikiem systemu haremowego. Mówi, że kobiet nie można pokazywać.

– Naturalnie… A pan?

– Nie mam żadnego systemu. Jestem jak liść na wietrze.

– Niech mi pan nie depcze po nogach – mówi Gerda. – Pan nie jest żadnym liściem. Waży pan przynajmniej siedemdziesiąt kilo.

Biorę się w garść. Właśnie przesuwają nas koło stolika Erny i tym razem, dzięki Bogu, poznała mnie, mimo że jej głowa spoczywa na ramieniu paskarza z sygnetem, a on ściska ją w talii. Do diabła z rytmem. Uśmiecham się do Gerdy i przyciskam ją mocniej do siebie. Obserwuję przy tym Ernę.

Gerda pachnie konwaliami.

– No, a teraz niech mnie pan znowu puści – mówi. – W ten sposób nic pan nie osiągnie u tej rudowłosej damy. A przecież o to panu chodziło, prawda?

– Nie – kłamię.

– Nie powinien pan w ogóle zwracać na nią uwagi. Tymczasem wpatrywał się pan w nią jak zahipnotyzowany, a potem urządził to całe przedstawienie ze mną. Boże, ależ pan niedoświadczony!

Usiłuję zachować fałszywy uśmiech; za nic nie chciałbym, by Erna zauważyła, że i tutaj wpadłem.

– Nie urządzałem żadnego przedstawienia – mówię drętwo. – Nie chciałem tańczyć.

Gerda odsuwa się ode mnie.

– Widzę, że jest pan w dodatku naprawdę rycerski! Przestańmy. Bolą mnie nogi.

Zastanawiam się, czy mam jej wytłumaczyć, że chodziło mi o co innego; ale kto wie, jak mogę się jeszcze zaplątać! Trzymam więc gębę na kłódkę i z podniesioną głową, choć zawstydzony, idę za nią do stolika.

Tam tymczasem podziałał już alkohol. Georg i Riesenfeld przeszli na ty. Riesenfeld ma na imię Aleks. Najpóźniej za godzinę będzie chciał, żebym z nim również wypił bruderszaft. Jutro rano naturalnie o wszystkim zapomni.

Siedzę dość smutny i czekam, aż Riesenfeld się zmęczy. Tańczący suną w dal, unoszeni przez muzykę w leniwej rzece hałasu, bliskości ciał i stadnych uczuć. Także Erna przesuwa się wyzywająco obok i ignoruje moją osobę. Gerda mnie trąca.

– Ma farbowane włosy – mówi, a ja mam wstrętne uczucie, że chce mnie pocieszyć.

Kiwam głową i spostrzegam, że dosyć już wypiłem. Riesenfeld woła wreszcie kelnera. Liza wyszła, więc i on też chce wyjść.

Mija parę minut, zanim jesteśmy gotowi. Riesenfeld rzeczywiście płaci za szampana; oczekiwałem, że zostawi nas z czterema butelkami, które zamówił. Żegnamy się z Willym, Renée de la Tour i Gerdą Schneider. To już koniec; także i muzyka zbiera się do wyjścia. Wszyscy tłoczą się przy drzwiach i koło szatni.

Niespodziewanie znalazłem się obok Erny. Jej kawaler wiosłuje długimi ramionami ku szatni, by przynieść jej płaszcz. Erna mierzy mnie lodowatym wzrokiem.

– Tu musiałam cię złapać! Prawdopodobnie nie spodziewałeś się tego!

– Ty mnie złapałaś? – pytam zaskoczony. – To chyba ja ciebie!

– I w jakim towarzystwie! – ciągnie dalej, jakbym w ogóle nie odpowiedział. – Z dziwkami z kabaretu! Nie dotykaj mnie! Kto wie, czego się już nabawiłeś!

W ogóle nie próbowałem jej dotknąć.

– Jestem tu w sprawach handlowych – odpowiadam. – A ty? Jak ty się tu znalazłaś?

– W sprawach handlowych! – Śmieje się jadowicie. – W sprawach handlowych! Kto umarł?

– Kręgosłup państwa, drobny ciułacz – odpowiadam i uważam, że jestem dowcipny. – Codziennie go tu grzebią, ale jego pomnikiem nie jest krzyż – jest nim mauzoleum zwane giełdą.

– I takiemu pijaczynie zaufałam! – ciągnie dalej Erna, jakby znowu nic nie słyszała. – Z nami koniec, panie Bodmer!

Georg i Riesenfeld walczą przy szatni o swoje kapelusze. Spostrzegam, że niesłusznie znalazłem się w defensywie.

– Słuchaj! – sapię wściekle. – Kto mi mówił jeszcze dziś po południu, że nie może wyjść, bo ma potworne bóle głowy? A kto się tu rozbija z tym grubym paskarzem?

Erna blednie koło nosa.

– Ach, ty karczemny wierszokleto! – szepcze, jakby pluła witriolem. – Uważasz, że jeśli umiesz przepisywać cudze wiersze, jesteś lepszy od innych? Naucz się najpierw zarabiać dość pieniędzy, żebyś mógł odpowiednio traktować kobietę! Ty, z twoimi wycieczkami za miasto! Do zielonych chorągwi maja! Żebym się tylko nie rozpłakała ze współczucia!

„Zielone chorągwie maja” są cytatem z wiersza, który posłałem jej po południu. Zataczam się wewnętrznie, a na zewnątrz się uśmiecham.

– Nie odbiegajmy od tematu – mówię. – Kto idzie z dwoma uczciwymi przedsiębiorcami do domu? A kto z kawalerem?

Erna spogląda na mnie ze zdumieniem.

– Czy mam iść nocą sama jak barowa prostytutka? Uważasz, że to dla mnie przyjemność, kiedy każdy cham mnie zaczepia? Co ty sobie właściwie myślisz?

– Nie powinnaś tu w ogóle przychodzić.

– Tak? Patrzcie no! Już chcesz mi rozkazywać, co? Zabraniasz mi wychodzić! Ale sam latasz! I co jeszcze? Mam ci może cerować skarpetki? – Śmieje się jadowicie. – Pan sobie pije szampana, a mnie ma wystarczyć woda selcerska i piwo albo tanie wino bez rocznika.

– Ja nie zamawiałem szampana! To Riesenfeld!

– Oczywiście! Zawsze niewinny, zbankrutowany nauczyciel! Czego tu jeszcze sterczysz? Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego! Odczep się ode mnie!

Z wściekłości nie mogę mówić. Georg podchodzi bliżej i podaje mi kapelusz. Jednocześnie zjawia się paskarz Erny. Oboje odchodzą.

– Słyszałeś to wszystko? – pytam Georga.

– Częściowo. Dlaczego kłócisz się z kobietą?

– Nie chciałem się z nią kłócić.

Georg parska śmiechem. Nigdy nie upije się całkowicie, nawet gdyby wyżłopał cały kubeł.

– Nie dawaj się sprowokować. Zawsze będziesz przegrany. Dlaczego wiecznie chcesz mieć rację?

– Tak – mówię. – Dlaczego? Bo jestem synem niemieckiej ziemi, prawdopodobnie. Czy ty nigdy nie kłócisz się z kobietami?

– Oczywiście, że się kłócę. Ale to mnie nie powstrzymuje od dawania dobrych rad innym.

Chłodne powietrze działa na Riesenfelda jak miękki młot.

– Mówmy sobie ty – zwraca się do mnie. – Jesteśmy braćmi. Wyzyskiwaczami śmierci. – Śmieje się, prychając jak kot. – Mam na imię Aleks.

– Rolf – odpowiadam. Nie mam zamiaru zdradzać swojego uczciwego imienia Ludwik na te pijackie bruderszafty jednej nocy. Dla Riesenfelda wystarczy Rolf.

– Rolf? – pyta Riesenfeld. – Co za idiotyczne imię! Od zawsze je masz?

– Mam prawo używać go w latach przestępnych i poza służbą. Aleks to również nic szczególnego.

Riesenfeld chwieje się nieco.

– Nie szkodzi – mówi wielkodusznie. – Dzieci, już dawno się tak dobrze nie czułem! Macie u siebie kawę?

– Naturalnie – mówi Georg. – Rolf jest pierwszorzędnym specjalistą od parzenia kawy.

Chwiejąc się, idziemy przez cień kościoła Najświętszej Marii Panny ku ulicy Krzywej. Przed nami kroczy jak bocian samotny

wędrowiec i skręca do naszej bramy. Jest to feldfebel Knopf, który wraca ze swej wędrówki inspekcyjnej po knajpach. Idziemy za nim i dościgamy go, gdy akurat siusia na czarny obelisk przy drzwiach.

– Panie Knopf – mówię – to się nie godzi!

– Spocznij – mruczy Knopf, nie odwracając się.

– Panie feldfebel – ciągnę. – To się nie godzi! To świństwo! Czemu nie robi pan tego w swoim mieszkaniu?

Szybko odwraca głowę.

– Mam szczać w pokoju? Czy pan zwariował?

– Nie w pokoju! Ma pan komfortową toaletę w domu. Niech pan z niej korzysta! To zaledwie dziesięć metrów stąd.

– Bzdury!

– Plugawi pan godło naszej firmy! Poza tym popełnia pan profanację. To jest nagrobek. Święta rzecz.

– Nagrobkiem to będzie dopiero na cmentarzu – mówi Knopf i kroczy jak na szczudłach ku drzwiom domu. – W każdym razie dobranoc panom.

Kłania się lekko i uderza przy tym głową o futrynę. Znika, mrucząc jak niedźwiedź.

– Kto to był? – pyta Riesenfeld, gdy szukam kawy.

– Pańskie przeciwieństwo. Abstrakcyjny pijak. Pije bez cienia fantazji. Nie potrzebuje żadnej pomocy z zewnątrz. Żadnych marzeń.

– No proszę! – Riesenfeld zajmuje miejsce przy oknie. – A więc beczka alkoholu. Człowiek żyje z marzeń. Czy pan o tym nie wie?

– Nie. Na to jestem za młody.

– Nie jest pan za młody. Pan jest tylko produktem wojennym – emocjonalnie niedojrzały i już zbyt doświadczony w zabijaniu.

– *Merci* – mówię. – A jak tam kawa?

Opary najwyraźniej się przejaśniają. Znowu jesteśmy na pan.

– Myśli pan, że ta dama z przeciwka jest już w domu? – pyta Riesenfeld Georga.

– Prawdopodobnie. Wszędzie ciemno.

– Może być dlatego ciemno, że jej jeszcze nie ma. Poczekamy z parę minut?

– Oczywiście.

– Może będziemy mogli tymczasem załatwić nasze sprawy – mówię. – Trzeba tylko podpisać umowę. A ja przyniosę kawę z kuchni.

Wychodzę i daję w ten sposób czas Georgowi, by obrobił Riesenfelda. To lepiej idzie bez świadków. Siadam na stopniach schodów. Z warsztatu Wilkego dolatuje spokojne chrapanie. To musi być wciąż jeszcze Henryk Kroll, Wilke bowiem tu nie mieszka. Narodowy kupiec będzie miał porządnego stracha, gdy obudzi się w trumnie! Zastanawiam się, czy mam go doprowadzić do przytomności, ale jestem zanadto zmęczony, a zresztą niebawem będzie już widno – więc strach dla takiego niezłomnego wojownika będzie raczej hartującą kąpielą, która go wzmocni i uświadomi mu, co jest ostatecznym rezultatem jego wesołej i przyjemnej wojenki. Spoglądam na zegarek, czekam na sygnał Georga i wpatruję się w ogród. Spośród kwitnących drzew jak z bladego łoża cicho wstaje ranek. W oświetlonym oknie na pierwszym piętrze stoi feldfebel Knopf w nocnej koszuli i pociąga ostatni łyk z butelki. Kotka ociera się o moje nogi. Dzięki Bogu, myślę, niedziela się skończyła.

V

Jakaś kobieta w żałobie przemyka się przez bramę i niezdecydowana staje na podwórku. Wychodzę. Klientka na nagrobek, myślę, i pytam:

– Chciałaby pani zobaczyć naszą wystawę?

Kiwa głową, ale zaraz potem mówi:

– Nie, nie, może jeszcze nie teraz.

– Może się pani spokojnie rozejrzeć. Nie musi pani nic kupować. Jeśli pani woli, zostawię panią samą.

– Nie, nie! To jest… chciałam tylko…

Czekam. Pośpiech w naszej branży jest bezcelowy. Po chwili kobieta mówi:

– To dla mego męża…

Kiwam głową i czekam dalej. Równocześnie skręcam ku rzędowi małych belgijskich nagrobków.

– Tu mamy bardzo piękne pomniki – mówię wreszcie.

– Tak, pewnie, tylko że… – Znowu urywa i patrzy na mnie prawie błagalnie. – Nie wiem, czy to w ogóle wolno… – wydusza wreszcie.

– Co? Postawić nagrobek? A kto może tego zakazać?

– Grób nie jest na cmentarzu…

Spoglądam na nią zaskoczony.

– Proboszcz nie chce, żeby mojego męża pochowano na cmentarzu – mówi szybko i cicho, odwracając głowę.

– Dlaczegóż to? – pytam zdumiony.

– Bo… bo on podniósł na siebie rękę – wykrztusza. – Odebrał sobie życie. Nie mógł dłużej wytrzymać.

Stoi i wpatruje się we mnie nieruchomo. Jeszcze jest przerażona tym, co powiedziała.

– Pani sądzi, że dlatego nie może być pochowany na cmentarzu? – pytam.

– Tak. Nie na katolickim. Nie w poświęconej ziemi.

– Ależ to nonsens! – wołam gniewnie. – Powinien być pochowany w podwójnie poświęconej ziemi. Nikt nie odbiera sobie życia, jeśli nie znajduje się w nieszczęściu. Jest pani zupełnie pewna, że to prawda?

– Tak. Proboszcz mi powiedział.

– Proboszcze mówią dużo, to jest ich fach. Gdzie więc ma być pochowany?

– Poza cmentarzem. Nie na poświęconej ziemi. Po drugiej stronie muru. Albo na miejskim cmentarzu. Ale to niemożliwe. Tam wszystko jest pomieszane.

– Miejski cmentarz jest o wiele ładniejszy od katolickiego – mówię. – I leżą tam również katolicy.

Potrząsa głową.

– Nie wypada. On był wierzący. On musi… – Jej oczy nagle wypełniają się łzami. – On z pewnością się nie zastanowił, że nie będzie mógł leżeć w poświęconej ziemi.

– Prawdopodobnie w ogóle o tym nie myślał. Ale niech się pani nie dręczy z powodu jakiegoś tam proboszcza. Znam tysiące bardzo pobożnych katolików, którzy nie leżą w poświęconej ziemi.

Kobieta odwraca się do mnie szybko.

– Gdzie?

– Na pobojowiskach w Rosji i we Francji. Leżą tam obok siebie w masowych grobach katolicy, żydzi i protestanci i nie sądzę, żeby Bóg miał im to za złe.

– To co innego. Oni polegli. Ale mój mąż…

Płacze teraz otwarcie. Łzy są w naszej firmie czymś zrozumiałym samo przez się, ale te są inne niż zwykle. W dodatku ta kobieta jest jak garstka słomy; wydaje się, że wiatr mógłby ją unieść.

– Może żałował tego w ostatniej chwili – mówię, by coś powiedzieć. – W takim razie wszystko zostaje przebaczone.

Spogląda na mnie. Jest spragniona nawet najdrobniejszej pociechy.

– Naprawdę pan tak myśli?

– Z pewnością. Ksiądz tego oczywiście nie wie. To wie tylko pani mąż. A on nie może nic powiedzieć.

– Proboszcz twierdzi, że grzech śmiertelny…

– Kochana pani – przerywam jej. – Bóg jest o wiele bardziej litościwy niż księża, może mi pani wierzyć.

Wiem teraz, co ją dręczy. Chodzi jej nie tyle o niepoświęcony grób, ile o to, że jej mąż jako samobójca musi całą wieczność smażyć się w piekle i że mógłby może zostać uratowany i wykręcić się kilkuset tysiącami lat czyśćca, gdyby go pochowano na katolickim cmentarzu.

– To z powodu pieniędzy – mówi. – Złożył je do depozytu w kasie oszczędnościowej na całe pięć lat i nie można ich było podjąć. To był posag mojej córki z pierwszego małżeństwa, a on był jej opiekunem. Gdy wreszcie przed dwoma tygodniami mógł podjąć te pieniądze, nie były już nic warte, a narzeczony zerwał zaręczyny. On się spodziewał, że mamy pieniądze na dobry posag. Przed dwoma laty jeszcze by starczyło, ale teraz nie ma już żadnej wartości. Moja córka tylko płakała. On tego nie wytrzymał. Mówił, że to jego wina, że powinien był lepiej uważać. Ale ponieważ to było złożone jako depozyt, nie mogliśmy wycofać tych pieniędzy. W ten sposób procenty były większe.

– Jak on mógł lepiej uważać? Takie rzeczy zdarzają się dzisiaj wielu ludziom. On nie był bankierem.

– Nie. Był buchalterem. Sąsiedzi…

– Niech się pani nie troszczy o to, co mówią sąsiedzi. To tylko złośliwe plotki. A wszystko inne niech pani pozostawi Bogu.

Czuję, że nie brzmi to zbyt przekonująco, ale co mam powiedzieć kobiecie w takich okolicznościach? Tego, co naprawdę myślę, na pewno nie.

Kobieta ociera sobie oczy.

– Nie powinnam była panu nic opowiadać. Co to pana obchodzi? Przepraszam! Ale czasami nie wiadomo, dokąd…

– Nie szkodzi – mówię. – My jesteśmy przyzwyczajeni. Tu przecież przychodzą tylko ludzie, którzy stracili swoich najbliższych.

– Tak… ale nie w ten sposób…

– Owszem – wyjaśniam. – W tych smutnych czasach takie sprawy zdarzają się o wiele częściej, niż pani przypuszcza. Siedem wypadków w ciągu ostatniego miesiąca. To są ludzie, którzy nie mają żadnego wyjścia. A więc ludzie porządni. Łobuzy wychodzą cało.

Patrzy na mnie.

– Sądzi pan, że mogę postawić mu pomnik, chociaż leży w niepoświęconej ziemi?

– Jeśli ma pani pozwolenie na grób, może pani. Na cmentarzu miejskim z całą pewnością. Jak pani chce, może pani wybrać nagrobek. Odbierze go pani, gdy wszystko będzie załatwione.

Ogląda się. Potem wskazuje na nagrobki trzeciej klasy.

– Ile kosztuje taki?

Zawsze to samo. Biedni nigdy nie pytają, ile kosztuje najmniejszy; wydaje się, jakby to robili ze szczególnej uprzejmości dla śmierci i dla zmarłego. Że później wezmą najtańszy, to inna sprawa.

Nie mogę nic na to poradzić, że taki kawał kamienia kosztuje sto tysięcy marek. Przerażona otwiera zmęczone oczy.

– Tyle nie możemy zapłacić. To jest o wiele więcej, niż…

Mogę sobie wyobrazić, że to jest o wiele więcej, niż pozostało ze spadku.

– Niech pani weźmie ten mały – mówię. – Albo po prostu taką płytę nagrobną bez pomnika. Niech pani patrzy – tu jest taka za trzydzieści tysięcy marek, bardzo ładna. Pani przecież chce tylko, żeby wiedziano, gdzie leży pani mąż, do tego celu płyta jest równie dobra jak pomnik.

Ogląda płytę z piaskowca.

– Tak… ale…

Prawdopodobnie nie ma pieniędzy na następne komorne, ale mimo to nie chciałaby kupować najtańszej… Jakby tamtemu biedakowi nie było wszystko jedno. Gdyby przedtem miała dla niego

więcej zrozumienia i mniej łez wylewała z córką, prawdopodobnie jeszcze by żył.

– Możemy pozłocić napis – mówię. – Wtedy to wygląda bardzo bogato i godnie.

– Czy napis kosztuje dodatkowo?

– Nie. Wliczony jest w cenę.

Kłamię. Ale nie mogę inaczej; ona wygląda jak wróbel w swojej czarnej sukni. Jeśli będzie chciała jakiegoś długiego cytatu z Biblii, to wpadłem jak śliwka w kompot; wykucie takiego napisu będzie kosztowało więcej niż płyta. Ale chce mieć tylko nazwisko i daty 1875–1923.

Wyciąga z torebki kupkę niegdyś zgniecionych banknotów, które teraz są starannie wygładzone i popaczkowane. Głęboko wciągam powietrze – płaci z góry! Tego już dawno nie było. Poważnie przelicza trzy paczuszki banknotów. Nic prawie jej nie zostaje.

– Trzydzieści tysięcy. Może pan sprawdzi?

– Nie trzeba. Chyba się zgadza.

Musi się zgadzać. Na pewno liczyła je nie raz.

– Niech pani posłucha – powiadam. – Dodamy pani jeszcze ramę z cementu. To bardzo porządnie wygląda, jest jakieś wykończenie.

Spogląda na mnie z przestrachem.

– Za darmo – dodaję.

Światełko skąpego uśmiechu przemyka jej po twarzy.

Ociera łzy. Jestem bardzo zakłopotany i wydaję się sobie aktorem Gastonem Münchem w roli hrabiego Trasta w *Honorze* Sudermanna. Po odejściu kobiety wypijam kieliszek żytniówki, żeby sobie ulżyć. Potem przychodzi mi na myśl, że Georg nie wrócił jeszcze z banku z konferencji z Riesenfeldem, i zaczyna się we mnie budzić nieufność wobec samego siebie; może postąpiłem tak z tą kobietą, by przekupić Boga. Jeden dobry uczynek za drugi – rama i napis za trzymiesięczny akcept Riesenfelda i solidny transport granitu. To mnie tak orzeźwia, że wypijam drugi kieliszek. Potem dostrzegam przy obelisku ślady feldfebla Knopfa,

przynoszę wiadro wody, żeby je zmyć, i przeklinam go głośno. Knopf jednak śpi snem sprawiedliwego w swojej sypialni.

– Tylko sześć tygodni – mówię rozczarowany.

Georg się śmieje.

– Nie można lekceważyć akceptu na sześć tygodni. Bank nie chciał dać na dłużej. Kto wie, jak wtedy będzie stał dolar! Za to Riesenfeld obiecał przyjechać tu za miesiąc. Wtedy będziemy mogli zrobić drugą umowę.

– Wierzysz w to?

Georg wzrusza ramionami.

– Dlaczego nie? Może Liza znowu go przyciągnie. Marzył o niej w banku jak Petrarka o Laurze.

– Dobrze, że nie zobaczył jej w dzień i z bliska.

– Czasami to rzeczywiście lepiej. – Georg zacina się i patrzy na mnie. – Ale dlaczego w wypadku Lizy? Tak źle naprawdę nie wygląda!

– Rano ma już całkiem niezłe worki pod oczami. A romantyczna z pewnością nie jest. Wulgarna baba.

– Romantyczna! – Georg uśmiecha się pogardliwie. – Co to w ogóle znaczy! Jest wiele odmian romantyzmu. A wulgarność ma również swoje powaby.

Spoglądam na niego ostro. Czyżby Liza i jemu wpadła w oko? Jest dziwnie tajemniczy w swoich sprawach osobistych.

– Z pewnością Riesenfeld rozumie przez romantyzm przygodę w wielkim świecie – mówię. – A nie romans z żoną rzeźnika.

Georg kiwa głową.

– Co za różnica? Wielki świat zachowuje się dziś często wulgarniej niż rzeźnik.

Georg jest naszym specjalistą od wielkiego świata. Prenumeruje „Berliner Tageblatt" i czyta głównie wiadomości ze świata sztuki i salonów. Jest wspaniale poinformowany. Żadna aktorka nie może wyjść za mąż bez jego wiedzy; każdy ważniejszy rozwód wśród arystokracji zapisuje się diamentowymi głoskami w jego pamięci. Nic mu się nie myli nawet po trzech czy czterech małżeństwach; zupełnie jakby prowadził specjalny rejestr. Zna wszystkie

przedstawienia teatralne, czyta recenzje, orientuje się w życiu towarzyskim na Kurfürstendamm i nie tylko w tym: śledzi również życie międzynarodowe, zna największe gwiazdy i królowe salonów. Czyta magazyny filmowe, a znajomy z Anglii przysyła mu czasami „Tatlera" i parę innych eleganckich czasopism. To oświeca go na dłuższy czas. Sam nigdy nie był w Berlinie, a za granicą tylko jako żołnierz na froncie we Francji. Nienawidzi swojego fachu, ale musiał się do niego wziąć po śmierci ojca. Henryk był za głupi do prowadzenia firmy. Pisma i ilustracje pomagają nieco znosić rozczarowania; są słabością Georga i jego pociechą.

– Wulgarna kobieta z wielkiego świata jest kimś dla wybranych znawców – mówię. – Nie dla Riesenfelda. Ten szatan ze spiżu ma fantazję mimozy.

– Riesenfeld! – Georg robi lekceważący grymas. Władca Odenwaldzkich Zakładów ze swoim płaskim upodobaniem do francuskich dam jest dla Georga beznadziejnym dorobkiewiczem. Cóż ten rozbestwiony drobnomieszczanin wie o wytwornym skandalu dokoła rozwodu hrabiny Homburg? Albo o ostatniej premierze Elisabeth Bergner? Nie słyszał nawet tych nazwisk! Georg jednak zna *Gothę* i *Leksykon artystów* prawie na pamięć. – Właściwie powinniśmy posłać Lizie bukiet kwiatów – mówi. – Pomogła nam, sama o tym nie wiedząc.

Znowu spoglądam na niego ostro.

– Zrób to sam – odpowiadam. – Powiedz mi, czy Riesenfeld włączył do zamówienia całkowicie polerowany krzyż?

– Dwa. Drugi zawdzięczamy Lizie. Powiedziałem, że tak ustawimy pomnik, żeby go zawsze mogła widzieć. Zdaje się, że mu na tym zależało.

– Możemy go postawić tu w biurze przy oknie. Kiedy ona rano wstanie, a słońce go oświeci, będzie robić na niej duże wrażenie. Mógłbym wymalować na nim złotymi literami *memento mori*. Co dziś jest u Edwarda?

– Niemiecki befsztyk.

– Czyli siekanina. Dlaczego siekane mięso jest niemieckie?

– Ponieważ jesteśmy wojowniczym narodem i nawet w czasach pokojowych siekamy sobie nawzajem twarze w pojedynkach.

Jedzie od ciebie wódką. Dlaczego? Chyba nie z powodu Erny?

– Nie. Dlatego że wszyscy musimy umrzeć. Niekiedy ten fakt mną wstrząsa, aczkolwiek wiem o nim od pewnego czasu.

– To bardzo chwalebne. Szczególnie w naszym zawodzie. Wiesz, czego bym chciał?

– Naturalnie. Chciałbyś być marynarzem na statku wielorybniczym albo handlarzem kopry na Tahiti; albo odkrywcą bieguna północnego, badaczem Amazonki, Einsteinem i szejkiem Ibrahimem z haremem kobiet dwudziestu różnych narodowości, włączając w to Wenezuelki, które mają podobno być tak ogniste, że można je obejmować tylko w azbestowej masce.

– To jasne. Ale poza tym wszystkim chciałbym jeszcze być głupi. Promiennie głupi. To jest największy dar w obecnych czasach.

– Głupi jak Parsifal?

– Mniej zbawczy. Ufnie, spokojnie, zdrowo, bukolicznie głupi.

– Chodź – mówię. – Jesteś głodny. Nasz błąd polega na tym, że nie jesteśmy ani naprawdę mądrzy, ani naprawdę głupi. Zawsze gdzieś pośrodku, jak małpy na gałęzi. Dlatego człowiek jest zmęczony, a niekiedy smutny. Człowiek powinien wiedzieć, gdzie jest jego miejsce.

– Rzeczywiście?

– Nie – odpowiadam. – Wtedy robi się domatorem i tyle. Ale może byśmy tak poszli dziś wieczorem na koncert, żeby mieć rekompensatę za Czerwony Młyn? Grają Mozarta.

– Dziś wieczorem idę wcześnie spać – wyjaśnia Georg. – To będzie mój Mozart. Idź sam. Wystaw się odważnie i samotnie na atak dobra. Nie jest to wcale bezpieczne i wyrządza więcej szkód niż prosta złośliwość.

– Tak – zgadzam się i myślę o podobnej do wróbla kobiecie z dzisiejszego ranka.

Jest późne popołudnie. Czytam kroniki rodzinne w gazetach i wycinam nekrologi. To zajęcie zawsze przywraca mi wiarę w ludzkość – szczególnie jeśli poprzedniego wieczoru musieliśmy ugaszczać naszych dostawców i agentów. Gdyby bowiem wszystko

zgadzało się z nekrologami, człowiek byłby absolutnie doskonały. W nekrologach są tylko doskonali ojcowie, małżonkowie bez skazy, wzorowe dzieci, ofiarne matki, opłakiwani przez wszystkich dziadkowie, przedsiębiorcy, wobec których święty Franciszek z Asyżu jest ohydnym egoistą, ociekający dobrocią generałowie, ludzcy prokuratorzy, prawie święci fabrykanci amunicji – krótko mówiąc, jeśli wierzyć nekrologom, ziemia wydaje się być zamieszkana przez hordę aniołów bez skrzydeł, o których nic się nie wiedziało. Miłość, która zaprawdę rzadko występuje w życiu w stanie czystym, po śmierci jaśnieje na wszystkie strony i jest najczęstszym z uczuć. Roi się po prostu od pierwszorzędnych cnót, od wierności, głębokiej pobożności, bezinteresownego poświęcenia. Także żyjący wiedzą, co im przystoi – są złamani żalem, strata jest niepowetowana, nigdy nie zapomną zmarłego – bardzo budująca jest ta lektura i człowiek powinien być dumny, że należy do gatunku, który żywi tak szlachetne uczucia.

Wycinam nekrolog mistrza piekarskiego Niebuhra. Jest przedstawiony jako szlachetny, niezapomniany, najlepszy, najukochańszy małżonek i ojciec. Sam widziałem panią Niebuhr uciekającą z mieszkania z rozwianym włosem, gdy szlachetny Niebuhr pędził za nią z paskiem od spodni i tłukł gdzie popadnie; widziałem również rękę, którą najlepszy ojciec złamał swemu synowi Rolandowi, wyrzuciwszy go w napadzie wściekłości z okna parterowego mieszkania. Pogrążonej w bólu wdowie nie mogło się przytrafić nic lepszego niż to, że tego furiata trafił wreszcie szlag przy porannym wypieku bułek; a mimo wszystko nagle przestała w to wierzyć. Wszystko, co Niebuhr nabroił, zostało zmazane przez śmierć. Stał się ideałem. Człowiek, który zawsze ma zdumiewający talent do łudzenia się i okłamywania, w przypadku śmierci rozwija ten talent szczególnie i nazywa go pietyzmem. Najbardziej zdumiewające jest jednak, że w to, co wtedy mówi, sam wierzy niebawem tak mocno, jakby wsadził szczura do kapelusza, a zaraz potem wyciągnął stamtąd białego jak śnieg królika.

Pani Niebuhr doznała tej magicznej przemiany w chwili, gdy wtaszczono po schodach do mieszkania tego drania piekarza, który codziennie łoił jej skórę. Zamiast paść na kolana i podzięko-

wać Bogu za wyzwolenie, zaczęła dopełniać zwykłego ceremoniału towarzyszącego śmierci. Z płaczem rzuciła się na zwłoki i od tego czasu oczy jej już nie obeschły. Swej siostrze, która przypomniała jej o ciągłym laniu i źle zrośniętej ręce Rolanda, oświadczyła z oburzeniem, że są to drobnostki i winę za to ponosi żar piekarskiego pieca; Niebuhr, zawsze niestrudzony w trosce o rodzinę, pracował za dużo, a piec działał na niego od czasu do czasu jak porażenie słoneczne. Po czym wskazała swej siostrze drzwi i rozpaczała dalej. Na ogół jest rozsądną, uczciwą i pracowitą kobietą, która ujmuje sprawy realnie – teraz jednak zaczęła nagle widzieć Niebuhra takim, jakim nigdy nie był, i wierzyć w to mocno. To właśnie jest najbardziej zdumiewające. Człowiek bowiem jest nie tylko wiecznym kłamcą, ale i wiecznie wierzącą istotą; wierzy w dobro, piękno i doskonałość, nawet gdy ich nie ma albo istnieją tylko w stanie szczątkowym – i to jest drugi powód, dla którego czytanie nekrologów podnosi mnie na duchu i czyni optymistą.

Odkładam nekrolog Niebuhra do siedmiu innych, które wyciąłem. W poniedziałek i wtorek mamy zawsze o parę nekrologów więcej niż zwykle. Wpływa na to koniec tygodnia – obchodzi się go uroczyście, ludzie jedzą, piją, kłócą się i denerwują, a serce, arterie i mózg odmawiają nagle posłuszeństwa. Ogłoszenie pani Niebuhr wkładam do przegródki Henryka Krolla. Jest to typowa sprawa dla niego. Jako człowiek prostoduszny, pozbawiony wszelkiej ironii, o oczyszczającym działaniu śmierci ma takie samo wyobrażenie jak pani Niebuhr, póki nie dostanie zamówienia na pomnik. Łatwo mu przyjdzie mówić o drogim, niezapomnianym zmarłym, zwłaszcza że Niebuhr był jego kumplem w gospodzie Blumego.

Moja praca na dziś jest już skończona. Georg wyniósł się z nowymi numerami „Berliner Tageblatt” i „Eleganten Welt” do swojej koi obok biura. Mógłbym jeszcze trochę wycieniować kolorowymi kredkami rysunek pomnika poległych, ale będę miał na to czas i jutro. Zamykam maszynę i otwieram okno. Z mieszkania Lizy rozbrzmiewa gramofon. Zjawia się Liza, tym razem całkowicie ubrana, i wymachuje z okna potężnym bukietem czerwonych róż. Przesyła mi przy tym pocałunek ręką. Georg! – myślę. A jed-

nak, ten skryty facet! Pokazuję na jego pokój. Liza wychyla się z okna i skrzeczy swoim ochrypłym głosem na całą ulicę:

– Serdeczne dzięki za kwiaty! Widzę, że takie cmentarne kruki jak wy potrafią być jednak eleganckimi kawalerami.

Pokazuje swe drapieżne uzębienie i trzęsie się ze śmiechu, zachwycona swoim dowcipem. Potem wyciąga list.

– „Łaskawa Pani – chrypi – wielbiciel Pani piękności pozwala sobie złożyć te róże u Pani stóp". – Ze świstem łapie oddech. – A jaki adres! „Do Kirke przy ulicy Krzywej pięć". Co to za Kirke?

– To kobieta, która zamienia mężczyzn w świnie.

Liza trzęsie się, najwidoczniej podłechtana. Stary, mały domek wydaje się trząść razem z nią. To nie Georg, myślę, on przecież nie zwariował do reszty.

– Od kogo jest ten list? – pytam.

– Aleksander Riesenfeld – kracze Liza. – Pod adresem Kroll i Synowie. Riesenfeld! – Prawie łka ze śmiechu. – To ten kurdupel, z którym byliście w Czerwonym Młynie?

– On nie jest żadnym kurduplem – odpowiadam. – Jest silnie zbudowany i bardzo męski. Poza tym jest biliarderem!

Na chwilę Liza poważnieje. Potem macha ręką, kłania się jeszcze raz i znika. Zamykam okno. Bez powodu przypomina mi się Erna. Zaczynam gwizdać z zakłopotaniem i wlokę się przez ogród do szopy, gdzie pracuje Kurt Bach.

Bach siedzi na stopniach przed drzwiami ze swoją gitarą. Za nim połyskuje lew z piaskowca, którego wykuwa na pomnik poległych. Jest to, jak zwykle, zdychający kot z bólem zębów.

– Kurt – mówię. – Gdyby z miejsca mogło ci się spełnić jakieś życzenie, czego byś sobie życzył?

– Tysiąca dolarów – odpowiada bez namysłu i bierze grzmiący akord na swojej gitarze.

– Pfe! Myślałem, że jesteś idealistą.

– Jestem idealistą. Dlatego chcę tysiąca dolarów. Idealizmu nie potrzebuję sobie życzyć. I bez tego mam go aż nadto. A brakuje mi właśnie pieniędzy.

Nic na to nie można powiedzieć. Logika bez zarzutu.

– A co byś robił z pieniędzmi? – pytam jeszcze z resztką nadziei.

– Kupiłbym sobie parę domów czynszowych i żyłbym z komornego.

– Wstydź się – mówię. – I to wszystko? Poza tym z komornego nie mógłbyś żyć, jest za niskie, a nie wolno go podnosić. Nie starczyłoby ci nawet na remonty i musiałbyś znowu sprzedać te domy.

– Tych domów, które bym kupił, nie trzeba byłoby remontować. Utrzymałbym je, póki inflacja się nie skończy. Wtedy wprowadzą znowu odpowiednie komorne i pozostałoby mi tylko inkasowanie gotówki.

Bach bierze nowy akord.

– Domy – mówi rozmarzony, jakby chodziło o Michała Anioła. – Za sto dolarów możesz sobie dzisiaj kupić dom, który przedtem wart był czterdzieści tysięcy złotych marek. Ile by można przy tym zarobić! Dlaczego nie mam bezdzietnego wujka w Ameryce?

– Ohyda – mówię rozczarowany. – Najwidoczniej przez jedną noc stałeś się obrzydliwym materialistą. Kamienicznik! A gdzie twoja nieśmiertelna dusza?

– Kamienicznik i rzeźbiarz. – Bach wykonuje efektowne glissando na gitarze. Nad nim stolarz Wilke wybija takt. Ma pilne zamówienie na trumnę dziecięcą według taryfy za godziny nadliczbowe. – Wtedy nie potrzebowałbym już robić dla was tych przeklętych zdychających lwów i orłów z rozpostartymi skrzydłami. Żadnych zwierząt! Nigdy! Zwierzęta powinno się zjadać albo podziwiać. Nic poza tym. Mam dość zwierząt. Zwłaszcza tych heroicznych.

Zaczyna grać *Łowcę z Palatynatu*. Widzę, że nie można z nim dziś prowadzić przyzwoitej rozmowy. A już w żadnym razie takiej, przy której można zapomnieć o niewiernych kobietach.

– Co jest sensem życia? – pytam jeszcze na odchodnym.

– Spanie, żarcie i baba.

Macham ręką i odchodzę. Mimowolnie wpadam w rytm stukania Wilkego; potem spostrzegam to i zmieniam krok.

W bramie stoi Liza. W ręku trzyma róże i wyciąga je ku mnie.

– Masz! Zabieraj! Nie potrzebuję tego.

– Dlaczego? Nie masz wyczucia piękna natury?

– Nie, Bogu dzięki. Nie jestem krową. Riesenfeld! – Śmieje się swoim tonem z nocnego klubu. – Powiedz chłopakowi, że nie jestem osobą, której posyła się kwiaty.

– Tylko co?

– Biżuterię – odpowiada Liza. – A co innego?

– A garderoby nie?

– Garderobę tylko wtedy, gdy jest się na stopie bardziej poufałej. – Spogląda na mnie. – Marnie wyglądasz. Może cię rozruszać?

– Dziękuję – odpowiadam. – Jestem dość rozruszany. Idź sama do Czerwonego Młyna.

– Nie myślę o Czerwonym Młynie. Dalej grasz na organach dla idiotów?

– Tak – odpowiadam zaskoczony. – Skąd o tym wiesz?

– Ludzie mówią. Chciałabym kiedy pójść z tobą do tego wariackiego szpitala, wiesz?

– I tak się tam niedługo dostaniesz i beze mnie.

– Zobaczymy, kto pierwszy – odpowiada Liza niedbale i kładzie kwiaty na nagrobku. – Zabieraj te warzywa. Nie mogę ich trzymać w domu. Mój stary jest zanadto zazdrosny.

– Co?

– Jasne! Jak brzytwa! Dlaczego nie miałby być?

Nie wiem, co w brzytwie może być zazdrosnego, ale porównanie jest przekonujące.

– Jeśli twój mąż jest zazdrosny, to jak ci się udaje wychodzić co wieczór?

– On w nocy szlachtuje. Już jakoś to potrafię urządzić.

– A jak nie szlachtuje?

– Wtedy jestem zatrudniona jako szatniarka w Czerwonym Młynie.

– Rzeczywiście?

– Aleś ty durny – odpowiada Liza. – Zupełnie jak mój stary.

– A garderoba i biżuteria?

– Wszystko tanie i imitacja. – Liza wyszczerza zęby w uśmiechu. – W to każdy mąż wierzy. No więc zabieraj tę zieleninę.

Poślij to jakiemu cielątku. Wyglądasz na takiego, co posyła kwiaty.

– To źle mnie znasz.

Liza rzuca mi przepastne spojrzenie przez ramię. Potem odchodzi na swoich pięknych nogach, które tkwią w brudnych czerwonych pantoflach. Jeden z pantofli ozdabia pompon; drugi jest oberwany.

Róże połyskują w zmierzchu. To spory bukiet. Riesenfeld się szarpnął. Przynajmniej na pięćdziesiąt tysięcy marek, oceniam. Oglądam się ostrożnie dokoła, potem, niby złodziej, chwytam kwiaty i odchodzę do mego pokoju.

Wieczór w niebieskim płaszczu stoi już przy oknie. Pokój jest pełen refleksów i cieni i nagle samotność uderza mnie jak maczuga z zasadzki. Wiem, że to głupstwo, nie jestem bardziej samotny niż wół w stadzie wołów, ale cóż mogę poradzić? Samotność nie ma nic wspólnego z brakiem towarzystwa. Przychodzi mi do głowy, że może za gwałtownie postąpiłem wczoraj z Erną. Jest zupełnie możliwe, że wszystko wyjaśniłoby się najzupełniej niewinnie. Przy tym ona była zazdrosna, to wynikało z każdego jej słowa. A zazdrość to miłość, każdy o tym wie.

Wpatruję się z okna w przestrzeń i wiem, że zazdrość nie jest równoznaczna z miłością. Ale czy to ważne? Zmierzch miesza człowiekowi myśli, a Georg mówi, że z kobietami nie należy dyskutować. A ja właśnie to robiłem. Pełen skruchy wciągam zapach róż, który zamienia pokój w górę Wenus z *Tannhäusera*. Spostrzegam, że roztapiam się w całkowitym przebaczeniu. Przebaczeniu i nadziei. Szybko piszę parę wierszy, zaklejam list, nie przeczytawszy go nawet, i idę do biura, by wziąć stamtąd arkusz karbowanej bibułki, w którą opakowany był ostatni transport porcelanowych aniołków. Zawijam w to róże i udaję się na poszukiwanie Fryca Krolla, najmłodszej latorośli firmy. Ma dwanaście lat.

– Fryc – mówię. – Chcesz zarobić dwa tysiące?

– To się wie – odpowiada Fryc. – Niech pan daje. Ten sam adres?

– Tak.

Znika z różami – trzeci trzeźwy człowiek dziś wieczorem. Wszyscy wiedzą, czego chcą, Kurt, Liza, Fryc – tylko ja nie wiem. Ta historia z Erną też nie ma sensu. Wiem to w tym momencie, gdy nie mogę już odwołać Fryca. Ale cóż szkodzi? Gdzie są ołtarze, gdzie bogowie i ofiary? Postanawiam pójść jednak na koncert Mozarta – nawet jeśli będę się tam czuł samotny, a muzyka pogorszy jeszcze mój stan.

Gdy wracam, gwiazdy stoją wysoko na niebie. Moje kroki rozbrzmiewają echem w ciszy zaułka i jestem bardzo podniecony. Szybko otwieram drzwi biura, zapalam światło i staję jak wryty. Koło powielacza leżą róże, a obok nich kartka od Fryca. „Ta pani mówi, żeby pan je sobie włożył do trumny. Czołem! Fryc".

Żebym je włożył do trumny. Zabawny żart! Stoję skompromitowany aż do szpiku kości, pełen wstydu i gniewu. Wsadzam kartkę do zimnego pieca. Potem siadam na krześle i dumam. Moja wściekłość zwycięża zawstydzenie, jak zwykle, gdy człowiek jest rzeczywiście zawstydzony i wie, że musi się wstydzić. Piszę nowy list, biorę róże i idę do Czerwonego Młyna.

– Proszę oddać to pannie Gerdzie Schneider – mówię do portiera. – Akrobatce.

Obficie ugalonowany dostojnik spogląda na mnie, jakbym zrobił mu jakąś niemoralną propozycję. Potem dumnie wskazuje kciukiem ponad swoim ramieniem.

– Niech pan sobie poszuka pikolaka.

Znajduję pikolaka i instruuję go:

– Proszę oddać ten bukiet na przedstawieniu.

Obiecuje to załatwić. Myślę, że może Erna będzie na sali i zobaczy. Potem spaceruję przez pewien czas po mieście i wracam do domu.

Wita mnie melodyjne pluskanie. Knopf stoi właśnie przed obeliskiem i wcale się nie krępuje. Milczę; nie chcę z nim już dyskutować. Biorę wiadro wody i wylewam je Knopfowi pod nogi. Feldfebel wybałusza oczy.

– Powódź – mruczy. – Nawet nie wiedziałem, że padało.

Chwiejąc się, wchodzi do domu.

VI

Nad lasem stoi mglisty, czerwony księżyc. Jest duszno i bardzo cicho. Szklany człowiek bezszelestnie przechodzi obok. Teraz czuje się bezpieczny; słońce nie zamienia już jego głowy w zapalającą soczewkę. Na wszelki wypadek nosi jednak grube gumowe buty – mogłaby nadciągnąć burza, a to jest dla niego jeszcze bardziej niebezpieczne niż słońce. Izabella siedzi obok mnie na ławce przed pawilonem dla nieuleczalnie chorych. Ma na sobie obcisłą czarną suknię, a na gołych stopach – złote pantofle na wysokim obcasie.

– Rudolf – mówi do mnie – znowu mnie opuściłeś. Ostatnim razem obiecałeś mi, że zostaniesz. Gdzie byłeś?

Rudolf, myślę, Bogu dzięki! Rolfa nie mógłbym znieść dziś wieczorem. Mam za sobą paskudny dzień i czuję się tak, jakby mnie ktoś postrzelił solą z dubeltówki.

– Nie opuściłem cię – mówię. – Nie było mnie, ale cię nie opuściłem.

– Gdzie byłeś?

– Gdzieś tam… – O mało nie powiedziałem: „między wariatami”, ale w porę ugryzłem się w język.

– Dlaczego?

– Ach, Izabello, sam nie wiem. Robi się tyle rzeczy, nie wiedząc dlaczego…

– Szukałam cię przez całą noc. Był księżyc… nie taki jak ten, czerwony, niespokojny, który kłamie… nie, tamten inny, chłodny, jasny, który można pić.

– Na pewno byłoby lepiej, gdybym tu został – odpowiadam, opieram się plecami o ławkę i czuję płynący od Izabelli spokój. –

Jak można pić księżyc, Izabello?

– W wodzie. To zupełnie proste. Smakuje jak opal. Nawet prawie go nie czujesz w ustach. Dopiero potem zaczyna w tobie świecić. Błyszczy ci z oczu. Nie możesz tylko zapalać światła. Przy świetle więdnie.

Biorę jej dłoń i kładę na mojej skroni. Jest sucha i chłodna.

– Jak się go pije w wodzie? – pytam.

Izabella zabiera dłoń.

– Trzymasz w nocy szklankę wody za oknem – o tak. – Wyciąga rękę. – Wtedy on wchodzi do środka. Widać go, szklanka robi się jasna.

– Chciałaś powiedzieć, że odbija się w niej?

– Nie odbija się. Jest w środku. – Spogląda na mnie. – Odbija się – co przez to rozumiesz, że się odbija?

– Odbija się jak w lustrze. Można się odbijać w wielu rzeczach, które są gładkie. Również w wodzie. Ale mimo to nie jest się w środku.

– Które są gładkie! – Izabella uśmiecha się uprzejmie i bez przekonania. – Rzeczywiście? Coś takiego!

– Ależ naturalnie. Kiedy stoisz przed lustrem, także się przecież widzisz.

Zdejmuje pantofel i ogląda stopę. Jest długa, wąska i nie zeszpecona odciskami.

– Tak, może – mówi, nadal uprzejma i obojętna.

– Nie może. Na pewno. Ale to, co widzisz, to nie jesteś ty. To tylko twoje odbicie. Nie ty.

– Nie, nie ja. Ale gdzie ja wtedy jestem?

– Stoisz przed lustrem. Inaczej nie mogłabyś się odbić.

Izabella znowu wkłada pantofel i patrzy na mnie.

– Jesteś tego pewny, Rudolfie?

– Zupełnie pewny.

– Ja nie. Co robią lustra, kiedy są same?

– Odbijają to, co jest.

– A jak niczego nie ma?

– To się nie zdarza. Zawsze coś jest.

– A w nocy? Podczas nowiu, kiedy jest zupełnie ciemno, co wtedy odbijają?

– Ciemność – odpowiadam, już nie z takim przekonaniem, bo rzeczywiście, jak najgłębsza ciemność może się odbijać? Do odbicia zawsze trzeba trochę światła.

– W takim razie są martwe, kiedy jest zupełnie ciemno?

– Może śpią – a jak światło zjawi się znowu, wtedy się budzą.

Izabella w zamyśleniu kiwa głową i obciąga sukienkę na nogach.

– A jeśli mają sny? – pyta nagle. – Co im się śni?

– Komu?

– Lustrom.

– Sądzę, że zawsze im się coś śni – mówię. – Przez cały dzień. My jesteśmy ich snami. Odbijają naszą drugą stronę. Co u nas jest prawe, to u nich lewe, a co lewe – to prawe.

Izabella odwraca się do mnie.

– To w takim razie są naszą drugą stroną?

Zastanawiam się. Kto wie naprawdę, czym jest lustro?

– Widzisz – mówi ona. – A przedtem twierdziłeś, że w nich nic nie ma. Przecież one mają naszą drugą stronę.

– Tylko wtedy, gdy przed nimi stoimy. Kiedy odejdziemy, już nas w nich nie ma.

– Skąd o tym wiesz?

– To przecież widać. Kiedy się odejdzie i spojrzy, wtedy naszego obrazu już nie ma.

– A jeśli go tylko ukrywają?

– Jak mogą go ukrywać? Przecież odbijają wszystko. Dlatego są lustrami. Lustro nie może nic ukrywać.

Między brwiami Izabelli pojawia się zmarszczka.

– To gdzie on wtedy jest?

– Co?

– Obraz. Druga strona. Czy wskakuje w nas z powrotem?

– Nie wiem.

– Nie może przecież przepaść!

– Nie przepada.

– To gdzie jest? – pyta coraz bardziej natarczywie. – W lustrze?

– Nie. W lustrze już go nie ma.

– Musi tam jeszcze być. Skąd wiesz tak dokładnie? Przecież ty tego nie widzisz.

– Inni ludzie widzą, że mnie już tam nie ma. Widzą tylko swój własny obraz, gdy stoją przed lustrem. Żadnego innego.

– Zasłaniają go. Ale gdzie jest mój? Musi tam być!

– No, jest – odpowiadam i żałuję, że zacząłem całą tę rozmowę. – Kiedy podejdziesz znowu do lustra, to go zobaczysz.

Nagle Izabella zdradza wielki niepokój i zdenerwowanie. Klęka na ławce i nachyla się. Jej czarna i smukła sylwetka odcina się od żółtych narcyzów, które w dusznym wieczorze wyglądają, jakby były z siarki.

– A więc jest w środku. A przedtem mówiłeś, że go nie ma.

Chwyta mnie za rękę i drży. Nie wiem, co mam odpowiedzieć, żeby ją uspokoić. Z prawami fizyki nie ma co zaczynać; po prostu odrzuci je z pogardą. A w tej chwili nie jestem nawet całkiem pewny tych praw. Lustra zdają się naraz kryć w sobie rzeczywiście jakąś tajemnicę.

– Gdzie on jest, Rudolfie? – szepcze Izabella i przytula się do mnie. – Powiedz mi, gdzie on jest? Czy wszędzie pozostała cząstka mnie samej? We wszystkich lustrach, jakie widziałam? Widziałam ich mnóstwo. Bez liku! Czy jestem w nich rozproszona? Czy każde wzięło coś ze mnie? Jakąś cieniutką moją odbitkę, cieniutką warstewkę? Czy zostałam ociosana przez lustra jak kawałek drzewa heblem? Co w takim razie jeszcze ze mnie zostało?

Obejmuję ją ramieniem.

– Wszystko z ciebie zostało – mówię. – Przeciwnie, lustra jeszcze trochę do tego dodały. One wydobywają na jaw i oddają tobie część przestrzeni, oświetloną cząstką ciebie.

– Mnie? – Nadal ściska moją rękę. – A jeśli jest inaczej? Jeśli leżę pogrzebana w tysiącach luster? Jak to można zebrać z powrotem? Ach, nigdy nie można będzie tego odebrać! To już stracone! Stracone! Jestem ociosana jak pomnik, który nie ma twarzy. Gdzie jest moja pierwsza twarz? Ta sprzed wszystkich luster? Ta, zanim one zaczęły mnie kraść?

– Nikt cię nie ukradł – mówię bezradnie. – Lustra nie kradną. One tylko odbijają.

Izabella oddycha gwałtownie. Jest blada. W jej przezroczystych oczach połyskuje czerwony odblask księżyca.

– Gdzie to zostało? – szepcze. – Gdzie to wszystko zostało? Gdzie my w ogóle jesteśmy, Rudolfie? Wszystko biegnie, pędzi i tonie! Trzymaj mnie mocno! Nie puszczaj mnie! Nie widzisz ich? – Osłupiałym wzrokiem wpatruje się w mglisty horyzont. – Tam lecą! Wszystkie martwe obrazy z luster! Pędzą i chcą krwi! Nie słyszysz ich? Szare skrzydła! Trzepocą jak nietoperze! Nie dopuść ich tu!

Przyciska głowę do mego ramienia, a drżące ciało do mojego ciała. Trzymam ją i patrzę w zmierzch, który robi się coraz głębszy i głębszy. Powietrze jest nieruchome, ale ciemność opada teraz powoli z drzew alei jak milcząca kompania cieni. Wydaje się, że chce nas otoczyć i wychodzi z kryjówki, by nam odciąć drogę.

– Chodź – mówię. – Pójdziemy! Po drugiej stronie alei jest jaśniej. Tam jest jeszcze dużo światła.

Opiera się i potrząsa głową. Czuję jej włosy na mojej twarzy, są miękkie i pachną sianem, także jej twarz jest miękka, czuję wąskie kości, podbródek i łuk czoła, i nagle ogarnia mnie znowu głębokie zdumienie, że za tym wąskim półkolem żyje świat oparty na zupełnie innych prawach i że ta głowa, którą bez trudu obejmuję dłońmi, widzi wszystko inaczej niż ja, każde drzewo, każdą gwiazdę, każdy związek, a nawet siebie samą. Zupełnie inny wszechświat jest w niej zamknięty i przez chwilę wszystko miesza się z sobą, i sam już nie wiem, co jest rzeczywistością – to, co ja widzę, to, co ona widzi, czy to, co istnieje bez nas i czego nie możemy poznać, bo z tym jest podobnie jak z lustrami, które są, gdy my jesteśmy, i które przecież zawsze odbijają tylko nasz własny obraz. Nigdy, nigdy nie wiemy, czym są, gdy pozostają same, i co się za nimi kryje; są niczym, a jednak potrafią odbijać i muszą być czymś; lecz nigdy nie zdradzają swej tajemnicy.

– Chodź – mówię. – Chodź, Izabello. Nikt nie wie, kim jest i gdzie, i dokąd idzie – ale jesteśmy razem. To wszystko, co wiemy.

Ciągnę ją za sobą. Być może, myślę, skoro wszystko się rozpada, nie istnieje naprawdę nic innego, tylko ta odrobina przebywania ze sobą. Ale i to jest poniekąd oszustwem, tam bowiem, gdzie jeden człowiek naprawdę potrzebuje drugiego, nie można iść razem i pomagać sobie wzajemnie. Widziałem to dość często, gdy na wojnie patrzyłem w twarze poległych kolegów. Każdy ma swoją własną śmierć i musi nią umrzeć sam, nikt mu przy tym pomóc nie może.

– Nie zostawisz mnie samej? – szepcze Izabella.

– Nie zostawię cię samej.

– Przysięgnij – mówi i zatrzymuje się.

– Przysięgam – odpowiadam bez zastanowienia.

– Dobrze, Rudolfie – wzdycha, jakby teraz było jej o wiele lżej. – Ale nie zapomnij o tym. Ty tak często zapominasz.

– Nie zapomnę.

– Pocałuj mnie.

Przyciągam ją do siebie. Czuję jakieś leciutkie tchnienie grozy, nie wiem, co mam robić, i całuję ją suchymi, zaciśniętymi wargami.

Obejmuje dłońmi moją głowę i przytrzymuje ją. Nagle czuję bolesne ukąszenie i odpycham Izabellę. Moja dolna warga krwawi. Ugryzła mnie. Patrzę na nią osłupiały. Uśmiecha się. Twarz jej zmieniła się zupełnie. Jest zła i przebiegła.

– Krew! – mówi cicho i triumfująco. – Chciałeś mnie znowu oszukać, znam cię! Ale teraz już nie możesz. Zostało przypieczętowane. Nie możesz teraz odejść!

– Nie mogę odejść – mówię otrzeźwiony. – Niech i tak będzie! Ale nie musisz przecież napadać na mnie z tego powodu jak kotka. Jak to krwawi! Co powiem przełożonej, gdy mnie tak zobaczy?

Izabella się śmieje.

– Nic – odpowiada. – Dlaczego masz zawsze coś mówić? Nie bądź taki tchórzliwy!

W ustach czuję mdły smak krwi. Przykładanie chusteczki nie ma sensu – ranka musi zamknąć się sama. Geneviève stoi przede mną. Nagle zmieniła się w Jenny. Usteczka ma małe i brzydkie,

śmieje się chytrze i złośliwie. Potem rozbrzmiewają dzwony na majowe nabożeństwo. Nadchodzi pielęgniarka. Jej biały płaszcz połyskuje niewyraźnie w półmroku.

Moja ranka przyschła w czasie nabożeństwa, otrzymałem swoje tysiąc marek i siedzę teraz przy stole z wikarym Bodendiekiem. Bodendiek pozostawił swoje jedwabne szaty w małej zakrystii. Przed kwadransem był jeszcze mityczną postacią – stał w dymach kadzideł, w brokacie i blasku świec, wznosząc złotą monstrancję z ciałem Chrystusa w postaci hostii nad głowami pobożnych sióstr i obłąkanych, którym pozwolono uczestniczyć w nabożeństwie – jednak teraz, w czarnej, wyświechtanej sutannie z lekko przepoconym białym kołnierzykiem, zapinanym z tyłu zamiast z przodu, jest tylko prostym agentem Boga, dobrodusznym, tęgim, o czerwonych policzkach i czerwonym nosie z popękanymi naczyńkami krwionośnymi, charakterystycznymi dla amatorów wina. Nie wie o tym – ale był moim spowiednikiem na kilka lat przed wojną, gdy na zarządzenie dyrekcji szkoły musieliśmy co miesiąc spowiadać się i przystępować do komunii. Kto miał trochę oleju w głowie, szedł do Bodendieka. Bodendiek był nieco głuchawy, a ponieważ na spowiedzi się szepcze, nie rozumiał, jakie grzechy mu się wyznawało. Dlatego dawał zawsze najlżejszą pokutę. Parę ojczenaszek i człowiek był wolny od wszystkich grzechów, mógł iść grać w piłkę nożną albo zdobywać w bibliotece miejskiej zakazane książki. To było zupełnie co innego niż u kanonika, do którego raz się dostałem, bo mi się śpieszyło, a przed konfesjonałem Bodendieka stała długa kolejka czekających. Kanonik zadał mi złośliwą pokutę: musiałem za tydzień znowu przyjść do spowiedzi, a kiedy przyszedłem, zapytał mnie, dlaczego się przed nim zjawiam. Ponieważ na spowiedzi nie można kłamać, powiedziałem mu dlaczego, a on kazał mi za pokutę odmówić parę tuzinów różańców i przyjść znowu w następnym tygodniu. I tak to szło dalej. Wpadłem w ostateczną rozpacz – myślałem już, że spędzę całe życie przykuty łańcuchem do kanonika, skazany na cotygodniowe spowiedzi. Na szczęście w czwartym tygodniu święty mąż dostał odry i musiał leżeć w łóżku. Gdy nadszedł mój dzień spowiedzi, udałem

się do Bodendieka i donośnym głosem wyjaśniłem mu sytuację – kanonik kazał mi przyjść dzisiaj, ale jest chory. Co mam robić? Iść do kanonika nie mogę, ponieważ odra jest zaraźliwa. Bodendiek zdecydował, że równie dobrze mogę się wyspowiadać u niego; spowiedź jest spowiedzią, a kapłan kapłanem. Od tego czasu unikałem kanonika jak zarazy.

Siedzimy w małym pokoju w pobliżu wielkiej sali dla chorych. Nie jest to właściwie jadalnia; stoją tu półki pełne książek, wazon z białym geranium, parę krzeseł, foteli i okrągły stół. Przełożona przysłała nam butelkę wina i czekamy na jedzenie. Przed dziesięcioma laty nie uwierzyłbym nigdy, że będę pił wino z moim spowiednikiem – ale wtedy nie uwierzyłbym również, że będę zabijał ludzi i nie zostanę za to powieszony, tylko odznaczony orderami, a jednak tak się stało.

Bodendiek próbuje wina.

– Schloss Reinhardshausener z domeny księcia Henryka Pruskiego – wyjaśnia nabożnie. – Przełożona przesłała nam coś naprawdę dobrego. Zna się pan na winie?

– Nie bardzo – odpowiadam.

– Powinien się pan tego nauczyć. Potrawy i napoje są darami Boga. Należy się nimi rozkoszować i rozumieć je.

– Śmierć jest z pewnością również darem Boga – odpowiadam i wyglądam przez okno na ciemny ogród. Dmie wiatr, chwieją się czarne korony drzew. – Czy należy się również nią rozkoszować i rozumieć ją?

Bodendiek patrzy na mnie rozbawiony znad swojego kieliszka.

– Dla chrześcijanina śmierć nie jest problemem – odpowiada. – Nie musi się nią rozkoszować, ale może ją zrozumieć bez trudności. Śmierć jest przejściem do życia wiecznego. Nie ma się czego bać. A dla wielu jest wybawieniem.

– Od czego?

– Od choroby, bólu, samotności i nędzy. – Bodendiek z rozkoszą pociąga łyk wina i zatrzymuje je w ustach.

– Wiem – mówię. – Jest wybawieniem z tego padołu łez. Dlaczego właściwie Bóg go stworzył?

Bodendiek nie wygląda w tej chwili, jakby nie mógł znieść padołu łez. Jest okrąglutki i pełny, a poły sutanny zarzucił na oparcie krzesła, żeby się nie pogniotły pod ciężarem jego potężnej sempiterny. Tak siedzi – znawca wiecznego świata i wina – mocno trzymając kieliszek.

– Po co właściwie Bóg stworzył ziemski padół łez? – powtarzam. – Czy nie mógłby nas od razu powołać do życia wiecznego?

Bodendiek wzrusza ramionami.

– Może pan to sobie przeczytać w Biblii. Człowiek, raj, upadek…

– Upadek, wypędzenie z raju, grzech pierworodny i przekleństwo rzucone na sto tysięcy pokoleń. Bóg najbardziej długotrwałej zemsty, jaka kiedykolwiek istniała.

– Bóg przebaczenia – odpowiada Bodendiek i patrzy na kieliszek pod światło. – Bóg miłości i sprawiedliwości, który zawsze jest gotów przebaczyć i który poświęcił swego jedynego syna, by zbawić ludzkość.

– Księże wikary – mówię nagle rozwścieczony. – Dlaczego właściwie Bóg miłości i sprawiedliwości stworzył tak różnych ludzi? Dlaczego jedni są nędzni i chorzy, a drudzy zdrowi i podli?

– Kto tu jest poniżony, tam zostanie wywyższony. Bóg jest wyrównującą sprawiedliwością.

– Nie jestem taki pewny – odpowiadam. – Znałem kobietę, która przez dziesięć lat miała raka, przeszła sześć straszliwych operacji, bezustannie odczuwała bóle i wreszcie zwątpiła w Boga, gdy zmarło dwoje z jej dzieci. Przestała chodzić na mszę, do spowiedzi i komunii, i według reguł Kościoła zmarła w stanie grzechu śmiertelnego. Według tych samych reguł smaży się teraz wiecznie w piekle, które stworzył Bóg miłości. To jest sprawiedliwe, prawda?

Bodendiek spogląda przez chwilę na wino.

– To pana matka? – pyta wreszcie.

Przełykam.

– Gdyby to nawet była moja matka…

Milczy.

– Wystarcza jedna jedyna sekunda, by pogodzić się z Bogiem – mówi potem ostrożnie. – Jedna sekunda przed śmiercią. Jedna jedyna myśl. Można jej nawet nie wypowiedzieć.

– To samo mówiłem przed paru dniami pewnej zrozpaczonej kobiecie. Ale jeśli tej myśli nie było?

Bodendiek spogląda na mnie.

– Kościół ma reguły. Ma reguły, by strzec i wychowywać. Bóg nie ma żadnych. Bóg jest miłością. Któż z nas może wiedzieć, jak On sądzi?

– Sądzi?

– Tak my to nazywamy. Chodzi o miłość.

– Miłość – mówię gorzko. – Miłość, która jest pełna sadyzmu. Miłość, która dręczy i czyni człowieka nędznym, i uważa, że naprawi straszliwą niesprawiedliwość świata obiecanką wyimaginowanego nieba.

Bodendiek uśmiecha się.

– Nie uważa pan, że już inni ludzie przed panem rozmyślali nad tym problemem?

– Tak, niezliczeni. I mądrzejsi ode mnie.

– Tak mi się zdaje – odpowiada Bodendiek dobrodusznie.

– To nie przeszkadza, że ja również to robię.

– Oczywiście, nie przeszkadza. – Bodendiek nalewa sobie kieliszek. – Niech pan to robi gruntownie. Zwątpienie jest odwrotną stroną wiary.

Spoglądam na niego. Siedzi tam jak uosobienie niezłomności i nic nie może nim wstrząsnąć. Za jego mocno zarysowaną głową rozciąga się niespokojna noc, noc Izabelli, noc, co wieje i stuka w okno, jest bezkresna i pełna pytań bez odpowiedzi. Ale Bodendiek na wszystko ma odpowiedź.

Otwierają się drzwi. Na dużej tacy pojawia się jedzenie w okrągłych miseczkach, ustawionych jedna na drugiej. Są do siebie dopasowane; tak zwykle podaje się w szpitalach. Siostra kuchenna nakrywa stół obrusem, kładzie noże, łyżki i widelce i znika. Bodendiek unosi górną miseczkę.

– Co też mamy dziś na kolację? Bulion – mówi pieszczotliwie. – Bulion ze szpikiem. Pierwszorzędnie! I czerwona kapusta z peklowaną pieczenią. Objawienie!

Nalewa sobie pełen talerz i zaczyna jeść. Jestem zły, że z nim dyskutowałem, i czuję, że ma nade mną ogromną przewagę, choć to nie wiąże się z całym problemem. Ma przewagę, ponieważ niczego nie szuka. Po prostu wie. Ale co właściwie wie? Niczego nie potrafi udowodnić. Mimo to może się ze mną bawić, jak chce.

Wchodzi lekarz. Nie jest to dyrektor zakładu, tylko ordynator.

– Je pan z nami? – pyta Bodendiek. – To musi się pan śpieszyć. Bo nic nie zostawimy.

Lekarz potrząsa głową.

– Nie mam czasu. Będzie burza. Podczas burzy chorzy są zawsze szczególnie niespokojni.

– Nie wygląda na burzę.

– Jeszcze nie. Ale burza nadejdzie. Chorzy zawsze to przeczuwają. Kilku musieliśmy już zaaplikować uspokajającą kąpiel. Będzie ciężka noc.

Bodendiek dzieli między nas pieczeń. Sobie bierze większą porcję.

– Dobrze, doktorze – mówi. – Ale niech pan przynajmniej wypije z nami kieliszek wina. To piętnastolatek. Prawdziwy dar boży! Nawet zdaniem tego tu młodego poganina.

Mruga do mnie, a ja chętnie wylałbym sos od pieczeni za jego lekko przetłuszczony kołnierzyk. Doktor przysiada się do nas i bierze kieliszek. Blada siostra zagląda do pokoju.

– Teraz nie będę jadł, siostro – mówi doktor. – Proszę zostawić kilka kanapek i flaszkę piwa w moim pokoju.

Doktor jest mężczyzną mniej więcej trzydziestopięcioletnim, smagłym, o wąskiej twarzy, blisko osadzonych oczach i wielkich odstających uszach. Nazywa się Wernicke, Gwido Wernicke, i nienawidzi swego imienia tak samo, jak ja imienia Rolf.

– Jak się czuje panna Terhoven? – pytam.

– Terhoven? Ach, tak – nic nowego, niestety. Nic pan dziś nie zauważył? Żadnej zmiany?

– Nie. Była taka jak zwykle. Może bardziej podniecona, ale pan mówił, że to z powodu burzy.

– Zobaczymy. U nas nie można wiele prorokować.

Bodendiek śmieje się.

– No pewno! Tutaj nie można!

Patrzę na niego. Cóż to za brutalny chrześcijanin, myślę. Ale potem przychodzi mi na myśl, że jest on przecież zawodowym pielęgniarzem dusz; w takim wypadku zawsze traci się nieco uczucia na rzecz wiedzy – przykładem mogą być lekarze, siostry szpitalne i sprzedawcy nagrobków.

Słucham, jak rozmawia z Wernickem. Nagle odchodzi mi ochota do jedzenia, wstaję i patrzę przez okno. Za rozhuśtanymi czarnymi wierzchołkami drzew wyrosła ściana chmur o płowych brzegach. Wszystko wygląda naraz obco i na miejsce znanego mi obrazu ogrodu milcząco wciska się inny, dziki, który odrzuca tamten jak pustą łuskę. Przypominam sobie okrzyk Izabelli: „Gdzie jest moja pierwsza twarz? Ta sprzed wszystkich luster?" Tak, gdzie jest ta najpierwsza ze wszystkich twarzy? – myślę. Prakrajobraz, zanim stał się krajobrazem w naszym pojęciu, parkiem, lasem, domem i człowiekiem? Gdzie jest twarz Bodendieka, zanim stał się Bodendiekiem, gdzie twarz Wernickego, zanim stał się Wernickem? Czy możemy to pamiętać? Czy też zostaliśmy schwytani w sieć pojęć i słów, logiki i oszukańczego rozsądku, a za nami płoną samotne praognie, do których nie mamy już dostępu, ponieważ zamieniliśmy je w pożytek i ciepło, w ogień pod kuchnią i ogrzewanie, oszustwo i pewność, filisterstwo i mury, a w każdym razie w parowe łaźnie dla pocącej się filozofii i wiedzy? Gdzie one są? Czy płoną nadal nieosiągalne i czyste, i niedostępne poza życiem i śmiercią, zanim stały się dla nas życiem i śmiercią? Czy tylko ci, co teraz w tym domu siedzą i snują się po swoich zakratowanych pokojach, patrzą osłupiałym wzrokiem i czują burzę we krwi, są im bliscy? Gdzie jest granica, która dzieli chaos i ład? Kto może ją przekroczyć i potem wrócić, a gdy mu się to uda, czy coś z tego pamięta? Czy jedno nie zaciera wspomnienia o drugim? Kto jest obłąkany, napiętnowany, wyklęty – czy my, z naszymi granicami rzeczy, rozsądkiem i uporządkowanym obrazem świata,

czy też ci inni, w których szaleje i migocze chaos? Ci wydani na łup nieskończoności jak pokoje bez drzwi, bez sufitu, izby o trzech ścianach, w których świecą błyskawice, wieje wiatr i pada deszcz, podczas gdy my spacerujemy dumnie po naszych zamkniętych pokojach z drzwiami i czterema ścianami i wierzymy, że mamy przewagę, bo udało się nam ujść chaosowi? Ale czym jest chaos? I czym jest ład? Kto nimi rządzi? I dlaczego? I komu kiedykolwiek udaje się uciec?

Blada błyskawica przelatuje nad krańcem parku i po długim czasie odpowiada jej bardzo słaby pomruk. Wydaje się, że nasz pokój, jak kabina pełna światła, płynie przez noc, która zaczyna budzić grozę, jakby gdzieś schwytani w niewolę olbrzymi wstrząsali swymi łańcuchami, by zerwać się i zniszczyć pokolenie karłów, które ich na krótki czas spętało. Kabina ze światłem w ciemności, książki i trzy uporządkowane mózgi w domu, gdzie jak w plastrach w ulu zamknięta jest niesamowitość, migocząca błyskawicami w tych chorych głowach! A gdyby tak poraził wszystkich w jednej sekundzie piorun świadomości, gdyby połączyli się w buncie, gdyby wyważyli zamki, połamali sztaby i runęli na schody szarą falą, otoczyli ten oświetlony pokój, tę kabinę ograniczonego chłodnego rozsądku, i porwali go z sobą w noc i w to, co bez nazwy jeszcze potężniej wznosi się poza nocą?

Oglądam się. Mąż wiary i mąż nauki siedzą pod światłem lampy. Świat nie jest dla nich chwiejnym, drżącym niepokojem ani pomrukiem z głębin, czy błyskawicami w lodowatych przestworzach eteru – są ludźmi wiary i nauki, mają pion i poziomnicę, i miarkę, każdy z nich inną, ale to nic, są pewni, mają nazwy, które jak etykietkę mogą przykleić do wszystkiego, śpią spokojnie, mają cel, to im wystarcza; nawet groza, czarna zasłona otaczająca samobójstwo, ma swoje odpowiednio wyznaczone miejsce w ich bycie, ma swą nazwę, została sklasyfikowana i w ten sposób unieszkodliwiona. Tylko to, co bezimienne, zabija, albo to, co rozsadziło swe imię.

– Błyska się – mówię.

Doktor podnosi głowę.

– Rzeczywiście?

Roztrząsa właśnie istotę schizofrenii, choroby, na którą cierpi Izabella. Jego ciemna twarz jest lekko zaróżowiona z zapału. Tłumaczy, jak chory tego typu błyskawicznie, w ciągu paru sekund, potrafi przeskoczyć z jednej osobowości w drugą, i że w dawnych czasach takich chorych uważano za jasnowidzów i świętych albo za opętanych przez diabła, dla których lud żywił zabobonny respekt. Filozofuje nad powodami, a ja dziwię się nagle, skąd on to wszystko wie i dlaczego określa to jako chorobę. Czy nie można by równie dobrze uważać tego za jakiś szczególny dar? Czy każdy normalny człowiek nie ma w sobie również kilkunastu osobowości? I czy różnica nie polega jedynie na tym, że zdrowy dusi je w sobie, a chory wypuszcza na swobodę? Kto więc jest chory?

Podchodzę do stołu i wypijam swój kieliszek. Bodendiek obserwuje mnie z zadowoleniem, Wernicke tak, jak się spogląda na nieciekawy przypadek. Po raz pierwszy czuję wino; czuję, że jest dobre, mocne, dojrzałe i klarowne. Nie ma już w sobie chaosu, myślę. Zmieniło go. Zmieniło w harmonię. Ale zmieniło, a nie zastąpiło chaosu harmonią. On nie zniknął. Nagle przez sekundę jestem bez powodu niewymownie szczęśliwy. A więc i tak można, myślę. Możliwe jest przekształcenie. Nie musi być tylko to albo tamto. Tamto może powstać z tego.

Nowy blady błysk migocze za oknem i znika. Doktor wstaje.

– Zaczyna się – mówi. – Muszę iść do zamkniętych.

Zamkniętymi nazywa się chorych, którzy nigdy nie wychodzą. Póki nie umrą, pozostają zamknięci w pokojach z przyśrubowanymi meblami i drzwiami, które można otworzyć kluczem tylko z zewnątrz. Siedzą w klatkach jak niebezpieczne dzikie zwierzęta i nikt chętnie o nich nie wspomina.

Wernicke spogląda na mnie.

– Co się stało z pańską wargą?

– Nic. Ugryzłem się przez sen.

Bodendiek parska śmiechem. Otwierają się drzwi i mała siostra wnosi nową butelkę wina i trzy kieliszki. Wernicke opuszcza pokój razem z siostrą. Bodendiek chwyta butelkę i nalewa sobie kieliszek. Rozumiem teraz, dlaczego zaproponował lekarzowi, żeby z nami wypił – aby przełożona przysłała nam nową butelkę.

Jedna nie wystarczyłaby na trzech mężczyzn. To cwaniak, myślę. Powtórzył cud rozmnożenia. Z jednego kieliszka dla doktora zrobił całą butelkę dla siebie samego.

– Pan z pewnością już nie będzie pił? – pyta.

– Będę – odpowiadam, siadając. – Uchwyciłem właśnie smak. Ksiądz mi w tym dopomógł. Dziękuję serdecznie.

Z kwaśnosłodkim uśmiechem Bodendiek wyciąga znowu butelkę z lodu. Przez chwilę obserwuje etykietę, a potem nalewa mi – jedną czwartą kieliszka. Za to swój napełnia aż po brzegi. Spokojnie zabieram mu butelkę z ręki i dolewam sobie, tak że obaj mamy tyle samo.

– Księże wikary – mówię. – Pod niektórymi względami nie różnimy się tak bardzo od siebie.

Bodendiek śmieje się. Zmarszczki na jego twarzy znikają.

– Na zdrowie! – mówi z namaszczeniem.

Burza, pomrukując, wędruje po okolicy. Jak bezgłośne ciosy szabel padają błyskawice. Siedzę przy oknie swego pokoju, przede mną strzępki listów Erny w wydrążonej słoniowej nodze, którą podarował mi jako kosz do śmieci znajomy podróżnik Hans Ledermann, syn mistrza krawieckiego.

Skończyłem z Erną. Wyliczyłem sobie wszystkie jej nieprzyjemne cechy; zniszczyłem ją w sobie pod względem uczuciowym i ludzkim, a na deser przeczytałem parę rozdziałów Schopenhauera i Nietzschego. Mimo to wolałbym mieć smoking, samochód i szofera i w towarzystwie trzech znanych aktorek oraz z paru setkami milionów w kieszeni pojawić się teraz w Czerwonym Młynie, żeby zadać tej żmii najgorszy cios w jej życiu. Przez chwilę marzę, co by to było, gdyby jutro przeczytała w gazecie, że wygrałem główny los albo że zostałem ciężko poparzony, ratując dzieci z płonących domów. Potem widzę światło w pokoju Lizy.

Otwiera okno i daje jakieś znaki. W moim pokoju jest ciemno i nie może mnie widzieć, a więc znaki nie są skierowane do mnie. Mówi coś po cichu, pokazuje na swoje piersi, a potem na nasz dom i kiwa głową. Potem światło gaśnie.

Wychylam się ostrożnie. Jest dwunasta w nocy, a wszystkie okna dokoła są ciemne. Tylko okno Georga Krolla jest otwarte.

Czekam i widzę, jak poruszają się drzwi domu Lizy. Wychodzi z nich, ogląda się szybko na wszystkie strony i przebiega przez ulicę. Ubrana jest w lekką kolorową sukienkę, pantofle trzyma w ręku, żeby nie robić hałasu. Jednocześnie słyszę, jak ostrożnie uchylają się drzwi naszego domu. To musi być Georg. Nad drzwiami wisi dzwonek i żeby je otworzyć po cichu, trzeba wejść na krzesło, przytrzymać dzwonek ręką, a nogą nacisnąć i pociągnąć klamkę – wyczyn akrobatyczny, do którego trzeba być trzeźwym. Wiem, że dziś wieczorem Georg jest trzeźwy.

Rozlega się pomruk głosów i stukanie wysokich obcasów. Liza, ta próżna istota, włożyła więc znowu pantofle, żeby bardziej uwodzicielsko wyglądać. Drzwi do pokoju Georga wzdychają lekko. A więc! Kto by się tego spodziewał? Georg, ta cicha woda! Tylko kiedy on to załatwił?

Burza wraca. Grzmoty są coraz silniejsze i nagle jak deszcz srebrnych talarów krople zaczynają padać na ulicę. Rozpylona woda unosi je z powrotem w powietrze jak fontanna, wiejąc orzeźwiającym chłodem. Wychylam się z okna i patrzę w mokry zamęt. Woda spływa już z rynien. Błyskawice migają, w nagłych rozbłyskach widzę, jak z pokoju Georga wyciągają się na deszcz nagie ramiona Lizy, a potem widzę jej głowę i słyszę zachrypły głos. Łysej głowy Georga nie widzę. Jego nie rozmarzają cuda natury.

Brama otwiera się pod uderzeniem pięści. Zmoczony do nitki wtacza się feldfebel Knopf. Woda cieknie mu z czapki. Bogu dzięki, myślę, nie będę musiał przy takiej pogodzie chodzić za jego świństwami z wiadrem wody. Ale Knopf przyprawia mnie o rozczarowanie. W ogóle nie patrzy na swoją ofiarę – czarny obelisk. Odpędzając od twarzy krople deszczu niby muchy i klnąc, ucieka do domu. Woda jest jego najgorszym wrogiem.

Biorę słoniową nogę i wyrzucam jej zawartość na ulicę. Deszcz szybko zmywa miłosne wynurzenia Erny. Pieniądze zwyciężyły, myślę. Jak zwykle, choć już nic nie są warte. Podchodzę do drugiego okna i wyglądam na ogród. Wielkie deszczowe święto jest

tam w pełnym rozkwicie, zielona orgia zapładniania, bezwstydna i niewinna. W świetle błyskawic widzę płytę nagrobną samobójcy. Jest odstawiona na bok, napis już wyryty, połyskuje złotem. Zamykam okno i zapalam światło. Na dole szepczą Georg i Liza. Nagle pokój wydaje mi się straszliwie pusty. Znowu otwieram okno, słucham anonimowego szumu i postanawiam zażądać od księgarza Bauera książki o jodze, wyrzeczeniu się i samowystarczalności jako honorarium za ostatni tydzień korepetycji. Podobno przez ćwiczenia oddechowe ludzie osiągnęli bajeczne rzeczy.

Przed pójściem spać przechodzę koło lustra. Staję i przeglądam się. Co jest rzeczywiste? – myślę. Skąd pochodzi perspektywa, której nie ma, głębia, która kłamie, przestrzeń, która jest płaszczyzną? I kim jest ten, co stamtąd wygląda, a w ogóle go nie ma?

Patrzę na moje wargi opuchnięte i spieczone, dotykam ich, a ktoś naprzeciwko dotyka swojej widmowej wargi, której nie ma. Uśmiecham się i ten nie-ktoś również się uśmiecha. Potrząsam głową, a ten nie-ktoś też potrząsa swoją nie-głową. Który z nas jest którym? I co to jest „ja”? To tam, czy to obleczone w ciało, po tej stronie? Czy też coś jeszcze innego, coś poza tymi dwoma? Czuję dreszcz grozy i gaszę światło.

VII

Riesenfeld dotrzymał słowa. Podwórko jest pełne pomników i cokołów. Te polerowane ze wszystkich stron owinięto workowym płótnem i opakowano w skrzynie z desek. Tego rodzaju pomniki są primadonnami wśród nagrobków i należy je traktować z jak największą ostrożnością, żeby nic się nie stało kantom.

Cały personel wyległ na podwórko, żeby pomagać i oglądać. Nawet stara pani Kroll spaceruje dokoła, bada czerń i konsystencję granitu i rzuca niekiedy tęskne spojrzenie na obelisk przy drzwiach – jedyny monument zakupów jej zmarłego małżonka.

Kurt Bach kieruje potężny blok piaskowca do swego warsztatu. Powstanie z tego nowy umierający lew, ale tym razem nie tak nachylony, z bólem zębów, lecz ryczący resztką sił i ze złamanym oszczepem w boku. Ma ozdobić pomnik poległych mieszkańców wsi Wüstringen, gdzie ma siedzibę szczególnie aktywne stowarzyszenie weteranów pod dowództwem majora w stanie spoczynku Wolkensteina. Dla Wolkensteina żałobny lew był zbyt mazgajowaty. Najchętniej zamówiłby takiego z czterema głowami plującymi ogniem.

Wyładowujemy także transport z Wirtemberskiej Fabryki Wyrobów Metalowych, który przybył jednocześnie. Cztery orły z rozpostartymi skrzydłami stoją rzędem na ziemi, dwa z brązu, dwa z lanego żelaza. Ukoronują inne pomniki poległych i będą zapalać młodzież kraju do nowej wojny – jak twierdzi bowiem przekonująco major w stanie spoczynku Wolkenstein, „raz wreszcie musimy zwyciężyć, a wtedy biada innym!” Na razie co prawda orły wyglądają tylko jak olbrzymie kury, które chcą znieść jajka –

ale to się zaraz zmieni, gdy rozsiądą się na pomnikach. Także i generałowie bez uniformów wyglądają trochę jak sklepikarze, a nawet Wolkenstein po cywilnemu przypomina tłustego nauczyciela gimnastyki. Kostium i dystans są wszystkim w naszej ukochanej ojczyźnie.

Jako szef reklamy nadzoruję ustawianie pomników. Nie powinny stać bez związku obok siebie, ale tworzyć przyjemne grupy, artystycznie rozmieszczone w ogrodzie. Henryk Kroll jest temu przeciwny. Wolałby ustawić kamienie pod sznurek, jak żołnierzy; wszystkie inne sposoby uważa za objaw zniewieściałości. Na szczęście zostaje przegłosowany. Nawet jego matka jest przeciwko niemu. Właściwie to ona zawsze jest przeciwko niemu. Jeszcze do dziś nie wie, jakim sposobem Henryk został jej synem, a nie synem majorowej w stanie spoczynku, pani Wolkenstein.

Dzień jest błękitny i bardzo piękny. Niebo rozpina się nad miastem jak olbrzymi jedwabny namiot. Wilgotny chłód poranka wisi jeszcze w koronach drzew. Ptaki ćwierkają, jakby na świecie istniało tylko rozpoczynające się lato, gniazda i młode życie. Nic ich nie obchodzi, że dolar jak brzydki gąbczasty grzyb spuchł do pięćdziesięciu tysięcy. Ani to, że poranna gazeta donosi o trzech samobójstwach – wszystkie byłych drobnych ciułaczy, wszystkie popełnione w ulubiony sposób ubogich: za pomocą otwartego kurka od gazu. Żyjącą z oszczędności panią Kubalke znaleziono z głową w piecyku gazowej kuchenki; emerytowany rachmistrz Hopf, gładko wygolony, w nieskazitelnie wyszczotkowanym, mocno łatanym garniturze, trzymał w ręku cztery ostemplowane na czerwono banknoty tysiącmarkowe, niby bilety wstępu do nieba; wdowa Class leżała na podłodze w swojej kuchni, a książeczkę oszczędnościową z wkładem pięćdziesięciu tysięcy marek znaleziono obok niej podartą na strzępy. Czerwono ostemplowane tysiącmarkówki Hopfa były ostatnią chorągwią nadziei; od dawna wierzono, że kiedyś zostaną skonwertowane. Skąd poszła ta pogłoska, nikt nie wie. Nigdzie nie jest na nich napisane, że można je wymienić na złoto, a gdyby nawet tak było – państwo, ten nietykalny oszust, który sam kradnie biliony, ale zamyka każdego, kto

sprzeniewierzy choćby pięć marek, znalazłoby już jakąś sztuczkę, żeby wykręcić się sianem. Dopiero przedwczoraj zamieszczono w gazecie wyjaśnienie, że stemplowane banknoty nie będą traktowane w sposób uprzywilejowany. Dlatego też dziś jest w gazecie nekrolog Hopfa.

Z warsztatu Wilkego dolatuje stukanie, jakby gnieździł się tam ogromny wesoły dzięcioł. Interesy Wilkego kwitną; trumny potrzebuje w końcu każdy, nawet samobójca – czas masowych grobów i pogrzebów w płachtach namiotowych skończył się wraz z wojną. Teraz gnije się jak należy, w powolnie butwiejącym drzewie, w śmiertelnej koszuli, we fraku bez pleców albo pogrzebowej sukni z białego krepdeszynu. Piekarza Niebuhra pochowano nawet w gali wszystkich orderów i odznaczeń cechowych; jego żona szczególnie na to nalegała. Włożyła mu do trumny kopię chorągwi stowarzyszenia śpiewaczego Zgoda. Był drugim tenorem. Każdej soboty ryczał *Milczenie w lesie* i *Dumnie powiewa flaga czarno-biało-czerwona*, żłopał tyle piwa, że mało nie pękał, a potem wracał do domu, żeby tłuc żonę. Prostolinijny człowiek, jak powiedział ksiądz nad grobem.

Henryk Kroll znika na szczęście o godzinie dziesiątej wraz z rowerem i sztuczkowymi spodniami, udając się na objazd wsi. Tyle świeżego granitu niepokoi jego handlowe serce; musi działać, żeby nasze zdobycze przekazać osieroconym rodzinom.

Mamy teraz trochę spokoju. Najpierw robimy przerwę, a pani Kroll posila nas kawą i bułkami z wątrobianką. Liza ukazuje się w bramie. Ma na sobie przeraźliwie czerwoną jedwabną suknię. Stara pani Kroll płoszy ją jednym spojrzeniem. Chociaż nie jest dewotką, nie cierpi Lizy.

– Brudna flądra – oświadcza z satysfakcją.

Georg się dziwi.

– Brudna? Dlaczego ma być brudna?

– No bo brudna, nie widzisz? Nie myje się, tylko obwiesza fatałaszkami.

Widzę, że mimo woli Georg zaczyna się zastanawiać. Brudu nikt nie lubi u ukochanej, chyba że jest dekadentem. Matka Georga ma przez chwilę błysk triumfu w oczach; potem zmienia

temat. Patrzę na nią z podziwem; jest jak dowódca zmotoryzowanych jednostek – uderza szybko, a gdy przeciwnik mozolnie przygotowuje się do obrony, jest już całkiem gdzie indziej. Liza może być flądrą; rażąco brudna z pewnością nie jest.

Trzy córki feldfebla Knopfa wyfruwają z domu. Są małe, okrągłutkie i ruchliwe, szwaczki tak jak matka. Ich maszyny warczą przez cały dzień. Teraz panny, świergocząc, drepczą na miasto. W rękach trzymają paczki z zawrotnie drogimi jedwabnymi koszulami dla spekulantów. Knopf, stary wojskowy, nie daje ani feniga ze swej emerytury na gospodarstwo. Muszą się o nie troszczyć cztery kobiety.

Ostrożnie rozpakowujemy oba czarne pomniki z krzyżami. Właściwie miały stać przy wejściu, by wywierać odpowiednie wrażenie, i w zimie z pewnością byśmy je tam postawili; ale teraz jest maj i choć się to wydaje dziwne – nasz dziedziniec stanowi miejsce schadzek i kotów, i zakochanych. Koty już w lutym wrzeszczą z nagrobków i uganiają się między cementowymi obramowaniami grobów, zakochani zaś zjawiają się, gdy tylko jest dość ciepło, by kochać się pod gołym niebem – a kiedy jest na to za zimno? Ulica Krzywa leży na uboczu i jest cicha, nasza brama zachęca, a ogród jest stary i rozległy. Nieco makabryczne dekoracje nie przeszkadzają kochającym się parom. Przeciwnie, zdają się budzić w nich szczególną namiętność. Nie dalej jak dwa tygodnie temu kościelny ze wsi Halle, który, jak wszyscy mężowie boży, przyzwyczajony jest wstawać razem z kurami, pojawił się u nas o siódmej rano, by kupić cztery najmniejsze skałki na groby zmarłych w ciągu roku sióstr miłosierdzia. Gdy zaspany prowadziłem go do ogrodu, zdążyłem jeszcze w ostatniej chwili usunąć różowe majtki ze sztucznego jedwabiu, które jak chorągiew trzepotały na prawym ramieniu naszego granitowego krzyża. Najwidoczniej zapomniała ich jakaś kochająca się w nocy para. Sianie życia w przybytku śmierci ma w sobie coś w szerokim poetyckim sensie pojednawczego, a poeta Otto Bambuss, piszący wiersze nauczyciel naszego klubu, gdy mu o tym zdarzeniu opowiedziałem, ukradł mi natychmiast pomysł i przerobił na elegię z kosmicznym humorem – jednak w innych wypadkach coś takiego może naprawdę wywoływać nie-

przyjemne wrażenie, szczególnie jeśli jeszcze w pobliżu połyskuje w porannym słońcu pusta butelka po wódce.

Lustruję całą wystawę. Wygląda zachęcająco, o ile coś takiego można powiedzieć o nagrobkach. Oba krzyże połyskują na swych cokołach w porannym słońcu, symbole wieczności, wyszlifowane odłamki ongiś rozpalonej ziemi, ochłodzone, wypolerowane i gotowe teraz przekazać potomności nazwisko jakiegoś obrotnego przedsiębiorcy albo bogatego paskarza – nawet oszust bowiem nie chce znikać bez śladu z tej planety. – Georg – mówię – musimy uważać, żeby twój brat nie sprzedał naszej werdenbrückiej Golgoty paru gnojkom, którzy zapłacą dopiero po żniwach. W obliczu błękitnego dnia, wśród śpiewu ptasząt i oparów kawy, złóżmy świętą przysięgę: oba krzyże oddamy tylko za gotówkę!

Georg uśmiecha się.

– Nie jest to takie niebezpieczne. Mamy wykupić nasz weksel za trzy tygodnie. Póki dostajemy pieniądze wcześniej, zarabiamy na tym.

– Co zarabiamy? – pytam. – Iluzję – do następnego kursu dolara.

– Czasami jesteś zanadto rzeczowy, – Georg zapala skrupulatnie cygaro wartości pięciu tysięcy marek. – Zamiast narzekać, powinieneś się raczej zastanowić nad inflacją jako nad odwróconym symbolem życia. Każdy przeżyty dzień to o jeden dzień mniej bytu. Żyjemy z kapitału, a nie z odsetek. Co dzień podnosi się kurs dolara, ale co noc spada kurs twego życia o jeden dzień. Może byś napisał sonet na ten temat?

Obserwuję zadowolonego z siebie Sokratesa z ulicy Krzywej. Krople potu zdobią jego łysą głowę jak perły jasną suknię.

– Zdumiewające – mówię – jak łatwo można filozofować, kiedy się nie spało w nocy samotnie.

Georg nawet nie mrugnął powieką.

– A kiedyż indziej? – spokojnie odpowiada pytaniem. – Filozofia powinna być wesoła, a nie udręczona. Łączenie z nią metafizycznych spekulacji znaczy to samo co łączenie radości zmysłów

z tym, co członkowie naszego klubu poetyckiego nazywają idealną miłością. Robi się z tego nieznośny bałagan.

– Bałagan? – powtarzam ugodzony w czułe miejsce. – Zastanów się, ty drobnomieszczaninie przygody! Ty kolekcjonerze motyli, który wszystko chce wtykać na szpilki! Czy nie wiesz, że człowiek umiera bez tego, co nazywasz bałaganem?

– Bzdura. Potrafię tylko rozgraniczać sprawy. – Georg dmucha mi w twarz dymem z cygara. – Wolę raczej z godnością i filozoficzną melancholią znosić nietrwałość życia, niż popełniać wraz z innymi wulgarną omyłkę i mieszać jakąś tam Minnę czy Annę z chłodną tajemnicą bytu oraz przyjmować, że świat się kończy, jeśli ta Minna czy Anna woli innego Karola czy Józefa. Albo gdy jakaś Erna obdarzy swymi łaskami olbrzymie niemowlę w angielskim kamgarnie.

Uśmiecha się ironicznie. Patrzę chłodno w jego zdradzieckie oczy.

– Tani chwyt, godny Henryka! – mówię. – Ty skromny konsumencie tego, co osiągalne! Zechcesz mi w takim razie wytłumaczyć, dlaczego tak namiętnie czytasz tygodniki, w których aż się roi od nieosiągalnych syren, skandali z najlepszego towarzystwa, dam z teatru i pożeraczek serc z filmu?

Georg znowu wydmuchuje mi w oczy za trzysta marek dymu.

– Robię to dla mojej fantazji. Nie słyszałeś nigdy o miłości ziemskiej i niebiańskiej? Niedawno chciałeś je połączyć w twojej Ernie i otrzymałeś odpowiednią nauczkę, ty dzielny subiekcie kolonialnego sklepu miłości, co chciałby mieć kwaszoną kapustę i kawior na tej samej półce! Nie wiesz wciąż jeszcze, że kwaszona kapusta nigdy nie smakuje po kawiorze, ale kawior smakuje zawsze po kwaszonej kapuście? Ja trzymam je z dala od siebie i ty powinieneś robić to samo! To bardzo ułatwia życie. No, a teraz chodźmy podręczyć Edwarda Knoblocha. Ma dziś duszoną wieprzowinę z kluskami.

Kiwam głową i bez słowa przynoszę kapelusz. Georg zranił mnie mocno, sam tego nie dostrzegając – ale niech mnie diabli porwą, jeśli dam mu coś poznać po sobie.

Kiedy wracam, w biurze siedzi Gerda Schneider. Ma na sobie zielony sweter, krótką spódniczkę i duże kolczyki z fałszywymi kamieniami. Z lewej strony przypięła do swetra kwiaty z riesenfeldowskiego bukietu, który okazał się nadzwyczajnie trwały. Wskazuje na nie i mówi:

– *Merci!* Wszystkie mi zazdrościły. To była wiązanka dla primadonny.

Patrzę na nią i myślę. Siedzi przede mną dokładnie to, co Georg uważa za ziemską miłość – jasne, mocne, młode i pozbawione frazesów. Posłałem jej kwiaty, ona przyszła, basta. Zrozumiała te kwiaty tak, jak powinien je zrozumieć rozsądny człowiek. Zamiast odgrywać długą komedię, jest u mnie. Przyjęła je i teraz właściwie nie ma już nic do omawiania.

– Co robisz dziś po południu? – pyta.

– Pracuję do piątej. Potem przez godzinę pomagam jednemu idiocie.

– W czym? W idiotyzmie?

Uśmiecham się.

– Mówiąc szczerze, to tak.

– Więc do szóstej jesteś zajęty. Przyjdź później do Gospody Staromiejskiej. Trenuję tam.

– Dobrze – odpowiadam bez namysłu.

Gerda wstaje.

– A więc…

Nadstawia mi twarz. Jestem zaskoczony. Nie spodziewałem się aż tyle, przesyłając kwiaty. Ale dlaczegóżby właściwie nie? Georg ma prawdopodobnie rację – bólu miłości nie można zwalczać filozofią, tylko inną kobietą. Ostrożnie całuję Gerdę w policzek.

– Głuptas! – mówi i całuje mnie serdecznie w usta. – Wędrowne artystki nie mają czasu na dyrdymałki. Za dwa tygodnie muszę jechać dalej. A więc do wieczora.

Idzie wyprostowana, mocna, na swoich sprężystych, silnych nogach. Na głowie ma czerwony beret. Wydaje się, że lubi zdecydowane barwy. Staje przed obeliskiem i spogląda na naszą Golgotę.

– To nasz skład – wyjaśniam.

Kiwa głową.

– Macie co z tego?

– Niewiele… w tych czasach…

– A ty tu pracujesz?

– Tak. Komiczne, co?

– Wcale nie komiczne – mówi Gerda. – A co ja mam powiedzieć, kiedy w Czerwonym Młynie wsadzam głowę między nogi? Myślisz, że Pan Bóg po to mnie stworzył? No więc do szóstej.

Stara pani Kroll wychodzi z konewką z ogrodu.

– To porządna dziewczyna – oświadcza i spogląda za Gerdą. – Co ona robi?

– Jest akrobatką.

– Akrobatką? – mówi zaskoczona. – Akrobatki są przeważnie porządnymi dziewczynami. Nie jest śpiewaczką, co?

– Nie. Autentyczną akrobatką. Z saltami, staniem na rękach i różnymi wygibasami typu człowiek-wąż.

– Pan ją, widzę, dość dobrze zna. Chciała coś kupić?

– Jeszcze nie.

Śmieje się. Szkła jej okularów połyskują.

– Mój drogi Ludwiku – ciągnie. – Nie wyobraża pan sobie, jak głupie wyda się panu obecne życie, gdy pan będzie miał siedemdziesiąt lat.

– Nie jestem tego taki pewny – oznajmiam. – Widzi pani, już teraz wydaje mi się ono dość głupie. Poza tym, co pani sądzi o miłości?

– O czym?

– O miłości. Niebiańskiej i ziemskiej miłości.

Pani Kroll śmieje się serdecznie.

– O tym już dawno zapomniałam. Bogu dzięki!

Stoję w księgarni Artura Bauera. Dziś jest dzień wypłaty za korepetycje, których udzielam jego synowi. Artur junior wykorzystał sposobność i na powitanie położył mi parę pluskiewek na krześle. Chętnie zanurzyłbym za to jego baranie oblicze w akwarium ze złotymi rybkami, zdobiącymi pluszowy salon, ale musiałem się opanować – Artur senior nie dałby mi wtedy ani grosza, a Artur junior o tym wie.

– A więc joga – mówi jowialnie Artur senior i podsuwa mi paczkę książek. – Odłożyłem tu panu wszystko, co mamy. Joga, buddyzm, asceza, kontemplacja pępka. Chce pan zostać fakirem?

Mierzę go spojrzeniem pełnym niesmaku. Jest mały, ma spiczastą bródkę i bystre oczka. Jeszcze jeden strzelec, myślę, który celuje dzisiaj w moje zranione serce. Ale z tobą, kiepski żartownisiu, dam sobie radę, nie jesteś Georgiem! Mówię ostro:

– Co jest sensem życia, panie Bauer?

Artur spogląda na mnie pełen oczekiwania jak pudel.

– No i?

– Jakie i?

– Gdzie jest puenta? Pan przecież chyba opowiada kawał?

– Nie – odpowiadam chłodno. – To jest pytanie mające na celu zbawienie mojej młodej duszy. Stawiam je wielu ludziom, szczególnie tym, którzy powinni znać odpowiedź.

Artur przebiera palcami po brodzie jak po harfie.

– Pan przecież nie pyta na serio o coś tak idiotycznego w poniedziałek, w godzinach najbardziej ożywionego ruchu, i nie oczekuje pan chyba na to odpowiedzi.

– Owszem – mówię. – Ale niech się pan od razu przyzna! Pan również nie wie! Pan, mimo wszystkich swoich książek!

Artur puszcza brodę i zagłębia palce w kędzierzawej czuprynie.

– Boże, jakie też niektórzy ludzie mają zmartwienia! Niech pan roztrząsa to zagadnienie w swoim klubie poetyckim!

– W klubie poetyckim są na to tylko poetyckie przenośnie. Ale ja chcę znać prawdę. Po co egzystuję i dlaczego nie jestem robakiem?

– Prawdę! – rży Artur. – Co za Piłat! Mnie to nic nie obchodzi. Jestem księgarzem, mężem i ojcem, i to mi wystarcza.

Patrzę na księgarza, męża i ojca. Ma krostę z prawej strony nosa.

– Tak, więc to panu wystarcza – mówię jadowitym tonem.

– Wystarcza – odpowiada Artur mocno. – Niekiedy jest to nawet za wiele.

– Czy wystarczało to panu również wtedy, gdy pan miał dwadzieścia pięć lat?

Artur otwiera swe niebieskie oczy najszerzej, jak może.

– Jak miałem dwadzieścia pięć lat? Nie. Wtedy chciałem zostać kimś.

– Kim? – pytam z nadzieją. – Człowiekiem?

– Właścicielem księgarni, mężem i ojcem. Człowiekiem jestem tak czy owak. Fakirem jeszcze nie.

Po tym niewinnym drugim strzale umyka szybko ku damie z obfitym biustem, która żąda powieści Rudolfa Herzoga. Przerzucam szybko kartki książek o szczęściu ascezy i szybko odkładam je na bok. W dzień człowiek jest mniej nastrojony do tych rzeczy niż nocą, w samotności, kiedy nie zostało mu już nic innego.

Podchodzę do półek z książkami o religii i filozofii. Są one dumą Artura Bauera. Ma tu prawie wszystko, co ludzkość przez parę tysięcy lat wymyśliła na temat sensu życia. Mógłbym się więc wystarczająco poinformować za paręset tysięcy marek – właściwie nawet za mniej, powiedzmy za dwadzieścia do trzydziestu tysięcy marek. Gdyby bowiem sens życia był poznawalny, wystarczyłaby jedna jedyna książka. Ale która? Oglądam półki od góry do dołu. Dział jest bardzo obszerny i to mnie zdumiewa. Wydaje się, że z prawdą i sensem życia jest jak ze środkami na porost włosów – każda firma zachwala swój jako jedynie skuteczny – ale Georg Kroll, który wypróbował wszystkie, ma nadal łysinę, a powinien był wiedzieć od początku, że tak będzie. Gdyby istniał jakiś środek, od którego rzeczywiście rosłyby włosy, to tylko on jeden pozostałby na rynku, a wszystkie inne dawno by już splajtowały.

Bauer wraca.

– No, znalazł pan coś?

– Nie.

Ogląda odsunięte na bok tomy.

– A więc zostanie fakirem nie ma sensu, co?

Nie odcinam się prymitywnemu dowcipnisiowi.

– Książki w ogóle nie mają sensu – mówię natomiast. – Kiedy się widzi, co tu zostało napisane i jak mimo wszystko wygląda świat, powinno się czytać tylko menu w Walhalli i kronikę towarzyską w dzienniku.

– Jak to? – pyta księgarz, mąż i ojciec, lekko przerażony. – Czytanie kształci, o tym wie każdy.

– Rzeczywiście?

– Jasne! Inaczej co by się stało z księgarzami?

Artur znowu pędzi do lady. Jakiś mężczyzna z przystrzyżonym wąsikiem domaga się dzieła *Niezwyciężeni w polu*. Jest to wielki szlagier powojennych czasów. Pewien bezrobotny generał dowodzi w nim, że armia niemiecka aż do końca wojny odnosiła zwycięstwa.

Artur sprzedaje wydanie upominkowe, oprawne w skórę, ze złoconymi brzegami. Wraca ułagodzony korzystną transakcją.

– A może coś z klasyki? Po cenach antykwarycznych, oczywiście.

Potrząsam głową i bez słowa wskazuję na książkę, którą tymczasem znalazłem na wystawie. Jest to *Światowiec* – brewiarz dobrych manier we wszystkich sytuacjach życiowych. Cierpliwie oczekuję nieodzownych płaskich dowcipów o fakirach światowcach. Ale Artur nie dowcipkuje.

– Pożyteczna książka – oświadcza rzeczowo. – Powinna ukazać się w masowym wydaniu. Więc dobrze, jesteśmy kwita, co?

– Niezupełnie. Mam tu jeszcze coś. – Podnoszę cieniutki tomik. *Uczta* Platona. – Jeszcze to dojdzie.

Artur liczy w pamięci.

– Nie całkiem się zgadza, ale niech tam! Policzymy *Ucztę* według cen antykwarycznych.

Poradnik dobrych manier każę sobie zapakować i obwiązać szpagatem. Za nic w świecie nie chciałbym, żeby mnie ktoś z tym spotkał. Mimo to postanawiam dziś wieczorem przestudiować tę książkę. Trochę szlifu nikomu nie zaszkodzi, a wymysły Erny tkwią mi jeszcze w głowie. Przez wojnę dość zdziczeliśmy, a na chamskie maniery można sobie dziś pozwolić tylko wtedy, gdy przesłania je wypchany portfel. A wypchanego portfela nie mam.

Zadowolony wychodzę na ulicę. Ogarnia mnie hałaśliwy wir życia. W jaskrawoczerwonym kabriolecie przejeżdża pędem Willy, nie dostrzegając mnie jednak. Mocniej przyciskam pod pachą vademecum dla światowców. Dalej w życie! – myślę. Niech żyje

ziemska miłość! Precz z marzeniami! Precz z upiorami! Dotyczy to zarówno Erny, jak Izabelli. Dla duszy mam jeszcze Platona.

Gospoda Staromiejska jest knajpą, w której zatrzymują się wędrowni artyści, Cyganie i woźnice. Na pierwszym piętrze znajduje się kilkanaście pokoi do wynajęcia, a w oficynie ogromna sala z fortepianem i kilkoma przyrządami gimnastycznymi, na których artyści mogą ćwiczyć swoje numery. Podstawą interesu jest jednak knajpa. Służy ona za punkt spotkań wędrowców z variétés, a również przedstawicieli świata przestępczego.

Otwieram drzwi do tylnej sali. Przy fortepianie stoi Renée de la Tour i ćwiczy duet. W głębi jakiś mężczyzna tresuje dwa białe szpice i pudla. Z prawej strony leżą na macie dwie tęgie kobiety i palą. Na trapezie, wygięta w łuk, ze stopami między rękoma ściskającymi drążek, frunie ku mnie Gerda, jak figura ulatująca z dzioba galeonu.

Obie tęgie kobiety są w kostiumach kąpielowych. Przeciągają się, a ich muskuły grają pod skórą. To bez wątpienia zapaśniczki występujące w Gospodzie Staromiejskiej. Renée ryczy „Dobry wieczór!" pierwszorzędnym tonem wojskowej komendy. Treser gwiżdże. Psy wywijają salta. Gerda kołysze się wahadłowym ruchem na trapezie i przypomina mi się chwila, gdy ujrzałem ją w Czerwonym Młynie z głową między nogami. Ma na sobie trykot, a na głowie czerwoną, mocno zawiązaną chustkę.

– Ona trenuje – wyjaśnia Renée. – Chce wrócić do cyrku.

– Do cyrku? – Spoglądam na Gerdę z nowym zainteresowaniem. – Była już kiedyś w cyrku?

– Naturalnie. Wychowała się tam. Ale cyrk splajtował. Nie mieli pieniędzy na mięso dla lwów.

– Ona była przy lwach?

Renée śmieje się jak feldfebel i patrzy na mnie szyderczo.

– To byłoby podniecające, co? Nie, była akrobatką.

Gerda znowu pędzi do nas. Patrzy nieruchomymi oczyma, jakby chciała mnie zahipnotyzować. Ale wcale mnie nie widzi – ten osłupiały wzrok to skutek napięcia.

– Czy Willy jest właściwie bogaty? – pyta Renée de la Tour.

– Zdaje mi się. Bogaty w obecnym znaczeniu tego słowa. Prowadzi różne interesy i ma kupę akcji, których wartość rośnie z dnia na dzień. A dlaczego?

– Lubię, jak mężczyźni są bogaci. – Renée śmieje się sopranem. – Każda dama to lubi – ryczy jak na placu musztry.

– Zauważyłem to – oświadczam gorzko. – Bogaty spekulant jest lepszy niż uczciwy, choć biedniejszy człowiek pracy.

Renée trzęsie się ze śmiechu.

– Bogactwo i uczciwość nie chodzą w parze, dziecinko! Nie w dzisiejszych czasach! Dawniej prawdopodobnie też nie chodziły.

– Chyba że ktoś dostanie spadek albo wygra na loterii.

– Wtedy też nie. Pieniądze psują charakter, nie słyszał pan o tym?

– Owszem. Ale w takim razie dlaczego pani tak na nich zależy?

– Ponieważ nic sobie nie robię z charakteru – ćwierka Renée głosem mizdrzącej się starej panny.

Gerda leci ku nam we wspaniałym salcie. Zatrzymuje się pół metra od nas, kołysze się parę razy na palcach nóg i parska śmiechem.

– Renée kłamie – mówi.

– Słyszałaś, co ona opowiadała?

– Każda kobieta kłamie – mówi Renée anielskim głosem. – A jeśli nie kłamie, nie jest nic warta.

– Amen – odpowiada treser psów.

Gerda odgarnia sobie włosy z czoła.

– Skończyłam. Poczekaj, aż się przebiorę.

Idzie do drzwi, na których wisi tabliczka z napisem: „Garderoba". Renée spogląda za nią.

– Ona jest ładna – oświadcza rzeczowo. – Niech pan popatrzy, jak się trzyma. Prawidłowo chodzi, a to jest najważniejsze u kobiety. Pupa wciągnięta, a nie wypięta.

– Słyszałem już o tym – mówię – od pewnego znawcy granitu. Jak się chodzi prawidłowo?

– Kiedy się ma uczucie, że trzyma się w pupie pięciomarkówkę, a później zapomina się o tym.

Próbuję to sobie wyobrazić. Nie potrafię. Od dawna nie widziałem już pięciomarkówki. Ale znam kobietę, która w ten sposób potrafi wyrwać ze ściany średniej wielkości gwóźdź. To pani Beckmann, przyjaciółka szewca Karola Brilla, potężna kobieta, cała jak z żelaza. Karol Brill wygrał dzięki niej niejeden zakład i sam podziwiałem jej sztukę. Wbija się gwóźdź w ścianę warsztatu, nie za głęboko naturalnie, ale tak, że trzeba byłoby mocno pociągnąć ręką, żeby go wyrwać. Potem budzą panią Beckmann. Zjawia się między biesiadnikami odziana w lekki szlafroczek, poważna, trzeźwa i rzeczowa. Gwóźdź zostaje owinięty cienką warstewką waty, żeby się nie skaleczyła. Potem pani Beckmann staje za niskim parawanem, plecami do ściany, ręce ma oparte o parawan. Manewruje nieco, by uchwycić gwóźdź swoimi szynkami, napręża się nagle, wyprostowuje, rozluźnia mięśnie – i gwóźdź upada na podłogę. Później zwykle słychać szelest osypującej się odrobiny tynku. Pani Beckmann bez słowa, bez żadnych objawów triumfu, robi w tył zwrot i znika na schodach, a Karol Brill inkasuje należność od zdumionych kolegów-kręglarzy. Sprawa odbywa się na płaszczyźnie czysto sportowej; na kształty pani Beckmann patrzy się tylko fachowo. I nikt nie waży się na jakieś swobodniejsze słówko. Pani Beckmann trzasnęłaby go w pysk, ażby mu głowa odleciała. Jest straszliwie silna; w porównaniu z nią obie zapaśniczki wyglądają jak anemiczne dzieci.

– Więc niech pan uszczęśliwi Gerdę – mówi Renée lakonicznie. – Na dwa tygodnie. Proste, co?

Stoję trochę zakłopotany. Vademecum dobrego tonu nie przewiduje z pewnością takiej sytuacji. Na szczęście zjawia się Willy. Jest elegancko ubrany, na głowie ma włożony na bakier szary, lekki borsalino, a mimo to wygląda jak cementowy blok ustrojony sztucznymi kwiatami. Z dystyngowanym gestem całuje Renée w rękę. Potem sięga do kieszeni i wydobywa małe etui.

– Najbardziej interesującej kobiecie w Werdenbrück – wyjaśnia z ukłonem.

Renée wydaje z siebie sopranowy okrzyk i spogląda na Willy'ego z niedowierzaniem. Potem otwiera pudełeczko. Połyskuje w nim złoty pierścionek z ametystem. Wsuwa go na środ-

kowy palec lewej ręki, wpatruje się weń osłupiałym wzrokiem, a potem zarzuca ramiona na szyję Willy'emu. Willy stoi z bardzo dumną miną i uśmiecha się. Słucha cieniutkich trelów i basu; w zdenerwowaniu Renée co chwila miesza głosy.

– Willy! – szczebiocze i grzmi. – Jakaż ja jestem szczęśliwa!

Gerda wraca w płaszczu kąpielowym. Słyszała krzyk i chce wiedzieć, co się stało.

– Ubierajcie się, dzieci – mówi Willy. – Uciekamy stąd.

Obie dziewczyny znikają.

– Nie mogłeś, żłobie, dać tego pierścionka później, kiedy będziecie sami? – pytam. – Co ja teraz zrobię z Gerdą?

Willy, zakłopotany, wybucha śmiechem.

– Psiakość, wcale o tym nie myślałem! Rzeczywiście, co teraz zrobimy? Chodźcie oboje z nami na kolację.

– Po to, żebyśmy wszyscy czworo musieli ciągle wybałuszać gały na ametyst Renée? Wykluczone!

– Słuchaj – odpowiada Willy. – Z Renée i ze mną to zupełnie inna sprawa niż z tobą i Gerdą. Wierz mi albo nie: ja wariuję za Renée. Na serio wariuję. To wspaniała kobieta!

Siadamy na dwóch starych trzcinowych krzesłach przy ścianie. Białe szpice ćwiczą się teraz w chodzeniu na przednich łapach.

– Wyobraź sobie – tłumaczy Willy – że jej głos tak mnie bierze. Zwłaszcza w nocy to prawdziwa opera. Zupełnie jakbyś miał dwie różne kobiety. Raz subtelną, a zaraz potem takiego grzmota. Czasami to nawet idzie jeszcze dalej. Jak jest ciemno, a ona nagle przestawi się na ten wojskowy głos, to aż ciarki mi przechodzą po plecach. To jest cholernie niesamowite. Nie jestem przecież pederastą, ale niekiedy mam uczucie, jakbym rypał jakiegoś generała albo to ścierwo, kaprala Flümera, tego, który ciebie też przecież męczył za naszych rekruckich czasów – tylko przez sekundę, a potem znowu wszystko jest w porządku. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Mniej więcej.

– Dobra, więc wpadłem na całego. Chciałbym, żeby tu została. Urządzę jej mieszkanie.

– Myślisz, że rzuci swój zawód?

– Nie musi. Od czasu do czasu może przyjąć jakiś engagement. Mogę z nią wyjeżdżać. Przy moim fachu i tak stale jestem w ruchu.

– Dlaczego się z nią nie ożenisz? Masz przecież dość pieniędzy.

– Małżeństwo to co innego – oświadcza Willy. – Jak możesz się ożenić z kobietą, która w każdej chwili potrafi ryknąć na ciebie jak generał? Człowiek wystraszy się za każdym razem, gdy to nastąpi niespodzianie. To już mamy we krwi. Nie, ożenię się z małą, spokojną grubaską, która potrafi pierwszorzędnie gotować. Renée, mój chłopcze, jest typową metresą.

Podziwiam tego światowca. Uśmiecha się z poczuciem przewagi. Poradnik dobrych manier jest dlań zbędny. Rezygnuję z szyderstw. Szyderstwo nie działa, gdy ktoś może rozdawać ametystowe pierścionki. Zapaśniczki podnoszą się niedbale i wykonują parę chwytów. Willy przygląda się z zainteresowaniem.

– Kapitalne baby – szepcze jak porucznik służby czynnej przed wojną.

– A wy co? Baczność! Na prawo patrz! – ryczy za nami potężny głos.

Willy wzdryga się. To Renée, z pierścionkiem na palcu, uśmiecha się za nim.

– Rozumiesz teraz, co miałem na myśli? – pyta mnie Willy.

Rozumiem. Oboje odchodzą. Na ulicy czeka samochód Willy'ego, czerwony kabriolet z siedzeniami krytymi czerwoną skórą. Cieszę się, że Gerda jeszcze nie wyszła. Przynajmniej nie zobaczy kabrioletu. Rozmyślam, co mogę jej na dziś zaproponować. Jedyna rzecz, jaką posiadam poza poradnikiem dobrych manier, to kartki żywnościowe Edwarda Knoblocha, ale niestety nie są one ważne wieczorem. Postanawiam jednak spróbować, okłamując Edwarda, że to już ostatnie.

Wchodzi Gerda.

– Wiesz, na co mam ochotę, skarbie? – pyta, zanim zdążyłem otworzyć usta. – Pojedźmy trochę za miasto. Tramwajem. Chciałabym pospacerować.

Wytrzeszczam na nią oczy i nie wierzę własnym uszom. Wycieczki za miasto – to zarzuciła mi ta żmija Erna zatrutymi

słowami. Czyżby opowiedziała coś Gerdzie? Całkiem możliwe.

– Sądziłem, że pójdziemy do Walhalli – mówię ostrożnie i nieufnie. – Tam można świetnie zjeść.

Gerda macha lekceważąco ręką.

– Po co? Na to jest zbyt ładnie. Dziś po południu zrobiłam trochę sałatki z ziemniaków. Proszę! – Wysoko podnosi paczuszkę. – Zjemy na świeżym powietrzu i kupimy sobie do tego serdelków i piwa. Dobrze?

W milczeniu kiwam głową, jeszcze bardziej podejrzliwie niż poprzednio. Nie zapomniałem jeszcze zarzutu Erny o wodzie selcerskiej, serdelkach, piwie i tanim winie bez rocznika.

– O dziewiątej muszę wrócić do tej ohydnej, śmierdzącej budy, Czerwonego Młyna – wyjaśnia Gerda.

Ohydna, śmierdząca buda? Znowu wytrzeszczam oczy na Gerdę. Ale jej oczy są jasne i niewinne, nie ma w nich ani śladu ironii. I nagle pojmuję! Raj Erny jest dla Gerdy tylko miejscem pracy! Nienawidzi lokalu, który Erna kocha! Jestem uratowany, myślę. Bogu dzięki! Czerwony Młyn z jego szaleńczymi cenami znika jak Gaston Münch w roli Ducha w *Hamlecie* w Teatrze Miejskim. Wynurzają się przede mną rozkoszne, spokojne dni z kanapkami z wędliną i sałatką ziemniaczaną! Proste życie! Ziemska miłość! Spokój duszy! Wreszcie! Kwaszona kapusta, powiedzmy, ale kwaszona kapusta też może być czymś wspaniałym! Z ananasami, na przykład, gotowanymi w winie. Wprawdzie nigdy tego nie jadłem, ale Edward Knobloch twierdzi, że jest to potrawa dla królów i poetów.

– Dobrze, Gerdo – mówię powściągliwie. – Jeśli koniecznie chcesz, pójdziemy pospacerować po lesie.

VIII

We wsi Wüstringen powiewają flagi. Zebraliśmy się wszyscy – Georg i Henryk Kroll, Kurt Bach i ja. Odbędzie się poświęcenie dostarczonego przez naszą firmę pomnika.

Proboszcze obu wyznań odprawili rano nabożeństwa w kościołach, każdy za swoich nieboszczyków. Katolicki proboszcz był przy tym w korzystniejszym położeniu: jego kościół jest większy, barwnie malowany, ma kolorowe okna, kadzidło, brokatowe szaty mszalne, ubranych na czerwono i biało ministrantów. Protestant dysponuje tylko kaplicą o gołych ścianach ze zwykłymi oknami i stoi teraz przy katolickim duchownym jak ubogi krewny. Katolika zdobi koronkowa komża i otaczają go ministranci, protestant jest ubrany tylko w czarny surdut, który stanowi cały jego przepych. Jako fachowiec od reklamy muszę przyznać, że katolicyzm ogromnie góruje w tych sprawach nad Lutrem. Działa na fantazję, a nie na intelekt. Jego kapłani są wystrojeni jak szamani dzikich szczepów, a katolickie nabożeństwo ze swą barwnością, nastrojem, kadzidłem i malowniczymi obrzędami nie ma sobie równych pod względem wystawy. Protestant to czuje; jest chudy i nosi okulary. Katolik jest czerwonolicy, tęgi i ma piękne białe włosy.

Każdy z nich robił, co mógł, dla swoich nieboszczyków. Niestety, wśród poległych znajdują się również dwaj Żydzi, synowie Leviego, handlarza bydłem. Dla nich nie ma pociechy duchowej. Obaj konkurencyjni kapłani zjednoczyli swe głosy przeciwko projektowi zaproszenia rabina, a poparł ich w tym przewodniczący stowarzyszenia weteranów, major w stanie spoczynku Wolkenstein, antysemita, który wierzy mocno, że przegraliśmy wojnę

wyłącznie przez Żydów. Jeśli go spytać dlaczego, natychmiast klasyfikuje pytającego jako zdrajcę kraju. Był nawet przeciwny wyryciu nazwisk obu Levich na tablicy pamiątkowej. Twierdził, że z pewnością zginęli daleko za frontem. W końcu przegłosowano go jednak. Wójt użył swoich wpływów. Jego syn umarł na grypę w lazarecie zapasowym Werdenbrück w roku 1918 i nigdy nie był na froncie. Wójt chciał, aby i on był uwidoczniony na honorowej tablicy, oświadczył więc, że śmierć jest śmiercią, a żołnierz żołnierzem – i w ten sposób bracia Levi otrzymali dwa najniższe miejsca na tylnej stronie pomnika, tam gdzie prawdopodobnie będą na nich sikać psy.

Wolkenstein jest w kompletnym mundurze cesarskiej armii. Jest to wprawdzie zabronione, ale ostatecznie co mu kto może zrobić? Dziwaczna przemiana, jaka zaczęła się niebawem po zawieszeniu broni, posuwa się coraz dalej. Wojna, której prawie wszyscy żołnierze nienawidzili w roku 1918, dla tych, co wyszli z niej cało, stała się stopniowo największą przygodą życia. Wrócili do codziennego bytowania, które, gdy jeszcze siedzieli w okopach i przeklinali wojnę, wydawało im się rajem. Teraz znowu stało się dniem powszednim z jego wszystkimi troskami i goryczą, a za to wojna unosi się nad horyzontem, oddalona, przeżyta i w ten sposób, bez ich woli i prawie bez ich współdziałania, przekształcona, upiększona i sfałszowana. Masowy mord stał się przygodą, z której wyszło się cało. Rozpacz zapomniano, nędza wygląda teraz niewinnie, a śmierć, która człowieka ominęła, stała się tym, czym zawsze jest w życiu: czymś abstrakcyjnym, ale nie rzeczywistym. Rzeczywistością jest tylko wtedy, gdy uderza blisko albo chwyta nas w swe szpony. Stowarzyszenie weteranów, które przymaszerowało pod pomnik pod komendą Wolkensteina, w roku 1918 było pacyfistyczne; teraz jest już bardzo narodowe. Wspomnienia wojenne i poczucie koleżeństwa, jakie miał prawie każdy, Wolkenstein przekształcił zręcznie w dumę z wojny. Kto nie jest nacjonalistą, plugawi pamięć poległych bohaterów – tych biednych, nadużywanych, poległych bohaterów, którzy wszyscy chętnie by dziś żyli. Jakby zmietli Wolkensteina z jego trybuny, z której właśnie wygłasza mowę, gdyby tylko mogli! Ale są bezbronni i stali się

własnością tysięcy Wolkensteinów, którzy wyzyskują ich do swoich egoistycznych celów, ukrywanych pod słowami „patriotyzm" i „naród". Patriotyzm! Wolkenstein rozumie pod tym prawo noszenia znowu munduru, awans na pułkownika i możliwość dalszego wysyłania ludzi na śmierć.

Grzmi potężnie z trybuny i doszedł właśnie do wewnętrznej zdrady, do ciosu w plecy, zadanego niezwyciężonej armii niemieckiej, i ślubowania wobec poległych bohaterów, że zawsze będziemy ich czcić, że ich pomścimy, że odbudujemy niemiecką armię.

Henryk Kroll słucha nabożnie; wierzy w każde słowo. Kurt Bach, który jako twórca lwa z oszczepem w boku również został zaproszony, wpatruje się sennym wzrokiem w zasłonięty pomnik. Georg wygląda tak, jakby był gotów oddać życie za cygaro; a ja, w wypożyczonym wizytowym garniturze, żałuję, że nie zostałem w domu i nie śpię z Gerdą w jej pokoju z oknem obrosłym dzikim winem, podczas gdy orkiestra Gospody Staromiejskiej gra *Syjamską paradę*.

Wolkenstein kończy potrójnym „hura". Kapela intonuje pieśń o dobrym koledze. Chór śpiewa ją na dwa głosy. Wszyscy śpiewamy wraz z chórem. To neutralna pieśń, bez polityki i zemsty – po prostu skarga po poległym towarzyszu.

Występują kapłani. Opada zasłona pomnika. Ryczący lew Kurta Bacha czai się na górze. Cztery orły z brązu siedzą na stopniach. Tablice pamiątkowe są z czarnego granitu, cokół z ciosowego kamienia. Jest to bardzo kosztowny pomnik i dziś po południu oczekujemy zapłaty. Obiecano nam ją i dlatego tu jesteśmy. Gdybyśmy jej nie dostali, bylibyśmy prawie bankrutami. W ostatnim tygodniu dolar podskoczył bez mała dwukrotnie.

Księża poświęcają pomnik; każdy swojemu Bogu. Na froncie, gdy odkomenderowywano nas na nabożeństwo i gdy kapłani różnych wyznań modlili się o zwycięstwo niemieckiego oręża, myślałem często, że również angielscy, francuscy, rosyjscy, amerykańscy, włoscy i japońscy duchowni modlą się o zwycięstwo oręża ich krajów, i wyobrażałem sobie Boga jako kogoś w rodzaju zakłopotanego prezesa stowarzyszenia, szczególnie jeśli dwa wrogie kraje są tego samego wyznania. Za którym się wypowie? Za krajem

z większą liczbą mieszkańców? Albo z większą liczbą kościołów? A gdzie jest Jego sprawiedliwość, jeśli da zwycięstwo jednemu krajowi, a drugiemu nie, mimo że tam się równie gorliwie modlono? Niekiedy wydawał mi się jak zagoniony stary cesarz kilku krajów, który stale musi brać udział w paradach i bez ustanku zmieniać mundur – katolicki na protestancki, potem na ewangelicki, anglikański, episkopalny, reformowany, zawsze stosownie do nabożeństwa, jakie się właśnie odbywa – zupełnie jak cesarz na paradach huzarów, grenadierów, artylerii i marynarki.

Teraz odbywa się składanie wieńców. My również składamy wieniec w imieniu firmy. Wolkenstein intonuje swoim kiksującym głosem *Niemcy, Niemcy ponad wszystko*. Wydaje się, że nie było to przewidziane w programie; muzyka milczy i tylko parę głosów się dołącza. Wolkenstein pąsowieje i ogląda się z wściekłością. Trębacze, a potem angielski rożek przejmują melodię. Zagłuszają Wolkensteina, który gwałtownie macha ręką. Zaczynają grać inne instrumenty i już mniej więcej połowa zebranych śpiewa. Wolkenstein zaczął za wysoko i wychodzi z tego niezgorszy kwik. Na szczęście pomagają panie. Wprawdzie stoją w głębi, ale ratują sytuację i zwycięsko doprowadzają pieśń do końca. Nie wiadomo dlaczego przychodzi mi na myśl Renée de la Tour – ona sama jedna by to potrafiła wykonać.

Po południu zaczyna się część rozrywkowa. Musimy jeszcze zostać, bo nie odebraliśmy swoich pieniędzy. Przez długą patriotyczną mowę Wolkensteina przeoczyliśmy południowy kurs dolara – prawdopodobnie ponieśliśmy znaczną stratę. Jest gorąco, a pożyczony garnitur wizytowy jest na mnie za ciasny. Na niebie wiszą grube białe chmury, na stołach stoją grube kieliszki z wódką, a obok nich wysokie szklanki z piwem. Zebrani mają czoła czerwone, twarze im błyszczą od potu. Uroczysta stypa ku czci umarłych była tłusta i obfita. Wieczorem odbędzie się patriotyczny bal w Gospodzie Dolnosaksońskiej. Wszędzie wiszą girlandy z papieru, flagi, oczywiście czarno-biało-czerwone, i jodłowe wieńce. Tylko na ostatnim domu wsi zwisa z okna na poddaszu chorągiew czarno-czerwono-złota. To flaga niemieckiej Republiki.

Czarno-biało-czerwona to barwy starej Rzeszy cesarskiej. Zostały zabronione. Ale Wolkenstein wyjaśnił, że polegli umierali pod okrytymi chwałą starymi sztandarami i każdy, kto wywiesi czarno-czerwono-złotą flagę, jest zdrajcą. W ten sposób stolarz Beste, który w tym domu mieszka, został zdrajcą. Wprawdzie na wojnie dostał kulę w płuca, ale jest zdrajcą. W naszej ukochanej ojczyźnie łatwo ogłasza się ludzi zdrajcami. Tylko Wolkensteinowie nigdy nimi nie są. Oni są prawem. Oni decydują, kto jest zdrajcą.

Nastrój się ożywia. Starsi ludzie powoli znikają. Część stowarzyszenia weteranów również. Odwołuje ich praca w polu. Żelazna gwardia, jak ją nazywa Wolkenstein, pozostaje. Księża dawno już poszli. Żelazna gwardia składa się z młodszych ludzi. Wolkenstein, który gardzi Republiką, ale bierze od niej emeryturę i używa jej na pożegnanie przeciwko rządowi, wygłasza teraz nową mowę, zaczynającą się od słowa „Koledzy". Tego już dla mnie za wiele. Żaden Wolkenstein nie nazywał nas kolegami, kiedy jeszcze był na służbie. Wtedy byliśmy ofermami, świniami, idiotami, a w wyjątkowych wypadkach ludźmi. Tylko raz, wieczorem, przed natarciem, oprawca Helle, nasz porucznik, były leśniczy, nazwał nas kolegami. Bał się, że następnego ranka dostanie kulę w plecy.

Idziemy do wójta. Siedzi przy kawie, ciastkach i cygarze w swoim domu i nie chce nam zapłacić. Spodziewaliśmy się trochę tego. Na szczęście Henryka Krolla nie ma z nami. Został i podziwia Wolkensteina. Kurt Bach poszedł w pole z hożą wiejską dziewoją, żeby zachwycać się naturą. Georg i ja stoimy naprzeciwko wójta Döbbelinga, wspieranego przez garbatego pisarza Westhausa.

– Niech panowie zgłoszą się w przyszłym tygodniu – mówi Döbbeling dobrodusznie i częstuje nas cygarami. – Wtedy wszystko razem zliczymy i zapłacimy panom z miejsca. Teraz, w tym całym bałaganie, nie można było wszystkiego przygotować.

Bierzemy po cygarze.

– Możliwe – odpowiada Georg. – Ale pieniądze potrzebne są nam dzisiaj, panie Döbbeling.

Pisarz się śmieje.

– Pieniądze są każdemu potrzebne.

Döbbeling zerka na niego. Nalewa wódki.

– Może wypijemy po jednym?

Nie on zaprosił nas na uroczystość. Zrobił to Wolkenstein, który nie myśli o nędznej mamonie. Döbbeling wolałby, żebyśmy się tu nie zjawili – albo tylko Henryk Kroll. Z nim poszłoby mu łatwo.

– Było umówione, że wypłatę dostaniemy na poświęceniu – mówi Georg.

Döbbeling obojętnie wzrusza ramionami.

– To przecież prawie to samo – w przyszłym tygodniu. Gdyby panowie wszędzie tak punktualnie otrzymywali swoje pieniądze…

– Otrzymujemy je, inaczej byśmy nie dostarczali towaru.

– No, tym razem panowie dostarczyli. Wszystkiego dobrego!

Przyjmujemy poczęstunek. Döbbeling zerka ku podziwiającemu go pisarzowi.

– Dobra wódka – mówię.

– Może jeszcze jednego? – pyta pisarz.

– Czemu nie?

Pisarz nalewa. Wypijamy.

– A więc dobrze – mówi Döbbeling. – W takim razie w przyszłym tygodniu.

– A więc – mówi Georg – dzisiaj! Gdzie są pieniądze?

Döbbeling jest obrażony. Przyjęliśmy wódkę i cygara i dalej się buntujemy. To wbrew regułom.

– W przyszłym tygodniu – powtarza. – Może jeszcze kieliszek na pożegnanie?

– Czemu nie?

Döbbeling i pisarz ożywiają się. Myślą, że już zwyciężyli. Wyglądam przez okno. Przede mną, jak oprawny w ramy obraz, rozciąga się krajobraz przedwieczorny – brama zagrody, dąb, a dalej nieskończenie spokojne pola, jasnożółte i świetliście zielone. O co my się tutaj kłócimy? – myślę. Czyż tam nie kwitnie życie, złote i zielone, ciche w rytmicznym oddechu pór roku? Cośmy z niego zrobili?

– Bardzo mi przykro – słyszę głos Georga. – Ale niestety muszę nalegać na uregulowanie rachunku. Panowie wiedzą, że za tydzień pieniądze będą o wiele mniej warte. Już i tak straciliśmy na zamówieniu. Wszystko trwało o trzy tygodnie dłużej, niż się spodziewaliśmy.

Wójt spogląda na niego chytrze.

– W takim razie jeszcze jeden tydzień nie ma znaczenia.

Mały pisarz piszczy nagle:

– No i co, panowie, zrobicie, jak nie dostaniecie pieniędzy? Nie możecie przecież zabrać z powrotem pomnika.

– Dlaczego nie? – pytam. – Jest nas tu czterech i jeden z nas to nasz rzeźbiarz. Z łatwością możemy zabrać orły, a nawet lwa, jeśli zajdzie potrzeba. Nasi robotnicy mogą tu przybyć za dwie godziny.

Pisarz uśmiecha się.

– Sądzicie, panowie, że udałoby się wam rozmontować poświęcony pomnik? Wüstringen ma parę tysięcy mieszkańców.

– I majora Wolkensteina, i stowarzyszenie weteranów – dodaje wójt. – To są bojowi patrioci.

– I gdyby panowie spróbowali zrobić coś podobnego, byłoby wam później trudno sprzedać choćby jeden nagrobek. – Pisarz uśmiecha się cynicznie.

– Jeszcze jeden kieliszek? – pyta Döbbeling i również się uśmiecha. Złapał nas w pułapkę. Nie możemy nic zrobić.

W tej chwili ktoś szybko biegnie przez podwórko.

– Panie wójcie! – krzyczy za oknem. – Niech pan idzie, prędko! Coś się stało!

– Co?

– Beste! Oni tego stolarza… chcieli zerwać flagę i coś się stało!

– Co? Beste strzelał? Przeklęty socjalista!

– Nie! Beste jest… on ma krwotok…

– Nikt więcej.

– Nie, tylko Beste…

Twarz Döbbelinga rozjaśnia się.

– Ach, tak! No to czego pan tak krzyczy?

– Nie może wstać. Krew mu bucha z ust.

– Dostał parę razy w tę swoją bezczelną mordę – oświadcza mały pisarz. – Po co prowokował ludzi? Już idziemy. Tylko spokojnie.

– Przepraszam panów – zwraca się do nas z godnością Döbbeling. – Sprawy urzędowe. Będę musiał zbadać całe zajście. Musimy nasze interesy odłożyć na później.

Sądzi, że już nas spławił, i wciąga marynarkę. Wychodzimy razem z nim. Nie śpieszy mu się. Wiemy dlaczego. Zanim zjawi się na miejscu, wszyscy już zapomną, kto pobił Bestego. Stara sztuczka.

Beste leży w wąskiej sieni swego domu. Flaga Republiki leży w strzępach koło niego. Przed domem stoi gromadka ludzi. Z żelaznej gwardii nie ma nikogo.

– Co się stało? – pyta Döbbeling żandarma, który z notesem w ręku stoi przy drzwiach.

Żandarm składa meldunek.

– Był pan przy tym? – pyta Döbbeling.

– Nie. Sprowadzono mnie później.

– Dobrze. W takim razie nic pan nie wie. Kto był przy tym?

Nikt nie odpowiada.

– Może by pan wezwał lekarza? – pyta Georg.

Döbbeling patrzy na niego niechętnie.

– Czy to potrzebne? Trochę wody…

– Potrzebne. Ten człowiek umiera.

Döbbeling obraca się szybko i pochyla nad Bestem.

– Umiera?

– Umiera. Ciężki krwotok. Możliwe, że ma także coś złamanego. Wygląda na to, że go zrzucono ze schodów.

Döbbeling patrzy długo na Georga.

– To jest tylko pańskie przypuszczenie, panie Kroll, i nic więcej. To musi stwierdzić lekarz powiatowy.

– Czy tego człowieka zbada w ogóle lekarz?

– Niech pan to już pozostawi mnie. Na razie ja tu jestem wójtem, a nie pan. Zawołajcie doktora Brediusa – mówi Döbbeling do dwóch chłopców na rowerach. – Powiedzcie mu, że zdarzył się wypadek.

Czekamy. Doktor Bredius przyjeżdża na rowerze jednego z chłopców. Zeskakuje i wchodzi do sieni.

– Nie żyje – mówi, wstając z podłogi.

– Nie żyje?

– Nie żyje. To przecież Beste, prawda? Ten z postrzałem w płuca.

Wójt kiwa niechętnie głową.

– To Beste. O postrzale w płuca nic nie wiem. Ale może przestrach… on miał na pewno słabe serce…

– Z tego nie dostaje się krwotoku – oświadcza Bredius sucho. – Co się tu stało?

– Właśnie prowadzimy dochodzenie. Proszę, by zostali tu tylko ci, którzy mogą zeznawać jako świadkowie. – Spogląda na Georga i na mnie.

– Przyjdziemy później – mówię.

Razem z nami odchodzą prawie wszyscy. Będzie niewielu świadków.

Siedzimy w Gospodzie Dolnosaksońskiej. Georg jest tak wściekły, że od dawna nie widziałem go w takim stanie. Zjawia się młody robotnik. Siada przy nas.

– Pan był przy tym? – pyta Georg.

– Byłem, jak Wolkenstein podżegał chłopaków, żeby zerwali chorągiew. „By usunęli plamę hańby", jak on to nazwał.

– Wolkenstein poszedł z nimi?

– Nie.

– Oczywiście, że nie. A inni?

– Cała kupa rzuciła się na Bestego. Wszyscy byli podpici.

– A potem?

– Myślę, że Beste się bronił. Prawdopodobnie nie chcieli go tak naprawdę zabić. Ale tak właśnie się stało. Beste nie chciał puścić chorągwi, a potem zrzucili go z nią ze schodów. Możliwe, że parę razy za mocno uderzyli go w plecy. W bójce często się nie docenia własnych sił. Zabić go na pewno nie chcieli.

– Chcieli mu tylko dać nauczkę?

– Właśnie.

– Tak im powiedział Wolkenstein, co?

Robotnik kiwa głową, a potem patrzy ze zdziwieniem.

– Skąd pan wie?

– Już ja go znam. Więc to on, tak?

Robotnik milczy.

– Jeśli pan wie, to nie ma co mówić – odzywa się wreszcie.

– Wszystko trzeba dokładnie ustalić. Morderstwo to sprawa dla prokuratora. Podżeganie do niego również.

Robotnik wzdryga się.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. O niczym nie wiem.

– Owszem, wie pan bardzo dużo. A także inni wiedzą, co się stało.

Robotnik wypija piwo.

– Nic nie powiedziałem – oświadcza zdecydowanie. – I o niczym nie wiem. Wie pan, co by się ze mną stało, gdybym nie trzymał gęby na kłódkę? Nie, panie szanowny, nie ja! Mam żonę i dziecko i muszę jakoś żyć. Myśli pan, że dostanę robotę, jak będę gadał? Nie, panie szanowny, niech pan sobie znajdzie kogoś innego! Nie mnie!

Znika.

– Ze wszystkimi tak będzie – mówi Georg ponuro.

Czekamy. Przez okno widzimy Wolkensteina. Jest już po cywilnemu, w ręku trzyma brązową walizkę.

– A on dokąd? – pytam.

– Na dworzec. On nie mieszka w Würstringen. Przeprowadził się do Werdenbrück jako przewodniczący stowarzyszeń weteranów na ten powiat. Przyjechał tutaj tylko na poświęcenie. W walizce ma mundur.

Zjawia się Kurt Bach ze swoją dziewczyną. Przynieśli ze sobą kwiaty. Dziewczyna jest niepocieszona, gdy słyszy, co się zdarzyło.

– Na pewno teraz odwołają zabawę – mówi.

– Nie sądzę – odpowiadam.

– Na pewno! Teraz, kiedy śmierć ciąży nad tym wszystkim. Takie nieszczęście!

Georg wstaje.

– Chodź – mówi do mnie. – Nic nie pomoże. Musimy jeszcze raz iść do Döbbelinga.

We wsi zrobiło się nagle cicho. Słońce świeci ukośnie na pomnik. Marmurowy lew Kurta Bacha błyszczy. Döbbeling jest teraz tylko i wyłącznie osobą urzędową.

– Chyba nie chcą panowie w obliczu śmierci mówić znowu o pieniądzach? – pyta natychmiast.

– Owszem – mówi Georg. – To jest nasz zawód. Jesteśmy ciągle w obliczu śmierci.

– Muszą panowie zachować cierpliwość. Teraz nie mam czasu. Wiecie przecież, co się stało.

– Owszem, wiemy. Tymczasem dowiedzieliśmy się reszty. Możemy się zgłosić jako świadkowie, panie Döbbeling. Zostaniemy tu, póki nie otrzymamy pieniędzy, i zgłosimy się również chętnie jutro rano do dyspozycji policji kryminalnej.

– Świadkowie? Jacy świadkowie? Panowie przy tym nie byli.

– Jako świadkowie. O resztę niech się pan nie martwi. Musi pan być zainteresowany ustaleniem wszystkiego, co ma związek z zabójstwem stolarza Bestego. Zabójstwem i podżeganiem do zabójstwa.

Döbbeling długo wpatruje się w Georga. Potem mówi z wolna:

– To ma być szantaż?

Georg wstaje.

– Może pan zechce mi dokładnie wytłumaczyć, co pan przez to rozumie?

Döbbeling nie odpowiada. Patrzy dalej na Georga. Georg wytrzymuje jego spojrzenie. Potem Döbbeling podchodzi do kasy, otwiera ją i kładzie kilka paczek pieniędzy na stole.

– Niech pan przeliczy i pokwituje.

Pieniądze leżą między pustymi kieliszkami i filiżankami na obrusie w czerwoną kratę. Georg przelicza całą sumę i wypisuje pokwitowanie. Wyglądam przez okno. Żółte i zielone pola błyszczą wciąż jeszcze; ale nie są już harmonią bytu; są czymś mniej i czymś więcej.

Döbbeling bierze pokwitowanie Georga.

– Zapewne uświadamiacie sobie panowie, że nie będziecie już stawiać nagrobków na naszym cmentarzu – mówi.

Georg potrząsa głową.

– Myli się pan. Nawet bardzo szybko postawimy jeden pomnik. Dla stolarza Bestego. Gratis. I to nie ma nic wspólnego z polityką. A gdybyście postanowili umieścić nazwisko Bestego na pomniku poległych, jesteśmy również gotowi wykonać to zupełnie bezpłatnie.

– Do tego zapewne nie dojdzie.

– Tak sobie właśnie myślałem.

Idziemy na dworzec.

– Ten łobuz miał więc pieniądze – mówię.

– Oczywiście. Wiedziałem, że je ma. Spekulował nimi już od ośmiu tygodni. Świetnie na tym zarobił. Chciał jeszcze ubić kilkaset tysięcy. W przyszłym tygodniu też byśmy nic nie dostali.

Na dworcu oczekują nas Henryk Kroll i Kurt Bach.

– Macie pieniądze? – pyta Henryk.

– Tak.

– Byłem tego pewny. Tu są bardzo przyzwoici ludzie. Można im zaufać.

– Tak, można im zaufać.

– Zabawa odwołana – mówi Kurt Bach, syn natury.

Henryk poprawia krawat.

– Ten stolarz sam był sobie winien. To była niesłychana prowokacja.

– Co? To, że wywiesił oficjalną flagę państwową?

– To była prowokacja. Wiedział, co myślą inni. Musiał się z tym liczyć, że będzie awantura. To logiczne.

– Tak, Henryku, to logiczne – mówi Georg. – Więc zrób mi tę przyjemność i zamknij swoją logiczną gębę.

Henryk Kroll wstaje obrażony. Chce coś powiedzieć, ale milknie, spojrzawszy na Georga. Starannie otrzepuje z kurzu swój żakiet marengo. Potem dostrzega Wolkensteina, który czeka na pociąg. Major w stanie spoczynku siedzi na odległej ławce i chciałby już być w Werdenbrück. Nie jest zachwycony, gdy Henryk podchodzi do niego. Ale Henryk siada obok.

– I co z tego będzie? – pytam Georga.

– Nic. Nie znajdą sprawcy.

– A Wolkenstein?

– Temu też nic się nie stanie. Tylko stolarza by ukarano, gdyby jeszcze żył. Ale nie tamtych. Mord polityczny dokonany przez prawicę jest zawsze godny szacunku i ma okoliczności łagodzące. Powstała u nas republika, ale sędziów, urzędników i oficerów odziedziczyliśmy w stanie nienaruszonym z dawnych czasów. Czego się mamy spodziewać?

Patrzymy na wieczorną zorzę. Nadjeżdża sapiący pociąg, czarny i samotny jak karawan. Dziwne, myślę, widzieliśmy tylu zmarłych na wojnie i wiemy, że dwa miliony z nas padło bezużytecznie – dlaczego tak się denerwujemy tym jednym, a zapomnieliśmy o dwóch milionach? Ale to prawdopodobnie dlatego, że śmierć pojedynczego człowieka jest zawsze śmiercią, a śmierć dwóch milionów tylko statystyką.

IX

Mauzoleum! – mówi pani Niebuhr. – Mauzoleum, nic innego!

– Dobrze – odpowiadam. – A więc mauzoleum.

Mała, zastraszona kobieta zmieniła się bardzo w krótkim czasie od śmierci Niebuhra. Stała się ostra, gadatliwa i kłótliwa – jednym słowem, kawał cholery.

Pertraktuję z nią od dwóch tygodni o pomnik dla Niebuhra i z każdym dniem z coraz większą sympatią myślę o zmarłym. Niektórzy ludzie są dobrzy i zacni, póki im się źle powodzi, ale kiedy mają się lepiej, robią się nieznośni, szczególnie w naszej ukochanej ojczyźnie; najbardziej gnębieni i zastraszeni rekruci bywają później najwścieklejszymi kapralami.

– Panowie nie mają takiego mauzoleum do obejrzenia – mówi pani Niebuhr tępo.

– Mauzoleów – wyjaśniam – nikt nie ma do obejrzenia. Robi się je na miarę jak balowe suknie królowych. Dysponujemy kilkoma rysunkami, a dla pani możemy wykonać rysunek specjalny.

– Oczywiście! To musi być coś zupełnie niezwykłego. Inaczej pójdę do Hollmanna i Klotza.

– Myślę, że pani już u nich była. Bardzo lubimy, gdy nasi klienci zasięgają informacji u konkurencji. W wypadku mauzoleum chodzi przecież tylko o jakość.

Wiem, że już dawno tam była. Komiwojażer Hollmanna i Klotza, Łzawy Oskar, powiedział mi o tym. Spotkaliśmy się z nim niedawno i próbowaliśmy nakłonić go do zdrady. Chwieje się jeszcze, ale zaproponowaliśmy mu większą prowizję, niż ma

u Hollmanna i Klotza, i żeby się nam przysłużyć w okresie rozmyślania nad tą propozycją, pracuje dla nas niekiedy jako szpieg.

– Niech mi pan pokaże te rysunki – rozkazuje pani Niebuhr tonem udzielnej księżnej.

Nie mamy takich rysunków, ale wyciągam projekty pomników poległych. Są efektowne, półtora metra wysokości, malowane węglem i kolorową kredką, z nastrojowym tłem.

– Lew – mówi pani Niebuhr. – On był jak lew! Ale jak skaczący lew, a nie umierający. Musiałby tu być skaczący lew.

– A może skaczący koń? – pytam. – Za taki posąg nasz rzeźbiarz zdobył przed paru laty nagrodę przechodnią Berlin-Teplitz.

Potrząsa głową.

– Orzeł – mówi z namysłem.

– Prawdziwe mauzoleum powinno być czymś w rodzaju kaplicy – wyjaśniam. – Witraże jak w kościele, marmurowy sarkofag z brązowym laurowym wieńcem, marmurowa ławeczka do odpoczynku i cichej modlitwy dla pani, dokoła kwiaty, cyprysy, żwirowane alejki, kąpiel dla ptaków, tych naszych skrzydlatych artystów, ogrodzenie grobu z niskich słupków granitowych z brązowymi łańcuchami, ciężkie żelazne drzwi z herbem rodowym albo godłem cechu piekarskiego.

Pani Niebuhr słucha, jakby Moritz Rosenthal grał nokturn Chopina.

– To brzmi całkiem nieźle – mówi. – Ale nie ma pan czegoś oryginalnego?

Rzucam na nią gniewne spojrzenie. Patrzy na mnie chłodno – prawzór wiecznego klienta z pieniędzmi.

– Owszem, są oryginalne rzeczy – odpowiadam łagodnie i zjadliwie. – Na przykład takie jak na Campo Santo w Genui. Nasz rzeźbiarz pracował tam długie lata. Jest tam jedno z jego arcydzieł – płacząca postać kobieca, pochylona nad trumną, a w głębi zmartwychwstały zmarły, którego anioł prowadzi ku niebu. Anioł ogląda się i błogosławi wolną ręką tę płaczącą kobietę. Wszystko w białym kararyjskim marmurze, anioł albo z rozłożonymi, albo ze złożonymi skrzydłami.

– Całkiem niezłe. Co jeszcze?

– Często przedstawia się zawód świętej pamięci zmarłego. Można byłoby wyrzeźbić na przykład majstra piekarskiego przy wyrabianiu chleba. Za nim stoi śmierć i dotyka jego ramienia. Śmierć może być ukazana z kosą lub bez kosy, albo ubrana w całun, albo naga, to znaczy, w tym wypadku, jako szkielet. Jest to bardzo trudna praca, zwłaszcza jeśli chodzi o żebra, które przecież muszą być ostrożnie wykute dłutem, każde oddzielnie, żeby się nie połamały.

Pani Niebuhr milczy, jakby oczekiwała czegoś więcej.

– Można oczywiście dodać rodzinę – ciągnę dalej. – Modlącą się na stronie lub ogarniętą grozą i odpędzającą śmierć. To są dzieła, które idą w biliony i wymagają roku, a nawet dwóch lat pracy. Duża zaliczka i wpłaty ratalne byłyby w tym wypadku nieuniknione.

Nagle ogarnia mnie strach, że ona przyjmie któryś z tych projektów. Kurt Bach może najwyżej wymodelować skrzywionego anioła, ale o wiele dalej jego sztuka nie sięga. W ostateczności moglibyśmy roboty rzeźbiarskie zamówić gdzie indziej.

– A poza tym? – pyta pani Niebuhr nieubłaganie.

Zastanawiam się, czy mam tej nielitościwej diablicy opowiedzieć coś niecoś o nagrobku w formie sarkofagu, którego pokrywa jest nieco uchylona, a spod niej wyciąga się ręka szkieletu – ale daję temu spokój. Nasze pozycje są nierówne; ona jest klientką, a ja sprzedawcą, ona może mnie szykanować, a ja jej nie – bo a nuż jednak coś kupi.

– To byłoby na razie wszystko.

Pani Niebuhr czeka jeszcze chwilę.

– Jeśli panowie nie mają już nic więcej, to muszę iść do Hollmanna i Klotza.

Patrzy na mnie swoimi świderkowatymi oczyma. Welon żałoby odrzuciła na czarny kapelusz. Spodziewa się, że teraz dopiero urządzę przedstawienie. Ale ja nic nie urządzam.

– Zrobi nam tym pani wielką przyjemność – oświadczam chłodno. – Naszą zasadą jest odsyłanie do konkurencji, żeby się klienci przekonali, jak funkcjonuje nasza firma. Przy zamówieniach wymagających tak poważnej pracy rzeźbiarskiej bardzo

ważny jest oczywiście artysta, inaczej otrzymuje się nagle, jak niedawno u jednego z naszych konkurentów, którego nazwiska wolałbym nie wymieniać, anioła z dwiema lewymi nogami. Zdarzały się także zezujące Matki Boskie i Chrystus z jedenastoma palcami. Gdy to dostrzeżono, było już za późno.

Pani Niebuhr opuszcza welon jak kurtynę teatralną.

– Już ja będę uważała!

Jestem przekonany, że będzie uważała. Namiętnie delektuje się swoją żałobą i chłepcze ją wielkimi haustami. Potrwa jeszcze długo, zanim cokolwiek obstaluje; póki bowiem jeszcze się nie zdecydowała, może zamęczać wszystkie firmy kamieniarskie – potem już tylko tę, której dała zamówienie. Teraz jest poniekąd jak chwacki kawaler żałoby – później będzie jak żonaty mężczyzna, który musi być wierny.

Trumniarz Wilke wychodzi ze swego warsztatu. Na jego wąsach wiszą strużyny. Trzyma w ręku puszkę apetycznych kilońskich szprotek i je, głośno mlaskając.

– Co pan myśli o życiu? – pytam go.

Zatrzymuje się.

– Rano co innego niż wieczorem, w zimie co innego niż latem, przed jedzeniem co innego niż po jedzeniu i za młodu prawdopodobnie co innego niż na starość.

– Słusznie. Wreszcie jedna rozsądna odpowiedź!

– No, pięknie. Jeśli pan to wie, to dlaczego pan jeszcze pyta?

– Pytania kształcą. Poza tym rano pytam inaczej niż wieczorem, w zimie inaczej niż latem, a przed spółkowaniem inaczej niż potem.

– Przed spółkowaniem! – mówi Wilke. – Słusznie, wtedy wszystko wygląda zupełnie inaczej! Zupełnie o tym zapomniałem.

Kłaniam się przed nim jak przed opatem.

– Gratuluję ascezy! A więc przezwyciężył pan żądło ciała! Gdyby też innym się to udało!

– Głupstwo! Nie jestem impotentem. Ale kobiety bywają śmieszne, jeśli człowiek pracuje jako trumniarz. Boją się. Nie chcą

wejść do warsztatu, kiedy stoi w nim trumna. Nawet jak się stawia pączki i portwajn.

– Gdzie się stawia? – pytam. – Na niewykończonej trumnie? Bo na politurowanej na pewno nie. Portwajn zostawia ślady!

– Na oknie. Na trumnie można siedzieć. Wtedy to jeszcze nie jest trumna. Trumną jest dopiero wtedy, gdy leży w niej nieboszczyk. Aż do tej pory jest tylko kawałkiem stolarskiej roboty.

– Zgadza się. Ale trudno to zawsze rozróżnić!

– To zależy. Raz w Hamburgu miałem damę, której było wszystko jedno. Nawet ją to bawiło. Bardzo się paliła. Napełniłem trumnę do połowy miękkimi świerkowymi wiórami, one zawsze tak romantycznie pachną lasem. Wszystko szło dobrze. Mieliśmy pierwszorzędną frajdę, aż do chwili kiedy ta pani chciała wyjść. Gdzieś na dnie musiało zostać trochę tego cholernego kleju, widać całkiem jeszcze nie wysechł. Wióry się przesunęły, a jej włosy dostały się w klej i przylepiły się. Ruszyła parę razy głową i wtedy dopiero podniosła krzyk. Myślała, że to umarli trzymają ją za włosy. Wrzeszczała i wrzeszczała, nadbiegli ludzie, mój majster też, i wyleciałem z roboty. Szkoda, mógł się z tego zawiązać piękny romans. Życie nie jest łatwe w naszym fachu.

Wilke rzuca mi dzikie spojrzenie, uśmiecha się lekko i grzebie ze smakiem w swojej puszce, nie częstując mnie.

– Znam dwa wypadki zatrucia się szprotkami – mówię. – To okropna, powolna śmierć.

Wilke macha ręką.

– Te są świeżo wędzone. I bardzo kruche. Delikates. Podzielę się z panem, jeśli mi pan nastręczy jakąś ładną dziewczynę bez przesądów – jak na przykład ta w swetrze, która teraz często po pana przychodzi.

Wpatruję się w trumniarza. Niewątpliwie ma na myśli Gerdę. Gerdę, na którą właśnie czekam.

– Nie jestem handlarzem żywym towarem – mówię ostro. – Ale dam panu radę: niech pan prowadzi swoje damy gdzie indziej, nie do warsztatu.

– A dokąd? – Wilke wydłubuje ości z zębów. – O to właśnie chodzi! Do hotelu? Za drogo. Przy tym strach przed obławami policyj-

nymi. Do parku miejskiego? Znowu policja! A może tu, do ogrodu? To już mój warsztat lepszy.

– Nie ma pan mieszkania?

– Mój pokój też nie jest bezpieczny. Moja gospodyni to prawdziwa wiedźma. Przed laty coś tam było między nami. Z ostatecznej nędzy, rozumie pan? Bardzo krótki czas – ale ta diablica jest dotąd, dziesięć lat po wszystkim, jeszcze zazdrosna. Pozostaje mi tylko warsztat. A więc, mogę liczyć na pańską pomoc? Niech mnie pan przedstawi tej pani w swetrze!

Bez słowa wskazuję wyżartą do czysta puszkę po szprotach. Wilke wyrzuca ją na podwórko i idzie do kranu, żeby sobie umyć łapy.

– Mam na górze jeszcze jedną butelkę pierwszorzędnego portwajnu.

– Niech pan zostawi tę lurę dla swojej następnej bajadery.

– Do tego czasu zrobi się z tego atrament. Ale na świecie jest jeszcze więcej szprotów niż ta jedna puszka.

Stukam się w czoło i idę do biura, by przynieść sobie blok rysunkowy i składane krzesełko. Mam zaprojektować mauzoleum dla pani Niebuhr. Siadam koło obelisku – w ten sposób mogę jednocześnie słyszeć telefon i patrzeć na ulicę i podwórze. Rysunek pomnika ozdobię napisem: „Tu spoczywa major w stanie spoczynku Wolkenstein, zmarły, po długich i ciężkich cierpieniach, w maju 1923 roku".

Jedna z dziewcząt Knopfa podchodzi i podziwia moją robotę. To jedna z bliźniaczek, których prawie nie można odróżnić. Matka poznaje je po zapachu, Knopfowi jest to obojętne, inni nigdy nie wiedzą, z którą mają do czynienia. Pogrążam się w rozmyślaniach, jak by to było, gdyby ktoś się ożenił z jedną bliźniaczką, a druga mieszkała w tym samym domu.

Gerda przerywa mi. Stoi w bramie i śmieje się. Odkładam rysunek. Bliźniaczka znika. Wilke przestaje się myć. Za plecami Gerdy wskazuje pustą puszkę po szprotkach, którą kotka włóczy po podwórku, potem pokazuje na siebie i podnosi dwa palce. Następnie szepcze cicho:

– Dwie.

Gerda ma dziś na sobie szary sweter, szarą spódnicę i czarny beret. Nie wygląda już jak papuga. Wygląda sportowo, pięknie i jest w dobrym humorze. Patrzę na nią nowymi oczyma. Kobieta, której inny pożąda, nawet gdy to jest lubieżny trumniarz, staje się natychmiast cenniejsza. Człowiek żyje w o wiele większym stopniu z wartości względnej niż z absolutnej.

– Byłaś dziś w Czerwonym Młynie? – pytam.

Gerda kiwa głową.

– Śmierdząca buda! Miałam próbę. Jak ja nienawidzę tych lokali przesiąkniętych dymem tytoniowym!

Patrzę na nią z sympatią. Wilke za jej plecami zapina sobie koszulę, strząsa wióry z wąsów i dodaje do swej oferty trzy palce. Pięć puszek szprotek! Piękna propozycja, ale nie zwracam na nią uwagi. Przede mną stoi szczęście jednego tygodnia, jasne, mocne szczęście, które nie boli – proste szczęście zmysłów i umiarkowanej fantazji, krótkie szczęście czternastodniowego engagement w nocnym kabarecie, szczęście, które w połowie już minęło, ale zbawiło mnie od Erny, a nawet uczyniło Izabellę tym, czym powinna być: bezbolesną fatamorganą, nie wzbudzającą żadnych życzeń niemożliwych do spełnienia.

– Chodź, Gerdo – mówię nagle, pełen prawdziwej wdzięczności. – Zjemy dziś pierwszorzędny obiad. Jesteś głodna?

– Bardzo. Możemy gdziekolwiek…

– Dziś nie ma mowy o żadnej sałatce ziemniaczanej ani serdelkach! Będziemy wspaniale święcić jubileusz: środek wspólnego pożycia. Przed tygodniem byłaś tu po raz pierwszy. Za tydzień będziesz mi na dworcu machać ręką na pożegnanie. Uczcijmy dzisiaj to pierwsze, a nie myślmy o drugim!

Gerda śmieje się.

– Nie mogłam nawet zrobić sałatki. Za dużo roboty. Cyrk to co innego niż taki kretyński kabaret.

– Dobrze, w takim razie pójdziemy dziś do Walhalli. Lubisz gulasz?

– Bardzo – odpowiada Gerda.

– To świetnie! A więc postanowione! Chodźmy święcić wielką połowę naszego krótkiego życia!

Przez otwarte okno rzucam blok na biurko. Odchodząc, widzę bezgranicznie rozczarowaną facjatę Wilkego. Z niepocieszoną miną podnosi obie ręce do góry – dziesięć puszek szprotek, majątek!

– Czemu nie? – odpowiada natychmiast Edward ku memu ogromnemu zdumieniu. Oczekiwałem zaciekłego oporu. Talony obiadowe ważne są tylko w południe, a Edward po jednym spojrzeniu rzuconym na Gerdę nie tylko zdecydowany jest zaakceptować je na dziś wieczór, ale nawet nie rusza się od stołu. – Może byłbyś łaskaw mnie przedstawić? Jestem w przymusowej sytuacji – on zaakceptował kartki żywnościowe, więc ja muszę akceptować jego.

– Edward Knobloch, hotelarz, restaurator, poeta, bilioner i skąpiec – oświadczam niedbale. – Panna Gerda Schneider.

Edward kłania się na poły połechtany, na poły rozgniewany.

– Niech pani w to nie wierzy.

– W nazwisko również? – pytam.

Gerda uśmiecha się.

– Pan jest bilionerem? To bardzo interesujące!

Edward wzdycha.

– Tylko przedsiębiorcą z wszystkimi troskami przedsiębiorcy. Niech pani nie słucha tego lekkomyślnego gaduły! A pani? Piękny, świetlisty wizerunek boskości, unoszący się beztrosko nad ciemnymi wodami melancholii…

Nie wierzę własnym uszom i wybałuszam oczy na Edwarda, jakby pluł złotem. Gerda wydaje się dziś posiadać magiczną siłę przyciągania.

– Zostaw te stiukowe ornamenty, Edward – mówię. – Ta pani sama jest artystką. Czy to ja jestem ciemną wodą melancholii? Co z gulaszem?

– Uważam, że pan Knobloch mówi bardzo poetycko! – Gerda patrzy na Edwarda z niewinnym zachwytem. – Kiedy pan znajduje na to czas? Przy tak wielkim przedsiębiorstwie i tylu kelnerach! Musi pan być szczęśliwym człowiekiem! Taki bogaty i do tego utalentowany.

– Jakoś tam idzie! – Oblicze Edwarda promienieje. – Tak więc pani jest również artystką… – Widzę, że nagle ogarnia go nieufność. Cień Renée de la Tour przesuwa się bez wątpienia koło niego jak chmura przez księżyc. – Sądzę, że poważną artystką – dodaje.

– Poważniejszą niż ty – odpowiadam. – Panna Schneider nie jest śpiewaczką, jak sobie właśnie pomyślałeś. Ona potrafi przepędzać lwy przez obręcze i jeździć wierzchem na tygrysach. A teraz zapomnij o policjancie, który w tobie tkwi, jak to w wiernym synu naszej ukochanej ojczyzny, i podawaj do stołu!

– Ach, tak, lwy i tygrysy. – Oczy Edwarda rozszerzają się. – Czy to prawda? – pyta Gerdę. – Ten człowiek bardzo często kłamie.

Nadeptuję na jej nogę pod stołem.

– Byłam w cyrku – odpowiada Gerda, która nie rozumie, co w tym jest takiego interesującego. – I znowu wracam do cyrku.

– Co jest do jedzenia, Edward? – pytam niecierpliwie. – Czy też mamy ci wpierw złożyć nasze życiorysy w czterech egzemplarzach?

– Dopilnuję osobiście – mówi szarmancko Edward do Gerdy. – Dla takich gości! Czar areny! Ach! Niech pani łaskawie wybaczy panu Bodmerowi jego eratyczne zachowanie. Wyrósł w czasie wojny pośród kopaczy torfu, a wychowanie zawdzięcza histerycznemu listonoszowi.

Odchodzi, kołysząc się jak kaczka.

– Bardzo postawny mężczyzna – oświadcza Gerda. – Czy on jest żonaty?

– Był. Żona od niego uciekła, bo jest strasznie skąpy.

Gerda dotyka adamaszkowego obrusa.

– To musiała być bardzo głupia kobieta – mówi z rozmarzeniem. – Lubię oszczędnych ludzi. Potrafią utrzymać pieniądze.

– W czasie inflacji nie można robić nic głupszego.

– Jasne, trzeba je odpowiednio lokować. – Gerda ogląda ciężkie posrebrzane noże i widelce. – Sądzę, że twój przyjaciel potrafi to robić – nawet jeśli jest poetą.

Patrzę na nią nieco zaskoczony.

– Możliwe – mówię. – Ale inni nic z tego nie mają. A najmniej jego żona. On ją zmuszał, aby harowała od rana do wieczora. Być żoną to znaczy u Edwarda za darmo dla niego pracować.

Gerda uśmiecha się niepewnie jak Mona Liza.

– Każda kasa ogniotrwała otwiera się po nastawieniu jej numeru, nie wiesz o tym jeszcze, dziecinko?

Patrzę na nią osłupiały. Co się tu dzieje? – myślę. Czy to ta sama dziewczyna, z którą wczoraj w restauracji Pod Pięknym Krajobrazem jadłem chleb z masłem i mlekiem za skromne pięć tysięcy marek i rozmawiałem o czarze skromnego życia?

– Edward to tłuścioch, brudas i nieuleczalny skąpiec – oświadczam zdecydowanie. – Wiem o tym od wielu lat.

Znawca kobiet Riesenfeld powiedział mi raz, że tego rodzaju połączenie odstraszy każdą kobietę. Ale Gerda nie wygląda na zwykłą kobietę. Lustruje wielkie żyrandole, które jak przezroczyste stalaktyty zwieszają się z sufitu, i trzyma się tematu.

– Możliwe, że potrzebuje kogoś, kto by się nim zajął. Nie jakiejś głupiej kwoki oczywiście! Kogoś, kto by potrafił ocenić jego zalety.

Teraz jestem wyraźnie zaniepokojony. Czyżby moje spokojne dwutygodniowe szczęście już ulatywało? Po diabła sprowadziłem ją do tego pałacu ze srebra i kryształu!

– Edward nie ma żadnych zalet – mówię.

Gerda uśmiecha się znowu.

– Każdy mężczyzna ma jakieś zalety. Trzeba mu je tylko wskazać.

W tym momencie na szczęście zjawia się kelner Freidank, pompatycznie niosąc pasztet na srebrnej tacy.

– Co to jest? – pytam.

– Pasztet z wątróbki – odpowiada Freidank dumnie.

– W karcie jest przecież kartoflanka!

– To menu ustalił pan Knobloch osobiście – mówi Freidank, były podoficer zaopatrzeniowy, i dzieli pasztet na dwie części – większą dla Gerdy, mniejszą dla mnie. – Czy też woli pan przepisową kartoflankę? – pyta kordialnie. – Można to załatwić.

Gerda się śmieje. Właśnie chcę, rozgniewany podjętą przez Edwarda tanią próbą złowienia Gerdy na żarcie, zażądać karto-

flanki, gdy Gerda trąca mnie pod stołem. Nad stołem wdzięcznie zamienia talerze i podaje mi większy kawałek.

– Tak powinno być – mówi do Freidanka. – Mężczyzna zawsze powinien dostawać większą część. Prawda?

– Owszem – jąka Freidank, nagle skonsternowany. – W domu… ale tu…

Były gefrajter nie wie, co robić. Dostał od Edwarda rozkaz nałożenia Gerdzie solidnego kawałka, a mnie cieniutkiego plasterka, i rozkaz ten wykonał. Teraz jednak widzi, że wyszło coś zupełnie przeciwnego, i jest bliski załamania się, ponieważ niespodziewanie musi wziąć na siebie odpowiedzialność za to, co zrobił. A takich rzeczy nie lubi się w naszej ukochanej ojczyźnie. Na rozkaz reagujemy natychmiast, od setek lat mamy to w naszej dumnej krwi – ale decydować samemu to zupełnie inna sprawa. Freidank robi jedyną rzecz, jaką potrafi: wzrokiem wzywa na pomoc swego mistrza i ma nadzieję, że dostanie nowy rozkaz.

Zjawia się Edward.

– Podawaj, Freidank, co tak stoisz?

Chwytam za widelec, odkrawam szybko kawałek pasztetu, który przede mną stoi, właśnie gdy Freidank, wierny pierwszemu rozkazowi, chce znowu zamienić talerze.

Freidank kamienieje. Gerda parska śmiechem. Edward, opanowany jak wódz, w lot orientuje się w sytuacji, odsuwa Freidanka na bok, odkrawa nowy solidny kawałek pasztetu, kładzie go z rozmachem przed Gerdą i pyta mnie kwaśnosłodkim tonem:

– Smakuje?

– Ujdzie – mówię. – Szkoda, że nie ma w nim gęsiej wątróbki.

– Jest gęsia wątróbka.

– Smakuje jak cielęca.

– Czyś ty kiedy w swoim życiu jadł gęsią wątróbkę?

– Edward – mówię. – Ja nawet rzygałem gęsią wątróbką, tyle się jej najadłem.

Edward śmieje się przez nos.

– Gdzież to? – pyta lekceważąco.

– Podczas ofensywy we Francji, kiedy mnie wychowywano na mężczyznę. Zdobyliśmy wówczas sklep pełen gęsich wątróbek.

W sztrasburskich wazach, z czarnymi truflami z Perigord, których w twoim pasztecie nie ma. Ty wtedy skrobałeś kartofle w kuchni.

Nie mówię, że zrobiło mi się niedobrze, ponieważ znaleźliśmy również właścicielkę sklepu – starą kobiecinę, której strzępki przyklejone były do resztek ścian, siwa głowa urwana i zawieszona na haku jednej z półek, jakby wbita na włócznię wojownika jakiegoś barbarzyńskiego szczepu.

– A jak pani smakuje? – pyta Edward Gerdę tkliwym tonem żaby, zwinnie skaczącej nad ciemnymi wodami melancholii.

– Doskonały – odpowiada Gerda i opycha się pasztetem.

Edward składa wytworny ukłon i odchodzi z wdziękiem tańczącego słonia.

– Widzisz – mówi Gerda i uśmiecha się promiennie. – Wcale nie jest taki skąpy.

Odkładam widelec.

– Słuchaj, ty owiany trocinami cudzie cyrku – odpowiadam. – Widzisz przed sobą człowieka ciężko zranionego w swojej dumie, mówiąc żargonem Edwarda, ponieważ jego dama puściła go kantem dla bogatego paskarza. Czy chcesz – że tak powiem, kopiując barokową prozę Edwarda – lać wrzący olej na otwarte jeszcze rany i zrobić to samo jeszcze raz?

Gerda śmieje się i je dalej.

– Nie mów głupstw, skarbie! – odpowiada z pełnymi ustami. – I nie bądź taki obrażalski. Stań się bogatszy od innych, jeśli cię to tak denerwuje.

– Piękna rada! Jak to mam zrobić! Czarować?

– Tak jak inni. Przecież im się jakoś udało.

– Edward dostał hotel w spadku – mówię gorzko.

– A Willy?

– Willy jest spekulantem.

– Co to znaczy spekulant?

– Człowiek, który wyzyskuje koniunkturę. Który handluje wszystkim, od śledzi do akcji przemysłu stalowego. Który robi interesy, gdzie może, czym może i jak może, jeśli nawet wciąż ociera się przy tym o więzienie.

– No widzisz! – mówi Gerda i sięga po resztę pasztetu.

– Uważasz, że ja powinienem być taki sam?

Gerda miażdży bułeczkę swoimi zdrowymi zębami.

– Możesz być albo nie. Ale nie złość się na innych, jeśli nie chcesz być taki jak oni. Wymyślać potrafi każdy, skarbie!

– Słusznie – mówię zmieszany i nagle gwałtownie otrzeźwiony. Wydaje mi się, że w moim mózgu pęka naraz mnóstwo baniek mydlanych. Patrzę na Gerdę. Ma diabelnie realistyczny stosunek do wszystkiego. – Właściwie masz rację – mówię.

– Oczywiście, że mam rację. Ale patrz, co tu idzie. Jak sądzisz, czy to jest również dla nas?

Jest dla nas. Kura pieczona, do tego szparagi. Jedzenie dla fabrykanta amunicji. Edward sam czuwa nad kelnerem. Każe Freidankowi dzielić.

– Pierś dla pani – komenderuje.

– Wolę raczej nóżkę – mówi Gerda.

– Nóżkę i część piersi dla pani – oświadcza Edward szarmancko.

– Proszę bardzo – mówi Gerda. – Pan jest dżentelmenem, panie Knobloch! Wiedziałam o tym.

Edward wdzięczy się zadowolony. Nie rozumiem, po co urządza to całe przedstawienie. Nie mogę uwierzyć, że Gerda podoba mu się do tego stopnia, by ponosił dla niej tek wielkie ofiary; to raczej z wściekłości na nasze abonamenty obiadowe próbuje mi ją odbić. A więc akt zemsty.

– Freidank – mówię. – Zabierz ten szkielet z mojego talerza. Nie jadam kości. Za to daj mi drugą nogę. Czy też może wasza kura jest inwalidką wojenną o jednej nodze?

Freidank patrzy na swego pana wzrokiem posłusznego psa.

– To jest przecież najsmaczniejsze – oświadcza Edward. – Kostki piersi są bardzo dobre do ogryzania.

– Nie lubię ogryzać. Lubię jeść.

Edward wzrusza swymi tłustymi ramionami i z ociąganiem nakłada mi drugą nogę.

– Może byś wolał raczej trochę sałaty? – pyta. – Szparagi są bardzo szkodliwe dla alkoholików.

– Dawaj szparagi. Jestem nowoczesnym człowiekiem i mam wyraźne skłonności do samozagłady.

Edward odpływa jak gumowy nosorożec. Nagle przychodzi mi do głowy pewien pomysł.

– Knobloch! – ryczę za nim generalskim tonem Renée de la Tour.

Wstrząsa się, jakby ktoś wbił mu lancę w plecy.

– A to co znowu? – pyta mnie wściekły.

– Co?

– Takie ryki!

– Ryki? Kto tu ryczy poza tobą? A może ci się nie podoba, że miss Schneider chciałaby jeszcze trochę sałaty? To nie trzeba jej było proponować!

Oczy Edwarda robią się olbrzymie. Widać w nich straszliwe podejrzenie, które stopniowo zamienia się w pewność.

– Pani… – zwraca się do Gerdy. – Pani mnie wołała?

– Jeśli jest sałata, to chętnie spróbuję – oświadcza Gerda, która nie rozumie, co się dzieje. Edward wciąż jeszcze stoi przy stole. Wierzy głęboko, że Gerda jest siostrą Renée de la Tour. Widzę, jak teraz żałuje pasztetu, kury i szparagów. Ma wrażenie, że został okrutnie naciągnięty.

– To wołał pan Bodmer – wtrąca się Freidank, który cichaczem podkradł się do nas. – Sam widziałem.

Ale jego słowa nie docierają do świadomości Edwarda.

– Nie odzywaj się niepytany, kelner – mówię niedbale. – Tego powinieneś się był nauczyć u Prusaków. A teraz idź i wylewaj dalej gulasz za kołnierze niewinnym ludziom. Natomiast ty, Edwardzie, wytłumacz mi, czy tę wspaniałą ucztę mamy traktować jako przyjęcie, czy też chcesz zainkasować za nią nasze talony?

Edward wygląda, jakby miał dostać apopleksji.

– Dawaj talony, łajdaku – mówi głucho.

Odrywam kupony i kładę je na stole.

– Kto tu był łajdakiem, to sprawa do dyskusji, ty marny donżuanie – mówię.

Edward nie bierze talonów.

– Freidank – mówi zduszonym z wściekłości głosem. – Wyrzuć pan te śmiecie do kosza.

– Stop! – wołam i chwytam za menu. – Jeśli już płacimy, mamy jeszcze prawo do deseru. Na co masz ochotę, Gerdo? Kasza gryczana na słodko czy kompot?

– Co pan nam poleca, panie Knobloch? – pyta Gerda, która nie wie, jaki dramat rozegrał się w duszy Edwarda.

Edward robi rozpaczliwy gest ręką i odchodzi.

– Więc kompot! – krzyczę za nim.

Wzdryga się, a potem idzie dalej, jakby stąpał po jajkach. W każdej chwili oczekuje głosu z koszarowego placu ćwiczeń.

– Co się właściwie stało? – pyta nie domyślająca się niczego Gerda.

– Nic – odpowiadam niewinnie i dzielę między nas szkielet kury. – To jedynie mały przykład zastosowania tezy strategicznej wielkiego Clausewitza: atakuj nieprzyjaciela, gdy wydaje mu się, że zwyciężył, i tam, gdzie się tego najmniej spodziewa.

Gerda kiwa głową, nic nie rozumiejąc, i je kompot, który Freidank postawił przed nami bez respektu. Przyglądam jej się w zamyśleniu, postanawiam nigdy już nie przyprowadzać jej do Walhalli i od tej chwili stosować się do żelaznej zasady Georga: nie pokazuj kobiecie nic nowego, a nie nabierze na to ochoty i nie puści cię kantem.

Jest noc. Siedzę przy oknie w chałupie. Świeci księżyc: ciężki zapach bzu napływa z ogrodów, a ja wróciłem przed godziną z Gospody Staromiejskiej. Zakochana para skrada się po ciemniejszej stronie ulicy i znika w naszym ogrodzie. Nie sprzeciwiam się temu; kto sam nie jest spragniony, staje się wyrozumiały, a letnie noce mają nieprzeparty urok. Na wszelki wypadek wywiesiłem jednak na obu kosztownych krzyżach tabliczkę z napisem: „Uwaga! Może runąć i zmiażdżyć palce!” Z nieznanych powodów zakochani upodobali sobie krzyże i korzystają z nich, gdy ziemia jest zbyt wilgotna; może dlatego, że mogą lepiej się o nie oprzeć, choć zdawałoby się, że średniej wielkości nagrobki są równie wygodne. Miałem ochotę wywiesić drugą tabliczkę z odpowiednim

zaleceniem, ale zrezygnowałem. Pani Kroll wstaje niekiedy wcześnie rano i mimo całej swojej tolerancji dałaby mi po gębie za zbytnią frywolność, zanim zdążyłbym wytłumaczyć, że przed wojną również mnie cechowała pruderia – właściwość, którą straciłem, broniąc naszej ukochanej ojczyzny.

Nagle dostrzegam kwadratową postać drepczącą w poświacie księżyca. Drętwieję. To rzeźnik Watzek. Znika w swoim mieszkaniu o dwie godziny za wcześnie. Może zabrakło mu szkap. Końskie mięso jest dzisiaj powszechnie lubianym artykułem. Obserwuję okna. Rozbłyskują światłem, wędruje po nich cień Watzeka. Zastanawiam się, czy mam poinformować Georga Krolla, ale to niewdzięczne zadanie przeszkadzać zakochanym, a poza tym możliwe, że Watzek pójdzie spać, nie zastanawiając się nad niczym. Zdaje się jednak, że tak nie będzie. Rzeźnik otwiera okno i rozgląda się po ulicy. Słyszę, jak sapie. Zamyka okiennice i po chwili pojawia się przed drzwiami z krzesłem w ręku i nożem rzeźnickim za cholewą. Siada na krześle i wygląda na to, że ma zamiar czekać na powrót Lizy. Patrzę na zegarek. Mija wpół do dwunastej. Noc jest ciepła i Watzek może siedzieć tak godzinami. Liza natomiast jest już dość długo u Georga. Ochrypłe dyszenie miłości już umilkło, a gdy Liza wpadnie w ramiona rzeźnika, znajdzie wprawdzie wiarygodne wytłumaczenie, a on prawdopodobnie w nie uwierzy – ale lepiej, żeby do tego nie doszło.

Po cichu schodzę na dół i pukam do drzwi Georga w rytmie marsza hohenfriedberskiego. Zjawia się łysa głowa mego chlebodawcy.

– Do diabła – mówi. – Postaraj się go stamtąd odciągnąć.

– O tej porze?

– Spróbuj! Użyj wszystkich swoich wdzięków.

Wyłażę na ulicę, ziewam, staję, a potem wędruję do Watzeka.

– Piękny wieczór – mówię.

– Gówno tam, piękny wieczór – odpowiada Watzek.

– Też racja – przyznaję.

– To już długo nie potrwa – nagle mówi ostro Watzek.

– Co?

– Co? Pan przecież dobrze wie, co! Łajdactwo! A co innego?

– Łajdactwo? – pytam zaniepokojony. – Jak to?

– A niby co? Może nie?

Zerkam na nóż w cholewie i już widzę Georga leżącego między pomnikami z poderżniętym gardłem. Lizy oczywiście nie; mężczyźni zawsze są idiotami.

– To zależy – odpowiadam dyplomatycznie.

Nie bardzo rozumiem, dlaczego Watzek już dawno nie wlazł przez okno do Georga. Znajduje się ono na parterze i jest otwarte.

– To wszystko niedługo się skończy – oświadcza Watzek ponuro. – Krew się poleje. Winni odpokutują.

Spoglądam na niego. Ma długie ręce przy krępym tułowiu i wygląda na niezwykle silnego. Mógłbym mu dać kolanem w podbródek, a potem, gdy się zatoczy, kopnąć go między nogi albo, gdy rzuci się na mnie, podstawić mu nogę i parę razy porządnie trzasnąć jego głową o bruk. To by na chwilę wystarczyło – ale co potem?

– Słyszał go pan? – pyta Watzek.

– Kogo?

– Przecież pan wie! Jego! A kogo by? On jest tylko jeden!

Nasłuchuję. Nic nie słyszałem. Wszędzie panuje cisza. Ktoś ostrożnie zamyka teraz okno w pokoju Georga.

– Kogo miałem słyszeć? – pytam głośno, chcąc zyskać na czasie i dać tamtym znak, by Liza zniknęła w ogrodzie.

– Człowieku, jego! Wodza! Adolfa Hitlera!

– Adolfa Hitlera! – powtarzam z ulgą. – Tego!

– Co za tego? – pyta Watzek wyzywająco. – Nie jest pan z nim?

– I jeszcze jak! Szczególnie teraz! Nie wyobraża pan sobie nawet, jak bardzo!

– W takim razie dlaczego pan go nie słuchał?

– Przecież go tu nie było.

– Był w radiu. Słuchaliśmy go w rzeźni. Sześciolampowy odbiornik. Wszystko zmieni! Pierwszorzędna mowa! Ten człowiek wie, co się dzieje. Wszystko trzeba zmienić!

– Jasne – mówię. W tym jednym zdaniu mieści się całkowity rynsztunek wszystkich demagogów świata. – Wszystko trzeba zmienić! A może byśmy się tak napili piwa?

– Piwa? Gdzie?

– U Blumego na rogu.

– Czekam na żonę.

– Może pan na nią poczekać również u Blumego. O czym mówił Hitler? Chciałbym się dokładnie dowiedzieć. Moje radio się zepsuło.

– O wszystkim – mówi rzeźnik i podnosi się. – Ten człowiek wie wszystko! Wszystko, mówię panu, kolego!

Wstawia krzesło do sieni i zgodnie wędrujemy na dortmundzkie piwo do ogródka Blumego.

X

W łagodnym zmierzchu szklany człowiek stoi bez ruchu przed grządką z różami. Grzegorz VII spaceruje po kasztanowej alei. Starsza siostra prowadzi pochylonego wiekiem starca o długich włosach, który co raz to próbuje ją uszczypnąć w tęgi tyłek i za każdym razem chichocze wesoło. Obok mnie na ławce siedzi dwóch mężczyzn i każdy z nich tłumaczy towarzyszowi, dlaczego uważa go za wariata, ale nie słucha słów tego drugiego. Trzy kobiety w pasiastych kitlach podlewają kwiaty; milcząco prześlizgują się w mroku z cynowymi konewkami w ręku.

Siedzę na ławce przy grządce z różami. Wszystko jest tu spokojne i takie, jak być powinno. Nikt nie troszczy się o to, że dolar podskoczył w ciągu jednego dnia o dwadzieścia tysięcy marek. Nikt się z tego powodu nie wiesza, jak wczoraj w mieście para staruszków, których dziś znaleziono w szafie na ubrania – oboje wisieli na sznurach od bielizny. Poza nimi w szafie nic nie było. Gdy nabywca chciał zabrać meble, odkrył samobójców. Obejmowali się nawzajem i pokazywali sobie spuchnięte, niebieskie języki. Oboje niewiele ważyli i można ich było łatwo zdjąć ze sznurów. Oboje czyściutko wymyci, z wyszczotkowanymi włosami, mieli nieskazitelnie połatane i schludne ubrania. Nabywca, rasowy handlarz mebli, zwymiotował na ich widok i oświadczył, że nie weźmie tej szafy. Dopiero wieczorem zmienił zdanie i kazał ją zabrać swoim ludziom. Zmarłych ułożono tymczasem na łóżku, ale musiano ich stamtąd ściągnąć, ponieważ i łóżko było sprzedane. Sąsiedzi pożyczyli parę stołów i na nich ułożono oboje staruszków, owinąwszy im głowy papierem toaletowym. Papier był

jedyną rzeczą, jaka jeszcze do nich należała w mieszkaniu. Zostawili list, w którym napisali, że właściwie chcieli popełnić samobójstwo za pomocą gazu, ale gazownia zamknęła jego dopływ, ponieważ rachunek od dawna nie był opłacany. Dlatego przepraszają handlarza mebli za kłopot, jaki mu sprawili.

Nadchodzi Izabella. Ma na sobie krótkie granatowe spodnie, odsłaniające kolana, żółtą bluzkę i bursztynowy naszyjnik.

– Gdzie byłeś? – pyta bez tchu.

Nie widziałem jej od paru dni. Za każdym razem po nabożeństwie wymykałem się z kościoła i szedłem do domu. Nie było mi łatwo rezygnować ze wspaniałej kolacji i wina z Bodendiekiem i Wernickem, ale wolałem mieć spokój z Gerdą o chlebie z masłem i sałatce ziemniaczanej.

– Gdzie byłeś? – powtarza Izabella.

– Gdzieś tam – mówię niechętnie. – Tam, gdzie pieniądze są sprawą najważniejszą.

Siada na poręczy ławki. Nogi ma bardzo opalone, jakby dużo leżała na słońcu. Obaj mężczyźni koło mnie patrzą niechętnie; potem podnoszą się i odchodzą. Izabella ześlizguje się na ławkę.

– Dlaczego dzieci umierają, Rudolfie? – pyta.

– Nie wiem.

Nie patrzę na nią. Nie chcę się znowu dać złapać; wystarczy, że siedzi tu, pokazując swoje długie nogi i spodenki tenisowe, jakby przeczuła, że odtąd chcę żyć według recepty Georga.

– Po co się rodzą, kiedy zaraz potem umierają?

– O to musisz spytać wikarego Bodendieka. On twierdzi, że Bóg księguje każdy włos, jaki spada z czyjejkolwiek głowy, i że wszystko ma swój sens i moralność.

Izabella śmieje się.

– Bóg księguje? Kogo? Siebie samego? Po co? Przecież On wie wszystko.

– Tak – mówię i nagle ogarnia mnie wielka złość, choć nie wiem dlaczego. – Jest wszechwiedzący, wszechdobry, sprawiedliwy i pełen miłości – a mimo to umierają dzieci i matki, których

dzieci potrzebują, i nikt nie wie, dlaczego jest tyle nędzy na świecie.

Izabella gwałtownie odwraca się ku mnie. Nie śmieje się już.

– Dlaczego wszyscy ludzie nie są po prostu szczęśliwi, Rudolfie? – szepcze.

– Nie wiem. Może dlatego, że wtedy Bóg by się nudził.

– Nie – odpowiada szybko. – Nie dlatego.

– A więc dlaczego?

– Bo On się boi.

– Boi się? Czego?

– Gdyby wszyscy byli szczęśliwi, nie potrzebowano by Boga.

Patrzę teraz na nią. Jej oczy są bardzo przezroczyste, a twarz brązowa i węższa niż dawniej.

– On jest tylko od nieszczęść – mówi. – Wtedy Go ludzie potrzebują i modlą się. Dlatego to robi.

– Są również ludzie, którzy modlą się do Boga dlatego, że są szczęśliwi.

– Tak? – Izabella śmieje się z powątpiewaniem. – W takim razie modlą się, bo się boją, że ich szczęście minie. Wszystko jest strachem, Rudolfie. Nie wiesz o tym?

Gruba siostra prowadzi obok nas wesołego staruszka. Z okna głównego pawilonu słychać przenikliwe brzęczenie odkurzacza. Oglądam się. Okno jest otwarte, ale zakratowane – czarny loch, z którego jęczy odkurzacz jak dusza potępieńca.

– Wszystko jest strachem – powtarza Izabella. – Czy ty się nigdy nie boisz?

– Nie wiem – odpowiadam, nadal czujny. – Chyba tak. Bardzo często bałem się na wojnie.

– Nie o tym myślałam. To jest rozsądny strach. Myślę o tym bez nazwy.

– O jakim? O strachu przed życiem?

Potrząsa głową.

– Nie. Wcześniej.

– Przed śmiercią?

Znowu potrząsa głową. Nie pytam dalej. Nie chcę się w to zagłębiać. Siedzimy przez chwilę w milczeniu. Znowu odnoszę

wrażenie, że Izabella nie jest chora, ale nie pozwalam mu się skrystalizować. Gdy dojdzie do głosu, znowu zacznie się zamieszanie, a tego nie chcę. Izabella porusza się wreszcie.

– Dlaczego nic nie mówisz? – pyta.

– Cóż znaczą słowa?

– Dużo – szepcze. – Wszystko. Boisz się ich?

Zastanawiam się.

– Prawdopodobnie wszyscy się nieco boimy wielkich słów. Tak strasznie często służyły kłamstwu. Może także boimy się naszych uczuć. Nie wierzymy im już.

Izabella podciąga nogi na ławkę.

– Ale są nam potrzebne, najdroższy – szepcze. – Jak można bez nich żyć?

Odkurzacz przestaje brzęczeć. Nagle robi się bardzo cicho. Od grządek ciągnie chłodny zapach wilgotnej ziemi. Jakiś ptak wykrzykuje w kasztanach ciągle to samo wołanie. Wieczór staje się niespodzianie wagą, na której obu szalach spoczywa jednakowy ciężar świata. Czuję ją, jakby balansowała lekko na mojej piersi. Nic mi się stać nie może, myślę, póki tak spokojnie oddycham.

– Boisz się mnie? – pyta Izabella.

Nie, myślę i potrząsam głową; ty jesteś jedynym człowiekiem, którego się nie boję. Nawet w słowach! Wymawiane przy tobie nie są one nigdy za wielkie ani śmieszne. Ty je zawsze rozumiesz, żyjesz bowiem w świecie, gdzie tym samym są słowa i uczucia, kłamstwo i urojenie.

– Dlaczego nic nie mówisz? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Czasami nie można nic powiedzieć, Izabello. A często trudno jest przemóc.

– Co przemóc?

– Samego siebie. Istnieją różne opory.

– Nóż nie może kroić sam przez się, Rudolfie. Dlaczego się boisz?

– Nie wiem, Izabello.

– Nie czekaj zbyt długo, najdroższy. Inaczej będzie za późno. Słowa są potrzebne – szepcze.

Nie odpowiadam.

– Przeciwko strachowi, Rudolfie – mówi dalej. – Są jak lampy. One pomagają. Widzisz, jak wszystko szarzeje? Niczyja krew nie jest już czerwona. Dlaczego mi nie pomagasz?

Wreszcie rezygnuję z oporu.

– Moja ty słodka, dziwna i kochana ptaszyno! – mówię. – Gdybym ci mógł pomóc!

Pochyla się i zarzuca mi ręce na ramiona.

– Chodź do mnie! Pomóż! One wołają!

– Kto woła?

– Nie słyszysz ich? Głosy. One bezustannie wołają!

– Nikt nie woła, Izabello. Tylko twoje serce. Ale co ono woła?

Czuję jej oddech na policzku.

– Kochaj mnie, to nic nie będzie już więcej wołało.

– Kocham cię.

Osuwa się koło mnie. Oczy ma teraz zamknięte. Robi się coraz ciemniej i widzę, jak w pobliżu kuśtyka powoli szklany człowiek. Siostra zbiera paru staruszków, którzy zgarbieni i nieruchomi, jak ciemne garstki nieszczęścia, siedzieli na ławkach.

– Już czas! – woła w naszym kierunku.

Kiwam głową i nie ruszam się z miejsca.

– Wołają – szepcze Izabella. – Nigdy nie można ich znaleźć. Kto ma aż tyle łez?

– Nikt – mówię. – Nikt na świecie, kochana.

Nie odpowiada. Oddycha obok mnie już zmęczone dziecko. Biorę ją na ręce i niosę do pawilonu, w którym mieszka.

Kiedy ją wreszcie stawiam na ziemi, potyka się i trzyma mnie mocno. Mruczy coś, czego nie mogę zrozumieć, i pozwala się wprowadzić do środka. Wejście jest jasno oświetlone mlecznym, nie rzucającym cienia światłem. Sadowię ją na plecionym fotelu w hallu. Spoczywa w nim z zamkniętymi oczami, jakby ją zdjęto z niewidzialnego krzyża. Dwie siostry w czarnych habitach przechodzą obok nas. Idą do kaplicy. Przez chwilę mam wrażenie,

jakby chciały wziąć Izabellę i pogrzebać ją. Potem przychodzi pielęgniarka w bieli i zabiera ją z sobą.

Przełożona dała nam drugą butelkę mozelskiego wina. Mimo to, ku memu zdumieniu, Bodendiek wyszedł zaraz po kolacji. Wernicke siedzi dalej. Pogoda się ustaliła i pacjenci są spokojni. – Dlaczego się nie zabija tych, którzy są zupełnie beznadziejnie chorzy? – pytam.

– Pan by ich zabijał? – odpowiada Wernicke pytaniem.

– Nie wiem. To samo zagadnienie istnieje w wypadku powolnie konającego, bez nadziei wyzdrowienia, o którym wiadomo, że będzie już tylko cierpiał. Dałby mu pan zastrzyk, żeby cierpiał parę dni krócej?

Wernicke milczy.

– Na szczęście nie ma Bodendieka – mówię. – Możemy więc sobie pozwolić na moralne i religijne rozważania. Miałem kolegę, któremu rozerwało brzuch, tak że wyglądał jak jatka. Błagał nas, żebyśmy go zastrzelili. Odtransportowaliśmy go do lazaretu. Krzyczał tam jeszcze przez trzy dni. Potem umarł. Trzy dni to bardzo dużo, kiedy się wyje z bólu. Widziałem, jak wielu ludzi zdychało. Nie umierało – zdychało. Wszystkim można byłoby pomóc jednym zastrzykiem. Mojej matce również.

Wernicke milczy.

– Dobrze – ciągnę dalej. – Wiem. Przerwanie życia jakiejś istoty wygląda zawsze na morderstwo. Od czasu jak wróciłem z wojny, nie mam ochoty zabić nawet muchy. Mimo to kawałek cielęciny dziś wieczorem bardzo mi smakował. A cielę zabito, żeby je można było zjeść. To są stare paradoksy, z których trudno wyciągnąć wniosek. Życie jest cudem, nawet życie cielęcia i muchy. Szczególnie muchy, tej akrobatki z tysiącami pryzmatów ocznych. Dlaczego zabijamy spokojnie chorego psa, a nie zabijamy wijącego się z bólu człowieka? Ale mordujemy miliony w bezsensownych wojnach.

Wernicke nadal nie odpowiada. Wielki chrabąszcz brzęczy koło lampy. Uderza o żarówkę, spada, grzebie się niedołężnie, znowu

wzlatuje w powietrze i okrąża światło. Doświadczenie nic mu nie pomaga.

– Bodendiek, urzędnik Kościoła, znajdzie oczywiście na wszystko odpowiedź – mówię. – Zwierzęta nie mają duszy, a ludzie ją mają. Ale gdzie się podziewa kawałek duszy, gdy jeden zwój mózgowy zostanie uszkodzony? Co się dzieje z tym kawałkiem, gdy ktoś stanie się idiotą? Czy idzie do nieba? Czy też czeka na okaleczoną resztę, która pozwala jeszcze ludzkiemu ciału ślinić się, jeść i wypróżniać? Widziałem niektóre z pańskich przypadków na oddziale zamkniętym – w porównaniu z tym zwierzęta to bogowie. Gdzie się znajduje dusza idioty? Czy daje się ona podzielić? Czy też wisi może jak niewidoczny balon nad biednymi, bełkoczącymi głowami?

Wernicke robi ruch, jakby chciał odstraszyć owada.

– Dobrze – mówię. – To jest pytanie dla Bodendieka, który z łatwością je rozwiąże. Bodendiek może wszystko rozwiązać za pomocą wielkiego Nieznanego Boga, nieba i piekła, nagrody dla cierpiących i kary dla złych. Nikt nie miał nigdy żadnego dowodu, tylko wiara zbawia według Bodendieka. Ale po co w takim razie mamy rozum, zmysł krytyczny, pęd do szukania dowodów? By ich nie używać? Szczególna to zabawa ze strony wielkiego Nieznanego! A czym jest szacunek dla życia? Strachem przed śmiercią? Strach, zawsze strach! Dlaczego? I dlaczego możemy pytać, kiedy nie ma odpowiedzi?

– To wszystko? – pyta Wernicke.

– Nie, ale nie będę panu zadawał dalszych pytań.

– Dobrze. Ja nie mogę panu zresztą odpowiedzieć. Tyle przynajmniej pan wie? Czy może nie?

– Oczywiście. Dlaczego właśnie pan miałby mieć na to odpowiedź, skoro wszystkie biblioteki świata obdarzają nas tylko przypuszczeniami zamiast odpowiedzi?

Chrabąszcz spadł po drugim locie. Znowu wygrzebuje się, staje na nogi i zaczyna po raz trzeci. Ma skrzydła jak z polerowanej błękitnej stali. Jest bardzo piękną, celowo skonstruowaną maszynką, ale wobec światła zachowuje się jak alkoholik wobec butelki wódki.

Wernicke wylewa resztę wina do kieliszków.

– Jak długo był pan na froncie?

– Trzy lata.

– To bardzo dziwne!

Nie odpowiadam. Wiem mniej więcej, o co mu chodzi, i nie mam ochoty jeszcze raz tego przeżuwać.

– Uważa pan, że rozum jest częścią duszy? – pyta dalej Wernicke.

– Tego nie wiem. Ale czy pan sądzi, że te robiące pod siebie stworzenia, które pełzają na zamkniętym oddziale, mają jeszcze duszę?

Wernicke bierze kieliszek.

– Dla mnie wszystko jest proste – mówi. – Jestem człowiekiem nauki. Nie wierzę w nic. Tylko obserwuję. Bodendiek natomiast wierzy *a priori*! Pan zaś trzepocze się niepewnie pomiędzy nami. Widzi pan tego chrabąszcza?

Chrabąszcz zaczyna piąty atak. Będzie to powtarzał aż do śmierci. Wernicke wyłącza światło.

– Tak, jemu pomogliśmy.

Noc wpływa wielka i błękitna przez otwarte okna. Przynosi ze sobą zapach ziemi, kwiatów i migotanie gwiazd. Wszystko, co powiedziałem, wydaje mi się teraz strasznie śmieszne. Chrabąszcz zatacza jedno brzęczące koło, potem steruje pewnie ku oknu.

– Chaos – mówi Wernicke. – Czy to jest rzeczywiście chaos? Czy też nam się tak wydaje? Czy myślał pan już kiedy, jak wyglądałby świat, gdybyśmy mieli o jeden zmysł więcej?

– Nie.

– A o jeden mniej?

Zastanawiam się.

– Gdybyśmy byli ślepi lub głusi. Albo nie odróżniali smaku. To byłaby wielka różnica.

– A o jeden więcej? Dlaczego mamy zawsze być ograniczeni do pięciu zmysłów? Dlaczego nie moglibyśmy pewnego dnia rozwinąć sześciu? Albo ośmiu? Albo dwunastu? Czy wtedy świat nie byłby całkiem inny? Być może, że już z szóstym zmysłem zniknęłoby

pojęcie czasu. Albo przestrzeni. Albo śmierci. Albo bólu. Albo moralności. A z pewnością obecne pojęcie życia. Wędrujemy z dość ograniczonymi organami przez nasz byt. Pies słyszy lepiej niż człowiek. Nietoperz odnajduje na ślepo drogę, omijając wszystkie przeszkody. Motyl ma w sobie odbiornik radiowy i dzięki niemu potrafi trafić do swojej samiczki oddalonej o parę kilometrów. Ptaki przelotne znacznie górują nad nami pod względem orientacji. Węże słyszą skórą. Biologia zna setki takich przykładów. Jakże więc możemy wiedzieć cokolwiek na pewno? Wystarcza rozszerzenie zasięgu jednego organu czy rozwinięcie nowego – a świat się zmienia, i pojęcie bóstwa się zmienia. Pomyślności!

Podnoszę kieliszek i wypijam. Wino jest cierpkie i mocne.

– Więc lepiej czekać, aż nam przybędzie szósty zmysł, co? – mówię.

– Niekoniecznie. Może pan robić, co pan chce. Ale dobrze jest wiedzieć, że jeden zmysł więcej rozwaliłby wszystkie dotychczasowe koncepcje. Zwierzęca powaga ulatnia się natychmiast. Jak tam wino?

– Dobre. Jak się czuje panna Terhoven? Lepiej?

– Gorzej. Była tu jej matka – nie poznała jej.

– Może nie chciała jej poznać.

– To prawie to samo. Nie poznała jej. Krzyczała na nią, żeby odeszła. Typowy przypadek.

– Dlaczego?

– Chce pan dłuższego wykładu o schizofrenii, kompleksie rodziców, ucieczce przed samym sobą i działaniu szoku?

– Tak – mówię. – Dzisiaj tak.

– To go pan nie usłyszy. Tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Rozszczepienie jaźni jest zwykle ucieczką przed samym sobą.

– Co to znaczy: samym sobą?

Wernicke mierzy mnie wzrokiem.

– Zostawmy to dziś. Ucieczką w inną osobowość. Albo w kilka. Pacjent niekiedy przeskakuje do swojej własnej osobowości na krótszy lub dłuższy czas. Geneviève nie. I to już od dawna. Pan na przykład nie zna jej w ogóle takiej, jaka jest w rzeczywistości.

– Taka, jaka jest, robi zupełnie rozsądne wrażenie – mówię bez przekonania.

Wernicke śmieje się.

– Czym jest rozsądek? Logicznym myśleniem?

Myślę o ewentualnych dwóch nowych zmysłach i nie odpowiadam.

– Czy ona jest bardzo chora? – pytam.

– Według naszych pojęć tak. Ale zdarzają się szybkie i niekiedy zdumiewające wyzdrowienia.

– Wyzdrowienia – z czego?

– Z jej choroby. – Wernicke zapala papierosa.

– Ona jest często zupełnie szczęśliwa. Dlaczego nie zostawić jej taką, jaka jest obecnie?

– Ponieważ jej matka płaci za kurację – oświadcza Wernicke sucho. – Poza tym ona wcale nie jest szczęśliwa.

– Sądzi pan, że byłaby szczęśliwsza, gdyby była zdrowa?

– Prawdopodobnie nie. Jest wrażliwa, inteligentna, niewątpliwie pełna fantazji i prawdopodobnie dziedzicznie obciążona. Cechy, które niekoniecznie zapewniają szczęście. Gdyby była szczęśliwa, nie uciekałaby od siebie.

– Dlaczego nie zostawić jej w spokoju?

– Tak, dlaczego? – mówi Wernicke. – Zadaję sobie często to pytanie. Dlaczego operuje się chorych, o których wiadomo, że operacja nic im nie pomoże? Chce pan ustalić listę podobnych „dlaczego”? Byłaby bardzo długa. Jedno z tych „dlaczego” brzmiałoby: dlaczego nie pije pan wina i wreszcie nie zamknie gęby? Dlaczego nie rozkoszuje się pan nocą, zamiast grzebać w swoim zaśmieconym mózgu? Dlaczego mówi pan o życiu, zamiast je czuć? – Wstaje i przeciąga się. – Muszę iść na obchód nocny do zamkniętych. Chce pan iść ze mną?

– Tak.

– Niech pan włoży biały kitel. Wezmę pana na specjalny oddział. Potem albo się pan porzyga, albo będzie pan zdolny pić dalej wino z głęboką wdzięcznością.

– Butelka jest pusta.

– Mam jeszcze jedną u siebie w pokoju. Możliwe, że nam się przyda. Wie pan, co jest bardzo dziwne? Że pan mimo swoich dwudziestu pięciu lat widział już dość dużo śmierci, nędzy i ludzkiego idiotyzmu – a jednak zdaje się, że pan się niczego nie nauczył poza stawianiem najbardziej kretyńskich pytań, jakie można sobie wyobrazić. Ale taki jest zapewne bieg świata – kiedy wreszcie się czegoś naprawdę nauczymy, jesteśmy za starzy, by z tego korzystać – i tak to idzie dalej, fala po fali, pokolenie po pokoleniu. Żadne nie uczy się najdrobniejszych rzeczy od poprzedniego. Chodź pan!

Siedzimy w Café Central – Georg, Willy i ja. Nie chciałem zostać dziś sam w domu. Wernicke pokazał mi w szpitalu oddział, jakiego jeszcze nie znałem – oddział inwalidów wojennych. Są tu ranni w głowę, zasypani, są ludzie po szoku nerwowym. Wśród łagodnego wieczoru letniego oddział ten stał jak ponury fort, otoczony śpiewem słowików. Wojna, o której powszechnie już prawie zapomniano, tutaj toczy się dalej. Wybuchy granatów grzmią nadal w tych biednych uszach, oczy odbijają, jak przed pięciu laty, bezgraniczne przerażenie, bagnety bez przerwy przewiercają miękkie brzuchy, czołgi wciąż miażdżą jęczących rannych i rozpłaszczają ich jak flądry. Grzmot bitwy, wybuchy ręcznych granatów, trzask pękających czaszek, wycie min, charczenie w zasypanych schronach – wszystko to zachowało się tu jakby wskutek działania straszliwej czarnej magii i nadal szaleje w milczeniu w tym pawilonie, wśród lata i róż. Padają komendy, wykonuje się niedosłyszalne rozkazy, łóżka są rowami strzeleckimi i schronami, wciąż na nowo są zasypywane i odgrzebywane, umiera się i zabija, dławi za gardło i dusi, gaz pełznie przez separatki, a śmiertelny strach wyładowuje się w ryku i pełzaniu, przerażonym rzężeniu i płaczu, a często tylko w przycupnięciu i milczeniu w kącie, gdy człowiek kuli się, jak może najbardziej, twarzą do ściany, przyciśnięty mocno…

– Wstać! – ryczy nagle kilka młodzieńczych głosów za nami. Część gości zrywa się natychmiast od stołów. Orkiestra gra *Niemcy, Niemcy ponad wszystko*. Po raz czwarty dzisiejszego wie-

czoru. Orkiestra nie jest tak nacjonalistycznie usposobiona. To grupka młodych rozrabiaczy, którzy chcą pokazać, jacy są ważni. Co pół godziny jeden z nich podchodzi do orkiestry i zamawia hymn narodowy. Idzie z taką miną, jakby wyruszał na pole bitwy. Orkiestra nie odważa się przeciwstawić i niezwłocznie rozbrzmiewa hymn zamiast uwertury do *Chłopa i poety*. „Wstać!" – rozlega się potem za każdym razem ze wszystkich stron, na dźwięk hymnu narodowego należy bowiem wstać z miejsca, zwłaszcza gdy przyniósł on ze sobą dwa miliony zabitych, przegraną wojnę i inflację.

– Wstawać! – wrzeszczy do mnie jakiś może siedemnastoletni pętak, który w chwili zakończenia wojny nie mógł mieć więcej niż dwanaście lat.

– Pocałuj mnie w dupę – odpowiadam – i wracaj do szkoły.

– Bolszewik! – wrzeszczy chłopak, który z pewnością nie wie jeszcze, co to znaczy. – Koledzy, tu są bolszewicy!

Celem tych cymbałów jest wywołanie awantury. Zamawiają wciąż hymn narodowy i wciąż pewna liczba ludzi nie wstaje, ponieważ uważa to za głupotę. Z płonącymi oczami krzykacze rzucają się wtedy na nich i chcą sprowokować bójkę. Gdzieś na sali siedzi kilku zwolnionych z wojska oficerów, którzy dyrygują nimi i czują się patriotami.

Z tuzin szczeniaków stoi teraz przy naszym stole.

– Wstawać, bo zobaczycie!

– Co? – pyta Willy.

– Zaraz się przekonacie! Tchórze! Zdrajcy ojczyzny! Wstać!

– Odejdźcie od stołu – mówi Georg spokojnie. – Myślicie, że potrzebujemy rozkazów od małoletnich?

Jakiś mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna przeciska się przez tłum.

– Nie macie szacunku dla hymnu narodowego?

– Nie w kawiarniach, gdy służy do prowokowania awantur. I dajcie nam spokój z waszymi idiotyzmami.

– Idiotyzmami? Nazywa pan najświętsze uczucia Niemca idiotyzmami? To będzie pana drogo kosztowało! Gdzie pan był podczas wojny, dekowniku?

– W okopach – odpowiada Georg. – Niestety.

– To każdy może powiedzieć! Dowody!

Willy wstaje. Willy jest olbrzymem. Muzyka ma właśnie przerwę.

– Dowody? – pyta Willy. – Proszę. – Podnosi nieco nogę, obraca tyłek ku pytającemu i nagle rozlega się huk niby wystrzał z armaty średniego kalibru. – Tylko tego – mówi Willy – nauczyłem się u Prusaków. Przedtem miałem wytworniejsze maniery.

Dowódca bandy mimo woli odskoczył do tyłu.

– Pan, o ile się nie mylę, nazwał nas tchórzami? – pyta Willy, wyszczerzając zęby w uśmiechu. – Zdaje się, że to pan właśnie jest nieco bojaźliwy!

Nadchodzi gospodarz lokalu z trzema barczystymi kelnerami.

– Tylko spokojnie, moi państwo, bardzo proszę! Żadnych awantur w lokalu!

Orkiestra gra teraz *Dziewczynę ze Schwarzwaldu*. Strażnicy narodowego hymnu cofnęli się wśród ponurych pogróżek. Możliwe, że na ulicy będą chcieli nas napaść. Oceniamy ich siły. Siedzą w pobliżu drzwi. Jest ich około dwudziestu. Walka zapowiada się dość beznadziejnie dla nas.

Ale naraz zjawia się nieoczekiwana pomoc. Zasuszony, mały mężczyzna podchodzi do naszego stołu. To Bodo Ledderhose, handlarz skórami i złomem żelaznym. Byliśmy razem we Francji.

– Dzieci – mówi. – Widziałem właśnie, co się dzieje. Jestem tu z moim stowarzyszeniem. Tam za kolumną. Jest nas kilkunastu. Pomożemy wam, gdyby ci gówniarze chcieli się czepiać. Zgoda?

– Zgoda, Bodo. Chyba Pan Bóg cię tu zesłał.

– Niezupełnie. Ale to nie jest lokal dla rozsądnych ludzi. Przyszliśmy tylko na kufelek piwa. Niestety, tutejszy gospodarz ma najlepsze piwo w całym mieście. Poza tym to dupa bez charakteru.

Przypuszczam, że Bodo posuwa się zbyt daleko, wymagając w dzisiejszych czasach charakteru od tak prostego organu ludzkiego ciała. Ale mimo to jego określenie jest budujące. Właśnie w podłych czasach należy stawiać niemożliwe żądania.

– Zaraz wychodzimy – mówi Bodo. – Wy też?

– Tak, zaraz.

Płacimy i podnosimy się. Zanim dochodzimy do drzwi, strażnicy narodowego hymnu są już na ulicy. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zjawiają się w ich rękach kije, kamienie i kastety. Półkolem otaczają wyjście.

Bodo staje nagle między nami. Odsuwa nas na bok, a jego dwunastu ludzi wychodzi za nim.

– Macie jakieś życzenia, gówniarze? – pyta Bodo.

Strażnicy Rzeszy wybałuszają na nas oczy.

– Tchórze! – krzyczy wreszcie dowódca, który w dwudziestu chłopa chciał napaść na nas trzech. – My się jeszcze spotkamy!

– Na pewno! – mówi Willy. – Po to przez parę lat siedzieliśmy w okopach. Tylko uważajcie, żeby zawsze było was trzy albo cztery razy więcej. Przewaga liczebna dodaje patriotom pewności siebie.

Idziemy ze stowarzyszeniem Boda ulicą Główną. Gwiazdy błyszczą na niebie. W sklepach pali się światło. Czasem, gdy człowiek jest razem z kolegami wojennymi, wydaje się to nadzwyczajne i wspaniałe, zapierające dech i niepojęte – że można się tak włóczyć, że jest się wolnym i żywym. Pojmuję nagle, co Wernicke rozumiał przez wdzięczność. To wdzięczność nie skierowana do kogokolwiek, po prostu wdzięczność, że człowiek uszedł cało na jakiś czas – gdyż naprawdę cało nie uchodzi nikt.

– Musicie wybrać sobie inną kawiarnię – mówi Bodo. – A może by tak naszą? Tam nie ma tych wrzaskliwych małp. Chodźcie, to wam pokażemy.

I pokazują nam. Na dole można dostać kawę, wodę selcerską, piwo i lody – na górze są sale zebrań. Stowarzyszenie Boda jest stowarzyszeniem śpiewaczym. Miasto roi się od stowarzyszeń. Wszystkie odbywają posiedzenia, mają swoje statuty, porządki dzienne i traktują same siebie bardzo zasadniczo i poważnie. Stowarzyszenie Boda obraduje w czwartki na pierwszym piętrze.

– Mamy bardzo piękny czterogłosowy chór męski – mówi Bodo. – Tylko pierwszy tenor nieco słaby. To śmieszne, ale widać wielu pierwszych tenorów padło na wojnie. A młody narybek przechodzi dopiero mutację.

– Willy jest pierwszym tenorem – oświadczam.

– Naprawdę? – Bodo spogląda na niego z zainteresowaniem. – Powtórz za mną ten ton, Willy.

Bodo treluje jak drozd. Willy treluje za nim.

– Dobry materiał – mówi Bodo. – A teraz ten.

Willy'emu wychodzi i ten.

– Zapisz się do naszego stowarzyszenia – nalega teraz Bodo. – Jak ci się nie będzie podobało, zawsze możesz wystąpić.

Willy droczy się nieco, ale ku naszemu zdumieniu wyraża zgodę. Natychmiast zostaje mianowany skarbnikiem klubu. W związku z tym płaci za podwójną kolejkę piwa i wódki i dorzuca do tego grochówkę z golonką dla wszystkich. Stowarzyszenie Boda jest demokratyczne. Tylko w osobie pierwszego tenora – właściciela sklepu z zabawkami – mają przedstawiciela konserwatystów, a ponadto szewca półkomunistę. Ale w pierwszych tenorach nie można zbytnio przebierać; jest ich mało. Przy trzeciej kolejce Willy opowiada, że zna pewną panią, która może śpiewać zarówno pierwszym tenorem, jak basem. Stowarzyszenie milczy, żuje golonkę i powątpiewa. Wtrącamy się obaj z Georgiem i wyjaśniamy talenty duetowe Renée de la Tour. Willy przysięga, że ona nie jest prawdziwym basem, tylko od urodzenia czystym tenorem. Na to zrywają się potężne oklaski. Renée zostaje mianowana *in absentia* honorowym członkiem klubu. Za to Willy stawia nowe kolejki. Bodo marzy o tajemniczych wstawkach sopranowych, które przyprawią o szaleństwo inne chóry na konkursach śpiewaczych, będą bowiem przekonane, że klub Boda ma w swoim gronie eunucha, zwłaszcza że Renée będzie oczywiście występowała w męskim ubraniu, gdyż inaczej stowarzyszenie zostałoby sklasyfikowane jako chór mieszany.

– Dziś jej to opowiem – oświadcza Willy. – Ale się będzie śmiała! We wszystkich tonacjach!

Georg i ja idziemy wreszcie. Willy z pierwszego piętra obserwuje okolicę; jako stary żołnierz liczy się z podstępami strażników hymnu narodowego. Ale nic się nie dzieje. Rynek rozpościera się spokojnie pod gwiazdami. Naokoło błyszczą okna knajp. Z lokalu stowarzyszenia Boda grzmi potężnie pieśń: *Któż cię, piękny lesie, wzniósł tak wysoko?*

– Powiedz, Georg – pytam, gdy skręcamy w ulicę Krzywą. – Czy właściwie jesteś szczęśliwy?

Georg Kroll kłania się kapeluszem czemuś niewidzialnemu w ciemności.

– Zadam ci inne pytanie – mówi. – Jak długo można siedzieć na ostrzu szpilki?

XI

Leje deszcz. Nad grobem unoszą się opary. Lato utonęła w wodzie, jest chłodno, a dolar stoi na stu dwudziestu tysiącach marek. Z potężnym trzaskiem urywa się kawałek rynny, a woda chlusta przed naszymi oknami jak szara ściana ze szkła. Sprzedaję dwa porcelanowe anioły i wianek nieśmiertelników wątłej kobiecie, której dwoje dzieci zmarło na grypę. Obok leży Georg i kaszle. Jest również chory na grypę, ale wzmocniłem go dzbankiem grzanego wina. Poza tym ma wokół siebie z pół tuzina czasopism i korzysta z okazji, by zasięgnąć informacji o ostatnich małżeństwach, rozwodach i skandalach w wielkim świecie Cannes, Berlina, Londynu i Paryża. Niezmordowany Henryk Kroll, w sztuczkowych spodniach, spinaczach rowerowych i odpowiednio dobranym płaszczu przeciwdeszczowym, wchodzi do biura.

– Czy odpowiadałoby panu, gdybym podyktował parę zamówień? – pyta z niezrównanym sarkazmem.

– Jak najbardziej. No, to jazda.

Podaje kilka zleceń. Są wśród nich małe nagrobki z czerwonego sjenitu, marmurowa płyta, kilka ram grobowych – powszedni dzień śmierci, nic szczególnego. Potem stoi jeszcze przez chwilę niezdecydowany, grzeje tyłek przy zimnym piecu, ogląda próbki kamienia, które od dwudziestu lat leżą na półkach, i wreszcie strzela z ciężkiego działa:

– Jeśli się komuś robi tego rodzaju trudności, nic dziwnego, że niedługo splajtujemy!

Nie odpowiadam, żeby go rozdrażnić.

– Splajtujemy, powiadam – oświadcza Henryk. – Wiem, co mówię.

– Naprawdę? – Spoglądam na niego przyjaźnie. – W takim razie po co się bronić? Każdy panu uwierzy.

– Bronić się? Ja nie muszę się bronić! Ale to, co się zdarzyło w Wüstringen…

– Znaleziono morderców stolarza?

– Morderców? Co nas to obchodzi? I kto mówi o morderstwie? To był wypadek. Ten człowiek sam jest sobie winien. Chodzi mi o to, jak pan postąpił z wójtem Döbbelingiem! A potem jeszcze proponować wdowie po stolarzu nagrobek za darmo!

Odwracam się do okna i patrzę na deszcz. Henryk Kroll należy do ludzi, którzy nigdy nie mają wątpliwości co do swoich poglądów – co czyni ich nie tylko nudnymi, ale również niebezpiecznymi. Są oni spiżową masą naszej ukochanej ojczyzny, z którą zawsze można wyruszyć na nową wojnę. Nic ich nie nauczy niczego, urodzili się z rękami przy szwach spodni i dumni są, gdy w ten sposób umierają. Nie wiem, czy takie typy występują również w innych krajach – ale z pewnością nie w takiej liczbie.

Po pewnej chwili słucham dalej, co gada ten głuptak. Miał z wójtem długą konferencję i wyjaśnił całą sprawę. Możemy więc nadal dostarczać nagrobki do Wüstringen.

– Co teraz mamy robić? – pytam. – Modlić się do pana?

Rzuca mi jadowite spojrzenie.

– Niech pan się nie posuwa za daleko!

– Jak daleko?

– Za daleko. Niech pan nie zapomina, że jest pan tutaj płatnym pracownikiem.

– Stale o tym zapominam. Inaczej musiałby mi pan płacić potrójną pensję – jako rysownikowi, kierownikowi biura i szefowi reklamy. Do tego nie pozostajemy między sobą w stosunku wojskowym, w takim bowiem wypadku musiałby pan stawać przede mną na baczność. A jeśli pan chce, mogę kiedy zatelefonować do pańskich konkurentów – Hollmann i Klotz wezmą mnie natychmiast.

Otwierają się drzwi i zjawia się Georg w czerwonej pidżamie.

– Mówisz o Wüstringen, Henryku?

– A o czym?

– Powinieneś się wstydzić! W Wüstringen zabito człowieka! Zniszczono czyjeś życie. Dla kogoś świat przestał istnieć. Każdy mord, każdy śmiertelny cios jest pierwszym zabójstwem świata. Kain i Abel wciąż na nowo! Gdybyś to wreszcie zrozumiał, ty i twoi koledzy, nie byłoby tyle wojennych wrzasków na tej zresztą błogosławionej ziemi!

– Wtedy byliby tylko parobcy i niewolnicy! Kreatury nieludzkiego traktatu wersalskiego!

– Traktatu wersalskiego! Oczywiście! – Georg robi krok naprzód. Otacza go silny zapach grzanego wina. – Gdybyśmy wygrali wojnę, to oczywiście zasypalibyśmy naszych przeciwników dowodami miłości i podarunkami, co? Zapomniałeś już, co ty i twoi towarzysze chcieliście anektować? Ukrainę, Brie, Longwy i całe francuskie zagłębie rudy i węgla? Zabrano nam Ruhrę? Nie, jeszcze ją mamy! Chcesz twierdzić, że nasz traktat pokojowy nie byłby dziesięć razy twardszy, gdybyśmy go mogli podyktować? Może nie słyszałem, jak pyskowałeś w siedemnastym roku? Francja miała się stać państwem trzeciej klasy, ogromne części Rosji miały być anektowane, a wszyscy przeciwnicy mieli płacić i dostarczać gotową produkcję aż do krwawego potu! Taki byłeś, Henryku! Ale teraz wrzeszczysz wraz z innymi o niesprawiedliwości, jaką nam wyrządzono. Można się wyrzygać na to wasze ubolewanie nad samym sobą i ten wrzask o pomstę! Zawsze ktoś inny jest winien! Śmierdzicie tą sprawiedliwością, wy, faryzeusze! Wiecie, że zasadniczą cechą mężczyzny jest poczucie odpowiedzialności za to, co zrobił? Ale wy zawsze jesteście pokrzywdzeni i tylko w jednym różnicie się od Boga – Bóg wie wszystko, a wy wszystko wiecie lepiej.

Georg ogląda się, jakby się budził. Jego twarz jest teraz czerwona jak jego pidżama, a nawet łysina się zaróżowiła. Henryk odskoczył przerażony. Georg idzie za nim. Jest wściekły. Henryk cofa się dalej.

– Nie zaraź mnie tylko! – krzyczy. – Wydmuchujesz mi swoje bakterie prosto w twarz! Co się stanie, jak obaj będziemy mieli

grypę?

– Nikt nie mógłby wtedy umierać – mówię.

Pięknie wyglądają walczący bracia. Georg w czerwonej satynowej pidżamie, spocony z wściekłości, a Henryk w wizytowym garniturze, pełen troski, by uniknąć grypy. Scenę tę oprócz mnie obserwuje Liza, która w swoim szlafroku w żaglowce mimo deszczu wychyla się daleko z okna. W mieszkaniu Knopfa drzwi stoją otworem. Deszcz wisi przed nimi jak zasłona ze szklanych perełek. Wewnątrz jest tak ciemno, że dziewczęta zapaliły już światło. Można by myśleć, że pływają tam wkoło jak Córy Renu Wagnera. Pod olbrzymim parasolem, niby ogromny grzyb, spaceruje po podwórku stolarz Wilke. Henryk Kroll znika, dosłownie wypchnięty z biura przez Georga.

– Niech pan wypłucze gardło kwasem solnym! – wołam za nim. – Dla ludzi pańskiej kompleksji grypa jest śmiertelna!

Georg zatrzymuje się i parska śmiechem.

– Co za idiota ze mnie. Zupełnie jakby ten gatunek ludzi mógł się czegoś nauczyć!

– Skąd masz tę pidżamę? – pytam. – Wstąpiłeś do partii komunistycznej?

Z przeciwka rozlegają się oklaski. Liza zasypuje Georga objawami uznania – gruba nielojalność w stosunku do Watzeka, niezłomnego nacjonalisty i przyszłego dyrektora rzeźni. Georg kłania się, przykładając rękę do serca.

– Idź do łóżka – mówię. – Pocisz się jak fontanna.

– To zdrowo! Spójrz na ten deszcz! Niebo się poci. A naprzeciw kawałek życia w rozchylonym szlafroczku, o białych zębach błyskających w uśmiechu! Co my tu robimy? Dlaczego nie pękamy jak fajerwerki? Gdybyśmy wreszcie naprawdę wiedzieli, czym jest życie, tobyśmy pękli! Po co sprzedaję pomniki? Dlaczego nie jestem meteorem? Albo gryfem, który leci nad Hollywood i porywa najcudowniejsze kobiety z ich *swimming pools*? Dlaczego musimy żyć w Werdenbrück i staczać walki w Café Central, zamiast wyekwipować karawanę do Timbuktu i wędrować z tragarzami o mahoniowych twarzach w daleki afrykański ranek? Dlaczego nie mamy burdelu w Jokohamie? Odpowiedz! Ważne

jest, żebyśmy wiedzieli natychmiast! Dlaczego nie pływamy na wyścigi z purpurowymi rybami w czerwonym zmierzchu na Tahiti? Odpowiedz!

Chwyta za butelkę żytniówki.

– Stać! – krzyczę. – Jest jeszcze wino! Natychmiast je przygrzeję na maszynce spirytusowej! Nie ma mowy o wódce! Masz gorączkę! Gorące czerwone wino na korzennych delikatesach Indii i Wysp Sundajskich!

– Dobrze! Grzej! Ale dlaczego sami nie jesteśmy na Wyspach Dobrej Nadziei i nie śpimy z kobietami pachnącymi cynamonem, których oczy stają się białe, gdy je zapładniamy pod Krzyżem Południa, i które wydają z siebie okrzyki jak papugi i tygrysy? Odpowiedz!

Błękitny płomień palnika błyszczy niby błękitne światło przygody w półmroku biura. Deszcz szumi jak morze.

– Jesteśmy w drodze, kapitanie – mówię i pociągam potężny łyk wódki, żeby doścignąć Georga. – Karawana mija właśnie Santa Cruz, Lizbonę i Złote Wybrzeże. Niewolnice Araba Mohammeda ben Hassana ben Watzeka wyglądają z kajut i machają rękami. Oto pańska nargila!

Daję Georgowi cygaro ze skrzynki dla najlepszych agentów. Zapala je i wydmuchuje parę nieskazitelnych kółek. Na jego pidżamie pojawiają się ciemne mokre plamy.

– W drodze – mówi. – Dlaczego nie jesteśmy jeszcze na miejscu?

– Jesteśmy na miejscu. Zawsze jest się na miejscu. Czas jest przesądem. Oto wielka tajemnica życia. Tylko nikt tego nie wie. Zawsze trudzimy się, żeby gdzieś dotrzeć!

– Dlaczego nikt tego nie wie? – pyta Georg.

– Czas, przestrzeń i związek przyczynowy jest welonem Mai, uniemożliwiającym swobodne spojrzenie.

– Dlaczego?

– To bicze, dzięki którym Bóg zapobiega temu, byśmy stali mu się równi. Pędzi nas nimi przez panoramę iluzji i przez tragedię dualizmu.

– Jakiego dualizmu?

– Dualizmu jednostki i świata. Bytu i życia. Podmiot i przedmiot przestają być jednością. Narodziny i śmierć są skutkami. Łańcuch brzęczy. Kto go zerwie, zerwie także narodziny i śmierć. Spróbujmy, rabbi Kroll!

Wino paruje. Pachnie goździkami i cytrynami. Dosypuję cukru i pijemy. Z kabiny statku z niewolnikami Mohammeda ben Hassana ben Jussufa ben Watzeka, po przeciwnej stronie zatoki, rozlegają się oklaski. Kłaniamy się i stawiamy szklanki.

– Jesteśmy więc nieśmiertelni? – pyta Georg krótko i niecierpliwie.

– Tylko hipotetycznie – odpowiadam. – W teorii. Albowiem nieśmiertelność jest przeciwieństwem śmiertelności, a więc połową dualizmu. Dopiero gdy welon Mai pęknie całkowicie, dualizm pójdzie do diabła. Wtedy wrócimy do stanu pierwotnego, nie podmiot i przedmiot, ale oba połączone razem, a wszystkie pytania umrą.

– To nie dosyć!

– A cóż jest poza tym?

– Jest się. Kropka.

– To również jest część pary: jest się, nie jest się. A więc znowu dualizm, kapitanie! Musimy się z tego wyrwać!

– Jak? Ledwie otworzymy gębę, zaraz łapiemy za kołnierz część drugiej pary. Tak dalej nie można! Czy mamy niemo wędrować przez życie?

– To byłoby przeciwieństwem do nie-niemo.

– Diabli! Znowu pułapka! Co robić, sterniku?

Milczę i podnoszę szklankę. Czerwono połyskuje refleks wina. Wskazuję na deszcz i biorę do ręki próbkę granitu. Potem pokazuję na Lizę, na refleks w szklance, najbardziej delikatny w świecie, na granit, najbardziej trwały w świecie, odstawiam szklankę, odkładam granit i zamykam oczy. Coś niby dreszcz przebiega mi po plecach przy tym hokus-pokus. Czyżbyśmy może nieświadomie wpadli na ślad? Czy w winie znaleźliśmy magiczny klucz? Gdzie jest pokój? Czy unosi się we wszechświecie? Gdzie jest świat? Czy mija właśnie Plejady? I gdzie jest czerwony odblask serca? Czy jest on Gwiazdą Polarną, jednocześnie osią i punktem centralnym?

Frenetyczne oklaski z przeciwka. Otwieram oczy. Przez chwilę nie ma żadnej perspektywy. Wszystko jest płaskie, dalekie, bliskie i wypukłe jednocześnie i nie ma nazwy. Potem wiruje do tyłu, staje bez ruchu i jest znowu tym, co zwykle. Czy już tak kiedyś było? Było już tak! Skądś to wiem, tylko nie mogę sobie przypomnieć.

Liza wymachuje z okna flaszką likieru kakaowego. W tym samym momencie brzęczy dzwonek przy drzwiach. Spiesznie kiwamy Lizie i zamykamy okno. Zanim Georg zdążył zniknąć, otwierają się drzwi biura i wchodzi Liebermann, funkcjonariusz cmentarza miejskiego. Jednym rzutem oka ogarnia maszynkę spirytusową, grzane wino, pidżamę Georga i skrzeczy:

– Urodziny?

– Grypa – odpowiada Georg.

– Gratuluję!

– Co tu jest do gratulowania?

– Grypa wprowadza ruch w interesach. Zauważyłem to na cmentarzu. O wiele więcej umarłych.

– Panie Liebermann – mówię do krzepkiego osiemdziesięciolatka. – Nie mówimy o interesach. Pan Kroll ma ciężki, kosmiczny atak grypy, który właśnie heroicznie zwalczamy. Może spróbuje pan szklaneczkę lekarstwa?

– Pijam tylko wódkę. Od wina staję się jeszcze trzeźwiejszy.

– Mamy również wódkę.

Nalewam mu pełną szklankę. Pociąga spory łyk, potem zdejmuje plecak i wyciąga cztery pstrągi, owinięte w duże zielone liście. Pachną rzeką, deszczem i rybą.

– Prezent – mówi Liebermann.

Ryby leżą z wytrzeszczonymi oczami na stole. Ich zielona i szara skóra pełna jest czerwonych plam. Wpatrujemy się w nie. Łagodnie i niespodziewanie śmierć wpełzła znowu do tego pokoju, gdzie przed chwilą unosiła się jeszcze nieśmiertelność – łagodnie i milcząco, z wyrzutem stworzenia przeciwko pożerającemu wszystko mordercy – człowiekowi, który mówi o pokoju i miłości, a podrzyna gardła jagniętom i zadaje rybom śmierć przez uduszenie, ażeby mieć dość siły do dalszego gadania o pokoju i miłości –

nie wyłączając Bodendieka, męża bożego i jednocześnie namiętnego konsumenta mięsa.

– Dobra kolacja – dodaje Liebermann. – Szczególnie dla pana, panie Kroll. Lekkostrawne jedzenie w sam raz dla chorych.

Wynoszę martwe ryby do kuchni i przekazuję pani Kroll, która ogląda je fachowo.

– Ze świeżym masłem, gotowanymi kartoflami i sałatą – wyjaśnia.

Rozglądam się. Kuchnia błyszczy, światło odbija się w garnkach do gotowania, patelnia syczy i wszystko pachnie przyjemnie. Kuchnie zawsze przynoszą pociechę. Wyrzut znika z oczu pstrągów. Z martwych stworzeń robi się nagle pożywienie, które można najróżnorodniej przyrządzić. Jakimiż jesteśmy zdrajcami naszych szlachetnych uczuć!

Liebermann przyniósł kilka adresów. Grypa rzeczywiście działa. Ludzie umierają, ponieważ są nieodporni. Głód podczas wojny i tak już ich osłabił. Postanawiam nagle poszukać sobie innego zawodu. Jestem zmęczony śmiercią. Georg przyniósł płaszcz kąpielowy. Siedzi jak pocący się Budda. Płaszcz kąpielowy jest jadowicie zielony. Georg lubi w domu krzyczące kolory. Naraz wiem już, co mi przypominała nasza rozmowa. Coś, co niedawno powiedziała Izabella. Dokładnie tego nie pamiętam – ale miało to chyba coś wspólnego z oszukiwaniem rzeczy. Jednak czy w naszym przypadku było to rzeczywiście oszustwo? Czy raczej byliśmy przez chwilę o centymetr bliżej Boga?

Sala zebrań w hotelu Walhalla jest małym, wykładanym boazerią pokoikiem. Na półce z książkami stoi popiersie Goethego. Fotografie i sztychy niemieckich klasyków, romantyków i paru nowoczesnych pisarzy wiszą na ścianach. Zbierają się tutaj poeci i elita umysłowa miasta. Co tydzień odbywa się posiedzenie. Nawet redaktor dziennika przebywa niekiedy i jawnie mu nadskakujemy, a potajemnie nienawidzimy go, w zależności od tego, czy przyjął artykuł, czy też go odrzucił. Nic sobie z tego nie robi. Jak dobry wujaszek unosi się w dymie tytoniowym, obrzucany obelgami, atakowany i wielbiony. Tylko pod jednym względem wszy-

scy są zgodni – że absolutnie nie zna się na nowoczesnej literaturze. Za Theodorem Stormem, Eduardem Mörikem i Gottfriedem Kellerem zaczyna się dla niego wielka pustynia.

Poza nim przychodzi tu paru radców sądu powiatowego i emerytowanych urzędników interesujących się literaturą, Artur Bauer i kilku jego kolegów, paru malarzy i muzyków, a od czasu do czasu jakiś gość spoza klubu. Przed Arturem Bauerem płaszczy się właśnie wazeliniarz Mateusz Grund, który ma nadzieję, że Artur wydrukuje jego *Księgę o śmierci w siedmiu częściach*. Wchodzi Edward Knobloch, założyciel klubu. Rzuca szybkie spojrzenie po sali i rozpogadza się. Kilku jego krytyków i wrogów nie przybyło. Ku memu zdumieniu siada koło mnie.

– Jak leci? – pyta przy tym zupełnie po ludzku, a nie swoim tonem z sali jadalnej.

– Wspaniale – odpowiadam, ponieważ wiem, że go to złości.

– Mam nową serię sonetów – oświadcza wcale nie urażony. – Sądzę, że nie masz nic przeciwko temu.

– Co mam mieć przeciwko temu? Mam nadzieję, że się rymują!

Jestem w korzystniejszej sytuacji od Edwarda, ponieważ ogłosiłem już dwa sonety w dzienniku, on natomiast tylko dwa wiersze dydaktyczne.

– To cykl – mówi ku memu zdumieniu z lekkim zakłopotaniem. – Jest taka sprawa: chciałem go zatytułować *Gerda*.

– Nazwij go, jak… – Urywam. – Gerda, mówisz? Dlaczego Gerda? Gerda Schneider?

– Nonsens! Po prostu Gerda.

Podejrzliwie lustruję tłustego olbrzyma.

– Co to ma znaczyć?

Edward śmieje się sztucznie.

– Nic! Licencja poetycka. Sonety są w pewnym sensie związane z cyrkiem. Oczywiście, bardzo luźno. Jak wiesz, to ożywia fantazję, jeśli – także tylko teoretycznie – jest umiejscowiona konkretnie.

– Przestań się wykręcać! – mówię. – Gadaj wyraźnie! Co to ma znaczyć, ty oszuście?

– Oszuście? – odpowiada Edward z udanym oburzeniem. – To raczej o tobie można powiedzieć! Nie zachowywałeś się w ten sposób, jakby ta pani była śpiewaczką, tak jak owa odrażająca przyjaciółka Willy'ego?

– Nigdy! Tyś tylko tak myślał.

– Pięknie – odpowiada Edward. – Ta sprawa nie dawała mi spokoju. Zbadałem ją. I wykryłem, że kłamałeś. Ona nie jest w ogóle śpiewaczką.

– Czy ja ci to mówiłem? Nie powiedziałem ci, że pracowała w cyrku?

– Owszem. Ale przedstawiłeś prawdę w ten sposób, że ci nie wierzyłem. A potem naśladowałeś tamtą drugą panią.

– Jak ty się tego wszystkiego dowiedziałeś?

– Przypadkowo spotkałem na ulicy mademoiselle Schneider i spytałem ją. To mi chyba wolno, co?

– A jeśli cię okłamała?

Na dziecinnej twarzy Edwarda pojawia się nagle ohydny słodki uśmieszek. Nie odpowiada.

– Słuchaj – mówię zatrwożony i dlatego bardzo spokojny. – Tej pani nie można zdobyć sonetami.

Edward nie reaguje. Dalej okazuje wyższość poety, który poza sonetami posiada jeszcze restaurację pierwszej klasy, a przecież widziałem, że to na Gerdę działa.

– Ty łotrze – oświadczam wściekle. – To wszystko nic ci nie pomoże. Ta pani wyjeżdża za parę dni.

– Nie wyjedzie – odpowiada Edward i po raz pierwszy od czasu, jak go znam, odsłania swe uzębienie. – Dziś przedłużyła swoją umowę.

Wytrzeszczam na niego oczy. Gałgan wie więcej niż ja.

– A więc dziś się z nią znowu spotkałeś?

Edward zaczyna się jąkać.

– Przypadkowo dziś… właśnie. Tylko dzisiaj.

Kłamstwo ma wypisane wielkimi literami na swoich tłustych policzkach.

– Ach, tak, i zaraz przyszło ci natchnienie do tej dedykacji? – mówię. – Więc tak mi się odpłacasz za to, że jesteśmy twoimi

wiernymi klientami? Pchnięciem kuchennego noża w narządy płciowe, ty pomywaczu?

– Tacy zasrani klienci mogą mnie…

– Czyś jej już posłał te sonety, ty wykastrowany pawiu? – przerywam. – Przyznaj się, nie musisz zaprzeczać! Zobaczę je i bez ciebie, ty kłusowniku!

– Co? Jak?

– Twoje sonety, matkobójco! Czyż to nie ja cię nauczyłem, jak się je pisze? Piękne podziękowanie! Powinieneś mieć chyba przynajmniej tyle przyzwoitości, by posłać jej tercyny albo ody. Ale nie, moją własną bronią… No, Gerda pokaże mi tę pisaninę, żebym jej przetłumaczył!

– To byłoby… – jąka Edward, po raz pierwszy wytrącony z równowagi.

– Nic nie byłoby – odpowiadam. – Kobiety robią takie rzeczy. Wiem o tym. Ponieważ jednak cenię cię jako restauratora, zdradzę ci jeszcze coś: Gerda ma brata o herkulesowej budowie, który czuwa nad honorem rodziny. Już dwóch z jej wielbicieli zrobił kalekami na całe życie. Ze szczególną satysfakcją łamie platfusy. A ty je przecież masz.

– Bzdury! – mówi Edward, widzę jednak, że myśli intensywnie. Nawet z najbardziej nieprawdopodobnego twierdzenia, gdy się je z przekonaniem wygłasza, zawsze coś przylgnie – tego się nauczyłem od politycznego ideału Watzeka.

Pisarz Hans Hungermann podchodzi do naszej kanapki. To autor nie wydrukowanej powieści *Śmierć Wotana* i dramatów *Saul*, *Baldur* i *Mahomet*.

– Jak tam sztuka, chłopaki? – pyta. – Czytaliście to gówno, którym nas uraczył Otto Bambuss wczoraj w „Dzienniku Tecklenburskim”? Rzygać się chce! Że też Bauer drukuje tego sracza!

Otto Bambuss jest najbardziej znanym poetą miasta. Wszyscy mu zazdrościmy. Pisze nastrojowe wiersze o nastrojowych zaułkach, okolicznych wsiach, rogach ulic o zmierzchu i swojej tęskniącej duszy. Wydał dwa cienkie zbiorki wierszy u Artura Bauera – jeden nawet w dwóch nakładach. Hungermann, krzepki poeta

run, nienawidzi go, usiłuje jednak wykorzystać jego kontakty. Mateusz Grand pogardza nim. Ja natomiast jestem zaufanym Ottona. Otto chciałby iść do burdelu, ale nie ma odwagi. Od tej wizyty oczekuje dopływu świeżej krwi do swojej nieco anemicznej liryki. Zobaczywszy mnie, natychmiast się zbliża.

– Słyszałem, że znasz pewną panią z cyrku! – mówi. – Cyrk! Tego mi właśnie trzeba! Powódź barw! Rzeczywiście ją znasz?

– Nie, Otto. Edward przesadził. Znam tylko panią, która przed trzema laty sprzedawała bilety w cyrku.

– Bilety – w każdym razie miała z nim do czynienia! Musi w niej być jeszcze coś z cyrku. Woń dzikich zwierząt, arena! Nie mógłbyś mnie z nią zapoznać?

Gerda naprawdę ma szansę w literaturze! Patrzę na Bambussa. Jest długi jak tyczka, blady, nie ma podbródka, nie ma twarzy i nosi binokle.

– Ona była w cyrku pcheł – mówię.

– Szkoda! – Odsuwa się zawiedziony. – Muszę coś zrobić – mruczy. – Wiem, że tego właśnie mi brak – krwi.

– Otto – powiadam – a może wystarczyłaby ci jakaś inna kobieta, nie z cyrku? Jakiś ładny kawałek ciała?

Potrząsa swoją wąską głową.

– To nie takie proste, Ludwiku. O miłości wiem wszystko. To znaczy o miłości duchowej. Nic więcej nie potrzebuję, to już mam. Potrzeba mi brutalnej, dzikiej namiętności. Purpurowego, wściekłego zatracenia się. Delirium!

Niemalże zgrzyta małymi ząbkami. Jest nauczycielem w niewielkiej wioszczynie w pobliżu miasta i tam oczywiście nie znajduje tych rzeczy. Każdy chce się tam żenić albo uważa, że Otto powinien się ożenić z dzielną dziewczyną, która dobrze gotuje i ma ładny posag. Ale Otto nie chce. Uważa, że poeta musi się wyżyć.

– Najgorsze, że nie mogę połączyć obu – oświadcza ponuro. – Niebiańskiej i ziemskiej miłości. Miłość staje się dla mnie natychmiast czymś łagodnym, pełnym oddania, poświęcenia i dobroci. Popęd płciowy robi się przy tym również łagodny i swojski. W każdą sobotę, rozumiesz, żeby w niedzielę można się było

wyspać. Potrzebuję jednak czegoś, co jest wyłącznie popędem płciowym, bez wszelkich dodatków, w czym można się zatracić. Szkoda, słyszałem, że znasz jakąś akrobatkę.

Obserwuję Bambussa z nowym zainteresowaniem. Niebiańska i ziemska miłość – więc on również! Wydaje się, że ta choroba jest bardziej rozpowszechniona, niż przypuszczałem. Otto wypija szklankę lemoniady i spogląda na mnie swymi bladymi oczami. Prawdopodobnie oczekiwał, że natychmiast zrezygnuję z Gerdy, żeby jego sztuce mogły wyrosnąć narządy płciowe.

– Kiedy właściwie pójdziemy do domu publicznego? – pyta tęsknie. – Przecież mi obiecałeś.

– Wkrótce. Ale to nie jest purpurowa kałuża grzechu, Otto.

– Zostały mi tylko dwa tygodnie wakacji. Potem muszę znowu wrócić na wieś i wszystko się skończy.

– Zrobimy to przedtem. Hungermann też chciał pójść. Potrzebuje tego do swojego nowego dramatu *Casanova*. Może tak urządzimy wspólną wycieczkę?

– Na miłość boską! Mnie nikt tam nie może widzieć! Przy moim zawodzie!

– Właśnie dlatego! Wyprawa jest najzupełniej niewinna. Ten burdel ma coś w rodzaju knajpy na dole. Każdy może tam wejść.

– Oczywiście, że pójdziemy – mówi za mną Hungermann. – Wszyscy razem. Zrobimy ekspedycję badawczą. Czysto naukową. Edward też chce iść.

Oglądam się za Edwardem, aby pewnego siebie kucharza sonetów oblać sarkastycznym sosem – ale to już niepotrzebne. Edward wygląda tak, jakby zobaczył przed sobą węża. Jakiś szczupły mężczyzna poklepał go właśnie po ramieniu.

– Edward, stary towarzyszu! – mówi teraz przyjacielsko. – Jak ci się powodzi? Cieszysz się, że jeszcze żyjesz, co?

Edward osłupiałym wzrokiem patrzy na szczupłego mężczyznę.

– W obecnych czasach? – wykrztusza.

Zbladł. Jego tłuste policzki, ramiona, wargi, kędzierzawe włosy, a nawet brzuch, wszystko nagle obwisło. W mgnieniu oka zamienił się w grubą płaczącą wierzbę.

Człowiek, który to wszystko spowodował, nazywa się Walenty Busch. Obok Georga i mnie jest trzecią plagą w życiu Edwarda – dżumą, cholerą i paratyfusem równocześnie.

– Wyglądasz kwitnąco, mój chłopcze – oświadcza Walenty Busch serdecznie.

Edward śmieje się głucho.

– Wygląd o niczym nie świadczy. Człowieka zżerają podatki, procenty i złodzieje…

Kłamie. Podatki i procenty w czasie inflacji nic nie znaczą. Płaci się je po roku, to znaczy nie płaci wcale. Są już wtedy od dawna zdewaluowane. A jedynym złodziejem, z jakim Edward ma do czynienia, jest on sam.

– Ale na tobie jest przynajmniej co żreć – odpowiada Walenty, śmiejąc się bezlitośnie. – Tak też myślały robaki we Flandrii, kiedy już się do ciebie zabierały.

Edward wije się.

– Co ci podać, Walenty? – pyta. – Piwo? Piwo jest najlepsze na takie gorąco.

– Mnie nie jest za gorąco. Ale rzeczywiście przydałoby się coś najlepszego, ażeby uczcić fakt, że żyjesz. Masz rację! Daj mi butelkę Johannisberger Langenberg, Edwardzie.

– Jest już wyprzedane.

– Nieprawda. Zasięgnąłem języka u twojego piwniczego. Masz jeszcze ponad sto butelek tego wina. Co za szczęście, że to moja ulubiona marka!

Śmieję się.

– Z czego się śmiejesz? – wrzeszczy Edward wściekły. – Akurat ty masz do tego powód! Pijawki! Krwiopijcy! Wysysacie ze mnie ostatnią kroplę krwi! Ty, ten twój żałobny bon vivant i ty, Walenty! Ostatnią kroplę krwi! Banda pasożytów!

Walenty mruga do mnie i zachowuje powagę.

– A więc taka jest twoja wdzięczność, Edwardzie! I tak dotrzymujesz słowa! Gdybym wtedy wiedział…

Zawija rękaw i ogląda długą, poszarpaną bliznę. Na wojnie w roku 1917 uratował życie Edwardowi. Edward, kucharz kompanijny, został wtedy nagle zwolniony ze swych funkcji i wysłany na

front. Już pierwszego dnia na patrolu w kraju niczyim dosięgnął tego słonia postrzał w łydkę, a zaraz potem drugi. Edward stracił bardzo dużo krwi. Walenty go znalazł, nałożył mu opatrunek i przywlókł do okopów. Przy tym sam dostał odłamkiem w rękę. Ale uratował życie Edwardowi, który z pewnością by się wykrwawił. Edward w porywie wdzięczności zaproponował Walentemu, że może przez całe życie jeść i pić w Walhalli wszystko, na co tylko ma ochotę. Walenty przybił umowę swoją lewą, zdrową ręką. Georg Kroll i ja byliśmy świadkami.

W roku 1917 wyglądało to jeszcze niewinnie. Werdenbrück był daleko, wojna blisko, i kto mógł wiedzieć, czy Walenty i Edward kiedykolwiek wrócą do Walhalli? Wrócili; Walenty jeszcze dwukrotnie ranny, Edward tłusty i okrągły, jako przywrócony do funkcji parzygnat. Z początku Edward był rzeczywiście wdzięczny i gdy Walenty przychodził w odwiedziny, częstował go nawet niemieckim szampanem, który się już nie pienił. Ale z upływem lat Edward pogrążał się w coraz większej desperacji. Walenty osiedlił się mianowicie w Werdenbrück. Przedtem mieszkał w innym mieście; teraz wprowadził się do małego domku koło Walhalli i zjawiał się punktualnie na śniadanie, obiad i kolację u Edwarda, który wkrótce zaczął gorzko żałować swej lekkomyślnej obietnicy. Walenty lubił sobie dobrze podjeść, zwłaszcza że nie miał żadnych trosk. Jedzenie Edward jakoś może by przebolał, ale Walenty również pił i stopniowo stawał się coraz lepszym znawcą i amatorem win. Przedtem pijał piwo, teraz uznawał już tylko pewne gatunki win i naturalnie doprowadzał Edwarda do rozpaczy w o wiele większym stopniu niż my naszymi nędznymi talonami na obiady.

– No dobrze – mówi Edward zrezygnowany, gdy Walenty podstawia mu pod nos swoją bliznę. – Ale jedzenie i picie oznacza picie przy jedzeniu, a nie między posiłkami. Picia między posiłkami nie obiecywałem.

– Spójrz na tego nędznego kramarza – odpowiada Walenty i trąca mnie łokciem. – W siedemnastym roku tak nie myślał. Wtedy wołał: „Walenty, kochany Walenty, ratuj mnie, oddam ci wszystko, co mam!”

– To kłamstwo! Tego nigdy nie powiedziałem! – krzyczy Edward falsetem.

– Skąd wiesz? Byłeś na poły pomylony ze strachu i na poły wykrwawiony, jak cię ciągnąłem do okopów.

– Nie mogłem tego powiedzieć! Tego nie! Nawet gdybym miał natychmiast umrzeć! To nie leży w moim charakterze.

– Zgadza się – potwierdzam. – Ten sknera wolałby zdechnąć.

– Oczywiście – oświadcza Edward, oddychając z ulgą, że uzyskał pomoc. Ociera sobie czoło. Włosy ma całkiem mokre, tak go przeraziła ostatnia groźba Walentego. Widział już oczyma duszy proces o Walhallę. – No, niech będzie tym razem – mówi szybko, by go dalej nie naciskano. – Kelner, pół butelki mozelskiego.

– Johannisberger, całą butelkę – koryguje Walenty i zwraca się do mnie. – Mogę cię zaprosić na kieliszek?

– Pytanie! – odpowiadam.

– Stop! – krzyczy Edward. – Tego nie było w umowie! Umowa dotyczy tylko Walentego! Ludwik i bez tego kosztuje mnie codziennie ciężkie pieniądze, krwiopijca ze zdewaluowanymi kuponami!

– Siedź cicho, ty trucicielu – mówię. – To jest właśnie węzeł karmy. Ty strzelasz we mnie sonetami, ja obmywam swoje rany twoim reńskim winem. Chcesz, żebym posłał pewnej pani dwunastowiersz w stylu Aretina, ty dręczycielu człowieka, który ci uratował życie?

Edwarda zatyka.

– Muszę wyjść na powietrze – mruczy. – Szantażyści! Sutenerzy! Jak wam nie wstyd!

– Wstydzimy się poważniejszych spraw, ty cnotliwy milionerze. – Trącamy się z Walentym. Wino jest świetne.

– Więc jak z tą wizytą w domu grzechu? – pyta Otto Bambuss, zbliżając się nieśmiało.

– Z pewnością pójdziemy, Otto. Jesteśmy to winni sztuce.

– Dlaczego właściwie najchętniej pije się podczas deszczu? – pyta Walenty i nalewa mi znowu. – Powinno być odwrotnie.

– Chcesz zawsze mieć na wszystko wytłumaczenie?

– Oczywiście, że nie. Nie byłoby żadnej rozrywki. Tak mi tylko przyszło do głowy.

– Może to po prostu instynkt stadny. Płyn do płynów.

– Może być. Ale w tych dniach, kiedy pada, ja również więcej siusiam. To bardzo dziwne.

– Więcej siusiasz, bo więcej pijesz. Co w tym dziwnego?

– Słusznie. – Walenty z ulgą kiwa głową. – Nigdy o tym nie myślałem. Czy dlatego również prowadzi się więcej wojen, że więcej ludzi się rodzi?

XII

Bodendiek wlecze się przez mgłę jak wielka czarna wrona.

– No co – mówi jowialnie. – Nadal pan ulepsza świat?

– Obserwuję go – odpowiadam.

– Aha! Filozof! No i co pan myśli?

Patrzę na jego rześką twarz, połyskującą czerwienią i wilgocią pod miękkim kapeluszem.

– Myślę, że chrześcijaństwo przez dwa tysiące lat nie zmieniło świata w sposób istotny – oświadczam.

Na chwilę Bodendiek traci swój dobroduszny i pełen wyższości wyraz twarzy. Potem jest znowu taki jak poprzednio.

– Nie sądzi pan, że jest pan trochę za młody na takie oceny?

– Tak. Ale nie uważa ksiądz, że wyrzucanie mi mojej młodości jest dość beznadziejnym argumentem? Nie ma ksiądz innego?

– Mam mnóstwo innych. Ale nie wobec takich bredni. Nie wie pan, że uogólnienie to cecha powierzchowności?

– Tak – odpowiadam zmęczonym tonem. – Powiedziałem to dlatego, że pada deszcz. A jednak coś w tym jest. Od kilku tygodni studiuję historię, gdy nie mogę spać.

– Dlaczego? Również dlatego, że od czasu do czasu pada deszcz?

Ignoruję tę niewinną uszczypliwość.

– Bo chciałem się bronić przed przedwczesnym cynizmem i zwątpieniem. Nie każdy z prostą wiarą w Trójcę Świętą może zamykać oczy na fakt, że znajdujemy się w stadium intensywnych przygotowań do nowej wojny – gdy poprzednią dopiero co przegraliśmy. Wojnę, którą ksiądz i księdza koledzy różnych wyznań pro-

testanckich pobłogosławili w imię Boga i miłości bliźniego – muszę przyznać, że ksiądz zrobił to nieco bardziej dyskretnie i z pewnym zakłopotaniem – natomiast inni bardziej ostentacyjnie, w mundurach, pobrzękując krzyżami i grzmiąc o zwycięstwie.

Bodendiek strąca deszcz ze swego czarnego kapelusza.

– Udzielaliśmy ostatniej pociechy duchownej umierającym w polu. Zdaje się, że pan całkowicie o tym zapomina.

– Nie powinniście byli do tego dopuścić! Dlaczego nie zastrajkowaliście? Dlaczego nie zabroniliście walczyć swoim wiernym? To było wasze zadanie. Ale czasy męczenników minęły. Natomiast dość często, gdy musiałem iść na nabożeństwo polowe, słyszałem modlitwy o zwycięstwo naszego oręża. Myśli ksiądz, że Chrystus modliłby się o zwycięstwo Galilejczyków nad Filistynami?

– Wydaje się, że deszcz niezwykle pana podnieca i nastawia demagogicznie – odpowiada Bodendiek ze spokojem. – Prawdopodobnie wie pan dość dobrze, że za pomocą insynuacji, przekręceń i jednostronnego ujmowania spraw można wszystko na świecie zaatakować i uczynić przedmiotem ataków.

– To wiem. Dlatego studiuję historię. W szkole i na lekcjach religii opowiadano nam zawsze o ciemnych, prymitywnych, okrutnych czasach przedchrześcijańskich. Czytam to teraz na nowo i widzę, że nie jesteśmy o wiele lepsi – pomijając osiągnięcia techniki i wiedzy. Tych jednak używamy po większej części do bardziej masowego uśmiercania ludzi.

– Gdy się chce coś udowodnić, można udowodnić wszystko, kochany przyjacielu. Również dwie sprzeczne rzeczy. Dla każdego z góry przyjętego poglądu znajdą się zawsze dowody.

– O tym wiem również – mówię. – Kościół pokazał nam to w najbardziej błyskotliwy sposób, gdy się rozprawiał z gnostykami.

– Z gnostykami! A co pan o nich wie? – pyta Bodendiek z obraźliwym zdumieniem.

– Wystarczająco wiele, by przypuszczać, że byli bardziej tolerancyjnym odłamem chrześcijaństwa. A życie nauczyło mnie dotychczas cenić przede wszystkim tolerancję.

– Tolerancję – mówi Bodendiek.

– Tolerancję! – powtarzam. – Wzgląd na innego człowieka. Zrozumienie dla niego. By każdy mógł żyć na swój sposób. Tolerancję, która w naszej kochanej ojczyźnie jest obcym słowem.

– Jednym słowem, anarchię – odpowiada Bodendiek cicho i nagle bardzo ostro.

Stoimy przed kaplicą. Zapalono już światła, a kolorowe okna połyskują pocieszająco w siekącym deszczu. Z otwartych drzwi płynie słaby zapach kadzidła.

– Tolerancję, księże wikary – odzywam się. – Nie anarchię. Ksiądz zna różnicę. Ale nie może jej ksiądz uznać, ponieważ Kościół jej nie uznaje. Wy jedni macie receptę na zbawienie. Nikt nie posiada nieba, tylko wy! Nikt poza wami nie może dać rozgrzeszenia! Wy macie na nie monopol. Nie ma religii poza waszą! Jesteście dyktaturą! Jak możecie być tolerancyjni?

– Nie musimy być tolerancyjni. My mamy prawdę.

– Oczywiście – mówię, wskazując na oświetlone okna. – To, co tam jest! Pociecha na grozę życia. Nie myśl; wiem wszystko za ciebie! Obietnica nieba i groźba piekła – gra na najprymitywniejszych uczuciach. Co to ma wspólnego z prawdą, ta fatamorgana naszego mózgu?

– Piękne słowa – oświadcza Bodendiek, od dawna znowu dobroduszny, pewny siebie i nieco kpiący.

– Tak, to wszystko, co mamy – piękne słowa – odpowiadam gniewnie i jestem zły na siebie. – I ksiądz też nie ma nic innego oprócz pięknych słów.

Bodendiek wchodzi do kaplicy.

– Mamy święte sakramenty…

– Tak…

– I wiarę, co tylko półgłówkom, których własny kawałek mózgu przyprawia o zaburzenia trawienne, wydaje się głupotą i ucieczką od świata, mój ty niewinny robaku w glebie trywialności.

– Brawo! – wołam. – Nareszcie staje się ksiądz poetyczny. Co prawda mocno w stylu późnego baroku.

Bodendiek śmieje się.

– Mój kochany – oświadcza – w ciągu prawie dwóch tysięcy lat istnienia Kościoła niejeden Szaweł stał się Pawłem. Przez ten czas widzieliśmy i przetrzymaliśmy większych karzełków niż pan. Niech pan dzielnie raczkuje dalej. U kresu każdej drogi stoi Bóg i czeka na pana.

Wraz ze swym parasolem znika w zakrystii – dobrze odżywiony mężczyzna w czarnym surducie. Za pół godziny wystąpi ubrany bardziej fantastycznie niż generał huzarów i stanie się przedstawicielem Boga. To wszystko mundury, mówił Walenty Busch po drugiej butelce Johannisbergera, gdy Edward pogrążył się w melancholii i morderczych myślach. Tylko mundury. Zabierz im kostiumy, a nie będzie człowieka, który by chciał zostać żołnierzem.

Po nabożeństwie spaceruję z Izabellą po alei. Pada tu bardziej nieregularnie – jakby w konarach drzew siedziały cienie spryskujące się wodą. Izabella ma na sobie zapięty pod szyję płaszcz nieprzemakalny i mały kapturek zakrywający włosy. Widać spod niego tylko jej twarz, połyskującą wśród deszczu jak wąski księżyc. Pogoda jest chłodna i dżdżysta i poza nami nikt nie wyszedł do ogrodu. Już dawno zapomniałem o Bodendieku i ponurej wściekłości, co tryska niekiedy ze mnie bez powodu jak brudna fontanna. Izabella idzie tuż obok mnie, słyszę jej kroki przez deszcz, czuję jej ruchy i ciepło i wydaje się, że jest to jedyne ciepło, jakie poznałem na świecie.

Nagle Izabella staje. Twarz ma bladą i zdecydowaną, a jej oczy wydają się całkiem czarne.

– Nie dość mnie kochasz – powiada gwałtownie.

Spoglądam na nią zaskoczony.

– Kocham cię, jak mogę – mówię.

Przez chwilę stoi w milczeniu.

– Nie dosyć – szepcze potem. – Nie dosyć! Nigdy nie dosyć!

– Tak – odpowiadam. – Prawdopodobnie miłości nigdy nie ma dosyć. Nigdy w życiu, nigdy dla nikogo. Pewnie zawsze jest jej za mało i to stanowi o nędzy świata.

– Nie dosyć – powtarza Izabella, jakby mnie nie słyszała. – Inaczej nie byłoby nas dwoje.

– Uważasz, że bylibyśmy jednością?

Kiwa głową.

Rozmyślam nad rozmową z Georgiem, wtedy gdy piliśmy grzane wino.

– Będziemy musieli zawsze pozostać dwojgiem ludzi, Izabello – mówię ostrożnie. – Ale możemy się kochać i wierzyć, że stanowimy jedność.

– Myślisz, że już kiedyś byliśmy jednością?

– Tego nie wiem. Nikt tego nie wie. Nie pozostawiłoby to żadnych wspomnień.

Wpatruje się we mnie w ciemności.

– Właśnie o to chodzi, Rudolfie – szepcze. – Nie ma się wspomnień. Żadnych. Dlaczego? Szuka się i szuka. Dlaczego wszystko zniknęło? Przecież było tak dużo! Tylko to się jeszcze wie! Ale nic innego. Dlaczego nic więcej się nie wie? Ty i ja, czy tego nie było już poprzednio? Powiedz! Powiedz wreszcie! Gdzie to się teraz podziało, Rudolfie?

Wiatr z pluskiem przerzuca nad nami strugę wody. Wiele rzeczy robi takie wrażenie, jakby już kiedyś były, myślę. Często coś zbliża się znowu tuż-tuż i staje przed człowiekiem, i wie się, że to już kiedyś było, zupełnie tak samo; prawie wie się nawet przez chwilę, co musi być dalej, lecz gdy człowiek chce to uchwycić, wszystko znika jak dym lub martwe wspomnienie.

– Nigdy nie mogliśmy sobie tego przypomnieć, Izabello – mówię. – To zupełnie tak, jak z deszczem. To również jest coś, co stało się jednością z dwóch gazów – tlenu i wodoru, które teraz nie pamiętają, że były niegdyś gazami. Teraz są tylko deszczem, bez żadnych wspomnień o przeszłości.

– Albo jak łzy – mówi Izabella. – Ale łzy są pełne wspomnień.

Przez chwilę idziemy dalej w milczeniu. Myślę o niezwykłych chwilach, kiedy na kogoś nagle zdaje się spoglądać niejasne wspomnienie sprzed wielu istnień. Żwir skrzypi pod naszymi butami. Za murem ogrodu przeciągle trąbi samochód, jakby czekał na kogoś, kto chce stąd uciec.

– Więc ona jest jak śmierć – mówi wreszcie Izabella.

– Co?

– Miłość. Doskonała miłość.

– Któż to wie, Izabello? Sądzę, że nikt i nigdy nie może wiedzieć. Zawsze poznajemy coś, póki jeszcze mamy własne „ja". Gdyby nasze jaźnie stopiły się ze sobą, byłoby tak, jak z deszczem. Bylibyśmy nową jaźnią i nie pamiętalibyśmy naszych poszczególnych dawniejszych jaźni. Bylibyśmy czymś innym – tak różnym jak deszcz i powietrze – a nie dawnym „ja" spotęgowanym przez „ty".

– A gdyby miłość była doskonała, tak żebyśmy się ze sobą stopili, czy wtedy byłaby ona jak śmierć?

– Być może – odpowiadam z wahaniem. – Ale nie taka jak unicestwienie. Nikt nie wie, czym jest śmierć, Izabello. Dlatego nie można jej z niczym porównać. Ale z pewnością nie czulibyśmy się wtedy sobą. Stalibyśmy się znowu inną, samotną jaźnią.

– W takim razie miłość musi być zawsze niedoskonała?

– Miłość jest wystarczająco doskonała – mówię i złorzeczę sobie w duchu za swój belferski pedantyzm, przez który znowu tak się zaplątałem.

Izabella potrząsa głową.

– Nie wykręcaj się, Rudolfie! Ona musi być niedoskonała, teraz to widzę. Gdyby była doskonała, wtedy uderzyłby piorun i nic by nie zostało.

– Coś by zostało – ale poza naszą świadomością.

– Tak jak śmierć?

Spoglądam na nią.

– Któż to wie? – mówię ostrożnie, by jej nie denerwować. – Może śmierć ma niewłaściwą nazwę. Widzimy ją tylko z jednej strony. Może śmierć jest doskonałą miłością między Bogiem a nami.

Wiatr rzuca falę deszczu przez liście drzew, które rozsiewają ją dalej widmowymi dłońmi. Izabella milczy.

– Czy dlatego miłość jest taka smutna? – pyta po chwili.

– Nie jest smutna. Tylko przynosi z sobą smutek, ponieważ jest nieziszczalna i nie można jej zatrzymać.

Izabella staje.

– Dlaczego, Rudolfie? – pyta nagle bardzo gwałtownie i tupie nogami. – Dlaczego tak musi być?

Patrzę w jej bladą, napiętą twarz.

– To jest szczęście – mówię.

Wpatruje się we mnie osłupiałym wzrokiem.

– To jest szczęście?

Potakuję.

– To niemożliwe! To jest właśnie nieszczęście!

Rzuca się na mnie, a ja ją przytrzymuję. Czuję, jak szloch wstrząsa jej ramionami.

– Nie płacz – mówię. – Po cóż płakać nad czymś takim.

– A więc nad czym?

Tak, a więc nad czym, myślę. Nad wszystkim innym, nad nędzą na tej przeklętej planecie, ale nie nad tym.

– To nie jest nieszczęście, Izabello – tłumaczę. – To szczęście. Ale mamy na to tylko tak bzdurne określenia jak „doskonałe" i „niedoskonałe".

– Nie, nie! – Gwałtownie potrząsa głową i nie daje się pocieszyć. Płacze i przytula się do mnie, trzymam ją w ramionach i czuję, że to nie ja mam rację, ale ona, co nie zna żadnych kompromisów, że w niej płonie owo pierwsze, jedyne „dlaczego?", które istniało jeszcze przed przysypaniem gruzem bytu, pierwsze pytanie budzącej się jaźni.

– To nie jest nieszczęście – mówię mimo to. – Nieszczęście jest czymś zupełnie innym, Izabello.

– Czym?

– Nieszczęście nie polega na tym, że nie można się stać całkowitą jednością. Nieszczęściem jest to, że wciąż istnieją rozstania, każdego dnia, każdej godziny. Wiemy o tym, a nie możemy temu zaradzić. Zawsze ktoś wpierw umiera. Zawsze ktoś pozostaje.

Podnosi głowę i mówi:

– Jak można się rozstawać z czymś, czego się nie ma?

– Można – odpowiadam gorzko. – Jeszcze jak! Jest wiele stopni rozstania i samotności i każdy z nich jest bolesny, a niektóre są jak śmierć.

Izabella przestała płakać.

– Skąd o tym wiesz? – pyta. – Przecież nie jesteś jeszcze stary.

Jestem już stary, myślę. Część mojej istoty zestarzała się, gdy wróciłem z wojny.

– Wiem – mówię. – Poznałem to.

Poznałem to, myślę. Jakże często musiałem rozstawać się z dniem, godziną i bytem, drzewem w brzasku poranka, z moimi rękami i myślami, i to za każdym razem na zawsze, a gdy wracałem, byłem już kimś innym. Można wiele opuszczać i trzeba wszystko zostawić za sobą, kiedy człowiek musi wychodzić naprzeciw śmierci; jest przed nią zawsze nagi, a gdy znajdzie drogę powrotną, musi zdobywać na nowo wszystko, co zostawił.

Twarz Izabelli majaczy przede mną w deszczowej nocy i nagle zalewa mnie uczucie. Znów czuję, w jakiej ona żyje samotności, nieustraszona, sama ze swymi twarzami, zagrożona przez nie i wydana im, bez dachu, pod który mogłaby się schronić, bez odprężenia i wytchnienia, rzucona na pastwę huraganów serca, bez czyjejkolwiek pomocy, bez skargi i współczucia dla samej siebie. Ty słodka, nieustraszona ptaszyno, myślę. Niewzruszenie i prosto jak strzała dążysz do prawdy, nawet gdy jej nie możesz osiągnąć, i błąkasz się – ale któż się nie błąkał? I czy wszyscy od dawna już nie zrezygnowali? Gdzie zaczyna się obłąkanie, głupota, tchórzostwo, a gdzie jest mądrość i ostateczna odwaga?

Rozbrzmiewa dzwonek. Izabella wzdryga się.

– Już czas – mówię. – Musisz iść. Czekają na ciebie.

– Pójdziesz ze mną?

– Tak.

Idziemy w stronę budynku. Gdy wychodzimy z alei, przyjmuje nas ulewa, którą wiatr miota jak mokrym welonem. Izabella przytula się do mnie. Spoglądam w dół ku miastu. Nic nie widać. Mgła i deszcz odizolowały nas od niego. Nigdzie nie widać już światła, jesteśmy zupełnie sami. Izabella idzie obok mnie, jakby na zawsze do mnie należała i jakby płynęła w powietrzu, i wydaje mi się znowu, że rzeczywiście tak jest i że ona jest jak postacie w legendach i snach, które podlegają innym prawom niż wszystko w naszym codziennym bycie.

Stoimy przed drzwiami.

– Chodź! – mówi.

Potrząsam głową.

– Nie mogę. Dziś nie.

Milczy i patrzy na mnie, prosto i jasno, bez wyrzutu i bez rozczarowania; ale wydaje się, że naraz coś w niej zgasło. Spuszczam oczy. Mam uczucie, jakbym uderzył dziecko albo zabił jaskółkę.

– Dziś nie – mówię. – Później. Jutro.

Odwraca się bez słowa i wchodzi do hallu. Widzę, jak siostra prowadzi ją po schodach, i nagle odnoszę wrażenie, że straciłem bezpowrotnie coś, co można znaleźć tylko raz w życiu.

Stoję zmieszany. Cóż mogłem zrobić? I jak się w to wszystko zaplątałem? Nie chciałem przecież! Ten przeklęty deszcz!

Z wolna idę ku głównemu gmachowi. Wychodzi stamtąd Wernicke w białym kitlu, pod parasolem.

– Odprowadził pan pannę Terhoven?

– Tak.

– Dobrze. Niech pan się nadal trochę nią zajmuje. Niech pan jej złoży kiedy całodzienną wizytę, gdy będzie pan miał czas.

– Dlaczego?

– Na to nie otrzyma pan odpowiedzi – oświadcza Wernicke. – Ale ona jest spokojniejsza po spotkaniu z panem. To jej dobrze robi. Wystarczy?

– Ona uważa mnie za kogoś innego.

– Nie szkodzi. Mnie nie chodzi o pana, tylko o moich chorych. – Wernicke mruga poprzez strugi deszczu. – Bodendiek chwalił pana dziś wieczorem.

– Co? Naprawdę nie miał powodów!

– On twierdzi, że znajduje się pan w powrotnej drodze. Do konfesjonału i komunii.

– Coś podobnego! – wołam szczerze oburzony.

– Niech pan nie lekceważy mądrości Kościoła! Kościół to jedyna dyktatura, jaka od dwóch tysięcy lat nie została obalona.

Schodzę do miasta. Mgła powiewa swoimi szarymi chorągwiami wśród deszczu. Izabella wciąż krąży mi po głowie. Opuściłem ją;

tak to rozumie, wiem o tym. W ogóle nie powinienem już tam chodzić. To mnie tylko peszy, a i bez tego dość jest we mnie zamętu. Ale co by się stało, gdyby jej już nie było? Czy nie czułbym się tak, jakby zabrakło mi czegoś najważniejszego, tego, co nigdy się nie starzeje, nie zużywa i nie powszednieje, póki się to posiada?

Wchodzę do domu szewca Karola Brilla. Z warsztatu dolatują dźwięki gramofonu. Zostałem tu zaproszony dziś wieczór na kawalerskie przyjęcie. Ma to być jeden z owych słynnych wieczorów, podczas których pani Beckmann popisuje się swoją akrobatyczną sztuką. Przez chwilę się waham – nie jestem naprawdę w odpowiednim nastroju – ale potem wchodzę. Właśnie dlatego.

Uderza we mnie fala tytoniowego dymu i odoru piwa. Karol Brill wstaje i obejmuje mnie, chwiejąc się lekko. Jego głowa jest równie łysa jak głowa Georga, ale za to Karol ma włosy pod nosem, w postaci potężnych sumiastych wąsów.

– Przyszedł pan akurat w odpowiednim momencie – wyjaśnia. – Zakłady stoją. Potrzebujemy tylko lepszej muzyki niż ten głupi gramofon! Może by tak walca *Fale Dunaju*?

– Już się robi!

Fortepian zniesiono już do warsztatu. Stoi przy maszynach. W przedniej części izby odsunięto na bok buty i skórę i wszędzie, gdzie się dało, ustawiono krzesła i fotele. Wtoczono beczkę piwa, stoi już parę pustych butelek po wódce. Druga bateria czeka na ladzie. Leży tam również wielki, owinięty watą gwóźdź obok dużego szewskiego młotka.

Rąbię walca. W dymie krążą koledzy cechowi Karola Brilla. Są już porządnie pod gazem i Karol stawia na fortepianie szklankę piwa i duży kieliszek wódki.

– Klara już się przygotowuje – mówi. – Zakłady wynoszą ponad trzy miliony. Jedyna nadzieja, że Klara jest w szczytowej formie; inaczej czułbym się już na poły bankrutem.

Mruga do mnie.

– Niech pan zagra coś z nerwem, jak przyjdzie co do czego. To ją zawsze bardzo dopinguje. Ona wariuje za muzyką.

– Zagram *Wejście gladiatorów*. Ale może i ja bym tak zrobił mały zakładzik na boku?

Karol patrzy zdumiony.

– Ależ panie Bodmer – mówi dotknięty. – Przecież nie będzie pan stawiał przeciwko Klarze? Jak mógłby pan w takim wypadku grać przekonująco?

– Nie przeciwko niej. Za nią.

– Ile? – pyta Karol szybko.

– Marne osiemdziesiąt tysięcy – odpowiadam. – To cały mój majątek.

Karol zastanawia się przez chwilę. Potem odwraca się.

– Czy nie ma kogoś, kto chciałby się założyć o osiemdziesiąt tysięcy? Z naszym pianistą?

– Ja! – Wstaje gruby mężczyzna, wyciąga banknoty z małej walizeczki i ciska je z impetem na ladę.

Kładę obok moje pieniądze.

– Wspomagaj mnie, boże złodziei – mówię. – Inaczej jutro będę musiał zadowolić się samym tylko obiadem.

– Zaczynamy! – mówi Karol Brill.

Wszyscy oglądają gwóźdź. Potem Karol podchodzi do ściany, umieszcza gwóźdź na wysokości ludzkiego siedzenia i wbija go do jednej trzeciej. Uderza mniej silnie, niż można by wnioskować z jego ruchów.

– Siedzi dobrze i solidnie – oznajmia i udaje, że mocno ciągnie gwóźdź.

– To jeszcze musimy zbadać – występuje grubas, który założył się ze mną. Porusza gwoździem i uśmiecha się ironicznie. – Karolu – mówi z szyderczym uśmiechem. – Ten gwóźdź można zdmuchnąć ze ściany. Dawaj młotek.

– Najpierw go zdmuchnij.

Grubas nie dmucha. Szarpie mocno i gwóźdź wychodzi.

– Ręką – mówi Karol Brill – potrafię wbić gwóźdź w stół, że przejdzie na wylot. Tyłkiem nie. Jeśli stawiacie takie warunki, to w ogóle dajmy temu spokój.

Grubas nie odpowiada. Bierze młotek i wbija gwóźdź w innym miejscu.

– Tu. Dobrze?

Karol Brill sprawdza. Jakieś sześć do siedmiu centymetrów gwoździa wystaje ze ściany.

– Za mocno. Tego nawet palcami nie można wyrwać.

– Albo–albo – oświadcza grubas.

Karol sprawdza jeszcze raz. Grubas kładzie młotek na ladzie i nie dostrzega, że Karol za każdą próbą obluźnia gwóźdź.

– Nie mogę na to przyjąć zakładu w stosunku jeden do jednego – oświadcza wreszcie Karol. – Tylko dwa do trzech. I tak na pewno przegram.

Godzą się wreszcie na sześć do czterech. Kupa pieniędzy piętrzy się na ladzie. Karol jeszcze dwa razy z oburzeniem szarpie gwóźdź, by pokazać, jak niemożliwy jest zakład. Teraz gram *Wejście gladiatorów* i po chwili pani Beckmann w luźnym, łososiowym chińskim kimonie haftowanym w peonie, z feniksem na plecach, wchodzi do warsztatu.

To potężna kobieta o głowie buldoga, ale raczej ładnego buldoga. Ma gęste, kędzierzawe czarne włosy i połyskujące piwne oczy – reszta jak u buldoga, zwłaszcza podbródek. Tułów potężny, cały z żelaza. Para twardych jak kamień piersi sterczy niby szaniec, potem następuje stosunkowo szczupła talia i z kolei słynne siedzenie, o które teraz chodzi. Jest ono ogromne i też twarde jak kamień. Podobno nawet kowalowi nie udaje się go uszczypnąć, jeśli pani Beckmann je napnie. Mógłby połamać sobie palce. W ten sposób Karol Brill wygrywał liczne zakłady, jednakowoż tylko w gronie najbliższych przyjaciół. Dziś wieczorem, skoro w towarzystwie znalazł się grubas, przeprowadzony będzie inny eksperyment – wyrywanie tyłkiem gwoździa ze ściany.

Wszystko odbywa się bardzo sportowo i po dżentelmeńsku. Pani Beckmann mówi wprawdzie „dobry wieczór", ale poza tym zachowuje się z rezerwą i niemalże odpychająco. Podchodzi do sprawy tylko od strony sportowo-finansowej. Spokojnie staje plecami do ściany za niskim parawanem, wykonuje kilka fachowych ruchów, a potem spokojnie stoi, wysuwając podbródek, gotowa i poważna, jak przystoi zawodniczce przed wielkim wyczynem sportowym.

Przerywam marsza i biorę dwa niskie trele, które mają brzmieć jak werble przy salto mortale w cyrku Buscha. Pani Beckmann napina mięśnie i odpręża je znowu. Napina jeszcze dwa razy. Karol Brill zaczyna się denerwować. Pani Beckmann kamienieje znowu, oczy ma utkwione w suficie, zęby zaciśnięte. Potem słychać stuk, a ona odstępuje od ściany. Gwóźdź leży na podłodze.

Gram *Modlitwę dziewicy*, jedną z jej najbardziej ulubionych melodii. Dziękuje wdzięcznym skinieniem swojej silnej głowy, życzy wdzięcznie „dobrej nocy wszystkim", owija się szczelniej kimonem i znika.

Karol Brill inkasuje pieniądze. Podaje mi moją wygraną. Grubas przeprowadza inspekcję gwoździa i ściany.

– Bajeczne! – mówi.

Gram *Pożar Alp* i *Pieśń Wezery* – również ulubione melodie pani Beckmann. Może je słyszeć na piętrze. Karol mruga do mnie z dumą. Bądź co bądź jest przecież właścicielem tych imponujących obcęgów. Leje się piwo i wódka. Wypijam wraz z innymi parę kieliszków i gram dalej. Cieszę się, że nie jestem sam. Chciałbym myśleć i za nic nie chcę myśleć. Moje ręce są pełne nieznanej delikatności, coś wieje w powietrzu i zdaje się wciskać we mnie, warsztat znika, znów jest deszcz, mgła i Izabella, i ciemność. Ona nie jest chora, myślę i wiem, że jest chora – ale jeśli ona jest chora, to my wszyscy jesteśmy jeszcze bardziej chorzy.

Budzi mnie głośna kłótnia. Grubas nie mógł zapomnieć o kształtach pani Beckmann. Rozgrzany wódką, zrobił Karolowi Brillowi potrójną ofertę: pięć milionów za pozwolenie zaproszenia pani Beckmann na herbatę na jedno popołudnie, milion za krótką natychmiastową rozmowę, podczas której chciałby ją prawdopodobnie zaprosić na przyzwoitą kolację bez Karola Brilla, i dwa miliony za parę solidnych chwytów za najwspanialszy okaz anatomii pani Beckmann, tu, w warsztacie, wśród towarzyszy miłej zabawy, a więc jak najbardziej uczciwie.

Teraz jednak ujawnia się charakter Karola. Gdyby grubas był zainteresowany tylko dla sportu, szewc zgodziłby się na te chwyty, być może nawet przy zakładzie o tak nędzny grosz jak sto tysięcy

marek – ale wobec jego capiej pożądliwości Karol nawet myśl o tym przyjmuje za obrazę.

– Takie świństwo! – ryczy. – Myślałem, że są tu sami przyzwoici ludzie!

– Jestem przyzwoitym człowiekiem – bełkocze grubas. – Dlatego robię tę ofertę.

– Świnia pan jest!

– Świnia też. Inaczej nie byłbym przyzwoitym człowiekiem. Powinien pan być dumny z takiej kobiety – nie ma pan serca w piersi? Co ja na to poradzę, że moja natura się buntuje? Dlaczego się pan obraża? Przecież nie jest pan jej mężem!

Widzę, że Karol Brill wzdryga się, jakby do niego strzelono. Żyje na kocią łapę z panią Beckmann, która właściwie jest jego gospodynią. Dlaczego się z nią nie żeni, tego nikt nie wie – najprawdopodobniej z tej samej twardości charakteru, która każe mu zimą wyrąbywać przerębel w lodzie, żeby popływać. A jednak to jest jego czułe miejsce.

– Ja – jąka się grubas – nosiłbym taki klejnot na rękach i otulał go w aksamit i jedwab… jedwab, czerwony jedwab… – Łka prawie i kreśli barokowe formy w powietrzu. Przed nimi stoi pusta butelka. Zaszedł tu tragiczny przypadek miłości od pierwszego wejrzenia. Odwracam się i gram dalej. Wizja grubasa noszącego na rękach panią Beckmann to dla mnie za wiele.

– Won! – oświadcza Karol Brill. – Dosyć tego. Nie lubię wyrzucać gości, ale…

Z głębi pokoju rozlega się przeraźliwy wrzask. Zrywamy się z miejsc. Mały mężczyzna tańczy w kółko. Karol doskakuje do niego, chwyta za nożyczki i wyłącza maszynę. Mały człowieczek mdleje.

– Psiakrew! Kto mógłby przypuszczać, że on będzie się bawił po pijanemu ekspresową maszyną do zelowania butów! – wrzeszczy Karol.

Oglądamy rękę. Zwisa z niej parę kawałków dratwy. Trafiły na szczęście w miękkie ciało między kciukiem a palcem wskazującym. Karol leje wódkę na ranę i mały człowieczek przychodzi do siebie.

– Amputowana? – pyta pełen grozy, gdy widzi swoją dłoń w łapach Karola.

– Głupstwo, przecież się jeszcze trzyma.

Mężczyzna oddycha z ulgą, gdy Karol potrząsa mu ręką przed oczyma.

– Zakażenie, co? – pyta.

– Nie. Ale maszyna zardzewieje od twojej krwi. Wymyjemy ci łapę alkoholem, posmarujemy jodyną i obwiążemy.

– Jodyną? Czy to nie będzie bolało?

– Przez sekundę poszczypie. Tak jakby twoja ręka łyknęła bardzo mocnego sznapsa.

Mężczyzna wyrywa rękę.

– Sznapsa to już ja wolę sam łyknąć.

Wyciąga niezbyt czystą chusteczkę, zawija łapę i sięga po butelkę. Karol uśmiecha się. Potem ogląda się niespokojnie.

– Gdzie jest gruby?

Nikt nie wie.

– Może się zrobił cienki – mówi ktoś i dostaje czkawki ze śmiechu, zachwycony swym dowcipem.

Otwierają się drzwi. Widzimy grubasa. Kuśtyka pochylony naprzód, za nim stąpa w łososiowym kimonie pani Beckmann. Wykręciła mu ręce do tyłu i wpycha go do warsztatu. Potem puszcza go z jednym mocnym pchnięciem. Grubas pada na nos w dział obuwia damskiego. Pani Beckmann robi ruch, jakby otrzepywała ręce z kurzu, i wychodzi. Karol Brill daje wielkiego susa. Podrywa grubasa do góry.

– Moje ręce! – jęczy zhańbiony uwodziciel. – Wykręciła mi je! A mój brzuch! Co za cios!

Nie musi nam nic tłumaczyć. Pani Beckmann jest równorzędnym przeciwnikiem dla Karola Brilla, przeręblowego pływaka i pierwszorzędnego gimnastyka, i już dwukrotnie złamała mu rękę, nie mówiąc o tym, czego potrafiła dokonać za pomocą wazonu albo pogrzebacza. Nie minęło jeszcze pół roku, jak zaskoczyła w warsztacie dwóch włamywaczy. Potem przez kilka tygodni leżeli obaj w szpitalu, a jeden już nigdy nie doszedł do siebie po

ciosie żelaznym kopytem w głowę. Stracił przy tym jedno ucho i od tego czasu mówi od rzeczy.

Karol wlecze grubasa do światła. Jest blady z wściekłości, ale nic więcej już nie może zrobić – grubas jest i tak załatwiony. To tak, jakby chciał bić kogoś ciężko chorego na tyfus. Grubas musiał otrzymać straszliwy cios w narządy, którymi chciał zgrzeszyć. Nie może chodzić. Karolowi nawet nie wypada go wyrzucić. Kładziemy grubasa w głębi warsztatu na skrawkach skóry.

– Najbardziej lubię u Karola ten miły nastrój – mówi ktoś i próbuje napoić fortepian piwem.

Idę do domu ulicą Główną. W głowie wszystko mi pływa. Za dużo piłem, nie chciałem tego. Mgła przesuwa się nad pojedynczymi światłami, które jeszcze płoną na wystawach, i tka złote welony wokół latarni. W oknie sklepu mięsnego kwitnie krzew alpejskiej róży obok zarżniętego prosiaka, któremu wepchnięto cytrynę w blady ryjek. Kiełbasy leżą wokoło, tworząc miły sercu widok. To nastrojowy obrazek: piękno i funkcjonalność harmonijnie połączone. Stoję tu przez chwilę, a potem idę dalej.

Na podwórku wpadam we mgle na jakiś cień. Jest to stary Knopf, który znowu stoi przed obeliskiem. Wpadłem na feldfebla z całym rozpędem, a on zachwiał się i obu ramionami objął obelisk, jakby chciał się na niego wspiąć.

– Bardzo przepraszam, że pana potrąciłem – mówię. – Ale dlaczego właściwie pan tu stoi? Nie może pan naprawdę załatwiać swoich potrzeb w domu? Albo jeśli pan lubi świeże powietrze, dlaczego nie robi pan tego na rogu ulicy?

Knopf puszcza obelisk.

– Psiakrew, teraz wszystko poszło w spodnie – mruczy.

– To panu nie zaszkodzi. Resztę niech już pan tu załatwi.

– Za późno.

Knopf kuśtyka do swoich drzwi. Wchodzę na schody i postanawiam posłać rano Izabelli bukiet kwiatów za pieniądze, które wygrałem u Karola Brilla. Wprawdzie takie posunięcia przynoszą mi tylko nieszczęście, ale nic innego nie potrafię wymyślić. Przez pewien czas stoję przy oknie i wyglądam w noc, a potem nieco

zawstydzony bardzo cicho zaczynam szeptać słowa i zdania, które bardzo chciałbym komuś powiedzieć i dla których nikogo nie mam, może poza Izabellą – a ona nie wie przecież, kim ja w ogóle jestem. Ale kto to w końcu wie o kimkolwiek?

XIII

Komiwojażer Oskar Fuchs, zwany Łzawym Oskarem, siedzi w biurze.

– Co tam nowego, panie Fuchs? – pytam. – Jak tam z grypą na wsi?

– Dość niewinnie. Chłopi dobrze się odżywiają. Nie to, co w mieście. Mam dwa przypadki, w których Hollmann i Klotz mają podpisać umowę. Czerwony granit, polerowany jednostronnie, skałka, dwa ciosane cokoły wysokości metr pięćdziesiąt, dwa miliony dwieście tysięcy marek. Drugi mniejszy, metr dziesięć, milion trzysta tysięcy marek. Dobre ceny. Jak panowie zaoferujecie o sto tysięcy taniej, będziecie je mieli. Moja prowizja wynosi dwadzieścia procent.

– Piętnaście – odpowiadam mechanicznie.

– Dwadzieścia – oświadcza Łzawy Oskar. – Piętnaście dostaję u Hollmanna i Klotza. Po co miałbym ich zdradzać?

Kłamie. Hollmann i Klotz, u których jest agentem, płacą mu dziesięć procent i zwrot kosztów. Zwrot kosztów dostanie tak czy owak. Zarabia więc u nas dziesięć procent ekstra.

– Płacą gotówką?

– Musicie panowie sami zbadać. To ludzie dobrze sytuowani.

– Panie Fuchs – mówię. – Dlaczego nie przejdzie pan do nas na stałe? Płacimy lepiej niż Hollmann i Klotz, a przydałby się nam pierwszorzędny agent.

Fuchs mruga.

– W ten sposób mam większą frajdę. Jestem człowiekiem uczuciowym. Kiedy się rozzłoszczę na starego Hollmanna, wtedy

z zemsty podsuwam panom transakcję. Gdybym pracował dla panów, wtedy z kolei złościłbym się na was.

– Poniekąd racja – mówię.

– Tak mi się zdaje. Zdradzałbym was dla Hollmanna i Klotza. Sprzedawanie nagrobków jest nudne. Trzeba je sobie jakoś urozmaicać.

– Nudne? Dla pana, który za każdym razem urządza artystyczne przedstawienie?

Fuchs uśmiecha się jak Gaston Münch w Teatrze Miejskim po odegraniu roli Karla-Heinza w *Starym Heidelbergu*.

– Człowiek robi, co może – oświadcza z bijącą w oczy skromnością.

– Podobno wspaniale pan rozwinął swój talent. Bez środków pomocniczych. Czysto intuicyjnie. Czy to prawda?

Oskar, który przedtem pomagał sobie ćwiartkami surowej cebuli, zanim wstąpił do okrytego żałobą domu, twierdzi teraz, że może swobodnie produkować łzy jak wielki aktor. Jest to naturalnie olbrzymi postęp. Nie musi teraz z płaczem wchodzić do domu, jak przy technice cebulowej, przy której, jeśli rozmowa trwa dłużej, łzy obsychają, ponieważ nie można stosować cebuli w obecności pogrążonych w żałobie krewnych. Przeciwnie, teraz może wejść z suchymi oczami i podczas rozmowy o zmarłym wybuchnąć naturalnymi łzami, co oczywiście robi zupełnie inne wrażenie. Jest to taka różnica jak między perłami naturalnymi i sztucznymi. Oskar twierdzi, że zachowuje się tak przekonująco, iż krewni zmarłego pocieszają go nierzadko i częstują, czym mogą.

Georg Kroll wychodzi ze swego pokoju. Płowego koloru hawana kurzy mu się pod nosem, a on wygląda jak uosobienie zadowolenia.

– Panie Fuchs! – mówi. – Czy to prawda, że potrafi pan płakać na zawołanie, czy też jest to tylko podła propaganda naszej konkurencji?

Zamiast odpowiedzi Oskar wybałusza nań oczy.

– No? – pyta Georg. – Co się stało? Źle się pan czuje?

– Chwileczkę! Muszę najpierw wprowadzić się w nastrój.

Oskar zamyka oczy. Kiedy je ponownie otwiera, robią już nieco wodniste wrażenie. Znowu wpatruje się w Georga i po chwili rzeczywiście w jego błękitnych oczach pojawiają się grube łzy. Jeszcze minuta i zaczynają mu spływać po policzkach. Oskar wyciąga chusteczkę i wyciera oczy.

– No i jak? – pyta i pokazuje zegarek. – Niecałe dwie minuty. Niekiedy udaje mi się to w minutę, jeśli w domu jest nieboszczyk.

– Nadzwyczajne!

Georg nalewa koniaku z butelki dla klientów.

– Pan powinien zostać aktorem, panie Fuchs.

– Myślałem już o tym. Ale istnieje za mało ról, w których potrzebne są męskie łzy. Otello, oczywiście, ale poza tym…

– Jak pan to robi? Jakiś trik?

– Imaginacja – odpowiada Fuchs skromnie. – Wielka, plastyczna siła wyobraźni.

– Co pan sobie teraz wyobraził?

Oskar wypija kieliszek.

– Mówiąc otwarcie, właśnie pana, panie Kroll. Z pogruchotanymi rękami i nogami, między stadem szczurów, które powoli obgryzają panu twarz, podczas gdy pan jeszcze żyje, ale z powodu połamanych rąk nie może obronić się przed gryzoniami. Przepraszam pana, ale dla tak szybkiego efektu potrzebuję bardzo mocnego obrazu.

Georg przeciąga ręką po twarzy. Jest jeszcze na miejscu.

– Czy podobne rzeczy wyobraża pan sobie również o Hollmannie i Klotzu, u których pan pracuje? – pytam.

Fuchs potrząsa głową.

– Jeśli chodzi o nich, to wyobrażam sobie, że żyją sto lat, są bogaci i zdrowi, aż wreszcie umierają bezboleśnie na zawał serca podczas snu. Wtedy płaczę z wściekłości.

Georg wypłaca mu prowizję za dwie ostatnie zdrady.

– Ostatnio nauczyłem się również sztucznej czkawki. Działa bardzo skutecznie. Przyśpiesza transakcję. Ludzie czują się winni, bo myślą, że to wskutek wzruszenia.

– Panie Fuchs, niech pan przejdzie do nas! – mówię impulsywnie. – Pan jest stworzony dla artystycznie prowadzonego przedsię-

biorstwa, a nie dla takich łysych groszorobów.

Łzawy Oskar uśmiecha się dobrotliwie, potrząsa głową i zaczyna się z nami żegnać.

– Nie mogę. Bez odrobiny zdrady byłbym tylko jęczącą szmatą. Zdrada pomaga mi utrzymać równowagę. Rozumie pan?

– Rozumiemy – mówi Georg. – Aczkolwiek z głębokim żalem, respektujemy indywidualność ponad wszystko.

Notuję adresy na kartce i przekazuję ją Henrykowi Krollowi, który pompuje dętki roweru na podwórku. Spogląda na kartkę z pogardą. Dla niego, starego Nibelunga, Oskar jest zwykłym łajdakiem, aczkolwiek, również jako stary Nibelung, dość chętnie ciągnie z niego zyski.

– Dawniej nie potrzebowaliśmy czegoś takiego – oświadcza. – Dobrze, że mój ojciec tego nie doczekał.

– Pański ojciec, wedle tego, co słyszałem o tym pionierze sztuki kamieniarskiej, wychodziłby ze skóry z radości, że mu się udało spłatać takiego figla swoim konkurentom – odpowiadam. – On miał bojową naturę – nie tak jak pan na polu chwały, ale w okopach bezwzględnego życia handlowego. Poza tym, czy szybko dostaniemy resztę należności za ten granitowy krzyż, który sprzedał pan w kwietniu? Te dwieście tysięcy, których jeszcze nie dopłacono? Wie pan, ile są teraz warte? Nie starczą nawet na cokół.

Henryk mruczy coś i chowa kartkę. Odchodzę zadowolony, że go trochę przyhamowałem. Przed domem stoi kawałek rynny, która urwała się podczas ostatniego deszczu. Blacharze skończyli już robotę i założyli nową.

– A co ze starą? – pyta majster. – Panowie nie będą jej już potrzebowali. Możemy ją wziąć?

– Oczywiście – mówi Georg.

Rynna stoi oparta o obelisk, Knopfowy pisuar na świeżym powietrzu. Ma kilka metrów długości, a na końcu jest zgięta pod kątem prostym. Nagle przychodzi mi do głowy pewna myśl.

– Zostawcie ją tymczasem, panowie – mówię. – Jeszcze jej potrzebujemy.

– Na co? – pyta Georg.

– Na dziś wieczór. Zobaczysz. Będzie ciekawe widowisko.

Henryk Kroll odjeżdża na rowerze. Georg i ja stoimy przed drzwiami i wypijamy po szklance piwa, które pani Kroll podaje nam przez okno kuchni. Jest bardzo gorąco. Stolarz Wilke przemyka obok nas. Niesie parę butelek i zamierza odbyć południową drzemkę w trumnie wyłożonej wiórami. Motyle pląsają wokół krzyży. Łaciata kotka rodziny Knopfów jest kotna.

– Jak stoi dolar? – pytam. – Telefonowałeś?

– O piętnaście tysięcy marek wyżej niż dziś rano. Jeśli tak dalej pójdzie, będziemy mogli zapłacić weksel Riesenfelda jednym małym nagrobkiem.

– Cudowne. Szkoda, że nic z tego nie zatrzymujemy. To nieco osłabia w człowieku konieczny entuzjazm, prawda?

Georg śmieje się.

– A także nieco powagę firmy. Pomijając oczywiście Henryka. Co robisz dziś wieczorem?

– Idę na górę, do Wernickego. Tam przynajmniej nic się nie wie o powadze i śmieszności życia handlowego. Tam chodzi tylko o istnienie. O nic więcej. Gdyby człowiek pożył tam dłuższy czas, nasza śmieszna krzątanina wydawałaby mu się zupełnie zwariowana.

– Brawo – odpowiada Georg. – Za te nonsensy dostaniesz drugą szklankę lodowatego piwa. – Bierze nasze szklanki i wstawia je przez okno do kuchni. – Łaskawa pani, poproszę jeszcze raz to samo.

Pani Kroll wysuwa siwą głowę.

– Chcecie może do tego świeżego rolmopsa i ogórka?

– Bezwarunkowo! Z kawałkiem chleba. Małe śniadanko na wszelkiego rodzaju chandrę – odpowiada Georg i podaje mi szklankę. – Masz chandrę?

– Przyzwoity człowiek w moim wieku ma zawsze chandrę – odpowiadam zdecydowanie. – To prawo młodości.

– Myślałem, że młodość ukradziono ci w wojsku?

– Owszem. Ale nadal jej szukam, chociaż jej nie znajduję. Dlatego mam podwójną chandrę. Tak jak amputowana noga boli podwójnie.

Piwo jest cudownie zimne. Słońce pali nam czaszki i naraz, mimo całej chandry, następuje jeden z tych momentów, kiedy patrzy się z bliska w zielonozłote oczy istnienia. Z namaszczeniem wypijam piwo. Niespodziewanie wydaje mi się, że wszystkie moje żyły zażywają słonecznej kąpieli.

– Stale zapominamy, że mieszkamy na tej planecie tylko przez krótki czas – mówię. – Dlatego mamy zupełnie wariacki kompleks świata. Kompleks ludzi, którzy żyją wiecznie. Czyś to już zauważył?

– Ja myślę! To jest kardynalny błąd ludzkości. Ludzie, poza tym całkiem rozsądni, zostawiają w ten sposób miliony swoim okropnym krewnym, zamiast zużyć je osobiście.

– Dobrze! Co byś zrobił, gdybyś wiedział, że jutro musisz umrzeć?

– Nie mam pojęcia.

– Nie? Dobrze, dzień to może za krótki okres. Co byś zrobił, gdybyś wiedział, że umrzesz za tydzień?

– Też nie mam pojęcia.

– Coś przecież musiałbyś zrobić! A gdybyś tak miał miesiąc życia?

– Żyłbym prawdopodobnie tak jak dotychczas – odpowiada Georg. – Inaczej przez cały miesiąc miałbym nędzne uczucie, że dotychczas żyłem nie tak jak trzeba.

– Miałbyś cały miesiąc, żeby to naprawić.

Georg potrząsa głową.

– Miałbym cały miesiąc, żeby tego żałować.

– Mógłbyś wyprzedać nasz skład Hollmannowi i Klotzowi, pojechać do Berlina i prowadzić przez miesiąc oszałamiający tryb życia wśród aktorów, artystów i eleganckich kurew.

– Forsy nie starczyłoby mi nawet na tydzień. I mógłbym sobie pozwolić najwyżej na barówki. Poza tym wolę czytać o takim życiu. Fantazja nigdy nie zawodzi. A ty? Co byś zrobił, gdybyś wiedział, że umrzesz za cztery tygodnie?

– Ja? – pytam zaskoczony.

– Tak, ty.

Oglądam się wkoło. Widzę ogród, zielony i gorący, we wszystkich barwach pełnego lata, i żeglujące jaskółki, i bezkresny błękit niebios – a z góry, ze swego okna, patrzy na nas stary Knopf, w szelkach i prążkowanej koszuli; właśnie obudził się po pijaństwie.

– Muszę się nad tym zastanowić – mówię. – Tak od razu nie mogę powiedzieć. To za dużo. Teraz mam tylko uczucie, że eksplodowałbym, gdybym to wiedział.

– Nie myśl nad tym zbyt intensywnie. Inaczej będziemy musieli cię odwieźć do Wernickego. Ale nie po to, żebyś grał na organach.

– O to chodzi – mówię. – Właśnie o to chodzi! Gdybyśmy osiągnęli całkowite poznanie, tobyśmy zwariowali.

– Jeszcze szklankę piwa? – pyta pani Kroll przez okno kuchni. – Jest również świeży kompot malinowy.

– Jestem uratowany! – wołam. – Właśnie mnie pani uratowała. Byłem jak strzała w locie do słońca i do Wernickego. Bogu dzięki, wszystko jeszcze jest! Nic się nie spaliło! Słodkie życie z motylami i muchami igra wokół nas, nie rozsypało się w popiół, jest na miejscu, zachowuje nadal wszystkie swoje prawa, nawet te, któreśmy mu nałożyli niby uprząż rasowemu koniowi! Mimo wszystko lepiej nie jeść malinowego kompotu do piwa! Natomiast dobrze byłoby zjeść kawałek topionego sera. Dzień dobry, panie Knopf! Piękny dzień! Co pan sądzi o życiu?

Knopf wybałusza na mnie oczy. Ma szarą twarz i worki pod oczami. Po chwili z gniewem macha ręką i zamyka okno.

– Miałeś przecież do niego jakąś sprawę? – pyta Georg.

– Tak, ale dopiero dziś wieczorem.

Wchodzimy do Edwarda Knoblocha.

– Patrz – mówię i staję w miejscu, jakbym wpadł na drzewo. – Widocznie w ten sposób również igra z nami życie! Powinienem był to przeczuć!

W winiarni przy stole, na którym stoi bukiet lilii, siedzi Gerda. Jest sama i wpycha właśnie kawał sarniego combra, prawie tak duży jak stół.

– Co na to powiesz? – pytam Georga. – Czy tu coś nie śmierdzi zdradą?

– Czy tu może być w ogóle mowa o zdradzie? – odpowiada pytaniem Georg.

– Nie. Ale powiedzmy o zawiedzeniu zaufania?

– A czy było tu jakieś zaufanie, które można by zawieść?

– Zostaw to, Sokratesie! – odpowiadam. – Nie widzisz, że tu są w robocie grube łapy Edwarda?

– To widzę. Ale kto cię zdradził? Edward czy Gerda?

– Gerda! A któż by? Mężczyzna nie ma z tym nigdy nic wspólnego.

– Kobieta również nie.

– Więc kto?

– Ty. A któż by?

– Dobrze – mówię. – Łatwo ci gadać. Ciebie nie oszukują. Ty sam oszukujesz.

Georg kiwa głową z zadowoleniem.

– Miłość jest sprawą uczucia – oświadcza. – Nie ma nic wspólnego z moralnością. Uczucie natomiast nie zna zdrady. Ono wzmaga się, znika albo się zmienia. Gdzie tu zdrada? Miłość to nie kontrakt. Czy nie wypłakiwałeś przed Gerdą swego bólu po Ernie?

– Tylko na początku. Była przy tym, gdy nastąpił krach w Czerwonym Młynie.

– No więc nie stękaj teraz. Zrezygnuj albo działaj.

Obok nas zwalnia się stolik. Kelner Freidank sprząta nakrycia.

– Gdzie jest pan Knobloch? – pytam.

Freidank ogląda się.

– Nie wiem – był cały czas z tamtą panią przy stoliku naprzeciwko.

– Proste, co? – mówię do Georga. – A więc do tego doszło. Jestem naturalną ofiarą inflacji. Znowu. Najpierw Erna, teraz Gerda. Czy ja jestem z natury rogaczem? Tobie się takie rzeczy nie zdarzają.

– Walcz! – odpowiada Georg. – Jeszcze nic straconego. Podejdź do Gerdy!

– Czym mam walczyć? Nagrobkami? Edward daje jej sarnie combry i poświęca wiersze. W wierszach Gerda nie dostrzega różnicy jakości, w jedzeniu niestety tak. A ja, osioł, sam to sobie zawdzięczam! Ja ją tu przyprowadziłem i wzbudziłem jej apetyt. Dosłownie!

– Więc zrezygnuj – mówi Georg. – Po co walczyć? O uczucia tak czy owak nie można walczyć.

– Nie? Dlaczego więc radziłeś mi przed minutą, żebym to robił?

– Bo dziś jest wtorek. Patrz, tam idzie Edward – w świątecznej marynarce i z pąkiem róży w butonierce. Załatwił cię.

Edwarda zatyka, gdy nas widzi. Zezuje w stronę Gerdy, potem wita nas z nonszalancją zwycięzcy.

– Panie Knobloch – mówi Georg. – Czy uczciwość jest fundamentem honoru, jak obwieścił nasz kochany feldmarszałek, czy nie?

– To zależy – odpowiada Edward ostrożnie. – Dziś jest klops królewiecki z sosem i kartoflami. Dobre jedzenie.

– Czy żołnierz może zadawać cios w plecy swemu koledze? – pyta dalej niewzruszenie Georg. – Brat bratu? Poeta poecie?

– Poeci stale się nawzajem atakują. Z tego żyją.

– Żyją z otwartej walki, a nie z ciosu nożem w żołądek – oświadczam.

Edward uśmiecha się szeroko.

– Rację ma ten, kto zwycięża, kochany Ludwiku, *catch as catch can*. Czy ja narzekam, kiedy przychodzicie tu z abonamentami, które nie są warte złamanego patyka?

– Oczywiście – mówię. – Jeszcze jak!

W tym momencie ktoś odsuwa Edwarda na bok.

– Jesteście, chłopcy – mówi serdecznie Gerda. – Zjedzmy razem obiad! Spodziewałam się, że przyjdziecie!

– Siedzisz w winiarni – odpowiadam jadowicie. – My pijemy piwo.

– Ja również wolę piwo. Przysiądę się do was.

– Pozwolisz, Edwardzie? – pytam. – *Catch as catch can*?

– Co Edward ma tu do pozwalania? – pyta Gerda. – On będzie się tylko cieszył, że jem obiad z jego przyjaciółmi. Nieprawdaż,

Edwardzie?

Żmija, nazywa go już po imieniu. Edward jąka się:

– Naturalnie, nie mam nic przeciwko temu, oczywiście, cieszę się…

Kapitalnie wygląda – czerwony, wściekły i krzywo uśmiechnięty.

– Masz śliczną różę – mówię. – Zamierzasz się oświadczyć czy też po prostu tak lubisz przyrodę?

– Edward ma bardzo subtelne poczucie piękna – odpowiada Gerda.

– Rzeczywiście – potwierdzam. – Dostałaś zwykły obiad? Pozbawiony uczucia klops królewiecki w jakimś tam niesmacznym niemieckim sosie?

Gerda śmieje się.

– Edwardzie, pokaż, że jesteś wielkoduszny! Pozwól mi zaprosić obu twoich przyjaciół na obiad! Oni zawsze twierdzą, że jesteś okropnie skąpy. Pokażmy im, że jest inaczej. Mamy…

– Klops królewiecki – przerywa jej Edward. – Dobrze, zaprośmy ich na klops. Postaram się o szczególnie dobry.

– …sarni comber – kończy Gerda.

Edward przypomina uszkodzoną maszynę parową.

– To nie są żadni przyjaciele – oświadcza.

– Co?

– Pozostajemy w przyjacielskim związku przypieczętowanym krwią, podobnie jak Walenty – mówię. – Przypominasz sobie jeszcze naszą ostatnią rozmowę w Klubie Poetyckim? Mam ją może głośno powtórzyć? Jakiego rodzaju wiersze teraz piszesz?

– O czym mówiliście? – pyta Gerda.

– O niczym – odpowiada szybko Edward. – Oni obaj nie mówią nigdy słowa prawdy! Żartownisie! Nieuleczalni żartownisie! Nie wiedzą nic o powadze życia.

– Chciałbym usłyszeć, kto poza grabarzami i trumniarzami wie więcej o powadze życia niż my – mówię.

– Ach, wy! Wy wiecie tylko o śmiesznych stronach śmierci – oświadcza niespodziewanie Gerda.

Patrzymy na nią z osłupieniem, bezgranicznie skonsternowani. To jest już nieomylnie styl Edwarda! Czuję, że walczę na straconej pozycji, ale nie rezygnuję.

– Skąd to wiesz? – pytam. – Ty Sybillo nad ciemnymi wodami melancholii!

Gerda śmieje się.

– Dla was życie łączy się zawsze z nagrobkiem. Dla innych ludzi nie idzie to tak szybko. Edward jest na przykład słowikiem!

Tłuste policzki Edwarda promienieją.

– Więc jak będzie z sarnim combrem? – pyta go Gerda.

– No, ostatecznie, dlaczego nie?

Edward znika. Patrzę na Gerdę.

– Brawo! – mówię. – Pierwszorzędna robota. Co mamy o tym sądzić?

– Nie rób miny męża – odpowiada ona. – Ciesz się po prostu życiem i koniec.

– Co to jest życie?

– To, co właśnie jest.

– Brawo – mówi Georg. – I serdecznie dziękuję za zaproszenie. Naprawdę bardzo kochamy Edwarda, tylko że on nas nie rozumie.

– Czy ty go również kochasz? – pytam Gerdę.

Śmieje się.

– Jaki on dziecinny – mówi do Georga. – Czy nie mógłby mu pan trochę otworzyć oczu na to, że nie wszystko jest zawsze jego własnością, szczególnie jeśli on nic nie robi, by tak było?

– Stale usiłuję go oświecić – odpowiada Georg. – Niestety, on ma w sobie kupę oporów, które nazywa ideałami. Poprawi się dopiero wtedy, gdy zauważy, że jest to eufemistyczny egoizm.

– Co to jest eufemistyczny egoizm?

– Sztubackie ważniactwo.

Gerda śmieje się, aż stół drży.

– Nie mogę powiedzieć, żebym tego nie lubiła – oświadcza. – Ale na dłuższą metę bywa to nużące. Niestety, fakty są faktami.

Gerda siedzi, uczciwa i silna, i czeka z podniesionym nożem na drugą porcję sarniny. Jej twarz jest okrąglejsza niż dawniej. Poprawiła się na wikcie Edwarda. Uśmiecha się do mnie promien-

nie i nie jest nawet w najmniejszym stopniu zakłopotana. I dlaczego miałaby być? Jakie w istocie mam do niej prawa? I kto kogo w tej chwili oszukuje?

– To prawda – mówię. – Jestem obrośnięty egoistycznymi atawizmami jak skała mchem. *Mea culpa!*

– Słusznie, skarbie – odpowiada Gerda. – Rozkoszuj się życiem i myśl tylko wtedy, gdy to jest konieczne.

– A kiedy to jest konieczne?

– Gdy musisz zarobić pieniądze albo chcesz zrobić karierę.

– Brawo – mówi znowu Georg. W tej chwili pojawia się sarni comber i rozmowa zamiera, Edward pilnuje nas jak kwoka kurcząt. Pierwszy raz asystuje nam przy jedzeniu. Na twarzy ma nowy uśmieszek, który jest dla mnie zagadką. Uśmieszek pełen dumnej wyższości. Od czasu do czasu ukradkowo podsuwa go Gerdzie, jak przestępca w więzieniu, który wtyka komuś gryps. Ale Gerda ma wciąż swój dawny, szczery uśmiech, którym, kiedy Edward nie patrzy, promienieje ku mnie niewinnie jak dziecko po pierwszej komunii. Jest młodsza ode mnie, ale mam uczucie, że przynajmniej o czterdzieści lat góruje nade mną doświadczeniem.

– Jedz, dziecinko – mówi.

Jem z nieczystym sumieniem i wielką nieufnością, a sarni comber – delikates pierwszej klasy – nagle mi przestaje smakować.

– Jeszcze kawałeczek? – pyta mnie Edward. – A może trochę sosu żurawinowego?

Wytrzeszczam na niego oczy. Mam takie uczucie, jakby mój kapral z rekruckich czasów zaproponował mi, żebym go ucałował. Także Georg jest zaniepokojony. Z pewnością będzie później twierdził, jakoby powodem niewiarygodnej szczodrobliwości Edwarda było to, że Gerda już się z nim przespała – ale tym razem ja wiem lepiej. Sarninę będzie dostawała tylko dotąd, póki tego nie zrobi. Jeśli to nastąpi, pozostanie dla niej już tylko klops królewiecki w niemieckim sosie. I nie obawiam się ani przez chwilę, że Gerda o tym nie wie.

Mimo to postanawiam wyjść z nią razem po jedzeniu. Zaufanie zaufaniem, ale Edward ma za dużo różnych likierów w barze.

Nad miastem wisi cicha gwiaździsta noc. Przysiadłem przy oknie mego pokoju i czekam na Knopfa, dla którego przygotowałem już rynnę. Sięga ona od okna ponad bramą do domu Knopfa. Tam jej krótszy kawałek zagina się pod kątem prostym na podwórze. Ale z podwórka rynny nie widać.

Czekam i czytam gazetę. Dolar podskoczył o dalsze dziesięć tysięcy marek. Wczoraj było tylko jedno samobójstwo, ale za to dwa strajki. Urzędnicy po długich pertraktacjach otrzymali wreszcie podwyżkę pensji, która tymczasem tak się zdewaluowała, że nie kupią za nią nawet litra mleka na tydzień. W przyszłym tygodniu prawdopodobnie będzie warta tylko pudełko zapałek. Liczba bezrobotnych wzrosła o dalsze sto pięćdziesiąt tysięcy. Niepokoje mnożą się w całej Rzeszy. Wychwala się nowy przepis na zużytkowanie odpadków kuchennych. Fala grypy rozszerza się w dalszym ciągu. Sprawa podwyżki emerytur i rent inwalidzkich została przekazana do przestudiowania specjalnemu komitetowi. Za kilka miesięcy oczekuje się sprawozdania komitetu. Emeryci i inwalidzi usiłują tymczasem ratować się od głodowej śmierci żebraniną lub zapomogami od znajomych i krewnych.

Za ścianą słyszę kroki. Ostrożnie wyglądam z okna. To nie Knopf. To para zakochanych, która na palcach przekrada się przez podwórko do ogrodu. Sezon jest w pełni, a niecierpliwość zakochanych większa niż kiedykolwiek. Wilke ma rację: dokąd mają iść, by im nie przeszkadzano? Gdy próbują przekraść się do swoich sublokatorskich mieszkań, czatuje na nich gospodyni, by ich wypędzić jak anioł ognistym mieczem, w imię moralności i zazdrości. W parkach i ogrodach publicznych besztają ich i łapią policjanci, na pokój w hotelu nie mają pieniędzy – dokąd więc mają iść? Na naszym podwórku nikt ich nie zaczepia. Nagrobki stanowią osłonę przed innymi parami, można się o nie oprzeć i szeptać w ich cieniu, obejmować się, a większe pomniki z krzyżami służą gorętszym zakochanym w wilgotne dni, kiedy nie można leżeć na trawie. Wtedy dziewczyna szturmowana przez wielbiciela trzyma się mocno krzyża, deszcz bije w rozpalone twarze, snuje się mgła, słychać urywane oddechy. Mężczyzna wczepia

palce we włosy ukochanej, która podnosi głowę jak rżący koń. Ogłoszenia, które ostatnio wywiesiłem, nie poskutkowały. Kto myśli o swoich palcach, gdy jego cała istota stoi w płomieniach?

Nagle słyszę w zaułku kroki Knopfa. Spoglądam na zegarek. Jest wpół do trzeciej. Pogromca wielu pokoleń nieszczęśliwych rekrutów musi więc być porządnie nabzdryngolony. Gaszę światło. Knopf steruje zdecydowanie ku czarnemu obeliskowi. Ujmuję wylot rynny, który tkwi w mym oknie, przyciskam usta do otworu i krzyczę:

– Knopf!

Głos brzmi głucho z drugiego końca rury, za plecami feldfebla, jakby się wydobywał zza grobu. Knopf ogląda się; nie wie, skąd pochodzi wołanie.

– Knopf! – powtarzam. – Ty świnio! Jak się nie wstydzisz? Po to cię stworzyłem, żebyś chlał i szczał na nagrobki, ty knurze?

Knopf wstrząsa się.

– Co? – bełkocze. – Kto to?

– Świntuchu! – wołam, a brzmi to upiornie i niesamowicie. – Jeszcze się pytasz? Czy wolno ci zadawać pytania przełożonym? Stań na baczność, kiedy do ciebie mówię!

Knopf wytrzeszcza oczy na swój dom, z którego dolatuje głos. Wszystkie okna są ciemne i zamknięte. Również drzwi są zatrzaśnięte. Rynny na murze nie widzi.

– Stań na baczność, ty żłobie! Ładny z ciebie feldfebel! – mówię. – Czy po to ci dałem naszywki na kołnierz i długą szablę, żebyś plugawił kamienie przeznaczone na bożą rolę? – I ostrzej, syczącym tonem komendy: – Ściągnij pięty, ty niegodny szczylu!

Komenda skutkuje. Knopf stoi na baczność, dłonie trzyma przy szwach spodni. Księżyc odbija się w jego szeroko rozwartych źrenicach.

– Knopf – ciągnę upiornym głosem. – Zostaniesz zdegradowany na szeregowca, jeśli cię jeszcze raz przyłapię! Ty plamo hańby na honorze niemieckiego żołnierza i stowarzyszenia zawodowych feldfebli w stanie spoczynku!

Knopf nasłuchuje z głową zadartą do góry jak lunatyczny pies.

– Cesarz? – szepcze.

– Zapinaj portki i spieprzaj! – dudnię głucho w odpowiedzi. – Ale zapamiętaj sobie: jeśli jeszcze raz spróbujesz robić takie świństwa, zostaniesz zdegradowany i wykastrowany! Wykastrowany także! A teraz precz, ty łajzo cywilna, naprzód marsz!

Knopf kuśtyka sztywno w stronę drzwi swego domu. Zaraz potem jak dwie wystraszone sarny wyskakuje z ogrodu miłosna para i pędzi na ulicę. Tego oczywiście nie chciałem.

XIV

Klub Poetycki zebrał się u Edwarda. Uchwalono wycieczkę do burdelu. Otto Bambuss spodziewa się po niej dopływu świeżej krwi do swojej liryki, Hans Hungermann chce znaleźć podnietę do *Casanovy* i cyklu wolnych rytmów *Kobieta-demon*, a nawet Mateusz Grund, poeta księgi śmierci, przypuszcza, że złapie parę zgrabnych szczegółów do ostatniego delirium paranoika.

– A ty dlaczego nie idziesz, Edwardzie? – pytam.

– Na co mi – oświadcza tonem wyższości. – Mam wszystko, czego potrzebuję.

– Tak? Czyżby?

Wiem, co mi chce zasugerować, ale wiem również, że kłamie.

– On sypia ze wszystkimi pokojówkami swojego hotelu – wtrąca Hans Hungermann. – Jeśli nie chcą, to je zwalnia. To prawdziwy przyjaciel ludu.

– Pokojówki! To ty byś tak robił! Wolne rytmy, wolna miłość! Ja nie! Nigdy we własnym domu! Stare hasło wyborcze.

– Z klientkami również nie?

– Klientki. – Edward wznosi oczy ku niebu. – W takim wypadku, naturalnie, nie zawsze można sobie dać radę. Księżna von Bell-Armin na przykład…

– Co na przykład? – pytam, gdy Edward urywa.

Kryguje się:

– Dżentelmen powinien być dyskretny.

Hungermann dostaje napadu kaszlu.

– Piękna dyskrecja! Ile lat ona miała? Osiemdziesiąt?

Edward śmieje się lekceważąco – ale w następnej chwili śmiech opada z niego jak maska, przy której pękła tasiemka; wszedł Walenty Busch. Nie jest on wprawdzie człowiekiem pióra, ale mimo to postanowił przyłączyć się do nas. Chce być obecny, gdy Otto Bambuss będzie tracił dziewictwo.

– Jak tam leci, Edwardzie? – mówi. – Cieszysz się, że jeszcze żyjesz, co? Inaczej nie miałbyś tej przyjemności z księżną.

– Skąd wiesz, że to prawda? – pytam zaskoczony.

– Usłyszałem z korytarza. Rozmawiacie dość głośno. Widać jesteście już trochę pod gazem. W każdym razie winszuję Edwardowi tej księżnej z całego serca. Cieszę się, że to właśnie ja go uratowałem i umożliwiłem mu to przeżycie.

– To było dawno przed wojną – wtrąca szybko Edward, który wietrzy nowy zamach na swoją piwnicę.

– Dobra, dobra – odpowiada Walenty pobłażliwie. – Po wojnie też już dzielnie się spisywałeś i przeżyłeś różne piękne rzeczy.

– W tych czasach?

– Właśnie w tych czasach! Gdy człowiek jest zrozpaczony, łatwiej się rzuca na różne przygody. A właśnie księżne, baronówny i hrabianki są w tych czasach szczególnie zrozpaczone. Inflacja, republika, nie ma już cesarskiej armii, od tego może pęknąć arystokratyczne serce! Co sądzisz o butelce czegoś dobrego, Edwardzie?

– Teraz nie mam czasu – odpowiada przytomnie Edward. – Bardzo mi przykro, Walenty, ale dziś nic z tego. Klub urządza wycieczkę.

– To ty też idziesz? – pytam.

– Jasne! Jako skarbnik! Muszę! Poprzednio nie pomyślałem o tym! To mój obowiązek.

Śmieję się. Walenty mruga do mnie i nie mówi, że on również idzie. Edward uśmiecha się, bo myśli, że zaoszczędził butelkę. Wszystko więc jest w najpiękniejszej harmonii.

Wyruszamy. Jest wspaniały wieczór. Idziemy na ulicę Kolejową 12. Miasto ma dwa domy publiczne, ale ten przy Kolejowej jest bardziej elegancki. Znajduje się poza miejscowością, w małym domku otoczonym topolami. Znam go doskonale – spędziłem

w nim część swojej młodości, nie wiedząc, co się tam odbywa. W wolne od lekcji popołudnia zwykle łapaliśmy salamandry i ryby w strumieniach i stawach za miastem, a na łąkach motyle i chrabąszcze. Pewnego szczególnie gorącego dnia, szukając jakiejś gospody, żeby się napić lemoniady, trafiliśmy na ulicę Kolejową 12. Duża sala na parterze wyglądała jak w innych gospodach. Była chłodna, a gdy zapytaliśmy o wodę selcerską, natychmiast ją nam podano. Po chwili zjawiło się kilka kobiet w szlafrokach lub kwiecistych sukniach. Spytały nas, co robimy i w której klasie jesteśmy. Zapłaciliśmy za wodę i następnego upalnego dnia przyszliśmy znowu, tym razem z książkami, które wzięliśmy, żeby na dworze nad strumieniem odrobić nasze zadania. Uprzejme kobiety znów się zjawiły i interesowały się nami po macierzyńsku. Zaglądały każdemu przez ramię i pomagały, jakby były naszymi przyjaciółkami. Pilnowały, żebyśmy odrobili nasze pisemne zadania, kontrolowały nasze stopnie, przepytywały nas z tego, czego mieliśmy się nauczyć na pamięć, dawały nam czekoladę, gdy byliśmy grzeczni, a niekiedy lekkiego klapsa za lenistwo. Nie mieliśmy przy tym żadnych ubocznych myśli; byliśmy jeszcze w tym szczęśliwym wieku, kiedy kobiety nie mają znaczenia. W krótkim czasie te pachnące fiołkami i różami damy zajęły stanowiska naszych matek i wychowawczyń. Sprawą zajmowały się solidnie i gdy tylko wchodziliśmy w drzwi, zdarzało się, że kilka bogiń w jedwabiu i lakierkach pytało nas z przejęciem: – Jak poszła klasówka z geografii? Dobrze czy źle? – Moja matka przeważnie leżała wtedy w szpitalu i tak się złożyło, że część mego wychowania zawdzięczam domowi publicznemu w Werdenbrück, a mogę tylko dodać, że było ono bardziej surowe niż w moim własnym domu. Przychodziliśmy przez dwa lata, a potem zajęliśmy się turystyką i mieliśmy mniej czasu, ponadto moja rodzina przeniosła się do innej dzielnicy miasta.

Byłem jeszcze raz na Kolejowej podczas wojny, w przeddzień wyjazdu na front. Mieliśmy ledwie po osiemnaście lat, niektórzy nawet mniej, i większość z nas nigdy nie miała do czynienia z kobietą. Nie chcieliśmy jednak zginąć, nie dowiedziawszy się wpierw, jak to wygląda, i dlatego w pięciu poszliśmy do przybytku

na ulicy Kolejowej, który przecież znaliśmy z dawnych lat. Panował tu wielki ruch. Zamówiliśmy wódkę i piwo. Kiedy już dosyć wypiliśmy dla dodania sobie odwagi, chcieliśmy spróbować szczęścia. Willy, najodważniejszy z nas, zaczął pierwszy. Zatrzymał Fritzi, najbardziej uwodzicielską ze wszystkich dam.

– No, skarbie, jak tam? – zagaił.

– Dobra – odparła Fritzi przez hałas i dym, nie spojrzawszy nawet na niego. – Masz forsę?

– Aż nadto. – Willy pokazał swój żołd i pieniądze, które mu dała matka, żeby zamówił mszę na intencję szczęśliwego powrotu z wojny.

– To świetnie! Niech żyje ojczyzna! – rzekła Fritzi z roztargnieniem i spojrzała w stronę bufetu. – Chodź na górę!

Willy wstał i zdjął czapkę. Fritzi zatkało. Wytrzeszczyła oczy na jego ognistoczerwoną czuprynę. Włosy Willy'ego odznaczały się jedynym w swoim rodzaju połyskiem, a Fritzi po siedmiu latach oczywiście go poznała.

– Chwileczkę – powiedziała. – Czy pan ma na imię Willy?

– Jak najbardziej! – oświadczył rozpromieniony Willy.

– To ty odrabiałeś u nas lekcje?

– Zgadza się!

– Tak – i teraz chcesz iść ze mną do pokoju?

– Naturalnie! Przecież się znamy.

Willy uśmiechał się od ucha do ucha. W następnej chwili dostał w pysk, aż klasnęło.

– Ty prosiaku! – wrzasnęła Fritzi. – I ty chcesz iść ze mną do łóżka? To już najostatniejsza bezczelność!

– Jak to? – wyjąkał Willy. – Wszyscy inni tutaj…

– Wszyscy inni! Co mnie obchodzą inni? Czy innych przepytywałam z katechizmu? Rozwiązywałam im zadania? Uważałam, żeby się nie przeziębili, ty przeklęty szczeniaku?

– Ale teraz mam już siedemnaście i pół…

– Zamknij gębę! To zupełnie tak, jakbyś, cymbale jeden, chciał zgwałcić własną matkę! Jazda stąd, ty małoletni chamie!

– On jutro wyrusza na wojnę – powiedziałem. – Nie ma pani ani trochę patriotycznego zrozumienia?

Spojrzała na mnie.

– Czy to nie ty wypuściłeś tu żmije? Na trzy dni musieliśmy zamknąć zakład, zanim nie odnaleźliśmy tych gadów!

– Nic podobnego – broniłem się. – One mi uciekły.

Zanim zdążyłem jeszcze cokolwiek powiedzieć, również i ja dostałem w pysk.

– Łobuzy! Już was tu nie ma!

Hałas sprowadził bajzelmamę. Wzburzona Fritzi wyjaśniła jej całą sprawę. Oczywiście bajzelmama natychmiast poznała Willy'ego.

– Rudy! – wychrypiała. Ważyła dwieście czterdzieści funtów i drżała ze śmiechu jak góra galarety podczas trzęsienia ziemi. – I ty! Czy ty się nie nazywasz Ludwik?

– Tak – powiedział Willy. – Ale teraz jesteśmy żołnierzami i mamy prawo do stosunków płciowych.

– Tak, macie prawo! – Bajzelmama zatrzęsła się znowu. – Pamiętasz, Fritzi, jak się bał, czy jego ojciec się nie dowie, że to on rzucił te śmierdzące bomby na lekcji religii? A teraz ma prawo do stosunków płciowych! Ho, ho, ho!

Fritzi nie widziała w tym nic śmiesznego. Była naprawdę wściekła i obrażona.

– Jakby mój własny syn…

Aż dwóch mężczyzn musiało utrzymywać bajzelmamę w pozycji pionowej. Łzy ciekły jej po twarzy. Bąble śliny wyskakiwały w kącikach ust. Obiema rękami trzymała się za skaczący brzuch.

– Lemoniada – wykrztusiła. – Lemoniada pomarańczowa! Czy to nie był… – parskanie i rzężenie – wasz najbardziej ulubiony napój?

– Teraz pijemy wódkę i piwo – odpowiedziałem. – Teraz jesteśmy dorośli.

– Dorośli! – Nowy atak zadyszki u bajzelmamy, przeraźliwe szczekanie jej dwóch dogów, które myślały, że ją napadnięto. Cofnęliśmy się ostrożnie.

– Jazda stąd, wy niewdzięczne świnie! – krzyknęła nieprzejednana Fritzi.

– Dobrze – oznajmił Willy przy drzwiach. – Pójdziemy na ulicę Kołową.

Staliśmy na jezdni w mundurach, z morderczą bronią i piekącymi policzkami. Ale nie poszliśmy na Kołową, do drugiego burdelu w mieście. Trzeba byłoby tam iść ze dwie godziny przez całe Werdenbrück, więc zamiast tego poszliśmy się ogolić. I to również był pierwszy raz w życiu, a ponieważ nie znaliśmy stosunku z kobietą, różnica nie wydawała nam się tak wielka, zwłaszcza że fryzjer również nas obraził, zalecając nam gumkę do ołówka na nasze brody. Później spotkaliśmy dwóch znajomych i niebawem wypiliśmy tyle, że zapomnieliśmy o wszystkim. W rezultacie wyruszyliśmy w pole jako dziewice i siedemnastu z nas poległo, nie zaznawszy kobiety. Willy i ja straciliśmy dziewictwo później, w Houthoulst we Flandrii, w pewnym *estaminet*. Willy złapał przy tym trypra, poszedł do lazaretu i uniknął w ten sposób bitwy we Flandrii, w której padło siedemnastu prawiczków. Z tego wywnioskowaliśmy już wtedy, że cnota nie zawsze się opłaca.

Wędrujemy przez ciepłą letnią noc. Otto Bambuss trzyma się mnie, jako jedynego z całej grupy, który się przyznaje, że zna burdel. Inni znają go również, udają jednak niewinnych, a jedyny, który twierdzi, że jest tam codziennym gościem, Paul Schneeweiss, dramaturg i twórca monografii *Adam*, kłamie; nigdy w życiu tam nie był.

Ottonowi pocą się ręce. Spodziewa się kapłanek lubieżności, bachantek i demonicznych, drapieżnych bestii i nie jest całkiem pewny, czy nie zostanie odwieziony z powrotem oplem Edwarda, z wyrwaną wątrobą, a przynajmniej bez jąder. Pocieszam go:

– Okaleczenia zdarzają się najwyżej raz albo dwa razy w tygodniu, Otto! I przeważnie są o wiele bardziej niewinne. Przedwczoraj Fritzi oderwała ucho jednemu gościowi, ale, o ile wiem, ucho można zawsze przyszyć albo zastąpić przez zupełnie podobne ucho celuloidowe.

– Ucho? – Otto staje.

– Są oczywiście panie, które nie obrywają uszu – odpowiadam. – Ale z tymi nie będziesz miał do czynienia. Chcesz przecież

poznać prasamicę w całej jej wspaniałości.

– Ucho to jednak poważna ofiara – oświadcza Otto, spocona tyczka, i przeciera binokle.

– Poezja wymaga ofiar. Z oberwanym uchem będziesz krwistym lirykiem w najprawdziwszym sensie tego słowa. Chodź!

– Tak, ale ucho! Coś, co wszyscy widzą!

– Gdybym miał wybór – oświadcza Hans Hungermann – to, mówiąc szczerze, wolałbym mieć urwane ucho, niż zostać wykastrowany.

– Co? – Otto znowu staje. – Żartujecie! Takie rzeczy się nie zdarzają!

– Zdarzają się – oświadcza Hungermann. – Namiętność jest zdolna do wszystkiego. Ale uspokój się, Otto: za kastrację prawo wymierza karę. Kobieta dostaje za to przynajmniej parę miesięcy więzienia, będziesz więc pomszczony.

– Nonsens! – bełkocze Bambuss, uśmiechając się z trudem. – Stroicie sobie ze mnie idiotyczne żarty!

– Dlaczego mamy stroić żarty? – pytam. – To byłoby podłe. Dlatego polecam ci Fritzi. Ona jest fetyszystką uszu. Jak ogarnie ją namiętność, trzyma swego partnera kurczowo za oba uszy. Człowiek ma absolutną pewność, że nie zostanie uszkodzony w innym miejscu. Trzeciej ręki to ona nie ma.

– Ale ma jeszcze dwie nogi – wyjaśnia Hungermann. – Te panie potrafią zdziałać nogami prawdziwe cuda. Specjalnie nie obcinają paznokci i ostrzą je.

– Łżecie – mówi udręczony Otto. – Dajcie spokój tym głupstwom!

– Słuchaj – mówię. – Nie chciałbym, żeby cię okaleczono. W ten sposób zyskałbyś emocjonalnie, ale bardzo stracił duchowo, a twojej liryce wyszłoby to na złe. Mam tu pilnik do paznokci, mały, poręczny, zrobiony dla człowieka używającego życia, który zawsze musi być elegancki. Schowaj ten pilnik. Trzymaj go w zaciśniętej pięści albo ukryj gdzieś w materacu, zanim się wszystko zacznie. Jeśli zauważysz, że robi się zbyt niebezpiecznie, wystarczy małe, nieszkodliwe ukłucie w tyłek Fritzi. Nie musi być nawet do krwi. Każdy człowiek puszcza trzymany przedmiot, gdy go coś ukłuje,

nawet komar, i chwyta się za miejsce ukłucia. To podstawowe prawo świata. A ty tymczasem uciekniesz.

Wyjmuję kieszonkowe etui z czerwonej skóry, w którym tkwi grzebień i pilnik. To podarunek tej zdrajczyni Erny. Grzebień jest z imitacji szylkretu. Fala spóźnionej wściekłości podnosi się we mnie, gdy go wyjmuję.

– Daj mi również grzebień – prosi Otto.

– Grzebieniem nie będziesz jej dziabał, ty niewinny satyrze – oświadcza Hungermann. – To nie jest broń w walce płci. Złamie się na jędrnym ciele menady.

– Nie chcę nim dziabać. Chcę się po wszystkim uczesać.

Hungermann i ja patrzymy na siebie. Zdaje się, że Bambuss już nam nie wierzy.

– Nie masz przy sobie paru opatrunków? – pyta mnie Hungermann.

– Nie trzeba. Bajzelmama ma całą aptekę.

Bambuss zatrzymuje się znowu.

– To przecież wszystko bzdury! Ale jak wygląda sprawa chorób wenerycznych?

– Dziś jest sobota. Wszystkie panie były badane dziś po południu. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, Otto.

– Wy wszystko wiecie, co?

– Wiemy to, co jest potrzebne do życia – odpowiada Hungermann. – Zazwyczaj jest to coś zupełnie innego, niż uczą w szkołach i instytutach wychowawczych. Dlatego jesteś takim unikatem, Otto.

– Za pobożnie mnie wychowywano – wzdycha Bambuss. – Wyrosłem w strachu przed piekłem i syfilisem. Jak w tych warunkach można rozwijać niemiecką lirykę?

– Mógłbyś się ożenić.

– To jest mój trzeci kompleks. Strach przed małżeństwem. Moja matka wykończyła mojego ojca. Tylko płaczem. Czy to nie dziwne?

– Nie – mówimy unisono z Hungermannem i podajemy sobie potem ręce. Oznacza to siedem dalszych lat życia. Złe czy dobre, życie jest życiem – to spostrzega się dopiero wtedy, gdy człowiek zmuszony jest je ryzykować.

Zanim wchodzimy do sielsko wyglądającego domu z topolami, czerwoną latarnią i kwitnącym przy oknie geranium, wzmacniamy się paroma łykami wódki. Przynieśliśmy ze sobą butelkę i puszczamy ją w obieg. Nawet Edward, który pojechał naprzód swoim oplem i czekał na nas, pije z nami; rzadko się zdarza, żeby dostawał coś za darmo, więc korzysta z okazji. Ten sam łyk, który pijemy teraz mniej więcej w cenie dziesięciu tysięcy marek za kieliszek, za sekundę będzie kosztował w burdelu czterdzieści tysięcy – dlatego zabraliśmy z sobą butelkę. Aż do progu żyjemy oszczędnie – potem dostaniemy się w ręce madame.

Otto przeżywa początkowo wielkie rozczarowanie. W sali restauracyjnej oczekiwał orientalnej scenerii z lamparcimi skórami, meczetowymi amplami i duszącymi perfumami; tymczasem damy są wprawdzie lekko odziane, ale przypominają raczej pokojówki. Pyta mnie po cichu, czy nie ma tu Murzynek albo Kreolek. Pokazuję mu chudą, czarnowłosą postać.

– Tamta ma kreolską krew. Dopiero co wyszła z więzienia. Zamordowała męża.

Otto wątpi. Ożywia się dopiero, gdy wchodzi Żelazna Szkapa. To imponująca postać w wysokich sznurowanych butach, czarnej bieliźnie, swoistym uniformie pogromcy lwów, szarej futrzanej czapce astrachańskiej i z ustami pełnymi złotych zębów. Pokolenia młodych liryków i redaktorów zdawały na niej egzamin życia i ona to postanowieniem zarządu została przeznaczona dla Ottona. Ona albo Fritzi. Nastawaliśmy, żeby pojawiła się w galowym stroju – i nie zawiodła nas. Aż ją zatkało, gdyśmy jej przedstawili Ottona. Z pewnością spodziewała się kogoś świeższego, młodszego. Bambuss jest zmięty, blady, chudy, krostowaty, ma skąpy wąsik i już dwadzieścia sześć lat. Poza tym poci się w tej chwili jak rzodkiew w soli. Żelazna Szkapa rozwiera swą złotą paszczękę w dobrotliwym uśmiechu i szturcha drżącego Bambussa w bok.

– Chodź, odpal koniaka – mówi przyjacielsko.

– Ile kosztuje koniak? – pyta Otto kelnerkę.

– Sześćdziesiąt tysięcy.

– Co? – woła zaniepokojony Hungermann. – Czterdzieści i ani feniga więcej!

– Feniga – powtarza bajzelmama. – Tego słowa dawno już nie słyszałam.

– Czterdzieści tysięcy to było wczoraj, skarbie – wyjaśnia Żelazna Szkapa.

– Czterdzieści tysięcy było dziś rano. Dziś rano tu przyszedłem z polecenia komitetu.

– Jakiego komitetu?

– Komitetu Odnowienia Liryki przez Bezpośrednie Doświadczenie.

– Skarbie – mówi Żelazna Szkapa. – To było przed nowym kursem dolara.

– To było po kursie dolara o jedenastej.

– Ale przed kursem popołudniowym – oznajmia bajzelmama. – Nie bądźcie tacy skąpi!

– Sześćdziesiąt tysięcy to cena według kursu na pojutrze – stwierdzam.

– Na jutro. Każda godzina przybliża nas do niego. Kurs dolara jest jak śmierć. Nie można od niego uciec. Czy ty się nie nazywasz Ludwik?

– Rolf – odpowiadam zdecydowanie. – Ludwik nie wrócił z wojny.

Hungermanna ogarniają nagle złe przeczucia.

– A taksa? – pyta. – Jak z taksą? Umówiliśmy się na dwa miliony. Z rozbieraniem i półgodzinną rozmową po wszystkim. Rozmowa jest ważna dla naszego kandydata.

– Trzy – odpowiada Żelazna Szkapa flegmatycznie. – To i tak tanio.

– Zdrada, koledzy! – wrzeszczy Hungermann.

– A wiesz ty, ile kosztują dzisiaj wysokie buty, takie prawie aż do tyłka? – pyta Żelazna Szkapa.

– Płacimy dwa miliony i ani grosza więcej! Jeśli nawet tutaj nie dotrzymuje się umów, cóż się stanie ze światem?

– Umowy! Co znaczą umowy, kiedy kurs chwieje się jak pijany?

Mateusz Grund, który jako autor księgi o śmierci dotychczas milczał, podnosi się.

– Widzę, że mamy tu pierwszy bajzel zarażony nacjonalizmem – oświadcza wściekły. – Umowy to świstki papieru, co?

– Umowy i pieniądze – odpowiada niezłomnie Żelazna Szkapa. – Ale buty z cholewami to buty z cholewami, a czarna bielizna to czarna bielizna. Wszystko wariacko drogie. Dlaczego nie weźmiecie średniej klasy dla waszego konfirmanta? Tak jak przy pogrzebach – są paradne i nie. Druga klasa wystarczy aż nadto dla tego gościa!

Na to nie można nic odpowiedzieć. Dyskusja osiągnęła martwy punkt. Nagle Hungermann odkrywa, że Otto Bambuss potajemnie wypił nie tylko własny koniak, lecz także kieliszek Żelaznej Szkapy.

– Jesteśmy zgubieni – mówi. – Musimy zapłacić, ile te hieny z Wall Street od nas żądają. Tego nie powinieneś był robić, Otto! Teraz musimy prościej urządzić twoje wprowadzenie w życie. Bez pompy i Żelaznej Szkapy.

W tym momencie na szczęście wchodzi Willy. Z czystej ciekawości interesuje się przekształceniem Ottona w mężczyznę i pokrywa różnicę, nie mrugnąwszy okiem. Potem zamawia dla wszystkich sznapsa i oświadcza, że zarobił dziś dwadzieścia pięć milionów na akcjach. Część tej sumy chce przechlać.

– Więc naprzód, chłopcze – mówi do Ottona. – I wracaj jako mężczyzna.

Otto znika.

Przysiadam się do Fritzi. Stare sprawy zostały od dawna zapomniane; nie uważa nas już za półdzieci, od czasu jak jej syn poległ na wojnie. Był kapralem i kula dosięgła go na trzy dni przed zawieszeniem broni. Rozmawiamy o przedwojennych czasach. Opowiada mi, że jej syn studiował muzykę w Lipsku. Grał na oboju. Obok nas potężna bajzelmama pieści doga siedzącego na jej kolanach. Nagle z góry dolatuje krzyk. Potem słychać łomot i zjawia się Otto w kalesonach, ścigany przez rozwścieczoną Żelazną Szkapę, która tłucze go blaszaną miską. Otto biegnie w pięknym

stylu, wyskakuje na dwór, a my we trójkę powstrzymujemy Żelazną Szkapę.

– Ta przeklęta łamaga! – sapie. – Dźgnął mnie nożem!

– To nie był nóż – mówię pełen złych przeczuć.

– Co? – Żelazna Szkapa odwraca się i pokazuje czerwoną plamę na swojej czarnej bieliźnie.

– To nie krew. On miał tylko pilnik do paznokci.

– Pilnik do paznokci? – Szkapa wytrzeszcza na mnie oczy. – Tego jeszcze nie widziałam! Ta nędza kłuje mnie, zamiast ja jego! A po co mam wysokie buty? I zbiór pejczy? Chciałam być przyzwoita i dać mu ekstra małą próbkę sadyzmu; lekko trąciłam go w te chude giczoły, a ten podstępny okularnik rzuca się na mnie z pilnikiem do paznokci! Sadysta! Czy ja potrzebuję sadystów? Ja, marzenie masochistów? Taka zniewaga!

Uspokajamy ją podwójną kminkówką. Potem rozglądamy się za Bambussem. Stoi za krzakiem bzu i obmacuje sobie głowę.

– Chodź, Otto, niebezpieczeństwo zażegnane! – woła Hungermann.

Bambuss wzbrania się. Żąda, żebyśmy mu rzucili ubranie.

– Nie ma tak dobrze – oświadcza Hungermann. – Trzy miliony to trzy miliony. Zapłaciliśmy za ciebie.

– Zażądajcie pieniędzy z powrotem! Nie pozwolę się bić!

– Dżentelmen nigdy nie żąda zwrotu pieniędzy od damy. A my zrobimy z ciebie dżentelmena, choćbyśmy mieli ci łeb rozwalić. Smagnięcie batem to była uprzejmość. Żelazna Szkapa jest sadystką.

– Co?

– Specjalistką od masochistów. Zapomnieliśmy ci o tym powiedzieć. Ale powinieneś się cieszyć, że coś takiego przeżyłeś. To rzadko się zdarza w małych miasteczkach.

– Wcale się nie cieszę. Rzućcie mi moje rzeczy.

Udaje nam się sprowadzić go do środka, gdy się już ubrał za krzakiem bzu. Dajemy mu coś wypić, ale nie można go zmusić, by odszedł od stołu. Twierdzi, że nastrój mu już minął. Hungermann zawiera wreszcie umowę z Żelazną Szkapą i madame. Bambuss ma prawo przyjść tu w ciągu tygodnia bez dopłaty.

Pijemy dalej. Po pewnym czasie spostrzegam, że Otto mimo wszystko zaczyna się zapalać. Od czasu do czasu zezuje na Żelazną Szkapę i nie troszczy się o inne panie. Willy zamawia kolejną kminkówkę. Dostrzegamy nieobecność Edwarda. Po półgodzinie wynurza się spocony i zapewnia, że był na spacerze. Kminkówka działa na wszystkich.

Otto Bambuss wyciąga nagle papier i ołówek i potajemnie robi notatki. Zaglądam mu przez ramię. Widzę tytuł: *Tygrysica*.

– Nie możesz trochę poczekać ze swoimi wolnymi rytmami i hymnami? – pytam.

Potrząsa głową.

– Świeże wrażenie jest najważniejsze.

– Ale ty tylko raz dostałeś pejczem po tyłku i parę razy miednicą po łbie. Co w tym jest tygrysiego?

– To już zostaw mnie! – Bambuss wlewa w siebie kieliszek przez strzępiaste wąsy. – Teraz dochodzi do głosu potęga wyobraźni! Już kwitnę wierszami jak krzak róży! Co znaczy zresztą krzak róży? Jak orchidea w dżungli!

– Uważasz, że już ci wystarczy doświadczeń?

Otto rzuca na Żelazną Szkapę spojrzenie pełne lubieżności i trwogi.

– Tego nie wiem. Ale na mały tomik na pewno wystarczy.

– Zastanów się! Wyłożyliśmy za ciebie trzy miliony. Jeżeli ich nie potrzebujesz, to lepiej je przepijmy.

– To przepijmy.

Bambuss wlewa w siebie następny kieliszek. Pierwszy raz widzimy go w takim stanie. Przedtem jak zarazy unikał alkoholu, a przede wszystkim wódki. Jego liryka dojrzewała przy kawie i winie porzeczkowym.

– Co powiesz na Ottona? – pytam Hungermanna. – To z pewnością uderzenia miską w głowę tak podziałały.

– Drobnostka – odpowiada radośnie Otto. Wypił podwójną kminkówkę i szczypie w tyłek Żelazną Szkapę, która właśnie przechodzi obok niego. Szkapa staje, jakby trafiła ją błyskawica. Potem odwraca się powoli i patrzy na Ottona jak na rzadkiego owada. Wyciągamy ramiona, żeby osłabić cios, którego się spodzie-

wamy. Dla pań w wysokich butach czułości tego typu są śmiertelną obrazą. Otto wstaje chwiejnie, uśmiecha się nieprzytomnie, obchodzi Szkapę naokoło i znienacka wymierza jeszcze lekkiego klapsa po czarnej bieliźnie.

Zapada martwa cisza. Wszyscy oczekują mordu. Ale Otto obojętnie siada znowu, kładzie głowę na rękach i natychmiast zasypia.

– Nie zabijaj śpiącego – zaklina Szkapę Hungermann. – Jedenaste przykazanie boskie!

Żelazna Szkapa otwiera potężne usta w bezgłośnym uśmiechu. Wszystkie złote plomby połyskują. Potem gładzi rzadkie, miękkie włosy Ottona.

– Dzieci – mówi – gdyby człowiek mógł być jeszcze raz taki młody i taki głupi!

Wyruszamy z powrotem. Edward odwozi Hungermanna i Bambussa do miasta. Topole szumią. Dogi szczekają. Żelazna Szkapa stoi w oknie na pierwszym piętrze i macha kozacką papachą. Nad burdelem błyszczy blady księżyc. Mateusz Grund, autor księgi o śmierci, wyłazi nagle z rowu przed nami. Myślał, że potrafi przejść po wodzie. Okazało się, że się mylił. Willy idzie obok mnie.

– Co za życie! – mówi z rozmarzeniem. – I pomyśleć, że człowiek właściwie zarabia pieniądze we śnie! Jutro dolar znowu podskoczy w górę, a akcje jak ruchliwe małpki wdrapią się za nim!

– Nie psuj nam wieczoru. Gdzie twoje auto? Rodzi ci młode; tak jak twoje akcje?

– Renée je wzięła. Używa przed Czerwonym Młynem. Między występami wyjeżdża z koleżankami na spacer. Pękają z zazdrości.

– Pobieracie się?

– Jesteśmy zaręczeni – wyjaśnia Willy. – Jeśli wiesz, co to znaczy.

– Mogę sobie wyobrazić.

– Zabawne! – mówi Willy. – Ona często przypomina mi teraz porucznika Hellego, tego cholernego hycla, który tak nam zatruwał życie, zanim zostaliśmy dopuszczeni do bohaterskiej śmierci. Zupełnie to samo. Wstrząsająca rozkosz, trzymać Hellego za kark

i pieprzyć go. Nigdy nie myślałem, że mi to będzie sprawiało przyjemność, możesz mi wierzyć.

– Wierzę ci.

Idziemy przez ciemne, kwitnące ogrody. Dolatuje nas zapach nieznanych kwiatów.

– Jak słodko poświata księżycowa śpi na pagórkach – mówi ktoś i podnosi się z ziemi niby duch.

To Hungermann. Jest mokry jak Mateusz Grund.

– Co się stało? – pytam. – U nas nie było deszczu.

– Edward nas wysadził. Dla niego za głośno śpiewaliśmy. Dostojny właściciel hotelu. Potem chciałem trochę odświeżyć Ottona i obaj wpadliśmy do strumienia.

– Wy także? Gdzie jest Otto? Szuka Mateusza Grunda?

– Łowi ryby.

– Co?

– Niech to diabli! – mówi Hungermann. – Mam nadzieję, że nie wpadł. On nie umie pływać.

– Głupstwo. Strumień ma metr głębokości.

– Otto utopiłby się nawet w kałuży. Kocha swoją ojczyznę.

Znajdujemy Bambussa, który trzyma się poręczy mostka i wygłasza kazanie do ryb.

– Niedobrze ci, Franciszku? – pyta Hungermann.

– Tak – odpowiada Bambus i chichocze, jakby to było szalenie komiczne. Potem szczęka zębami.

– Zimno – jęczy. – Nie jestem człowiekiem natury.

Willy wyciąga butelkę kminkówki z kieszeni.

– Kto was znowu ratuje? Przezorny wujaszek Willy. Ratuje was przed zapaleniem płuc i zimną śmiercią.

– Szkoda, że nie ma tu z nami Edwarda – mówi Hungermann. – Mógłby go pan również wyratować, a potem zrobić interes do spółki z Walentym Buschem. Zbawcy Edwarda. To by go dobiło.

– Niech pan da spokój z tymi nędznymi dowcipami – mówi Walenty, który stoi za nim. – Kapitał powinien być dla pana rzeczą świętą, czy też jest pan może komunistą? Z nikim się nie dzielę. Edward należy do mnie.

Wszyscy pijemy. Kminkówka połyskuje jak bursztyn w świetle księżyca.

– Chcesz jeszcze dokądś iść? – pytam Willy'ego.

– Do stowarzyszenia Boda Ledderhosego. Chodźcie ze mną. Będziecie się mogli wysuszyć.

Nikomu nie przychodzi o głowy, że prościej byłoby iść do domu. Nawet poecie śmierci. Płyny zdają się mieć dziś wieczorem potężną siłę przyciągania.

Idziemy dalej nad brzegiem strumienia. Księżyc błyszczy w wodzie. Można go pić – kto to kiedyś powiedział?

XV

Późne lato wisi w duchocie nad miastem, dolar podskoczył o dalsze dwieście tysięcy marek, głód wzrasta, ceny się podniosły, a całość wygląda bardzo prosto: ceny wzrastają szybciej niż płace – a więc część narodu, żyjąca z wynagrodzeń za pracę, pensji, rent i emerytur, pogrąża się w coraz bardziej beznadziejnej nędzy, a druga dusi się w niepewnym bogactwie. Rząd przygląda się temu. Dzięki inflacji pozbywa się swoich długów; tego, że jednocześnie traci naród, nikt nie widzi.

Mauzoleum zamówione przez panią Niebuhr zostało ukończone. Jest obrzydliwe, kamienna buda z kolorowym szkłem, łańcuchami z brązu i chodnikami z lastryka, mimo że nie zostały wykonane roboty rzeźbiarskie, jakie opisywałem wdowie. Ale teraz pani Niebuhr nie chce zamówienia odebrać. Stoi na podwórzu, ma w ręku kolorową parasolkę, na głowie słomkowy kapelusz z lakierowanymi wiśniami i łańcuch sztucznych pereł na szyi. Obok niej stoi indywiduum w nieco za ciasnym garniturze w kratkę i z getrami na butach. Piorun strzelił, żałoba minęła, pani Niebuhr się zaręczyła. Zmarły mąż nagle stał się jej obojętny. Indywiduum nazywa się Ralf Lehmann i używa tytułu radcy przemysłowego. Jak na eleganckie imię i zawód, garnitur wygląda na dość znoszony. Krawat jest nowy; również pomarańczowe skarpetki są nowe – prawdopodobnie pierwsze podarunki szczęśliwej narzeczonej.

Walka trwa. Pani Niebuhr twierdzi początkowo, że w ogóle nic nie zamawiała.

– Macie panowie coś na piśmie? – pyta triumfująco.

Nie mamy nic na piśmie. Georg wyjaśnia łagodnie, że w naszym zawodzie nie jest to potrzebne. W obliczu śmierci obowiązuje nadal uczciwość i wiara. Poza tym mamy tuzin świadków. Swoimi żądaniami pani Niebuhr doprowadziła do szaleństwa naszych kamieniarzy, naszego rzeźbiarza i nas samych. Poza tym wpłaciła zaliczkę.

– Właśnie o to chodzi – oświadcza pani Niebuhr ze zdumiewającą logiką. – Zaliczkę chcemy otrzymać z powrotem.

– A więc zamówiła pani mauzoleum?

– Nie zamówiłam. Wpłaciłam tylko zaliczkę.

– Co pan powie na to oświadczenie, panie Lehmann? – pytam. – Jako radca przemysłowy?

– To się zdarza – odpowiada Ralf jak dżentelmen i chce nam wyjaśnić różnicę.

Georg mu przerywa. Oświadcza, że nie ma również żadnego dowodu na wpłatę zaliczki.

– Co? – Ralf odwraca się do pani Niebuhr. – Emilio! Nie masz pokwitowania?

– Nie wiem – jąka pani Niebuhr. – Kto mógł wiedzieć, że oni zaczną się wypierać! Tacy oszuści!

– Taka głupota!

Emilia kurczy się. Ralf patrzy na nią z wściekłością. Nagle przestał być dżentelmenem. Wielki Boże, myślę, przedtem miała wieloryba – teraz złapała rekina.

– Nikt nie twierdzi, że pani nic nie zapłaciła – mówi Georg. – Powiedzieliśmy tylko, że nie ma dowodów pisemnych zarówno na zaliczkę, jak i na zamówienie.

Ralf czuje się podniesiony na duchu.

– No więc – mówi.

– Poza tym – oznajmia Georg – jesteśmy gotowi zatrzymać pomnik, jeśli pani nie chce go wziąć.

– No więc – powtarza Ralf.

Pani Niebuhr potakuje gorliwie. Patrzę zdumiony na Georga. Mauzoleum stanie się drugim bublem, bratem obelisku.

– A zaliczka? – pyta Ralf.

– Zaliczka oczywiście przepada – mówię. – Zawsze się to praktykuje w podobnych wypadkach.

– Co? – Ralf obciąga kamizelkę i prostuje się. Widzę, że jego spodnie są za krótkie i za wąskie. – Śmieszne! – mówi. – Z nami się tak sprawy nie załatwia.

– Z nami również nie. Zazwyczaj mamy klientów, którzy odbierają, co zamówili.

– Nic nie zamówiliśmy – wtrąca Emilia z nowym przypływem odwagi. Wiśnie na jej kapeluszu podskakują. – Poza tym cena była o wiele za wysoka.

– Spokój, Emilio! – parska Ralf. Pani Niebuhr kurczy się przerażona i zachwycona tym dowodem męskości. – Istnieją jeszcze sądy – dorzuca Ralf groźnie.

– Mamy nadzieję.

– Czy po ślubie będzie pani dalej prowadziła piekarnię? – pyta Georg Emilię.

Jest tak wystraszona, że bez słowa spogląda na swego narzeczonego.

– Jasne – odpowiada Ralf. – Oczywiście obok naszych interesów przemysłowych. Dlaczego?

– Bułki i ciastka z piekarni pani Niebuhr były zawsze bardzo dobre.

– Dziękuję – wdzięczy się Emilia. – A jak będzie z zaliczką?

– Zrobię pani pewną propozycję – oświadcza Georg i zaczyna ją kokietować. – Niech pani dostarcza nam przez miesiąc co rano po dwanaście bułek, a po południu sześć jabłeczników za darmo – wtedy pod koniec miesiąca zwrócimy pani zaliczkę i nie będzie pani musiała odbierać mauzoleum.

– Zgoda – mówi natychmiast pani Niebuhr.

– Spokój, Emilio! – Ralf daje jej szturchańca w bok. – Chciałby pan, co? – mówi jadowicie do Georga. – Zapłata za miesiąc! A ile wtedy będą warte te pieniądze?

– Niech państwo wezmą pomnik – odpowiadam. – Wtedy wszystko będzie w porządku.

Walka trwa jeszcze kwadrans. Potem znajdujemy wyjście kompromisowe. Oddajemy natychmiast połowę zaliczki, drugą za dwa

tygodnie. Świadczenia w naturze pozostają w mocy. Ralf nie może nam nic zrobić. Tym razem inflacja jest po naszej stronie. Wobec sądu liczby w dalszym ciągu są liczbami, obojętne, co oznaczają. Gdyby chciał uzyskać zwrot zaliczki na drodze sądowej, Emilii przyznano by pieniądze za rok – tę samą, co dziś, wtedy całkowicie bezwartościową sumę. Teraz rozumiem Georga – dobrze wychodzimy na tym interesie. Zaliczka warta jest zaledwie ułamek tego, co wtedy, gdy ją otrzymaliśmy.

– A co zrobimy z mauzoleum? – pytam po odejściu narzeczonych. – Będziemy go używać jako prywatnej kaplicy?

– Zmienimy trochę dach. Kurt Bach ustawi na wierzchu żałobnego lwa albo maszerującego żołnierza – ostatecznie anioła albo płaczącą Germanię. Wyjmiemy dwa okna, zastąpimy je marmurowymi płytami, na których będzie można wyryć nazwiska, i z mauzoleum otrzymamy…

Milknie.

– Mały pomnik poległych – uzupełniam. – Ale Kurt Bach nie potrafi wymodelować stojącego anioła, a także żołnierza ani Germanii. Najwyżej na płaskorzeźbie. Musimy pozostać przy naszym starym lwie. Ale na to dach jest za wąski. Lepszy byłby orzeł.

– Po co? Jedna łapa lwa może zwisać nad postumentem. Wtedy wszystko będzie dobrze.

– A może tak lew z brązu? Fabryki wyrobów metalowych dostarczają brązowe zwierzęta wszystkich rozmiarów.

– Armata – mówi Georg w zamyśleniu. – Rozbita armata to byłoby coś nowego.

– Tylko dla wsi, w której polegli sami artylerzyści.

– Słuchaj – mówi Georg. – Rusz trochę konceptem. Zrób parę rysunków, możliwie dużych i najlepiej kolorowych. Wtedy zobaczymy!

– A gdyby udało się jakoś wmontować obelisk do mauzoleum? Wtedy upieklibyśmy dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Georg parska śmiechem.

– Jeśli ci się to uda, zamówię dla ciebie jako premię całą skrzynkę Reinhardtshausenera, rocznik dwudziesty pierwszy. Marzenie, nie wino.

– Byłoby lepiej, gdybyś mi dostarczył jedną jedyną butelkę jako zaliczkę. Wtedy prędzej mi przyjdzie natchnienie.

– Dobrze, zaczniemy od jednej. Chodźmy do Edwarda.

Edward jak zwykle chmurzy się na nasz widok. – Niech się pan cieszy, panie Knobloch – mówi Georg i wyciąga garść banknotów z kieszeni. – Szeleszcząca gotówka uśmiecha się dziś do pana!

Edward rozjaśnia się.

– Rzeczywiście? No, kiedyś musiało do tego dojść. Może miejsce przy oknie?

W winiarni znów siedzi Gerda.

– Jesteś tu stałym gościem? – pytam kwaśno.

Śmieje się swobodnie.

– Jestem tu w interesach.

– W interesach?

– W interesach, panie sędzio śledczy – powtarza Gerda.

– Czy możemy panią zaprosić? – pyta Georg i szturcha mnie łokciem pod żebro, żebym się nie zachowywał jak muł.

Gerda spogląda na nas.

– Czy nie wypada, żebym to ja was zaprosiła, co?

– Z pewnością nie – mówię, ale nie mogę się powstrzymać, żeby nie dodać: – Edward wolałby raczej zerwać zaręczyny.

Gerda śmieje się, ale nic nie odpowiada. Ma na sobie ładną sukienkę z surowego jedwabiu tabaczkowego koloru. Jakimż osłem byłem! – myślę. Tu siedzi samo życie, a ja w swojej mętnej manii wielkości nic nie skapowałem!

Zjawia się Edward i chmurzy się znowu, gdy widzi nas z Gerdą. Spostrzegam, jak kalkuluje. Przypuszcza, że kłamaliśmy i znowu chcemy na nim pasożytować.

– Zaprosiliśmy pannę Schneider na obiad – mówi Georg. – Święcimy konfirmację Ludwika. Stopniowo dojrzewa na mężczyznę. Już nie uważa, że świat istnieje tylko ze względu na niego.

Georg ma więcej autorytetu niż ja. Edward znowu się rozjaśnia.

– Mamy wyśmienite kurczaki! – mówi i wysuwa wargi, jakby chciał zagwizdać.

– Każ nam podać normalny obiad – mówię. – U ciebie wszystko jest zawsze wyśmienite. A do tego butelkę Reinhardtshausenera, rocznik dwudziesty pierwszy.

Gerda patrzy na mnie.

– Wino w południe? Wygraliście na loterii? Dlaczego w takim razie nigdy nie przychodzicie do Czerwonego Młyna?

– Wygraliśmy tylko niewielki los – odpowiadam. – Nadal tam występujesz?

– To ty nie wiesz? Wstydź się! Edward wie. Zrobiłam sobie dwa tygodnie przerwy. Ale od pierwszego mam nowe engagement.

– W takim razie przyjdziemy – oświadcza Georg. – Choćbyśmy nawet mieli zastawić mauzoleum!

– Twoja przyjaciółka również wczoraj była – mówi do mnie Gerda.

– Erna? To nie jest moja przyjaciółka. Z kim była?

Gerda się śmieje.

– Co cię to obchodzi, jeśli nie jest już twoją przyjaciółką?

– Bardzo mnie obchodzi – odpowiadam. – Odruchy trwają długo, nawet jeśli są to drgawki czysto mechaniczne, jak u żaby pod wpływem prądu galwanicznego. Dopiero gdy człowiek zostanie całkowicie wyłączony, zaczyna interesować go wszystko, co dotyczy drugiej osoby. To jeden z paradoksów miłości.

– Za dużo myślisz. To jest szkodliwe.

– On właściwie nie myśli – mówi Georg. – Jego intelekt jest hamulcem dla uczuć, zamiast być dla nich podnietą.

– Chłopcy, ależ wy jesteście mądrzy! – oświadcza Gerda. – Czy mimo to potraficie jeszcze choć trochę cieszyć się życiem?

Georg i ja spoglądamy po sobie. Georg się śmieje. Ja jestem urażony.

– Myślenie to dla nas przyjemność – mówię i wiem, że kłamię.

– Biedne robaczki! To przynajmniej zjedzcie porządnie.

Reinhardtshausener znowu nam pomaga w trudnej sytuacji. Edward sam otwiera i próbuje. Udaje kipera, sprawdza, czy wino nie przeszło zapachem korka. W tym celu nalewa sobie pełny kieliszek średniej wielkości.

– *Excellent!* – mówi z wybitnie francuskim akcentem, gulgocze i mruga powiekami.

– Prawdziwym znawcom win wystarcza do spróbowania parę kropli – mówię.

– Mnie nie. Nie przy takim winie! Chciałbym was uraczyć czymś najlepszym.

Nic nie odpowiadamy. Mamy jeszcze asa w rezerwie. Zapłacimy niewyczerpanymi talonami za obiad Gerdy i nasz.

Edward nalewa.

– Nie zaprosicie i mnie na kieliszeczek? – pyta bezczelnie.

– Potem – mówię. – Wypijemy więcej niż jedną butelkę. Ale przy jedzeniu przeszkadzasz, bo jak bernardyn liczysz człowiekowi kęsy, które niesie do ust.

– Tylko wtedy gdy przychodzicie jako pasożyty ze swoimi talonami. – Edward obtańcowuje Gerdę jak nauczyciel gimnazjum, który ćwiczy się w walcu.

Gerda powstrzymuje napad śmiechu. Trąciłem ją pod stołem i pojęła natychmiast, co mamy w rezerwie dla Edwarda.

– Knobloch! – ryczy nagle ohydny bas koszarowy.

Edward podskakuje w górę, jakby go ktoś kopnął w tyłek. Za nim stoi, uśmiechając się niewinnie, Renée de la Tour we własnej osobie. Edward połyka przekleństwo.

– Że też ja zawsze daję się nabrać!

– Nie złość się – mówię. – To już masz w swojej wiernej niemieckiej krwi. Najszlachetniejsza spuścizna twoich posłusznych przodków.

Damy witają się jak dwaj uśmiechnięci agenci policji kryminalnej.

– Co za piękna suknia, Gerdo – grucha Renée. – Szkoda, że nie mogę nosić czegoś podobnego! Jestem na to za szczupła.

– Nie szkodzi – odpowiada Gerda. – Ja też uważam, że zeszłoroczna moda była bardziej elegancka. Szczególnie te zachwycające pantofle z jaszczurki, które masz na nogach. Z każdym rokiem coraz bardziej mi się podobają.

Spoglądam pod stół. Renée ma rzeczywiście pantofle z jaszczurzej skórki. Jak Gerda mogła to dostrzec na siedząco, należy do

wiecznych zagadek kobiety. Nie rozumiem, dlaczego uzdolnienia tej płci nigdy nie były wykorzystywane praktycznie – do obserwacji nieprzyjaciela z balonów na uwięzi przy stanowiskach artylerii albo do innych podobnych celów kulturalnych.

Willy przerywa te szczebioty. Wygląda jak marzenie w jasnoszarym kolorze. Garnitur, koszula, krawat, skarpetki, zamszowe rękawiczki – a nad tym, jak wybuch Wezuwiusza, czerwona czupryna.

– Wino! – woła. – Grabarze hulają! Przepijają ból czyjejś rodziny! Czy i ja jestem zaproszony?

– Nie zarobiliśmy naszego wina na giełdzie, ty pasożycie na majątku społecznym – odpowiadam. – Mimo to chętnie podzielimy się nim z mademoiselle de la Tour. Chętnie witamy każdego, kto potrafi nastraszyć Edwarda.

To powoduje nowy wybuch wesołości u Gerdy. Kopie mnie znowu pod stołem. Czuję, jak jej kolano opiera się o moje. Ciepło podchodzi mi aż do karku. Niespodziewanie siedzimy jak spiskowcy.

– Wy też z pewnością jeszcze dziś nastraszycie Edwarda – odzywa się Gerda. – Kiedy przyjdzie do płacenia rachunku. Czuję to. Jestem jasnowidząca.

Wszystko, co mówi, ma jakby za sprawą czarów zupełnie nowy wydźwięk. Co się stało? – myślę. Czyżby to miłość tak piorunująco działała na moją tarczycę, czy jest to raczej znana od wieków przyjemność zabierania komuś czegoś? Sala restauracyjna nagle przestaje być budą śmierdzącą jedzeniem – jest czymś, co z potworną szybkością, jak huśtawka, mknie przez wszechświat. Spoglądam w okno i zdumiewam się, że Miejska Kasa Oszczędności stoi nadal na tym samym miejscu. Powinna, nawet bez kolana Gerdy, od dawna zniknąć, powinna ją była zmyć powódź inflacji. Ale kamień i beton potrafią przetrwać wiele dzieł ludzkich i wielu ludzi.

– Wspaniałe wino – mówię. – Jakie ono będzie za pięć lat!

– Starsze – oświadcza Willy, który absolutnie nie zna się na winach. – Jeszcze dwie butelki, Edwardzie!

– Dlaczego dwie? Pijmy jedną po drugiej.

– Dobrze. Pijcie sobie waszą. A dla mnie, Edwardzie, natychmiast butelkę szampana!

Edward mknie jak naoliwiony piorun.

– Co się stało, Willy? – pyta Renée. – Myślisz, że uda ci się wykręcić od futra, kiedy mnie spijesz?

– Dostaniesz futro! Tu chodzi o wyższy cel. Wychowawczy! Nie widzisz go, Ludwiku?

– Nie. Wolę wino niż szampana.

– Naprawdę go nie widzisz? Naprzeciwko, trzy stoliki za kolumną. Szczeciniasty świński łeb, podstępne oczy hieny i wystająca kurza pierś? Morderca naszej młodości?

Szukam tej zoologicznej osobliwości i natychmiast ją odkrywam. Jest to dyrektor naszego gimnazjum, postarzały i obszarpany, ale ten sam. Jeszcze siedem lat temu tłumaczył Willy'emu, że skończy na szubienicy, a mnie, że z pewnością dostanę dożywotnie więzienie. On również nas spostrzegł. Jego czerwone oczka mrugają w naszą stronę i teraz wiem, dlaczego Willy zamówił szampana.

– Edward, strzelaj z korka najgłośniej, jak się da! – rozkazuje Willy.

– To nie jest w dobrym tonie.

– Nie pije się szampana, żeby być w dobrym tonie. Pije się, żeby dodać sobie ważności.

Willy wyrywa butelkę z ręki Edwarda i potrząsa nią. Korek strzela jak z pistoletu. W lokalu na chwilę zapada milczenie. Szczeciniasty świński łeb porusza się. Willy w całej swej okazałości stoi przy stole, z butelką w prawicy, i nalewa kieliszek po kieliszku. Szampan pieni się, czupryna Willy'ego płonie, twarz mu promienieje. Wpatruje się w Schimmla, naszego dyrektora, a Schimmel jak zahipnotyzowany wpatruje się w niego.

– Działa – szepcze Willy. – Myślałem już, że nie zwróci na nas uwagi.

– On jest namiętnym pedagogiem – odpowiadam. – Nie może nas zignorować. Dla niego pozostaniemy uczniami, nawet gdy będziemy mieli sześćdziesiątkę. Popatrz tylko, jak rusza nosem!

– Nie zachowujcie się, jakbyście mieli po dwanaście lat – mówi Renée.

– Czemu nie? – pyta Willy. – Zdążymy się jeszcze zestarzeć.

Renée zrezygnowana podnosi rękę z ametystowym pierścieniem.

– I takie coś broniło ojczyzny!

– Myślało, że broni ojczyzny – protestuję. – Póki się nie przekonało, że broni tylko części ojczyzny, tej części, która właściwie powinna była pójść do diabła – między innymi ten nacjonalistyczny świński łeb z przeciwka.

Renée śmieje się.

– Broniliście kraju poetów i myślicieli, nie zapominajcie o tym.

– Kraj poetów i myślicieli nigdy nie potrzebuje obrony – chyba tylko przeciw takiemu świńskiemu łbu z przeciwka i jemu podobnym, którzy pakują do więzień poetów i myślicieli, póki są żywi, a gdy umrą, robią sobie z nich reklamę.

Gerda wyciąga szyję.

– Ale dziś idzie na ostro, co?

Znowu mnie kopie pod stołem. Natychmiast złażę z podium mówcy i już znowu siedzę na huśtawce, która unosi się nad ziemią. Sala jest częścią kosmosu i nawet Edward, który chleje szampana jak wodę, byle podbić rachunek, ma zakurzoną aureolę świętości wokół głowy.

– Wyjdziesz potem ze mną? – szepcze Gerda.

Kiwam głową.

– Idzie! – szepcze Willy zachwycony. – Wiedziałem, że tak będzie!

Wągrowata świnia nie wytrzymała. Podniosła się w całej swej okazałości i mrugając oczami, zbliża się ku naszemu stolikowi.

– Hochmeyer, prawda? – mówi.

Willy siedzi. Nie wstaje.

– Proszę? – pyta.

Schimmel jest już trochę poirytowany.

– Pan jest przecież byłym uczniem Hochmeyerem!

Willy ostrożnie odstawia butelkę.

– Przepraszam panią, baronowo – odzywa się do Renée. – Zdaje się, że ten osobnik mówi do mnie. – Zwraca się do Schimmla: – Czym mogę służyć? Czego chcesz, dobry człowieku?

Schimmel jest przez chwilę skonsternowany. Z pewnością sam nie wiedział dokładnie, co chce rzec. Po prostu przypływ zwykłego oburzenia przyniósł tego uczciwego belfra do naszego stołu.

– Może kieliszek szampana? – pyta Willy uprzejmie. – Chce pan raz pokosztować, jak żyje druga połowa narodu?

– Co panu przychodzi do głowy? Nie jestem hulaką!

– Szkoda – oświadcza Willy. – Więc czego pan tu właściwie chce? Nie widzi pan, że nam przeszkadza?

Schimmel rzuca mu wściekłe spojrzenie.

– Czy to jest absolutnie konieczne – skrzeczy – żeby byli uczniowie mojego gimnazjum urządzali orgie w biały dzień?

– Orgie? – Willy patrzy na niego ze zdumieniem. – Jeszcze raz przepraszam panią, baronowo – zwraca się do Renée. – Ten źle wychowany osobnik… niejaki pan Schimmel, teraz go poznaję… – prezentuje elegancko: – baronowa de la Tour… – Renée wdzięcznie skłania swą kędzierzawą głowę – uważa, że urządzamy orgie, ponieważ pijemy kieliszek szampana z okazji pani urodzin.

Schimmel jest nieco zmieszany, o ile to u niego możliwe.

– Urodziny? – chrypi. – No, tak… W każdym razie to jest małe miasto… jako byli uczniowie mogliby panowie…

Wygląda tak, jakby chciał nam udzielić rozgrzeszenia wbrew własnej woli. Baronowa de la Tour zrobiła odpowiednie wrażenie na starym wielbicielu kast. Willy atakuje szybko:

– Jako byli pana uczniowie powinniśmy wypijać już z samego rana jedną albo dwie wódki do kawy – oświadcza – żebyśmy się wreszcie dowiedzieli, co oznacza słowo radość. To się bowiem nigdy nie mieściło w pańskim programie nauczania, morderco młodzieży! Pan swoim piłowaniem tak zatruł nam życie, że uważaliśmy pruskie wojsko za wyzwolenie, beznadziejny feldfeblu od niemieckich klasówek! Tylko przez pana staliśmy się hulakami! Tylko pan ponosi za to odpowiedzialność! A teraz odmaszeruj, kapralu nudy!

– To jest przecież… – jąka Schimmel. Jest czerwony jak pomidor.

– Niech pan idzie do domu i wykąpie się wreszcie, cuchnąca potem nogo życiowa!

Schimmel chwyta gwałtownie oddech.

– Policja! – krztusi się. – Chamskie obelgi… ja panu…

– Pan mi nic – oświadcza Willy. – Pan jeszcze ciągle wierzy, że będziemy do końca życia pańskimi niewolnikami. Pan zrobi tylko tyle, że weźmie pan na siebie odpowiedzialność na Sądzie Ostatecznym za to, że niezliczonym rzeszom młodych ludzi wszczepił pan nienawiść do Boga i wszystkiego, co dobre i piękne! W dzień zmartwychwstania zmarłych nie chciałbym siedzieć w pańskiej skórze, Schimmel! Ile pana czeka kopniaków, choćby tylko od naszej klasy! No i naturalnie potem smoła i ogień piekielny! Pan przecież potrafi to tak ładnie opisywać!

Schimmla zatyka.

– Pan jeszcze o mnie usłyszy! – wykrztusza i robi zwrot jak korweta podczas sztormu.

– Schimmel! – ryczy za nim basowy głos.

Renée jest skuteczna jak zwykle. Ten ton komendy podrywa Schimmla i okręca nim w kółko.

– Co? Jak proszę? Kto…?

Jego oczy przeszukują najbliższe stoliki.

– Czy pan jest krewnym tego samobójcy Schimmla? – świergoce Renée.

– Samobójcy? Co to znaczy? Kto mnie wołał?

– Pańskie sumienie, Schimmel – mówię.

– Tego już za wiele…!

Oczekuję białej piany na ustach Schimmla. To rozkosz widzieć tego mistrza niezliczonych oskarżeń pozbawionego naraz głosu. Willy przepija do niego:

– Pańskie zdrowie, zacna hieno katedrowa! I nie podchodź pan więcej do stolików obcych ludzi, żeby ich pouczać. Zwłaszcza gdy są przy tym damy.

Schimmel znika z jakimś osobliwie klekoczącym dźwiękiem. jakby w jego brzuchu strzelił korek, ale nie od szampana, tylko od

wody selcerskiej.

– Wiedziałem, że on nie pominie takiej okazji – mówi Willy błogo.

– Byłeś pierwszorzędny – stwierdzam. – Co cię tak potężnie natchnęło?

Willy szczerzy zęby w uśmiechu.

– Tę mowę powtarzałem już przynajmniej ze sto razy. Niestety, zawsze sam, bez Schimmla. Dlatego umiem ją na pamięć. Na zdrowie, dzieci!

– Nie mogę. – Edward otrząsa się. – Cuchnąca potem noga życiowa! Cóż to za okropny obraz! Nawet pijąc szampana, człowiek czuje, jak mu cierpną nogi!

– Przy twoim szampanie zawsze ma się to wrażenie – odparowuję bystro.

– Jakież z was dzieciaki! – mówi Renée, kręcąc głową.

– Chcemy tacy pozostać. Starzeć się to zbyt proste. – Willy uśmiecha się. – Edwardzie, rachunek.

Edward przynosi rachunek. Jeden dla Willy'ego, drugi dla nas.

Na twarzy Gerdy pojawia się wyraz napięcia. Oczekuje drugiej eksplozji dzisiejszego wieczoru. Georg i ja w milczeniu wyciągamy nasze talony i kładziemy na stole. Ale Edward nie wybucha – uśmiecha się.

– Nie szkodzi – oświadcza. – Przy takiej konsumpcji wina!

Siedzimy rozczarowani. Damy podnoszą się i otrząsają jak kury, które wychodzą z kąpieli w piasku. Willy klepie Edwarda po ramieniu.

– Jesteś dżentelmenem! Każdy inny restaurator płakałby, że wystraszyliśmy mu gościa.

– Ja nie – uśmiecha się Edward. – Ten stary nigdy nie jadł tu przyzwoicie. Zawsze czekał, aż go ktoś zaprosi.

– Chodź! – szepcze do mnie Gerda.

Tabaczkowa sukienka leży gdzieś rzucona. Brązowe zamszowe pantofelki stoją pod krzesłem. Jeden się przewrócił. Okno jest otwarte. Zwisa nad nim winorośl. Z dołu, z Gospody Staromiejskiej, dolatują dźwięki elektrycznego pianina. Gra walca *Łyżwia-*

rze. Muzykę przerywa od czasu do czasu głuchy odgłos upadku. To trenują zapaśniczki. Obok łóżka stoją dwie schłodzone butelki piwa. Otwieram jedną z nich i podaję Gerdzie.

– Od czego ty jesteś taka brązowa? – pytam.

– Od słońca. Świeci już od paru miesięcy. Czyżbyś tego nie zauważył?

– Owszem. Ale w biurze człowiek się nie opala.

Gerda parska śmiechem.

– Gdy się pracuje w nocnym lokalu, to wszystko jest prostsze. Mam cały dzień wolny. Gdzieś był przez cały ten czas?

– Gdzieś tam – odpowiadam i nagle przychodzi mi na myśl, że Izabella też zawsze mnie tak pyta. – Myślałem, że spotykasz się z Edwardem.

– Czy to jest powód, żebyś ty nie przychodził?

– A może nie?

– Nie, ty głuptasie – mówi Gerda. – To są dwie różne sprawy.

– To dla mnie za trudne – odpowiadam.

Gerda milczy. Przeciąga się i upija łyk piwa.

– Ładnie tu – mówię. – Zupełnie jakbyśmy byli na pięterku knajpy na wybrzeżu mórz południowych. Ty jesteś brązowa jak egzotyczna dziewczyna.

– A ty jesteś w takim razie białym handlarzem perkalem, szklanymi paciorkami, Bibliami i whisky?

– Zgadza się – odpowiadam zaskoczony. – O tym właśnie marzyłem, kiedy miałem szesnaście lat.

– Potem już nie?

– Potem już nie.

Leżę spokojnie obok niej z odprężonymi nerwami. Późne popołudnie rozlewa się błękitem w oknie między dachami. Nie myślę o niczym, nie chcę niczego i wystrzegam się pytania o cokolwiek. Spokój, życie jest proste, czas stanął nieruchomo, a my znajdujemy się w pobliżu jakiegoś boga i pijemy zimne, cierpkie piwo.

Gerda podaje mi szklankę.

– Czy myślisz, że Renée dostanie to futro? – pyta leniwie.

– Dlaczego nie? Willy jest teraz bilionerem.

– Powinnam była ją zapytać, na jakie ma ochotę. Prawdopodobnie piżmowce albo bobry.

– Lisy – mówię bez zainteresowania. – A może lampart.

– Lampart jest za cienki na zimę. Foki postarzają. A srebrny lis pogrubia. Szczyt marzeń to oczywiście norki.

– Tak?

– Tak. To starcza do końca życia. Ale strasznie drogie. Nieprzyzwoicie drogie.

Stawiam butelkę na podłodze. Rozmowa zaczyna wkraczać na niedogodne tory.

– To wszystko nie mieści mi się w głowie – mówię. – Ja nie mogę zapłacić nawet za kołnierz z królików.

– Ty? – odpowiada Gerda zaskoczona. – A kto mówi o tobie?

– Ja. Każdy mężczyzna o delikatnych uczuciach w podobnej sytuacji bierze taką rozmowę do siebie. A ja mam o wiele za dużo delikatnych uczuć jak na dzisiejsze czasy.

Gerda śmieje się.

– Czyżby, mój mały? Ale ja naprawdę nie mówię o tobie.

– O kim więc?

– O Edwardzie oczywiście.

Prostuję się.

– Myślisz o tym, żeby Edward dał ci w prezencie futro?

– Naturalnie, gapciu. Gdybym tylko mogła go do tego skłonić. Ale może, jeśli Renée dostanie… mężczyźni tacy już są…

– I mnie to mówisz, kiedy jeszcze leżymy razem w łóżku?

– Dlaczego nie? Wtedy zawsze miewam dobre pomysły.

Nic nie odpowiadam. Zastrzeliło mnie to. Gerda odwraca ku mnie głowę.

– Obraziłeś się?

– Jestem co najmniej zdziwiony.

– Dlaczego? Powinieneś się obrazić tylko w tym wypadku, gdybym chciała to futro od ciebie.

– Mam być dumny z tego, że chcesz je dostać od Edwarda?

– Jasne! To świadczy przecież, że nie jesteś frajerem.

Nie znam tego określenia.

– Kto to są frajerzy? – pytam.

– Ludzie z pieniędzmi. Ludzie, którzy mogą innym pomóc. Na przykład Edward.

– Czy Willy jest frajerem?

Gerda śmieje się.

– Częściowo. Dla Renée.

Milczę i wydaję się sam sobie głupi.

– Czy nie mam racji? – pyta Gerda.

– Racji? Co to ma wspólnego z racją?

Gerda śmieje się znowu.

– Myślę, że naprawdę jesteś zanadto wrażliwy. Jakie z ciebie dziecko!

– Chciałbym taki zostać – mówię. – Bo…

– Bo? – pyta Gerda.

– Bo… – Zastanawiam się. Nie bardzo wiem, o co mi chodzi, ale mimo to próbuję. – Bo inaczej sam sobie wydawałbym się sutenerem.

Gerda śmieje się teraz z całego serca.

– Do tego dużo ci jeszcze brakuje, mój mały.

– Mam nadzieję, że taki już zostanę.

Gerda zwraca ku mnie twarz. Zamglona od zimna szklanka stoi między jej piersiami. Trzyma ją jedną ręką i rozkoszuje się jej chłodem.

– Mój biedny chłopcze – mówi, śmiejąc się nadal, z obraźliwym, półmacierzyńskim współczuciem. – Jeszcze nie raz zostaniesz oszukany!

Psiakrew, myślę, gdzie się podział spokój tropikalnej wyspy? Wydaje mi się teraz, że jestem nagi, a małpy obrzucają mnie kolącymi kaktusami. Komu to sprawia przyjemność, kiedy o nim mówią jak o potencjalnym rogaczu?

– To jeszcze zobaczymy – mówię.

– Myślisz, że tak łatwo być sutenerem?

– Nie wiem. Ale z pewnością nie ma w tym nic honorowego.

Gerda wybucha krótkim, ostrym śmiechem.

– Honor! – parska. – Co jeszcze? Czy jesteśmy w wojsku? Rozmawiamy o kobietach. Mój biedny chłopcze, honor to bardzo nudna rzecz.

Pociąga łyk piwa. Obserwuję, jak napój spływa przez jej wygiętą szyję. Jeśli mnie nazwie jeszcze raz swoim „biednym chłopcem", bez słowa wyleję jej na głowę butelkę piwa, by udowodnić, że potrafię się zachowywać jak sutener – a przynajmniej tak jak sobie wyobrażam zachowanie sutenera.

– Piękna rozmowa – mruczę. – Szczególnie teraz.

Zdaje się, że mam jakieś ukryte humorystyczne właściwości. Gerda parska śmiechem.

– Wszystkie rozmowy są jednakowe – odpowiada. – Kiedy się tak leży obok siebie, to obojętne, o czym się mówi. Każdy mówi, co przyjdzie mu do głowy. Czy też istnieją co do tego jakieś przepisy, mój…

Chwytam za butelkę i czekam na „biednego chłopca", ale Gerda ma szósty zmysł – pociąga znowu łyk i milczy.

– Nie musimy chyba mówić o futrach, sutenerach i rogaczach – oświadczam. – W podobnych chwilach istnieją jeszcze inne tematy.

– Pewnie – zgadza się Gerda. – Ale my przecież wcale o tym nie mówimy.

– O czym?

– O futrach, sutenerach i rogaczach.

– Nie? O czym więc rozmawiamy?

Gerda znów zaczyna się śmiać.

– O miłości, mój złoty. Tak jak rozsądni ludzie o niej rozmawiają. A co byś chciał? Deklamować wiersze?

Ciężko dotknięty chwytam za butelkę z piwem. Zanim udaje mi się ją podnieść, Gerda całuje mnie. To mokry, piwny pocałunek, ale tak promiennie pierwotny, że w mgnieniu oka na nowo zjawia się tropikalna wyspa. Tubylcy też przecież piją piwo.

– Wiesz, co mi się w tobie podoba? – pyta Gerda. – To, że jesteś takim cielątkiem pełnym przesądów! Gdzieś ty się nauczył tych wszystkich głupstw? Podchodzisz do miłości jak uzbrojony korporant, który idzie do tańca jak na pojedynek. – Trzęsie się ze śmiechu. – Ty typowy Niemcze! – mówi czule.

– Czy to znowu ma być obelga? – pytam.

– Nie, to stwierdzenie faktu. Tylko idioci uważają, że jeden naród może być lepszy niż inne.

– Czy ty nie jesteś typową Niemką?

– Miałam matkę Czeszkę. To trochę ulżyło memu losowi.

Patrzę na nagie, beztroskie stworzenie obok mnie i nagle ogarnia mnie żal, że nie mam choćby jednej albo dwóch czeskich babek.

– Skarbie – dodaje Gerda. – Miłość nie zna godności. Ale boję się, że ty nie potrafisz nawet zrobić siusiu bez światopoglądu.

Sięgam po papierosa. Jak kobieta może powiedzieć coś podobnego? – myślę. Gerda obserwuje mnie.

– Jak kobieta może powiedzieć coś podobnego, prawda? – pyta.

Wzruszam ramionami. Przeciąga się i mruga do mnie. Potem powoli zamyka jedno oko. Pod spojrzeniem drugiego, otwartego, wydaję się sam sobie prowincjonalnym nauczycielem. Ona ma rację – po co nadymać wszystko zasadami? Dlaczego nie brać wszystkiego tak, jak jest? Co mnie obchodzi Edward? Co mnie obchodzi słowo? Albo futro z norek? I kto kogo oszukuje? Edward mnie czy ja jego, czy Gerda nas obu, czy my obaj Gerdę, czy też nikt nikogo? Jedna Gerda jest naturalna, a my udajemy ważniaków i powtarzamy wyświechtane frazesy.

– Uważasz, że jako stręczyciel byłbym beznadziejny? – pytam.

Gerda kiwa głową.

– Kobiety nie sypiałyby dla ciebie z innymi mężczyznami i nie przynosiłyby ci za to pieniędzy. Ale nie przejmuj się; najważniejsze jest, żeby spały z tobą.

Uważam, że to już wystarczy, ale jeszcze pytam:

– A Edward?

– Co cię obchodzi Edward? Już ci to przecież wytłumaczyłam.

– Co?

– Że jest frajerem. Gościem z pieniędzmi. Ty ich nie masz. A ja potrzebuję trochę forsy. Zrozumiałeś?

– Nie.

– Nie musisz rozumieć. I uspokój się – nic jeszcze nie było i długo nie będzie. Powiem ci we właściwym czasie. I nie rób z tego dramatu. Życie jest inne, niż ty je sobie wyobrażasz. Zapa-

miętaj sobie tylko jedno: rację ma zawsze ten, który leży z kobietą w łóżku. Wiesz, co bym teraz chciała zrobić?

– Co?

– Przespać się jeszcze z godzinkę, a potem ugotować dla nas obojga ragoût z baraniny z czosnkiem. Dużo czosnku…

– Czy możesz to tutaj zrobić?

Gerda wskazuje na starą gazową kuchnię, która stoi na komodzie.

– Ugotuję ci na tym obiad na sześć osób, jeśli będzie trzeba. Po czesku! Zdziwisz się! Do tego przyniesiemy sobie piwa z beczki z tej knajpy na dole. Czy to zgadza się z twoją iluzją miłości? Czy też myśl o czosnku zabija w tobie coś wartościowego?

– Nie – odpowiadam i czuję się przekupiony, ale tak lekki, jak od dawna nie byłem.

XVI

Co za niespodzianka! – wołam. – I to z samego rana!

Zdawało mi się, że słyszę jakiegoś włamywacza, dobierającego się o brzasku do biura. Schodzę na dół, a tam, o piątej rano, siedzi Riesenfeld z Odenwaldzkich Zakładów Obróbki Granitu.

– Pan się musiał pomylić – oświadczam. – Dziś jest dzień święty. Nawet giełda nie pracuje. Tym bardziej my, skromni bezbożnicy. Czy się gdzieś pali? Potrzebuje pan pieniędzy na Czerwony Młyn?

Riesenfeld potrząsa głową.

– Zwykłe przyjacielskie odwiedziny. Mam jeden dzień wolny między Löhne i Hanowerem. Właśnie przyjechałem. Po co miałbym o tej porze chodzić do hotelu? Kawę dostanę i u was. Co porabia czarująca dama z naprzeciwka? Czy ona wcześnie wstaje?

– Aha! – mówię. – A więc żądza pana tu przygnała! Gratuluję takiej dozy młodzieńczości. Ale ma pan pecha. W niedzielę jest w domu małżonek. Atleta i miotacz noży.

– Jestem mistrzem świata w rzucaniu nożami – odpowiada Riesenfeld niewzruszony. – Szczególnie gdy zjem do kawy trochę wiejskiego boczku i wypiję kieliszek żytniówki.

– Niech pan pozwoli ze mną na górę. Moje lokum wygląda dość skromnie, ale mogę panu zrobić kawę. Jeśli pan ma ochotę, może pan pograć na fortepianie, póki woda się nie zagotuje.

Riesenfeld protestuje:

– Zostanę tutaj. Mieszanina lata, świeżości poranka i pomników bardzo mi się podoba. Budzi głód i ochotę do życia. Poza tym tu stoi wódka.

– Mam o wiele lepszą na górze.

– Mnie wystarczy ta.

– Dobrze, panie Riesenfeld, jak pan chce!

– Co pan tak krzyczy? – pyta Riesenfeld. – Przecież nie ogłuchłem od ostatniej bytności.

– To z radości, że pana widzę, panie Riesenfeld! – odpowiadam jeszcze głośniej i śmieję się przeraźliwie.

Nie mogę mu wyjaśnić, że chcę obudzić tym wrzaskiem Georga i zorientować go w ten sposób w sytuacji. O ile wiem, rzeźnik Watzek wyjechał wczoraj wieczorem na jakiś zjazd narodowych socjalistów, a Liza wykorzystała sposobność, by przyjść tutaj i przespać raz całą noc w ramionach kochanka. Riesenfeld, nie wiedząc o tym, siedzi jak strażnik przed drzwiami sypialni. Liza może wyjść tylko przez okno.

– Dobrze, w takim razie przyniosę kawę na dół – mówię, biegnę po schodach, biorę *Krytykę czystego rozumu*, obwiązuję ją szpagatem, spuszczam z okna i huśtam nią przed oknem Georga. Jednocześnie piszę kolorowym ołówkiem ostrzeżenie: „Riesenfeld w biurze", robię dziurę w papierze i opuszczam go po sznurku w dół w ślad za tomem Kanta. Kant puka parę razy w okno, potem widzę łysą głowę Georga. Georg daje mi znaki. Odgrywamy krótką pantomimę. Wyjaśniam mu gestami, że nie udało mi się pozbyć Riesenfelda. Wyrzucić go nie mogę – jest zbyt ważny dla naszego chleba powszedniego.

Wciągam na górę *Krytykę czystego rozumu* i spuszczam butelkę wódki. Piękna, krągła ręka wyciąga się po nią, zanim Georg zdążył ją chwycić, i wciąga do środka. Kto wie, kiedy Riesenfeld się wyniesie? Kochankowie będą tymczasem wydani na pastwę porannego głodu po nieprzespanej nocy. Spuszczam więc jeszcze masło, chleb i kawałek wątrobianki. Sznurek znowu podjeżdża w górę, poczerwieniony na końcu szminką do ust. Słyszę westchnienie, z jakim korek wyskakuje z butelki. Romeo i Julia są na razie uratowani.

Podając kawę Riesenfeldowi, dostrzegam idącego przez podwórze Henryka Krolla. Narodowy kupiec poza swoimi zwykłymi odraża-

jącymi cechami ma jeszcze jedną: wczesne wstawanie. Nazywa to wdychaniem pełną piersią stworzonej przez Boga natury. Pod słowem „Bóg" rozumie oczywiście nie dobrotliwą, bajeczną istotę z długą brodą, ale pruskiego feldmarszałka. Henryk serdecznie potrząsa ręką Riesenfelda. Riesenfeld nie jest tym zbytnio zachwycony.

– Niech pan nie zwraca na mnie uwagi – oświadcza. – Wypiję tu tylko kawę, a potem zdrzemnę się trochę, póki nie nadejdzie pora wyjazdu.

– Ależ to byłoby! Taki rzadki i miły gość! – Henryk zwraca się ku mnie. – Czy nie mamy świeżych bułek dla pana Riesenfelda?

– W tej sprawie musi pan się zwrócić do wdowy po piekarzu Niebuhrze albo do pańskiej matki – odpowiadam. – O ile mi wiadomo, w niedzielę nie pieką bułek w naszej republice. Niesłychane lenistwo! W cesarskich Niemczech było inaczej.

Henryk rzuca mi wściekłe spojrzenie.

– Gdzie jest Georg? – pyta krótko.

– Azaliż jestem stróżem brata pańskiego, panie Kroll? – odpowiadam w biblijnym stylu i tak głośno, by poinformować Georga o nowym niebezpieczeństwie.

– Nie, ale jest pan pracownikiem mojej firmy! Proszę pana, by pan odpowiadał jak należy.

– Dziś jest niedziela. W niedzielę nie jestem niczyim pracownikiem. Dziś zjawiłem się tu tak wcześnie z własnej woli, z namiętnej miłości do swego zawodu i szczerego szacunku dla władzy odenwaldzkich granitów. Nie ogolony, jak pan prawdopodobnie zauważył, panie Kroll.

– Widzi pan – mówi gorzko Henryk do Riesenfelda. – Przez to przegraliśmy wojnę. Przez rozlazłość intelektualistów i przez Żydów.

– I cyklistów – uzupełnia Riesenfeld.

– Dlaczego cyklistów? – pyta Henryk zdumiony.

– A dlaczego Żydów? – odpowiada pytaniem Riesenfeld.

Henryk staje oniemiały.

– Ach, tak – mówi później z niesmakiem. – To ma być dowcip. Obudzę Georga.

– Nie robiłbym tego – oświadczam głośno.

– Niech mi pan łaskawie przestanie udzielać rad!

Henryk zbliża się do drzwi. Nie zatrzymuję go. Georg musiałby być głuchy, gdyby tymczasem nie zamknął ich na klucz.

– Niech pan go nie budzi – mówi Riesenfeld. – Nie mam ochoty na zasadnicze rozmowy o tak wczesnej porze.

Henryk staje.

– Dlaczego nie wyjdzie pan z panem Riesenfeldem na spacer po stworzonej przez Boga naturze? – pytam. – Kiedy wrócicie, gospodarstwo się zbudzi, słonina i jajka już się będą smażyć na patelni, bułeczki zostaną specjalnie dla pana upieczone, bukiet świeżo zerwanych gladiolusów ozdobi ponure parafernalia śmierci i Georg zjawi się ogolony i pachnący wodą kolońską.

– Niech mnie Pan Bóg broni – mruczy Riesenfeld. – Zostanę tutaj i będę spał.

Bezradnie wzruszam ramionami. Nie wyciągnę go stąd.

– Niech i tak będzie – mówię. – Tymczasem pójdę chwalić Boga.

Riesenfeld ziewa.

– Nie wiedziałem, że religia jest tutaj tak poważana. Szafuje pan Bogiem na prawo i lewo.

– Otóż to właśnie! Zbyt się z Nim ostatnio spoufaliliśmy. Dotychczas tylko cesarze, generałowie i politycy byli z Bogiem za pan brat. Nam zaś kazano się wystrzegać nawet Jego imienia. Ale ja nie zamierzam się modlić, tylko grać na organach. Proszę pójść ze mną!

Riesenfeld odmownie macha ręką. Nie mogę już nic więcej zrobić. Georg musi sam sobie radzić. Mogę tylko sobie pójść – może tamci dwaj również wyjdą. O Henryka już się nie martwię; Riesenfeld będzie musiał się go pozbyć.

Miasto jest świeże od rosy. Mam jeszcze ponad dwie godziny do mszy. Powoli idę przez ulice. To dla mnie niezwykłe przeżycie. Wiatr powiewa tak miło i miękko, jakby dolar spadł wczoraj o dwieście pięćdziesiąt tysięcy, a nie podskoczył. Przez chwilę wpatruję się w spokojną rzekę, potem w okno firmy Bock i Syno-

wie, która produkuje musztardę i wystawia ją w miniaturowych beczułkach.

Budzi mnie z zadumy klepnięcie po ramieniu. Za mną stoi wysoki, chudy mężczyzna z mętnymi oczami. To nasza druga zaraza – Herbert Scherz. Spoglądam nań z niezadowoleniem.

– Dzień dobry czy dobry wieczór? – pytam. – Jeszcze się pan nie kładł czy już pan wstał?

Herbert z hałasem wydmuchuje dym. Ostra chmurka o mało nie wyciska mi łez z oczu.

– Dobrze, a więc jeszcze się pan nie kładł – ciągnę. – Jak panu nie wstyd? I co za powód? Wesołość, powaga, ironia czy zwykła rozpacz?

– Inauguracja – mówi Herbert.

Na ogół nie lubię dowcipów na temat nazwisk, ale Herbertowi sprawia to przyjemność.

– Żart [1] na bok! – mówię.

– Inauguracja – powtarza Herbert zadowolony z siebie. – Mego członkostwa. Musiałem postawić zarządowi. – Patrzy na mnie triumfalnie. – Stowarzyszenie strzeleckie Starzy Koledzy! Rozumie pan?

Rozumiem. Herbert Scherz jest kolekcjonerem stowarzyszeń. Inni ludzie zbierają znaczki albo pamiątki wojenne – Herbert kolekcjonuje stowarzyszenia. Jest już członkiem ponad tuzina organizacji – nie dlatego, że szuka rozrywki, lecz dlatego, że jest namiętnym wielbicielem śmierci i towarzyszącej jej pompy. Prześladuje go mania, by mieć w przyszłości najbardziej okazały pogrzeb w mieście. Ponieważ nie może zostawić na ten cel wystarczającej ilości pieniędzy, wpadł na pomysł wstąpienia do wszystkich możliwych stowarzyszeń. Wie, że po śmierci członka stowarzyszenia fundują wieńce z szarfami, i to jest jego pierwszy cel. Poza tym na pogrzeb przybywa delegacja ze sztandarem stowarzyszenia i na to Scherz liczy. Obliczył, że już teraz, z racji swej przynależności do różnych organizacji, może mieć dwa wozy wieńców, a na tym jeszcze nie koniec. Ma dopiero sześćdziesiąt lat i zostało mu sporo czasu na wstąpienie do innych stowarzyszeń.

Oczywiście należy do chóru Ledderhosego, choć nigdy nie zaśpiewał ani jednej nutki. Jest tam biernym członkiem-sympatykiem, podobnie jak w klubie szachowym Dziarski Skoczek, w klubie kręglowym Dziewięć Naraz oraz w stowarzyszeniu miłośników akwariów i terrariów Pterophyllum Scalare. Wprowadziłem go do tego klubu, ponieważ miałem nadzieję, że z wdzięczności z góry zamówi u nas pomnik. Nie zrobił tego. Teraz udało mu się wstąpić do stowarzyszenia strzeleckiego.

– Czy pan kiedy służył w wojsku? – pytam.

– Po co? Grunt, że jestem członkiem. To wyczyn, co? Jak Schwarzkopf się o tym dowie, to pęknie ze złości.

Schwarzkopf jest konkurentem Herberta. Przed dwoma laty dowiedział się o jego namiętności i dla kawału oświadczył, że mu zrobi konkurencję. Scherz wziął to wtedy tak serio, że uradowany Schwarzkopf rzeczywiście wstąpił do paru stowarzyszeń, ażeby obserwować reakcję Herberta. Z czasem jednak wpadł we własne sidła, zaczął znajdować przyjemność w tym pomyśle i w końcu sam stał się kolekcjonerem – nie tak otwarcie jak Scherz, ale chyłkiem i potajemnie uprawiając brudną konkurencję, która poważnie martwi Scherza.

– Schwarzkopf tak łatwo nie pęknie – mówię, żeby podrażnić Herberta.

– Musi! Tym razem chodzi nie tylko o wieniec i o sztandar, ale również o delegację w mundurach…

– Mundury są zabronione – wyjaśniam łagodnie. – Przegraliśmy wojnę, panie Scherz, czyżby pan tego nie zauważył? Powinien pan wstąpić do związku policjantów. Im wolno jeszcze nosić mundury.

Widzę, że Scherz notuje w duchu pomysł z policjantami, i nie będę się wcale dziwił, jeśli za parę miesięcy zjawi się jako członek nadzwyczajny policyjnego klubu Pod Wiernymi Kajdankami. Na razie usiłuje rozproszyć moje wątpliwości:

– Zanim umrę, noszenie mundurów od dawna będzie na nowo dozwolone! Cóż by się bowiem stało z patriotycznymi imponderabiliami? Nie można z nas zrobić na zawsze niewolników!

Patrzę na zapuchniętą twarz z popękanymi naczyńkami krwionośnymi. To osobliwe, jak różne są pojęcia o niewolnictwie! Uważam, że najbliższy niewolnictwa byłem jako rekrut w mundurze.

– Poza tym – mówię – w wypadku śmierci cywila z pewnością nie występuje się w pełnej gali, przy szablach, w hełmach i prezerwatywach. Takie rzeczy są przewidziane tylko dla aktywnych zupaków.

– Dla mnie też! Przyrzeczono mi to najwyraźniej dzisiejszej nocy! Sam przewodniczący!

– Przyrzeczono! Kto nie przyrzeka przy chlaniu!

Wydaje mi się, że Herbert w ogóle nie słucha.

– Nie tylko to – szepcze z demonicznym triumfem. – Do tego dochodzi największa sensacja: salwa honorowa nad grobem!

Śmieję mu się prosto w jego zmęczoną twarz:

– Salwa? Z czego? Z butelek wody selcerskiej? Broń jest również zabroniona w naszej ukochanej ojczyźnie! Traktat wersalski, kochany panie Scherz. Salwa honorowa to marzenie, które może pan pogrzebać!

Ale Herbertem niełatwo zachwiać. Potrząsa przebiegle głową.

– Dużo pan tam wie! Od dawna mamy już tajną armię! Czarna reichswera. – Chichocze. – Będę miał salwę! Za parę lat tak czy inaczej wszystko będziemy mieli z powrotem. Powszechną służbę wojskową i armię. Jak inaczej moglibyśmy żyć?

Wiatr przynosi zza rogu ostry zapach musztardy, a rzeka nagle rzuca srebro na ulicę. Słońce wzeszło. Scherz kicha.

– Schwarzkopf został ostatecznie pobity – mówi zadowolony z siebie. – Przewodniczący obiecał mi, że go nigdy nie przyjmie do stowarzyszenia.

– Może wstąpić do związku byłej ciężkiej artylerii – odpowiadam. – Wtedy będą strzelali z armat nad jego grobem.

Scherzowi przez chwilę drga nerwowo prawa powieka. Potem macha ręką.

– Żarty się pana trzymają. Istnieje tylko jedno stowarzyszenie strzeleckie w mieście. Nie, Schwarzkopf jest zrobiony na szaro. Przyjdę jutro do panów, żeby obejrzeć pomniki. W końcu muszę się przecież zdecydować.

Decyduje się tak już od czasu, kiedy zacząłem pracować w firmie. To zapewniło mu przydomek: „zaraza". Jest wieczną panią Niebuhr, wędruje od nas do Hollmanna i Klotza, stamtąd do Steinmeyera, każe sobie wszędzie wszystko pokazywać, targuje się godzinami i mimo to nic nie kupuje. Jesteśmy przyzwyczajeni do takich typów; wielu ludzi, przeważnie kobiety, odczuwa szczególną rozkosz w zamawianiu sobie za życia trumny, śmiertelnej koszuli i miejsca na grób – ale Herbert osiągnął w tym mistrzostwo świata. Miejsce na grób zakupił wreszcie przed sześcioma miesiącami. Jest piaszczyste, położone wysoko i z ładnym widokiem. Herbert będzie tam butwiał wolniej i nieco porządniej niż w niżej położonych i wilgotnych kwaterach cmentarza i jest z tego dumny. W każde niedzielne popołudnie spędza tam rozkoszne godziny z termosem kawy, składanym krzesełkiem i paczką herbatników, przyglądając się, jak rośnie bluszcz. Ale zamówieniem na pomnik wymachuje nadal przed pyskami przedsiębiorstw kamieniarskich, jak chłop marchwią przed pyskiem osła. Galopujemy, ale nigdy nie możemy jej dosięgnąć. Herbert nie może się zdecydować. Zawsze się boi, że przeoczy jakąś bajeczną nowość, elektryczny dzwonek w trumnie, telefon czy coś takiego.

Patrzę na niego pełen niechęci. Szybko mi się zrewanżował za armaty.

– Mają panowie coś nowego na składzie? – pyta lekceważąco.

– Nic, co by pana mogło zainteresować… z wyjątkiem… ale to już jest prawie sprzedane – odpowiadam w nagłym jasnowidzeniu zemsty i z przebłyskiem zmysłu do interesów.

Herbert chwyta przynętę.

– Co?

– Ach, to nie dla pana. Coś zupełnie wspaniałego. I właściwie już sprzedane.

– Co?

– Mauzoleum. Wartościowy obiekt artystyczny. Schwarzkopf bardzo się nim interesuje…

Scherz śmieje się.

– Nie ma pan innej sztuczki reklamowej na składzie?

– Nie. Nie dla takiego obiektu. To rodzaj pośmiertnego klubu. Schwarzkopf zamierza przekazać testamentem polecenie, aby w każdą rocznicę jego śmierci urządzano małą uroczystość w mauzoleum. Wyglądałoby to, jakby corocznie odbywał się jego pogrzeb. Wnętrze mauzoleum jest szczególnie nastrojowe, z ławkami i kolorowymi szybami. Można tam podawać również małą przekąskę po każdym obchodzie. Trudno o coś lepszego, co? Wieczne czczenie pamięci, kiedy nikt nie spojrzałby już nawet na stary grób!

Scherz śmieje się dalej, ale jakby z namysłem. Niech się śmieje. Słońce rzuca między nas pozbawione ciężaru blade srebro odbite w rzece. Scherz przestaje się śmiać.

– Zatem panowie mają takie mauzoleum? – pyta już z lekką troską prawdziwego kolekcjonera, który boi się, że mu ucieknie sprzed nosa wielka okazja.

– Niech pan o nim zapomni. Jest już prawie sprzedane Schwarzkopfowi! Popatrzmy lepiej na kaczki na rzece! Co za barwy!

– Nie znoszę kaczek. Mają mdły smak. No, wpadnę kiedyś obejrzeć mauzoleum.

– Może się pan nie śpieszyć. Niech pan lepiej zobaczy, jak będzie wyglądało w naturalnym otoczeniu, gdy Schwarzkopf ustawi je na cmentarzu.

Scherz znowu się śmieje, ale jakoś głucho tym razem. Ja też się śmieję. Żaden z nas nie wierzy drugiemu, ale obaj połknęliśmy haczyk. Zarówno Scherz, jak i ja, bo myślę, że tym razem jednak go złapię.

Idę dalej. Z Gospody Staromiejskiej dolatuje zatęchły zapach dymu i skwaśniałego piwa. Wchodzę na tylne podwórko knajpy. Tam ukazuje się moim oczom obraz spokoju. Alkoholowe trupy z sobotniego wieczoru leżą w porannym słońcu. Muchy brzęczą wśród rzężących oddechów konsumentów wiśniówki, jałowcówki i żytniówki, jakby to były aromatyczne pasaty z egzotycznych wysp; pająki spuszczają się z dzikiego wina na swoich nitkach i kołyszą się jak akrobaci nad twarzami, a wśród wąsów jakiegoś

Cygana błądzi chrabąszcz, jakby to był gaj bambusowy. A więc, myślę, przynajmniej we śnie raj utracony, wielkie zbratanie!

Spoglądam w okno Gerdy. Jest otwarte.

– Ratunku! – mówi nagle jedna z postaci na ziemi. Mówi to spokojnie, po cichu i z rezygnacją – nie krzyczy i właśnie to wstrząsa mną jak haust eteru. Jest jak pozbawiony wagi cios, który przenika pierś niby promienie Roentgena, a potem paraliżuje oddech. Ratunku! – myślę. Cóż innego krzyczymy głośno, bezgłośnie, zawsze?

Msza się skończyła. Przełożona wręcza mi honorarium. Nie opłaca się nawet chować go do kieszeni, ale nie mogę nie przyjąć pieniędzy, bobym ją obraził.

– Posłałam panu butelkę wina do śniadania – mówi. – Nie możemy dać panu nic poza tym, ale modlimy się za pana.

– Dziękuję – odpowiadam. – Ale skąd się u was wzięły te wyśmienite wina? Przecież one też kosztują.

Uśmiech pojawia się na sfałdowanej twarzy koloru kości słoniowej, o bezkrwistej skórze, jaką mają zakonnice, więźniowie, chorzy i górnicy.

– Dostajemy je w podarunku. W mieście jest pewien pobożny handlarz win. Jego żona przebywała tu długi czas. Odtąd przysyła nam co rok parę skrzynek.

Nie pytam, dlaczego przysyła. Przypominam sobie, że bojownik boży, Bodendiek, jada również śniadanie po mszy, i wychodzę szybko, żeby jeszcze coś niecoś uratować.

Butelka oczywiście jest już w połowie pusta. Wernicke siedzi także w pokoju, ale on pije tylko kawę.

– Butelkę, z której wasza wielebność właśnie sobie tak szczodrze nalał – mówię do Bodendieka – przysyła przełożona specjalnie dla mnie, jako dodatek do wynagrodzenia.

– Wiem o tym – odpowiada wikary. – Ale czyż nie jest pan apostołem tolerancji, dzielny ateisto? A więc niech pan nie żałuje kropelki swoim przyjaciołom. Cała butelka do śniadania byłaby dla pana w najwyższym stopniu niezdrowa.

Nie odpowiadam. Duchowny uważa to za słabość i natychmiast przechodzi do ataku.

– Co porabia groza życia? – pyta i pociąga serdeczny łyk wina.

– Co?

– Groza życia, która dobywa się z pana wszystkimi porami, jak…

– Jak ektoplazma – dorzuca usłużnie Wernicke.

– Jak pot – mówi Bodendiek, który nie wierzy naukowcowi.

– Gdybym lękał się grozy życia, byłbym wierzącym katolikiem – oświadczam i przysuwam butelkę do siebie.

– Bzdura! Gdyby był pan wierzącym katolikiem, nie znałby pan grozy życia.

– To jest rozszczepianie włosa, typowe dla Ojców Kościoła.

Bodendiek śmieje się.

– Cóż pan wie o subtelnym uduchowieniu naszych Ojców Kościoła, młody barbarzyńco?

– Dość, aby poprzestać na wieloletnim sporze o to, czy Adam i Ewa mieli pępki, czy nie.

Wernicke uśmiecha się szyderczo. Bodendiek robi zdziwioną minę.

– Najtańsza ignorancja i płaski materializm, jak zwykle ściśle ze sobą związane – mówi do nas obu.

– Nie powinien ksiądz wyrażać się tak lekceważąco o wiedzy – odpowiadam. – Co by ksiądz zrobił, gdyby miał ostre zapalenie wyrostka robaczkowego, a pod ręką był tylko jeden jedyny, pierwszorzędny wprawdzie lekarz, ale ateista? Modliłby się ksiądz czy pozwolił operować poganinowi?

– I jedno, i drugie, analfabeto w dialektyce – to dałoby pogańskiemu lekarzowi sposobność do zasługi wobec Boga.

– Nie powinien ksiądz w ogóle pozwolić się operować – mówię. – Jeśli taka byłaby wola boska, powinien ksiądz umrzeć, a nie próbować ją korygować.

Bodendiek macha ręką.

– Teraz wyjedzie sprawa wolnej woli i wszechmocy Boga. Wścibscy piątoklasiści uważają, że w ten sposób unicestwiają całą naukę Kościoła. – Podnosi się z zadowoleniem. Bije od niego zdro-

wie. Wernicke i ja wyglądamy mizernie wobec tego fanfarona wiary. – Dzięki Ci, Panie, za Twe dary! – mówi. – Muszę iść do innych moich parafian.

Żaden z nas nie reaguje na słowo „innych". Bodendiek wychodzi z szumem.

– Zauważył pan, że księża i generałowie przeważnie dożywają sędziwej starości? – pytam Wernickego. – Nie zżerają ich wątpliwości ani troski. Przebywają dużo na świeżym powietrzu, mają posadę na całe życie i nie muszą myśleć. Ksiądz ma katechizm, a generał regulamin. To konserwuje ich młodość. Poza tym obaj cieszą się najwyższym szacunkiem. Jeden jest przedstawicielem Boga, drugi – cesarza.

Wernicke zapala cygaro.

– Zauważył pan, w jak dogodnej sytuacji walczy nasz wikary? – pytam. – My musimy szanować jego wiarę, a on naszej niewiary nie musi.

Wernicke wydmuchuje dym w moim kierunku.

– On pana denerwuje, a pan jego nie.

– Właśnie! – mówię. – I to mnie właśnie tak denerwuje!

– On o tym wie. Dlatego jest tak pewny siebie.

Nalewam sobie resztę wina. Zostało może z półtora kieliszka – resztę wyżłopał bojownik boży. Forster Jesuitengarten, rocznik 1915 – wino, które powinno się pić tylko wieczorem z kobietą.

– A pan? – pytam.

– Mnie to wszystko nie dotyczy – mówi Wernicke. – Jestem kimś w rodzaju policjanta regulującego ruch w życiu duchowym. Próbuję nim trochę kierować na tutejszym skrzyżowaniu – ale nie jestem odpowiedzialny za całość.

– A ja wciąż czuję się odpowiedzialny za cały świat. Czy ja właściwie jestem psychopatą?

Wernicke wybucha obraźliwym śmiechem.

– Chciałby pan! Ale to nie takie proste! Pan jest absolutnie nieinteresujący. Zupełnie normalny, przeciętny młodzieniec!

Wychodzę na ulicę Główną. Od strony rynku powoli sunie pochód demonstracyjny. Jak mewy przed ciemną chmurą trzepocze przed

nim gorączkowo gromadka jasno ubranych wycieczkowiczów niedzielnych z dziećmi, paczkami jedzenia, rowerami i kolorowymi łaszkami – po chwili pochód tarasuje ulicę.

Jest to demonstracja inwalidów wojennych, którzy protestują przeciwko niskim rentom. Na czele jedzie na małym wózku tułów z głową. Nie ma rąk ani nóg. Nie wiadomo, czy kadłub ten był kiedyś wysokim, czy niskim mężczyzną. Nawet po barkach nie można tego poznać, gdyż ramiona zostały amputowane tak wysoko, że nie ma miejsca na protezy. Mężczyzna ma okrągłą głowę, bystre piwne oczy i wąsy. Widać, że ktoś się nim opiekuje – jest ogolony, włosy ma ostrzyżone, wąsy przyczesane. Jednoręki inwalida ciągnie mały wózek, właściwie deskę na wrotkach. Człowiek bez kończyn siedzi na desce bardzo wyprostowany i skupiony. Za nim jadą wózki z beznogimi, po trzy obok siebie. Są to fotele na dużych ogumowanych kołach, poruszane ręcznie. Skórzane fartuchy, zwykle zakrywające miejsca, gdzie powinny być nogi, dziś odsunięto. Widać kikuty. Na nich starannie ułożone nogawki spodni.

Dalej idą inwalidzi o kulach. Wykrzywione sylwetki, które się tak często widuje – proste kule, a między nimi nieco ukośnie zwisające ciało. Potem ślepi i jednoocy. Słychać stukanie białych lasek po bruku, na ramionach widać żółte przepaski z trzema punktami. Niewidomi są w ten sposób oznaczeni jak zamknięte wjazdy jednokierunkowych ulic albo ślepych zaułków – trzema czarnymi krążkami zakazu. Wielu inwalidów niesie tablice z napisami. Także ślepi niosą tablice, których sami nie mogą odczytać. „Czy taka jest wdzięczność ojczyzny?" – czytam na jednej. „Umieramy z głodu" – na drugiej.

Mężczyźnie na małym wózku wetknięto za marynarkę kij z kartką głoszącą: „Moja renta miesięczna warta jest jedną markę w złocie". Między innymi wózkami trzepocze biały transparent: „Nasze dzieci nie dostają mleka, mięsa ani masła. Czy o to walczyliśmy?"

To najsmutniejsze ofiary inflacji. Ich renty zostały tak zdewaluowane, że właściwie nic nie są warte. Od czasu do czasu rząd je podnosi – zawsze za późno, w dniu podwyżki są już bowiem o wiele za niskie. Dolar zachowuje się jak szaleniec; nie skacze

teraz o tysiące i dziesiątki tysięcy, ale o setki tysięcy dziennie. Przedwczoraj płacono milion dwieście tysięcy, wczoraj milion czterysta tysięcy. Jutro oczekuje się skoku do dwóch milionów, w końcu miesiąca – do dziesięciu. Robotnicy otrzymują pieniądze dwa razy dziennie – rano i po południu – i za każdym razem mają po pół godziny przerwy w pracy, żeby mogli wyskoczyć z fabryki i coś kupić. Gdyby czekali z tym do wieczora, straciliby już tyle, że ich dzieci nie miałyby czym zapchać żołądków. Zapychać żołądków – nie odżywiać się. Zapychają bowiem żołądki czym się da – nie tym, czego potrzebuje ich organizm.

Pochód posuwa się o wiele wolniej niż jakakolwiek inna demonstracja. Za nim tłoczą się auta wycieczkowiczów. Stwarza to dziwny kontrast – szara, prawie anonimowa masa wlokących się w milczeniu ofiar wojny, a za nimi wstrzymywane samochody dorobkiewiczów wojennych, warczące, sapiące, niecierpliwe, depczą po piętach wdowom wojennym, które wraz z dziećmi zamykają pochód, chude, zagłodzone, wynędzniałe i wystraszone. W autach pysznią się wszystkie barwy lata, płótno, jedwab, pełne policzki, krągłe ramiona i twarze, teraz zakłopotane, ponieważ zdarzyła się tak nieprzyjemna sytuacja. Przechodnie na trotuarach są w lepszym położeniu; po prostu patrzą w inną stronę i ciągną za sobą dzieci, które przystają i domagają się wyjaśnień, dlaczego ci ludzie nie mają rąk i nóg. Kto może, ucieka w boczne ulice.

Słońce stoi wysoko, jest gorąco i inwalidzi zaczynają się pocić. Jest to niezdrowy, serowaty pot niedokrwistych, co spływa po twarzach. Za pochodem niespodziewanie beczy klakson. Ktoś nie wytrzymał, zdaje mu się, że musi zaoszczędzić kilka minut, usiłuje więc przejechać po trotuarze. Wszyscy inwalidzi oglądają się. Nikt nic nie mówi, ale rozsuwają się i zamykają ulicę. Auto musiałoby przejechać po nich, gdyby chciało się stąd wydostać. Siedzi w nim młody mężczyzna w jasnym garniturze i słomkowym kapeluszu z młodą dziewczyną. Robi kilka idiotycznie zakłopotanych gestów i zapala papierosa. Każdy z inwalidów, którzy przechodzą obok, spogląda na niego. Nie z wyrzutem – patrzą na papierosa, którego ostry zapach płynie przez ulicę. To bardzo

dobry papieros, a inwalidzi nie mogą sobie często pozwolić na palenie. Dlatego wciągają przynajmniej tyle dymu, ile się da.

Towarzyszę pochodowi aż do kościoła Najświętszej Marii Panny. Stoi przed nim dwóch narodowych socjalistów w mundurach, z wielkim transparentem: „Chodźcie do nas, koledzy! Adolf Hitler wam pomoże!" Pochód obchodzi kościół dookoła.

Siedzimy w Czerwonym Młynie. Przed nami stoi butelka szampana. Kosztuje dwa miliony marek – tyle, ile wynosi dwumiesięczna renta beznogiego inwalidy z rodziną. Riesenfeld zamówił.

Siedzi tak, by móc obserwować cały parkiet.

– Wiedziałem od początku – oświadcza. – Chciałem tylko zobaczyć, jak mnie będziecie oszukiwali. Arystokratki nie mieszkają naprzeciw małych zakładów kamieniarskich i w takich domach!

– Zdumiewająca ignorancja jak na takiego światowca – odpowiadam. – Powinien pan wiedzieć, że arystokratki mieszkają prawie wyłącznie w takich warunkach. O to postarała się inflacja. Skończyło się z pałacami, panie Riesenfeld. A jeśli ktoś jeszcze je ma, wynajmuje w nich pokoje. Odziedziczone pieniądze zniknęły. Królewskie wysokości mieszkają w czynszowych kamienicach, pobrzękujący szabelkami pułkownicy, zgrzytając zębami, zostali agentami ubezpieczeniowymi, hrabiny…

– Dosyć! – przerywa Riesenfeld. – Łza mi się w oku kręci! Dalsze wyjaśnienia są zbędne. Ale jeśli chodzi o panią Watzek, od początku się orientowałem. Bawiło mnie tylko obserwowanie waszych niedołężnych prób oszustwa.

Spogląda za Lizą, która tańczy fokstrota z Georgiem. Unikam przypominania odenwaldzkiemu Casanovie, że to on właśnie określił Lizę jako Francuzkę o sylwetce gibkiej pantery – oznaczałoby to bowiem natychmiastowe zerwanie naszych stosunków, a jest nam na gwałt potrzebny ładunek granitu.

– Zresztą to o niczym nie świadczy – wyjaśnia Riesenfeld pojednawczo. – Przeciwnie, cenię ją jeszcze wyżej! Ta rasa, wprost z ludu! Patrz pan tylko, jak ona tańczy! Jak… jak…

– Gibka pantera – pomagam mu.

Riesenfeld zezuje na mnie.

– Czasami zna się pan trochę na kobietach – warczy.

– Nauczyłem się. Od pana!

Trąca się ze mną kieliszkiem, podłechtany.

– Chciałbym pana o coś spytać – mówię. – Mam wrażenie, że w domu w Odenwaldzie jest pan wzorowym spokojnym obywatelem i ojcem rodziny – przecież pokazywał nam pan kiedyś fotografie pańskich trojga dzieci i obrośniętego różami domu, na którego ściany dla zasady nie zużył pan ani kawałka granitu, co ja, nieudany poeta, bardzo u pana cenię… Dlaczego więc w podróży zmienia się pan w króla nocnych lokali?

– Aby w domu z tym większą rozkoszą być obywatelem i ojcem rodziny – odpowiada po prostu Riesenfeld.

– To istotny powód. Ale po co ta okrężna droga?

Riesenfeld uśmiecha się.

– To jest mój demon. Podwójna natura człowieka. Nigdy pan o tym nie słyszał, co?

– Nie słyszałem? Jestem jednym z typowych tego przykładów.

Riesenfeld śmieje się obraźliwie, prawie tak, jak Wernicke dziś rano.

– Pan?

– Takie rzeczy objawiają się również na nieco bardziej duchowej płaszczyźnie – wyjaśniam.

Riesenfeld pociąga łyk wina i wzdycha.

– Rzeczywistość i fantazja! Wieczna pogoń, wieczny rozdźwięk! Albo – dodaje, odnajdując swą zwykłą ironię – w pańskim wypadku, jak to u poety, naturalnie tęsknota i spełnienie, Bóg i materia, wszechświat i ubikacja…

Na szczęście znowu odzywają się trąbki. Georg wraca z Lizą z parkietu. Liza wygląda jak zjawisko w sukni z morelowego krepdeszynu. Gdy Riesenfeld dowiedział się o jej plebejskim pochodzeniu, zażądał, byśmy za pokutę poszli wszyscy na jego koszt do Czerwonego Młyna. Kłania się teraz przed Lizą.

– Jedno tango, pozwoli pani…

Liza jest o głowę wyższa od Riesenfelda i oczekujemy ciekawego widowiska. Ale ku naszemu zdumieniu cesarz granitów okazuje się znakomitym mistrzem tanga. Zna nie tylko argentyńskie,

ale również brazylijskie i prawdopodobnie jeszcze kilka innych wariantów. Jak łyżwiarz w jeździe figurowej robi piruety ze zmieszaną Lizą.

– Jak się czujesz? – pytam Georga. – Nie bierz tego zbyt serio. Mamona przeciwko uczuciu! Parę dni temu otrzymałem pewną ilość pouczeń na ten temat. Co najpikantniejsze, właśnie od ciebie. Jak Liza wydostała się dziś rano z twego pokoju?

– Ciężko było. Riesenfeld chciał użyć biura jako punktu obserwacyjnego. Myślałem, że uda się go odstraszyć, gdy mu powiem, kim jest Liza. Nic nie pomogło. Zniósł to po męsku. Udało mi się w końcu wciągnąć go na parę minut na kawę do kuchni. To był moment dla Lizy. Gdy Riesenfeld wrócił na czaty do biura, uśmiechała się już łaskawie ze swego okna.

– W szlafroku w bociany?

– Nie, w wiatraki.

Spoglądam na niego. Kiwa głową.

– Wymieniony za mały nagrobek. To było konieczne. W każdym razie Riesenfeld wśród ukłonów zaprosił ją przez ulicę na dzisiejszy wieczór.

– Nie odważyłby się na to, gdyby nazywała się jeszcze de la Tour.

– Zrobił to z szacunkiem. Liza przyjęła zaproszenie. Uważała, że to nam pomoże w interesach.

– A ty jesteś również tego zdania?

– Tak – odpowiada Georg wesoło.

Riesenfeld wraca z Lizą z parkietu. Poci się. Liza jest chłodna jak lilia klasztorna. Ku memu ogromnemu zdumieniu dostrzegam nagle w głębi baru między balonikami nową postać. To Otto Bambuss. Stoi nieco zagubiony w tłumie i pasuje tu mniej więcej tak, jakby pasował Bodendiek. Potem wynurza się koło niego czerwona głowa Willy'ego i skądś słyszę rozkazujący głos Renée de la Tour:

– Bodmer, spocznij!

Budzę się.

– Otto – mówię do Bambussa – cóż cię tu sprowadziło?

– Ja – odpowiada Willy. – Chcę coś zrobić dla niemieckiej literatury. Otto musi niedługo wrócić na swoją wieś. Tam będzie miał

czas kropić wiersze o grzesznym świecie. Na razie jednak powinien go zobaczyć.

Otto uśmiecha się łagodnie. Jego krótkowzroczne oczy mrugają. Lekki pot zrasza mu czoło. Willy z Renée i Ottonem siadają przy sąsiednim stoliku. Między Lizą i Renée odbywa się zaciekła, króciutka potyczka na spojrzenia. Obie odwracają się do swoich stołów niepokonane, ożywione i uśmiechnięte.

Otto pochyla się ku mnie.

– Cykl *Tygrysica* jest już gotowy – szepcze. – Wczoraj w nocy go skończyłem. Pracuję teraz nad nowym zbiorkiem, *Kobieta w szkarłacie*. Może jeszcze nazwę go *Wielka bestia Apokalipsy* i przejdę na wolne rytmy. To coś wspaniałego. Duch na mnie zstąpił!

– Dobrze! Ale czego spodziewasz się tutaj?

– Wszystkiego – odpowiada Otto, promieniejąc ze szczęścia. – Zawsze oczekuję wszystkiego. Na tym polega cały urok, kiedy się jeszcze nic nie wie. Czekaj no, ty znasz tę panią z cyrku?

– Panie, które ja znam, nie są do treningu dla początkujących – mówię. – Zdaje mi się, że ty naprawdę jeszcze nic nie wiesz, ty naiwny cielaku, inaczej nie byłbyś tak idiotycznie bezczelny! Zapamiętaj sobie prawo numer jeden: ręce precz od cudzych kobiet. Nie masz odpowiedniej budowy, żeby sobie na to pozwolić.

Otto pokasłuje.

– Aha – mówi potem. – Drobnomieszczańskie przesądy! Nie mówię przecież o mężatkach.

– Ja również nie, ty ośle koronny. Jeśli chodzi o mężatki, reguły nie są tak surowe. Dlaczego miałbym znać koniecznie jakąś panią z cyrku? Mówiłem ci już raz, że sprzedawała bilety w cyrku pcheł.

– Willy mi powiedział, że to nieprawda. Ona była akrobatką.

– Ach, Willy! – Widzę czerwoną głowę, pływającą jak dynia na morzu parkietu. – Słuchaj, Otto – mówię. – To wygląda zupełnie inaczej. Sympatia Willy'ego występuje w cyrku. Ta w niebieskim kapeluszu. I ona kocha literaturę. A więc masz szansę! Korzystaj z niej i śmiało naprzód!

Bambuss spogląda na mnie nieufnie.

– Mówię z tobą szczerze, ty zidiociały idealisto! – krzyczę.

Riesenfeld znowu tańczy z Lizą.

– Co się z nami dzieje, Georg? – pytam. – Tam oto twój przyjaciel od interesów usiłuje ci odbić damę serca, a ja miałem właśnie ofertę, aby w interesie niemieckiej poezji wypożyczyć Gerdę. Czy z nas takie barany, czy też nasze kobiety są tak godne pożądania?

– Jedno i drugie. Poza tym kobieta innego mężczyzny jest pięć razy bardziej godna pożądania niż ta, którą można mieć w każdej chwili. Stare prawo obyczajowe. Liza jednak za kilka minut dostanie silnego bólu głowy, wyjdzie na chwilę, by w garderobie zażyć aspirynę, a potem przyśle kelnera z wiadomością, że musiała iść do domu i życzy nam dobrej zabawy.

– To cios dla Riesenfelda. Jutro nic nam nie sprzeda.

– Sprzeda nam jeszcze więcej. Powinieneś to wiedzieć. Właśnie dlatego. Gdzie jest Gerda?

– Jej engagement zaczyna się za trzy dni. Mam nadzieję, że jest w Gospodzie Staromiejskiej. Ale obawiam się, że siedzi w Walhalli u Edwarda. Ona nazywa to oszczędzaniem na kolacji. Nie mogę nic na to poradzić. Ma tak pierwszorzędne argumenty, że musiałbym być o trzydzieści lat starszy, by na nie odpowiedzieć. Uważaj lepiej na Lizę. Może nie dostanie bólu głowy, żeby nam dalej pomagać w interesach.

Otto Bambuss znowu pochyla się ku mnie. Za szkłami okularów ma oczy jak wystraszony śledź.

– *Arena* to byłby dobry tytuł tomiku wierszy na tematy cyrkowe, co? Z rycinami Toulouse-Lautreca.

– Dlaczego nie Rembrandta, Dürera albo Michała Anioła?

– A czy oni robili rysunki z cyrku? – pyta Otto poważnie zainteresowany.

Daję mu spokój.

– Pij, chłopcze – mówię po ojcowsku. – I ciesz się swoim krótkim życiem, gdyż pewnego dnia zostaniesz zamordowany. Z zazdrości, ty cielaku!

Podłechtany trąca się ze mną, a potem z namysłem spogląda ku Renée, która w malutkim błękitnym kapelusiku na jasnych lokach wygląda jak pogromczyni w niedzielę.

Liza i Riesenfeld wracają do stolika.

– Nie wiem, co się stało – oświadcza Liza. – Dostałam nagle strasznego bólu głowy. Pójdę wziąć aspirynę…

Zanim Riesenfeld zdążył zerwać się na nogi, już jej nie ma przy stole. Georg spogląda na mnie straszliwie zadowolony z siebie i sięga po cygaro.

1. Nieprzetłumaczalna gra słów. „Żart” w języku niemieckim: „Scherz” (przyp. tłum.). [wróć]

XVII

Słodkie światło – mówi Izabella. – Dlaczego ono słabnie? Czy dlatego, że my słabniemy? Tracimy je co wieczór. Kiedy śpimy, świat nie istnieje. Gdzie wtedy jesteśmy? Czy świat wciąż wraca na nowo?

Stoimy na krańcu ogrodu i patrzymy przez kratę bramy na krajobraz poza murami. Wczesny wieczór kładzie się na dojrzewające pola, które ciągną się po obu stronach alei kasztanowej aż do lasu.

– Wciąż wraca – mówię i dorzucam ostrożnie: – Zawsze, Izabello.

– A my? Czy my także?

My? – myślę. Któż to wie? Każda godzina daje i odbiera, i zmienia. Ale nie mówię tego. Nie chcę wplątywać się w rozmowę, która nagle osunie się w przepaść.

Zza murów wracają kuracjuszki, które pracowały w polu. Wracają jak zmęczone chłopki, a na ich barkach leży blask wieczornej zorzy.

– My też – mówię. – Zawsze, Izabello. Nic, co istnieje, nie może zginąć. Nigdy.

– Wierzysz w to?

– Nie pozostaje nam nic innego, jak wierzyć.

Odwraca się ku mnie. Jest niezwykle piękna w ten wczesny wieczór, z pierwszym jasnym złotem jesieni w powietrzu.

– Czy inaczej bylibyśmy zgubieni? – szepcze.

Patrzę na nią osłupiały.

– Nie wiem – mówię wreszcie. Zgubieni – co to może znaczyć! Tak wiele!

– Czy inaczej bylibyśmy zgubieni, Rudolfie?

Milczę niezdecydowanie.

– Tak – mówię wreszcie. – Ale wtedy dopiero zaczyna się życie, Izabello.

– Jakie?

– Nasze własne. Wtedy dopiero wszystko się zaczyna – odwaga, wielkie współczucie, człowieczeństwo, miłość i tragiczna tęcza piękności. Wtedy gdy wiemy, że nic nie pozostaje.

Patrzę w jej opromienioną zachodzącym światłem twarz. Na chwilę czas staje w miejscu.

– Czy my, ty i ja, też nie pozostaniemy? – pyta.

– Nie, my też nie pozostaniemy – odpowiadam i patrzę na krajobraz pełen błękitu i czerwieni, i dali, i złota.

– Nawet jeśli się kochamy?

– Nawet jeśli się kochamy – mówię i dorzucam niechętnie i ostrożnie: – Sądzę, że dlatego człowiek kocha. Inaczej może nie można byłoby się kochać. Kochać to znaczy przekazać dalej coś, czego nie można zatrzymać.

– Co?

Wzruszam ramionami.

– Na to jest wiele nazw. Nasze „ja" prawdopodobnie, by je uratować. Albo nasze serce. Powiedzmy: nasze serce. Albo naszą tęsknotę. Nasze serce.

Ludzie powracający z pól nadeszli. Dozorcy otwierają bramy. Nagle obok muru przemyka ktoś, kto musiał być ukryty za drzewem, przeciska się wśród robotników i ucieka w pole. Jeden z dozorców dostrzega go i biegnie za nim dość powoli, drugi zostaje spokojnie na miejscu i każe innym pacjentom przechodzić dalej. Potem zamyka bramę. W dole widać biegnącego uciekiniera. Jest o wiele szybszy niż dozorca, który go ściga.

– Myśli pan, że kolega dogoni go w tym tempie? – pytam drugiego dozorcy.

– Już oni wrócą razem.

– Nie wygląda na to.

Dozorca wzrusza ramionami.

– To Gwido Timpe. Przynajmniej raz na miesiąc próbuje uciekać. Biegnie zawsze aż do restauracji Leśniczówka. Zawsze go tam znajdujemy. Nigdy nie biegnie dalej ani gdzie indziej. Tylko na dwa, trzy piwa. Pije zawsze ciemne. – Mruga do mnie. – I dlatego mój kolega nie biegnie prędzej. Chce mieć go tylko na oku na wszelki wypadek. Zawsze zostawiamy Timpemu tyle czasu, żeby zdążył wypić swoje piwo. Dlaczego nie? Potem wraca łagodny jak baranek.

Izabella nie słuchała.

– Dokąd on biegnie? – pyta teraz.

– Chce się napić piwa – mówię. – Nic więcej. Gdyby to człowiek mógł mieć tylko taki cel!

Izabella nie słucha. Spogląda na mnie.

– Chcesz także uciec?

Potrząsam głową.

– Nie ma po co uciekać, Rudolfie – mówi. – I nie ma po co przybywać. Wszystkie drzwi są takie same. A za nimi…

Milknie.

– Co jest za nimi, Izabello? – pytam.

– Nic. To są tylko drzwi. Zawsze są tylko drzwi i za nimi nic.

Dozorca zamyka bramę i zapala fajkę. Ostry zapach taniego tytoniu dolatuje do mnie i wyczarowuje obraz: proste życie bez problemów, z solidnym zawodem, solidną żoną, solidnymi dziećmi, solidną egzystencją i solidną śmiercią – wszystko przyjmowane bez wątpliwości. Dzień, wolny wieczór i noc, bez dociekania, co jest za tym. Ogarnia mnie na chwilę żrąca tęsknota i coś jakby zazdrość. Potem widzę Izabellę. Stoi przy bramie, dłonie opiera o żelazne sztaby kraty i cała przyciśnięta do nich wygląda na zewnątrz. Długo tak stoi. Światło staje się coraz bardziej nasycone, czerwieńsze i bardziej złote, lasy tracą błękitne cienie i stają się czarne, a niebo nad nami jest zielone jak jabłko i pełne różowo oświetlonych żagli chmur.

Wreszcie Izabella odwraca się. Jej oczy w tym świetle są prawie fioletowe.

– Chodź! – mówi i ujmuje moje ramię. Zawracamy. Izabella przytula się do mnie. – Nigdy nie powinieneś mnie opuścić.

– Nigdy cię nie opuszczę.
– Nigdy – powtarza. – „Nigdy” jest takie krótkie.

Dym wzbija się ze srebrnych kadzideł ministrantów. Bodendiek odwraca się, trzymając monstrancję w ręku. Siostry klęczą w ławkach w swoich czarnych strojach, jak ciemne symbole poświęcenia, głowy pochylone, ręce biją w zasłonięte piersi, które nigdy nie będą piersiami, płoną świece, a Bóg jest blisko, w hostii otoczonej złotymi promieniami. Jedna z kobiet wstaje, idzie środkowym przejściem aż do kratek prezbiterium i rzuca się na posadzkę. Większość chorych wpatruje się w złoty cud. Izabelli nie ma. Nie chce chodzić do kościoła. Przedtem chodziła, teraz od paru dni nie chce. Tłumaczyła mi to. Powiedziała, że nie chce już patrzeć na Umęczonego.

Dwie siostry podnoszą chorą, która rzuciła się na posadzkę i bije rękami. Gram *Tantum ergo*. Białe twarze obłąkanych obracają się ku organom jak za pociągnięciem sznurka. Wyciągam piszczałki i skrzypce. Siostry śpiewają.

Białe spirale dymu wibrują w powietrzu. Bodendiek odstawia monstrancję do tabernakulum. Światło świec trzepoce na brokacie ornatu, na którym wyhaftowany jest krzyż, i wznosi się z dymem do góry ku wielkiemu krzyżowi, na którym od dwóch tysięcy lat wisi umęczony Zbawiciel. Mechanicznie gram dalej i myślę o Izabelli i o tym, co powiedziała, a potem o opisie przedchrześcijańskich religii, który wczoraj czytałem. Bogowie greccy byli weseli, wędrowali z chmury na chmurę, zachowywali się nieco po łobuzersku i byli zawsze niewierni i zmienni jak ludzie, do których należeli. Byli ucieleśnieniem i zwielokrotnieniem życia w całej jego pełni i okrucieństwie, lekkomyślności i pięknie. Izabella ma rację: blada postać człowieka nade mną, z brodą i skrwawionymi członkami, to nie to. Dwa tysiące lat, myślę, dwa tysiące lat i zawsze życie ze światłami, krzykami żądzy, śmiercią i uniesieniami, wibrujące wokół kamiennych gmachów, w których wiszą wizerunki bladego, konającego człowieka, ciemne, krwawe, otoczone przez miliony Bodendieków. Ołowiany cień kościołów wyrastał nad krajami i dławił radość życia, z pogodnego Erosa uczynił

tajemniczą, brudną, grzeszną, łóżkową historię i nic nie przebaczył, nic, mimo wszystkich kazań o miłości i przebaczeniu – gdyż naprawdę przebaczać to przyjmować człowieka takim, jaki jest, a nie wymagać pokuty, wierności i uległości, zanim zostanie wypowiedziane: *Ego te absolvo*.

Izabella czeka na dworze. Wernicke pozwolił jej spacerować wieczorem po ogrodzie, jeśli ktoś z nią jest.

– Co robiłeś tam w środku? – pyta wrogo. – Pomagałeś wszystko zakryć?

– Grałem.

– Muzyka również zakrywa. Bardziej niż słowa.

– Jest również muzyka, która zrywa zasłony – mówię. – Muzyka trąb i bębnów. Sprawiła ona wiele nieszczęścia na świecie.

Izabella odwraca się.

– A twoje serce? Czy ono nie jest również bębnem?

Tak, myślę, powolne i ciche, ale mimo to robi dość dużo hałasu i sprawia dość nieszczęść; prawdopodobnie nie dosłyszę przez nie słodkiego, bezimiennego zewu życia tych, którzy nie przeciwstawiają życiu własnego pompatycznego „ja" i nie żądają żadnych wyjaśnień, jakby byli bezwzględnymi wierzycielami, a nie przelotnymi wędrowcami bez wytkniętej drogi.

– Posłuchaj mojego – mówi Izabella, ujmuje moją rękę i kładzie ją na cienkiej bluzce, pod piersią. – Czujesz je?

– Tak, Izabello.

Zabieram rękę, ale czuję się tak, jakbym jej nie cofnął. Spacerujemy dokoła małej fontanny, która jak zapomniana pluska wśród wieczoru. Izabella zanurza ręce w basenie i pryska wodą w górę.

– Gdzie są sny w ciągu dnia, Rudolfie? – pyta.

Przyglądam się jej.

– Może śpią – mówię ostrożnie, gdyż wiem, dokąd takie jej pytania mogą doprowadzić. Zanurza ręce w basenie i nie wyjmuje ich. Połyskują srebrem, pokryte małymi perełkami powietrza pod wodą, jakby były z jakiegoś nieznanego metalu.

– Jak mogą spać? – pyta. – Są przecież żywym snem. Widzi się je tylko, gdy się śpi. Ale gdzie pozostają w dzień?

– Może wiszą jak nietoperze w wielkich podziemnych pieczarach, albo jak młode sowy w głębokich dziuplach drzew, i czekają na noc.

– A jeśli noc nie przychodzi?

– Noc przychodzi zawsze, Izabello.

– Czy jesteś tego pewny?

Spoglądam na nią.

– Pytasz jak dziecko – mówię.

– Jak pytają dzieci?

– Tak jak ty. Zawsze pytają dalej. I wreszcie dochodzą do tego, na co dorośli nie znają odpowiedzi, i są zakłopotani albo zaczynają się gniewać.

– Dlaczego się gniewają?

– Ponieważ spostrzegają nagle, że jest w nich coś straszliwie fałszywego, i ponieważ nie chcą, by im o tym przypominano.

– Czy w tobie też jest coś fałszywego?

– Prawie wszystko, Izabello.

– Co jest fałszem?

– Tego nie wiem. W tym cała trudność. Gdybym wiedział, przestałoby to być takim fałszem. To się tylko czuje.

– Ach, Rudolfie – mówi nagle Izabella, a głos jej staje się głęboki i miękki. – Nic nie jest fałszywe.

– Nic?

– Oczywiście. Fałsz i prawdę zna tylko Bóg. Jeśli jednak jest Bogiem, nie ma w nim fałszu i prawdy. Wszystko jest Bogiem. Fałszywe mogłoby być tylko to, co byłoby poza nim. Gdyby jednak coś mogło być poza nim lub przeciw niemu, byłby to tylko ograniczony Bóg. A ograniczony Bóg nie jest Bogiem. A więc wszystko jest prawdziwe albo nie ma Boga. To jest zupełnie proste.

Spoglądam na nią zaskoczony. To, co mówi, brzmi rzeczywiście prosto i jasno.

– A więc nie istniałby również diabeł ani piekło? – pytam. – Albo gdyby istniał, to nie byłoby Boga?

Izabella kiwa głową.

– Oczywiście, że nie, Rudolfie. Mamy tak wiele słów. Kto je wszystkie wymyślił?

– Pomyleni ludzie – odpowiadam.

Pokazuje kaplicę i potrząsa głową.

– To tamci! Uwiązali go tam – szepcze. – Nie może wyjść. Chciałby. Ale przybili go do krzyża.

– Kto?

– Kapłani. Oni go trzymają w niewoli.

– To byli inni kapłani – mówię. – Przed dwoma tysiącami lat. Nie ci.

Opiera się o mnie.

– To zawsze ci sami, Rudolfie – szepcze tuż obok mnie – nie wiesz o tym? On chciałby się wydostać, ale oni trzymają go w niewoli. On krwawi i krwawi, i chce zejść z krzyża. Ale oni nie puszczają. Trzymają go w zamknięciu w swoich więzieniach z wysokimi wieżami, dają mu kadzidło i modlitwy i nie wypuszczają go. Wiesz dlaczego?

– Nie.

Księżyc wisi teraz blady nad lasami w popielatym błękicie.

– Ponieważ on jest bardzo bogaty – szepcze Izabella. – On jest bardzo, bardzo bogaty. A oni chcą zatrzymać jego majątek. Gdyby wyszedł, dostałby wszystko z powrotem, a oni staliby się biedni. To tak samo jak z kimś, kogo się zamyka tu na górze. Inni zarządzają jego majątkiem i robią z nim, co chcą, i żyją jak bogaci ludzie. Tak jak u mnie.

Patrzę na nią. Jej twarz jest pełna napięcia, ale nic nie zdradza.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Śmieje się.

– Wszystko, Rudolfie. Ty przecież także wiesz! Umieścili mnie tutaj, bo przeszkadzałam. Chcą zatrzymać mój majątek. Gdybym wyszła, musieliby mi go oddać. Ale nic nie szkodzi, ja go nie chcę.

Nadal patrzę na nią.

– Jeśli go nie chcesz mieć, możesz im to przecież wytłumaczyć. Wtedy nie byłoby powodu, by cię tu zatrzymywali.

– Tu czy tam – wszystko jedno. Dlaczego nie tu? Tutaj przynajmniej ich nie ma. Są jak komary. Kto chce żyć z komarami? – Pochyla się. – Dlatego udaję – szepcze.

– Udajesz?

– Naturalnie! Nie wiesz o tym? Trzeba udawać, inaczej przybijają człowieka do krzyża. Ale oni są głupi. Łatwo ich oszukać.

– Czy Wernickego też oszukujesz?

– Kto to jest?

– Lekarz.

– Ach, ten! On chce się tylko ze mną ożenić. Jest taki sam jak inni. Jest tylu więźniów, Rudolfie, a ci poza murami boją się. A tamten na krzyżu – jego najbardziej się boją.

– Kto?

– Wszyscy, którzy go wykorzystują i żyją z niego. Jest ich niezliczona ilość. Mówią, że są dobrzy. Ale wyrządzają wiele zła. Kto jest po prostu zły, niewiele może zrobić. Wszyscy to widzą i strzegą się go. Ale dobrzy – co oni wyrabiają! Ach, oni są krwawi!

– To prawda – mówię, sam dziwnie podniecony tym głosem szepczącym w ciemności. – Wyrządzili bardzo wiele zła. Kto jest zadowolony z siebie, jest nielitościwy.

– Nie chodź tam już, Rudolfie – szepcze dalej Izabella. – Oni powinni go wypuścić! Tego na krzyżu. On chciałby też śmiać się, spać i tańczyć.

– Tak sądzisz?

– Każdy by chciał, Rudolfie. Powinni go wypuścić. Ale on jest dla nich zbyt niebezpieczny. Jest najniebezpieczniejszy ze wszystkiego – on jest najbardziej dobrotliwy.

– Dlaczego nie chcą go wypuścić?

Izabella kiwa głową. Jej oddech muska mi twarz.

– Musieliby go znowu przybić do krzyża.

– Tak – mówię. – Mnie się też tak zdaje. Znowu by go zabili, ci sami, którzy dziś się do niego modlą. Zabiliby go, jak zabijano niezliczone rzesze w jego imieniu. W imię sprawiedliwości i miłości bliźniego.

Izabella wzdryga się.

– Nie chodzę tam już – mówi i wskazuje kaplicę. – One zawsze mówią, że trzeba cierpieć. Czarne siostry. Dlaczego, Rudolfie?

Nie odpowiadam.

– Kto sprawia, że musimy cierpieć? – pyta i przytula się do mnie.

– Bóg – mówię gorzko. – Jeśli istnieje. Bóg, który nas wszystkich stworzył

– A kto Boga za to ukarze?

– Co?

– Kto ukarze Boga za to, że musimy przez niego cierpieć? Tu między ludźmi za takie rzeczy idzie się do więzienia albo człowieka wieszają. Kto powiesi Boga?

– O tym jeszcze nie myślałem – mówię. – Spytam księdza Bodendieka.

Idziemy z powrotem aleją. Kilka robaczków świętojańskich leci przez ciemność. Izabella staje nagle.

– Słyszałeś? – pyta.

– Co?

– Ziemię. Skoczyła jak koń. W dzieciństwie zawsze się bałam, że spadnę we śnie. Chciałam, żeby mnie przywiązywano do łóżka. Czy można ufać sile ciężkości?

– Tak. Tak jak śmierci.

– Nie wiem. Czy nigdy nie latałeś?

– Samolotem?

– Samolotem – powtarza Izabella z lekką pogardą. – To potrafi każdy. We śnie.

– Owszem. Ale czy tego również nie potrafi każdy?

– Nie.

– Sądzę, że każdemu człowiekowi śniło się, że lata. To jeden z najczęściej spotykanych snów.

– Widzisz! – mówi Izabella. – A ty wierzysz w siłę ciążenia. A jeśli któregoś dnia przestanie działać? Co wtedy? Wtedy będziemy się unosić jak bańki mydlane! Kto wtedy będzie cesarzem? Ten, kto przywiąże sobie do nóg najwięcej ołowiu, czy ten, kto będzie miał najdłuższe ręce? A jak dostać się na dół z drzewa?

– Nie wiem. Ale nawet ołów by nie pomógł. Wtedy też byłby lekki jak powietrze.

Nagle staje się dziwnie nierzeczywista. Księżyc świeci w jej oczach, jakby tulił się w nich blady płomień. Odrzuca do tyłu włosy, które w chłodnym świetle wydają się zupełnie bezbarwne.

– Wyglądasz jak czarownica – mówię. – Jak młoda i niebezpieczna czarownica!

Izabella śmieje się.

– Czarownica – szepcze. – Wreszcie poznałeś? Jakże długo to trwało!

Jednym szarpnięciem rozrywa szeroką granatową spódnicę, falującą dokoła jej bioder, pozwala jej opaść i wychodzi z niej. Nie ma na sobie nic poza pantoflami i rozchyloną na piersiach białą bluzką. Szczupła i biała stoi w ciemności, bardziej podobna do chłopca niż do kobiety, z płowymi włosami i płowymi oczyma.

– Chodź – szepcze.

Oglądam się. Cholera, myślę, gdyby tak teraz nadszedł Bodendiek! Albo Wernicke, albo któraś z sióstr! I złoszczę się, że o tym myślę. Izabella nigdy by tego nie pomyślała. Stoi przede mną jak duszek powietrzny, który przybrał na siebie ciało, gotów w każdej chwili ulecieć.

– Musisz się ubrać – mówię.

Śmieje się.

– Muszę, Rudolfie? – pyta szyderczo i nie ma w niej ani trochę siły ciążenia, za to sam czuję siłę ciążenia całego świata.

Powoli podchodzi bliżej. Chwyta mnie za krawat i zrywa go. Wargi jej są blade, szarobłękitne w księżycowym świetle, zęby białe jak kreda i nawet jej głos stracił barwę.

– Zdejmuj to! – szepcze i rozrywa na mnie kołnierzyk i koszulę.

Czuję jej chłodne ręce na swojej nagiej piersi. Nie są miękkie, są wąskie i twarde i chwytają mnie mocno. Dreszcz przebiega mi po skórze. Coś, czego nie podejrzewałem w Izabelli, bucha z niej nagle, czuję to jak gwałtowny powiew wiatru, jak pchnięcie, które przychodzi z daleka i skłębia się w niej, jak łagodny wiatr szerokich równin w wąskiej przełęczy. Próbuję przytrzymać jej ręce i oglądam się. Odtrąca mnie. Nie śmieje się już; jest w niej teraz

śmiertelna powaga stworzenia, dla którego miłość jest zbędnym dodatkiem, które zna tylko jeden cel i któremu nawet śmierć nie wydaje się zbyt wielką ofiarą, by go osiągnąć.

Nie mogę jej powstrzymać. Skądś spłynęła na nią siła, której mógłbym przeciwstawić tylko gwałt. Aby tego uniknąć, przyciągam ją do siebie. Staje się bardziej bezradna, ale jest bliżej mnie, jej piersi przyciskają się do moich, czuję jej ciało w moich ramionach i czuję, że przyciągam ją bliżej do siebie. Nie wolno, myślę, ona jest chora, to gwałt, ale czyż wszystko nie jest gwałtem, zawsze? Jej oczy są tuż przede mną, puste i pozbawione świadomości, nieruchome i przezroczyste.

– Strach – szepcze. – Zawsze się boisz!

– Nie boję się – mruczę.

– Czego? Czego się boisz?

Nie odpowiadam. Nagle strach znika. Szarobłękitne wargi Izabelli przyciskają się do mojej twarzy, nie ma w niej nic gorącego, ale ja drżę z chłodnego gorąca, skóra się na mnie ściąga, tylko głowa mi płonie, czuję zęby Izabelli, jest małym zwierzątkiem, jest marą, duchem z księżycowego światła i żądzy, żywą zmartwychwstałą zmarłą, jej skóra i jej wargi są chłodne, groza i zakazana rozkosz wirują na przemian, oswobadzam się siłą i odpycham ją, tak że się przewraca…

Nie wstaje. Przycupnęła na ziemi jak biała jaszczurka i syczy przekleństwa na mnie, zniewagi, potok szeptanych furmańskich wyzwisk, których nawet ja dotychczas nie znałem, zniewag, które trafiają jak noże i uderzenia bicza, słowa, których od niej się nie spodziewałem, słowa, na które odpowiedzieć można tylko pięściami.

– Uspokój się – mówię.

Śmieje się.

– Uspokój się! – przedrzeźnia mnie. – To wszystko, co umiesz powiedzieć! Uspokój się! Idź do diabła! – syczy nagle głośniej. – Idź, ty szmato, ty eunuchu…

– Milcz – mówię wściekle. – Bo…

– Bo co? Spróbuj! – Wygina się ku mnie na ziemi jak łuk, ręce oparte w tyle, w bezwstydnym ruchu, usta otwarte w pełnym

pogardy grymasie.

Patrzę na nią jak skamieniały. Powinno mnie ogarnąć obrzydzenie, ale nie czuję go. Nawet w tym nieprzyzwoitym geście Izabella nie ma nic wspólnego z rozpustą, mimo wszystkiego, co wygaduje i robi. Jest w tym coś rozpaczliwego, dzikiego, i niewinnego, kocham ją, chciałbym ją podnieść i zabrać, ale nie wiem dokąd, podnoszę dłonie, są ciężkie, jestem zrozpaczony i bezradny, małomieszczański i prowincjonalny.

– Precz! – szepcze Izabella z ziemi. – Idź! Idź! I nie wracaj nigdy! Nie waż się wracać, ty starcze, ty dziadzie kościelny, ty plebejuszu, ty kastracie! Idź, bałwanie, głupcze, kramarska duszo! Nie waż się wracać!

Patrzy na mnie. Uklękła, usta jej zrobiły się malutkie, oczy płaskie, szare jak żwir i złe. Lekkim skokiem zrywa się z ziemi, chwyta szeroką granatową spódnicę i oddala się szybko i płynnie; wychodzi z alei na światło księżyca, smukła, naga tancerka powiewająca granatową spódnicą jak chorągwią.

Chcę za nią biec, zawołać, żeby się ubrała, ale powstrzymuję się. Nie wiem, co dalej zrobi – i przychodzi mi do głowy, że pewno nie pierwszy raz ktoś ukaże się nago przed drzwiami pawilonu. Zwłaszcza kobiety często to czynią.

Powoli wracam aleją. Zapinam koszulę i czuję się winien, sam nie wiem dlaczego.

Późno w nocy słyszę, jak nadchodzi Knopf. Sądząc po jego kroku, jest dość pijany. Wprawdzie nie to mi w głowie, ale właśnie dlatego przysuwam się do rynny. Knopf zatrzymuje się w bramie i jako stary żołnierz najpierw bada teren. Jest zupełnie cicho. Ostrożnie zbliża się do obelisku. Nie oczekiwałem, że feldfebel w stanie spoczynku wyzbędzie się swego przyzwyczajenia już po pierwszym ataku zastraszającym. Stoi właśnie przed pomnikiem w postawie wyjściowej i znów czeka. Ogląda się jeszcze raz dookoła. Potem jako doświadczony taktyk wykonuje jeszcze jeden manewr maskujący, opuszcza ręce, ale jest to blef, Knopf tylko nasłuchuje. Potem, ponieważ nadal panuje cisza, ustawia się

wygodnie, z uśmieszkiem triumfu pod nietzscheańskimi wąsami, i puszcza strugę.

– Knopf! – wyję głucho przez rynnę. – Ty świnio, znowuś tutaj? Czy cię nie ostrzegałem?

Zmiana w wyrazie twarzy Knopfa jest niezgorsza. Nigdy nie wierzyłem wyrażeniu, że ktoś wytrzeszcza oczy ze strachu, myślałem, że raczej je przymyka, żeby uzyskać ostrzejszy obraz, ale Knopf rzeczywiście je wybałuszył jak przestraszony koń podczas wybuchu ciężkiego granatu. Toczy nimi nawet wkoło.

– Nie jesteś godny być feldfeblem saperów w stanie spoczynku – huczę. – Niniejszym degraduję cię! Degraduję cię do szeregowca, ty szczylu! Odmaszerować!

Ochrypłe szczekanie wydobywa się z krtani Knopfa.

– Nie! Nie! – skrzeczy i usiłuje odnaleźć miejsce, z którego przemawia Bóg. Jest to kąt między bramą i ścianą jego domu. Nie ma tam ani okna, ani jakiegokolwiek innego otworu. Nie pojmuje, skąd dobywa się głos.

– Koniec z długą szablą, garnizonówką i naszywkami! – ryczę. – Koniec z galowym mundurem! Od tej chwili jesteś szeregowym saperem, Knopf, ty moczymordo!

– Nie! – wyje Knopf, ugodzony w samo serce. Prawdziwemu Teutonowi można prędzej obciąć palec niż odebrać mu rangę. – Nie! Nie! – szepcze i podnosi łapy do księżyca.

– Zapnij się przyzwoicie! – polecam i nagle przychodzi mi do głowy wszystko, co krzyczała Izabella, czuję ukłucie w żołądku, a świadomość własnej nędzy spada na mnie jak grad.

Knopf wykonał rozkaz.

– Tylko nie to! – skrzeczy znowu, głowę odchylił do tyłu, ku oświetlonym księżycem obłoczkom. – Tylko nie to, Panie!

Widzę, jak stoi niby centralna postać grupy Laokoona, walcząc z niewidzialnymi wężami dyshonoru i degradacji. Stoi, podobnie jak ja stałem przed godziną, przychodzi mi do głowy, podczas gdy w żołądku znowu zaczyna mi się gotować. Ogarnia mnie nieoczekiwana litość. Robię się bardziej ludzki.

– No dobrze – mruczę. – Nie zasługujesz na to, ale chcę ci dać jeszcze jedną szansę. Zostaniesz zdegradowany do gefrajtra, i to

tylko na próbę. Jeśli do końca września będziesz szczał jak cywilizowany człowiek, dostaniesz awans na kaprala, do końca października na plutonowego, w końcu listopada na wicefeldfebla, a na święta znowu na zawodowego feldfebla – szefa kompanii w stanie spoczynku. Zrozumiano?

– Tak jest, Panie… Panie… – Knopf szuka odpowiedniego tytułu. Obawiam się, że waha się między cesarzem a Bogiem, i przerywam mu we właściwej chwili.

– To moje ostatnie słowo, gefrajtrze Knopf! I nie myśl, że po świętach będziesz mógł zacząć na nowo, ty świnio! Wtedy jest zimno i nie będziesz mógł zatrzeć swoich śladów. Zamarzną. Jeśli choć raz staniesz przed obeliskiem, zostaniesz porażony prądem i dostaniesz takiego zapalenia jąder, że cię pokręci z bólu! A teraz zjeżdżaj, ty kupo gówna z krokiewkami!

Knopf znika z niewielką szybkością w ciemnej sieni swego domu. Słyszę cichy śmiech z biura. Liza i Georg obserwowali całe przedstawienie.

– Kupa gówna z krokiewkami – chichocze ochryple Liza. Przewraca się krzesło, słychać stuk i drzwi do sanktuarium Georga się zamykają. Kiedyś otrzymałem od Riesenfelda butelkę holenderskiego Genevera z dedykacją: „Na szczególnie ciężkie chwile". Teraz ją wyciągam. Na kanciastej butelce pyszni się etykieta „Friesscher Genever van P. Bokma, Leeuwarden". Odkorkowuję butelkę i nalewam duży kieliszek. Genever jest mocny, ostry i nie wymyśla mi.

XVIII

Trumniarz Wilke patrzy na kobietę ze zdumieniem.

– Dlaczego nie weźmie pani dwóch małych? – pyta. – To nie kosztowałoby o wiele więcej.

Kobieta potrząsa głową.

– Muszą leżeć razem.

– Ale może je pani pochować w jednym grobie – mówię. – Wtedy będą razem.

– Nie, to nie dosyć.

Wilke drapie się po głowie.

– Co pan o tym sądzi? – zwraca się do mnie.

Kobieta straciła dwoje dzieci. Umarły jednego dnia. Chce mieć dla nich nie tylko wspólny nagrobek – chce mieć także jedną trumienkę dla obojga, rodzaj podwójnej trumienki. Dlatego zawołałem Wilkego do biura.

– Dla nas sprawa jest prosta – mówię. – Nagrobki z dwoma napisami zdarzają się często. Są nawet nagrobki rodzinne z sześcioma lub ośmioma napisami.

Kobieta kiwa głową.

– Tak właśnie powinno być! Chłopcy powinni leżeć razem. Stale byli razem.

Wilke wyciąga ciesielski ołówek z kieszeni kamizelki.

– To będzie dziwnie wyglądało. Trumna będzie za szeroka. Prawie kwadratowa. Dzieci są jeszcze bardzo małe. Ile lat miały?

– Cztery i pół.

Wilke rysuje.

– Jak kwadratowa skrzynia – oświadcza potem. – Nie chciałaby pani…

– Nie – przerywa kobieta. – Powinni zostać razem. To są bliźniaki.

– Można dla bliźniąt zrobić też bardzo ładne pojedyncze trumienki, lakierowane na biało. Byłyby zgrabniejsze. Krótka, podwójna trumna wygląda niezgrabnie…

– Nie szkodzi – powtarza kobieta z uporem. – Mieli podwójną kołyskę, podwójny wózek i teraz powinni mieć podwójną trumnę. Powinni pozostać razem.

Wilke rysuje dalej. Ale nie wychodzi nic innego tylko kwadratowa skrzynia, nawet mimo łodyg bluszczu na pokrywie. Przy trumnie dla dorosłych miałby więcej pola do popisu, ale dzieci są za krótkie.

– Nie wiem nawet, czy to dozwolone – próbuje ostatniego argumentu.

– Dlaczego miałoby nie być dozwolone?

– Bo jest niezwykłe.

– Niezwykłe jest również, że dwoje dzieci umiera tego samego dnia – mówi kobieta.

– To prawda, zwłaszcza że to bliźnięta. – Wilke nagle wykazuje zainteresowanie. – Chorowały na tę samą chorobę?

– Tak – odpowiada kobieta twardo. – Na tę samą chorobę. Urodziły się po wojnie, kiedy nie mieliśmy nic do jedzenia. Bliźniaki… nie miałam pokarmu nawet dla jednego…

Wilke nachyla się.

– Ta sama choroba! – W jego oczach płonie teraz naukowa ciekawość. – Podobno z bliźniakami zdarza się to często. Astrologia…

– Jak będzie z trumną? – pytam. Kobieta nie sprawia wrażenia, by mogła prowadzić dłuższą rozmowę na ten tak fascynujący Wilkego temat.

– Mogę spróbować – mówi Wilke. – Ale nie wiem, czy to dozwolone. Pan nie wie? – pyta mnie.

– Można zapytać w zarządzie cmentarza.

– A jak z księżmi? Czy chłopcy byli ochrzczeni?

Kobieta waha się.

– Jeden po katolicku, a drugi po ewangelicku – mówi wreszcie. – Tak to ustaliliśmy. Mój mąż jest katolikiem, a ja – ewangeliczką. Więc umówiliśmy się, że w ten sposób podzielimy się bliźniętami.

– A więc ochrzciła pani jedno dziecko po katolicku, a drugie po ewangelicku? – pyta Wilke.

– Tak.

– Tego samego dnia?

– Tego samego dnia.

Zainteresowanie dziwnymi problemami bytu zapala się w Wilkem na nowo.

– Oczywiście w dwóch różnych kościołach?

– Oczywiście – mówię niecierpliwie. – A gdzież by? A teraz…

– Ale nie mogła ich pani rozróżnić? – przerywa mi Wilke. – To znaczy, przez cały ten czas? Pewno byli podobni do siebie?

– Tak – mówi kobieta. – Jak dwie krople wody.

– Właśnie o to mi chodzi! Jak można było ich rozróżnić, szczególnie kiedy byli jeszcze tacy mali? Potrafiła pani? Zwłaszcza w pierwszych dniach, kiedy zawsze panuje taki zamęt?

Kobieta milczy.

– Teraz to już i tak wszystko jedno – oświadczam i daję znak Wilkemu, żeby przestał gadać.

Ale w Wilkem tkwi pozbawiona sentymentów ciekawość naukowca.

– To nie jest wszystko jedno – odpowiada. – Trzeba ich przecież pochować! Jeden jest katolikiem, a drugi ewangelikiem. Wie pani, który jest katolikiem?

Kobieta milczy. Wilke podnieca się tym tematem.

– Uważa pani, że da się urządzić pogrzeb jednocześnie? Jeśli chce pani mieć podwójną trumnę, będzie pani musiała to zrobić jednocześnie. Musiałoby być dwóch księży przy grobie, jeden katolicki, drugi ewangelicki! Ale oni z pewnością się na to nie zgodzą! Są bardziej zazdrośni o Pana Boga niż my o nasze żony.

– Wilke, to pana nic nie obchodzi – mówię i kopię go pod stołem.

– A co do bliźniaków – krzyczy Wilke, nie zwracając na mnie uwagi – katolik musiałby jednocześnie być pochowany po ewangelicku, a ewangelik po katolicku! Niech pani sobie wyobrazi, jakie to będzie zamieszanie! Nie, nie da pani rady z podwójną trumną! Muszą być dwie pojedyncze trumny! Żeby każde wyznanie miało swoją! Duchowni będą mogli odwrócić się do siebie plecami i wtedy je pokropić.

Wilke wyobraża sobie najwidoczniej, że jedna religia jest trucizną dla drugiej.

– Czy rozmawiała już pani z księżmi? – pyta.

– To załatwia mój mąż – mówi kobieta.

– No, naprawdę jestem ciekawy…

– Zrobi pan podwójną trumnę? – przerywa mu kobieta.

– Zrobić to mogę, ale mówię pani…

– Ile to będzie kosztowało?

Wilke drapie się po głowie.

– Na kiedy ma być gotowa?

– Jak najprędzej.

– To musiałbym pracować w nocy. Godziny nadliczbowe. Muszę to zrobić ekstra.

– Ile będzie kosztować? – pyta kobieta.

– Powiem pani przy odbiorze. Policzę tanio ze względów naukowych. Tylko nie będę mógł przyjąć trumny z powrotem, jeśli nie otrzyma pani zezwolenia.

– Otrzymam zezwolenie.

Wilke patrzy ze zdumieniem na kobietę.

– Skąd pani wie?

– Jeśli księża nie będą chcieli tak pobłogosławić, pochowamy dzieci bez księży – mówi kobieta twardo. – Nigdy się nie rozłączały i powinno tak być do końca.

Wilke kiwa głową.

– Więc załatwione… Dostarczę trumnę. Ale z powrotem nie mogę jej przyjąć.

Kobieta wyciąga z torebki czarną skórzaną portmonetkę z niklowym zamkiem.

– Chce pan dostać zaliczkę?

– To normalne. Na drzewo.

Kobieta patrzy pytająco na Wilkego.

– Milion – odzywa się Wilke z pewnym zakłopotaniem.

Kobieta podaje mu banknoty. Są równo poskładane.

– Jeszcze adres – mówi.

– Pójdę z panią – wyjaśnia Wilke. – Wezmę miarę. Chciałbym, żeby trumna wypadła jak najlepiej.

Kobieta kiwa głową i spogląda na mnie.

– A pomnik? Kiedy panowie go dostarczą?

– Kiedy pani sobie życzy. Zazwyczaj czeka się z tym parę miesięcy po pogrzebie.

– Nie możemy go dostać teraz?

– Owszem. Ale lepiej poczekać. Grób osiada po pewnym czasie. Lepiej postawić pomnik dopiero wtedy, inaczej trzeba by go potem stawiać na nowo.

– Ach, tak – mówi kobieta. Wydaje się, że jej źrenice przez chwilę drżą. – Mimo wszystko chcielibyśmy mieć pomnik od razu. Czy nie można by… nie można by go tak ustawić, żeby się nie zapadł?

– Musielibyśmy w takim razie zrobić specjalny fundament pod pomnik przed pogrzebem. Życzy pani sobie?

Kobieta potakuje.

– Trzeba wyryć ich imiona na pomniku – dodaje. – Nie powinni tak leżeć bez napisu. Lepiej, żeby mieli od razu swoje imiona.

Podaje mi numer kwatery i grobu.

– Chciałabym zaraz zapłacić – oświadcza. – Ile to wyniesie?

Znowu otwiera czarną skórzaną portmonetkę. Zakłopotany jak Wilke podaję jej cenę.

– Dzisiaj wszystko liczy się na miliony i miliardy – dodaję.

To osobliwe, jak niekiedy ze sposobu, w jaki ludzie składają banknoty, można poznać, czy są porządni i uczciwi, czy nie. Kobieta bierze jeden banknot po drugim i kładzie go na stole obok próbek granitu i wapnia.

– Odłożyliśmy pieniądze na szkołę – wyjaśnia. – Teraz nie starczyłoby już na szkołę… ale na to jeszcze starczy…

– Wykluczone! – krzyczy Riesenfeld. – Czy ma pan w ogóle pojęcie, ile kosztuje czarny szwedzki granit? Granit sprowadzamy ze Szwecji, młody człowieku, i nie możemy za niego płacić wekslami na niemieckie marki! To kosztuje dewizy! Szwedzkie korony! Mamy już tylko parę bloków dla przyjaciół! Ostatnie! To są błękitne diamenty! Dam wam jeden za wieczór z panią Watzek – ale dwa? Czy pan zwariował? Równie dobrze mógłbym zażądać od Hindenburga, żeby został komunistą!

– Co za pomysł!

– No więc! Niech pan bierze, co dają, i nie próbuje wyciągnąć ze mnie więcej niż pański szef. Ponieważ jest pan w jednej osobie gońcem i dyrektorem biura, nie musi się pan troszczyć o awans.

– To pewne. Robię to tylko z miłości do granitu. Z platonicznej miłości. Nawet nie chcę go sam sprzedać.

– Nie? – pyta Riesenfeld i nalewa sobie kieliszek sznapsa.

– Nie – odpowiadam. – Widzi pan, chcę zmienić zawód.

– Znowu? – Riesenfeld przesuwa swój fotel tak, żeby mieć przed sobą okno Lizy.

– Tym razem naprawdę.

– Wraca pan do belferstwa?

– Nie – mówię. – Taki głupi już nie jestem. Ani taki zarozumiały. Czy nie miałby pan czegoś dla mnie? Pan tyle się obraca między ludźmi.

– Ale co? – pyta Riesenfeld bez zainteresowania.

– Cokolwiek w dużym mieście. Może być funkcja gońca w redakcji gazety.

– Niech pan zostanie tutaj – mówi Riesenfeld. – Pan tu pasuje. Będzie mi pana brakowało. Dlaczego chce pan odejść?

– Tego nie potrafię panu dokładnie wyjaśnić. Gdybym mógł, nie byłoby to takie konieczne. Nie zawsze zdaję sobie z tego sprawę, tylko chwilami. Wtedy wiem to jednak z diabelną pewnością.

– A teraz pan wie?

– Teraz wiem.

– Mój Boże! – mówi Riesenfeld. – Nieraz będzie pan jeszcze za tym tęsknił.

– Z pewnością. Dlatego właśnie chcę wyjechać.

Riesenfeld wzdryga się nagle, jakby dotknął wilgotną łapą elektrycznego kontaktu. Liza zapaliła światło w swoim pokoju i podeszła do okna. Zdaje się, że nie widzi nas w mrocznym biurze, i spokojnie ściąga z siebie bluzkę. Pod bluzką nie ma nic.

Riesenfeld sapie głośno.

– O nieba, do pioruna, co za piersi! Można na nich spokojnie postawić półlitrowy kufel piwa i nie spadnie!

– Niezła myśl! – mówię.

Oczy Riesenfelda miotają iskry.

– Czy pani Watzek robi to stale?

– Jest dość swobodna. Nikt jej tu nie może zobaczyć – oczywiście poza nami.

– Człowieku! – woła Riesenfeld. – I takie stanowisko chce pan porzucić? Osioł z pana!

– Tak – odpowiadam i milczę, podczas gdy Riesenfeld jak wirtemberski Indianin podkrada się do okna, z kieliszkiem w jednej i butelką żytniówki w drugiej ręce.

Liza czesze włosy.

– Chciałem zostać rzeźbiarzem – mówi Riesenfeld, nie spuszczając z niej oka. – W tym wypadku to by się opłaciło! Psiakrew, ile człowiek stracił!

– Chciał pan rzeźbić w granicie?

– A co to ma do rzeczy?

– To, że kiedy się rzeźbi w granicie, modele się starzeją, zanim dzieła sztuki zostaną ukończone – mówię. – Jest strasznie twardy. Przy pańskim temperamencie mógłby pan co najwyżej pracować w glinie. Inaczej zostawiałby pan stale nie dokończone dzieła.

Riesenfeld jęczy. Liza ściągnęła spódnicę, ale zaraz potem zgasiła światło, przechodząc do innego pokoju. Szef zakładów odenwaldzkich przez chwilę stoi jeszcze przylepiony do okna, ale potem się odwraca.

– Panu dobrze! – mruczy. – Panu demon nie siedzi na karku. Najwyżej mleczna owca.

– *Merci* – mówię. – U pana to także nie demon, tylko kozioł. Co poza tym?

– List – wyjaśnia Riesenfeld. – Czy zechciałby pan oddać list ode mnie?

– Komu?

– Pani Watzek. A komuż by?

Milczę.

– Rozejrzę się za posadą dla pana – mówi Riesenfeld.

Milczę dalej i patrzę na lekko pocącego się niedoszłego rzeźbiarza. Dochowam Georgowi wierności Nibelungów, choćby to miało mnie kosztować całą przyszłość.

– Ja bym to zrobił bez wahania – oświadcza Riesenfeld obłudnie.

– Wiem – mówię. – Ale po co chce pan pisać? Pisanie nigdy nie pomaga. Poza tym wyjeżdża pan dziś wieczorem. Niech pan odłoży całą sprawę do swego powrotu.

Riesenfeld wypija kieliszek żytniówki.

– Może się to panu wyda śmieszne – ale sprawy tego rodzaju niechętnie odkłada się na później.

W tej chwili Liza wychodzi z domu. Ma na sobie obcisły czarny kostium i pantofle na najwyższych obcasach, jakie kiedykolwiek widziałem. Riesenfeld dostrzega ją w tym samym momencie, co ja. Porywa kapelusz ze stołu i wyskakuje na dwór.

– Oto właściwa chwila!

Widzę, jak pędzi ulicą. Potem, trzymając kapelusz w ręku, idzie z szacunkiem obok Lizy, która ogląda się dwa razy. Oboje znikają za rogiem. Ciekaw jestem, co z tego wyjdzie. Georg Kroll z pewnością mi powie. Możliwe, że ten szczęściarz przy okazji zarobi jeszcze jeden pomnik ze szwedzkiego granitu.

Przez podwórze przechodzi stolarz Wilke.

– Może byśmy tak urządzili posiedzenie dziś wieczór? – woła przez okno.

Kiwam głową. Oczekiwałem już, że mi to zaproponuje.

– Bach też przyjdzie? – pytam.

– Oczywiście. Właśnie przyniosłem dla niego papierosy.

Siedzimy w warsztacie Wilkego między wiórami, trumnami, doniczkami geranium i garnkami z klejem. Pachnie żywicą

i świeżo ściętą jedliną. Wilke hebluje wieko podwójnej trumienki. Zdecydował się dodać za darmo girlandę kwiatów, i to pozłacaną. Jeśli go coś interesuje, zarobek nie gra roli. A ten przypadek go interesuje.

Kurt Bach siedzi na czarno lakierowanej trumnie z imitacją brązu, ja na wspaniałym modelu z autentycznego dębu, bejcowanym na matowo. Mamy piwo, kiełbasę, chleb, ser i jesteśmy zdecydowani przeczekać z Wilkem godzinę duchów. Chodzi o to, że trumniarz zazwyczaj między godziną dwunastą i pierwszą w nocy robi się melancholijny, śpiący i strachliwy. To jego godzina słabości. Trudno uwierzyć, ale boi się wtedy upiorów i nie wystarcza mu towarzystwo kanarka, wiszącego w papuziej klatce nad warsztatem. Wilke jest wówczas zniechęcony, mówi o bezcelowości istnienia i sięga po butelkę. Często znajdowaliśmy go rano pijanego, chrapiącego na posłaniu z wiórów w największej ze swoich trumien, na której okropnie wpadł przed czterema laty. Trumnę sporządzono dla olbrzyma z cyrku Bleichfelda, który na występach gościnnych w Werdenbrück po uczcie składającej się z limburskiego sera, jajek na twardo, sitkowego chleba i wódki nagle umarł – pozornie umarł, albowiem gdy Wilke przez całą noc, nie zważając na upiory, naharował się przy trumnie dla olbrzyma, tamten niespodzianie podniósł się z westchnieniem ze swych mar i zamiast, jak tego wymagałaby przyzwoitość, zawiadomić o tym Wilkego, wypił pół butelki żytniówki, jaka jeszcze została, i położył się spać. Następnego ranka oświadczył, że nie ma pieniędzy, a poza tym nie zamawiał dla siebie trumny – twierdzenie, którego nie można było obalić. Cyrk pociągnął dalej, a ponieważ nikt nie przyznał się do zamówienia tej trumny, Wilke został z nią na lodzie. Z tego powodu jego pogląd na świat przez pewien czas przepojony był goryczą. Szczególnie oburzony był na młodego lekarza Wüllmanna, który jego zdaniem ponosił za wszystko odpowiedzialność. Wüllmann służył dwa lata na froncie jako młodszy lekarz. Miał tam do czynienia z tyloma na pół i w trzech czwartych martwymi szeregowcami, za których śmierć lub krzywo pozrastane kości nikt go nie czynił odpowiedzialnym, że mógł zebrać kupę interesujących doświadczeń. Dlatego to w nocy jesz-

cze raz zakradł się do olbrzyma i dał mu jakiś zastrzyk. Często widział w lazarecie, jak umarli ożywali – i olbrzym również po prostu przywędrował z powrotem do życia. Wilke od tego czasu mimo woli żywił pewną niechęć do Wüllmanna, której ten nie mógł zwalczyć, chociaż zachowywał się jak rozsądny lekarz i przysyłał do Wilkego osieroconych krewnych swoich pacjentów. Dla Wilkego trumna olbrzyma stała się wieczną przestrogą przed zbytnią łatwowiernością i sądzę, że również z tego powodu poszedł z matką bliźniaków do jej mieszkania – chciał się osobiście przekonać, czy aby zmarli chłopcy nie zaczęli tymczasem hasać na swoich drewnianych konikach. Wilke poczytywałby to sobie za zbyt wielki dyshonor, gdyby poza nie dającą się sprzedać ogromną trumną wpadł na kwadratowej podwójnej trumience i w ten sposób dorobił się czegoś w rodzaju muzeum osobliwości cechu trumniarzy. Jeśli chodzi o Wüllmanna, najbardziej rozgniewało Wilkego to, że nie miał okazji przeprowadzić dłuższej prywatnej rozmowy z olbrzymem. Wszystko by mu przebaczył, gdyby mógł z nim zrobić wywiad z tamtego świata. Olbrzym przez kilka godzin był przecież jakby umarły, a Wilke, jako naukowiec-amator i czciciel upiorów, dałby wiele za informacje o życiu po tamtej stronie.

Kurta Bacha nie dałoby się na to wszystko złapać. Syn natury należy do wolnomyślicielskiej organizacji w Berlinie, której hasłem wyborczym jest: „Czyńcie życie na ziemi dobrym i pięknym, gdyż nie ma drugiego świata ani zmartwychwstania”. To osobliwe, że mimo to został rzeźbiarzem świata pozagrobowego z aniołami, konającymi lwami i orłami, choć nie zawsze było to jego zamiarem. Kiedy był młodszy, uważał się za kogoś w rodzaju siostrzeńca Michała Anioła.

Kanarek śpiewa. Światło nie daje mu usnąć. Hebel Wilkego wydaje syczące dźwięki. Noc stoi za otwartym oknem.

– Jak się pan czuje? – pytam Wilkego. – Czy wieczność puka już do drzwi?

– Jeszcze niezupełnie. Jest przecież dopiero wpół do dwunastej. O tej porze czuję się tak, jakbym wyszedł na spacer z długą brodą i w damskiej koszuli z dekoltem. Nieprzyjemnie.

– Niech pan zostanie monistą – proponuje Kurt Bach. – Kiedy człowiek w nic nie wierzy, nigdy nie czuje się szczególnie źle. Ani śmiesznie.

– Ani dobrze.

– Możliwe. Ale z pewnością nie tak, jakby miał długą brodę i damską suknię z dekoltem. Tak czuję się tylko wtedy, kiedy wyglądam w nocy przez okno, widzę niebo z gwiazdami i milionami lat świetlnych i mam wierzyć, że nad tym wszystkim siedzi ktoś w rodzaju nadczłowieka, którego bardzo interesuje to, co się dzieje z Kurtem Bachem.

Syn natury spokojnie odcina i pochłania kawałek kiełbasy. Wilke staje się coraz bardziej nerwowy. Północ jest już blisko, a o tej porze trumniarz nie lubi podobnych rozmów.

– Zimno, co? – pyta. – Już jesień.

– Niech pan zostawi okno otwarte – odpowiadam, kiedy chce je zamknąć. – Nic panu nie pomoże. Duchy przechodzą przez szkło. Niech pan spojrzy lepiej na akację przed domem. Słyszy pan, jak wiatr w niej szumi? Jak walc w jedwabnych halkach młodej kobiety. Ale pewnego dnia akacja zostanie ścięta i pan porobi z niej trumny.

– Nie z akacji. Trumny robi się z dębiny, jodły, fornirowane mahoniem…

– Dobrze, dobrze! Jest tam jeszcze trochę wódki?

Kurt Bach podaje mi butelkę. Wilke wzdryga się nagle i o mało nie zheblowuje sobie palca.

– Co to było? – pyta przerażony.

Chrabąszcz uderzył w żarówkę.

– Spokojnie, Alfredzie – mówię. – To nie żaden znak ze świata duchów. Zaledwie skromny dramat ze świata zwierząt. Zwykły chrabąszcz, który dąży do słońca – ucieleśnionego dlań w stuwatowej żarówce w oficynie domu przy ulicy Krzywej trzy.

Umówiliśmy się, że od północy aż do końca godziny duchów będziemy z Wilkem na „ty". To mu dodaje pewności siebie. Po pierwszej znowu staniemy się oficjalni.

– Nie rozumiem, jak można żyć bez religii – zwraca się Wilke do Kurta Bacha. – Co taki człowiek robi, jeśli obudzi się w nocy

podczas burzy?

– Latem?

– Naturalnie, że latem. W zimie nie ma burz.

– Wypija coś chłodnego – odpowiada Kurt Bach. – A potem śpi dalej.

Wilke potrząsa głową. W godzinie duchów jest nie tylko lękliwy, lecz także bardzo religijny.

– Znałem kogoś, kto podczas burzy zawsze chodził do burdelu – mówię. – Po prostu coś go do tego zmuszało. Zwykle był impotentem, tylko podczas burzy mu się odmieniało. Na widok chmury burzowej natychmiast chwytał za telefon i zamawiał sobie kolejkę u Fritzi. Lato roku dwudziestego było najpiękniejszym okresem jego życia. Wtedy roiło się od burz. Czasami po cztery, pięć dziennie.

– Co on teraz robi? – pyta z zainteresowaniem Wilke, naukowiec-amator.

– Nie żyje – odpowiadam. – Zmarł podczas ostatniej wielkiej burzy w październiku dwudziestego roku.

Nocny wiatr zamyka z trzaskiem drzwi w domu naprzeciwko. Z wież biją dzwony. Mija północ. Wilke wlewa w siebie kieliszek wódki.

– Może byśmy się tak przeszli na cmentarz? – pyta ateista Bach, który czasem wykazuje absolutny brak uczuć.

Wąsy Wilkego zadrgały z przerażenia na wietrze wpadającym przez okno.

– I kogoś takiego człowiek uważa za przyjaciela! – mówi z wyrzutem. Zaraz potem znowu ogarnia go strach – Co to było?

– Para zakochanych w ogrodzie. Przestań teraz heblować, Alfredzie. Jedz! Upiory nie lubią ludzi jedzących. Nie masz szprotów?

Alfred rzuca mi spojrzenie psa, którego kopnięto w chwili, gdy szedł za głosem natury.

– Musisz mi właśnie teraz o tym przypominać? O moim nędznym życiu miłosnym i samotności w najlepszych męskich latach?

– Jesteś ofiarą swego zawodu – mówię. – Nie każdy może to o sobie powiedzieć. Chodź na *soirée*! Tak nazywa się tego rodzaju

posiłek w eleganckim świecie.

Bierzemy się do kiełbasy i sera i otwieramy butelki z piwem. Kanarek dostaje liść sałaty i wybucha radością życia, nie wiedząc, czy jest ateistą, czy nie. Kurt Bach podnosi ziemistą twarz i węszy.

– Pachnie gwiazdami – oświadcza.

– Co? – Wilke umieszcza butelkę w wiórach. – Co to ma znaczyć?

– O północy świat pachnie gwiazdami.

– Zostaw te dowcipy! Jak można w ogóle chcieć żyć, jeśli człowiek w nic nie wierzy i jeszcze gada w ten sposób?

– Chcesz mnie nawrócić? – pyta Kurt Bach. – Ty, który próbujesz oszukać niebo?

– Nie, nie! Albo tak, może i chcę. Czy coś tu zaszeleściło?

– Tak – odpowiada Kurt. – Miłość.

Słyszymy, że ktoś ostrożnie skrada się za ścianą. Druga para zakochanych znika w lesie pomników. Widać białą plamę przemykającej sukienki.

– Dlaczego właściwie ludzie wyglądają zupełnie inaczej, kiedy są martwi? – pyta Wilke. – Nawet bliźniaki.

– Ponieważ wtedy nie są już zniekształceni – odpowiada Kurt Bach.

Wilke przestaje żuć.

– A to niby jak? – pyta.

– Przez życie – oznajmia monista.

Wilke opuszcza wąsy i żuje dalej ze słowami:

– O tej porze moglibyście dać spokój tym idiotyzmom! Czy dla was nie ma już nic świętego?

Kurt Bach śmieje się bezdźwięcznie.

– Ty biedne pnącze! – mówi. – Zawsze musisz mieć coś, czego byś się mógł czepiać.

– A ty?

– Ja też.

Oczy w ziemistej twarzy błyszczą, jakby były ze szkła. Syn natury jest zazwyczaj zamknięty w sobie i robi wrażenie chybionego rzeźbiarza o chybionych marzeniach. Ale czasami prawzory

tych marzeń wybuchają z niego, takie, jakimi były przed dwudziestu laty, i naraz staje się zapóźnionym faunem z wizjami.

Na podwórku coś trzeszczy, szepcze i przekrada się koło ściany.

– Przed dwoma tygodniami doszło tu w ogrodzie do awantury – odzywa się Wilke. – Pewien ślusarz zapomniał wyjąć narzędzia z kieszeni i podczas burzliwego aktu musiały się tak nieszczęśliwie przesunąć, że dama została ukłuta śrubokrętem. Zerwała się jednym skokiem, chwyciła mały wieniec z brązu i wyrżnęła nim mechanika w łeb. Nic pan nie słyszał? – pyta mnie.

– Nie.

– Tak mu wbiła ten wieniec aż po uszy, że nie mógł go ściągnąć. Zapalam światło i pytam, co się stało. Gość wystraszony, z wieńcem na głowie jak rzymski senator, zwiał co sił – nie zauważyliście braku wieńca?

– Nie.

– Coś takiego! Więc on uciekł, jakby gonił go rój os. Ja na dół. Panna jeszcze tam stoi, patrzy na swoją rękę. „Krew! – mówi. – Ukłuł mnie! I to w takiej chwili!" Widzę śrubokręt na ziemi i kapuję od razu, co się stało. Podnoszę go. „Z tego może być zakażenie krwi – mówię. – Bardzo niebezpieczne! Palec można owinąć, ale tyłka nie. Nawet takiego pięknego". Ona się czerwieni…

– Jak mogłeś to zobaczyć po ciemku? – pyta Kurt Bach.

– Księżyc świecił.

– Przy księżycu też nie można poznać, czy ktoś się czerwieni.

– To się czuje – mówi Wilke. – Ona więc się czerwieni, ale nadal trzyma ręką sukienkę, żeby nie dotykała ciała. Sukienka jest jasna, a krew zostawia plamy, które trudno wywabić. „Mam jodynę i plaster opatrunkowy – mówię. – I potrafię zachować dyskrecję. Niech no pani pójdzie". Ona idzie i nawet się nie boi. – Wilke odwraca się do mnie. – To jest właśnie przyjemne na waszym podwórku – mówi z zachwytem. – Kto się kocha między krzyżami, ten się nie boi trumien. Tak więc doszło do tego, że po jodynie, plastrze i kieliszku wina trumna olbrzyma spełniła jeszcze jedno swoje zadanie.

– Stała się przybytkiem rozkoszy? – pytam, żeby się upewnić.

– Dżentelmen używa i milczy – odpowiada Wilke.

W tej chwili zza chmur nagle ukazuje się księżyc. Biało połyskuje marmur, czarno błyskają krzyże i widzimy cztery miłosne pary rozproszone po ogrodzie; dwie w marmurowych łożach, dwie w granitowych. Na chwilę wszystko ucicha i zastyga w zaskoczeniu – pozostała tylko ucieczka albo też całkowite zignorowanie zmienionej sytuacji. Ucieczka nie jest zbyt wskazana – wprawdzie można w ten sposób zniknąć w jednej chwili, ale można też dostać nerwowego szoku, który powoduje często impotencję. Słyszałem o pewnym gefrajtrze, którego sierżant saperów zaskoczył w lesie z kucharką; gefrajter został wykończony na całe życie, a jego żona rozwiodła się z nim dwa lata później. Miłosne pary robią, co do nich należy. Jak wietrzące niebezpieczeństwo jelenie obracają głowy we wszystkie strony, a potem, podniósłszy oczy na jedyne oświetlone okno – nasze okno, które istniało tu i przedtem – kamienieją, jakby ich Kurt Bach wyrzeźbił. Są obrazem niewinności, co najwyżej nieco śmiesznym, również jak rzeźby Bacha. Zaraz potem cień chmury na tyle zasłania księżyc, że ta część ogrodu tonie w ciemności, tylko obelisk jest jeszcze oświetlony. Ale któż to tam stoi, jak błyszcząca fontanna? Szczający Knopf, niby pomnik w Brukseli, znany każdemu żołnierzowi, który spędził urlop w Belgii.

Jest za daleko, by coś przedsięwziąć. Zresztą dziś nie jestem w odpowiednim nastroju. Dlaczego mam reagować jak dozorczyni? Dziś po południu postanowiłem opuścić to miejsce i dlatego życie działa na mnie podwójnie mocno, czuję je wszędzie, w zapachu wiórów i w księżycu, w cieniach i szmerach na podwórku, w niewypowiedzialnym słowie „wrzesień” i w moich rękach, które się poruszają i mogą ujmować przedmioty, i w oczach, bez których wszystkie muzea świata byłyby puste, w duchach, upiorach, przeszłości i szaleńczym biegu Słońca wokół Kasjopei i Plejad, w przeczuciu nieskończonych obcych ogrodów pod obcymi gwiazdami, stanowisk w wielkich, obcych gazetach i rubinów, które zrastają się w ziemi w czerwony błysk, czuję to wszystko i przeszkadza mi to rzucić pustą butelkę piwa w kierunku trzydziestosekundowej fontanny Knopfa…

W tej chwili zaczynają bić zegary. Jest pierwsza. Minęła godzina duchów, znowu możemy mówić do Wilkego per pan i albo dalej pić, albo pogrążyć się we śnie jak w kopalni, w której znajdują się węgiel, trupy, białe pałace z soli i zakopane diamenty.

XIX

Siedzi w kącie pokoju, skulona pod oknem.

– Izabello – mówię.

Nie odpowiada. Jej powieki trzepocą jak motyle, które dzieci nadziewają żywcem na szpilki.

– Izabello – powtarzam. – Przyszedłem po ciebie.

Przerażona przyciska się do ściany. Siedzi sztywna i skulona.

– Czy mnie już poznajesz? – pytam.

Siedzi nieruchomo, tylko jej oczy obracają się ku mnie, czujne i bardzo ciemne.

– Ten, który podaje się za doktora, przysłał cię tutaj – szepcze.

To prawda. Wernicke mnie tu przysłał.

– On mnie do ciebie nie przysłał – mówię. – Przyszedłem po kryjomu. Nikt nie wie, że tu jestem.

Z wolna odrywa się od ściany.

– I ty mnie zdradziłeś – mówi.

– Nie zdradziłem cię. Nie mogłem cię spotkać. Nie wychodziłaś – oświadczam.

– Nie mogłam – szepcze. – Oni wszyscy stali na dworze i czekali. Chcieli mnie złapać. Dowiedzieli się, że tu jestem.

– Kto?

Patrzy na mnie i nie odpowiada. Jaka ona szczupła! – myślę. Jaka drobna i jaka samotna w tym pustym pokoju! Nie ma nawet siebie samej. Nawet samotności własnego „ja". Jest pęknięta jak granat na ostre odłamki strachu, w obcym, ponurym otoczeniu niepojętej grozy.

– Nikt na ciebie nie czeka – tłumaczę.

– Owszem.

– Skąd o tym wiesz?

– Głosy. Nie słyszysz ich?

– Nie.

– Głosy wiedzą wszystko. Nie słyszysz ich?

– To wiatr, Izabello.

– Tak – odpowiada pokornie. – Może to i wiatr. Gdyby tylko tak nie bolało!

– Co boli?

– Piłowanie. Mogłyby przecież ścinać, szłoby szybciej. Ale to tępe, powolne piłowanie! Wszystko się zrasta z powrotem, kiedy to robią tak powoli! Wtedy znowu zaczynają od początku i dlatego to nigdy nie ustaje. Piłują ciało, a ciało się zrasta, i tak w kółko.

– Kto piłuje?

– Głosy.

– Głosy nie mogą piłować.

– Te jednak piłują.

– Gdzie piłują?

Izabella robi ruch, jakby miała gwałtowne bóle. Wciska ręce między uda.

– Chcą to wypiłować. Żebym nigdy nie miała dzieci.

– Kto?

– Ci z zewnątrz. Ona mówi, że mnie urodziła. Teraz chce mnie z powrotem wciągnąć w siebie. Ona piłuje i piłuje. A on mnie trzyma.

Izabella drży.

– On… który jest w niej…

– W niej?

Jęczy.

– Nie mów nikomu… ona chce mnie zabić… nie powinnam o tym wiedzieć…

Zbliżam się do niej, obchodząc fotel o spłowiałym obiciu w różyczki, który, jako rekwizyt słodkiego życia, przedziwnie nie pasuje do tego nagiego pomieszczenia.

– Czego nie powinnaś wiedzieć? – pytam.

– Ona chce mnie zabić. Nie powinnam spać. Dlaczego nikt przy mnie nie czuwa? Wszystko muszę robić sama. Jestem taka zmęczona – kwili jak ptak. – Pali się i nie mogę spać, i jestem taka zmęczona. Ale kto może spać, gdy się tak pali i nikt nie czuwa? I ty mnie też opuściłeś.

– Nie opuściłem cię.

– Rozmawiałeś z nimi. Przekupili cię. Dlaczego mnie nie trzymałeś? Błękitne drzewa i srebrny deszcz. Ale ty nie chciałeś. Nigdy! Mogłeś mnie uratować.

– Kiedy? – pytam i czuję, że coś we mnie drży, nie chcę, żeby drżało, a jednak drży, a pokój nie jest już nieruchomy, wydaje mi się, że mury drżą i nie składają się z kamienia, zaprawy i tynku, tylko z drgań, bardzo częstych drgań, z milionów nici, które się ciągną od horyzontu do horyzontu i poza nim, a tu zagęszczają się w czworokątne więzienie z powrozów i stryczków, w których trzepoce nieco tęsknoty i grozy życia.

Izabella odwraca twarz do ściany.

– Ach, to stracone – już od tylu istnień.

Zmierzch raptem zasnuwa okno. Zasłania je welonem prawie niewidocznej szarzyzny. Wszystko jest jeszcze takie jak przedtem, światło na dworze, zieleń, żółte drogi, dwie palmy w wielkich wazach majolikowych, niebo z piórami chmur, odległe szaro-czerwone rojowisko dachów w mieście za lasami – i nagle nic nie jest takie jak przedtem, zmierzch wszystko odizolował, pociągnął lakierem przemijalności, jak gospodyni, która skrapia pieczeń octem, przygotował na pożarcie cienistym wilkom nocy. Jest jeszcze tylko Izabella uczepiona ostatniej liny światła, ale już ciągnięta na niej w dramat wieczoru, który nigdy nie był dramatem, a jednak nim jest, ponieważ wiemy, że nazywa się przemijaniem. Dopiero odkąd wiemy, że musimy umrzeć, i dlatego, że to wiemy, idylla staje się dramatem, krąg – dzidą, stawanie się – przemijaniem, krzyk – przerażeniem, a przerażenie – wyrokiem.

Trzymam Izabellę mocno w ramionach. Drży i patrzy na mnie, i przytula się, a ja ją trzymam, obejmujemy się – dwoje obcych, co nic nie wiedzą o sobie, a obejmują się, ponieważ nie rozumieją się nawzajem i jedno uważa drugie za kogoś innego, niż jest w istocie,

jednak czerpią przelotną pociechę z tego niezrozumienia, podwójnego, potrójnego, bezkresnego niezrozumienia, jedynego, które jak tęcza udaje most, gdzie nie może być mostu, refleks między dwoma lustrami odbijany w coraz dalszą próżnię.

– Dlaczego mnie nie kochasz? – szepcze Izabella.

– Kocham cię. Całym sobą.

– Nie dosyć. Tamci wciąż jeszcze są. Gdybyś mnie dosyć kochał, zabiłbyś ich.

Trzymam ją w ramionach i patrzę ponad nią na park, gdzie cienie jak ametystowe fale wzbijają się sponad równiny i alei. Wszystko we mnie jest ostre i jasne, ale jednocześnie czuję się, jakbym stał na wąskiej platformie, bardzo wysoko nad szumiącą głębią.

– Nie zniósłbyś, żebym żyła poza tobą – szepcze Izabella.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Zawsze coś się we mnie porusza, kiedy ona mówi takie zdania – jakby kryła się w tym głębsza prawda niż ta, którą mogę zrozumieć – jakby przybyła z zaświatów, stamtąd, gdzie nie ma imion.

– Czujesz, jak się rodzi zimno? – szepcze przy moim ramieniu. – Co noc wszystko umiera. Serce też. Oni je rozpiłowują.

– Nic nie umiera, Izabello. Nigdy.

– A jednak! Kamienna twarz – rozlatuje się w kawałki. Nazajutrz jest znowu. Ach, to nie twarz! Jak my kłamiemy naszymi biednymi twarzami! Ty też kłamiesz…

– Tak… – mówię. – Ale nie chcę kłamać.

– Musisz tak długo szorować twarz, aż nic nie zostanie. Tylko gładka skóra. Nic więcej! Ale wtedy też będzie. Odrośnie. Gdyby wszystko stało na miejscu, nic by nas nie bolało. Dlaczego oni chcą mnie odpiłować od wszystkiego? Dlaczego ona chce mnie wziąć z powrotem? Przecież ja nic nie zdradzam!

– Co mogłabyś zdradzić?

– To, co kwitnie. To jest pełne mułu. Wypływa z kanałów. – Znowu drży i przytula się do mnie. – Zakleili mi oczy. Klejem. A potem poprzebijali szpilkami. Ale mimo to nie mogę oderwać wzroku.

– Od czego?

Odpycha mnie od siebie.

– Oni cię tu przysłali! Nic nie zdradzę! Jesteś szpiegiem. Kupili cię! Jeśli powiem, zabiją mnie.

– Nie jestem szpiegiem. I dlaczego mieliby cię zabić, jeśli mi powiesz? Przecież mogliby to i tak zrobić. Gdybym i ja wiedział, musieliby i mnie również zabić. Przecież byłbym jedną osobą więcej, która wie.

Przenika to do jej świadomości. Znowu patrzy na mnie. Zastanawia się. Stoję cicho, ledwie oddycham. Czuję, że znaleźliśmy się przed jakimiś drzwiami, za którymi mogłaby być wolność. To, co Wernicke nazywa wolnością. Powrót z labiryntu do normalnych ulic, domów i związków. Nie wiem, czy będzie tam wiele lepiej, ale nie mogę o tym myśleć, kiedy widzę przed sobą to udręczone stworzenie.

– Jeśli mi to wytłumaczysz – mówię – oni zostawią cię w spokoju. A jeśli nie zostawią cię w spokoju, sprowadzę pomoc. Policję, prasę. Przestraszą się. A ty nie będziesz się już wtedy musiała bać.

Zaciska ręce.

– To nie tylko to – mówi wreszcie z trudem.

– A co jeszcze?

W jednej sekundzie jej twarz staje się twarda i zamknięta. Jakby ktoś zmył z niej mękę i niezdecydowanie. Usta robią się małe i wąskie, broda wysuwa się naprzód. Ma w sobie coś z chudej, purytańskiej złej starej panny.

– Przestań! – mówi. Również jej głos się zmienił.

– Dobrze, przestańmy. Nie muszę tego wiedzieć.

Czekam. Jej oczy połyskują lekko, jak mokry żwir w wieczornym świetle. Cała szarość wieczoru zdaje się w nich zbierać; Izabella spogląda na mnie z wyższością i szyderstwem.

– Chciałbyś, co? Ale ci się nie udało, ty szpiclu!

Bez powodu ogarnia mnie wściekłość, chociaż wiem, że Izabella jest chora i że te załamania świadomości następują błyskawicznie.

– Idź do diabła – mówię gniewnie. – Co mnie to wszystko obchodzi!

Widzę, że jej twarz znowu się zmienia, ale wychodzę szybko, pełen niepojętego wzburzenia.

– I co jeszcze? – pyta Wernicke.

– To wszystko. Po co pan mnie do niej posłał? To nic nie pomogło. Nie nadaję się na pielęgniarza. Widzi pan – miałem mówić ostrożnie, a zacząłem na nią wrzeszczeć i uciekłem.

– Stało się lepiej, niż pan sobie wyobraża. – Wernicke wyciąga zza swoich książek butelkę i dwa kieliszki, które napełnia. – Koniak – mówi. – Chciałbym tylko jedno wiedzieć – skąd ona wie, że jej matka znowu tu jest.

– Jej matka tutaj jest?

Wernicke potakuje.

– Od przedwczoraj. Jeszcze jej nie widziała. Nawet przez okno.

– Skąd pan wie?

– Musiałaby się bardzo daleko wychylić z okna i mieć oczy jak lorneta nożycowa. – Wernicke obserwuje barwę swego koniaku. – Ale czasami chorzy tego typu przeczuwają takie rzeczy. A może odgadła? Naprowadziłem ją na odpowiedni ślad.

– Po co? – pytam. – Teraz jest bardziej chora niż kiedykolwiek.

– Nic podobnego – odpowiada Wernicke.

Odstawiam kieliszek i spoglądam na grube księgi w jego bibliotece.

– Jest taka nieszczęśliwa, że człowiekowi flaki się przewracają.

– Nieszczęśliwa owszem, ale nie bardziej chora.

– Powinien ją pan był zostawić w spokoju – taką, jaka była w lecie. Była szczęśliwa. Teraz… to jest okropne.

– Prawda, okropne – mówi Wernicke. – Prawie tak, jakby się rzeczywiście działo to, co ona sobie wyobraża.

– Siedzi tam jak w izbie tortur.

Wernicke kiwa głową.

– Ludzie poza murami wierzą, że takie rzeczy już nie istnieją. A jednak istnieją. Tutaj. Każdy ma swoją własną izbę tortur w głowie.

– Nie tylko tutaj.

– Nie tylko tutaj – przyznaje ochoczo Wernicke i pociąga łyk koniaku. – Ale wielu tutejszych pacjentów je ma. Chce się pan przekonać? Niech pan włoży biały fartuch. Zaraz będzie obchód wieczorny.

– Nie – mówię. – Pamiętam, co widziałem ostatnio.

– To była wojna, która tu nadal szaleje. Chce pan zobaczyć inny oddział?

– Nie. Tamten też pamiętam.

– Nie wszystkie przypadki. Widział pan tylko niektóre.

– To mi wystarczy.

Pamiętam istoty, które całymi tygodniami, skręcone w skurczach, stoją skamieniałe w kątach albo bez chwili spokoju rozbijają się o ściany, łażą po łóżkach i ze zbielałymi oczami rzężą w kaftanach bezpieczeństwa lub krzyczą. Biją w nie bezgłośne burze chaosu, a robak, pazur, łuska, galaretowata, pozbawiona nóg, wijąca się praegzystencja, pełzanie przed myślą, wszystko to atakuje od dołu ścierwny byt, szarpie wnętrzności i jądra, i stos pacierzowy, by je ściągnąć w szary rozkład początku, z powrotem do łuszczastych ciał i pozbawionych oczu macek – a te istoty, rozwrzeszczane jak opętane strachem małpy, ratują się, dopadając ostatnich wyschłych gałęzi mózgu, bełkocząc, popychane przez pełzające ku górze sploty, w ostatniej, okrutnej trwodze, nie mózgu, gorzej: komórek przed zagładą, w krzyku nad krzyki, strachu nad strachy, śmiertelnej grozie nie jednostki ludzkiej, lecz żył, komórek, krwi, podświadomych odruchów, które milcząco rządzą wątrobą, gruczołami, obiegiem krwi i ogniem pod czaszką.

– Dobrze – mówi Wernicke. – Niechże pan więc pije koniak, da spokój swoim wycieczkom w nieświadomość i wielbi życie.

– Dlaczego? Dlatego, że wszystko jest w nim tak cudownie urządzone? Dlatego, że każdy pożera drugiego, a potem samego siebie?

– Dlatego, że pan żyje, niewinny gnomie! Dla problemu współczucia jest pan o wiele za młody i zbyt niedoświadczony. Kiedy pan do tego dorośnie, zauważy pan, że problem nie istnieje.

– Mam pewne doświadczenie.

Wernicke macha ręką.

– Niech pan nie będzie taki ważny, weteranie ostatniej wojny! To, co pan wie, nie należy do metafizycznego problemu współczucia – należy do powszechnego kretyństwa ludzkiej rasy. Wielkie współczucie zaczyna się gdzie indziej i gdzie indziej się kończy – w każdym razie poza takimi malkontentami jak pan, a także poza handlującymi pociechą jak Bodendiek…

– Dobrze, nadczłowieku – mówię. – Czy to jednak daje panu prawo rozbudzania w głowach swoich podopiecznych piekła, czyśćca albo powolnej śmierci, wedle pańskiego upodobania?

– Prawo… – odpowiada Wernicke z przepastną pogardą. – Jak sympatyczny jest uczciwy morderca wobec takiego adwokata jak pan! Co pan wie o prawie? Jeszcze mniej niż o współczuciu, sentymentalny scholastyku!

Podnosi kieliszek, uśmiecha się i zadowolony spogląda w okno. Sztuczne światło w pokoju rozzłaca się coraz bardziej na brązowych i pstrych grzbietach książek. Nie wygląda nigdzie tak cennie i tak symbolicznie jak tu na górze, gdzie noc jest zarazem polarną nocą mózgów.

– Ani jedno, ani drugie nie zostało przewidziane w planie świata – mówię. – Ale ja się z tym nie mogę pogodzić i nawet jeśli pan to uzna za ludzką niedoskonałość, chciałbym pozostać taki przez całe życie.

Wernicke podnosi się, bierze kapelusz z wieszaka, wkłada go na głowę, następnie zdejmuje go przede mną, wiesza z powrotem i siada na krześle.

– Niech żyje dobro i piękno! – mówi. – To właśnie miałem na myśli. A teraz niech pan ucieka! Czas na obchód.

– Nie mógłby pan dać pannie Terhoven jakiegoś środka nasennego? – pytam.

– Owszem, mogę. Ale to jej nie wyleczy.

– Dlaczego choćby dzisiaj nie ofiaruje jej pan trochę spokoju?

– Ofiaruję jej spokój. A także środek nasenny. – Mruga do mnie. – Pan się tu dziś bardziej przydał niż całe kolegium lekarzy. Serdeczne dzięki.

Spoglądam na niego niezdecydowany. Do diabła z twoimi zaleceniami, myślę. Do diabła z twoim koniakiem! I do diabła z twoją

zarozumiałą gadaniną!

– Mocny środek nasenny – zaznaczam.

– Najlepszy, jaki istnieje. Był pan kiedyś na Dalekim Wschodzie? W Chinach?

– Jak mogłem być w Chinach?

– Ja tam byłem – oznajmia Wernicke. – Przed wojną. Podczas powodzi i głodów.

– Tak – mówię. – Mogę sobie wyobrazić, o czym będzie teraz mowa, i nie chcę tego słuchać. Odwiedzi pan zaraz Geneviève Terhoven? Pierwszą?

– Pierwszą. I zostawię ją w spokoju. – Wernicke uśmiecha się. – Za to pozbawię teraz spokoju jej matkę.

– Czego chcesz, Otto? – pytam. – Dziś nie mam ochoty dyskutować o metryce ody! Idź do Edwarda!

Siedzimy w pokoju Klubu Poetyckiego. Przyszedłem tu, aby oderwać myśli od Izabelli, ale nagle wszystko zaczęło mnie tu napełniać odrazą. Po co ten rozgardiasz rymów? Świat dyszy strachem i krwią. Wiem, że jest to diabelnie tani wniosek i w dodatku fałszywy, ale jestem zmęczony stałym łapaniem się na udramatyzowanych banałach.

– Więc o co chodzi? – pytam.

Otto Bambuss spogląda na mnie jak sowa, którą nakarmiono maślanką.

– Byłem tam – mówi z wyrzutem. – Jeszcze raz. Najpierw tam człowieka pchacie, a potem nie chcecie o nim nic wiedzieć!

– Tak zawsze jest w życiu. Gdzie byłeś?

– Na Kolejowej. W burdelu.

– Co tam nowego? – pytam, nie słuchając nawet. – Byliśmy tam wszyscy razem, zapłaciliśmy za ciebie, a ty uciekłeś. Czy mamy ci za to wystawić pomnik?

– Poszedłem tam jeszcze raz – mówi Otto. – Sam. Słuchajże wreszcie!

– Kiedy?

– Po wieczorze w Czerwonym Młynie.

– No i co? – pytam z niesmakiem. – Znowu uciekłeś przed prawdą życia?

– Nie – oświadcza Otto. – Tym razem nie.

– Moje uznanie! Byłeś u Żelaznej Szkapy?

Bambuss czerwieni się.

– To przecież wszystko jedno.

– Dobrze – mówię. – Więc po co o tym gadasz? To nie jest jakieś niezwykłe doświadczenie. Dość dużo mężczyzn na świecie sypia z kobietami.

– Nie rozumiesz mnie. Chodzi o skutki.

– Co za skutki? Jestem przekonany, że Żelazna Szkapa nie jest chora. Takie rzeczy człowiek łatwo może w siebie wmówić, zwłaszcza na początku.

Otto robi udręczoną minę.

– Nie o to mi chodzi! Domyślasz się chyba, dlaczego to zrobiłem. Oba cykle szły mi całkiem dobrze, szczególnie *Kobieta w szkarłacie*, ale myślałem, że potrzeba mi jeszcze więcej natchnienia. Chciałem zakończyć cykl, zanim wrócę na wieś. Dlatego poszedłem jeszcze raz na Kolejową. Tym razem naprawdę. I wyobraź sobie, od tego czasu – nic! Nic! Ani jednej linijki. Zupełnie jakby we mnie wszystko wyschło! A przecież powinno być całkiem przeciwnie.

Śmieję się, choć wcale nie mam na to ochoty.

– To rzeczywiście przeklęty pech dla artysty!

– Dobrze ci się śmiać – mówi Bambuss zdenerwowany. – Ale ja leżę! Jedenaście sonetów skończonych i bez zarzutu, a przy dwunastym takie nieszczęście! Po prostu nie idzie! Fantazja wysiadła! Klapa! Skończyło się!

– To jest przekleństwo spełnienia – mówi Hungermann, który nadszedł i najwidoczniej zna już całą sprawę. – Ono nic nie pozostawia. Głodny człowiek marzy o żarciu. Sytego przejmuje ono wstrętem.

– Jak znowu zgłodnieje, marzenia wrócą – odpowiadam.

– U ciebie tak, ale nie u Ottona – oświadcza Hungermann bardzo zadowolony. – Ty jesteś powierzchowny i normalny, Otto jest głęboki. Jeden kompleks zastąpił drugim. Nie śmiej się – może

skończył się już jako pisarz. Był to, można by powiedzieć, pogrzeb w domu publicznym.

– Jestem zupełnie pusty – mówi Otto zrozpaczony. – Tak pusty jak nigdy. Zrujnowałem się. Gdzie są moje marzenia? Spełnienie jest wrogiem tęsknoty. Powinienem był o tym wiedzieć!

– Napisz coś o tym – mówię.

– Niezły pomysł! – Hungermann wyciąga swój notes. – Zresztą ja pierwszy na niego wpadłem. To nie dla Ottona. Brak mu odpowiednio twardego stylu.

– Może to opisać w formie elegii. Albo lamentu. Kosmiczna żałoba, gwiazdy ciekną jak złote łzy, nawet Bóg szlocha, że tak sfuszerował świat, jesienny wiatr przygrywa rekwiem na harfie…

Hungermann zapisuje pilnie.

– Co za przypadek – powiada. – Dokładnie tak samo, prawie tymi samymi słowami, wypowiedziałem to przed tygodniem. Moja żona świadkiem.

Otto nadstawia uszu.

– Do tego jeszcze strach, że się czegoś nabawiłem – mówi. – Po jakim czasie można się o tym przekonać?

– Przy tryprze po trzech dniach, przy syfie po czterech tygodniach – odpowiada natychmiast wzorowy mąż Hungermann.

– Niczego się nie nabawiłeś – uspokajam Ottona. – Sonety nie dostaną syfa. Ale możesz wykorzystać ten nastrój. Przerzuć ster! Jeśli nie możesz pisać za, pisz przeciw! Zamiast hymnu na cześć kobiety w szkarłacie i purpurze pisz żrącą skargę. Ropa cieknie z gwiazd, we wrzodach leży Hiob, prawdopodobnie pierwszy syfilityk, na gruzach wszechświata Janusowe oblicze miłości, słodki uśmiech z jednej, zżarty nos z drugiej strony…

Widzę, że Hungermann znowu pisze.

– Czy to również opowiadałeś swojej żonie przed tygodniem? – pytam.

Potakuje rozpromieniony.

– Dlaczego więc zapisujesz?

– Bo zapomniałem. Drobniejsze pomysły często zapominam.

– Łatwo wam się ze mnie śmiać – mówi Bambuss urażony. – W ogóle nie potrafię pisać przeciwko czemuś. Jestem poetą hym-

nów.

– Napisz hymn przeciwko.

– Hymny można pisać tylko ku czci – poucza mnie Otto. – Nie przeciwko.

– Więc pisz hymny ku czci cnoty, czystości, zakonnego życia, samotności, zatapiania się w czymś najbliższym i najdalszym, co istnieje: we własnym „ja".

Otto słucha przez pewien czas, przechylając głowę na bok jak myśliwski pies.

– Próbowałem – oznajmia przybity. – To zupełnie nie w moim stylu.

– Do diabła z twoim stylem! Wyzbądź się takich wielkich wymagań!

Wstaję i idę do sąsiedniego pokoiku. Siedzi tam Walenty Busch.

– Chodź! – woła. – Wypij ze mną butelkę Johannisbergera. Na złość Edwardowi.

– Nie chcę dziś robić nikomu na złość – odpowiadam i idę dalej.

Kiedy wychodzę na ulicę, stoi już tam Otto i wpatruje się z bólem w gipsowe walkirie, które zdobią wejście do Walhalli.

– Coś podobnego! – mówi bez związku.

– Nie płacz – oświadczam, żeby się go pozbyć. – Najwidoczniej należysz do tych, co wcześnie osiągają doskonałość. Kleist, Bürger, Rimbaud, Büchner – najpiękniejsze postacie na poetyckim firmamencie. Nie bierz więc sobie tego tak bardzo do serca.

– Ale oni także wcześnie umarli!

– Ty też możesz, jeśli chcesz. Zresztą Rimbaud żył jeszcze przez wiele lat potem, jak przestał pisać. Jako łowca przygód w Abisynii. Jak by ci się to podobało?

Otto patrzy na mnie jak sarna na trzech nogach. Potem wytrzeszcza znowu oczy na grube tyłki i piersi gipsowych walkirii.

– Słuchaj – mówię niecierpliwie. – Napisz jeszcze jeden cykl: kuszenie świętego Antoniego! Będziesz tam miał i żądzę, i wyrzeczenie, i całą kupę innych rzeczy.

Twarz Ottona ożywia się. Zaraz potem staje się skupiona o tyle, o ile to jest możliwe u astralnej owcy ze zmysłowymi ambi-

cjami. Niemiecka literatura wydaje się na chwilę uratowana, gdyż ja staję się dla Ottona coraz bardziej obojętny. Z roztargnieniem kiwa mi ręką i dąży ulicą ku rodzinnemu biurku. Spoglądam za nim z zazdrością.

Biuro pogrążone jest w czarnym spokoju. Zapalam światło i znajduję kartkę: „Riesenfeld odjechał. Jesteś więc dziś wieczorem wolny od służby. Wykorzystaj czas na czyszczenie guzików, przegląd mózgu, obcinanie paznokci i modlitwę za cesarza i Rzeszę. (–) Kroll, feldfebel i człowiek. PS Kto śpi, grzeszy również".

Wchodzę na górę do mego pokoju. Fortepian szczerzy do mnie białe zęby. Chłodno spoglądają ze ścian książki zmarłych. Biorę kilka akordów, które ulatują na ulicę. Otwiera się okno Lizy. Stoi przed ciepłym światłem w luźnym peniuarze i trzyma bukiet jak młyńskie koło.

– Od Riesenfelda – skrzeczy. – Co za idiota! Przyda ci się może to zielsko?

Potrząsam głową. Izabella pomyślałaby, że jej nieprzyjaciele knują znowu coś podłego, a Gerdy nie widziałem od tak dawna, że mogłaby to fałszywie zrozumieć. Poza tym nie mam nikogo.

– Naprawdę nie? – pyta Liza.

– Naprawdę nie.

– Biedaczek! Ale ciesz się! Widzę, że robisz się dorosły!

– Kiedy jest się dorosłym?

Liza zastanawia się przez chwilę.

– Kiedy się więcej myśli o sobie niż o innych – chrypi i zamyka okno.

Biorę nowy akord. Tym razem w innej tonacji. Nie wywołuje on żadnych widocznych skutków. Zamykam fortepian i schodzę na dół. U Wilkego jeszcze się świeci. Wspinam się po schodach do jego warsztatu.

– Jak poszło z bliźniakami? – pytam.

– Tip-top. Matka zwyciężyła. Bliźniaków pochowała w podwójnej trumnie. Co prawda na miejskim cmentarzu, nie na katolickim. Zabawne, że matka najpierw kupiła grób na katolickim – mogła się przecież domyślić, że nic z tego nie wyjdzie, skoro jedno

z dzieci było wyznania ewangelickiego. Teraz został jej pierwszy grób.

– Ten na katolickim cmentarzu?

– Jasne. Jest pierwszorzędny, suchy, piaszczysty, na małym wzniesieniu, powinna się cieszyć.

– Z czego? Że ma grób dla siebie i męża? Przecież teraz ze względu na bliźniaki będzie chciała także leżeć po śmierci na cmentarzu miejskim.

– Z lokaty kapitału – mówi Wilke zniecierpliwiony moją tępotą. – Grób jest dziś pierwszorzędną lokatą kapitału! Każdy o tym wie! Już teraz mogłaby zarobić parę milionów, gdyby chciała go sprzedać. Ceny nieruchomości skaczą jak zwariowane!

– Słusznie. Zapomniałem o tym przez chwilę. Dlaczego pan jeszcze tu siedzi?

Wilke pokazuje na trumnę.

– Dla tego bankowca Wernera. Wylew krwi do mózgu. Cena obojętna. Prawdziwe srebro, najlepsze drzewo, prawdziwy jedwab, taryfa za godziny nadliczbowe – może by mi pan trochę pomógł? Kurta Bacha nie ma. Będzie pan za to mógł sprzedać jutro rano pomnik. Dotychczas nikt jeszcze o tym nie wie. Werner zmarł po godzinach urzędowania.

– Dziś nie. Jestem śmiertelnie zmęczony. Niech pan na krótko przed północą pójdzie do Czerwonego Młyna i wróci po pierwszej do roboty. Wtedy problem godziny duchów będzie rozwiązany.

Wilke zastanawia się.

– Niezły pomysł – mówi. – Ale czy tam nie trzeba iść w smokingu?

– Ależ skąd!

Wilke potrząsa głową.

– Mimo to niemożliwe! Ta jedna godzina kosztowałaby mnie więcej, niż zarobię przez całą noc. Ale mógłbym iść do jakiejś małej knajpki. – Patrzy na mnie z wdzięcznością. – Niech pan sobie zanotuje adres Wernera – mówi po chwili.

Zapisuję adres. Dziwne, myślę, to już drugi człowiek dziś wieczorem, który posłuchał mojej rady – tylko sobie nic nie potrafię poradzić.

– To śmieszne, że pan się tak boi upiorów – mówię. – Poza tym jest pan przecież umiarkowanym wolnomyślicielem.

– Tylko w dzień. Nie w nocy. Kto jest w nocy wolnomyślicielem?

Wskazuję w stronę szopy Kurta Bacha. Wilke macha ręką.

– Łatwo jest być wolnomyślicielem, kiedy człowiek jest młody. Ale w moim wieku, z przepukliną i zaleczoną gruźlicą…

– Niech się pan nawróci. Kościół lubi skruszonych grzeszników.

Wilke wzrusza ramionami.

– A szacunek wobec samego siebie? – pyta.

Śmieję się.

– W nocy pan go nie ma? Co?

– A któż go ma w nocy? Może pan?

– Ja nie. Ale może jakiś dozorca nocny. Albo piekarz, który piecze w nocy chleb. Czy pan musi koniecznie mieć szacunek dla siebie?

– Oczywiście. Jestem przecież człowiekiem. Tylko zwierzęta i samobójcy nie mają dla siebie szacunku. Okropne jest to rozdwojenie! W każdym razie pójdę dziś w nocy do gospody Blumego. On ma pierwszorzędne piwo.

Wędruję z powrotem przez ciemne podwórko. Przed obeliskiem coś majaczy blado. To bukiet Lizy. Zdeponowała go tam przed pójściem do Czerwonego Młyna. Przez chwilę stoję niezdecydowany, potem go podnoszę. Myśl, że Knopf mógłby go zhańbić, jest nie do zniesienia. Biorę bukiet do swego pokoju i wkładam go do terakotowej urny, którą przyniosłem z biura. Zapach kwiatów natychmiast wypełnia cały pokój. Siedzę teraz z brązowymi, żółtymi i białymi chryzantemami, które pachną ziemią i cmentarzem, jakbym był pogrzebany! Ale czy rzeczywiście czegoś nie pogrzebałem?

O północy nie mogę dłużej wytrzymać tego zapachu. Widzę, że Wilke wychodzi, żeby spędzić w knajpie godzinę duchów. Biorę kwiaty i zanoszę je do jego warsztatu. Drzwi są otwarte, światło się pali, żeby bojaźliwy Wilke nie wystraszył się po powrocie. Butelka piwa stoi na trumnie olbrzyma. Wypijam je, stawiam szklankę i butelkę na parapecie okna i otwieram je, aby wyglądało, że to jakiś duch był spragniony. Potem rozsypuję chryzan-

temy od okna do na wpół gotowej trumny bankowca Wernera i kładę garść bezwartościowych tysiącmarkowych banknotów. Niech Wilke sam to sobie wytłumaczy! Jeśli z tego powodu trumna Wernera nie zostanie wykończona, to nie ma nieszczęścia – za pomocą inflacyjnych pieniędzy bankier obrabował dziesiątki właścicieli małych domków z ich własności.

XX

Chciałbyś zobaczyć coś, co chwyta za serce prawie tak samo jak obraz Rembrandta? – pyta Georg.

– Owszem.

Georg wyjmuje coś ze swojej chusteczki do nosa i wypuszcza na stół z brzękiem. Dopiero po pewnej chwili poznaję, co to jest. Patrzymy ze wzruszeniem. Złota dwudziestomarkówka! Ostatni raz widziałem coś takiego przed wojną.

– To były czasy! – mówię. – Panował spokój, rządziło bezpieczeństwo, obrazę majestatu karano twierdzą, stalowy hełm był nieznany, nasze matki nosiły gorsety i wysokie kołnierzyki z fiszbinami, płacono odsetki, marka była równie nietykalna jak Bóg, a co kwartał odcinało się spokojnie kupony od pożyczek państwowych i otrzymywało wypłaty w złocie. Niech cię ucałuję, błyszczący symbolu minionych czasów!

Ważę złotą monetę w ręku. Jest na niej portret Wilhelma II, który teraz w Holandii piłuje drzewo i zapuszcza sobie szpicbródkę. Na wizerunku nosi jeszcze dumnie podkręconego wąsa, który wtedy nazywano „cel osiągnięty". Rzeczywiście został osiągnięty.

– Skąd to masz? – pytam.

– Od pewnej wdowy, która odziedziczyła całą skrzynkę takich monet.

– Wielki Boże! Ile to jest warte?

– Cztery miliardy papierowych marek. Mały domek. Albo kilkanaście wspaniałych kobiet. Tydzień w Czerwonym Młynie. Ośmiomiesięczną rentę stuprocentowego inwalidy wojennego…

– Starczy…

Wchodzi Henryk Kroll, na sztuczkowych spodniach ma spinacze rowerowe.

– To powinno zachwycić pańskie wiernopoddańcze serce – mówię i podrzucam mu przed nosem złotego ptaka.

Chwyta go i wpatruje się weń wodnistymi oczami.

– Jego Cesarska Wysokość – oznajmia wzruszony. – To były czasy! Mieliśmy jeszcze naszą armię!

– Najwidoczniej były to dla każdego zupełnie inne czasy – odpowiadam.

Henryk spogląda na mnie z naganą i mówi:

– Chyba pan przyzna, że były to lepsze czasy niż dzisiejsze!

– Możliwe!

– Nie możliwe! Na pewno! Mieliśmy porządek, mieliśmy ustabilizowaną walutę, nie było bezrobocia, a gospodarka kwitła i naród nasz cieszył się ogólnym szacunkiem. Czy też nie chce pan i tego przyznać?

– Przyznaję bez zastrzeżeń.

– No więc! A co mamy dzisiaj?

– Bałagan, pięć milionów bezrobotnych, kanciarską gospodarkę i jesteśmy zwyciężonym narodem – odpowiadam.

Henryk jest zdumiony. Nie przypuszczał, że mu tak łatwo pójdzie.

– No więc – powtarza. – Dziś tkwimy w błocie, a wtedy pływaliśmy w tłuszczu. Wnioski potrafi nawet pan wyciągnąć, co?

– Nie jestem taki pewny. A jak one brzmią?

– To przecież diabelnie proste! Że powinniśmy znowu mieć cesarza i przyzwoity narodowy rząd!

– Stop! – protestuję. – O czymś pan zapomniał. Zapomniał pan o ważnym słowie „bo”. Ono jest jednak złą istotą. Z tego właśnie powodu miliony takich jak pan trąbią dziś podobne bzdury. Małe słówko „bo”.

– Co takiego? – pyta Henryk, nie rozumiejąc.

– Bo! – powtarzam. – Słówko „bo”! Mamy dziś pięć milionów bezrobotnych, inflację i zostaliśmy zwyciężeni, bo mieliśmy pański ukochany narodowy rząd! Bo ten rząd w swojej manii wielkości

wywołał wojnę! Bo tę wojnę przegrał! Dlatego tkwimy dziś w gównie! Bo właśnie w pańskim ukochanym rządzie zasiadały drewniane łby i manekiny w mundurach! I nie potrzebujemy ich z powrotem, żeby nam się lepiej powodziło, tylko musimy się strzec, żeby nie wrócili, bo znowu by nas wpędzili w wojnę i gówno. Pan i pańscy towarzysze mówicie: Dawniej było nam dobrze, dziś jest nam źle – a więc dawajcie z powrotem stary rząd! W rzeczywistości jest jednak tak: dziś jest nam źle, bo przedtem mieliśmy tamten rząd – a więc do diabła z nim! Rozumie pan? Słówko „bo”! O tym chętnie zapominają pańscy koledzy. Bo!

– Bzdury! – wrzeszczy Henryk rozwścieczony. – Pan jest komunistą!

Georg wybucha grzmiącym śmiechem.

– Dla Henryka komunistą jest każdy, kto nie stoi na skrajnej prawicy.

Henryk nadyma pierś do druzgocącej odpowiedzi. Wizerunek cesarza dodał mu sił. W tej chwili jednak wchodzi Kurt Bach.

– Panie Kroll – pyta Henryka – czy anioł ma być z prawej, czy z lewej strony tekstu: „Tu spoczywa mistrz blacharski Quartz”?

– Co?

– Anioł na płaskorzeźbie na pomniku Quartza.

– Oczywiście z prawej – mówi Georg. – Anioły są zawsze z prawej.

Henryk z narodowego wieszcza staje się znowu sprzedawcą nagrobków.

– Pójdę z panem – oświadcza niechętnie i kładzie złotą monetę na stole.

Kurt Bach widzi ją i bierze do ręki.

– To były czasy – mówi z rozmarzeniem.

– Dla pana także? – pyta Georg. – Jakież to te czasy były dla pana?

– Czasy wolnej sztuki! Chleb kosztował parę fenigów, kieliszek jednego piątaka, życie było pełne ideałów, a z paroma takimi złotymi kawałkami można było wyjechać w podróż do błogosławionej Italii bez strachu, że w chwili przybycia nie będą już nic warte.

Bach całuje orła, odkłada monetę i znowu staje się o dziesięć lat starszy. Znika razem z Henrykiem, który na pożegnanie wykrzykuje ponurą groźbę:

– Jeszcze głowy polecą!

– Co to było? – pytam ze zdumieniem Georga. – Czyż to nie jedno z ulubionych haseł Watzeka? Czy jesteśmy w przededniu zbratania się wrogich sobie kuzynów?

Georg spogląda za Henrykiem.

– Być może – mówi. – To byłoby niebezpieczne. Wiesz, co jest w tym najbardziej beznadziejne? Henryk był w roku osiemnastym zaciekłym przeciwnikiem wojny, od tego czasu zapomniał o wszystkim, co go do tego skłoniło, a wojna stała się dla niego przygodą. – Georg chowa dwudziestomarkówkę do kieszeni kamizelki. – Wszystko, co człowiek przeżył, staje się przygodą. Rzygać się chce! A im okropniejsze to było, tym bardziej romantycznie wygląda we wspomnieniach. Prawdę o wojnie mogą powiedzieć tylko umarli. Oni ją przeżyli do końca.

Spogląda na mnie.

– Przeżyli? – pytam. – Nie dożyli.

– Oni i ci, którzy nie zapominają – odpowiada. – Ale tych jest niewielu. Nasza przeklęta pamięć jest jak sito. Chce przeżyć. A przeżyć można tylko dzięki zapominaniu.

Wkłada kapelusz.

– Chodź – oświadcza. – Zobaczymy, jakie czasy wywoła nasz złoty ptak w pamięci Edwarda Knoblocha.

– Izabella! – wołam zdumiony.

Widzę ją na tarasie przed pawilonem dla nieuleczalnych. Nie ma teraz nic wspólnego z owym drżącym udręczonym stworzeniem, które widziałem ostatnio. Jej oczy są jasne, twarz spokojna i wydaje mi się piękniejsza niż kiedykolwiek – ale możliwe, że to tylko przez kontrast z ostatnim spotkaniem.

Po południu padało i ogród błyszczy od wilgoci i słońca. Nad miastem płyną chmury po czystym średniowiecznym błękicie, a okna zmieniły się w galerię luster. Izabella, nie zwracając uwagi na porę dnia, włożyła wieczorową suknię z bardzo miękkiego,

czarnego materiału i złote pantofle. Na prawej ręce ma bransoletkę ze szmaragdów, która musi być więcej warta niż cała nasza firma łącznie ze składem, domami i dochodem, jaki przyniesie przez najbliższe pięć lat. Nigdy jej przedtem nie nosiła. To dzień kosztowności, myślę. Najpierw złoty Wilhelm II, a teraz to! Ale bransoletka nie wywołuje we mnie wzruszenia.

– Słyszysz je? – pyta Izabella. – Piły chciwie i dużo, a teraz są spokojne, syte i zadowolone. Brzęczą jak miliony pszczół.

– Kto?

– Drzewa i krzaki. Nie słyszałeś wczoraj, jak krzyczały, kiedy było tak sucho?

– Czy one mogą krzyczeć?

– Oczywiście. Czy ty tego nie słyszysz?

– Nie – odpowiadam i spoglądam na bransoletkę, która iskrzy się, jakby miała zielone oczy.

Izabella śmieje się.

– Och, Rudolfie, ty słyszysz tak mało – mówi czule. – Masz uszy zarośnięte jak kępy bukszpanu. A przy tym sam robisz tyle hałasu – dlatego nic nie słyszysz.

– Ja robię hałas? Jak to?

– Nie słowami. Ale w ogóle robisz straszliwy hałas, Rudolfie. Czasami trudno to znieść. Robisz więcej hałasu niż hortensje, kiedy są spragnione, a to są naprawdę okropne krzykaczki.

– A cóż we mnie wywołuje taki hałas?

– Wszystko. Twoje pragnienia. Twoje serce. Twoje niezadowolenie. Twoja próżność. Twoje niezdecydowanie…

– Próżność? – pytam. – Ja wcale nie jestem próżny.

– Oczywiście, że jesteś.

– Wykluczone – odpowiadam i wiem, że mówię nieprawdę.

Izabella całuje mnie szybko.

– Nie męcz mnie, Rudolfie! Jesteś zawsze taki dokładny, jeśli chodzi o imiona. Ty się przecież nie nazywasz Rudolf, co? Jak ty się nazywasz właściwie?

– Ludwik – mówię zaskoczony. Pierwszy raz mnie o to spytała.

– Tak, Ludwik. Czy nigdy nie czułeś się zmęczony swoim imieniem?

– Owszem. Sobą samym również.

Kiwa głową, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie.

– Więc je zmień. Dlaczego nie chcesz być Rudolfem? Albo kim innym? Podróżuj. Jedź do innego kraju. Każde imię to inny kraj.

– Ja jednak mam na imię Ludwik, cóż w tym można zmienić? Każdy je tu zna.

Zdaje się, że Izabella tego nie słyszała.

– Ja również niebawem odejdę – mówi. – Czuję to. Jestem zmęczona i zmęczona moim zmęczeniem. Wszystko jest już nieco puste i pełne pożegnania, nudy i oczekiwania.

Patrzę na nią i czuję nagły strach. O co jej chodzi?

– Czyż nie każdy zmienia się bezustannie? – pytam.

Spogląda ku miastu.

– Nie to mam na myśli, Rudolfie. Sądzę, że istnieje jeszcze inne zmienianie się. Większe. Takie, które jest jak śmierć. Myślę, że to właśnie jest śmierć.

Potrząsa głową, nie patrząc na mnie.

– Wszędzie to pachnie – szepcze. – Także w drzewach i we mgle. Spływa nocą z nieba jak rosa. Cienie są tego pełne, a w członkach tkwi znużenie. Skądś napłynęło. Niechętnie odchodzę, Rudolfie. Było mi dobrze z tobą, nawet jeśli mnie nie rozumiałeś. Ale przynajmniej byłeś przy mnie. Inaczej zostałabym całkiem sama.

Nie wiem, co chce przez to powiedzieć. To szczególna chwila. Nagle wszystko staje się bardzo ciche, nawet liść nie drży na drzewie, tylko dłoń Izabelli o długich palcach gładzi poręcz wiklinowego fotela, a bransoletka z zielonymi kamieniami cicho brzęczy. Zachodzące słońce nadaje twarzy Izabelli odcień takiego ciepła, że staje się ona przeciwieństwem wszelkiej myśli o śmierci, ale mimo to czuję, jak chłód ogarnia nas niby bezgłośne przerażenie, jakby Izabella mogła zniknąć za następnym podmuchem wiatru. Nagle wiatr powiewa, szeleści w koronach drzew i czar mija, a Izabella prostuje się i uśmiecha.

– Jest wiele dróg umierania – mówi. – Biedny Rudolfie! Ty znasz tylko jedną. Szczęśliwy Rudolfie! Chodź, pójdziemy do domu.

– Bardzo cię kocham – wyznaję.

Uśmiecha się znowu.

– Nazywaj to, jak chcesz. Czym jest wiatr i czym jest cisza? Są tak różne, a jednak takie same. Przez chwilę jeździłam na pstrych koniach karuzeli i siedziałam w złotych gondolach wybitych błękitnym aksamitem, które nie tylko kręcą się w kółko, lecz także wznoszą się w górę i opadają. Ty ich nie lubisz, prawda?

– Nie. Dawniej wolałem jeździć na lakierowanych jeleniach i lwach. Ale z tobą chętnie przejechałbym się również i w gondoli.

Całuje mnie.

– Muzyka! – mówi cicho. – I światło karuzeli we mgle. Gdzie się podziała nasza młodość, Rudolfie?

– Tak, gdzie? – powtarzam, czuję nagle łzy w oczach i nie pojmuję dlaczego. – Czy mieliśmy ją w ogóle?

– Któż to wie?

Izabella wstaje. Coś szeleści w liściach nad nami. W żarzącym się świetle zachodzącego słońca widzę, że ptak narobił mi na marynarkę. Mniej więcej tam, gdzie jest serce. Izabella widzi to i pęka ze śmiechu. Chusteczką wycieram łajno sarkastycznej sikorki.

– Ty jesteś moją młodością – oświadczam. – Teraz to wiem. Jesteś wszystkim, co się na nią składa. Tym i tamtym, i wszystkim. Także tym, o czym człowiek wie dopiero wtedy, gdy mu się to wymyka.

Czy ona mi się wymyka? – myślę. Co ja gadam? Czy ją kiedykolwiek miałem? I dlaczego miałaby mi się wymykać? Dlatego, że tak mówi? Czy też dlatego, że ten chłodny, cichy strach unosi się dookoła? Mówiła już różne rzeczy, a ja tak często się bałem.

– Kocham cię, Izabello – mówię. – Kocham cię bardziej, niż to sobie kiedykolwiek uświadamiałem. To jest jak wiatr, który się zrywa i o którym człowiek myśli, że jest tylko lekkim powiewem, a naraz serce zaczyna się chwiać jak wierzba wśród burzy. Kocham cię, serce mojego serca, jedyna ciszo w całym tym niepokoju, kocham cię, ty, która słyszysz, czy kwiat łaknie wody i czy jest zmęczony, jak pies gończy wieczorem, kocham cię i płynie to ze mnie jak z niespodzianie otwartej bramy, za którą rozpościera

się nieznany ogród. Nie rozumiem tego jeszcze całkowicie i jestem zdumiony, i wstydzę się jeszcze moich wielkich słów, ale one wyrywają się ze mnie i dźwięczą, i nie pytają mnie o pozwolenie. Ktoś mówi przeze mnie, ktoś, kogo nie znam, i nie wiem, czy to czwartorzędny autor melodramatów, czy moje serce, które już nie odczuwa lęku…

Izabella zatrzymała się nagle. Stoimy w tej samej alei, co wtedy, kiedy wracała nago w nocy, ale wszystko wygląda teraz zupełnie inaczej. Aleja jest pełna czerwonego światła wieczoru, pełna nie przeżytej młodości, melancholii i szczęścia, które waha się między łkaniem a okrzykami radości. Nie jest to już aleja wśród drzew. To aleja z nierzeczywistego światła, w której drzewa jak ciemne wachlarze skłaniają się ku sobie, aby je zatrzymać, światła, w którym stoimy, jakbyśmy prawie nic nie ważyli, przeniknięci nim jak sylwestrowe karpie zapachem rumu, w którym się kąpią i który je niemal rozpuszcza.

– Kochasz mnie? – szepcze Izabella.

– Kocham cię i wiem, że nigdy nie będę żadnego człowieka kochał tak jak ciebie, ponieważ nigdy nie będę taki jak w tej chwili, która właśnie odchodzi, kiedy o niej mówię, i nie mogę jej zatrzymać, nawet gdybym oddał za nią życie…

Patrzy na mnie wielkimi promiennymi oczyma.

– Teraz wiesz nareszcie! – szepcze. – Teraz wreszcie je odczułeś – szczęście bez nazwy i żal, i sen, i podwójną twarz! To jest tęcza, Rudolfie, i można nią iść, ale gdy człowiek zwątpi, spada w przepaść! Wierzysz w to wreszcie?

– Tak – szepczę i wiem, że w to wierzę i że przed sekundą również wierzyłem, a jednak w tej chwili nie wierzę już tak całkowicie. Światło jest jeszcze ostre, ale zaczyna szarzeć na krawędziach, ciemne plamy nasuwają się z wolna, a spod nich przebija się znowu trąd myśli tylko przytłumiony, lecz nie wyleczony. Cud przeszedł obok, dotknął mnie, ale nie zmienił, mam dawne imię i wiem, że będę je ciągnął za sobą do końca mych dni; nie jestem feniksem, nie dla mnie są ponowne narodziny, próbowałem latać, a teraz spadam na ziemię jak oślepiona, niezdarna kura między kolczaste druty.

– Nie martw się – mówi Izabella, która mnie obserwowała.

– Nie umiem chodzić po tęczy, Izabello – oświadczam. – Ale chciałbym. Kto to potrafi?

Zbliża twarz do mojego ucha.

– Nikt – odpowiada.

– Nikt? Ty także nie potrafisz?

Potrząsa głową.

– Nikt – powtarza. – Ale wystarczy, gdy się do tego tęskni.

Światło szarzeje teraz coraz szybciej. Kiedyś już tak było, myślę, ale nie mogę sobie przypomnieć kiedy. Czuję koło siebie Izabellę i nagle biorę ją w ramiona. Całujemy się jak potępieńcy i ludzie ogarnięci rozpaczą, którzy mają być rozdzieleni na zawsze.

– Wszystko przegapiłem – mówię bez tchu. – Kocham cię, Izabello.

– Cicho! – szepcze. – Nie mów…

Płowa plama przy końcu alei zaczyna się żarzyć. Idziemy w jej kierunku i stajemy przy bramie parku. Słońce znikło, pola zszarzały, za to nad lasem płonie wspaniała zorza wieczorna, a miasto wygląda tak, jakby się paliły wszystkie ulice.

Przez chwilę stoimy cicho.

– Co za pycha – mówi nagle Izabella – wierzyć, że życie ma początek i koniec!

Nie od razu ją rozumiem. Za nami ogród właśnie gotuje się na przyjście nocy, ale przed nami, po drugiej stronie żelaznej kraty, blask płonie i kipi jak dziki żar w kotle alchemika. Początek i koniec? – myślę i pojmuję, o co jej chodzi; że pychą jest wydobyć z tej kipieli własny mały byt i chcieć go ograniczyć, a naszą odrobinę świadomości czynić sędzią jego trwania, podczas gdy jest to najwyżej mały płatek, który przez krótką chwilę pływa w tym żarze. Początek i koniec, zmyślone słowa zmyślonego pojęcia czasu i pychy amebiej świadomości, która nie chce zginąć w potężniejszej.

– Izabello – mówię. – Ty moje słodkie kochanie, chyba dopiero teraz zrozumiałem, co to jest miłość! To życie, samo życie, najwyższe wzniesienie się fali ku wieczornemu niebu, ku bladym gwiaz-

dom, ku sobie samej – zawsze daremne wyciąganie ramion śmiertelnego ku nieśmiertelnemu – ale czasami niebo pochyla się ku fali i spotykają się na chwilę, a wtedy przestaje istnieć zuchwalstwo jednego z nich i obojętność drugiego, brak i nadmiar, i fałszerstwo poetów, to jest…

Urywam.

– Sam nie wiem, co gadam – dodaję. – To wszystko płynie i płynie, i może jest w tym kłamstwo, ale tylko dlatego, że słowa są kłamliwe jak filiżanki, w które chce się złapać fontannę – ty mnie jednak zrozumiesz nawet bez słów. Jest to dla mnie tak nowe, że nie potrafię tego wyrazić. Nie wiedziałem, że nawet mój oddech i paznokcie, i nawet moja śmierć może kochać, i do diabła z tym, jak długo to będzie trwać i czy mogę to zatrzymać, czy nie, i czy potrafię to wyrazić, czy nie…

– Rozumiem – mówi Izabella.

– Rozumiesz?

Potakuje z płonącymi oczyma.

– Już się o ciebie martwiłam, Rudolfie.

Dlaczego miałaby się o mnie martwić? – myślę. Nie jestem przecież chory.

– Martwiłaś się? – pytam. – Dlaczego się o mnie martwiłaś?

– Martwiłam się – powtarza. – Ale już się nie martwię. Żegnaj, Rudolfie.

Patrzę na nią i trzymam ją mocno za rękę.

– Dlaczego chcesz odejść? Czy powiedziałem coś niewłaściwego?

Potrząsa głową i próbuje wyswobodzić ręce.

– Owszem – mówię. – To było niewłaściwe. To była pycha, to były słowa, to była gadanina…

– Nie psuj tego, Rudolfie! Dlaczego musisz zaraz psuć wszystko, do czego dążysz, gdy to wreszcie osiągniesz?

– Tak – powtarzam. – Dlaczego?

– Ogień bez dymu i popiołu. Nie psuj tego. Żegnaj, Rudolfie.

Co to jest? – myślę. Zupełnie jak w teatrze, ale tak nie może być! Czy to pożegnanie? Ale tak często żegnaliśmy się, co wieczór! Trzymam mocno Izabellę.

– Zostaniemy razem – nalegam.

Kiwa głową, kładzie ją na moim ramieniu i nagle czuję, że płacze.

– Dlaczego płaczesz? – pytam. – Przecież jesteśmy szczęśliwi!

– Tak – odpowiada, całuje mnie i wyswobadza się z uścisku. – Żegnaj, Rudolfie.

– Dlaczego mówisz „żegnaj”? Przecież się nie rozstajemy! Jutro przyjdę znowu.

Patrzy na mnie.

– Ach, Rudolfie – mówi, jakby znowu nie mogła mi czegoś wytłumaczyć. – Jak można umrzeć bez pożegnania?

– Tak – mówię – jak można? Ja tego też nie rozumiem. Ani tego, ani tamtego.

Stoimy przed pawilonem, w którym mieszka Izabella. W hallu nie ma nikogo. Na jednym z wiklinowych foteli leży bardzo jaskrawa chustka.

– Chodź! – szepcze niespodziewanie Izabella.

Waham się przez chwilę, ale za nic w świecie nie mógłbym znowu odmówić. I dlatego idę razem z nią po schodach. Nie oglądając się, wchodzi do swego pokoju. Ja zostaję przy drzwiach. Izabella szybkim ruchem zrzuca swe lekkie złote pantofelki i kładzie się na łóżku.

– Chodź! – mówi. – Rudolfie!

Siadam przy niej. Nie chcę jej jeszcze raz rozczarować, ale nie wiem też, co mam robić, i nie wiedziałbym, co powiedzieć, gdyby weszła jakaś siostra albo Wernicke.

– Chodź! – nalega Izabella.

Kładę się, a ona się do mnie przytula.

– Nareszcie – szepcze – Rudolfie – i zasypia, odetchnąwszy głęboko.

W pokoju robi się ciemno. W zapadającej nocy blado odcina się okno. Słyszę oddech Izabelli, a od czasu do czasu pomruk głosów w sąsiednich pokojach. Nagle Izabella zrywa się gwałtownie. Odpycha mnie od siebie i czuję, jak jej ciało sztywnieje. Wstrzymuje oddech.

– To ja – mówię. – Ja, Rudolf.

– Kto?

– Ja, Rudolf. Zostałem z tobą.

– Tyś tu spał?

Głos ma zmieniony, wysoki i zadyszany.

– Zostałem tu – mówię.

– Idź! – szepcze. – Wyjdź natychmiast!

Nie wiem, czy mnie poznaje.

– Gdzie tu jest kontakt? – pytam.

– Nie trzeba światła! Nie trzeba! Idź! Idź!

Wstaję i wymacuję drogę do drzwi.

– Nie bój się, Izabello – mówię.

Porusza się na łóżku, jakby próbowała naciągnąć na siebie kołdrę.

– Idź wreszcie! – szepcze swoim wysokim, zmienionym głosem. – Bo ona cię zobaczy, Ralfie! Szybko!

Zamykam za sobą drzwi i schodzę na dół. W hallu siedzi nocna siostra. Wie, że wolno mi odwiedzać Izabellę.

– Czy ona jest spokojna? – pyta.

Kiwam głową i idę przez ogród ku bramie, przez którą wchodzą i wychodzą zdrowi. Co to było? – myślę. Ralf, kto to może być? Nigdy mnie tak nie nazywała. I co miała na myśli, mówiąc, że nie powinni mnie zobaczyć? Przecież dość często bywałem wieczorem w jej pokoju.

Idę ku miastu. Miłość, myślę – i moje górnolotne frazesy znowu mi przychodzą do głowy. Czuję prawie nieznośną tęsknotę i odległą grozę i wydaje mi się, że przed czymś uciekam. Idę coraz szybciej ku miastu z jego światłem i ciepłem, wulgarnością, nędzą, powszedniością i zdrową niechęcią do tajemnic i chaosu, jakiekolwiek by nosił miano.

W nocy budzi mnie gwar wielu głosów. Otwieram okno i widzę, że ludzie niosą do domu feldfebla Knopfa. Nic podobnego jeszcze się dotychczas nie zdarzyło. Zawsze wracał o własnych siłach, choćby mu wódka nosem leciała. Jęczy głośno. W kilku oknach dokoła rozbłyskują światła.

– Przeklęty pijanica! – słychać wrzask. To wdowa Konersmann, która siedziała na czatach. Nie ma nic do roboty i jest największą

plotkarką z całej ulicy. Podejrzewam, że od dawna obserwuje Georga i Lizę.

– Niech no paniusia zamknie mordę! – odpowiada z ciemnej ulicy jakiś anonimowy bohater.

Nie wiem, czy zna wdowę Konersmann. W każdym razie po sekundzie niemego oburzenia wylewa się taki potok wyzwisk na owego mężczyznę, na Knopfa, na obyczaje miasta, kraju i w ogóle ludzkości, że aż echo rozbrzmiewa na całą ulicę. Wreszcie wdowa milknie. Na koniec oznajmiła, że zawiadomi o wszystkim Hindenburga, biskupa, policję i pracodawców nieznanego bohatera.

– Zamknij pani jadaczkę, stara wiedźmo! – odpowiada mężczyzna, niezwykle odważny pod osłoną ciemności. – Pan Knopf jest ciężko chory. Szkoda, że to nie pani.

Wdowa szaleje znowu z podwójną siłą, czego by nikt nie uznał za możliwe. Próbuję za pomocą elektrycznej latarki rozpoznać zbrodniarza, ale światło jest zbyt słabe.

– Wiem już, kto pan jest! – wrzeszczy. – Pan jest Henryk Brüggemann! Pójdziesz do więzienia za obrazę bezbronnej wdowy, bandyto! Już twoja matka…

Nie słucham dalej. Wdowa ma wdzięczne audytorium. Prawie wszystkie okna są otwarte, słychać chrząkania i oklaski. Schodzę na dół.

Właśnie wnoszą Knopfa. Jest blady, po twarzy płynie mu pot, a nietzscheański wąsik zwisa wilgotny na wargi. Z przeraźliwym okrzykiem feldfebel wyrywa się nagle, po czym, zataczając się, postępuje trzy kroki naprzód i niespodziewanie skacze ku obeliskowi. Obejmuje go obiema rękami i nogami jak żaba, przyciska się do granitu i wyje.

Oglądam się. Za mną stoi Georg w purpurowej pidżamie, za nim stara pani Kroll bez zębów, w niebieskim szlafroku i z papilotami we włosach, z tyłu Henryk, ku memu zdumieniu w pidżamie, a nie w stalowym hełmie i z orderami. Jednakowoż pidżama jest w pruskich barwach – czarnej i białej.

– Co się stało? – pyta Georg. – Delirium tremens? Znowu?

Knopfowi zdarzało się to już parę razy. Zna białe słonie, które wychodzą ze ściany, i sterowce, które przelatują przez dziurki od

klucza.

– Gorzej – mówi mężczyzna, który stawiał czoło wdowie Konersmann. To rzeczywiście Henryk Brüggemann, instalator. – Wątroba i nerki. On mówi, że mu popękały.

– Dlaczego go tu ciągniecie? Dlaczego nie do szpitala?

– On nie chce iść do szpitala.

Zjawia się rodzina Knopfa. Na czele pani Knopf, za nią trzy córki, wszystkie cztery rozczochrane, zaspane i przerażone. Knopf wyje w nowym ataku.

– Telefonowaliście po lekarza? – pyta Georg.

– Jeszcze nie. Mieliśmy pełne ręce roboty, żeby go tu przytransportować. Chciał skoczyć do rzeki.

Cztery panie Knopf tworzą chór płaczek wokół feldfebla. Henryk Kroll również podszedł bliżej i próbuje go przekonać jako mężczyznę, kolegę, żołnierza i Niemca, by puścił obelisk i poszedł do łóżka, tym bardziej że obelisk chwieje się pod jego ciężarem. Nie tylko obelisk zagraża Knopfowi, oświadcza Henryk, lecz z drugiej strony Knopf musiałby ponieść odpowiedzialność wobec firmy za ewentualne uszkodzenie obelisku. Jest to cenny, doskonale polerowany czarny szwedzki granit, który w razie upadku z pewnością uległby uszkodzeniu.

Knopf nie rozumie. Z wybałuszonymi oczami rży jak koń, który widzi duchy. Słyszę, że Georg telefonuje z biura do lekarza. Na podwórko wchodzi Liza w lekko pogniecionej wieczorowej sukni z białej satyny. Kwitnie zdrowiem i mocno pachnie kminkówką.

– Serdeczne pozdrowienia od Gerdy – mówi do mnie. – Masz do niej wpaść.

W tej samej chwili spomiędzy krzyży wylatuje galopem para zakochanych i znika. Zjawia się Wilke w płaszczu przeciwdeszczowym i w nocnej koszuli. Kurt Bach – drugi wolnomyśliciel – idzie za nim w czarnej pidżamie z rosyjską rubachą i pasem. Knopf wyje dalej.

Na szczęście mamy szpital pod bokiem. Wkrótce nadchodzi lekarz. Otrzymuje pośpieszne wyjaśnienia. Nie można odczepić Knopfa od obelisku. Koledzy ściągają mu więc portki, odsłaniając chudy tyłek. Lekarz, który w czasie wojny przyzwyczaił się do

trudniejszych sytuacji, przytyka kłębek waty umoczonej w alkoholu, podaje Georgowi małą kieszonkową latarkę i pakuje zastrzyk w jaskrawo oświetlony zadek feldfebla. Knopf ogląda się, pierdzi z hukiem i ześlizguje się z obelisku. Lekarz odskakuje w tył, jakby Knopf do niego strzelił.

Towarzysze Knopfa podnoszą go. Jeszcze obiema rękami obejmuje mocno podstawę obelisku, ale jego opór został złamany. Rozumiem to, że w strachu rzucił się na obelisk; spędził pod nim piękne, beztroskie chwile bez kolek nerkowych.

Wnoszą go do domu.

– Można się było tego spodziewać – powiada Georg do Brüggemanna. – Jak to się stało?

Brüggemann potrząsa głową.

– Nie mam pojęcia. Właśnie wygrał zakład z jakimś gościem z Münsteru. Rozróżnił prawidłowo żytniówkę ze Spatenbräu i z gospody Blumego. Ten facet przywiózł ją samochodem. Ja byłem arbitrem. I gdy tamten gość wyciągnął swój portfel, Knopf raptem blednie i zaczyna się pocić. Zaraz potem pada na ziemię, skręca się, rzyga i wyje. Resztę sam pan widział. A wie pan, co jest najgorsze? Ten łobuz z Münsteru zwiał w tym całym bałaganie i nie zapłacił przegranej. I nikt go nie zna, a w zdenerwowaniu nie zwróciliśmy uwagi na numer jego samochodu.

– Rzeczywiście straszne – potwierdza Georg.

– To zależy. Widać taki już los.

– Los – powtarzam. – Jeśli pan chce zrobić coś przeciwko swemu losowi, panie Brüggemann, niech pan nie wraca tą samą drogą. Wdowa Konersmann kontroluje tam ruch dzięki silnej kieszonkowej latarce, którą sobie wypożyczyła. A w drugiej ręce trzyma butelkę od piwa jako broń. Prawda, Lizo?

Liza potakuje z zapałem.

– Pełną butelkę piwa. Jeśli pęknie na pańskiej głowie, będzie pan miał od razu trochę ochłody.

– Psiakrew! – mruczy Brüggemann. – Jak się można stąd wydostać? Czy to ślepa uliczka?

– Na szczęście nie – odpowiadam. – Może pan wyjść od tyłu przez ogród na ulicę Wierną. Radzę panu uciekać szybko. Nie-

długo zrobi się widno.

Brüggemann znika. Henryk Kroll przeprowadza inspekcję, czy obelisk nie uległ jakiemuś uszkodzeniu, i również znika.

– Taki jest człowiek – mówi Wilke nieco ogólnikowo, wskazując głową w stronę okien domu Knopfa i ogrodu, przez który przekrada się Brüggemann, a potem wraca do swego warsztatu. Zdaje się, że dziś tam śpi, a nie pracuje.

– Nie miał pan nowej spirytystycznej manifestacji kwiatowej? – pytam.

– Nie, ale zamówiłem książki na ten temat.

Pani Kroll, spostrzegłszy nagle, że zapomniała zębów, dawno już uciekła. Kurt Bach pożera wzrokiem znawcy nagie brązowe ramiona Lizy, odchodzi jednak, nie znajdując wzajemności.

– Czy ten stary umrze? – pyta Liza.

– Prawdopodobnie – odpowiada Georg. – To cud, że dotąd żyje.

Lekarz wychodzi z domu Knopfa.

– No i jak tam? – pyta Georg.

– Wątroba. Od dawna ciężko chory. Nie sądzę, żeby mu się tym razem udało. Wszystko zniszczone. Jeden, dwa dni i koniec.

Zjawia się żona Knopfa.

– A więc ani kropli alkoholu! – mówi do niej lekarz. – Zrobiła pani rewizję w jego sypialni?

– Dokładną, panie doktorze. Razem z córkami. Znalazłyśmy jeszcze dwie butelki tego draństwa. O, proszę!

Wyciąga dwie butelki, odkorkowuje je i chce wylać zawartość.

– Stop! – wołam. – To zupełnie niepotrzebne. Najważniejsze, żeby Knopf ich nie dostał, prawda, doktorze?

– Naturalnie.

Ostry zapach dobrej żytniówki rozchodzi się dokoła.

– Co ja mam z tym robić w domu? – narzeka pani Knopf. – Przecież on wszędzie znajdzie! Ma węch jak wyżeł.

– Możemy panią uwolnić od tych kłopotów.

Pani Knopf wręcza jedną butelkę doktorowi, a drugą mnie. Lekarz mruga do mnie.

– Co dla jednego jest nieszczęściem, drugiemu sprawia przyjemność – oświadcza i odchodzi.

Pani Knopf zamyka za sobą drzwi. Tylko Liza i Georg pozostają na podwórku.

– Lekarz też uważa, że on umrze, co? – pyta Liza.

Georg kiwa głową. Jego purpurowa pidżama wydaje się czarna pośród późnej nocy. Liza wstrząsa się i stoi dalej.

– Serwus – mówię i zostawiam ich samych.

Z góry widzę cień wdowy Konersmann, która patroluje okolice swego domu. Nadal czatuje na Brüggemanna. Po chwili słyszę, jak na dole po cichu zamykają się drzwi. Wpatruję się w noc i myślę o Knopfie, a potem o Izabelli. Już zaczynam być senny, gdy widzę, że wdowa Konersmann przechodzi przez ulicę. Prawdopodobnie przypuszcza, że Brüggemann się schował, i oświetla nasze podwórko w poszukiwaniu uciekiniera. Przede mną na oknie leży jeszcze stara rynna, przez którą nastraszyłem kiedyś Knopfa. Niemal tego teraz żałuję, ale potem widzę światło krążące po podwórku i nie mogę się powstrzymać. Ostrożnie się pochylam i szepczę w rynnę grobowym głosem:

– Kto mi zakłóca spoczynek? – po czym wzdycham głęboko.

Wdowa Konersmann staje jak skamieniała. Potem kółko światła przebiega, rozedrgane frenetycznie, po podwórku i pomnikach.

– Niech Bóg się zmiłuje również i nad twoją duszą… – szepczę przez rynnę. Chętnie naśladowałbym głos Brüggemanna, ale się powstrzymuję. Jeśli nawet wdowa Konersmann wykryje, co to było, o to, co dotychczas powiedziałem, nie może mi wytoczyć procesu.

Nie wykrywa jednak. Przekrada się pod murem na ulicę, a potem pędzi do swego domu. Słyszę jeszcze, że dostała ataku czkawki, a potem znowu zapada cisza.

XXI

Ostrożnie spławiam byłego listonosza Rotha, małego człowieczka, do którego rejonu należała podczas wojny nasza część miasta. Roth był bardzo wrażliwy i ogromnie brał sobie do serca, że wtedy tak często musiał być zwiastunem nieszczęścia. W czasach pokoju zawsze przyjmowano go z radością, kiedy zjawiał się z listami. Podczas wojny jego postać coraz częściej budziła przerażenie. Przynosił rozkazy powołania do wojska i wzbudzające grozę urzędowe koperty z zawiadomieniem: „Poległ na polu chwały". Im dłużej trwała wojna, tym częściej je przynosił, a jego pojawienie się wywoływało jęki, przekleństwa i łzy. Gdy wreszcie pewnego dnia musiał samemu sobie dostarczyć jedną z tych okropnych kopert, a w tydzień potem drugą, miarka się przebrała. Stał się milczący i ogarnął go cichy obłęd. Dyrekcja poczty musiała przenieść Rotha na emeryturę. Wskutek tego, jak wielu innych, został skazany na powolną śmierć głodową podczas inflacji, ponieważ wszystkie emerytury podwyższano zbyt późno. Paru znajomych zajęło się samotnym starym człowiekiem i w kilka lat po wojnie zaczął znowu wychodzić z domu, ale nie odzyskał równowagi umysłowej. Zdaje mu się, że wciąż jeszcze jest listonoszem, chodzi w swojej starej mundurowej czapce i w dalszym ciągu ma przynosić ludziom wiadomości. Ale po wszystkich nieszczęśliwych wieściach chce teraz dostarczać same dobre. Zbiera stare koperty i karty pocztowe, gdzie się tylko da, a potem rozdaje je jako listy z rosyjskich obozów jenieckich. Mówi przy tym, że żołnierze uważani za zmarłych żyją. Wcale nie polegli. Niebawem wrócą do domu.

Oglądam kartę, którą mi tym razem wcisnął do ręki. Jest to prastary druk z wezwaniem, by wziąć udział w pruskiej loterii klasowej – kretyński dowcip teraz, podczas inflacji. Roth musiał wyłowić kartę z jakiegoś kosza na śmieci. Zaadresowana jest do rzeźnika Sacka, który od dawna nie żyje.

– Dziękuję bardzo – mówię. – To prawdziwa radość!

Roth kiwa głową.

– Nasi żołnierze niebawem wrócą z Rosji do domu.

– Tak, oczywiście.

– Wszyscy wrócą do domu. Tylko to musi trochę potrwać. Rosja jest taka duża.

– Mam nadzieję, że pańscy synowie również wrócą.

Wyblakłe oczy Rotha ożywiają się.

– Tak, moi również. Dostałem już wiadomość.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję – powtarzam.

Roth uśmiecha się, nie patrząc na mnie, i idzie dalej. Dyrekcja poczty próbowała zrazu zapobiec tym jego obchodom i nawet postawiła wniosek, by go izolowano. Ale ludzie zaprotestowali i zostawiono go w spokoju. W pewnej prawicowej knajpie paru gości wpadło niedawno na pomysł, by wysłać Rotha do przeciwników politycznych z listami pełnymi ohydnych obelg, a także z dwuznacznymi listami do samotnych kobiet. Uznali to za szalenie dowcipne. Henryk Kroll również doszedł do wniosku, że jest to zdrowy ludowy humor. W knajpie, między podobnymi do siebie, Henryk jest zupełnie inny niż wśród nas; uchodzi tam nawet za dowcipnisia.

Roth naturalnie od dawna zapomniał, które rodziny straciły kogoś na wojnie, i rozdziela swe karty bez wyboru. Choć więc obserwator narodowych piwożłopów poszedł z nim i uważał, by listy z obelgami trafiały pod właściwe adresy, to znaczy wskazywał Rothowi domy, a potem się chował, zdarzały się od czasu do czasu pomyłki i Roth zamienił parę listów. Tak więc jeden z nich, skierowany do Lizy, trafił do wikarego Bodendieka. List zawierał propozycję stosunku płciowego o godzinie pierwszej w nocy, w krzakach obok kościoła Najświętszej Marii Panny, za wynagrodzeniem w wysokości dziesięciu milionów marek. Bodendiek

wytropił czekających tam ludzi, wyskoczył niespodziewanie jak Indianin, bez zbędnych słów dwóm rozbił głowy, a trzeciemu, który rzucił się do ucieczki, dał tak straszliwego kopniaka, że bandzior wyleciał w powietrze i z największym trudem zdołał zbiec. Następnie Bodendiek, mistrz w sztuce szybkiego nakłaniania do spowiedzi, zadał obu jeńcom kilka pytań popartych ciosami jego olbrzymich chłopskich łap. Wyznania nastąpiły też szybko, a ponieważ obaj złapani byli katolikami, ustalił ich nazwiska i kazał im zgłosić się następnego dnia albo do spowiedzi, albo na policję. Oczywiście woleli przyjść do spowiedzi. Bodendiek udzielił im rozgrzeszenia, skorzystał jednak z recepty kanonika w stosunku do mnie – za pokutę kazał im przez tydzień nie pić, a potem znów przyjść do spowiedzi. Ponieważ obaj się bali, że zostaną ekskomunikowani, jeśli nie wykonają pokuty, a nie chcieli do tego dopuścić, musieli znowu się zjawić, Bodendiek zaś, grzmiąc bez miłosierdzia, wydał rozkaz, by spowiadali się dalej co tydzień i nie pili. W ten sposób zrobił z nich zgrzytających zębami abstynentów i wzorowych chrześcijan. Nie dowiedział się nigdy, że trzecim grzesznikiem był major Wolkenstein, który po otrzymaniu kopniaka musiał leczyć gruczoł krokowy, co zwiększyło jego zaciekłość polityczną, tak że wreszcie przystał do hitlerowców.

Drzwi do mieszkania Knopfów stoją otworem. Maszyny do szycia warczą. Rano zakupiono stosy czarnego materiału, a matka i córki szyją teraz żałobne suknie. Feldfebel jeszcze nie umarł, ale lekarz oświadczył, że to kwestia godzin, a najwyżej dni. Zostawił Knopfa własnemu losowi. Ponieważ panie Knopf uważałyby za utratę dobrej reputacji, gdyby miały wystąpić w obliczu śmierci w jasnych sukienkach, czynią już z góry spieszne przygotowania. W momencie gdy Knopf wyda ostatnie tchnienie, rodzina będzie wyekwipowana w czarne suknie, żałobny welon dla pani Knopf, czarne nieprzezroczyste pończochy dla całej czwórki, a nawet czarne kapelusze. Drobnomieszczański honor zostanie uratowany.

Łysa głowa Georga przepływa jak połówka sera nad parapetem okna. Towarzyszy mu Łzawy Oskar.

– Jak tam stoi dolar? – pytam, gdy tylko weszli.

– Dokładnie jeden miliard dziś o dwunastej – odpowiada Georg. – Możemy święcić jubileusz.

– Owszem. A kiedy splajtujemy?

– Jak wszystko wyprzedamy. Czego się pan napije, panie Fuchs?

– Wszystko jedno. Szkoda, że w Werdenbrück nie ma prawdziwej rosyjskiej wódki!

– Rosyjskiej wódki? Był pan na wojnie w Rosji?

– No pewnie! Byłem nawet komendantem cmentarza w Rosji. To były wspaniałe czasy!

Spoglądamy na Oskara ze zdumieniem.

– Wspaniałe czasy? – pytam. – I to pan mówi, człowiek tak uczuciowy, że może nawet płakać na rozkaz?

– To były wspaniałe czasy – oświadcza zdecydowanie Łzawy Oskar i obwąchuje żytniówkę, jakbyśmy mieli zamiar go otruć. – Mnóstwo jedzenia, mnóstwo picia, przyjemna służba, daleko za frontem – czegóż więcej potrzeba? Bo do śmierci człowiek się przyzwyczaja jak do zaraźliwej choroby.

Próbuje żytniówki z przesadną elegancją. Jesteśmy nieco zażenowani głębią jego filozofii.

– Niektórzy ludzie przyzwyczajają się do śmierci jak do czwartego partnera w grze w skata – mówię. – Na przykład grabarz Liebermann. On zachowuje się tak, jakby uprawiał ogródek na cmentarzu. Ale pan, taki artysta…!

Oskar uśmiecha się z wyższością i odpowiada:

– Jest olbrzymia różnica! Liebermannowi brak prawdziwej metafizycznej subtelności: wiecznego giń i stań się.

Georg i ja spoglądamy na siebie bardzo poruszeni. Czyżby Łzawy Oskar był niedoszłym poetą?

– Czy pan ma stale tę świadomość? – pytam. – To giń i stań się?

– Mniej lub więcej. Przynajmniej nieświadomie. A panowie jej nie mają?

– Raczej sporadycznie – odpowiadam. – Głównie przed jedzeniem.

– Raz zapowiedziano u nas odwiedziny Jego Cesarskiej Mości – ciągnie Oskar rozmarzony. – Boże, aleśmy się denerwowali! Na szczęście były jeszcze dwa inne cmentarze w pobliżu i mogliśmy pożyczyć.

– Co pożyczyć? – pyta Georg. – Ozdoby? Czy kwiaty?

– Ale gdzie tam! To wszystko było w porządku. Po prusku, rozumie pan? Nie, chodziło o nieboszczyków.

– Nieboszczyków?

– Jasne, że o nieboszczyków! Nie jako nieboszczyków, rozumie się, ale jako o to, czym przedtem byli. Szeregowców każdy cmentarz ma oczywiście w nadmiarze, gefrajtrów, kaprali, plutonowych i poruczników również – ale przy wyższych szarżach zaczynają się trudności. Mój kolega na przykład na sąsiednim cmentarzu miał trzech majorów. Ja nie miałem ani jednego. Za to miałem dwóch podpułkowników i jednego pułkownika. Wymieniłem z nim jednego podpułkownika na dwóch majorów. Poza tym zyskałem jeszcze na tej transakcji tłustą gęś, tak haniebny wydał się memu koledze fakt, że nie miał ani jednego podpułkownika. Nie mógł sobie wyobrazić, że mógłby się pokazać na oczy Jego Cesarskiej Mości bez martwego podpułkownika.

Georg zakrywa twarz ręką.

– Nawet teraz nie ważę się o tym pomyśleć.

Oskar kiwa głową i zapala sobie cienkie cygaro.

– To jeszcze nic w porównaniu z trzecim komendantem cmentarza – oświadcza zadowolony. – Ten nie miał w ogóle żadnych wyższych szarż. Nawet majora. Poruczników oczywiście całe chmary. Był zrozpaczony. Ja miałem dobry asortyment i wymieniłem w końcu jednego z majorów, których dostałem za mojego podpułkownika, na dwóch kapitanów i jednego zawodowego feldfebla, właściwie tylko przez uprzejmość. Kapitanów sam miałem. Tylko zawodowy szef kompanii był rzadkością. Wiedzą panowie, że te świnie zawsze siedzą daleko za frontem i prawie nigdy nie trafiają w ogień. Za to takie z nich hycle i dręczyciele ludzi – więc wziąłem tę trójkę przez uprzejmość i z radości, że mam zawodowego feldfebla, który nie może już ryczeć na nikogo.

– Nie miał pan ani jednego generała? – pytam.

Oskar macha ręką.

– Generała! Poległy generał jest tak rzadki, jak… – Szuka porównania. – Zbierają panowie chrabąszcze?

– Nie – odpowiadamy obaj jednocześnie.

– Szkoda – mówi Oskar. – A więc jak olbrzymi chrabąszcz jelonek, *Lucanus cervus* albo, jeśli są panowie zbieraczami motyli, jak trupia główka. Kto by prowadził wojny? Już mój pułkownik umarł na apopleksję. Ale ten pułkownik… – Łzawy Oskar uśmiecha się nagle. Daje to osobliwy efekt; od ciągłego płakania ma twarz tak pomarszczoną jak pysk wyżła i ten sam smutno uroczysty wyraz. – A więc trzeci komendant musiał oczywiście dostać również oficera sztabowego. Ofiarował mi za to wszystko, czego zażądam, ale miałem już komplet. Otrzymałem nawet swojego zawodowego feldfebla, któremu wyznaczyłem piękny narożny grób na rzucającym się w oczy miejscu. Wreszcie ustąpiłem – za trzydzieści sześć butelek najlepszej wódki. Co prawda dałem mu za to mojego pułkownika, a nie podpułkownika. Trzydzieści sześć butelek! Stąd pochodzi, proszę panów, moje zamiłowanie do rosyjskiej wódki. Teraz nigdzie nie można jej dostać.

Jako namiastkę Oskar nalewa sobie jeszcze żytniówki.

– Po co zadawaliście sobie tyle trudu z trupami? – pyta Georg. – Musieliście je przecież ekshumować. Dlaczego nie ustawiliście po prostu paru krzyży ze sfingowanymi nazwiskami i stopniami i gotowe? Mogliście mieć w ten sposób nawet generała broni.

Oskar jest zgorszony.

– Ależ panie Kroll! – mówi tonem łagodnego wyrzutu. – To byłoby fałszerstwo. Może nawet profanacja zwłok…

– Profanacja zwłok zachodziłaby tylko wtedy, gdybyście nieżywemu majorowi dali niższą rangę – mówię. – Ale nie w wypadku szeregowca, którego byście zrobili na jeden dzień generałem.

– Moglibyście też ustawić krzyże na pustych grobach – dorzuca Georg. – To nie byłaby profanacja zwłok.

– Ale byłoby oszustwo. I mogłoby wyjść na jaw – odpowiada Oskar. – Choćby za sprawą grabarzy. A co potem? Zresztą – sfałszowany generał? – Widać, że otrząsa się w duchu. – Jego Cesarska Wysokość znał z pewnością wszystkich swoich generałów.

Nie wdajemy się w dalsze rozważania tej kwestii. Oskar też.

– Wiedzą panowie, co jest najśmieszniejsze w tej całej sprawie? – pyta.

Milczymy. Może to być tylko retoryczne pytanie i nie wymaga odpowiedzi.

– Na dzień przed inspekcją wszystko zostało odwołane. Jego Cesarska Mość w ogóle nie przybył. A zasadziliśmy całe morze prymulek i narcyzów.

– A czy oddaliście tych wymienionych nieboszczyków? – pyta Georg.

– To wymagałoby zbyt wiele zachodu. Dokumenty zostały już zamienione. Rodziny poinformowane, że zwłoki przeniesiono w inne miejsce. Takie rzeczy zdarzały się dość często. Cmentarze dostawały się w strefę działań wojennych i potem trzeba było wszystko urządzać na nowo. Wściekły był tylko ten komendant z wódką. Próbował nawet włamać się do mnie ze swoim szoferem, żeby odebrać skrzynki, ale dawno je doskonale schowałem. W pustym grobie. – Oskar ziewa. – Tak, to były czasy! Miałem pod sobą parę tysięcy grobów. Dziś – wyciąga karteczkę z kieszeni – dwie średnie skałki z marmurowymi płytami, panie Kroll. To, niestety, wszystko.

Idę w zapadającym mroku przez ciemny ogród zakładowy. Po raz pierwszy od długiego czasu Izabella była dziś znowu na nabożeństwie. Szukam jej, ale nie mogę znaleźć. Spotykam natomiast Bodendieka, od którego czuć kadzidłem i cygarami.

– Kim pan jest w tej chwili? – pyta. – Ateistą, buddystą, człowiekiem wątpiącym czy też znajduje się pan już na drodze ku Bogu?

– Każdy znajduje się zawsze na drodze ku Bogu – odpowiadam zmęczony walką. – Chodzi tylko o to, co przez to rozumie.

– Brawo – mówi Bodendiek. – Poza tym szuka pana Wernicke. Dlaczego właściwie walczy pan tak zaciekle o coś tak prostego jak wiara?

– Ponieważ w niebie jest więcej radości z jednego walczącego grzesznika niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu wikarych, którzy

od dzieciństwa śpiewają hosanna.

Bodendiek uśmiecha się. Nie chcę się z nim kłócić. Przypominam sobie jego czyn w krzakach za kościołem.

– Kiedy zobaczę pana przy konfesjonale? – pyta.

– Tak jak tych dwóch grzeszników zza kościoła Najświętszej Marii Panny?

Patrzy zdumiony.

– Co, wie pan o tym? Nie, nie tak. Pan przyjdzie dobrowolnie! Niech pan tylko za długo nie czeka!

Nic na to nie odpowiadam i żegnam się serdecznie. Kiedy idę ku siedzibie Wernickego, liście z drzew trzepocą w powietrzu jak nietoperze. Wszędzie pachnie ziemią i jesienią. Co się stało z latem? – myślę. Prawie go nie było!

Wernicke odkłada na bok stos papierów.

– Widział pan pannę Terhoven? – pyta.

– W kościele. Poza tym nie.

Kiwa głową.

– Niech się pan na razie nią nie zajmuje.

– Pięknie – mówię. – A dalsze rozkazy?

– Niech pan nie będzie dziecinny! To nie są rozkazy. Robię, co uważam za wskazane dla moich chorych. – Przygląda mi się uważnie. – Nie jest pan chyba zakochany?

– Zakochany? W kim?

– W pannie Terhoven. A w kimże innym? To ładna dziewczyna. Do diabła, nie pomyślałem o tym w związku z tą całą sprawą.

– Ja także nie. W związku z jaką sprawą?

– No to dobrze. – Wernicke śmieje się. – Poza tym wcale by to panu nie zaszkodziło.

– Tak? – odpowiadam. – Myślałem dotychczas, że tylko Bodendiek jest tu zastępcą Pana Boga. Okazuje się, że mamy jeszcze pana. Skąd pan wie tak dokładnie, co komu szkodzi, a co nie?

Wernicke milczy chwilę.

– A więc jednak – mówi potem. – No, to nic takiego! Szkoda, że nie mogłem tego posłuchać! Właśnie w pana wypadku! To musiało być dopiero ładne bajdurzenie! Niech pan weźmie cygaro. Zauważył pan, że jest już jesień?

– Tak – odpowiadam. – Co do tego mogę się z panem zgodzić.

Wernicke podaje mi pudełko z cygarami. Biorę jedno, w obawie, że odmowa zostanie uznana za jeszcze jedną oznakę mego zakochania. Nagle czuję się tak nędznie, że chce mi się rzygać. Mimo to zapalam cygaro.

– Jestem panu winien wyjaśnienie – oznajmia Wernicke. – Matka! Miałem ją tu przez dwa wieczory. Wreszcie się załamała. Mąż wcześnie umarł. Matka przystojna, młoda. Przyjaciel domu, w którym córka najwidoczniej również się mocno zadurzyła. Matka i przyjaciel domu byli nieostrożni, zazdrosna córka zaskoczyła ich w bardzo intymnej sytuacji, prawdopodobnie dawno ich już obserwowała. Rozumie pan?

– Nie – mówię. Cała ta historia jest dla mnie równie odrażająca jak śmierdzące cygaro Wernickego.

– A więc to byłoby wyjaśnione – kontynuuje z zadowoleniem Wernicke. – Nienawiść córki, odraza, kompleks, ratunek w rozdwojeniu jaźni, specjalny typ, który ucieka od wszelkiej rzeczywistości i prowadzi życie wśród marzeń. Matka wyszła później za przyjaciela domu i to wywołało ostateczny kryzys. Rozumie pan teraz?

– Nie.

– Ależ to takie proste – oznajmia zniecierpliwiony Wernicke. – Trudno było tylko dotrzeć do istoty rzeczy, ale teraz… – Zaciera ręce. – Przy tym mamy jeszcze szczęście, że ów drugi mężczyzna, były przyjaciel domu, który nazywał się Ralf, Rudolf czy coś w tym rodzaju, nie działa już teraz hamująco. Rozwiódł się trzy miesiące temu, przed dwoma tygodniami miał wypadek samochodowy, nie żyje – przyczyna została więc usunięta, droga wolna. Pojął pan wreszcie?

– Tak – odpowiadam i chętnie zatkałbym zadowolonemu z siebie naukowcowi gębę szmatą z chloroformem.

– No widzi pan! Teraz chodzi o rozwiązanie. Matka, która nagle przestała być rywalką, starannie przygotowane spotkanie – pracuję nad tym już od tygodnia i wszystko idzie bardzo dobrze. Widział pan, że panna Terhoven była dziś wieczorem na nabożeństwie…

– Uważa pan, że pan ją nawrócił? Pan, ateista, a nie Bodendiek?

– Bzdury! – wykrzykuje Wernicke nieco zdenerwowany moją tępotą. – Wcale o to nie chodzi! Uważam, że jest bardziej szczera, przystępna, swobodna – nie spostrzegł pan tego, gdy pan tu był ostatnim razem?

– Tak.

– No widzi pan! – Wernicke znowu zaciera ręce. – Po pierwszym mocnym szoku to naprawdę pocieszający rezultat…

– Czy szok był również rezultatem pańskiej kuracji?

– Był z nią związany.

Myślę o Izabelli w jej pokoju.

– Gratuluję – mówię.

Wernicke nie dostrzega ironii, tak bardzo pochłonięty jest sprawą.

– Pierwsze przelotne spotkanie i odpowiednie okoliczności rozpętały oczywiście wszystko na nowo. Taki też był mój zamiar – ale od tego czasu mam wielkie nadzieje! Rozumie pan, że teraz nie potrzebuję niczego, co by rozpraszało…

– Rozumiem. Mnie.

Wernicke potakuje.

– Wiedziałem, że pan to zrozumie! Pan ma w sobie też coś z ciekawości naukowca. Przez pewien czas był pan bardzo użyteczny, ale teraz… Co się z panem dzieje? Czy panu za gorąco?

– To cygaro. Za mocne.

– Przeciwnie! – wyjaśnia niezmordowany naukowiec. – Te brazylijskie wyglądają na mocne, ale są najsłabsze ze wszystkich.

Bywa i tak, myślę i odkładam cygaro.

– Ludzki mózg! – ciągnie dalej Wernicke prawie z rozmarzeniem. – Przedtem chciałem być marynarzem, awanturnikiem i badaczem dziewiczych lasów – śmieszne! Największa przygoda tkwi tutaj! – Puka się w czoło. – Zdaje się, że już to panu kiedyś wyjaśniałem.

– Tak – mówię. – I to często.

Zielone łupiny kasztanów chrzęszczą pod moimi butami. Ładne bajdurzenie, myślę. Co ten łowca faktów przez to rozumie? Gdyby to było takie proste! Idę do bramy i ocieram się prawie o kobietę, która nadchodzi powoli z przeciwnej strony. Ma długą futrzaną etolę i nie należy do mieszkańców zakładu. Widzę bladą, niewyraźnie rysującą się w ciemności twarz, a zapach perfum ciągnie się za nią.

– Kto to był? – pytam dozorcę przy wyjściu.

– Jedna pani do doktora Wernickego. Była już tu parę razy. Ma tu, zdaje się, jakiegoś pacjenta.

Matka, myślę i mam nadzieję, że tak nie jest. Staję za murem i wpatruję się w zakład. Ogarnia mnie wściekłość, gniew, że się ośmieszyłem, a potem żałosne współczucie dla siebie samego – ale ostatecznie pozostaje tylko bezradność. Opieram się o kasztan, czuję chłodny pień i nie wiem, czego chcę i czego bym chciał.

Idę dalej i robi mi się nieco lepiej. Niech sobie mówią, co chcą, Izabello, myślę, niech się z nas śmieją! Ty słodkie, ukochane życie, lotne, niepohamowane, które stąpało pewnie tam, gdzie inni toną, unosiło się lekko, gdzie inni deptali w buciorach, a jednak zaplątało się i poraniło w pajęczych niciach i na krawędziach, których inni nie widzą – czegóż oni chcą od ciebie? Po co tak gwałtownie ciągną cię w inny świat, w nasz świat, dlaczego nie pozwolą ci na motyle bytowanie poza przyczyną i skutkiem, czasem i śmiercią? Czy to zazdrość? Czy tępota? A może to prawda, co Wernicke mówi, że musi cię ratować przed czymś jeszcze gorszym, przed nie nazwanymi strachami, silniejszymi niż te, które on sam wywołał, i przed ostatecznym zmierzchem w otępieniu? Ale czy on to na pewno potrafi? Czy pewien jest, że on właśnie swoimi próbami ratunku nie złamie cię i nie popchnie szybciej w to, od czego pragnie cię uchronić? Któż to wie? Co wie ten naukowiec, ten zbieracz motyli, o locie, o wietrze, o niebezpieczeństwach i uroku dni i nocy poza przestrzenią i czasem? Czy zna przyszłość? Czy pił księżyc? Czy wie, że rośliny krzyczą? Śmieje się z tego! Dla niego jest to tylko reakcja na brutalne przeżycie. Ale czy jest prorokiem, który potrafi przewidzieć, co się stanie? Czy jest Bogiem, żeby wiedział, co się musi stać? Co on wie o mnie? Że byłoby całkiem

dobrze, gdybym się trochę zakochał? Ale cóż ja sam o tym wiem? Coś ruszyło i płynie, i nie ma końca. Czegóż się spodziewałem? Jak można być tak komuś oddanym? Czyż sam nie odpychałem tego od siebie bezustannie, w ciągu tych tygodni, które teraz, jak nieosiągalny zachód słońca, pozostały za horyzontem? Ale czemu narzekam? Dlaczego się boję? Czy wszystko nie może być dobrze, Izabella zdrowa i…

Tu się zatrzymuję. Co wtedy? Czy ona odejdzie? Czy nie zjawi się matka w swojej futrzanej etoli, pachnąca dyskretnymi perfumami, z rodziną jako tłem i ambicjami co do córki? Czy Izabella nie będzie wtedy stracona dla mnie, który nie potrafię nawet zebrać dość pieniędzy, żeby sobie kupić garnitur? I czy nie stąd tylko się bierze taki we mnie chaos? Z tępego egoizmu, podczas gdy wszystko inne jest tylko dekoracją?

Wstępuję do jakiejś knajpy w piwnicy. Siedzi tam paru szoferów, faliste lustro odbija moją zniekształconą twarz znad bufetu, a przede mną w szklanej gablocie leży kilka wyschniętych kanapek z sardynkami, którym się już ogony ze starości pozawijały w górę. Wypijam kieliszek żytniówki i mam uczucie, że w moim żołądku znajduje się głęboka ziejąca dziura. Zjadam kanapki z sardynkami i inne, ze starymi wybrzuszonymi plasterkami szwajcarskiego sera. Mają ohydny smak, ale wpycham je w siebie, potem jem serdelki, które są tak czerwone, że prawie rżą, a w końcu czuję się coraz bardziej nieszczęśliwy i głodny, i mógłbym pożreć cały bufet.

– Człowieku, ale pan ma dobry apetyt – mówi gospodarz.

– Owszem – odpowiadam. – Ma pan coś jeszcze?

– Grochówkę. Zawiesistą grochówkę. Jeśli pan wkruszy w nią trochę chleba…

– Dobrze, niech pan mi ją da.

Pochłaniam grochówkę, a gospodarz z własnej inicjatywy przynosi mi na dodatek pajdę chleba ze smalcem. Wcinam ją również i jestem jeszcze bardziej nieszczęśliwy i głodny niż poprzednio. Szoferzy zaczynają się mną interesować.

– Znałem kiedyś gościa, który potrafił zjeść trzydzieści jajek na twardo za jednym posiedzeniem – odzywa się jeden z nich.

– Wykluczone. Umarłby od tego. To udowodnione naukowo.

Spoglądam gniewnie na naukowca.

– Widział pan to kiedy? – pytam.

– To jest zupełnie pewne – odpowiada.

– Wcale nie takie pewne. Naukowo dowiedzione jest tylko to, że szoferzy wcześniej umierają.

– A to niby dlaczego?

– Z powodu wyziewów benzyny. Powolne zatrucie.

Zjawia się właściciel z czymś w rodzaju włoskiej sałatki. Sportowe zainteresowanie przezwyciężyło jego senność. Skąd miał sałatkę z majonezem, jest dla mnie zagadką. Sałatka jest nawet świeża. Może poświęcił własną kolację. Opędzlowuję sałatkę i wynoszę się – z płonącym żołądkiem, który nadal wydaje mi się pusty i niepocieszony.

Ulice są mętnie i szaro oświetlone. Nie ma na nich żebraków, jakich się dawniej spotykało – teraz są to inwalidzi, bezrobotni i starzy cisi ludzie o twarzach jakby ze zgniecionego bezbarwnego papieru. Czuję się nagle zawstydzony, że tak bezsensownie żarłem. Gdybym to, co sam pochłonąłem, podzielił między dwóch czy trzech z tych ludzi, byliby syci przez jeden wieczór, a ja nie byłbym bardziej głodny, niż jestem w tej chwili. Wyciągam pieniądze, jakie mi jeszcze pozostały w kieszeni, i oddaję je. Nie jest ich dużo i wiele na tym nie tracę. Jutro o dziesiątej, kiedy zostanie ogłoszony kurs dolara, i tak będą warte cztery razy mniej. Marka niemiecka zapadła jesienią na galopujące suchoty. Żebracy wiedzą o tym i natychmiast znikają, każda minuta się bowiem liczy. Cena zupy może w ciągu godziny wzrosnąć o kilka milionów marek. Zależy to od tego, czy właściciel ma jutro robić zakupy, czy nie – a również od tego, czy jest człowiekiem interesu, czy też sam należy do ofiar. Jeśli należy do ofiar, staje się manną dla biedniejszych ofiar i podnosi ceny za późno.

Idę dalej. Z miejskiego szpitala wychodzi kilka osób. Otaczają kobietę, która ma prawą rękę w szynie, zawieszoną na temblaku. Zapach środków opatrunkowych rozchodzi się wokół niej. Szpital wznosi się jak góra światła w ciemności. Prawie wszystkie okna

są oświetlone. Wygląda na to, że wszystkie pokoje są zajęte. Podczas inflacji ludzie umierają szybko. To także wiemy.

Zamierzam pójść do sklepu kolonialnego, który często bywa jeszcze otwarty po oficjalnej godzinie zamykania sklepów. Zawarliśmy umowę z właścicielką. Zamówiła u nas średni nagrobek dla swego męża, a my za to mamy prawo zakupić u niej towary do ogólnej wartości sześciu dolarów według kursu z dnia 2 września. Jest to przedłużona transakcja wymienna. Wymiana stała się zresztą powszechną modą. Wymienia się stare łóżka na kanarki i różne graciki, porcelanę na kiełbasę, biżuterię na ziemniaki, meble na chleb, fortepiany na szynkę, zużyte żyletki na odpadki jarzyn, stare futra na przerobione z mundurów marynarki i spuściznę po zmarłych na artykuły żywnościowe. Przed czterema tygodniami Georg miał nawet okazję wymienić ułamaną kolumnę z fundamentem na prawie nowy smoking. Zrezygnował z ciężkim sercem, ponieważ jest zabobonny i uważa, że w rzeczach należących do umarłych przez długi czas coś z nich pozostaje. Wdowa wyjaśniła mu, że kazała smoking oczyścić chemicznie, tak że jest on znowu prawie zupełnie nowy i można przyjąć, iż opary chloru wypędziły nieboszczyka z każdej najmniejszej nawet fałdki. Georg wahał się długo, smoking świetnie na niego pasował. Mimo to zrezygnował.

Naciskam klamkę. Drzwi są zamknięte. Oczywiście, myślę i głodnym wzrokiem spoglądam na wystawy. Zmęczony odchodzę wreszcie do domu. Na podwórku stoi sześć małych płyt z piaskowca. Są jeszcze dziewicze, nie wyżłobiono na nich dotąd ani jednego nazwiska. Sporządził je Kurt Bach. To wprawdzie pohańbienie jego talentu, albowiem płyty należą do zwykłych robót kamieniarskich, ale w danej chwili nie mamy zamówień na umierające lwy i pomniki poległych – dlatego Kurt Bach przygotowuje na zapas bardzo małe, tanie płyty, których zawsze potrzebujemy, szczególnie teraz, na jesieni, kiedy, jak poprzednio na wiosnę, odbywa się masowe umieranie. Grypa, głód, złe wyżywienie i brak woli oporu już się o to postarają.

Zza drzwi rodziny Knopfów dolatuje przytłumiony szum maszyn. Przez szybę w drzwiach przebija światło z pokoju, w któ-

rym wre praca nad szyciem żałobnych sukien. Okno starego Knopfa jest ciemne. Prawdopodobnie stary już nie żyje. Powinniśmy postawić mu na grobie nasz obelisk, myślę, ten czarny kamienny palec, który z ziemi wskazuje w niebo. Dla Knopfa był on drugą ojczyzną, a dwa pokolenia Krollów nie potrafiły sprzedać tego ciemnego oskarżyciela.

Wchodzę do biura.

– Ludwik! – woła z przyległego pokoju Georg, który mnie usłyszał.

Otwieram drzwi i staję zdumiony. Georg siedzi w fotelu jak zwykle, przed nim ilustrowane czasopisma. Tygodniowe kółko czytelnicze eleganckiego świata, do którego należy, dostarczyło mu właśnie świeżej strawy. Ale to nie wszystko – siedzi w smokingu, w koszuli ze sztywnym gorsem i nawet w białej kamizelce, istna ilustracja z pisma „Dżentelmen".

– A więc jednak! – mówię. – Żądza zabawy zwyciężyła w tobie głos instynktu. Smoking wdowy!

– Nic podobnego! – Georg przeciąga się zadowolony. – To, co tu widzisz, dowodzi, jak bardzo kobiety górują nad nami pomysłowością. To inny smoking. Wdowa wymieniła swój u krawca i w ten sposób zapłaciła mi, nie raniąc moich subtelnych uczuć. Patrz – smoking wdowy miał podszewkę satynową, a ta jest z czystego jedwabiu. Lepiej leży pod pachami. Cena w złotych markach jest wskutek inflacji ta sama, smoking bardziej elegancki. A więc, wyjątkowo, moja wrażliwość się opłaciła.

Oglądam go. Smoking jest przyzwoity, aczkolwiek nie całkiem nowy. Nie chcę ranić uczuć Georga, twierdząc, że prawdopodobnie ten smoking jest również po jakimś nieboszczyku. Czegóż zresztą nie mamy po umarłych? Nasz język, nasze przyzwyczajenia, wiedzę, rozpacz – wszystko. Georg, zwłaszcza w ostatnim roku wojny, nosił tyle mundurów po umarłych, niekiedy jeszcze z rudymi plamami krwi i dużymi dziurami po pociskach, że nie tylko wskutek wrażliwości uczuć nie chce mieć z tym wszystkim nic wspólnego. To bunt i pragnienie pokoju. A pokój symbolizuje dla niego to, że nie chce już nosić ubrań po nieboszczykach.

– Co porabiają aktorki filmowe Henny Porten, Erna Morena i niezapomniana Lia de Putti? – pytam.

– Mają te same troski co my! – wyjaśnia Georg. – Muszą możliwie najprędzej nabywać wartości realne, auta, futra, diademy, psy, domy, akcje i producentów filmowych – tylko że im to łatwiej przychodzi niż nam.

Spogląda z upodobaniem na fotografię z przyjęcia w Hollywood. Widać tam nieopisanie elegancki bal. Panowie są ubrani jak Georg, w smokingi albo we fraki.

– Kiedy sobie kupisz frak? – pytam.

– Gdy już wystąpię w moim smokingu na pierwszym balu. W tym celu muszę się wyrwać do Berlina! Na trzy dni! Kiedyś, kiedy inflacja się skończy, a pieniądze znowu będą pieniędzmi, a nie wodą. Tymczasem przygotowuję się, jak widzisz.

– Brak ci lakierków – mówię zirytowany, ku memu zdumieniu, przez tego zadowolonego z siebie światowca.

Georg wydobywa z kieszeni kamizelki złotą dwudziestomarkówkę, podrzuca ją w górę i bez słowa wkłada z powrotem. Obserwuję go z jadowitą zazdrością. Siedzi nie obarczony zbytnimi troskami, w kieszeni na piersiach tkwi mu cygaro, które nie będzie smakowało jak żółć, tak jak mnie brazylijskie cygaro Wernickego, naprzeciwko mieszka Liza, a ona szaleje za Georgiem, po prostu dlatego, że Georg pochodzi z rodziny, która posiadała już firmę, kiedy jej ojciec był sezonowym robotnikiem. Podziwiała go jako dziecko, gdy nosił biały wykładany kołnierzyk, a na lokach, jakie wtedy jeszcze posiadał, marynarską czapeczkę, podczas gdy ona biegała w sukience ze starej spódnicy matki – i ten podziw nie minął. Georg nie musi robić nic więcej dla swojej chwały. Jak sądzę, Liza nawet nie wie, iż Georg jest łysy. Dla niej pozostał nadal mieszczańskim księciem w marynarskim ubranku.

– Tobie dobrze – mówię.

– Zasługuję na to – odpowiada i zamyka czasopisma kółka czytelniczego Modernitas. Potem wyciąga puszkę szprotów i wskazuje pół bochenka chleba i kawałek masła. – Może byśmy tak spożyli skromny wieczorny posiłek z widokiem na nocne życie miasta średniej wielkości?

To te same szproty, na których widok przed sklepem szła mi ślinka do ust. Teraz nie mogę na nie patrzeć.

– Zdumiewasz mnie – oznajmiam. – Dlaczego jesz tutaj? Dlaczego w tym stroju nie spożywasz posiłku w dawnym Hotelu Hohenzollernów, obecnym Reichshofie? Dlaczego nie jesz kawioru i ostryg?

– Lubię kontrasty – odpowiada Georg. – Czy inaczej mógłbym żyć jako handlarz nagrobkami w małym miasteczku, tęskniąc do wielkiego świata?

W całej okazałości staje przy oknie, a z drugiej strony ulicy rozlega się nagle ochrypły okrzyk zachwytu. Georg ustawia się en face, z rękami w kieszeniach, tak że widać jego białą kamizelkę. Liza rozpływa się z zachwytu, o ile to jest u niej możliwe. Otula się ciaśniej szlafrokiem. Wykonuje rodzaj arabskiego tańca, wywija się raptem ze szlafroka, staje naga przed lampą, ukazując swą ciemną sylwetkę, po czym zarzuca z powrotem kimono, stawia lampę obok siebie i znów jest ciepła i brązowa, otoczona żurawiami, uśmiech niby biała gardenia zakwita na jej zmysłowych ustach. Georg jak basza przyjmuje hołd i pozwala mi brać w nim udział niby eunuchowi, który się nie liczy. W tym momencie na długi czas znów umocnił swą pozycję chłopczyka w marynarskim ubranku, który imponował obdartej dziewczynie. Co dziwniejsze, smoking naprawdę nie jest niczym nowym dla Lizy, która czuje się między paskarzami w Czerwonym Młynie jak u siebie w domu. Ale w wypadku Georga to naturalnie całkiem co innego. Szczere złoto.

– Tobie dobrze – powtarzam jeszcze raz. – I łatwo! Riesenfeld mógłby sobie wypruć żyły, układać wiersze i zrujnować swoje zakłady obróbki granitu – a nie zdobyłby tego, co ty osiągasz jako manekin.

Georg kiwa głową.

– To moja tajemnica! Ale tobie mogę ją zdradzić. Nigdy nie rób w sposób skomplikowany tego, co można zrobić całkiem zwyczajnie. Jest to jedna z największych prawd życiowych, jakie istnieją. Bardzo trudna do zastosowania. Szczególnie dla intelektualistów i romantyków.

– I co jeszcze?

– Nic. Ale nie rób z siebie nigdy duchowego Herkulesa, jeśli za pomocą nowych spodni możesz uzyskać to samo. Wtedy nie irytujesz swojego partnera, nie musi się wysilać, żeby za tobą nadążyć, jesteś spokojny i chłodny, i to, czego pragniesz, samo ci spada, że tak powiem obrazowo, na łono.

– Nie poplam sobie jedwabnych klap – mówię. – Ze szprotów często ścieka oliwa.

– Masz rację. – Georg ściąga smoking. – Nie powinno się nadużywać szczęścia. To drugie motto godne uwagi.

Sięga znowu po szproty.

– Dlaczego nie spisujesz złotych myśli dla firm wydających kalendarze? – pytam rozgoryczony płochego brzuchomówcę mądrości życiowej. – Szkoda rzucać na wiatr takie cenne banały.

– Darowuję je tobie. Dla mnie są one podnietą, a nie banałami. Kto z natury jest melancholikiem i do tego ma jeszcze taki zawód, musi robić wszystko, by się rozweselić, i nie może być przy tym zbyt wybredny. To również złota myśl.

Widząc, że mu nie dorównam, znikam w moim pokoju, zwłaszcza że puszka szprotek została już opróżniona. Ale i tam nie mogę się wyładować – nawet na fortepianie, z powodu umierającego czy zmarłego feldfebla. A marsze żałobne, jedyne możliwe w tych okolicznościach melodie, dźwięczą mi w głowie i bez tego aż nadto głośno.

XXII

Z sypialni starego Knopfa wynurza się raptem jakaś zjawa. Dopiero po dłuższej chwili w oślepiającym świetle południa poznaję feldfebla. Żyje więc jeszcze i zwlókł się z łóżka do okna. Szara głowa spogląda na świat sponad szarej nocnej koszuli.

– Patrz – powiadam do Georga. – Nie chce umrzeć w betach. Stary rumak bojowy pragnie jeszcze po raz ostatni spojrzeć w kierunku werdenbrückich gorzelni.

Obserwujemy go. Wąsy zwisają mu koło ust jak smutne zarośla. Oczy mają ołowianą barwę. Przez chwilę wytrzeszcza je jeszcze, potem odwraca się.

– To było jego ostatnie spojrzenie – mówię. – Wzruszające, że nawet tak zatwardziała dusza oprawcy chce jeszcze raz spojrzeć na świat, zanim go opuści na zawsze. Materiał dla Hungermanna, poety społecznego.

– Spogląda drugi raz – odpowiada Georg.

Opuszczam powielacz Presto, na którym odbijałem kartki katalogu dla naszych przedstawicieli, i podchodzę znowu do okna. Feldfebel stoi tam znowu. Podnosi coś za migocącymi w słońcu szybami i pije.

– Lekarstwo – komentuję. – Jak nawet najbardziej wyniszczona ruina czepia się życia! Drugi temat dla Hungermanna.

– To nie lekarstwo – odpowiada Georg, który ma lepsze oczy niż ja. – Lekarstw nie trzyma się w butelce od wódki.

– Co?

Otwieramy okno. Migotanie ustaje i widzę, że Georg ma rację. Stary Knopf chla niewątpliwie z autentycznej ćwiartki.

– Jego żona – stwierdzam – miała świetny pomysł, nalewając wody do butelki po żytniówce, żeby mu było łatwiej pić. Albowiem wódki nie ma w pokoju. Przeprowadzono rewizję.

Georg potrząsa głową.

– Gdyby to była woda, dawno by już wyrzucił butelkę za okno. Odkąd znam starego, używał wody jedynie do mycia, a i to niezbyt chętnie. To woda, którą mimo rewizji zdołał jeszcze gdzieś ukryć, a ty, Ludwiku, masz przed sobą wzniosłe widowisko – człowieka, który dumnie kroczy ku swemu przeznaczeniu. Stary feldfebel chce paść na polu chwały z ręką zaciśniętą na gardle wroga.

– Czy nie powinniśmy wezwać jego żony?

– Myślisz, że zdoła odebrać mu butelkę?

– Nie.

– Lekarz dał mu najwyżej parę dni życia. Co to za różnica?

– Taka jak między chrześcijaninem i fatalistą.

– Panie Knopf! – wołam. – Panie feldfebel!

Nie wiem, czy mnie usłyszał, ale robi taki ruch, jakby pozdrawiał nas butelką. Potem przytyka ją znowu do ust.

– Panie Knopf! – wołam. – Pani Knopf!

– Za późno! – oznajmia Georg.

Knopf wyżłopał wszystko. Robi jeszcze jeden kolisty ruch butelką. Oczekujemy, że runie na ziemię. Lekarz uprzedził, że nawet kropla alkoholu jest dla niego zabójcza. Po chwili Knopf znika w głębi pokoju jak topielec, który powoli pogrąża się w wodzie.

– Piękna śmierć – mówi Georg.

– Musimy zawiadomić rodzinę.

– Zostaw ją w spokoju. Ze starego był kawał zarazy. Kobiety będą zadowolone, kiedy się to skończy.

– Nie jestem pewny. Uczucia rodzinne chadzają osobliwymi drogami. Można by mu zrobić płukanie żołądka.

– Broniłby się przeciwko temu tak, że szlag by go trafił albo by mu wątroba pękła. Ale zatelefonuj do lekarza, jeśli to ma uspokoić twoje sumienie. Do Hirschmanna.

Łączę się z lekarzem.

– Stary Knopf wypił właśnie ćwiartkę żytniówki – oświadczam. – Widzieliśmy z okna.

– Jednym haustem?

– Dwoma, zdaje się. Czy to ma jakieś znaczenie?

– Żadnego. Pytam tylko przez ciekawość. Niech spoczywa w spokoju.

– Nic nie można poradzić?

– Nic – wyjaśnia Hirschmann. – Tak czy owak by wykitował. Dziwi mnie, że w ogóle wytrzymał do dziś. Postawcie mu pomnik w kształcie butelki.

– Jest pan człowiekiem bez serca – mówię.

– Nie bez serca, tylko cynikiem. Powinien pan to odróżniać, pan jest przecież z tej samej branży. Cynizm to serce ze znakiem ujemnym, jeśli to pana pociesza. Niech pan wypije kieliszek dla uczczenia pamięci zgasłego moczymordy.

Odkładam słuchawkę.

– Sądzę, Georg, że najwyższy czas, abym porzucił nasz zawód. Człowiek zbytnio w nim dziczeje.

– Nie dziczeje. Tępieje.

– To jeszcze gorzej. Ten zawód nie daje nic członkowi Werdenbrückiej Akademii Poetyckiej. Gdzież jest głębokie zdumienie, groza, szacunek dla śmierci, jeśli się ją ocenia według wpływów kasowych albo pomników?

– I tak dużo z tego pozostaje – mówi Georg. – Ale rozumiem cię. Chodźmy teraz do Edwarda i poświęćmy cichy kieliszeczek staremu szmirusowi.

Wracamy po południu. W godzinę później z mieszkania Knopfa rozbrzmiewa hałas i wrzaski.

– Pokój jego prochom – mówi Georg. – Chodź, musimy wypowiedzieć obowiązujące słowa pociechy.

– Mam nadzieję, że kobiety mają już gotowe stroje żałobne. To będzie jedyna pociecha, jakiej potrzebują w tej chwili.

Drzwi nie są zamknięte. Otwieramy je bez dzwonienia i stajemy jak wryci. Uderza nas nieoczekiwany widok. Stary Knopf stoi w pokoju z laską w ręku, ubrany do wyjścia. Za trzema

maszynami do szycia tłoczą się jego trzy córki i żona. Knopf wrzeszczy wściekle i grzmoci je laską. Jedną ręką trzyma za główkę maszyny, żeby pewniej stać, a drugą tłucze. Ciosy nie są szczególnie mocne, ale Knopf robi, co może. Dokoła leżą na podłodze żałobne suknie.

Sytuacja jest jasna. Żytniówka, zamiast zabić feldfebla, tak go ożywiła, że się ubrał, zapewne by odbyć zwykły obchód knajp. Ponieważ nikt mu nie powiedział, iż jest śmiertelnie chory, a jego żona ze strachu przed nim nie sprowadziła księdza, by go przygotował do wiecznego zbawienia, Knopfowi w ogóle nie przyszło do głowy umierać. Przetrzymał już wiele ataków i ostatni nie był dla niego niczym nowym. Nic dziwnego, że teraz jest wściekły – któż by się cieszył, widząc, że jego rodzina dokładnie postawiła na nim krzyżyk i wydaje ciężkie pieniądze na żałobę?

– Cholerna banda! – skrzeczy. – Jużeście się cieszyły, co? Ja was nauczę!

Zamierza się na żonę, ale nie trafia i syczy z wściekłości. Ona chwyta za laskę.

– Ależ ojciec, musiałyśmy się przygotować. Lekarz…

– Lekarz to idiota! Puszczaj, ty diablico! Puszczaj kij, mówię, ty małpo!

Mała, okrągła kobieta rzeczywiście puszcza laskę. Rozindyczony Knopf bierze zamach i trafia jedną z córek. Trzy kobiety mogłyby łatwo rozbroić słabego starucha, ale boją się go tak samo, jak rekruci swego feldfebla. Córki trzymają teraz laskę i ze łzami próbują się tłumaczyć.

– Puszczajcie kij, diablice! Ja was nauczę marnować pieniądze, wyrzucać forsę za okno!

Córki puszczają laskę. Knopf znowu bierze zamach, chybia i z hałasem upada na kolano. Bańki śliny ukazują się na jego nietzscheańskim wąsie, kiedy się podnosi, aby według przykazania Zaratustry dalej smagać swój harem.

– Ojcze, umrzesz, jeśli tak się będziesz denerwował! – krzyczą córki wśród łez. – Uspokój się! Jesteśmy szczęśliwe, że żyjesz! Może ci zrobić kawy?

– Kawy? Ja wam zrobię kawy! Pozabijam was, diabelskie nasienie! Tyle pieniędzy wyrzucać!

– Ależ ojcze, te rzeczy możemy przecież sprzedać!

– Sprzedać! Ja wam sprzedam, wy cholerne ścierwa…

– Ależ ojciec, to jeszcze wcale nie jest zapłacone! – krzyczy pani Knopf w najwyższej udręce.

To skutkuje. Knopf opuszcza kij.

– Co?

Teraz my występujemy.

– Panie Knopf – mówi Georg. – Moje gratulacje!

– Pocałuj mnie pan w dupę! – odpowiada feldfebel. – Nie widzi pan, że jestem zajęty?

– Pan się zbytnio wysila.

– Doprawdy? A co to pana obchodzi? Mnie te baby rujnują.

– Pana żona zrobiła świetny interes. Jeśli jutro sprzeda żałobę, zarobi na tym dzięki inflacji parę miliardów – zwłaszcza jeśli nie zapłaciła za materiał.

– Nie, nie zapłaciłyśmy jeszcze! – krzyczy kwartet.

– Więc powinien się pan cieszyć, panie Knopf! Podczas pańskiej choroby dolar bardzo podskoczył. Nie wiedząc o tym, zarabiał pan przez sen.

Knopf słucha. O istnieniu inflacji wie tylko stąd, że wódka robi się coraz droższa.

– No, no, zarabiał – mruczy. Potem zwraca się do swoich czterech wystraszonych ptasząt: – Kupiłyście już dla mnie pomnik?

– Nie, ojcze! – krzyczy kwartet z ulgą i rzuca na nas błagalne spojrzenia.

– A dlaczego nie? – skrzeczy Knopf wściekle.

Kobiety patrzą na niego osłupiałe.

– Wy gęsi! – wrzeszczy. – Moglibyśmy go teraz sprzedać! Z zarobkiem, co? – pyta Georga.

– Tylko jeśliby był zakupiony. Inaczej musielibyśmy po prostu zabrać go z powrotem.

– Bzdura! Wtedy sprzedalibyśmy go Hollmannowi i Klotzowi i z tego panom zapłacili! – Feldfebel odwraca się znowu do swojej

rodziny. – Wy gęsi! Gdzie są pieniądze? Jeżeli nie zapłaciłyście za materiał, to musicie je mieć! Dawajcie tu zaraz!

– Chodź! – mówi Georg. – Część emocjonalna się skończyła. Przy części handlowej nie jesteśmy potrzebni.

Myli się. W kwadrans później Knopf wchodzi do biura. Wokół niego unosi się ostry zapach żytniówki.

– Wszystko już wiem – oświadcza. – Kłamstwo na nic się nie zda. Moja żona się przyznała. Kupiła u panów nagrobek.

– Nie zapłaciła za niego. Niech pan o tym zapomni. Teraz pan go już nie potrzebuje.

– Kupiła go – powtarza feldfebel groźnym tonem. – Są świadkowie. Nie próbujcie mnie oszukiwać! Tak czy nie?

Georg spogląda na mnie.

– No dobrze. Pańska żona raczej pytała o niego, niż go kupiła.

– Tak czy nie? – wrzeszczy Knopf.

– Ponieważ znamy się już tak długo, może pan to rozumieć, jak pan chce, panie Knopf – mówi Georg, żeby uspokoić starego.

– Więc tak. Dajcie mi to na piśmie.

Znowu spoglądamy po sobie. Stary wysłużony zupak szybko się nauczył. Chce nas nabić w butelkę.

– Po co na piśmie? – pytam. – Niech pan zapłaci za pomnik, wtedy będzie należał do pana.

– Bądź pan cicho, oszuście! – wpada na mnie Knopf. – Na piśmie! – skrzeczy. – Za osiem miliardów! To o wiele za drogo! Kawałek kamienia!

– Jeśli pan go chce mieć, musi pan za niego natychmiast zapłacić – mówię.

Knopf walczy po bohatersku. Dopiero po dziesięciu minutach zostaje pobity. Wyciąga osiem miliardów z pieniędzy, które odebrał swoim kobietom, i przelicza banknoty.

– Teraz na piśmie! – warczy.

Dostaje pokwitowanie na piśmie. Przez okno widzę jego panie stojące w drzwiach. Wystraszone spoglądają ku nam i dają znaki rękami. Knopf zrabował im wszystko do ostatniego parszywego miliona.

– Tak – mówi do Georga, odebrawszy kwit. – A ile mi pan teraz zapłaci za pomnik? Sprzedaję go.

– Osiem miliardów.

– Co? Oszuści! Osiem miliardów sam zapłaciłem. A co z inflacją?

– Inflacja trwa. Pomnik jest dziś wart osiem i pół miliarda. Osiem miliardów dam panu jako cenę kupna. Pół miliarda musimy zarobić na cenie sprzedaży.

– Co? Lichwiarze! A ja? Gdzie mój zarobek? Schowacie go sobie do kieszeni, co?

– Panie Knopf! – wtrącam się. – Jeśli pan kupi rower i w godzinę później zechce go sprzedać, nie dostanie pan nawet pełnej ceny kupna. To jest sprawa handlu detalicznego, hurtowego i nabywcy. Na tym polega nasza gospodarka.

– Naszą gospodarkę mam w dupie! – oświadcza z godnością feldfebel. – Kupiony rower uważa się za używany, nawet jeśli się na nim nie jeździło. Ale mój pomnik jest nowy.

– Teoretycznie jest również używany – wyjaśniam. – W pewnym sensie. Gospodarczym. Poza tym nie może pan żądać, byśmy na nim tracili tylko dlatego, że pan pozostał przy życiu.

– Oszustwo! Zwykły szwindel!

– Niech pan zatrzyma pomnik – radzi Georg. – To bardzo pożyteczny nabytek. Kiedyś może go pan będzie potrzebował. Żadna rodzina nie jest nieśmiertelna.

– Sprzedam go konkurencji, Hollmannowi i Klotzowi, jeśli nie dacie mi natychmiast dziesięciu miliardów!

Podnoszę słuchawkę telefonu i mówię:

– Proszę, możemy to panu ułatwić. Niech pan z nimi porozmawia. Numer sześćset dwadzieścia cztery.

Knopf traci pewność siebie i macha ręką.

– To tacy sami kanciarze jak wy! Ile ten kamień będzie wart jutro?

– Może o miliard więcej. Może o dwa albo trzy.

– A za tydzień?

– Panie Knopf – mówi Georg. – Gdybyśmy z góry znali kurs dolara, nie siedzielibyśmy tutaj i nie targowalibyśmy się z panem

o nagrobki.

– Zupełnie możliwe, że za miesiąc będzie pan bilionerem – oświadczam.

Knopf zastanawia się.

– Zatrzymuję pomnik – burczy po chwili. – Szkoda, że już za niego zapłaciłem.

– Jesteśmy gotowi odkupić go od pana w każdej chwili.

– Guzik! Nie oddam bez zarobku! Zatrzymam na spekulację. Postawcie go panowie w dobrym miejscu. – Knopf zatroskany wygląda z okna. – Może padać.

– Deszcz nie zaszkodzi nagrobkom.

– Bzdury! Wtedy nie są już nowe! Żądam, żeby mój ustawiono w szopie. Na słomie.

– Dlaczego nie weźmie go pan do mieszkania? – pyta Georg. – W ten sposób zimą będzie zabezpieczony przed mrozem.

– Czyś pan zwariował?

– Ani trochę. Jest wielu czcigodnych ludzi, którzy nawet trumnę trzymają w mieszkaniu. Głównie święci i mieszkańcy południowych Włoch. Wielu używa jej nawet latami jako łóżka. Wilke sypia zawsze w trumnie olbrzyma, jeśli tyle wypije, że nie może wrócić do domu.

– Nic z tego! – rozstrzyga Knopf. – Z powodu moich bab! Kamień zostanie tutaj. Ma być w nienagannym stanie! Jesteście za niego odpowiedzialni! Ubezpieczcie go! Na swój koszt!

Mam już dosyć tego sierżanckiego tonu.

– A może by pan tak urządzał co rano apel dla swego nagrobka? – pytam. – Kontrolował, czy ma odpowiedni połysk, czy kryje w rzędzie i wyrównał do prawoskrzydłowego, czy cokół ma należycie wciągnięty brzuch, czy krzaki wokół stoją na baczność? Jeśli panu na tym szczególnie zależy, pan Henryk Kroll mógłby co rano w mundurze meldować pański nagrobek do przeglądu porannego. Jemu z pewnością sprawiłoby to wielką przyjemność.

Knopf spogląda na mnie ponuro.

– Wszystko wyglądałoby lepiej na świecie, gdyby było na nim więcej pruskiej dyscypliny – odpowiada, przy czym odbija mu się straszliwie. Zapach żytniówki staje się jeszcze bardziej przeni-

kliwy. Feldfebel prawdopodobnie od paru dni nic nie jadł. Odbija mu się po raz drugi, tym razem bardziej miękko i melodyjnie. Spogląda na nas jeszcze raz bezlitosnymi oczyma zawodowego feldfebla w stanie spoczynku, odwraca się, o mało przy tym nie pada, odzyskuje równowagę i maszeruje ze świadomością celu z podwórza na lewo – w kierunku pierwszej knajpy. W kieszeni ma resztę miliardów swojej rodziny.

Gerda stoi przy maszynce do gotowania i robi gołąbki. Jest naga, ma na nogach zielone przydeptane pantofle, przez ramię przerzuciła ściereczkę w czerwoną kratkę. W pokoju pachnie kapustą, tłuszczem, pudrem i perfumami, za oknem zwisają czerwone liście dzikiego wina, a jesień zagląda błękitnymi oczami do środka.

– To ładnie z twojej strony, żeś jeszcze raz przyszedł – mówi Gerda. – Jutro się stąd wyprowadzam.

– Tak?

Stoi przy maszynce swobodna i pewna swego piękna.

– Tak – powtarza. – Interesuje cię to?

Odwraca się i patrzy na mnie.

– Interesuje mnie, Gerdo – odpowiadam. – Dokąd się wynosisz?

– Do hotelu Walhalla.

– Do Edwarda?

– Tak, do Edwarda.

Potrząsa rondlem z gołąbkami.

– Masz coś przeciwko temu? – pyta.

Patrzę na nią. Co mogę mieć przeciwko temu, myślę. Chciałbym mieć coś przeciwko temu! Przez chwilę mam ochotę skłamać – ale wiem, że Gerda mnie przejrzy.

– Nie zostajesz w Czerwonym Młynie? – pytam.

– Już dawno skończyłam z Czerwonym Młynem. Ale ty się tym nie interesowałeś. Nie, już tam nie wrócę. W tym zawodzie można zdechnąć z głodu. Zostanę w mieście.

– U Edwarda – mówię.

– Tak, u Edwarda – powtarza. – Będę mu prowadziła bar.

– I będziesz mieszkać w Walhalli?

– Zamieszkam w Walhalli na poddaszu i będę tam pracowała. Nie jestem już taka młoda, jak ci się zdaje. Muszę postarać się o coś pewnego, zanim się skończą możliwości znajdowania engagement. Z cyrku też nic nie wyszło. To była moja ostatnia próba.

– Jeszcze przez wiele lat mogłabyś znaleźć engagement, Gerdo.

– Ty się na tym nie znasz. Wiem, co robię.

Spoglądam na czerwoną winorośl, która zwisa nad oknem. Nie wiem dlaczego, ale czuję się jak dezerter. Mój stosunek do Gerdy był taki jak żołnierza na urlopie. Ale dla jednego z dwojga bywa zwykle czymś więcej.

– Chciałam ci to sama powiedzieć – mówi Gerda.

– Chciałaś powiedzieć, że między nami wszystko skończone?

Kiwa głową.

– Gram uczciwie. Tylko Edward jako jeden jedyny zaproponował mi coś stałego – mianowicie posadę. Wiem, co to znaczy. Nie chcę oszukiwać.

– Dlaczego… – Urywam.

– Chciałeś spytać, dlaczego jeszcze z tobą spałam? – odpowiada Gerda. – Nie wiesz, że wszyscy wędrowni artyści są sentymentalni? – Roześmiała się nagle. – Pożegnanie z młodością. Chodź, gołąbki gotowe.

Stawia talerze na stole. Patrzę na nią i nagle robi mi się bardzo smutno.

– No, a co porabia twoja wielka, niebiańska miłość? – pyta Gerda.

– Nic, Gerdo. Nic.

Nakłada na talerze.

– Jeśli będziesz miał jeszcze kiedy jakiś mały romans – mówi – nigdy nie opowiadaj kobiecie o swoich innych miłościach. Rozumiesz?

– Tak – odpowiadam. – Bardzo mi przykro, Gerdo.

– Na miłość boską, nie gadaj tyle i jedz!

Spoglądam na nią. Jej twarz jest jasna i mocna. Gerda je spokojnie, od dzieciństwa przywykła do niezależności, zna swój los i pogodziła się z nim. Ma wszystko, czego mi brakuje, chciałbym

ją kochać, chciałbym, żeby życie było jasne i proste i żeby człowiek dokładnie wiedział, czego potrzebuje; nie za dużo, ale to, co najniezbędniejsze.

– Wiesz, ja nie chcę wiele – mówi Gerda. – W dzieciństwie mnie bito, a potem uciekłam z domu. Teraz mam już dość mojego zawodu i chcę się ustabilizować. Edward nie jest najgorszy.

– Jest próżny i skąpy – mówię i natychmiast ogarnia mnie złość, że to powiedziałem.

– To lepsze niż człowiek rozlazły i rozrzutny, jeśli chce się wyjść za niego za mąż.

– Chcecie wziąć ślub? – pytam zaskoczony. – Wierzysz mu? Wykorzysta cię, a potem ożeni się z jakąś bogatą córką hotelarza.

– Nic mi nie obiecywał. Podpisałam z nim tylko kontrakt na bar na trzy lata. W ciągu tych trzech lat dojdzie do wniosku, że nie może się beze mnie obejść.

– Zmieniłaś się – mówię.

– Ach, ty cielątko! Po prostu się zdecydowałam.

– Wkrótce będziesz wymyślać nam wraz z Edwardem z powodu tych tanich abonamentów obiadowych.

– A macie je jeszcze?

– Jeszcze na półtora miesiąca.

Gerda śmieje się.

– Nie będę wymyślać. Poza tym w swoim czasie zapłaciliście za nie uczciwie.

– To był nasz jedyny udany interes giełdowy. – Przyglądam się Gerdzie, gdy uprząta talerze. – Oddam je Georgowi – mówię. – Nie przyjdę więcej do Walhalli.

Gerda odwraca się. Ma uśmiechniętą twarz, ale w jej oczach nie ma uśmiechu.

– Dlaczego? – pyta.

– Nie wiem. Tak mi się zdaje. Ale może jednak przyjdę.

– Oczywiście, że przyjdziesz, dlaczego miałbyś nie przychodzić?

– Tak, właściwie dlaczego? – powtarzam bez zapału.

Z dołu dolatują przytłumione tony elektrycznego pianina. Wstaję i podchodzę do okna.

– Jak szybko minął ten rok – mówię.

– Tak – odpowiada Gerda i przytula się do mnie. – Zawsze tak bywa – mruczy – że jeśli się człowiekowi ktoś podoba, to musi być akurat taki jak ty i zupełnie się nie nadaje. – Odpycha mnie od siebie. – No, idź już – idź do swojej niebiańskiej miłości. Cóż ty właściwie wiesz o kobietach?

– Nic.

Uśmiecha się.

– I nie próbuj się dowiadywać, dziecinko. Tak będzie lepiej. A teraz idź! Masz, weź to.

Podaje mi jakąś monetę.

– Co to jest? – pytam.

– Święty, który przeprawia ludzi przez wodę. On przynosi szczęście.

– A tobie przyniósł szczęście?

– Szczęście? – pyta Gerda. – To zależy. Może i tak. A teraz idź.

Popycha mnie lekko i zamyka za mną drzwi.

Schodzę na dół. Na podwórku spotykam dwie Cyganki. Występują teraz w knajpie. Zapaśniczki dawno już wyjechały.

– Powróżyć, młody panie? – pyta młodsza Cyganka. Czuć od niej czosnkiem i cebulą.

– Nie – mówię. – Dziś nie.

U Karola Brilla panuje atmosfera pełna najwyższego napięcia. Kupa pieniędzy leży na stole. Musi tego być parę bilionów. Zakład trzyma mężczyzna z głową morsa i bardzo małymi dłońmi. Właśnie wypróbował gwóźdź w ścianie i wraca.

– Jeszcze dwieście miliardów – oświadcza dźwięcznym głosem.

– Przyjmuję – odpowiada Karol Brill. Partnerzy pojedynku deponują forsę.

– Kto jeszcze stawia? – pyta.

Nikt się nie zgłasza. Stawki są dla wszystkich za wysokie. Na czoło Karola występują perełki potu, ale jest pełen otuchy. Zakłady wynoszą czterdzieści do sześćdziesięciu na jego korzyść. Pozwolił, żeby mors jeszcze raz lekko uderzył w gwóźdź młotkiem. Za to zmieniono stawki z pięćdziesięciu do pięćdziesięciu na czterdzieści do sześćdziesięciu.

– Mógłby pan zagrać *Wieczorną pieśń ptaszyny*? – pyta mnie Karol.

Siadam przy fortepianie. Wkrótce zjawia się pani Beckmann w łososiowym kimonie. Nie wygląda tak posągowo jak zwykle. Wzgórza jej piersi falują, jakby szalało pod nimi trzęsienie ziemi, a nawet oczy ma inne niż zazwyczaj. Nie patrzy na Karola Brilla.

– Klaro – mówi Karol. – Znasz wszystkich panów z wyjątkiem pana Schweizera. – Robi elegancki gest. – Pan Schweizer…

Mors kłania się ze zdumionym i nieco zatroskanym wyrazem twarzy. Zezuje na pieniądze, a potem na zwalistą Brunhildę. Okręcają gwóźdź watą i Klara zajmuje postawę wyjściową. Gram podwójny trel i urywam. Wszyscy milczą.

Pani Beckmann stoi spokojna i skupiona. Potem przez jej ciało przechodzi dwukrotny dreszcz. Nagle rzuca dzikie spojrzenie na Karola Brilla.

– Bardzo mi przykro! – syczy przez zęby. – Nie idzie. – Odstępuje od ściany i opuszcza warsztat.

– Klaro! – krzyczy Karol.

Ona nie odpowiada. Mors wybucha gromkim śmiechem i zaczyna inkasować pieniądze. Kumple siedzą jak rażeni gromem. Karol Brill jęczy, rzuca się na gwóźdź i wraca.

– Chwileczkę! – mówi do morsa. – Jedną chwileczkę, jeszcze nie skończyliśmy! Zakładaliśmy się o trzy próby, a były dopiero dwie.

– Były trzy.

– Pan się na tym nie zna! Pan jest nowicjuszem w tych sprawach. Były dwie!

Pot spływa Karolowi po czaszce jak woda. Jego kumple odzyskali teraz mowę.

– Były dwie – stwierdzają.

Powstaje spór. Nie słucham. Czuję się, jakbym był na obcej planecie. Jest to krótkie, intensywne, okropne uczucie i jestem zadowolony, gdy mogę znowu przysłuchiwać się głosom. Mors wykorzystał sytuację. Uzna trzecią próbę, jeśli zawarty zostanie drugi zakład, trzydzieści do siedemdziesięciu na jego korzyść. Spocony

Karol godzi się na wszystko. O ile się orientuję, postawił pół warsztatu, łącznie z ekspresową maszyną do zelowania.

– Chodź pan ze mną na górę! – szepcze do mnie. – Musimy jej to wyperswadować! Ona zrobiła to naumyślnie!

Wspinamy się po schodach. Pani Beckmann oczekiwała Karola, Leży w kimonie z feniksem na łóżku, wzburzona, cudownie piękna dla kogoś, kto lubi grube kobiety, i gotowa do walki.

– Klaro! – szepcze Karol. – I po co? Zrobiłaś to naumyślnie!

– Tak? – mówi pani Beckmann.

– Z pewnością! Wiem! Przysięgam ci…

– Nie krzywoprzysięgaj! Łobuzie jeden, spałeś z kasjerką z Hotelu Hohenzollernów! Ty obrzydliwa świnio!

– Ja? To kłamstwo! Skąd o tym wiesz?

– Widzisz, przyznałeś się!

– Ja się przyznałem?

– Właśnie się przyznałeś! Spytałeś, skąd wiem. Jak mogę wiedzieć, jeśli to nieprawda?

Spoglądam ze współczuciem na zapalonego pływaka. Nie lęka się najbardziej lodowatej wody, ale tu bez wątpienia przepadł. Na schodach radziłem mu, żeby się nie wdawał w wymianę słów, tylko po prostu upadł na kolana przed panią Beckmann i błagał ją o przebaczenie, oczywiście nie przyznając się do niczego. Tymczasem on wypomina jej teraz niejakiego pana Kletzela. W odpowiedzi otrzymuje straszliwe uderzenie w nos. Odskakuje do tyłu, chwyta się za kinol, żeby sprawdzić, czy leci z niego krew, i z okrzykiem wściekłości pochyla się nad panią Beckmann, by jako stary zapaśnik ściągnąć ją za włosy z łóżka, postawić nogę na jej karku i obić jej potężne szynki swoim grubym paskiem od spodni. Daję mu średniej mocy kopniaka w tyłek. Odwraca się, gotów się na mnie rzucić, widzi jednak moje pełne błagania oczy, podniesione dłonie i bezgłośnie szepczące usta i budzi się ze swej obłędnej żądzy krwi. Ludzkie zrozumienie zapala się teraz w jego piwnych oczach. Kiwa głową, podczas gdy z nosa cieknie mu krew, odwraca się znowu i pada na kolana przed łóżkiem pani Beckmann z okrzykiem:

– Klaro! Nic nie zrobiłem, ale mi przebacz!

– Ty prosiaku! – krzyczy ona. – Ty świntuchu! Moje kimono!

Gwałtownie odsuwa na bok drogocenny materiał. Krew z nosa Karola kapie na prześcieradło.

– Przeklęty łgarz! – oświadcza pani Beckmann. – Jeszcze to w dodatku!

Spostrzegam, że Karol, uczciwy, prosty człowiek, który za swoje przeprosiny na kolanach oczekiwał natychmiastowej nagrody, znowu chce się zerwać z wściekłością. Jeśli z krwawiącym nosem wda się w walkę, to wszystko stracone. Pani Beckmann prawdopodobnie przebaczy mu kasjerkę od Hohenzollernów, ale nigdy nie przebaczy zniszczonego kimona. Kopię go z tyłu w nogę, przytrzymuję za ramię i mówię:

– Pani Beckmann, on jest niewinny! Poświęcił się dla mnie!

– Co?

– Dla mnie – powtarzam. – Między kolegami z frontu takie rzeczy się zdarzają…

– Co? Zawsze wyjeżdżacie ze swoim przeklętym frontem, wy oszuści, łgarze – i ja mam w to wierzyć?

– Poświęcił się! – mówię. – On mnie zapoznał z kasjerką i to wszystko.

Pani Beckmann podnosi się z płonącymi oczyma.

– Co? Chce mi pan wmówić, że taki młody mężczyzna jak pan leci na takie stare zdarte popychadło jak ta wywłoka od Hohenzollernów?

– Nie leci, łaskawa pani – mówię. – Ale z głodu diabeł żre komary. Gdy kogoś przyciśnie samotność…

– Młody człowiek jak pan może przecież mieć inne!

– Młody, ale biedny – odpowiadam. – Dzisiaj kobiety chcą, żeby chodzić z nimi po barach, a jeśli już o tym mówimy, to przyzna pani, że jeśli nie może pani uwierzyć w znajomość kogoś takiego jak ja, samotnego kawalera w zawierusze inflacji, z kasjerką, tym bardziej absurdalne byłoby podejrzewać o to Karola Brilla, który cieszy się sympatią najpiękniejszej i najbardziej interesującej kobiety w całym Werdenbrück, przyznaję, że niezasłużenie…

To trafiło.

– On jest łajdakiem! – oznajmia pani Beckmann. – A że niezasłużenie, to prawda.

Karol ożywia się.

– Klaro, przecież ty jesteś całym moim życiem! – wyje głucho w zakrwawione prześcieradło.

– Ja jestem twoim kontem bankowym, ty cymbale! – Pani Beckmann zwraca się do mnie: – No, a co było z tą zasuszoną szantrapą od Hohenzollernów?

Macham ręką.

– Nic! Do niczego nie doszło. Poczułem do niej wstręt.

– Mogłabym to panu z góry powiedzieć – oświadcza pani Beckmann z głębokim zadowoleniem.

Walka została rozstrzygnięta. Prowadzimy potyczkę odwrotową. Karol obiecuje Klarze zielone kimono w kwiaty lotosu i ranne pantofle z łabędzim puchem. Potem wychodzi, żeby przepłukać nos zimną wodą, a pani Beckmann się podnosi.

– Jak stoją zakłady? – pyta.

– Wysoko – odpowiadam. – W bilionach.

– Karolu! – woła. – Postaw dla pana Bodmera dwieście pięćdziesiąt miliardów.

– Doskonale, Klaro!

Schodzimy na dół. Mors siedzi pod strażą przyjaciół Karola. Dowiadujemy się, że próbował oszukiwać podczas naszej nieobecności, ale kumple w porę wyrwali mu młotek. Pani Beckmann uśmiecha się pogardliwie i w trzydzieści sekund później gwóźdź leży na podłodze. Pani Beckmann odpływa majestatycznie przy dźwiękach *Pożaru Alp*.

– Co kolega, to kolega – mówi później do mnie wzruszony Karol Brill.

– To sprawa honoru! Ale co było z tą kasjerką?

– Co robić? – odpowiada Karol. – Wie pan, jak się człowiek czasami czuje wieczorem! Ale że też jakieś ścierwo stamtąd musiało nagadać! Nie będę więcej przyjmował od nich roboty. A pan, drogi przyjacielu, niech wybiera, co pan chce! – Wskazuje kawałki skóry. – Para butów na miarę w prezencie, pierwszy gatunek – co

pan woli: chrom czarny, brązowy, żółty, lakierki, zamszowe – sam je dla pana zrobię…

– Lakierki – oświadczam.

Wracam do domu i widzę na podwórku ciemną postać. To rzeczywiście stary Knopf, który przyszedł tuż przede mną, i jakby go już nie uznano za zmarłego, zabiera się do plugawienia obelisku.

– Panie feldfebel – mówię i biorę go za ramię. – Ma pan teraz dla swoich dziecinnych czynności własny nagrobek. Niech pan z niego korzysta!

Prowadzę go do skałki, którą kupił, i czekam przed drzwiami, żeby nie wrócił do obelisku.

Knopf wybałusza na mnie oczy.

– Mój własny kamień? Pan zwariował? Ile on jest teraz wart?

– Według wieczornego kursu dolara dziewięć miliardów.

– I na to mam szczać?

Oczy Knopfa błądzą dokoła przez kilka sekund, potem feldfebel, mrucząc, wchodzi do domu. Czego nikt nie potrafił osiągnąć, dokazało proste poczucie własności! Feldfebel idzie do swojej toalety. I niech mi nikt nie wyjeżdża z komunizmem! Posiadanie wyrabia zmysł porządku!

Stoję jeszcze przez chwilę i myślę o tym, że natura potrzebowała milionów lat, by z ameby poprzez rybę, żabę, strunowca i małpę wyprodukować starego Knopfa, stworzenie wypchane fizycznymi i chemicznymi cudami, z genialnie skonstruowanym krwiobiegiem, maszyną serca, do której można by się modlić, wątrobą i dwiema nerkami, wobec których fabryki I.G. Farben są zwykłą fuszerką – i to wszystko, to przez miliony lat pieczołowicie udoskonalane cudowne dzieło, zwane zawodowym feldfeblem Knopfem, służy tylko po to, by przez krótki czas na ziemi dręczyć biednych wiejskich chłopaków, a potem, korzystając ze skromnej emerytury państwowej, oddawać się żłopaniu wódki! Niekiedy Bóg rzeczywiście zadaje sobie zbyt wiele trudu na darmo!

Potrząsając głową, przekręcam wyłącznik w moim pokoju i wpatruję się w lustro. Oto jeszcze jeden cud natury, który rów-

nież nie bardzo wie, co z sobą począć. Gaszę światło i rozbieram się po ciemku.

XXIII

Aleją zbliża się ku mnie młoda dama. Jest niedzielny ranek i widziałem ją już w kościele. Ma na sobie jasnoszary, doskonale skrojony kostium, mały filcowy kapelusik, szare zamszowe rękawiczki, nazywa się Geneviève Terhoven i jest mi przedziwnie obca.

Była z matką w kościele. Widziałem ją, widziałem Bodendieka i Wernickego, który wprost promienieje zadowoleniem ze swego sukcesu. Obszedłem ogród dookoła i straciłem już wszelką nadzieję, aż tu nagle Izabella zjawia się w alei prawie pozbawionej liści. Staję. Ona nadchodzi, szczupła, lekka i elegancka, a wraz z nią wraca tęsknota, niebo i moja własna krew. Nie mogę mówić. Wiem od Wernickego, że jest zdrowa, że cienie się rozproszyły, i czuję to sam. Jest znowu, inna niż dawniej, ale jest, choroba nie stoi już między nami, z moich rąk i oczu tryska miłość, a oszołomienie jak bezgłośna burza płynie przez żyły ku mózgowi.

– Izabello – mówię.

Znowu spogląda na mnie, między jej brwiami rysuje się mała zmarszczka.

– Proszę? – pyta.

Nie pojmuję od razu. Sądzę, że muszę się jej przypomnieć.

– Izabello – powtarzam. – Nie poznajesz mnie? To przecież ja, Rudolf.

– Rudolf? – powtarza. – Rudolf – przepraszam, jak?

Patrzę na nią osłupiały.

– Często rozmawialiśmy ze sobą – mówię po chwili.

Kiwa głową.

– Tak, długo tu byłam. Wiele z tego zapomniałam, pan wybaczy. Czy pan tu również długo przebywa?

– Ja? Ja nigdy tu nie byłem! Grywałem tylko na organach i potem…

– Ach tak, na organach – odpowiada uprzejmie Geneviève Terhoven. – W kaplicy. Tak, przypominam sobie. Przepraszam pana, że mi to na chwilę umknęło z pamięci. Pan grał bardzo ładnie. Serdecznie dziękuję.

Stoję z miną idioty. Nie rozumiem, dlaczego nie odchodzę. Geneviève najwidoczniej również tego nie rozumie.

– Pan wybaczy – mówi. – Jestem bardzo zajęta. Niebawem odjeżdżam.

– Pani niebawem odjeżdża?

– Tak – odpowiada zdziwiona.

– I nic sobie pani nie przypomina? Ani imion, które znikają w nocy, ani kwiatów, które mają głos?

Izabella wzrusza ramionami, widać, że nie rozumie.

– Wiersze – oświadcza po chwili z uśmiechem. – Zawsze je lubiłam. Ale tyle ich jest! Nie można wszystkich pamiętać.

Rezygnuję. Jest tak, jak przeczuwałem! Wyzdrowiała, a ja wyśliznąłem się z jej rąk jak gazeta z rąk śpiącej chłopki. Nic nie pamięta. Zupełnie jakby się obudziła z narkozy. Czas spędzony tutaj zniknął z jej pamięci. Wszystko zapomniała. Nazywa się teraz Geneviève Terhoven i nie wie już, kim była Izabella. Nie kłamie, widzę to wyraźnie. Straciłem ją nie dlatego, jak się obawiałem, że pochodzi z innego środowiska niż ja i do niego wraca, ale gorzej, całkowicie i nieodwołalnie. Umarła. Żyje i oddycha, i jest piękna, ale w chwili gdy usunięto obcość jej choroby, umarła, utonęła na zawsze. Izabella, której serce wzlatywało i kwitło, utonęła w Geneviève Terhoven, wzorowo wychowanej pannie z dobrego domu, która kiedyś doskonale wyjdzie za mąż i nawet będzie dobrą matką.

– Muszę już iść – mówi. – Jeszcze raz bardzo panu dziękuję za grę na organach.

– No? – pyta mnie Wernicke. – Co pan na to powie?

– Na co?

– Niech pan nie udaje głupiego! Na pannę Terhoven. Musi pan przyznać, że przez trzy tygodnie, kiedy pan jej nie widział, zmieniła się w zupełnie innego człowieka. Całkowity sukces!

– Pan to nazywa sukcesem?

– A czymże? Wraca do życia, wszystko jest w porządku, tamten okres minął jak zły sen, stała się innym człowiekiem, czego pan więcej chce? Widział ją pan przecież. No i co?

– Tak – powtarzam. – No i co?

Siostra o czerwonej chłopskiej twarzy przynosi butelkę wina i kieliszki.

– Czy będziemy mieli również zaszczyt widzieć jego wielebność wikarego Bodendieka? – pytam. – Nie wiem, czy panna Terhoven jest katoliczką, zakładam jednak, że tak, ponieważ pochodzi z Alzacji. A więc dla jego wielebności również nastał radosny dzień, gdy pan z wielkiego chaosu wyłowił dla jego stada jeszcze jedną owieczkę!

Wernicke chichoce.

– Jego wielebność wyraził już swoje zadowolenie. Panna Terhoven od tygodnia przychodzi co dzień na mszę świętą.

Izabella! – myślę. Kiedyś wiedziała, że Bóg wciąż jeszcze wisi na krzyżu i że nie tylko niewierni go męczyli. Znała i pogardzała także sytymi wiernymi, którzy z jego cierpień zrobili sobie tłustą synekurę.

– Czy się już spowiadała? – pytam.

– Tego nie wiem. Możliwe. Czy właściwie człowiek musi się spowiadać z tego, co robił, gdy był chory umysłowo? To byłby interesujący problem dla mnie, nieoświeconego protestanta.

– To zależy, co rozumiemy przez chorobę umysłową – mówię gorzko i przyglądam się, jak mechanik od dusz wychyla kieliszek Schloss Reinhardtshausera. – Bez wątpienia różnimy się w definicjach. Poza tym: jak można się spowiadać z czegoś, co się zapomniało? Gdyż panna Terhoven nagle zapomniała wiele rzeczy.

Wernicke nalewa sobie i mnie.

– Wypijmy, zanim zjawi się jego wielebność. Zapach kadzidła może być święty, ale psuje smak takiego wina. – Pociąga łyk, toczy

oczami i mówi: – Nagle zapomniała? Czy to było tak nagle? Zanosiło się na to od dłuższego czasu.

Ma rację. Spostrzegłem to również już wcześniej. Chwilami zdawało się, że Izabella już mnie nie poznaje. Przypominam sobie ostatnie spotkanie i z wściekłością łykam wino. Nie smakuje mi dzisiaj.

– To jest jak trzęsienie ziemi – wyjaśnia uprzejmie tryskający zadowoleniem Wernicke. – Trzęsienie podmorskie. Wyspy, nawet kontynenty, które przedtem były, znikają, a pojawiają się nowe.

– A jak z drugim trzęsieniem podmorskim? Czy wszystko się zmienia na odwrót?

– Może się zdarzyć i to. Ale wtedy mamy prawie zawsze do czynienia z innymi przypadkami, takimi, które idą ręka w rękę z wzrastającym kretynizmem. Widział pan przykłady. Chciałby pan tego dla panny Terhoven?

– Życzę jej najlepiej – mówię.

– No więc!

Wernicke nalewa resztę wina. Myślę o beznadziejnych chorych, którzy stoją i leżą po kątach, którym ślina cieknie z ust i którzy robią pod siebie.

– Oczywiście życzę jej, żeby już nigdy nie była chora – dodaję.

– To nie wchodzi w rachubę. Jest to jeden z przypadków, które mogą być uleczone, gdy zostaną usunięte przyczyny. Wszystko poszło bardzo dobrze. Matka i córka mają uczucie, jakie niekiedy powstaje w takich sytuacjach w wyniku czyjejś śmierci: że w nieokreślony sposób zostały oszukane i jakby osierocone, co je bardzo zbliża.

Wpatruję się w Wernickego. Nigdy nie widziałem go w tak poetycznym nastroju. Zresztą nie mówi tego zupełnie serio.

– Dziś w południe będzie pan miał okazję się o tym przekonać. Matka i córka będą tu na obiedzie.

Chcę odejść, ale coś mnie zmusza do pozostania. Jeśli człowiek może dręczyć samego siebie, to nie pomija tak łatwo dogodnej sposobności. Zjawia się Bodendiek i niespodziewanie jest bardzo ludzki. Potem nadchodzi matka z córką i zaczyna się banalna, cywilizowana rozmowa. Matka ma około czterdziestu pięciu lat,

jest tęgawa, lalkowato ładna i nadziana lekkimi, okrągłymi frazesami, którymi szafuje na prawo i lewo. Na wszystko odpowiada bez chwili namysłu.

Obserwuję Geneviève. Niekiedy przez krótką chwilę zdaje mi się, że widzę w jej rysach wynurzającą się ukochaną, dziką i pełną niepokoju inną twarz, która jednak natychmiast tonie w szmerze rozmowy o nowoczesności sanatorium (obie panie nie używają innego słowa), o malowniczym krajobrazie, starym mieście, różnych wujkach i ciotkach w Strasburgu i Holandii, o ciężkich czasach, o potrzebie wiary, o zaletach lotaryńskich win i pięknie Alzacji. Ani słowa o tym, co mnie kiedyś tak zaskakiwało i wzburzało. Utonęło, jakby nigdy nie istniało.

Wkrótce opuszczam towarzystwo.

– Muszę panią pożegnać, panno Terhoven – mówię. – Jak słyszałem, wyjeżdża pani w tym tygodniu.

Potakuje.

– Nie przyjdzie pan dziś wieczór? – pyta mnie Wernicke.

– Owszem, na nieszpory.

– To niech pan wpadnie do mnie na kieliszeczek. Panie nie odmówią?

– Oczywiście – odpowiada matka Izabelli. – My w każdym razie przyjdziemy na nieszpory.

Wieczorem było jeszcze gorzej niż w południe. Miękkie światło oszukuje. Widziałem w kaplicy Izabellę. Blask świec muskał jej włosy. Ledwie się poruszała. Twarze chorych odwróciły się na dźwięk organów jak jasne, płaskie księżyce. Izabella się modliła. Była zdrowa.

I potem również było nie lepiej. Udało mi się spotkać Geneviève przy wyjściu z kaplicy i przejść z nią parę kroków. Idziemy aleją, nie wiem, co mam powiedzieć. Geneviève otula się szczelniej płaszczem.

– Jak zimno jest już wieczorami.

– Tak. Odjeżdża pani w tym tygodniu?

– Chciałabym. Długo byłam poza domem.

– Cieszy się pani?

– Oczywiście.

Cóż mam więcej powiedzieć? Czuję, że mnie ponosi; jej krok jest ten sam, twarz w ciemności, zwiewna sylwetka.

– Izabello – mówię przed wyjściem z alei.

– Słucham? – pyta zdumiona.

– Ach – wzdycham. – To było tylko imię.

Na chwilę przystaje.

– Pan się myli – odpowiada. – Mam na imię Geneviève.

– Tak, oczywiście. Izabella to było czyjeś imię. Niekiedy o tym rozmawialiśmy.

– Tak? Możliwe. Mówi się o tylu rzeczach – wyjaśnia tonem usprawiedliwienia. – Potem się to i owo zapomina.

– O tak.

– Czy to był ktoś, kogo pan znał?

– Tak, mniej więcej.

Śmieje się cicho.

– Jakie to romantyczne. Pan wybaczy, że z początku tego nie pamiętałam. Teraz sobie przypominam.

Patrzę na nią. Nic sobie nie przypomina, widzę to. Kłamie, żeby nie być nieuprzejmą.

– Tyle się wydarzyło w ciągu ostatnich tygodni – mówi lekko i jakby z pewną wyższością. – Nic dziwnego, że się potem człowiekowi wszystko trochę miesza. – I by naprawić swoją nieuprzejmość, pyta: – I co się stało przez ten czas?

– Jak to, co się stało?

– No, z tym, co mi pan opowiadał o Izabelli.

– Och, z tym! Nic! Umarła.

Staje przerażona.

– Umarła? Jakże mi przykro! Przepraszam pana, nie wiedziałam…

– Nie szkodzi. Znałem ją bardzo powierzchownie.

– Nagle zmarła?

– Tak – odpowiadam. – Ale tak, że wcale tego nie spostrzegła. To także coś warte.

– Oczywiście. – Podaje mi rękę. – Ogromnie mi przykro.

Jej dłoń jest mocna, wąska i chłodna. Nie drży jak dawniej. To dłoń młodej damy, która popełniła małe faux pas i właśnie je naprawia.

– Izabella to piękne imię – mówi. – Kiedyś nie znosiłam mego imienia.

– A teraz już nie?

– Teraz już nie – odpowiada grzecznie.

Jest nadal uprzejma tą fatalną uprzejmością, z jaką się traktuje ludzi z małego miasteczka, których się przelotnie spotyka i szybko zapomina. Nagle czuję, że mam na sobie źle leżący garnitur, który krawiec Sulzblick przerobił ze starego munduru. Natomiast Geneviève jest bardzo wytworna. Zawsze zresztą taka była, ale nigdy nie rzucało mi się to w oczy. Geneviève i jej matka postanowiły pojechać najpierw na kilka tygodni do Berlina. Matka rozpływa się w zachwytach.

– Ach, teatry! I koncerty! Człowiek zawsze odżywa, kiedy przyjeżdża do prawdziwego dużego miasta. A sklepy! Nowe modele!

Głaszcze rękę Geneviève.

– Pozwolimy sobie na trochę zbytku, prawda?

Geneviève kiwa głową. Wernicke promienieje. Spętali ją. Ale co w niej właściwie spętali? – myślę. Czy tkwi to może w każdym z nas, zasypane, ukryte, i co to jest naprawdę? Czyż tego nie ma również i we mnie i czy kiedyś zostało spętane, czy też nigdy nie było wolne? Czy istnieje, czy jest czymś, co było przede mną, co będzie po mnie, co jest ważniejsze niż ja? Czy też wszystko jest po prostu odrobiną chaosu, złudzeniem, iluzją, głupstwem, które wygląda jak mądrość, jak twierdzi Wernicke? Ale dlaczego ja to kochałem, dlaczego to się na mnie rzuciło jak lampart na wołu, dlaczego nie mogę zapomnieć? Czy nie czułem się, mimo Wernickego, jakby w zamkniętym dotychczas pokoju otworzono drzwi i jakbym zobaczył nagle deszcz, błyskawice i gwiazdy?

Wstaję.

– Co panu jest? – pyta Wernicke. – Taki pan niespokojny jak… – Urywa, a potem dodaje: – Jak kurs dolara.

– Ach, dolar – mówi matka Geneviève i wzdycha. – Okropne! Na szczęście wuj Gaston…

Nie słucham już, co zrobił wuj Gaston. Nagle znalazłem się na dworze i wiem tylko, że powiedziałem do Izabelli: – Dziękuję za wszystko – a ona zapytała zdumiona: – Ale za co?

Powoli schodzę ze wzgórza. Dobranoc, ty słodkie dzikie serce, myślę. Żegnaj, Izabello! Nie utonęłaś! Nagle to wiem. Nie pogrążyłaś się i nie umarłaś! Odeszłaś tylko, odleciałaś, a nawet nie to: stałaś się nagle niewidzialna jak dawni bogowie, zmieniła się długość fali, jesteś jeszcze, ale już nieuchwytna, jesteś zawsze i nigdy nie zaginiesz, wszystko istnieje zawsze, nic nigdy nie ginie, tylko pogrąża się w świetle lub w cieniu, jest zawsze to oblicze, przed urodzeniem i po śmierci, i niekiedy prześwieca w tym, co uważamy za życie, i oślepia nas na sekundę, a potem nigdy już nie jesteśmy tacy sami!

Spostrzegam, że przyśpieszyłem kroku. Oddycham głęboko, a potem zaczynam biec. Jestem zlany potem, plecy mam mokre, podchodzę do bramy i cofam się znowu, mam ciągle jeszcze uczucie, jakbym przeżył jakieś niesamowite wyzwolenie, wszystkie osie przebiegają nagle przez moje serce, urodziny i śmierć są tylko słowami, dzikie gęsi przelatują nade mną od początku świata, nie ma już żadnych pytań ani odpowiedzi! Żegnaj, Izabello! Bądź pozdrowiona, Izabello! Żegnaj, życie! Bądź pozdrowione, życie!

O wiele później uświadamiam sobie, że pada deszcz. Wystawiam twarz pod krople i czuję ich smak, potem podchodzę do bramy. Czeka tam zwalista postać, pachnąca winem i kadzidłem. Wychodzimy razem. Dozorca zamyka za nami.

– No i co? – pyta Bodendiek. – Skąd pan wraca? Szukał pan Boga?

– Nie. Znalazłem go.

Zerka nieufnie spod nisko opuszczonego kapelusza.

– Gdzie? W przyrodzie?

– Nie wiem nawet gdzie. Czy można go znaleźć w określonych miejscach?

– Przy ołtarzu – mruczy Bodendiek, a potem wskazuje na prawo. – Idę tą drogą. A pan?

– Każdą – odpowiadam. – Każdą, księże wikary.

– Wcale pan przecież tak dużo nie wypił – mruczy za mną trochę zdziwiony Bodendiek.

Staję przed domem. Zza drzwi ktoś rzuca się na mnie.

– Mam cię wreszcie, ty draniu!

Strząsam go z siebie i myślę, że to jakiś żart. Ale w tej samej chwili on zrywa się znowu i wali mnie bykiem w żołądek. Padam na obelisk, ale jeszcze w locie kopię napastnika w brzuch. Kopniak nie jest dość mocny, ponieważ właśnie się przewracam. Mężczyzna rzuca się na mnie znowu i poznaję w nim rzeźnika Watzeka.

– Coś pan, oszalał? – pytam. – Nie widzi pan, na kogo pan napada?

– Widzę! – Watzek chwyta mnie za gardło. – Widzę cię, ty ścierwo, ale teraz koniec z tobą!

Nie wiem, czy jest pijany. Nie mam również czasu, by się nad tym zastanawiać. Watzek jest niższy ode mnie, ale ma muskuły jak byk. Udaje mi się odwrócić razem z nim i przycisnąć go do obelisku. Jego chwyt słabnie, padam razem z nim na bok i uderzam przy tym jego głową o cokół obelisku. Watzek puszcza mnie zupełnie. Dla pewności walę go jeszcze łokciem pod brodę, wstaję, idę do bramy i zapalam światło.

– O co chodzi? – pytam.

Watzek podnosi się z wolna. Jest jeszcze trochę ogłuszony i potrząsa głową. Obserwuję go. Nagle rozpędza się znowu z pochylonym łbem, mierząc w mój brzuch. Odskakuję na bok, podstawiam mu nogę, a on z głuchym łoskotem znowu uderza w obelisk, tym razem w to miejsce, gdzie zwęża się cokół. Każdy na jego miejscu straciłby przytomność, ale Watzek tylko się chwieje. Odwraca się i spostrzegam, że ma w ręku nóż. Jest to długi, ostry rzeźnicki nóż, widzę to w świetle lampy. Nie próbuję udawać bohatera. Wobec mężczyzny, który potrafi się tak obchodzić z nożem jak koński rzeźnik, byłoby to samobójstwo. Skaczę za obelisk, Watzek za mną. Na szczęście jestem szybszy i zwrotniejszy.

– Czyś pan zwariował? – syczę. – Chce pan wisieć za morderstwo?

– Już ja cię oduczę spać z moją żoną! – sapie Watzek. – Krew się poleje!

Teraz wiem wreszcie, o co chodzi.

– Watzek! – wołam. – To pomyłka sprawiedliwości!

– Gówno! Gardło ci poderżnę!

Skaczemy wokół obelisku. Nie przychodzi mi do głowy, żeby wezwać pomoc. Wszystko odbywa się zbyt szybko; któż mi właściwie może pomóc?

– Okłamano pana! – wołam zduszonym głosem. – Co mnie obchodzi pańska żona?

– Sypiasz z nią, łajdaku!

Skaczemy dalej, raz w prawo, raz w lewo. Watzek w butach z cholewami jest mniej zwrotny niż ja. Do pioruna, myślę. Gdzie ten Georg? Mnie tu za niego zarzynają, a on siedzi z Lizą w swoim pokoju.

– Spytaj pan swoją żonę, idioto! – sapię.

– Zarżnę cię!

Oglądam się za jakąś bronią, ale nic nie ma. Zanimbym zdołał podnieść któryś z małych nagrobków, Watzek dawno poderżnąłby mi gardło. Nagle dostrzegam kawałek marmuru, mniej więcej wielkości pięści, połyskujący na parapecie okna. Łapię go, obtańcowuję obelisk i ciskam kamieniem w łeb Watzeka. Trafiam go z lewej strony. Natychmiast zaczyna krwawić i może patrzeć tylko jednym okiem.

– Watzek! Pan się myli! – wołam. – Nie mam nic wspólnego z pańską żoną! Przysięgam panu!

Watzek porusza się teraz wolniej, ale nadal jest groźny.

– I to koledze! – dyszy. – Taka podłość!

Robi wypad jak miniaturowy byk. Odskakuję w bok, znajduję ten sam kawałek marmuru i rzucam go drugi raz. Niestety chybiam i marmur ląduje w krzaku bzu.

– Gówno mnie obchodzi pańska żona! – syczę. – Zrozumże to, człowieku! Gówno mnie obchodzi!

Watzek w milczeniu biega dalej. Krwawi teraz mocno z lewej skroni i dlatego ja biegnę w lewo. Nie widzi mnie już tak dobrze i dlatego w niebezpiecznej chwili udaje mi się kopnąć go solidnie w kolano. W tym samym momencie on dźga nożem, ale muska tylko moją zelówkę. Kopniak pomaga. Watzek stoi cicho, zakrwawiony, z nożem w pogotowiu.

– Słuchaj pan! – mówię. – Nie ruszaj się! Zróbmy na minutę zawieszenie broni! Zaraz będzie pan mógł zacząć na nowo i wtedy wybiję panu drugie oko! Uważaj, człowieku! Spokojnie, idioto!

Wpatruję się w niego, jakbym go chciał zahipnotyzować. Czytałem o tym kiedyś.

– Ja-nie-spa-łem-z-pań-ską-żo-ną – skanduję wyraźnie i powoli. – Nie interesuje mnie ani trochę! Stać! – syczę, gdy Watzek robi ruch. – Mam swoją kobietę…

– Tym gorzej, ty capie!

Watzek rusza do ataku, potyka się jednak o cokół obelisku, ponieważ wziął zbyt ostry zakręt, chwieje się, a ja kopię go znowu, tym razem w piszczel. Wprawdzie ma buty z cholewami, ale kopnięcie skutkuje. Watzek znowu stoi bez ruchu na rozkraczonych nogach, niestety, nadal z nożem w ręku.

– Słuchaj pan, ośle jeden! – syczę przenikliwym hipnotyzerskim tonem. – Jestem zakochany w zupełnie innej kobiecie! Niech pan czeka! Pokażę ją panu! Mam tu fotografię!

Watzek robi w milczeniu nowy wypad. Okrążamy obelisk półkolem. Wyciągam portfel. Na pożegnanie Gerda dała mi swoje zdjęcie. Obmacuję szybko portfel. Parę miliardów marek wyfruwa na ziemię, wreszcie znajduję fotografię.

– Trzymaj pan! – mówię i wyciągam ku niemu zdjęcie zza obelisku, jednak na taką odległość, by nie mógł mnie dziabnąć w rękę. – Czy to jest pańska żona? Niech pan spojrzy! Niech pan przeczyta podpis!

Watzek zezuje na mnie zdrowym okiem. Kładę zdjęcie Gerdy na cokole obelisku.

– Ma pan! Czy to pańska żona?

Watzek uporczywie ponawia próbę dosięgnięcia mnie.

– Durniu! – krzyczę. – Widzi pan przecież zdjęcie! Jeśli człowiek ma taką dziewczynę, to będzie latał za pańską żoną?

Trochę się zagalopowałem. Watzek jest obrażony i robi nowy żwawy wypad. Potem staje bez ruchu.

– Któryś z was z nią sypia! – oświadcza niepewnie.

– Nonsens! – wołam. – Pańska żona jest panu wierna!

– To co ona tu stale robi?

– Gdzie?

– Tu!

– Nie mam pojęcia, o co panu chodzi – mówię. – Może telefonowała stąd parę razy, to zupełnie możliwe. Kobiety chętnie telefonują, zwłaszcza gdy są często same. Niech pan jej zafunduje telefon!

– W nocy także tu przyłazi! – oznajmia Watzek.

Stoimy nadal naprzeciw siebie, oddzieleni obeliskiem.

– Ostatnio była tu parę minut w nocy, kiedy przyniesiono do domu ciężko chorego feldfebla Knopfa – odpowiadam. – Poza tym pracuje w Czerwonym Młynie.

– Tak mówiła, ale…

Opuszcza nóż. Biorę zdjęcie Gerdy i podchodzę do Watzeka.

– Tak – mówię. – Teraz może mnie pan dźgać do woli. Lepiej byłoby jednak porozmawiać. Czego pan chce? Zamordować niewinnego?

– No nie – odpowiada Watzek po krótkiej przerwie. – Ale…

Okazuje się, że uświadomiła go wdowa Konersmann. Czuję się lekko podłechtany jej przekonaniem, że z całego domu tylko ja mogę być tym przestępcą.

– Człowieku! – tłumaczę Watzekowi. – Gdyby pan wiedział, czym ja mam zaprzątniętą głowę! Na pewno by mnie pan nie podejrzewał. A poza tym niech pan porówna figurę. Nic się panu nie nasuwa?

Watzek wpatruje się w fotografię, na której jest dedykacja: „Ludwikowi w dowód miłości od Gerdy”.

– Co mi się ma nasuwać, kiedy patrzę jednym okiem? – pyta.

– Podobna do pańskiej żony – wyjaśniam. – Ten sam wzrost. Poza tym, czy pańska żona nie ma rdzawego, luźnego płaszcza?

– Pewnie – odpowiada Watzek znowu nieco groźniejszym tonem. – Ma. Bo co?

– Ta pani ma również taki sam. Można je dostać we wszystkich rozmiarach u Maksa Kleina. Są teraz modne. A ponieważ stara Konersmannowa jest wpółślepa, mamy gotowe rozwiązanie.

Stara Konersmannowa ma oczy jak jastrząb, ale każdy rogacz wierzy we wszystko, w co chce wierzyć.

– Pomyliła się – mówię. – Tamta pani odwiedzała mnie parę razy. A do tego ma chyba prawo?

Ułatwiam Watzekowi zadanie. Może powiedzieć tylko tak albo nie. Tym razem wystarcza nawet kiwnięcie głową.

– No proszę – kończę. – I z tego powodu napada się na mnie w nocy z nożem w ręku.

Watzek osuwa się wolno na stopnie schodów.

– Kolego, ty mnie też porządnie przerobiłeś. Popatrz tylko.

– Oko jest na swoim miejscu.

Watzek maca zasychającą czarną krew.

– Pan się wkrótce dostanie do więzienia, jeśli pan będzie dalej tak postępował – mówię.

– Co robić? Taka już moja natura.

– Niech się pan sam zarżnie, jak pan już musi kogoś rżnąć. To zaoszczędzi panu kupy nieprzyjemności.

– Czasami miałbym na to ochotę! Kolego, co mam robić? Ja szaleję za tą kobietą. A ona mnie nie znosi.

Nagle czuję się wzruszony i zmęczony i siadam obok Watzeka na schodach.

– To przez mój fach – mówi zrozpaczonym tonem. – Ona nienawidzi tego odoru, kolego. Ale jak człowiek stale szlachtuje konie, musi śmierdzieć krwią.

– Nie ma pan drugiego ubrania? Takiego, które by pan mógł wkładać, kiedy pan wychodzi z rzeźni?

– Tego się nie da zrobić. Inni rzeźnicy myśleliby, że chcę być kimś lepszym od nich. Zresztą ten smród zostaje.

– A gdyby tak spróbować kąpieli?

– Kąpieli? – pyta Watzek. – Gdzie, w łaźni miejskiej? Jest przecież zamknięta, kiedy o szóstej rano wychodzę z roboty.

– A czy w rzeźni nie ma natrysku?

Watzek potrząsa głową.

– Tylko węże do zmywania posadzki. Ale teraz jest za zimno, żeby się pod tym myć.

Nie mogę zaprzeczyć. Lodowata woda w listopadzie nie należy do przyjemności. Gdyby Watzek był Karolem Brillem, nie miałby z tym kłopotu. Karol w zimie wyrąbuje lód na rzece i kąpie się w przerębli wraz ze swoim klubem.

– A może woda kolońska? – pytam.

– Nie mogę tego próbować. Koledzy myśleliby, że jestem pedziem. Pan nie zna chłopaków z rzeźni!

– A gdyby pan tak zmienił zawód?

– Nie umiem nic innego – mówi Watzek smutno.

– Handel końmi – proponuję. – To trochę podobne.

Watzek macha ręką. Siedzimy przez chwilę. Co mnie to obchodzi? – myślę. Jak mogę mu w ogóle pomóc? Liza uwielbia Czerwony Młyn. Chodzi jej nie tyle o Georga, ile po prostu o kogoś innego niż jej rzeźnik.

– Musi pan stać się eleganckim mężczyzną – oznajmiam w końcu. – Dobrze pan zarabia?

– Niezgorzej.

– Więc ma pan możliwości. Co drugi dzień łaźnia i nowy garnitur, w który się pan będzie przebierał w domu. Parę koszul i jeden albo dwa krawaty. Może pan sobie na to pozwolić?

Watzek zastanawia się.

– Uważa pan, że to mogłoby pomóc?

Myślę o wieczorze spędzonym pod badawczym okiem pani Terhoven.

– Człowiek czuje się lepiej w nowym garniturze – odpowiadam. – Sam to na sobie sprawdziłem.

– Rzeczywiście?

– Rzeczywiście.

Watzek spogląda z zainteresowaniem.

– Ale pan jest ubrany jak ta lala.

– To zależy. Dla pana tak. Dla innych ludzi nie. Zauważyłem to.

– Naprawdę? Dawno?

– Dziś – mówię.

Watzek otwiera szeroko usta.

– Coś takiego! To my jesteśmy prawie jak bracia. No, no!

– Gdzieś czytałem, że wszyscy ludzie są braćmi. To wydaje się bardzo dziwne, gdy się człowiek rozgląda po świecie.

– O mało się nie pozabijaliśmy – mówi Watzek uszczęśliwiony.

– To się często zdarza między braćmi.

Watzek wstaje.

– Jutro się wykąpię. – Obmacuje lewe oko. – Właściwie chciałem sobie zamówić mundur SA. Pokazały się już w Monachium.

– Elegancki, dwurzędowy, ciemnoszary garnitur będzie lepszy. Wasz mundur nie ma przyszłości.

– Serdeczne dzięki – mówi Watzek. – Ale możliwe, że sprawię sobie jedno i drugie. I nie miej mi za złe, kolego, że cię chciałem dźgnąć. Jutro przyślę ci za to porcję pierwszorzędnej kiełbasy z koniny.

XXIV

Rogacz – mówi Georg – podobny jest do jadalnego zwierzęcia domowego, powiedzmy do kury albo królika. Zjada się go z przyjemnością, póki się go nie zna osobiście. Gdy jednak człowiek wzrasta razem z takim stworzeniem, bawi się z nim i pielęgnuje go – wtedy tylko ostatni gbur może sobie z niego zrobić pieczeń. Dlatego rogacza nigdy nie powinno się znać.

Bez słowa wskazuję na stół. Między próbkami kamieni leży tam gruba, czerwona końska kiełbasa – podarunek Watzeka, który zostawił dla mnie rano.

– Zjesz ją? – pyta Georg.

– Oczywiście, że ją zjem. Jadałem już gorsze końskie mięso we Francji. Ale nie wykręcaj się! Tam leży dar Watzeka. Przeżywam poważny dylemat.

– Chyba tylko z upodobania do dramatycznych sytuacji.

– Dobrze – mówię. – Przyznaję to. Bądź co bądź uratowałem ci jednak życie. Stara Konersmannowa nadal będzie nas miała na oku. Czy ta gra wydaje ci się warta świeczki?

Georg wyciąga z szafy swoje brazylijskie cygaro.

– Watzek uważa cię teraz za swego brata – odpowiada. – Czy to konflikt twego sumienia?

– Nie. Poza tym on jest nazistą – to wyłącza jedną stronę naszego braterstwa. Ale załóżmy, że nie.

– Watzek jest również moim bratem – odpowiada Georg i dmucha białym dymem cygara w twarz malowanej świętej Katarzyny z gipsu. – Liza oszukuje mnie bowiem tak samo jak jego.

– W tej chwili to wymyśliłeś – mówię zaskoczony.

– Nic podobnego. Skąd miałaby inaczej te wszystkie kiecki? Watzek, jako mąż, nie zastanawia się nad tym, ale ja się zastanawiam.

– Ty?

– Sama mi się przyznała, chociaż jej nie pytałem. Oświadczyła, że nie chce, abyśmy się nawzajem oszukiwali. Powiedziała to serio, nie żartem.

– A ty? Ty oszukujesz ją z bajecznymi postaciami z twojej fantazji i twoich magazynów ilustrowanych.

– Rozumie się. I co to w ogóle znaczy oszukiwać? To słowo używane jest tylko przez tych, którym to się właśnie zdarza. Od kiedy uczucie ma coś wspólnego z moralnością? Czyż po to udzielałem ci tu, pod symbolami przemijalności, powojennego wychowania? Oszukiwać – cóż to za wulgarne określenie najsubtelniejszego stopnia niezadowolenia, poszukiwania czegoś więcej, wciąż więcej…

– Dość! – przerywam. – Krótkonogi, ale bardzo mocny mężczyzna, którego właśnie widzisz przez okno, jak z guzem na głowie wchodzi w swoje drzwi, to świeżo wykąpany rzeźnik Watzek. Włosy ma ostrzyżone i jeszcze mokre od wody toaletowej. Chce się podobać swojej żonie. Czy cię to nie wzrusza?

– Naturalnie, ale on nigdy nie będzie się podobał swojej żonie.

– Dlaczego więc wyszła za niego za mąż?

– Od tego czasu przybyło jej sześć lat. Wyszła za niego za mąż podczas wojny, kiedy była bardzo głodna, a on mógł się postarać o mięso.

– Czy ona ci to wszystko opowiedziała?

– Tak.

– Wielki Boże – mówię. – I ty w to wierzysz?

Georg wydmuchuje kunsztowne kółko dymu.

– Kiedy ty, dumny cyniku, będziesz miał tyle lat, co ja, wtedy, miejmy nadzieję, również dojdziesz do wniosku, że wiara nie tylko jest wygodna, ale często nawet zgadza się z prawdą.

– Dobrze – oznajmiam. – Ale co powiesz o rzeźnickim nożu Watzeka? I o oczach wdowy Konersmann?

– To przykre – odpowiada Georg. – A Watzek jest idiotą. W tej chwili ma lepsze życie niż kiedykolwiek przedtem, bo Liza go zdradza i dlatego traktuje go lepiej. Zobaczysz jednak, jak on zacznie narzekać, kiedy znowu mu będzie wierna i zacznie na nim wyładowywać swą wściekłość z tego powodu. A teraz chodź jeść! Równie dobrze możemy o tym pomyśleć później.

Edwarda omal szlag nie trafia, kiedy nas widzi. Dolar doszedł prawie do biliona marek, a wygląda na to, że posiadamy jeszcze niewyczerpaną liczbę kartek obiadowych.

– Wy je drukujecie! – krzyczy. – Jesteście fałszerzami! Drukujecie je po kryjomu!

– Proszę nam podać butelkę Forster Jesuitengarten po jedzeniu – mówi Georg z godnością.

– Dlaczego po jedzeniu? – pyta Edward nieufnie. – Co to znowu znaczy?

– Wino jest za dobre do tego, co w ostatnich tygodniach podajesz na obiad – oświadczam.

Edward jest oburzony.

– Jeść obiad na kupony z poprzedniej zimy, za parszywe sześć tysięcy marek, a potem jeszcze krytykować jedzenie – to już szczyt wszystkiego! Należałoby wezwać policję!

– Wzywaj! Jeszcze jedno słowo, a zaraz po obiedzie pójdziemy na wino do Hotelu Hohenzollernów!

Edward wygląda, jakby miał pęknąć za chwilę ze złości. Opanowuje się jednak ze względu na wino.

– Wrzodów w żołądku przez was dostałem! – mruczy i oddala się jak najszybciej. – Wrzodów w żołądku! Wolno mi już tylko mleko pić!

Siadamy i rozglądamy się. Ukradkiem i z nieczystym sumieniem szukam wzrokiem Gerdy, nie widzę jej jednak. Dostrzegam natomiast znajomą postać, która rześko i z uśmiechem kroczy przez salę w naszym kierunku.

– Widzisz, kto tu idzie? – pytam Georga. – Riesenfeld! Znowu tutaj! Tylko ten, kto zna tęsknotę…

Riesenfeld wita się z nami.

– Przychodzi pan w samą porę, by złożyć podziękowanie – mówi do niego Georg. – Nasz młody obecny tu idealista pojedynkował się wczoraj za pana. Amerykański pojedynek, nóż przeciwko odłamkom marmuru.

– Co? – Riesenfeld siada i woła o szklankę piwa. – Z jakiego powodu?

– Pan Watzek, mąż pani Lizy, którą pan zasypuje kwiatami i pralinkami, doszedł do wniosku, że te rzeczy pochodzą od mojego kolegi, i zaczaił się na niego z długim nożem.

– Ranny? – pyta Riesenfeld krótko i lustruje mnie.

– Tylko w zelówkę od buta – wyjaśnia Georg. – Watzek jest lekko ranny.

– Znowu łżecie?

– Tym razem nie.

Spoglądam na Georga z podziwem. Jego bezczelność przekracza wszelkie granice. Ale Riesenfelda niełatwo pobić.

– Musi się wynieść! – rozstrzyga jak rzymski cesarz.

– Kto? – pytam. – Watzek?

– Pan!

– Ja? Dlaczego nie pan? Albo wy obaj?

– Watzek nie zrezygnuje z walki. Pan jest oczywistą ofiarą. Nas nie będzie podejrzewał. My mamy łysiny. A więc musi się pan ulotnić. Zrozumiano?

– Nie – odpowiadam.

– Przecież pan i tak chciał wyjechać?

– Nie z powodu Lizy.

– Powiedziałem „i tak” – oświadcza Riesenfeld. – Nie chce pan już zakosztować burzliwego życia wielkiego miasta?

– Jako kto? W wielkich miastach nie dają człowiekowi jeść za darmo.

– Jako pracownik gazety w Berlinie. Na początek nie będzie pan zarabiał dużo, ale na skromne życie starczy. Potem będzie się pan mógł rozejrzeć.

– Co? – pytam bez tchu.

– Pytał mnie pan parę razy, czy nie miałbym czegoś dla pana! No, Riesenfeld ma swoje znajomości. Znalazłem coś dla pana. Dla-

tego przyjechałem. Pierwszego stycznia dwudziestego czwartego roku może pan zaczynać. Mała posadka, ale w Berlinie. Załatwione?

– Stop! – protestuje Georg. – Jego obowiązuje pięcioletnie wymówienie.

– W takim razie ucieknie bez wymówienia. Załatwione?

– Ile będzie zarabiał? – pyta Georg.

– Dwieście marek – odpowiada Riesenfeld spokojnie.

– Tak też myślałem, że to bujda – mówię rozgniewany. – Czy panu sprawia przyjemność drwić z ludzi? Dwieście marek! Czy takie śmieszne sumy w ogóle istnieją?

– Będą istniały znowu – mówi Riesenfeld.

– Tak? – pytam. – Gdzie? W Nowej Zelandii?

– W Niemczech! Marka zbożowa. Nie słyszeliście o tym?

Spoglądamy na siebie z Georgiem. Krążyły pogłoski, że mają wprowadzić nową walutę. Marka miała być przy tym warta określoną ilość żyta; ale w tym roku słyszało się tyle plotek, że nikt w to nie wierzył.

– Tym razem to prawda – oznajmia Riesenfeld. – Wiem to z najlepszego źródła. Ta marka zmieni się później na markę w złocie. Takie są plany rządu.

– Rządu! Rząd odpowiada przecież za całą inflację!

– Możliwe. Ale teraz sprawa dojrzała. Rząd nie ma już długów. Bilion marek inflacyjnych będzie odpowiadał jednej marce w złocie.

– A marka w złocie znowu zacznie spadać, co? I cały taniec zacznie się na nowo.

Riesenfeld wypija piwo.

– Chce pan czy nie?

Mam wrażenie, że w całym lokalu zapanowała nagle cisza.

– Tak – odpowiadam. Zupełnie jakby to powiedział ktoś obok mnie. Boję się spojrzeć na Georga.

– To rozsądnie – oświadcza Riesenfeld.

Spoglądam na obrus. Wydaje się płynąć. Potem słyszę, że Georg mówi:

– Kelner, proszę zaraz przynieść butelkę Forster Jesuitengarten! – Podnoszę wzrok. – Uratowałeś nam życie – wyjaśnia. – To dlatego!

– Nam? Dlaczego nam? – pyta Riesenfeld.

– Nigdy nie ratuje się jednego życia – odpowiada Georg przytomnie. – Jest ono zawsze związane z kilkoma innymi.

Chwila minęła. Spoglądam z wdzięcznością na Georga. Zdradziłem go, ponieważ musiałem go zdradzić, i zrozumiał to. On zostaje.

– Odwiedzisz mnie – mówię. – Wtedy zapoznam cię z wielkimi damami i berlińskimi aktorkami filmowymi.

– Co za plany! – zwraca się do mnie Riesenfeld. – Gdzie wino? Przecież przed chwilą uratowałem panu życie.

– Kto tu właściwie kogo ratuje? – pytam.

– Każdy kiedyś kogoś raz ratuje – mówi Georg. – Tak samo jak kiedyś raz kogoś zabija. Nawet gdy o tym nie wie.

Wino stoi na stole. Zjawia się Edward. Jest blady i zmieszany.

– Dajcie i mnie kieliszek.

– Odwal się! – wołam. – Ty pasożycie! Nasze wino możemy wypić sami.

– Nie o to chodzi. Butelka pójdzie na mój rachunek. Zapłacę za nią. Ale dajcie mi kieliszek. Muszę się czegoś napić.

– Chcesz nam postawić butelkę? Zastanów się, co mówisz?

– Mówię zupełnie poważnie. – Edward siada. – Umarł Walenty – wyjaśnia.

– Walenty? Co mu się stało?

– Zawał serca. Właśnie do mnie telefonowali. – Chwyta kieliszek.

– I ty chcesz z tej okazji pić, łotrze? – pytam oburzony. – Dlatego, że się go pozbyłeś?

– Przysięgam wam, że nie! Nie dlatego! On mi przecież uratował życie.

– Co? – woła Riesenfeld. – Panu też?

– Oczywiście, że mnie. Bo co?

– Co się tu dzieje? – pyta Riesenfeld. – Czy tu jest klub ratujących życie?

– To już takie czasy – odpowiada Georg. – Wielu w tych latach uratowano. A wielu nie.

Patrzę ze zdumieniem na Edwarda. Naprawdę ma łzy w oczach, ale ostatecznie z nim nigdy nic nie wiadomo.

– Nie wierzę ci – mówię. – Nieraz mu życzyłeś, żeby skręcił kark! Zbyt często to słyszałem. Chciałeś oszczędzić swoje przeklęte wino.

– Przysięgam wam, że nie! Nieraz to mówiłem, bo czego to człowiek nie mówi. Ale przecież nie na serio. – Łzy w oczach Edwarda stają się wyraźniejsze. – Rzeczywiście uratował mi życie.

Riesenfeld wstaje.

– Mam już dość tych głupstw o ratowaniu życia! Będziecie po południu w biurze? Dobrze!

– Niech pan przestanie wysyłać kwiaty, Riesenfeld – ostrzega Georg.

Riesenfeld macha ręką i znika z nie dającym się określić wyrazem twarzy.

– Wypijemy kieliszek za Walentego – odzywa się Edward. Wargi mu drżą. – Kto by to pomyślał! Przetrwał całą wojnę, a teraz w sekundę już po nim.

– Jeśli już chcesz być sentymentalny, to rób to jak należy – odpowiadam. – Przynieś butelkę wina, którego nigdy nie chciałeś mu dać.

– Johannisbergera, tak jest. – Edward podnosi się gorliwie i odchodzi, powłócząc nogami.

– Zdaje się, że on się szczerze zmartwił – mówi Georg.

– Szczerze się zmartwił i szczerze się cieszy.

– O to mi chodzi. Więcej przeważnie nie można wymagać.

Siedzimy chwilę w milczeniu.

– Dość dużo wydarzyło się naraz, co? – odzywam się w końcu.

Georg spogląda na mnie.

– Na zdrowie! Kiedyś przecież musiałeś wyjechać. A Walenty? Pożył parę lat dłużej, niż można było przypuszczać w siedemnastym.

– To dotyczy nas wszystkich.

– Tak, i dlatego należy coś z życiem zrobić.

– A czyż my nie robimy?

Georg śmieje się i odpowiada:

– Robi się coś z życiem wtedy, jeśli w danym momencie nie pragnie się niczego innego niż to, co się właśnie robi.

Salutuję.

– W takim razie ja nic z życiem nie zrobiłem. A ty?

Georg mruga do mnie.

– Chodź, uciekajmy stąd, zanim Edward wróci. Do diabła z jego winem!

– Ty, słodka – mówię do muru w ciemności – słodka i dzika, mimoza i bicz, jaki głupi byłem, że chciałem cię posiadać! Czyż można zamknąć wiatr? Co z niego wtedy będzie? Zużyte powietrze. Idź, idź swoją drogą, bywaj w teatrach i na koncertach, wyjdź za mąż za oficera rezerwy i dyrektora banku, co zrobił majątek na inflacji, idź, młodości, co tylko tego opuszczasz, kto chce ciebie opuścić, flago, co trzepocze, ale jest nieuchwytna, żaglu z wielu błękitów, fatamorgano, gro kolorowych słów, idź, Izabello, idź, moja spóźniona, doścignięta, uratowana z wojny, nieco zbyt wiele wiedząca, nieco przemądrzała młodości. Idź, idźcie oboje, i ja też pójdę, nie mamy sobie nic do wyrzucenia, nasze kierunki są różne, ale i to tylko pozornie, gdyż śmierci nie można oszukać, można ją tylko przetrwać. Żegnajcie! Co dzień umieramy po trochu, ale i żyjemy też o dzień dłużej, tego mnie nauczyłyście i nie chcę o tym zapomnieć. Nie ma unicestwienia, a kto nic nie chce zatrzymać, posiada wszystko. Żegnajcie, całuję was mymi pustymi wargami, obejmuję was ramionami, które nie mogą was zatrzymać, żegnajcie, żyjcie we mnie, póki was nie zapomnę…

Trzymam w ręku butelkę żytniówki i siedzę na ostatniej ławce w alei, skąd rozciąga się widok na szpital wariatów. W kieszeni szeleści mi czek na twardą walutę: równo trzydzieści franków szwajcarskich. Cuda się nie skończyły: pewna szwajcarska gazeta, którą od dwóch lat bombardowałem wierszami, w przypływie szaleństwa przyjęła jeden z nich i od razu przysłała mi czek. Byłem już w banku, żeby się dowiedzieć – wszystko się zgadza. Dyrektor banku natychmiast zaproponował mi wymianę po kursie czarno-

rynkowym. Mam czek w kieszeni na piersi, koło serca. Przyszedł o parę dni za późno. Mógłbym kupić sobie garnitur i białą koszulę i w ten sposób zaprezentować się godnie przed paniami Terhoven. Przepadło! Grudniowy wiatr gwiżdże, czek szeleści, a ja siedzę tu w wyimaginowanym smokingu i wyimaginowanych lakierkach, które Karol Brill jest mi jeszcze winien, i wielbię Boga, i modlę się do ciebie, Izabello! Chusteczka z najcieńszego batystu trzepoce mi w kieszonce i jestem kapitalistą w podróży. Czerwony Młyn na każde skinienie leży u moich stóp, w mojej ręce połyskuje szampan nieulękłego pijaka, pijaka nienasyconego, napój feldfebla Knopfa, którym zmusił śmierć do ucieczki – a ja przepijam do szarych murów, które kryją ciebie, Izabello, młodość, twoją matkę, buchaltera Pana Boga – Bodendieka, majora rozsądku – Wernickego, wieczny chaos i wieczną wojnę. Piję i widzę po lewej stronie powiatową klinikę położniczą, gdzie w paru oknach jeszcze się świeci i gdzie rodzą matki. Dopiero teraz spostrzegam, że leży tak blisko szpitala wariatów – przecież znam ją i powinienem ją znać, gdyż tam się urodziłem, a do dziś nawet o tym nie myślałem! Bądź pozdrowiony i ty, luby domu, ulu płodności, do ciebie przywieziono moją matkę, ponieważ byliśmy biedni, a rodzenie w klinice odbywało się za darmo, jakkolwiek wobec kursu przyszłych akuszerek, i w ten sposób już przychodząc na świat, służyłem wiedzy! Niech będzie pozdrowiony ów nieznany budowniczy, który cię tak mądrze umieścił w pobliżu tego drugiego budynku! Prawdopodobnie uczynił to bez ironii, gdyż najlepsze dowcipy świata są zawsze dziełem poważnych i zasadniczych ludzi. Tak czy inaczej, czcijmy nasz rozsądek, lecz nie bądźmy z niego zbyt dumni ani zbyt pewni! Ty, Izabello, otrzymałaś go z powrotem, ten dar Danaów, a tam na górze siedzi Wernicke i cieszy się, i ma rację. Ale mieć rację to za każdym razem jeden krok bliżej śmierci. Kto zawsze ma rację, staje się czarnym obeliskiem! Pomnikiem!

Butelka jest pusta. Odrzucam ją jak najdalej. Spada z głuchym klaśnięciem na miękkie, zorane pole. Wstaję. Dość już wypiłem i dojrzałem w sam raz do Czerwonego Młyna. Riesenfeld wydaje dziś poczwórny wieczór pożegnalno-ratowniczy. Będzie Georg, Liza, a do tego przyłączę się ja, po załatwieniu paru prywatnych

pożegnań, i wszyscy razem będziemy poza tym święcić jeszcze jedno wspaniałe, powszechne pożegnanie – pożegnanie inflacji.

Późno w nocy idziemy jak pijany pochód pogrzebowy ulicą Główną. Rzadkie latarnie migocą. Nieco przedwcześnie pogrzebaliśmy rok. Willy i Renée de la Tour przysiedli się do nas. Willy wdał się w gwałtowną kłótnię z Riesenfeldem. Riesenfeld zaklinał się, że nastąpi koniec inflacji i pojawi się nowa marka – a Willy oświadczył, że wtedy by zbankrutował, więc już choćby dlatego jest to niemożliwe. Renée de la Tour stała się potem bardzo milcząca.

Przez mrok widzimy w dali drugi pochód. Kieruje się wyraźnie ku nam.

– Georg – mówię – zostawmy panie trochę w tyle. Coś mi to wygląda na awanturę.

– Dobra.

Znajdujemy się w pobliżu Nowego Rynku.

– Jeśli zobaczysz, że z nami jest źle, pędź natychmiast do Café Matz – instruuje Georg Lizę. – Spytaj o stowarzyszenie śpiewacze Boda Ledderhosego i powiedz, że go potrzebujemy. – Zwraca się do Riesenfelda: – Niech pan lepiej udaje, że nie należy do naszego towarzystwa.

– Ty uciekaj, Renée – mówi Willy. – Trzymaj się z daleka!

Drugi pochód podszedł bliżej. Jego uczestnicy mają buty z cholewami, które stanowią wielkie marzenie każdego niemieckiego patrioty, i z wyjątkiem dwóch osobników żaden nie wygląda na więcej niż osiemnaście do dwudziestu lat. Za to jest ich dwa razy tyle co nas.

Przechodzimy obok.

– Tego czerwonego psa przecież znamy! – krzyczy ktoś niespodziewanie. Czupryna Willy'ego świeci również w nocy. – I tego łysola! – wrzeszczy drugi i wskazuje na Georga. – Dalej na nich!

– Biegnij, Lizo! – mówi Georg. Widzimy jej migocące obcasy.

– Tchórze, chcą sprowadzić policję! – wykrzykuje świński blondyn w okularach i zamierza gonić Lizę. Willy podstawia mu nogę

i świński blondyn pada na ziemię. Zaraz potem znajdujemy się w ogniu walki.

Jest nas pięciu bez Riesenfelda. Właściwie tylko czterech i pół. Za połowę można liczyć Hermanna Lotza, kolegę z wojny, który ma lewą rękę amputowaną aż do pachy. Przyłączył się do nas w Café Central z drugim kolegą, małym Köhlerem.

– Uważaj, Hermann, żeby cię nie przewrócili! – wołam. – Trzymaj się w środku. A ty, Köhler, gryź, kiedy będziesz leżał na ziemi!

– Zabezpieczyć tyły! – poleca Georg.

Rozkaz jest dobry, ale w danej chwili zabezpieczeniem naszych tyłów są wielkie okna wystawowe domu Maksa Kleina. Patriotyczne Niemcy szturmują przeciwko nam, a kto by chciał być przyciśnięty do szyby wystawowej? Człowiek pokaleczy sobie plecy na odłamkach, a prócz tego powstaje jeszcze kwestia odszkodowania. Musielibyśmy je płacić, gdybyśmy zostali wciśnięci w potłuczoną szybę. Nie moglibyśmy uciec.

Na razie ścieśniamy się. Okna wystawowe są i w nocy trochę oświetlone. Dzięki temu możemy dokładnie widzieć naszych przeciwników. Poznaję jednego ze starszych. Był w tej grupie, z którą mieliśmy już kiedyś awanturę w Café Central. Według starej zasady, by najpierw załatwiać wodzów, wołam do niego:

– Chodź tu, ty tchórzliwy świński ryju!

Ani mu się to śni.

– Wyciągnijcie go! – wydaje rozkaz swojej gwardii.

Trzech atakuje. Willy wali jednego w łeb, tak że ten się przewraca. Drugi ma pałkę gumową i uderza mnie w ramię. Nie mogę go dosięgnąć, ale on mnie może. Willy widzi to, skacze naprzód i wykręca mu rękę. Pałka gumowa pada na ziemię. Willy chce ją podnieść, ale tamci go wywracają.

– Łap gumę, Köhler! – wołam.

Köhler rzuca się w kłębowisko na ziemi, gdzie walczy Willy w jasnoszarym garniturze.

Nasz szyk bojowy załamał się. Dostaję cios i wpadam na wystawę, że aż szyba brzęczy. Na szczęście nie pęka. Nad nami otwierają się okna. Z głębi wystawy patrzą na nas elegancko

ubrane drewniane manekiny Maksa Kleina. Strojne w najnowsze kreacje zimowe, stoją tam jak niesamowite, nieme wcielenie starogermańskich kobiet, które ze swoich twierdz na wozach zagrzewały wojowników do walki.

Wielki, krostowaty chłopak dusi mnie za gardło. Czuć od niego śledziem i piwem, a jego głowa jest tak blisko mojej, jakby mnie chciał pocałować. Lewe ramię mam bezwładne od uderzenia gumą. Próbuję prawym kciukiem dźgnąć go w oko, ale on to udaremnia, przyciskając mocno głowę do mego policzka, jakbyśmy byli dwoma zakochanymi zboczeńcami. Ponieważ nie mogę go również kopnąć, gdyż stoi zbyt blisko, jestem dość bezradny. Właśnie wtedy, gdy bez tchu, z resztką sił, pozwalam mu się przewrócić do tyłu, widzę coś, co mi się wydaje złudzeniem moich oszołomionych zmysłów. Kwitnące geranium wyrasta nagle z krostowatej czaszki jak ze szczególnie żyznej kupy gnoju, jednocześnie w oczach mojego przeciwnika pojawia się wyraz łagodnego zdziwienia, a chwyt na moim gardle się rozluźnia. Skorupy doniczki pękają koło nas, wynurzam się spośród nich, wyrywam, podskakuję i słyszę ostre trzaśnięcie – głową trafiłem go od dołu w podbródek, a on powoli osuwa się na kolana. Dziwnym trafem korzenie geranium, które rzucono na nas z góry, tak mocno obramowały mu czaszkę, że krostowaty Germanin przyklęka z kwiatem na głowie. Wygląda jak bardziej cywilizowany potomek swoich przodków, którzy nosili wołowe rogi jako ozdobę głowy. Na jego ramieniu spoczywają dwa zielone kawałki majoliki niby resztki rozbitego hełmu.

Była to duża doniczka, ale czaszka patrioty wydaje się z żelaza. Czuję, jak będąc już na kolanach, próbuje jeszcze uszkodzić moje genitalia, więc chwytam geranium wraz z korzeniami i przyklejoną doń ziemią i wbijam mu ziemię w oczy. Puszcza, przeciera sobie ślepia, a ponieważ nic nie mogę zdziałać pięściami, zadaję mu cios butem między nogi. Zwija się i sięga łapami w tamto miejsce, żeby je ochronić. Wbijam mu jeszcze raz w oczy plecionkę korzeni z ziemią i oczekuję, że znowu podniesie ręce do góry, aby całość powtórzyć od nowa. On jednak leci głową w dół, jakby chciał wykonać wschodni ukłon, a w następnej chwili wszystko

wokół mnie rozbrzmiewa ogłuszającym grzmotem. Nie uważałem i dostałem potężny cios z boku. Powoli ześlizguję się po wystawie. Ogromna lala z malowanymi oczami i w bobrowym futrze przygląda mi się bez zainteresowania.

– Przebić się do kibla! – słyszę głos Georga. Ma rację. Potrzebujemy lepszego zaplecza. Ale dobrze mu mówić – jesteśmy rozdzieleni. Nieprzyjaciel otrzymał skądś posiłki i wygląda na to, że z pociętymi głowami wylądujemy wśród manekinów Maksa Kleina.

W tym momencie widzę, że Hermann Lotz klęczy na ziemi.

– Pomóż mi ściągnąć rękaw! – dyszy.

Chwytam i ciągnę jego rękaw do góry, wyswobadzając w ten sposób połyskliwą sztuczną rękę. To niklowe rusztowanie, na którym u dołu jest przymocowana stalowa sztuczna dłoń w czarnej rękawiczce. Hermann otrzymał stąd przydomek „Żelaznoręki Götz von Berlichingen". Szybko odczepia rękę od łopatki, potem swą naturalną ręką chwyta tę sztuczną i wyprostowuje się.

– Z drogi! Götz idzie! – wołam z dołu.

Georg i Willy odsuwają się szybko, tak że Hermann może się przedostać. Wymachuje sztuczną ręką jak cepem i pierwszym ciosem trafia przywódcę. Napastnicy na chwilę cofają się. Hermann wskakuje między nich, kręci się w kółko z wyciągniętą sztuczną ręką. Zaraz potem przerzuca protezę, chwytając ją za górną część, i wali sztuczną stalową dłonią.

– Jazda! Do kibla! – woła. – Będę krył odwrót!

Niezapomniany jest widok Hermanna operującego protezą. Kilkakrotnie widziałem go tak walczącego, ale nasi wrogowie tego jeszcze nie widzieli. Przez moment stoją, jakby wpadł między nich jakiś szatan, i to przechyla szalę na naszą korzyść. Przebijamy się i pędzimy do toalety na Nowym Rynku. Przebiegając, widzę, jak Hermann lokuje piękny cios na rozdziawionym pysku drugiego przywódcy.

– Dalej, Götz! – wołam. – Chodź do nas! Przebiliśmy się!

Hermann robi jeszcze jeden obrót. Luźny rękaw marynarki trzepoce dokoła, a resztką kikuta ramienia wykonuje gwałtowne ruchy, by utrzymać równowagę. Dwóch drabów, którzy znaleźli się

na jego drodze, wybałusza nań oczy ze zdumieniem i grozą. Jeden dostaje cios w podbródek, drugi, widząc, jak nadlatuje czarna sztuczna ręka, wrzeszczy pełen grozy, zakrywa sobie oczy i ucieka co sił.

Dobiegamy do pięknego czworokątnego budynku z piaskowca i barykadujemy się w damskiej części. Łatwiej jej bronić. Po stronie dla panów można wejść przez toaletę i zaatakować nas od tyłu – u pań natomiast okna są małe i umieszczone wysoko.

Przeciwnicy ścigają nas. Musi ich być przynajmniej ze dwudziestu. Otrzymali posiłki od innych narodowych socjalistów. Widzę parę mundurów sraczkowatej barwy. Próbują przedrzeć się po tej stronie, gdzie stoję z Köhlerem. W zamieszaniu spostrzegam jednak, że z tyłu przybywa dla nas pomoc. W sekundę później widzę, jak Riesenfeld wali kogoś złożoną teczką, w której, mam nadzieję, są próbki granitu, podczas gdy Renée zdjęła pantofel i chwyciła go za nosek, by tłuc wysokim obcasem.

Gdy się temu przyglądam, ktoś wali mnie głową w żołądek, tak że powietrze z hukiem wydobywa mi się z ust. Biję słabo, ale gwałtownie wokół siebie i mam osobliwe wrażenie, że dobrze znam tę sytuację. Automatycznie podnoszę kolano, bo oczekuję, że uderzenie bykiem się powtórzy. Jednocześnie widzę jeden z najpiękniejszych obrazów, jakie mógłbym sobie wyobrazić w naszym położeniu: Lizę, która jak Nike z Samotraki szarżuje przez Nowy Rynek, obok niej Bodo Ledderhose, a za nim cały jego chór. W tym samym momencie znowu dostaję bykiem w brzuch i spostrzegam, że teczka Riesenfelda opada niby żółta flaga. Jednocześnie Renée de la Tour robi błyskawiczny ruch w dół, po czym słychać gwałtowne wrzaśnięcie atakującego. Renée krzyczy generalskim basem:

– Baczność, wy świnie!

Część napastników mimo woli podrywa się i ściąga pięty. Zaraz potem stowarzyszenie śpiewacze przystępuje do akcji i jesteśmy wolni.

Wyprostowuję się. Niespodziewanie zapada cisza. Napastnicy uciekli. Porwali ze sobą swoich rannych. Hermann Lotz wraca.

Skoczył jak centaur za uciekającym przeciwnikiem i jeszcze raz wymierzył komuś żelazny policzek. My też jesteśmy nieźle urządzeni. Na głowie sterczy mi gruszkowaty guz i zdaje mi się, że mam złamaną rękę. Nie jest jednak złamana. Poza tym czuję mdłości. Za dużo piłem, żeby znajdować upodobanie w ciosach w żołądek. Znowu dręczy mnie jakieś mgliste wspomnienie. Co to było?

– Chciałbym wypić kieliszek czegoś mocniejszego – mówię.

– Wypijesz – odpowiada Bodo Ledderhose. – Ale teraz chodź, zanim zjawi się policja.

W tej chwili rozbrzmiewa ostre klaśnięcie. Odwracamy się zaskoczeni. To Liza trzasnęła kogoś w pysk.

– Ty przeklęty moczymordo! – mówi spokojnie. – Tak się troszczysz o dom i żonę…

– Ty… – bełkoce postać.

Ręka Lizy klaszcze po raz drugi. I nagle rozwiązuje się mój węzeł wspomnień. Watzek? Stoi tam i w jakiś osobliwy sposób trzyma się za tyłek.

– Mój mąż! – oznajmia Liza w przestrzeń Nowego Rynku. – Kogoś takiego ma porządna kobieta za męża!

Watzek nie odpowiada. Krwawi mocno. Rana na czole, którą mu wtedy zadałem, otworzyła się na nowo. Poza tym krew cieknie mu z włosów.

– To pana dzieło? – pytam cicho Riesenfelda. – Teczką?

Kiwa głową i obserwuje uważnie Watzeka.

– Tak to się czasami w życiu zdarza – mówi.

– A co mu się stało w tyłek? – pytam. – Dlaczego się za niego trzyma?

– Żądło osy – odpowiada Renée de la Tour i umocowuje z powrotem długą szpilkę w błękitnym kapeluszu na swych jasnych lokach.

– Moje najwyższe uznanie! – Kłaniam się przed nią i podchodzę do Watzeka. – Więc tak – mówię. – Teraz wiem, kto mnie walił głową w brzuch! Czy to ma być podziękowanie za mój wykład na temat lepszego stylu życia?

Watzek patrzy na mnie osłupiały.

– Pan? Nie poznałem pana! Mój Boże!

– On nigdy nikogo nie poznaje – uzupełnia Liza sarkastycznie.

Watzek przedstawia smutny widok. Spostrzegam przy tym, że rzeczywiście posłuchał moich rad. Ostrzygł krótko swoją grzywę z takim skutkiem, że Riesenfeld mógł mu zadać dotkliwszy cios. Ma na sobie nawet nową białą koszulę – ale w ten sposób osiągnął tylko to, że krew widać na niej bardziej niż na kolorowej. Pechowiec!

– Marsz do domu! Ty pijanico i chuliganie! – mówi Liza i odchodzi.

Watzek wlecze się za nią posłusznie. Wędrują przez Nowy Rynek – samotna para. Nikt za nimi nie rusza. Georg pomaga Lotzowi wyprostować zgiętą sztuczną rękę.

– Chodźcie – mówi Ledderhose. – W moim lokalu możemy się jeszcze napić. W ścisłym gronie!

Parę chwil siedzimy z Bodem i jego chórem. Potem idziemy do domu. Powoli zaczyna szarzeć. Przechodzi gazeciarz. Riesenfeld kiwa na niego i kupuje gazetę. Na pierwszej stronie widnieją ogromne litery:

„Koniec inflacji! Bilion równa się jednej marce!”

– No? – mówi do mnie Riesenfeld.

Kiwam głową.

– Dzieci, możliwe, że splajtowałem – oświadcza Willy. – Spekulowałem jeszcze na zniżkę. – Spogląda zmieszany na swój szary garnitur, a potem na Renée. – No, jak przyszło, tak poszło – cóż zresztą znaczą pieniądze, prawda?

– Pieniądze są bardzo ważne – odpowiada Renée chłodno. – Zwłaszcza gdy się ich nie ma.

Idziemy z Georgiem ulicą Mariacką.

– Ciekawe, że Watzek dostał lanie ode mnie i od Riesenfelda – mówię. – Nie od ciebie. Byłoby naturalniej, gdybyście to wy ze sobą walczyli.

– Naturalniej, to prawda. Ale nie sprawiedliwiej.

– Sprawiedliwiej? – pytam.

– W pewnym skomplikowanym sensie. Jestem teraz zbyt zmęczony, żeby ci to wytłumaczyć. Mężczyźni z łysinami nie powinni

się już bić. Powinni filozofować.

– W takim razie będziesz bardzo osamotniony. Nasze czasy jakoś preferują bicie.

– Nie wierzę. Jakiś obrzydliwy karnawał się kończy. Czy dziś nie nastała jakby jakaś kosmiczna środa popielcowa? Pękła potężna bańka mydlana.

– I co? – pytam.

– I co? – powtarza Georg.

– Ktoś nadmie nową, jeszcze większą.

– Możliwe.

Stoimy w ogrodzie. Mleczny ranek szaro spływa na krzyże. Zjawia się zaspana najmłodsza córka Knopfa. Czekała na nas.

– Ojciec mówi, że za dwanaście bilionów mogą panowie odkupić pomnik.

– Niech mu pani powie, że dajemy osiem marek. I to tylko dziś po południu. O pieniądze będzie teraz bardzo trudno.

– Co? – pyta Knopf ze swojej sypialni. Podsłuchiwał.

– Osiem marek, panie Knopf. A dziś po południu tylko sześć. Pieniądze będą coraz więcej warte. Kto by to pomyślał, prawda? Zamiast coraz mniej.

– Raczej go zatrzymam na wieczne czasy, wy przeklęci rabusie trupów! – kracze Knopf i zatrzaskuje okno.

XXV

Klub Poetycki w Werdenbrück urządza dla mnie wieczór pożegnalny w świetlicy staroniemieckiej w Walhalli. Poeci są niespokojni i udają wzruszenie. Pierwszy podchodzi do mnie Hungermann.

– Znasz moje wiersze – oznajmia. – Sam powiedziałeś, że należały one do twoich najmocniejszych poetyckich przeżyć. Mocniejszych niż Stefan George.

Patrzy na mnie uważnie. Nigdy tego nie powiedziałem. Bambuss to powiedział. Za to Hungermann powiedział o Bambussie, że uważa go za większego poetę niż Rilke. Ale nie zaprzeczam. Pełen oczekiwania spoglądam na wieszcza Casanovy i Mahometa.

– Więc dobrze… – ciągnie Hungermann, ale coś raptem odwraca jego uwagę. – Skąd masz właściwie ten nowy garnitur?

– Kupiłem go dziś za swoje szwajcarskie honorarium – odpowiadam ze skromnością pawia. – To jest mój pierwszy garnitur, odkąd zostałem żołnierzem Jego Cesarskiej Mości. Nie żaden przerobiony z munduru. Prawdziwy cywilny! Inflacja minęła!

– Szwajcarskie honorarium? Więc jesteś już znany na forum międzynarodowym? No tak – mówi Hungermann zaskoczony i natychmiast dodaje z lekką irytacją: – Gazeta?

Kiwam głową. Autor *Casanovy* robi pogardliwy gest:

– Tak myślałem! Moje utwory nie są oczywiście przeznaczone dla dzienników. Najwyżej dla czołowych literackich czasopism. Chciałem ci właśnie powiedzieć, że tom moich wierszy na nieszczęście ukazał się u Artura Bauera w Werdenbrück! Po prostu zbrodnia!

– Czy cię do tego zmuszono?

– Tak, moralnie. Bauer mnie okłamał. Miał zrobić ogromną reklamę, rozszerzyć wydawnictwo, jednocześnie ze mną wydać Mörikego, Goethego, Rilkego, Stefana Georgego, a przede wszystkim Hölderlina – a nic z tego nie dotrzymał.

– Wydał Ottona Bambussa – odpowiadam.

Hungermann macha ręką.

– Bambuss to, między nami mówiąc, fuszer i naśladowca. To mi tylko zaszkodziło. Wiesz, ile egzemplarzy mego dzieła sprzedał Bauer? Nie więcej niż pięćset sztuk!

Wiem od Bauera, że cały nakład wynosił dwieście pięćdziesiąt egzemplarzy. Sprzedano dwadzieścia osiem, z tego sam Hungermann po kryjomu kupił dziewiętnaście. A zmuszony do druku był nie Hungermann, tylko Bauer. Hungermann, jako nauczyciel niemieckiego w gimnazjum realnym, szantażował Artura, że w przeciwnym razie poleci swojej szkole inną księgarnię.

– Jeśli teraz pracujesz w redakcji gazety w Berlinie – oświadcza Hungermann – to wiesz, że koleżeńskość jest wśród artystów najwyższym dobrem!

– Wiem. A także najrzadziej spotykanym.

– Właśnie. – Hungermann wyciąga z kieszeni tomik swoich wierszy. – Masz – z dedykacją. Napisz o tym w Berlinie. I przyślij mi dwie odbitki. Za to dochowam ci wierności tu, w Werdenbrück. A jeśli tam znajdziesz dobrego wydawcę – drugi tom wierszy jest w opracowaniu.

– Załatwione.

– Wiedziałem, że na tobie mogę polegać. – Hungermann uroczyście ściska mi rękę. – A ty sam nie wydasz czegoś wkrótce?

– Nie. Zrezygnowałem.

– Co?

– Chcę jeszcze poczekać – mówię. – Najpierw muszę się rozejrzeć po świecie.

– Bardzo mądrze! – oznajmia Hungermann z naciskiem. – Oby więcej ludzi tak postępowało, zamiast płodzić niedojrzałe twory i w ten sposób szkodzić prawdziwym talentom!

Rozgląda się bacznie po sali. Oczekuję, że wesoło przymruży oko, ale on nagle poważnieje. Stałem się dla niego możliwością zrobienia interesu, więc humor natychmiast go opuścił.

– Nie mów nic innym o naszej umowie – szepcze jeszcze.

– Możesz być spokojny – odpowiadam i widzę, jak podkrada się do mnie Otto Bambuss.

Godzinę później mam w kieszeni *Głosy ciszy* Bambussa z pochlebną dedykacją, prócz tego odbitki maszynowe egzotycznych sonetów *Tygrysica*, które mam opublikować w Berlinie; od Sommerfelda dostałem odpis jego książki o śmierci w wolnych rytmach, od innych członków kilkanaście innych prac na bibułkach, a od Edwarda kopię jego peanu na śmierć przyjaciela, sto sześćdziesiąt osiem wierszy poświęconych Walentemu, koledze, współbojownikowi i człowiekowi. Edward pracuje szybko.

Wszystko staje się nagle bardzo dalekie.

Tak dalekie jak inflacja, która zmarła przed dwoma tygodniami, i dzieciństwo, które z dnia na dzień zostało zduszone wojskową kurtką. Tak dalekie jak Izabella.

Patrzę na twarze. Czy są to twarze zdziwionych dzieci, które widzą chaos albo cud, czy też już twarze zapobiegliwych macherów? Czy jest w nich jeszcze coś z natchnionego i przerażonego oblicza Izabelli, czy też są to tylko imitatorzy i gadatliwi ważniacy z odrobiną talentu, którą ma każda młodość i której dogorywanie opiewają szumnie i zawistnie, zamiast przyglądać się jej milcząco i uratować z niej choć jedną iskrę na dalsze życie?

– Koledzy – oświadczam. – Niniejszym ogłaszam wystąpienie z waszego klubu.

Wszystkie twarze zwracają się ku mnie.

– Wykluczone! Pozostaniesz członkiem-korespondentem klubu w Berlinie – woła Hungermann.

– Występuję – powtarzam.

Poeci milczą chwilę. Patrzą na mnie. Czy się mylę, czy też widzę w niektórych oczach coś jakby strach przed odkryciem?

– Mówisz to serio? – pyta Hungermann.

– Zupełnie serio.

– Dobrze. Przyjmujemy twoją rezygnację i mianujemy cię niniejszym honorowym członkiem klubu.

Hungermann ogląda się. Otrzymuje grzmiące oklaski, z wszystkich twarzy znika napięcie.

– Przyjęto jednogłośnie – odzywa się piewca Casanovy.

– Dziękuję wam – odpowiadam. – To mnie napawa dumą. Ale nie mogę przyjąć zaszczytu. Wyglądałoby to, jakbym chciał się zamienić we własny pomnik. Nie chcę być członkiem honorowym czegokolwiek na świecie, nawet naszego zakładu przy ulicy Kolejowej.

– To nie jest piękne porównanie – oświadcza Sommerfeld, poeta śmierci.

– Jemu wolno – odpowiada Hungermann. – Więc jako co chcesz iść w świat?

Śmieję się.

– Jako mała iskra życia, która usiłuje nie zgasnąć.

– Wielki Boże! – mówi Bambuss. – Czy czegoś podobnego nie ma u Eurypidesa?

– Możliwe, Otto. W takim razie coś w tym musi być. Nie chcę jednak o tym pisać. Spróbuję tym zostać.

– Tego nie ma u Eurypidesa – oświadcza akademik Hungermann, spojrzawszy z zadowoleniem na wiejskiego belfra Bambussa. – Chcesz więc… – zwraca się do mnie.

– Wczoraj wieczorem rozpaliłem ogień – wyjaśniam. – Palił się świetnie. Znacie starą zasadę marszu: małe obciążenie.

Wszyscy potakują gorliwie. Nagle rozumiem, że już nie znają tej zasady.

– No, tak – mówię. – Edwardzie, mam tu jeszcze dwanaście kuponów obiadowych. Deflacja je prześcignęła, sądzę jednak, że nawet gdybym miał o to walczyć przed sądem, mam legalne prawo domagać się za nie obiadów. Czy zechcesz zamienić te kupony na dwie butelki Johannisbergera? Wypijemy je zaraz.

Edward kalkuluje błyskawicznie. Wlicza również Walentego i wiersz o nim, który mam w kieszeni.

– Na trzy – oznajmia.

Willy siedzi w małym pokoiku. Wymienił na niego swoje eleganckie mieszkanie. To potężny skok wprost w biedę, ale Willy znosi go dobrze. Uratował swoje garnitury, trochę biżuterii i dzięki temu jeszcze długi czas będzie eleganckim młodzieńcem. Czerwone auto musiał sprzedać. Zbyt ryzykownie spekulował na zniżkę. Ściany swego pokoju wytapetował banknotami i bezwartościowymi akcjami z okresu inflacji. – To tańsze niż tapeta – wyjaśnia. – I zabawniejsze.

– A poza tym?

– Prawdopodobnie dostanę małą posadkę w tutejszym banku. – Willy uśmiecha się. – Renée jest w Magdeburgu. Pisze, że odniosła wielki sukces w Zielonej Kakadu.

– To pięknie, że przynajmniej pisze.

Willy robi wielkoduszny gest.

– To wszystko nie ma znaczenia, Ludwiku. Co przeminęło, to przeminęło! Poza tym w ostatnich czasach nie mogłem namówić Renée, żeby w nocy udawała generała. Miałem więc tylko połowę przyjemności. Jedyny raz zakomenderowała znowu wtedy podczas pamiętnej bitwy przy toalecie na Nowym Rynku. Żegnaj, chłopcze! A jako podarunek na rozstanie… – Otwiera walizę z akcjami i papierowymi pieniędzmi. – Bierz, co chcesz! Miliony, miliardy – to był sen, co?

– Tak – mówię.

Willy odprowadza mnie aż na ulicę.

– Uratowałem kilkaset marek – szepcze. – Jeszcze ojczyzna nie zginęła! Mam franki francuskie. Będę nimi spekulował na zniżkę. Może przystąpisz do spółki z małym wkładem?

– Nie, Willy. Ja spekuluję już tylko na zwyżkę.

– Zwyżkę – mówi, jakby chciał powiedzieć: Popokatepetl.

Siedzę samotny w biurze. To już ostatni dzień. W nocy wyjeżdżam. Przewracam kartki katalogu i rozmyślam, czy jeszcze na pożegnanie umieścić nazwisko Watzeka na jednym z narysowanych przeze mnie nagrobków. Nagle dzwoni telefon.

– Czy ty jesteś Ludwik? – pyta zachrypnięty głos. – Ten, który zbierał żaby i padalce?

– Możliwe – odpowiadam. – Zależy, o co chodzi. Kto mówi?

– Fritzi.

– Fritzi! Oczywiście, że to ja. Co się stało? Czy Otto Bambuss…

– Żelazna Szkapa nie żyje.

– Co?

– Tak. Umarła wczoraj wieczorem. Zawał serca. Podczas pracy.

– Piękna śmierć – mówię. – Ale przedwczesna!

Fritzi kaszle. Potem pyta:

– Wy, zdaje się, macie przedsiębiorstwo nagrobkowe, nie? Mówiliście coś takiego!

– Mamy najlepszy zakład tego rodzaju w całym mieście – odpowiadam. – Dlaczego?

– Dlaczego? Mój Boże, Ludwiku, wolno ci zgadywać trzy razy. Madame oczywiście chce dać zlecenie któremuś z klientów. A ty przecież także z Żelazną Szkapą…

– Ja nie – przerywam jej. – Ale możliwe, że mój przyjaciel Georg…

– Wszystko jedno, zamówienie powinien dostać klient. Przychodź! Ale szybko! Był tu już agent z konkurencji. Płakał rzewnymi łzami i twierdził, że i on z Żelazną Szkapą…

Łzawy Oskar! Bez wątpienia!

– Natychmiast przychodzę! – wołam. – Ta płaksa łże!

Przyjmuje mnie madame. – Chce pan ją zobaczyć? – pyta.

– Leży tutaj?

– Na górze, w swoim pokoju.

Wchodzimy po skrzypiących schodach. Drzwi są otwarte. Widzę, że dziewczyny się ubierają.

– I dziś też pracujecie? – zadaję pytanie.

Madame potrząsa głową.

– Dziś wieczorem nie. Panienki się tylko ubierają. Siła przyzwyczajenia, wie pan. Poza tym niewielka strata. Od czasu jak marka stała się znowu marką, interes jak nożem uciął. Nikt nie ma pieniędzy. Śmieszne, co?

To nie jest śmieszne. To prawda. Inflacja natychmiast przekształciła się w deflację. Tam, gdzie poprzednio roiło się od bilio-

nów, teraz liczy się znowu na fenigi. Powszechnie doskwiera brak pieniędzy. Okropny karnawał minął. Nastała spartańska środa popielcowa.

Żelazna Szkapa leży wśród zielonych roślin doniczkowych i lilii. Twarz jej zrobiła się nagle surowa i stara, i poznaję ją tylko po złotym zębie, który ledwo połyskuje z boku między wargami. Lustro, przed którym się tak często malowała, jest okryte białym tiulem. W pokoju pachnie starymi perfumami, świerczyną i śmiercią. Na komodzie stoi parę fotografii i spłaszczona kryształowa kula, z przyklejonym od dołu obrazkiem. Kiedy się potrząśnie kulą, wygląda, jakby ludzie na obrazku szli wśród śnieżycy. Ta kula należy do najpiękniejszych wspomnień mego dzieciństwa. Chętnie bym ją ukradł, kiedy jeszcze odrabiałem lekcje przy ulicy Kolejowej.

– Dla was ona była zawsze jakby bliską krewną? – pyta mnie madame.

– Powiedzmy ostrożnie, że kimś w rodzaju matki. Gdyby nie Żelazna Szkapa, prawdopodobnie zostałbym biologiem. Ale ona tak bardzo lubiła wiersze – musiałem jej przynosić coraz to nowe i w końcu rzuciłem biologię.

– Słusznie – mówi madame. – Pan był przecież tym od salamander i ryb!

Wychodzimy z pokoiku. Po drodze widzę na szafie kozacką papachę.

– A gdzie są jej buty z cholewami? – pytam.

– Wzięła je teraz Fritzi. Fritzi nie ma już ochoty na nic innego. Bicie mniej męczy. A poza tym przynosi większy dochód. Zresztą musielibyśmy znaleźć jakąś następczynię. Mamy tu małe kółko klientów lubiących mocny masaż.

– A jak to się właściwie stało ze Szkapą?

– Na służbie. Zawsze zanadto się przejmowała pracą i to był właściwy powód. Odwiedza nas pewien klient, jednooki holenderski kupiec, bardzo elegancki pan. Wcale na to nie wygląda, ale nie chce nic innego, tylko batów, i zjawia się co sobotę. Kiedy ma dosyć, pieje jak najlepszy kogut, bardzo śmiesznie. Żonaty, ma troje przemiłych dzieci, nie może oczywiście żądać od własnej

żony, żeby go tłukła – a więc stały klient, do tego dewizy, płacił w guldenach – prawie modliłyśmy się do tego człowieka z twardą walutą. No i wczoraj się to stało. Malwina zanadto się podnieciła i nagle padła na ziemię z pejczem w ręku.

– Malwina?

– Tak miała na imię. Nie wiedział pan, co? Tamten pan naturalnie ogromnie się wystraszył – nigdy już nie przyjdzie – mówi madame melancholijnie. – Taki klient! Cukiereczek! Za dewizy kupowałyśmy zawsze mięso i pieczywo na cały miesiąc. Ale, ale, jak to teraz właściwie wygląda? – zwraca się ku mnie. – Teraz to już nie jest chyba tak wiele warte, co?

– Gulden wart jest mniej więcej dwie marki.

– A to dopiero! Przedtem to były biliony! No, w takim razie nie jest tak źle, jeśli ten klient już nie przyjdzie. Weźmie pan może jakiś drobiazg na pamiątkę po Szkapie?

Przez chwilę myślę o kuli z burzą śnieżną. Ale nie powinno się brać pamiątek. Potrząsam głową.

– W takim razie wypijemy na dole filiżankę dobrej kawy i wybierzemy pomnik.

Liczyłem na małą skałkę, okazuje się jednak, że Malwina dzięki holenderskiemu kupcowi miała oszczędności w dewizach. Składała banknoty guldenowe do szkatułki i nie wymieniała ich. Zostały więc i stanowią pokaźną sumę. Kupiec był od lat jej wiernym klientem.

– Malwina nie ma krewnych – wyjaśnia madame.

– W takim razie możemy wybrać pomnik wysokiej klasy – oznajmiam. – Z marmuru i granitu.

– Marmur to nie dla Szkapy – mówi Fritzi. – To raczej dla dzieci, co?

– Wcale nie! Nawet generałów układaliśmy już na wieczny spoczynek pod marmurowymi kolumnami.

– Granit! – mówi bajzelmama. – Granit jest odpowiedniejszy. Lepiej pasuje do jej żelaznej natury.

Siedzimy w dużym pokoju. Kawa paruje, są własnej roboty ciastka z bitą śmietaną i butelka curaçao. Czuję się niemal prze-

niesiony w dawne czasy. Panie zaglądają mi przez ramię do katalogu, jak niegdyś do podręczników szkolnych.

– To najlepsze, co mamy na składzie – mówię. – Czarny szwedzki granit, krzyż na podwójnym cokole. W całym mieście są tylko dwa, najwyżej trzy pomniki tego rodzaju.

Panie oglądają rysunek. Jest to jeden z moich ostatnich. Do napisu użyłem majora Wolkensteina – poległ w roku 1915, walcząc na czele swego oddziału – co wyszłoby na dobre, przynajmniej zamordowanemu stolarzowi w Wüstringen.

– Czy Szkapa była katoliczką? – pyta Fritzi.

– Krzyż jest nie tylko dla katolików – odpowiadam.

Bajzelmama drapie się w głowę.

– Nie wiem, czy wypada jej stawiać coś tak bardzo religijnego. Nie macie czegoś innego? Czegoś w rodzaju prawdziwych skał?

Na chwilę tracę oddech.

– Jeśli panie chcą coś w tym stylu – mówię potem – mamy rzecz zupełnie niezwykłą. Coś klasycznego! Obelisk!

Strzelam na ślepo, wiem o tym. Ale palcami drżącymi nagle w gorączce łowieckiej wyciągam podobiznę naszego weterana i kładę ją na stole.

Panie milczą i studiują rysunek. Nie mówią nic. Bywają czasami szczęśliwe trafienia – na początku albo na końcu, kiedy dziecinnej ręce udają się dzieła, w które zwątpili specjaliści. Fritzi śmieje się nagle.

– Właściwie to niezłe dla Szkapy – mówi.

Bajzelmama uśmiecha się również.

– Ile to kosztuje?

Odkąd pracuję w firmie, obelisk nigdy nie miał ceny, ponieważ wszyscy wiedzieliśmy, że nie uda się go sprzedać. Szybko obliczam.

– Tysiąc marek oficjalnie – mówię. – Dla was, jako przyjaciółek, sześć setek, dla Szkapy, jako jednej z moich wychowawczyń, równe trzysta. Mogę sobie pozwolić, by oddać wam go po tak haniebnej cenie, ponieważ dziś jestem ostatni dzień w firmie. Inaczej zostałbym zwolniony. Oczywiście płatne gotówką! A napis ekstra.

– Właściwie dlaczego by nie? – pyta Fritzi.

– Nie mam nic przeciwko temu! – zgadza się bajzelmama.

Nie wierzę własnym uszom.

– Więc załatwione? – pytam.

– Załatwione – odpowiada bajzelmama. – Ile to jest trzysta marek w guldenach?

Zaczyna przeliczać banknoty. Z zegara na ścianie wyskakuje kukułka i zaczyna kukać godzinę. Szósta. Chowam pieniądze do kieszeni.

– Kieliszek dla uczczenia pamięci Malwiny – powiada bajzelmama. – Jutro rano pogrzeb. Lokal jest nam już potrzebny na wieczór.

– Szkoda, że nie mogę zostać na pogrzebie – mówię.

Wszyscy pijemy koniak z dodatkiem miętówki. Bajzelmama wyciera sobie oczy.

– Bardzo mnie to poruszyło – wyjaśnia.

Wszystkich nas poruszyło. Wstaję i żegnam się.

– Georg Kroll wyda dyspozycje co do ustawienia pomnika – oznajmiam.

Panie kiwają głowami. Nigdzie nie widziałem tyle uczciwości i wierności, co tutaj. Machają mi z okien rękami. Dogi szczekają. Idę szybko brzegiem strumienia ku miastu.

– Co? – mówi Georg. – Niemożliwe! W milczeniu wyciągam holenderskie guldeny i rozkładam je na biurku.

– Co za to sprzedałeś? – pyta.

– Zaczekaj chwilę.

Usłyszałem dzwonek roweru. Po chwili za drzwiami rozbrzmiewa władcze chrząkanie. Zbieram banknoty i chowam je znowu do kieszeni. Zjawia się Henryk Kroll, mankiety spodni ma nieco pochlapane ulicznym błotem.

– No – pytam – co pan sprzedał?

Spogląda na mnie z wściekłością.

– Niech pan sam idzie w teren i sprzedaje! Przy tej plajcie! Nikt nie ma pieniędzy! A kto ma parę marek, to je dobrze trzyma w garści!

– Poszedłem – odpowiadam. – I sprzedałem.

– Tak? Co?

Odwracam się tak, by widzieć obu braci, i mówię:

– Obelisk!

– Bzdura! – odpowiada krótko Henryk. – Niech pan opowiada swoje dowcipy w Berlinie!

– Wprawdzie nie mam już nic wspólnego z firmą – oznajmiam – ponieważ dziś o dwunastej skończyłem pracę, ale mimo to zależało mi, by panu pokazać, jak łatwo jest sprzedawać pomniki. Właściwie jest to zajęcie dobre na urlop.

Henryk jest wściekły, hamuje się jednak z trudem.

– Bogu dzięki, że już niedługo nie będziemy musieli wysłuchiwać tych idiotyzmów. Szczęśliwej podróży! W Berlinie wezmą pana do galopu.

– On naprawdę sprzedał obelisk, Henryku – mówi Georg.

Henryk spogląda na mnie z niedowierzaniem.

– Gdzie dowody? – warczy.

– Proszę! – Podrzucam guldeny tak, że trzepocą w powietrzu. – Nawet dewizy!

Henryk wytrzeszcza oczy. Potem chwyta jeden z banknotów, obraca go i sprawdza, czy jest prawdziwy.

– Szczęście! – Prawie zgrzyta zębami. – Idiotyczne szczęście!

– To szczęście przychodzi dla nas bardzo w porę, Henryku – mówi Georg. – Bez tej sumy nie moglibyśmy wykupić weksla, którego termin płatności przypada jutro. Raczej powinieneś serdecznie podziękować Ludwikowi. To pierwsze prawdziwe pieniądze, jakie dostajemy. Diabelnie nam są potrzebne.

– Dziękować? Jeszcze czego!

Henryk znika, trzaskając drzwiami – prawdziwy szczery Niemiec, który nigdy nikomu nie musi dziękować.

– Czy rzeczywiście tak bardzo potrzebujemy forsy? – pytam.

– Owszem – odpowiada Georg. – Ale teraz rozliczamy się. Ile masz pieniędzy?

– Dosyć. Przysłali pieniądze na podróż trzecią klasą. Pojadę czwartą i w ten sposób zaoszczędzę dwanaście marek. Fortepian sprzedałem, bo nie mogę go taszczyć ze sobą. Stary gruchot przy-

niósł mi sto marek. Razem mam więc sto dwanaście marek. Z tego mogę żyć aż do pierwszej pensji.

Georg odkłada trzydzieści guldenów i podaje mi je.

– Pracowałeś jako specjalny akwizytor, masz więc prawo do takiej samej prowizji jak Łzawy Oskar. Za szczególne osiągnięcie pięć procent dodatku.

Powstaje krótki spór. Potem jednak biorę pieniądze, na wypadek gdybym już w pierwszym miesiącu wyleciał z posady.

– Wiesz już, co będziesz robił w Berlinie? – pyta Georg.

Kiwam głową.

– Będę donosił o pożarach, opisywał kradzieże, omawiał małe książeczki, przynosił piwo dla redaktorów, temperował ołówki, poprawiał błędy drukarskie – i próbował przebić się dalej.

Ktoś kopnięciem otwiera drzwi. Jak upiór staje w nich feldfebel Knopf.

– Żądam ośmiu bilionów – skrzeczy.

– Panie Knopf – mówię – pan jeszcze się nie całkiem obudził z długiego snu. Inflacja minęła. Przed czternastu dniami mógł pan dostać osiem bilionów za kamień, który pan kupił za osiem miliardów. Dziś wart jest osiem marek.

– Łobuzy! Wy to zrobiliście naumyślnie!

– Co?

– Koniec inflacji! Żeby mnie obrabować! Ale nie sprzedam! Zaczekam na następną!

– Na co?

– Na następną inflację!

– Dobrze – powiada Georg. – Z tej okazji wypijemy jednego.

Knopf pierwszy sięga po butelkę.

– Zakład? – pyta.

– O co?

– Że poznam, skąd jest ta butelka.

Wyciąga korek i wącha.

– Wykluczone, żeby pan mógł to poznać – zaprzeczam. – Żytniówkę z beczki, możliwe – wiemy, że jest pan najlepszym znawcą tej prowincji – ale nigdy wódkę w butelce.

– O ile zakład? O cenę nagrobka?

– Nagle zbiednieliśmy – odpowiada Georg. – Ale zaryzykujemy trzy marki. Także w pańskim interesie.

– Dobra. Dajcie mi kieliszek.

Knopf wącha i próbuje. Potem żąda drugiego i trzeciego kieliszka, i wypija do dna.

– Niech pan da spokój – namawiam go. – To niemożliwe. Nie musi nam pan płacić.

– Ta żytniówka pochodzi ze sklepu kolonialnego Brockmanna przy ulicy Mariackiej – oznajmia Knopf.

Patrzymy na niego ze zdumieniem. Zgadza się.

– Dawać forsę! – skrzeczy Knopf.

Georg płaci trzy marki i feldfebel znika.

– Jak on to zrobił? – pytam. – Czy ten stary pijanica ma jakieś nadprzyrodzone zdolności?

Georg wybucha nagle śmiechem.

– Wykantował nas!

– Jak?

Podnosi butelkę. Z drugiej strony, na samym dole, jest przyklejona maleńka karteczka: „J. Brockmann, artykuły kolonialne, ulica Mariacka 18".

– Taki oszust! – mówi rozbawiony. – I jakie dobre ma jeszcze oczy!

– Oczy! – mówię. – Pojutrze w nie zwątpi, kiedy wróci do domu i nie znajdzie obelisku. I jego świat się zawali.

– A czy twój się zawala? – pyta Georg.

– Codziennie – odpowiadam. – Jakże można by żyć inaczej?

Dwie godziny przed odjazdem wydaje się nam, że słychać z dala tupot nóg, gwar i śpiewy.

Po chwili na ulicy rozbrzmiewa pieśń na cztery głosy:

O święta nocy, zesłać racz
Niebiański spokój w serce moje…

Podchodzimy do okna. Na ulicy stoi chór Boda Ledderhosego. – Co to znaczy? – pytam. – Zapal światło, Georg!

W mdłym świetle, które pada z okna na ulicę, poznajemy Boda.

– To dla ciebie – mówi Georg. – Serenada pożegnalna twojego stowarzyszenia. Nie zapomina, że jesteś jego członkiem.

Pielgrzyma strudzonego płacz
Twój ból bezbrzeżny niech ukoi…

rozbrzmiewa potężnie dalej. Okna się otwierają.

– Cisza! – wrzeszczy stara Konersmannowa. – Już północ, schlana hołoto!

Lśnią gwiazdy na nieboskłonie,
migocą w błękitnej toni…

W oknie staje Liza i kłania się. Myśli, że serenada przeznaczona jest dla niej. Wkrótce zjawia się policja.

– Rozejść się! – rozkazuje ostry głos.

Policja zmieniła się wraz z deflacją. Jest znowu ostra i energiczna. Stary duch pruski ożył na nowo. Każdy cywil jest wiecznym rekrutem.

– Zakłócenie nocnego spokoju! – wrzeszczy niemuzykalny przedstawiciel władzy.

– Aresztujcie łobuzów! – wyje wdowa Konersmann.

Stowarzyszenie Boda składa się z dwudziestu śpiewaków, chłop w chłopa. Naprzeciw nich stoi dwóch policjantów.

– Bodo – wołam zatroskany. – Nie ruszajcie ich! Nie brońcie się! Inaczej pójdziecie na parę lat do więzienia!

Bodo robi uspokajający gest i śpiewa dalej, szeroko otwierając usta:

Tak bardzo chciałbym z tobą wraz
Przemierzać podniebne szlaki.

– Cisza, chcemy spać! – krzyczy wdowa Konersmann.

– Hej! – woła Liza ku policjantom. – Zostawcie śpiewaków w spokoju! Dlaczego nie ma was tam, gdzie kradną?

Policjanci stoją zmieszani. Polecają jeszcze parę razy:

– Wszyscy natychmiast na posterunek! – Ale nikt się nie rusza.

Bodo zaczyna drugą strofkę. Policjanci robią wreszcie, co mogą – każdy z nich aresztuje jednego śpiewaka.

– Nie brońcie się! – wołam. – To byłby opór wobec władzy!

Śpiewacy nie stawiają oporu. Pozwalają się odprowadzić.

Pozostali śpiewają, jakby nic nie zaszło. Posterunek jest niedaleko. Policjanci przybiegają z powrotem i aresztują dwóch następnych śpiewaków. Pozostali śpiewają dalej, ale pierwsze tenory wyraźnie osłabły. Policjanci aresztują od prawej strony. Za trzecim razem odprowadzają Willy'ego i w ten sposób pierwsze tenory zostają zmuszone do milczenia. Podajemy z okien butelki piwa.

– Trzymaj się, Bodo! – wołam.

– Nie ma obawy! Do ostatniego człowieka!

Policja znowu się zjawia i aresztuje drugich tenorów. Nie mamy już piwa i częstujemy naszą żytniówką. W dziesięć minut później śpiewają już tylko basy. Stoją, nie patrząc, jak policjanci dokonują aresztowania. Czytałem kiedyś, że taki sam brak zainteresowania wykazują stada morsów, kiedy łowcy zabijają maczugami ich sąsiadów, i widziałem, że podczas wojny robią to samo całe narody.

Po dalszym kwadransie Bodo Ledderhose zostaje sam. Spotniał, wściekli policjanci po raz ostatni przybiegają galopem. Biorą Boda w środek. Idziemy za nimi na posterunek. Bodo samotnie nuci dalej.

– Beethoven – mówi krótko i brzęczy jak samotna muzykalna pszczoła.

Nagle mamy wrażenie, że harfy eolskie towarzyszą mu z ogromnej dali. Nasłuchujemy. To wygląda na cud – ale chyba aniołowie zaczynają nagle nucić razem z Bodem. Aniołowie, pierwszym i drugim tenorem i oboma basami. Akompaniują Bodowi. Im dalej idziemy, ich głosy stają się coraz wyraźniejsze, a gdy skręcamy przy kościele, słyszymy lecące bezcielesne tony, nawet je rozumiemy. Śpiewają: „O święta nocy, zesłać racz…" Przy następnym rogu poznajemy, skąd pochodzą: z posterunku policji, na którym aresztowani koledzy Boda stoją nieustraszeni i śpiewają, nie troszcząc się o nic. Bodo jako dyrygent wstępuje między

nich, jakby to była najzwyklejsza rzecz pod słońcem, i pieśń brzmi dalej: „Pielgrzyma strudzonego płacz…”

– Panie Kroll, co to ma znaczyć? – pyta udręczony naczelnik posterunku.

– To noc muzyki – odpowiada Georg. – Mała serenada pożegnalna dla człowieka, który wyrusza w świat. Niewinna i właściwie godna poparcia.

– To wszystko?

– To wszystko.

– Zakłócenie spokoju publicznego – oświadcza jeden z policjantów.

– Czy byłoby to również zakłócenie spokoju, gdyby śpiewali *Niemcy, Niemcy ponad wszystko*? – pytam go.

– To byłoby zupełnie co innego!

– Kto śpiewa, nie kradnie, nie morduje i nie próbuje obalić rządu – tłumaczy Georg naczelnikowi. – Chce pan zamknąć cały chór za to, że tego wszystkiego nie robi?

– Wyrzućcie ich! – krzyczy naczelnik. – Ale niech będą wreszcie cicho.

– Będą cicho. Pan nie jest Prusakiem, co?

– Frankończykiem.

– Tak sobie właśnie myślałem – mówi Georg.

Stoimy na dworcu. Dmie wiatr, poza nami nie ma nikogo na peronie.

– Odwiedzisz mnie, Georg – mówię. – Stanę na głowie, żeby poznać kobiety twoich marzeń. Dwie albo trzy będą na ciebie czekały, kiedy przyjedziesz.

– Przyjadę.

Wiem, że nie przyjedzie.

– Winien jesteś to choćby swojemu smokingowi – dodaję. – W przeciwnym wypadku gdzie mógłbyś go pokazać?

– To prawda.

Para rozżarzonych oczu pociągu przewierca ciemność.

– W górę sztandar, Georg! Wiesz, że jesteśmy nieśmiertelni.

– Tak. Ty też nie daj się pognębić. Tak często cię ratowano, że masz obowiązek przedzierać się dalej.

– Jasne – mówię. – Już choćby ze względu na tych, których nie uratowano. Choćby Walentego.

– Głupstwo. Po prostu dlatego, że żyjesz.

Pociąg wpada do hali, jakby czekało na niego przynajmniej z pięćset osób. Ale czekałem tylko ja. Wybieram sobie przedział i siadam. W przedziale pachnie snem i ludźmi. Otwieram okno w korytarzu i wychylam się.

– Gdy się coś zostawia, nie trzeba tego tracić – oświadcza Georg. – Tylko idioci to robią.

– Któż mówi o traceniu? – mówię, gdy pociąg rusza. – Skoro tak czy owak w końcu tracimy, możemy sobie pozwolić, by przedtem zwyciężać jak cętkowane małpy.

– One zawsze zwyciężają?

– Tak – bo nie wiedzą, co to jest.

Pociąg już się toczy. Ściskam rękę Georga. Jest za mała i za miękka, a od czasu bitwy przy toalecie ma blizny, które jeszcze nie całkiem się zagoiły. Pociąg przyśpiesza biegu, Georg zostaje, nagle wydaje mi się starszy i bledszy, niż myślałem, i widzę tylko jego bladą dłoń i bladą głowę, a potem nie ma już nic prócz nieba i lecącej ciemności.

Wchodzę do przedziału. Podróżny w okularach rzęzi w jednym kącie, leśniczy w drugim. W trzecim chrapie tłusty, wąsaty mężczyzna. W czwartym kobieta z obwisłymi policzkami i w przekrzywionym kapeluszu wydaje z siebie wzdychające trele. Czuję ostry głód ze smutku i otwieram walizkę, która leży na siatce. Pani Kroll zaopatrzyła mnie w kanapki z wędliną, które miały mi wystarczyć aż do Berlina. Macam, ale nie znajduję ich i ściągam walizkę z półki. Kobieta w przekrzywionym kapeluszu budzi się, spogląda na mnie z wściekłością i zaraz potem treluje wyzywająco dalej. Widzę, dlaczego nie mogłem znaleźć kanapek. Leży na nich smoking Georga. Prawdopodobnie włożył go, gdy ja sprzedawałem obelisk. Chwilę patrzę na czarny materiał, potem wyciągam kanapki i zaczynam jeść. To dobre kanapki z pierwszorzędną wędliną. W jednej chwili cały przedział budzi się od zapachu

wspaniałej wątrobianki. Nie zwracam na nic uwagi i jem dalej. Potem rozpieram się na swojej ławce i patrzę w ciemność, przez którą od czasu do czasu przelatują światła, i myślę o Georgu i o smokingu, potem o Izabelli, o Hermannie Lotzu i o obelisku, na który sikano i który w końcu uratował firmę, a wreszcie nie myślę już o niczym.

XXVI

Nikogo z nich już nie widziałem. Kilka razy chciałem tam pojechać, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie, a ja myślałem, że mam jeszcze dosyć czasu. Wkrótce jednak nie było już czasu. Nad Niemcami zapadła noc, opuściłem kraj, a kiedy wróciłem – leżał w ruinach. Georg Kroll nie żył. Wdowa Konersmann szpiegowała dalej i wykryła, że Georg romansował z Lizą. W 1933 roku, dziesięć lat później, zdradziła to Watzekowi, który był wtedy sturmführerem SA. Watzek kazał zamknąć Georga w obozie koncentracyjnym, mimo że już od pięciu lat był rozwiedziony z Lizą. Parę miesięcy później Georg nie żył.

Hans Hungermann został inspektorem kultury i obersturmbannführerem nowej partii. Wielbił ją w płomiennych wierszach i z tego powodu miał po roku 1945 nieco kłopotów, bo utracił posadę dyrektora szkoły – teraz jednak jego roszczenia do emerytury zostały od dawna uznane przez państwo i, jak bardzo wielu jego kolegów partyjnych, żyje sobie bardzo wygodnie, nie pracując.

Rzeźbiarz Kurt Bach siedział siedem lat w obozie koncentracyjnym i wyszedł jako kaleka niezdolny do pracy. Dzisiaj, w dziesięć lat po klęsce hitlerowców, walczy jeszcze o małą rentę, podobnie jak inne niezliczone ofiary reżimu. Ma nadzieję, że jeśli mu posłuży szczęście, dostanie rentę w wysokości siedemdziesięciu marek miesięcznie, mniej więcej jedną dziesiątą kwoty, jaką otrzymuje Hungermann, i jedną dziesiątą tego, co państwo od lat płaci pierwszemu szefowi gestapo – człowiekowi, który założył obozy koncentracyjne i uczynił Kurta Bacha kaleką – nie mówiąc

oczywiście o odpowiednio wyższych emeryturach i odszkodowaniach dla generałów, zbrodniarzy wojennych i byłych wysokich funkcjonariuszy partyjnych. Henryk Kroll, który dobrze przetrwał ten okres, z wielką dumą widzi w tym dowód niewzruszalnego poczucia prawa w naszej ukochanej ojczyźnie.

Major Wolkenstein zrobił świetną karierę. Został członkiem partii, współdziałał przy opracowywaniu ustaw przeciwżydowskich, przez kilka lat po wojnie siedział cicho, a dziś z wieloma innymi kolegami partyjnymi pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Bodendiek i Wernicke długi czas ukrywali kilku Żydów w szpitalu dla wariatów. Umieścili ich w separatkach dla nieuleczalnie chorych, ostrzygli ich i nauczyli, jak się mają zachowywać. Bodendiek został później przeniesiony do małej wioski, ponieważ w niewłaściwy sposób uniósł się na wiadomość, że jego biskup przyjął tytuł radcy państwa od rządu, który wysławiał mord jako święty obowiązek. Wernickego zwolniono, bo nie chciał dawać śmiertelnych zastrzyków swoim chorym. Przedtem udało mu się jeszcze wywieźć ukrywanych Żydów. Wysłano go na front i poległ w roku 1944. Willy poległ w 1942, Otto Bambuss w 1945, Fryc Kroll w 1944 roku. Liza zginęła podczas nalotu bombowców. Tak samo stara pani Kroll.

Edward Knobloch przetrwał wszystko. Dawał pierwszorzędnie jeść zarówno sprawiedliwym, jak i niesprawiedliwym. Jego hotel został zburzony, ale już go odbudowano. Nie ożenił się z Gerdą i nikt nie wie, co się z nią stało. Również o Geneviève Terhoven nigdy już nie słyszałem.

Ciekawą karierę zrobił Łzawy Oskar. Wysłano go jako żołnierza do Rosji i po raz drugi został komendantem cmentarza. W 1943 roku był tłumaczem przy oddziałach okupacyjnych, a w końcu na parę miesięcy – burmistrzem Werdenbrück. Potem wrócił do interesów wraz z Henrykiem Krollem. Założyli nową firmę i mieli wielkie powodzenie – nagrobki były wtedy prawie tak poszukiwane jak chleb.

Stary Knopf zmarł w trzy miesiące po moim wyjeździe z Werdenbrück. Przejechał go w nocy samochód. W rok później

jego żona poślubiła trumniarza Wilkego. Nikt się tego nie spodziewał. Było to szczęśliwe małżeństwo.

Podczas wojny bomby tak zniszczyły Werdenbrück, że prawie żaden dom nie został cały. Miasto leżało przy stacji węzłowej, dlatego często je atakowano. W rok później wpadłem tam przejazdem na parę godzin. Szukałem starych ulic, ale zgubiłem się w mieście, w którym tak długo mieszkałem. Nie pozostało nic poza gruzami i nie spotkałem nikogo z dawnych lat. W małym sklepiku, mieszczącym się w budzie z desek w pobliżu dworca, kupiłem parę pocztówek z widokami miasta sprzed wojny. Tylko to przetrwało. Jeśli ktoś dawniej chciał sobie przypomnieć swoją młodość, wracał do miejscowości, w której ją spędził. Dziś w Niemczech nie można tego zrobić. Wszystko jest zniszczone, odbudowane na nowo i obce. Pocztówki muszą to zastąpić.

Jedyne budynki, które wyszły zupełnie bez szwanku, to szpital wariatów i klinika położnicza – głównie dlatego, że leżały nieco za miastem. Od początku były i nadal są przepełnione. Musiano je nawet znacznie rozbudować.

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
***
I
II
III
IV
V
VI
VII
VIII
IX
X
XI
XII
XIII
XIV
XV
XVI
XVII
XVIII
XIX
XX
XXI
XXII
XXIII
XXIV
XXV
XXVI
Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: *Der schwarze Obelisk*

DER SCHWARZE OBELISK © 1956 by New York University, successor-in-interest to the literary rights of The Estate of the Late Paulette Goddard Remarque
Published by arrangement with Graal Ltd and Mohrbooks AG Literary Agency.
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015, 2021

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor tego wydania: Krzysztof Tropiło

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Zbigniew Mielnik
Opracowanie graficzne okładki: Urszula Gireń

Fotografia na okładce
© Bettmann / Getty Images Poland

Wydanie II e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Czarny obelisk*, wyd. VI, dodruk, Poznań 2023)

ISBN 978-83-7818-920-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**